

ARTURO **PÉREZ-
REVERTE**

**Królowa
Południa**

—
**Narkotyki,
miłość
i śmierć**

HISZPAŃSKI BESTSELLER



ARTURO **PÉREZ-
REVERTE**

Królowa
Południa

przełożyła
Joanna Kuraszek


MUZA
WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Dedykuję

Elmerowi Mendozie,

Julio Bernalowi

i Cesarowi Batmanowi Güemesowi.

Za przyjaźń. Za corrido

Spis treści

* * *

- 1 Spadłem z obłoków, w których bujałem
- 2 Podobno widziały to gliny, ale zimno się zrobiło
- 3 Kiedy przeminą lata
- 4 Jedźmy tam, gdzie nie będzie sądów
- 5 To, co zasiałem w górach wysoko
- 6 Ryzykuję szczęście, ryzykuję życie
- 7 Nazaczyli mnie Siódmką
- 8 Paczki po kilo
- 9 Kobiety też mogą
- 10 Siedzę w kącie kantyny
- 11 Nie umiem zabijać, ale pewnie się nauczę
- 12 A może cię kupię
- 13 Na dwustu, trzystu metrach wzniosę w niebo cęsnę każdą
- 14 I zostaną kapelusze
- 15 Mam przyjaciół w moich stronach, oni zawsze mnie kochają
- 16 Ładunek po jednej stronie
- 17 Pół kieliszka zostało niedopite

Epilog

* * *

Zadzwoił telefon i zrozumiała, że ją zabiją. I przez tę nagłą pewność znieruchomiała, zastygła z maszynką do golenia w ręce, z mokrymi włosami przyklepionymi do twarzy, pośród gorącej pary, skraplającej się na kafelkach. *Bip-bip*. Siedząc bez ruchu w wannie, wstrzymywała oddech, jakby bezruch i cisza mogły zmienić to, co już się stało. *Bip-bip*. Depilowała prawą nogę, zanurzona w pianie, i nagle jej całe ciało pokryło się gęsią skórą, jakby z kranu trysnęła właśnie zimna woda. *Bip-bip*. Tigres del Norte z płyty grającej w sypialni śpiewali o losach Tekszańskiej Kamelii. *Zdrada i przemyt*, śpiewali, *nigdy nie chodzą w parze*. Zawsze się bała, że takie piosenki mogą być złą wróżbą, i naraz stały się ponurą rzeczywistością i groźbą. Blondyn kpił sobie z tego, ale to dzwonienie oznaczało, że ona miała rację, a nie Blondyn. Świadczyło o tym, że mylił się on w wielu innych sprawach. *Bip-bip*. Odłożyła maszynkę, powoli wyszła z wanny i skierowała się do sypialni, zostawiając mokre ślady na podłodze. Telefon leżał na narzucie – mały, czarny i złowrogi. Przyglądała mu się, nie dotykając go. *Bip-bip*. Przerazenie. *Bip-bip*. Sygnał wplótł się w tekst piosenki, jakby stanowił jej część. *Przemytnicy*, śpiewali Tigres, *nigdy nie wybaczą*. Blondyn mówił to samo, śmiejąc się jak zwykle, kiedy gładził jej kark, upuszczając przy tym telefon na jej spódnicę. Jeśli kiedyś zadzwoni, to będzie znaczyć, że już nie żyję. A wtedy uciekaj. Ile siły, małeńka. Uciekaj i nie zatrzymuj się, bo mnie już nie będzie, żeby ci pomóc. Jeśli jednak znajdziesz jakąś przystań, wypij kieliszek tequili za pamięć o mnie. Za wszystkie dobre chwile, małeńka. Za dobre chwile. Taki właśnie – twardy i nieodpowiedzialny – był Blondyn Dávila. Wirtuoz cessny. Król krótkiego pasa, jak nazywali go przyjaciele i nawet don Epifanio Vargas, bo potrafił podnieść na trzystu metrach samolot naładowany trawą i prochami i latać tuż nad wodą w najczarniejsze noce, z jednej strony granicy na drugą, omijając ekrany radarów meksykańskiej policji federalnej i sępy z DEA[1]. Potrafił igrzać z ogniem, prowadząc własną grę za plecami szefów. Potrafił też przegrać.

Woda spływała jej po skórze, tworzyła kałużę pod stopami. Telefon ciągle dzwonił, a ona i bez odbierania wiedziała, że Blondynowi przestało dopisywać szczęście. Trzeba go posłuchać i uciekać, jednak

niełatwo przyjąć do wiadomości, że zwyczajny dzwonek w jednej chwili zmienia twoje życie. W końcu chwyciła telefon, wcisnęła guzik i usłyszała:

– Wykończyli Blondyna, Tereso.

Nie rozpoznała głosu. Blondyn miał wielu przyjaciół, kilku nawet wiernych, bo uważali to za swój obowiązek, na mocy kodeksu obowiązującego od czasu, kiedy przemycali trawę i pakunki z heroiną w kołach samochodowych przez El Paso do Stanów. Mógł to być każdy z nich – może Neto Rosas albo Ramiro Vázquez. Nie rozpoznała, kto dzwoni, i do niczego nie było jej to potrzebne, bo wiadomość była jasna. Wykończyli Blondyna, powtórzył głos. Zabili też jego kuzyna. Teraz kolej na rodzinę kuzyna i na ciebie. Uciekaj, jak możesz najszybciej. Uciekaj i nie zatrzymuj się. Potem połączenie się urwało, a ona spojrzała w dół na swoje mokre stopy na podłodze i poczuła, jak drży z zimna i ze strachu, i pomyślała, że ktokolwiek dzwonił, powtórzył to samo, co zawsze mówił Blondyn. Wyobraziła sobie tę scenę w podłym barze, jak ten facet uważnie kiwa głową, pośród kłębow dymu z cygar i przy brzęku kieliszków. Blondyn naprzeciwko niego, ze skrętem w palcach, nogi skrzyżowane pod stołem, jak miał w zwyczaju, kowbojskie buty w szpic z wężowej skóry, chustka pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli, kurtka pilota zawieszona na oparciu krzesła, jasne włosy obcięte na jeża, na ustach uśmiech cyniczny i pewny. Zrobisz to dla mnie, jeśli mnie rozwałą. Powiesz jej, żeby uciekała i nie przystawała, bo inaczej wykończą ją tak samo jak mnie.

Nagle dopadła ją panika, zupełnie inna niż zimny strach, który czuła wcześniej. Była to eksplozja chaosu i szaleństwa. Krzyknęła krótko i złapała się za głowę. Ledwie stała na nogach, więc usiadła na łóżku. Rozejrzała się wokół: biel i złocenia zagłówek, na ścianach obrazy przedstawiające śliczne pejzaże i pary przechadzające się o zachodzie słońca, porcelanowe figurki, które zbierała i ustawiała na gzymsie, bo chciała, żeby ich dom był ładny i wygodny. Zrozumiała, że to już nie jest dom, że za parę minut to miejsce stanie się pułapką. Zobaczyła siebie w wielkim lustrze na drzwiach szafy – była naga i mokra, ciemne włosy lepiły jej się do twarzy, a pomiędzy kosmyków patrzyły czarne oczy, szeroko otwarte, wytrzeszczone ze strachu. Uciekaj i nie zatrzymuj się,

mówili Blondyn i ten głos, który powtarzał słowa Blondyna. No to rzuciła się do ucieczki.

Zawsze myślałem, że meksykańskie *narcocorridos* to tylko piosenki, a *Hrabia Monte Christo* to tylko powieść. Powiedziałem to Teresie Mendozie tego dnia – bo w końcu zgodziła się na rozmowę ze mną – kiedy w asyście ochroniarzy i policjantów przyjęła mnie w domu, gdzie mieszkała, w dzielnicy Chapultepec w Culiacán, w stanie Sinaloa. Wspomniałem Edmunda Dantesa, pytając, czy czytała *Hrabiego Monte Christo*, a ona, milcząc, zwróciła na mnie spojrzenie tak przeciągłe, że już się zacząłem obawiać, czy aby nasza rozmowa nie skończyła się w tym momencie. Potem przeniosła wzrok na deszcz, który uderzał w szyby, i czy to odbłask szarego światła zza okna, czy też zamyślony uśmiech spowodował, że jej usta wykrzywiły się w dziwnym i okrutnym grymasie.

– Nie czytam książek – powiedziała.

Wiedziałem, że kłamię, tak jak to robiła nieskończenie wiele razy w ciągu tych ostatnich dwunastu lat. Ale nie chciałem sprawiać wrażenia natręta, więc zmieniłem temat. Jej długa droga na szczyt i z powrotem pełna była epizodów interesujących mnie o wiele bardziej niż lektury tej kobiety, którą wreszcie miałem przed sobą, po ośmiu miesiącach tropienia jej śladów na trzech kontynentach. Gdybym powiedział, że byłem rozczarowany, nie nazwałbym dokładnie moich odczuć. Rzeczywistość zazwyczaj jest marniejsza od legendy, ale w moim zawodzie rozczarowanie jest zawsze pojęciem względnym: rzeczywistość i legenda są zwykłym tworzywem pracy. Problem polega na tym, że obsesyjnie zajmując się całymi tygodniami i miesiącami jakąś osobą, człowiek stwarza sobie własne wyobrażenie tej postaci, dokładne i – co oczywiste – nieprawdziwe. Jest to wizja, która zagnieżdża się w głowie z taką siłą, że wprowadzenie jakiegokolwiek zmiany, choćby najdrobniejszej, okazuje się bardzo trudne, wręcz niemożliwe. Poza tym my, pisarze, potrafimy sprawić, że czytelnicy z zaskakującą łatwością przyjmują nasz punkt widzenia. Dlatego owego deszczowego poranka w Culiacán miałem świadomość, że kobieta siedząca przede mną nigdy nie będzie prawdziwą Teresą Mendozą, że jest kimś innym, kimś, kto

w części wypiera Teresę Mendozę stworzoną przeze mnie, tę, której losy – niekompletne i pełne sprzeczności – odtworzyłem, wydzierając kawałek po kawałku tym, którzy ją znali, nienawidzili albo kochali.

– Dlaczego pan tu przyjechał? – zapytała.

– Brakuje mi informacji na temat pewnego epizodu z pani życia. Tego najważniejszego.

– Coś takiego! Mówi pan: pewnego epizodu?

– Właśnie.

Wzięła ze stołu paczkę farosów i zapaliła papierosa płomieniem taniej plastikowej zapalniczki, wcześniej powstrzymując ruchem dłoni człowieka siedzącego w przeciwnym kącie pokoju, który usłużnie podnosił się z krzesła, trzymając lewą rękę w kieszeni marynarki; był to mężczyzna już dojrzały, korpulentny czy wręcz gruby, o zupełnie czarnych włosach i gęstych meksykańskich wąsach.

– Tego najważniejszego?

Odłożyła papierosy i zapalniczkę na stół, rozmieszczając je w doskonałej symetrii, nie częstując mnie, co zresztą nie miało znaczenia, bo nie pałę. Leżały tam jeszcze dwie paczki farosów, popielniczka i pistolet.

– Musi panu na tym rzeczywiście zależeć – dodała – jeśli teraz odważył się pan tu przyjechać.

Spojrzałem na pistolet. Sig sauer, szwajcarski. Parabellum. Dziewiątka. Szesnaście naboji w magazynku, ułożonych w szachownicę. I trzy pełne magazynki. Złote końcówki naboji były grube jak żołędzie.

– Tak – odezwałem się łagodnie. – Wydarzyło się to dwanaście lat temu. W stanie Sinaloa.

Kolejne milczące spojrzenie. Dużo o mnie wiedziała – w jej świecie można wszystko dostać za pieniądze. Poza tym trzy tygodnie wcześniej posłałem jej egzemplarz niedokończonego tekstu. Na przynętę. Niby list polecający, uzupełniający całość moich starań.

– Dlaczego miałabym panu o tym opowiedzieć?

– Bo poświęciłem pani wiele pracy.

Patrzyła na mnie przez dym papierosa, mrużąc oczy; przypominała tym indiańskie maski w Templo Mayor. Potem wstała i podeszła do barku, wróciła z butelką tequili Herradura Reposado i dwoma kieliszkami, wysokimi i wąskimi, które w Meksyku nazywają *caballitos*. Miała na

sobie ciemne, wygodne lniane spodnie, czarną bluzkę i sandały. Żadnej biżuterii, nawet łańcuszka czy zegarka, oprócz siedmiu cienkich srebrnych bransoletek na prawej ręce. Dwa lata wcześniej – wycinki prasowe leżały w moim pokoju w hotelu San Marcos – tygodnik „Hola” zaliczył ją do dwudziestu najlepiej ubranych kobiet w Hiszpanii, było to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dziennik „El Mundo” informował o ostatnim śledztwie dotyczącym jej interesów na Costa del Sol i powiązaniach z przemytem narkotyków. Na zdjęciu na pierwszej stronie gazety można było dostrzec jej postać przez szybę samochodu oraz kilku ochroniarzy w ciemnych okularach, którzy jej strzegli. Jednym z nich był wąsaty grubas, teraz siedzący w przeciwnym końcu pokoju i z daleka patrzący na mnie niewidzącym wzrokiem.

– Wiele pracy – powtórzyła zamyślona i nalała tequili do kieliszków.

– Właśnie.

Wypiła mały łyk, ciągle mnie obserwując. Była niższa, niż wydawała się na zdjęciach i w telewizji, miała ruchy spokojne i pewne, jakby jeden łączył się w naturalny sposób z drugim, nie zostawiając miejsca na improwizację czy wątpliwości. A może ona już nie ma wątpliwości, pomyślałem nagle. Mimo swoich trzydziestu sześciu lat była dość atrakcyjna. Może nie tak jak na zdjęciach, które oglądałem tu i tam, po drugiej stronie Atlantyku. W archiwum policyjnym na komisariacie w Algeciras natknąłem się na jej czarno-białe fotografie z profilu i en face. Widziałem ją też na kasetach wideo; zdjęcia były niewyraźne, zawsze kończyły się wtargnięciem w kadr brutalnych goryli, którzy szybko i gwałtownie usuwali obiektywy. Ale wszędzie miała ten sam dystyngowany wygląd, była niemal zawsze ubrana na czarno, w ciemnych okularach, wsiadała do drogich samochodów albo wysiadała z nich, wychylała się, niewyraźna w grubym ziarnie teleobiektywu, z jakiegoś tarasu w Marbelli, albo opalała się na pokładzie wielkiego jachtu, białego jak śnieg. Królowa Południa. W otocze swojej legendy pojawiała się równocześnie na stronach kroniki towarzyskiej i przeglądu kryminalnego.

Istniało jednak jeszcze jedno zdjęcie, o którym nie wiedziałem wcześniej, ale po dwóch godzinach rozmowy Teresa Mendoza nieoczekiwanie postanowiła mi je pokazać – bardzo zniszczone

i podklejone od spodu przezroczystą taśmą. Położyła je na stoliku między pełną popielniczką, butelką tequili, opróżnioną głównie przez nią samą w dwóch trzecich, i sig sauerem z trzema magazynkami, leżącymi tam jak zapowiedź nieszczęścia – choć tak naprawdę był to dowód fatalistycznego pogodzenia się z losem – które miało się zdarzyć jeszcze tej samej nocy. Było to zdjęcie najdawniejsze z tych, jakie miała, a właściwie tylko jego połowa, brakowało całej lewej strony; zostało z niej tylko męskie ramię w rękawie skórzanej kurtki pilota obejmujące młodą, szczupłą brunetkę o ciemnych bujnych włosach i czarnych oczach. Dziewczyna mogła mieć niewiele ponad dwadzieścia lat, była ubrana w bardzo obcisłe spodnie i brzydką dżinsową kurtkę z kołnierzem z baraniego kożuska, patrzyła w obiektyw z niezdecydowaną miną, jakby zamierzała uśmiechnąć się albo właśnie przestawała to robić. Dostrzegłem, że mimo przerysowanego, nieco wulgarnego makijażu spojrzenie jej ciemnych źrenic było niewinne i łagodne, podkreślało młodość pociągłej twarzy; jej oczy migdałowego kształtu, bardzo wyraziste usta i kształt nosa oraz beczelnie zadarta broda były z pewnością odległymi i niewyraźnymi śladami indiańskiej krwi. Ta dziewczyna nie jest piękna, ale ma w sobie coś wyjątkowego, pomyślałem. Jakiś ślad dawnej doskonałości, rozmytej w kolejnych pokoleniach. Dochodziła do tego kruchość, szczerą i naiwną. Gdybym nie znał jej losów, pewnie ta kruchość by mnie wzruszyła. Tak mi się wydaje.

– Trudno tu panią rozpoznać.

Taka była prawda i tak powiedziałem. Odniosłem wrażenie, że ten komentarz nie sprawił jej przykrości. Dobrą chwilę przyglądała się zdjęciu leżącemu na stole.

– Sama się nie rozpoznaję – powiedziała.

Potem schowała je z powrotem do leżącej na kanapie torby, do skózanego portfela z jej inicjałami, i wskazała mi drzwi.

– Myślę, że to już wszystko – odezwała się.

Robiła wrażenie bardzo zmęczonej. Długa rozmowa, papierosy, butelka tequili. Miała ciemne kręgi pod oczami, które były teraz całkiem inne niż na starym zdjęciu. Wstałem, zapiąłem marynarkę, podałem jej rękę – ledwie jej dotknęła – spojrzałem jeszcze raz na pistolet. Grubas

z końca pokoju był już przy mnie, obojętny, gotów, żeby mnie odprowadzić. Przyjrzałem się z ciekawością jego wspaniałym wysokim butom ze skóry iguany, brzuchowi wylewającemu się z nad wyplatanej paska, groźnemu kształtowi zarysowanemu pod marynarką. Kiedy otworzył drzwi, stwierdziłem, że jego tusza jest myląca, i zauważyłem, że wszystko robi lewą ręką. Było jasne, że prawa służy mu wyłącznie jako narzędzie pracy.

– Mam nadzieję, że będzie dobrze – powiedziałem.

Jej spojrzenie podążyło za moim wzrokiem ku pistoletowi. Powoli skinęła głową, nie oznaczało to jednak potwierdzenia moich słów. Była zajęta swoimi myślami.

– Pewnie – mruknęła.

Wtedy wyszedłem. Policjanci w kamizelkach kuloodpornych i z długą bronią, którzy na początku wizyty zrewidowali mnie starannie od stóp do głów, nadal pełnili straż w westybulu i w ogrodzie, wojskowa furgonetka i dwa policyjne harleye davidsony stały zaparkowane przy okrągłej fontannie przed wejściem. Po drugiej stronie wysokiego muru, na ulicy, czekało pięciu czy sześciu dziennikarzy i operator z kamerą telewizyjną pod parasolem, utrzymywani w pewnym oddaleniu przez żołnierzy w bojowych mundurach, kordonem otaczających posiadłość. Skręciłem na prawo i w deszczu poszedłem do taksówki, która czekała na mnie przy następnej przecznicy, na skrzyżowaniu z ulicą Generała Anai. Teraz już wiedziałem wszystko, co chciałem wiedzieć, mroczne zakamarki zostały oświetlone i każdy element losów Teresy Mendozy – prawdziwych czy wymyślonych – znalazł się na swoim miejscu: od tamtego pierwszego zdjęcia, czy raczej połówki zdjęcia, aż po kobietę, która przyjęła mnie z automatyczną bronią na stole. Brakowało zakończenia, które zresztą też miałem poznać w ciągu kilku godzin. Wystarczyło, żebym usiadł i czekał, podobnie jak ona.

Minęło dwanaście lat od tamtego popołudnia, kiedy Teresa Mendoza rzuciła się do ucieczki w mieście Culiacán. Tego dnia, który zapoczątkował długą podróż tam i z powrotem, normalny świat, jaki – tak sądziła – stworzyła sobie u boku Blondyna Davili, rozsypał się jak domek z kart, słyszała nawet łoskot spadających kawałków, i nagle stwierdziła, że jest sama i że grozi jej niebezpieczeństwo. Odłożyła

telefon i zaczęła chodzić po pokoju, otwierając przypadkowe szuflady, oślepiona przerażeniem: szukała torby, do której mogłaby spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Chciałaby opłakiwać swojego mężczyznę, chciałaby krzyżeć tak, żeby zedrzyć sobie gardło, ale strach ogarniający ją falami podobnymi do ciosów paraliżował fizycznie i psychicznie. Czuła się tak, jakby najadła się grzybków z Huautli albo napaliła marychy i nagle została przeniesiona do innego, obcego ciała, nad którym w ogóle nie miała władzy. Włożyła niezdarnie, w pośpiechu, dżinsy, podkoszulek i buty, potykając się, zbiegła po schodach, jeszcze mokra pod ubraniem, z wilgotnymi włosami, ściskając niewielką torbę podróżną, do której udało jej się wrzucić parę rzeczy – jakieś podkoszulki, dżinsową kurtkę, majtki, skarpetki, portfel z dwustoma pesos i dokumentami. Na pewno zjawią się zaraz po telefonie, pamiętała słowa Blondyna. I lepiej będzie, jeśli już jej tu nie zastaną.

Wyszła na ulicę i stanęła niezdecydowana, z instynktowną ostrożnością tropionego zwierzęcia, które czuje w powietrzu zbliżające się psy myśliwskie. Przed nią rozciągało się wrogie terytorium o skomplikowanej miejskiej topografii. Kolonia Las Quintas – szerokie aleje, komfortowe domy dyskretnie ukryte pośród krzewów bugenwilli, dobre samochody zaparkowane pod oknami. Przeszłam długą drogę od nędznej dzielnicy Las Siete Gotas, pomyślała. Właścicielka apteki naprzeciwko, sprzedawca ze sklepu spożywczego na rogu, gdzie robiła zakupy przez ostatnie dwa lata, strażnik banku w niebieskim mundurze i z automatem kaliber .12 przewieszonym przez ramię – ten sam, który uśmiechał się do niej zawsze, kiedy przechodziła – wszyscy oni nagle wydali się jej niebezpieczni, jakby na nią czyhali. Już nie będziesz miała przyjaciół, mówił Blondyn z tym swoim obojętnym uśmiechem, który uwielbiała i którego czasem nienawidziła z całej duszy. Tego dnia, kiedy zadzwoni telefon i zaczniesz uciekać, będziesz sama, moja mała. A ja już ci nie pomogę.

Przycisnęła torbę, jakby chciała chronić brzuch, i ze spuszczoną głową ruszyła chodnikiem przed siebie, nie patrzyła teraz na nikogo ani na nic, starała się nie przyspieszać kroku. Słońce zaczynało zachodzić daleko nad Pacyfikiem odległym o jakieś czterdzieści kilometrów na zachód, w okolicach Altaty, a rosnące wzdłuż alei palmy, *pinguicas* i mangowce

odcinały się na tle nieba, które już wkrótce miało zabarwić się na pomarańczowo, jak podczas każdego zachodu słońca w Culiacán. Łomot w uszach, głuche, monotonne pulsowanie nakładało się na hałas samochodów i stukot jej obcasów. Gdyby ktoś zawołał ją w tej chwili, nie usłyszałaby własnego imienia, pewnie nie usłyszałaby nawet strzału. Strzału do niej. Spodziewała się go w każdej chwili, szła z napiętymi mięśniami i wtuloną w ramiona głową, bolały ją plecy i nerki. Oto Sytuacja. Zbyt wiele razy słyszała rozmowy na ten temat, prowadzone w oparach alkoholu, pośród dymu papierosowego, by nie zdawać sobie sprawy z zagrożenia; wiedzę tę miała wypaloną w myślach, jak piętno na sztuce bydła. W tym interesie, mawiał Blondyn, trzeba umieć rozpoznać Sytuację. Ktoś podejdzie i ukłoni się. Może nawet będziesz go znała, a on się uśmiechnie. Miło. Łagodnie. Ale zauważysz coś dziwnego, coś nieokreślonego, jakbyś dostrzegła, że coś jest nie na swoim miejscu. Chwilę później będziesz martwy – Blondyn, mówiąc to, patrzył na Teresę, z wycelowanym w nią palcem, jakby to był rewolwer, przy śmiechu kumpli. – A raczej martwa. To nawet lepsze, niż gdyby cię zabrali żywą na pustynię, zaopatrzeni w palnik acetylenowy, i zaczęli ci tam z wielką cierpliwością zadawać pytania. Najgorzej nie jest wtedy, gdy znasz odpowiedzi – wówczas ulga przychodzi szybko – ale kiedy ich nie znasz. Taki szkopuł, jak mawiał Cantinflas. Duży problem. Bardzo trudno jest przekonać faceta z palnikiem, że nie wiesz rzeczy, o których on myśli, że wiesz, i on też chciałby wiedzieć.

Szlag by to! Miała nadzieję, że Blondyna spotkała szybka śmierć. Że rzucili go, razem z cesseną, na pożarcie rekinom, a nie zabrali na pustynię, żeby przepytać. Kiedy się miało do czynienia z policją albo DEA, takie przepytywanie prowadziło do więzienia Almoloya albo do kryminału w Tucson. Można było negocjować, dojść do porozumienia. Zostać świadkiem koronnym albo zapewnić sobie specjalne przywileje w więzieniu. Trzeba było tylko umiejętnie rozegrać swoją kartę. Ale Blondyn z takimi ludźmi się nie zadawał. Nie był konfidentem ani szpiegiem. Oszukiwał tylko trochę, mniej dla pieniędzy, bardziej dlatego, że lubił balansować na krawędzi. My, chłopaki z San Antonio, przechwalał się, lubimy ryzykować własną skórę. A kiwanie tych facetów było, jego zdaniem, świetną rozrywką; śmiał się w duchu, kiedy

mówili mu: przyłóż temu, wykończ tamtego, chłopcze, tylko pospiesz się – brali go za zwykłego zbira, któremu wystarczy rzucić na stół tysiąc pesos bez cienia szacunku; dostawał zwitki szeleszczących dolarów po powrocie z każdego przelotu, na którym szefowie zarabiali śmierzące fortuny, a on ryzykował wolność albo i życie. Problem polegał na tym, że Blondynowi nie wystarczało robienie pewnych rzeczy, on odczuwał potrzebę, żeby o tym opowiadać. Miał długi język. Po co miałbyś przelecieć choćby najlepszą dupę, jeśli nie mógłbyś o tym opowiedzieć koleśiom? Bo jeśli zrobisz coś super, to niech o tobie piszą piosenki, niech je zaśpiewają Los Tucanes czy Los Tigres z Tijuany, a potem niech słuchają tego we wszystkich barach i przez radio w każdym samochodzie. Klasa! Stajesz się legendą, brachu. I wiele razy, kiedy byli razem w jakimś barze czy na imprezie w klubie Morocco – on z butelką piwa Pacífico w ręce, ona z nosem upudrowanym białym proszkiem – stała wtulona w jego ramię między jednym tańcem a drugim, i drżała z przerażenia, bo opowiadał kumplom takie rzeczy, które każdy rozsądny człowiek zachowuje w najgłębszej tajemnicy.

Teresa nie była wykształcona, w przeciwieństwie do Blondyna, ale wiedziała, że przyjaciele są po to, żeby odwiedzać cię w szpitalu, w więzieniu albo na cmentarzu. To znaczy, przyjaciele są przyjaciółmi, dopóki nie przestają nimi być.

Przebiegła trzy przecznice, nie oglądając się za siebie. Nie da rady. Miała zbyt wysokie obcasy i zrozumiała, że skręci sobie kostkę, jeśli dalej będzie biec. Zdjęła buty, schowała je do torby i, już bosa, skręciła na następnym rogu w prawo i doszła do ulicy Juareza. Tam zatrzymała się przed jakimś barem, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Nie dostrzegła żadnych oznak niebezpieczeństwa, uznała, że powinna zastanowić się chwilę i uciszyć walenie pulsu, popchnęła drzwi, weszła do środka i usiadła przy stoliku w głębi, plecami do ściany, z widokiem na ulicę. Jak powiedziała by mocny w głębie Blondyn: żeby przeanalizować Sytuację. Albo przynajmniej spróbować. Wilgotne włosy opadły jej na twarz, odgarnęła je tylko raz, potem uznała, że woli, jak ją zasłaniają. Zamówiła sok z opuncji i przez chwilę siedziała nieruchomo, nie potrafiła ułożyć w głowie dwóch spójnych myśli, poczuła, że ma ochotę zapalić, ale zdała sobie sprawę, że w całym zamęcie zapomniała

zabrać papierosy. Poprosiła o jednego kelnerkę, która podała jej też ogień, i nie zwracając uwagi na jej zdziwiony wzrok, utkwiony w bosych stopach, siedziała bez ruchu, starając się uporządkować myśli. Teraz lepiej. Papieros uspokoił ją nieco, na tyle żeby przeanalizować Sytuację pod kątem praktycznym. Musi dotrzeć do drugiego domu, tego bezpiecznego, zanim mordercy ją odnajdą, a ona sama, chcąc nie chcąc, skończy jako drugoplanowa postać w jednym z tych *narcocorridos*, które, jak marzył Blondyn, Los Tucanes czy Los Tigres ułożą na jego cześć. Tam były pieniądze i dokumenty, bez których, choćby uciekała bardzo szybko, nigdzie nie dotrze. Tam też był notes Blondyna – telefony, adresy, notatki, kontakty, tajne tropy prowadzące do różnych części Meksyku: Dolna Kalifornia, Sonora, Chihuahua i Coahuila, do przyjaciół i wrogów – niełatwo było odróżnić jednych od drugich – w Kolumbii, Gwatemali, Hondurasie i po drugiej stronie Río Bravo, w El Paso, Juárez, San Antonio. Musisz go spalić albo ukryć, powiedział jej. Dla własnego dobra nawet do niego nie zaglądaj, maleńka. Nawet na niego nie patrz. Dopiero kiedy znajdziesz się w prawdziwych kłopotach i nie będziesz już miała innego wyjścia, oddaj go don Epifaniowi Vargasowi w zamian za własną skórę. Jasne? Przysięgnij mi tu, że za nic w świecie nie otworzysz tego notesu. Przysięgnij na Boga i Matkę Boską. Chodź tu. Przysięgnij na to, co teraz trzymasz w ręce.

Miała niewiele czasu. Zapomniała też o zegarku, ale widziała, że zaczyna zapadać zmrok. Ulica wydawała się spokojna, słaby ruch, kilku przechodniów, nikt nie zatrzymywał się w pobliżu. Włożyła buty. Położyła na stole dziesięć pesos, powoli podniosła się i wzięła torbę. Wychodząc na ulicę, nie odważyła się spojrzeć na odbicie swojej twarzy w lustrze. Na rogu jakiś dzieciak sprzedawał napoje, papierosy i gazety, rozłożone na kartonie z nadrukiem Samsung. Kupiła paczkę farosów i zapalki, kątem oka zerknęła za siebie i poszła dalej, z wyrachowaną powolnością. Sytuacja. Na widok zaparkowanego samochodu, policjanta, mężczyzny zamiatającego chodnik zapierało jej dech ze strachu. Znów zaczęły boleć ją plecy i poczuła kwaśny smak w ustach. Przeszkadzały jej obcasy. Gdyby Blondyn ją teraz zobaczył, pomyślała, pewno by się uśmieł. I przeklinała go w duchu. Ciekawe, gdzie się śmiejesz w tej chwili, sukinsynu, teraz, kiedy wszystko spartaczyłeś. Co

z twoją pewnością siebie prawdziwego macho i z tym pieprzonym popisywaniem się? Przechodząc obok kiosku z tacos, poczuła zapach spalonego mięsa i kwaśny smak w ustach stał się jeszcze ostrzejszy. Musiała zatrzymać się i szybko wejść do bramy, gdzie zwymiotowała sok z opuncji.

Culiacán poznałem wcześniej. Jeszcze zanim pojechałem tam, by spotkać się z Teresą Mendozą. Byłem tam od razu, jak tylko zacząłem interesować się jej losami, kiedy ona sama stanowiła dla mnie coś w rodzaju osobistego wyzwania – wyzwania w postaci paru zdjęć i wycinków prasowych. Byłem tam i później, już po wszystkim, kiedy poznałem to wszystko, co poznać chciałem – fakty, nazwiska, miejsca. Teraz nadszedł czas, bym to uporządkował, zostawiając puste miejsca tylko tam, gdzie to konieczne lub kiedy tak jest lepiej. Muszę też powiedzieć, że cała ta sprawa zaczęła się dużo wcześniej, w stolicy Meksyku, podczas pewnego obiadu z René Delgado, szefem dziennika „Reforma”. Utrzymujemy przyjacielskie kontakty z René od czasu, kiedy jako młodzi reporterzy dzieliliśmy pokój w hotelu Intercontinental w Managui, podczas wojny z Somozą. Teraz, kiedy przyjeżdżam do Meksyku, spotykamy się, żeby liczyć sobie nawzajem zmarszczki, siwe włosy i zawiedzione marzenia. Tamtego razu, kiedy jedliśmy smażone mrówcze jaja i tacos z kurczakiem w San Angel Inn, złożył mi propozycję.

– Jesteś Hiszpanem i masz świetne kontakty. Napisz dla nas wielki reportaż o niej.

Odmówiłem ruchem głowy, uważając równocześnie, by zawartość taco nie rozsypała mi się po brodzie.

– Już nie jestem reporterem. Teraz wymyślam takie historie, które, kiedy się je zapisze, nigdy nie mają mniej niż czterysta stron.

– No to zrób to po swojemu – nalegał René. – Niech to nawet będzie jakiś twój cholerny reportaż literacki.

Skończyłem taco i zaczęliśmy rozważać wszelkie za i przeciw. Wahałem się aż do kawy i cygara Don Julián No. 1, czyli do chwili, kiedy René zagroził, że poprosi do naszego stolika orkiestrę *mariachis*. Choć jego pomysł nabrał zgoła innego kształtu, bo reportaż dla „Reformy” przerodził się w całkiem prywatny projekt literacki, mój przyjaciel nie

wziął mi tego za złe. Przeciwnie, następnego dnia przekazał mi swoje najlepsze kontakty na wybrzeżu Pacyfiku i wśród policji federalnej, żebym mógł odsłonić ciemne lata, ten okres życia Teresy Mendozy, który nie był znany w Hiszpanii, a i w samym Meksyku od dawna nikt się nim nie interesował.

– Przynajmniej opublikujemy ci recenzję, skunksie – powiedział.

Do tej pory powszechnie wiadomo było tylko tyle, że mieszkała kiedyś w Las Siete Gotas, bardzo biednej dzielnicy Culiacán, i była córką Hiszpana i Meksykanki. Wiedziano, że naukę porzuciła jeszcze w szkole podstawowej, potem sprzedawała kapelusze na targowisku Buelna, a następnie zajmowała się wymianą pieniędzy na ulicy Juareza aż do pewnego wieczoru, w Zaduszki – wróżba, jak na ironię – kiedy los postawił na jej drodze Raimunda Dávila Parrę, pilota opłacanego przez kartel z Juárez, znanego w środowisku jako Blondyn Dávila, z powodu jasnych włosów, niebieskich oczu i amerykańskiego wyglądu. Wszystko to jednak należało raczej do legendy narosłej wokół postaci Teresy Mendozy i wcale nie wynikało ze sprawdzonych faktów. Aby więc odsłonić tę część jej biografii, pojechałem do stolicy stanu Sinaloa leżącej na zachodnim wybrzeżu Meksyku, tam gdzie rozpoczyna się Zatoka Kalifornijska, i włóczyłem się po tamtejszych ulicach i barach. Poszedłem nawet tą samą, albo prawie tą samą drogą, którą ostatniego popołudnia – albo pierwszego, zależy, jak na to spojrzeć – przemierzyła po odebraniu telefonu i opuszczeniu domu, gdzie mieszkała z Blondynem Dávilą. Przystanąłem przed gniazdkiem, w którym osiedli na dwa lata: była to komfortowa, ale dyskretna willa o dwóch kondygnacjach, z ogrodem z tyłu, a mirtami i bugenwillami przy wejściu, położona w południowo-wschodniej części Las Quintas, dzielnicy zamieszkaney przez klasę średnią narkotykowego biznesu, przez tych, którym się wiedzie dobrze, choć nie tak dobrze, by mogli sobie pozwolić na luksusową posiadłość w dzielnicy Chapultepec. Potem wzdłuż rzędu palm i mangowców poszedłem do ulicy Juareza i zatrzymałem się naprzeciwko niewielkiego bazaru, żeby przyjrzeć się młodym dziewczynom, które z telefonem komórkowym przy uchu i kalkulatorem w ręce wymieniają pieniądze po prostu na ulicy, czy raczej piorą je, biorąc od zatrzymujących się przy nich kierowców zwitki

dolarów śmierdzących żywicą z indyjskich konopi albo białym proszkiem i dając im meksykańskie pesos. Tutaj, w tym mieście, gdzie to, co nielegalne, jest konwencją towarzyską i formą życia – ...*tradycją jest rodzinną*, mówi tekst jednej z piosenek, *że się pracuje wbrew prawu* – Teresa Mendoza przez jakiś czas była jedną z takich dziewczyn, aż do dnia, kiedy terenowy czarny bronco zatrzymał się obok, a Raimundo Dávila Parra opuścił przydymioną szybę i z wysokości siedzenia kierowcy zaczął się jej przyglądać. Wtedy jej życie odmieniło się na zawsze.

Teraz ona biegła tym samym chodnikiem, gdzie знаła każdą płytę, z suchością w gardle i strachem w oczach. Ominęła dziewczyny stojące grupkami albo spacerujące przed sklepem z owocami o nazwie El Canario w oczekiwaniu na klientów, równocześnie zerkając z niepokojem w stronę przystanku autobusów i mikrobusów, i kiosków z jedzeniem na bazarze, przy których niby rój mrówek kłębił się tłum kobiet z koszami i wąsatych mężczyzn w czapkach z daszkiem albo w palmowych kapeluszach. Ze straganu z płytami za sklepem jubilerskim na rogu dobiegły ją słowa i melodia piosenki *Paczki po kilo*. Śpiewali Dinámicos albo Los Tigres, z tej odległości nie mogła rozpoznać, ale znała to *corrido*. I to jak! Znała je aż za dobrze, to była ulubiona piosenka Blondyna – sukinsyn śpiewał ją zazwyczaj przy goleniu, stojąc w otwartym oknie, żeby zgorszyć sąsiadów, albo cichutko nucił jej do ucha, kiedy chciał ją rozzłościć:

*Przyjaciele mego ojca
Cenią mnie i podziwiają,
Bo na dwustu, trzystu metrach
Wzniosę w niebo cęsnę każdą.
Pistolety, karabiny,
to jest dla mnie chleb powszedni...*

Cholerny Blondyn, niech go szlag, pomyślała i prawie to powiedziała na głos, żeby stłumić westchnienie, które cisnęło jej się na usta. Popatrzyła w prawo i lewo. Szukała jakiejś twarzy, kogoś, czyja obecność świadczyłaby o niebezpieczeństwie. Na pewno przyślą kogoś, kto ją zna, pomyślała. Kto może ją rozpoznać. I cała nadzieja w tym, że ona rozpozna go wcześniej. Jego albo ich. Bo zazwyczaj chodzą parami,

żeby sobie nawzajem pomagać. Albo żeby siebie nawzajem pilnować, bo w tym interesie nie wierzy się nawet własnemu cieniowi. Trzeba rozpoznać go na czas, dostrzec zagrożenie w jego spojrzeniu. Albo w jego uśmiechu. Ktoś się do ciebie uśmiechnie, przypomni sobie. I chwilę później będziesz martwa. Jeśli masz szczęście, dodała w duchu. Jeśli mam szczęście, będę martwa. W Sinaloa – pomyślała o pustyni i palniku acetylenowym wspomnianych przez Blondyna – to, czy się ma szczęście, czy nie, zależy od refleksu, umiejętności dodawania i odejmowania. Im więcej czasu zajmuje ci umieranie, tym masz mniej szczęścia.

Na ulicy Juareza samochody nadjeżdżały za jej plecami. Zauważyła to, kiedy minęła cmentarz Świętego Jana, i zaraz skręciła na lewo, żeby wejść w ulicę Generała Escobedo. Blondyn tłumaczył jej, że gdyby ją kiedyś śledzono, powinna wybierać te ulice, gdzie samochody będą nadjeżdżać z przodu, żeby móc się im przyjrzeć, zanim się do niej zbliżą. Od czasu do czasu oglądała się za siebie. Ulicą Generała Escobedo doszła do śródmieścia, przeszła przed gmachem magistratu i wmieszała się w tłum kłębiący się na przystankach autobusowych w pobliżu bazaru Garmendia. Tam poczuła się nieco bezpieczniej. Niebo było coraz ciemniejsze, budynki od strony zachodniej pokryły się intensywną pomarańczową barwą, reflektory z wystaw sklepowych oświetlały chodniki. Prawie nigdy nie zabija się ludzi w takich miejscach, pomyślała. Ani nie porywa. Na rogu stało dwóch policjantów z drogówki; byli w brązowych mundurach. Twarz jednego z nich wydała jej się znajoma, więc odwróciła się i zmieniła kierunek. Wielu miejscowych policjantów było na żołdzie narkobiznesu, podobnie jak to się działo w przypadku niektórych agentów policji federalnej i stanowej i wielu innych funkcjonariuszy służb państwowych o lepkich łapkach i upodobaniu do gratisowych drinków w barze; chronili najważniejszych bossów mafii, kierując się zdrową zasadą: bierz swoje i pozwól żyć innym, jeśli sam też chcesz żyć. Przed trzema miesiącami nowy szef policji chciał zmienić reguły gry. Zarobił równo siedemdziesiąt strzałów z kałacha – karabin AK 47 jest w tych kręgach najpopularniejszą bronią – przed wejściem do domu, w swoim własnym samochodzie. Rata-tata. W sklepach muzycznych były już płyty z piosenkami o tej historii.

Najbardziej popularna z nich nosiła tytuł *Siedemdziesiąt kulek siedem milimetrów. Zabili Ordoñezę* – precyzował tekst – *o szóstej nad ranem, a na tak wczesną porę to duże strzelanie*. Czysty styl Sinaloa. Tamtejsi piosenkarze, jak na przykład As de la Sierra, umieszczali na afiszach i na okładkach płyt swoje zdjęcia z giwerą kaliber .45 w ręce, na tle awionetki. Chalino Sánchez, lokalny idol, który zanim zaczął śpiewać i komponować, był płatnym mordercą w mafii, został dosłownie zmasakrowany z zazdrości o kobietę albo z jakiegoś innego powodu. Żeby pisać *narcocorridos*, nie trzeba mieć nadmiernej wyobraźni.

Teresa minęła rynek, sklepy z butami i odzieżą i skręciła na rogu, przed lodziarnią La Michoacana. Bezpieczne mieszkanie Blondyna, schronienie na wypadek niebezpieczeństwa, było kilkanaście metrów stąd, mieściło się na drugim piętrze niepozornego budynku mieszkalnego, przed którym stał składany stragan – w ciągu dnia sprzedawano tam owoce morza, a wieczorami tacos ze smażonym mięsem. Poza nimi dwojgiem w zasadzie nikt nie wiedział o tej kryjówce. Teresa była tam tylko raz, Blondyn też pojawiał się w nim rzadko, żeby go nie spalić. Weszła po schodach, najciszej jak mogła, włożyła do zamka klucz i przekręciła go ostrożnie. Wiedziała, że nie może tu być nikogo, mimo to starannie obejrzała mieszkanie, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Nawet ta dziupla nie jest bezpieczna, mówił Blondyn. Mogli mnie widzieć, ktoś mógł coś wywęszyć, zresztą tutaj, w tym mieście, każdy zna każdego. A nawet jeśli nie wiedzą, to i tak, jeśli mnie złapią żywego, będę mógł milczeć tylko przez chwilę, a potem wyciągną ze mnie, co zechcą, i na kopach wyśpiewam im wszystkie piosenki i wszystko, czego się w życiu dowiedziałem. Staraj się nie spać tam jak kura na grzędzie, maleńka. Mam nadzieję, że wytrzymam dostatecznie długo i że zdążysz zwinąć kasę i zniknąć, zanim cię dopadną. Ale niczego ci nie obiecuję, kocie – uśmiechał się nawet przy tych słowach, sukinsyn. – Niczego nie obiecuję.

Mieszkanie miało gołe ściany, bez żadnych ozdób, a umeblowanie składało się ze stołu, czterech krzeseł i kanapy; w drugim pokoju stało wielkie łóżko, szafka nocna i telefon. Okno sypialni wychodziło na podwórze z drzewami i krzewami, wykorzystywane jako parking,

w głębi widoczne były kopuły kościoła Santuario. Jedna z szaf ściennych miała podwójne dno i kiedy Teresa je rozmontowała, znalazła dwie grube paczki z plikami studolarowych banknotów. Jakieś dwadzieścia tysięcy, oceniła szybko dzięki doświadczeniu z ulicy Juareza. Leżał tam też notes Blondyna, duży zeszyt w okładkach z brązowej skóry – nawet go nie otwieraj, przypomniała sobie – woreczek z białym proszkiem, jakieś trzysta gramów, i ogromny colt Double Eagle z chromowanej stali, z płytkami z masy perłowej na rękojeści. Blondyn nie lubił broni, nigdy nie nosił przy sobie pistoletu ani rewolweru – zwisa mi, mawiał, jak cię mają dopaść, to i tak dopadną – ale tego colta trzymał na wszelki wypadek. Co mam ci mówić, sama wiesz, jak jest. Teresa też tego nie lubiła, ale jak każdy człowiek w stanie Sinaloa – mężczyzna, kobieta czy dziecko – potrafiła posługiwać się bronią. A jeśli można sobie wyobrazić przypadek niebezpieczeństwa, to wystąpił on właśnie w tej chwili. Sprawdziła, czy colt ma pełny magazynek, odciągnęła zamek, a kiedy go zwolniła, nabój kaliber .45 wskoczył do komory z dźwięcznym i groźnym trzaskiem. Drżały jej ręce, kiedy wkładała to wszystko do przyniesionej ze sobą torby. W połowie pakowania usłyszała odgłos dochodzący z rury wydechowej samochodu parkującego na ulicy. Przez chwilę stała bez ruchu i nasłuchiwała, po czym wróciła do pakowania. Razem z dolarami leżały dwa paszporty – jej i Blondyna. Do obydwu były wbite ważne wizy do Stanów. Popatrzyła na zdjęcie Blondyna: włosy na jeża, jasne amerykańskie oczy patrzące spokojnie na fotografa, cień wiecznego uśmiechu w kącie ust. Włożyła do torby tylko swój paszport. A kiedy pochyliła głowę, poczuła, że łzy spadają jej na dłonie, i zdała sobie sprawę, że już od dobrej chwili płacze.

Rozejrzała się wokół zamglonym wzrokiem, chcąc sprawdzić, czy niczego nie zapomniała. Serce biło jej tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Podeszła do okna, spojrzała na ulicę tonącą w wieczornym mroku, na kiosk z tacos oświetlony żarówką i czerwonym żarem z rusztu. Zapaliła papierosa i zrobiła kilka niepewnych kroków po mieszkaniu, zaciągając się nerwowo. Musi zaraz stąd iść, ale nie ma dokąd. Wiedziała tylko, że musi zaraz wyjść. Stojąc w drzwiach sypialni, spojrzała na telefon i zaświtało jej w głowie: don Epifanio. To był dobry człowiek, ten don Epifanio. Współpracował z Amado Carrillo w złotych

czasach mostów powietrznych między Kolumbią, Sinaloą i Stanami i zawsze był dobrym szefem dla Blondyna, człowiekiem słownym i odpowiedzialnym; kiedy zainwestował w inne interesy i zaczął zajmować się polityką, przestał potrzebować awionetek, a Blondyn zmienił pracodawców. Don Epifanio proponował mu inną pracę u siebie, ale Blondyn wolał latać, wszystko jedno dla kogo. Tam na górze jesteś kimś, mawiał, a tu, na ziemi – tylko wyrobnikiem. Don Epifanio nie wziął mu tego za złe, a nawet pożyczył pieniądze, żeby sobie kupił nową cessenę. Poprzednią rozbił podczas gwałtownego lądowania na górskim pasie; miał wtedy na pokładzie starannie zamaskowane trzysta kilogramów białej damy; dwie awionetki policji federalnej latały w górze, drogi były zielone od policyjnych mundurów, a wśród głosów syren i nawoływań przez megafon R 15 siały ogniem, jakby to był koniec świata. Blondyn miał złamaną rękę, ale cudem udało mu się umknąć najpierw przed prawem, a potem przed właścicielami ładunku, którym za pomocą wycinków prasowych musiał udowodniać, że wszystko zostało przejęte przez policję, że trzech z ośmiu kumpli z ekipy przyjmującej zostało zabitych, kiedy bronili lotniska, i że sypnął człowiek z Badiraguato, który był policyjną wtyką. Gaduła skończył z rękami związanymi na plecach, uduszony plastikowym workiem, podobnie jak jego ojciec, matka i siostra – mafia wszystkich traktowała równo, a uwolniony od podejrzeń Blondyn mógł sobie kupić nową cessenę dzięki pożyczce don Epifania Vargasa.

Zgasiła papierosa, otwartą torbę postawiła przy łóżku i wyjęła notes. Położyła go na narzucie i przez chwilę na niego patrzyła. Nawet tam nie zaglądaj, przypomniała sobie. Oto cholerny notes pieprzonego szpanera, który już od dobrej chwili tańczy z kostuchą, a ona, skończona kretyńska, posłusznie gapi się na okładkę. Nawet o tym nie myśl, mówił jej jakiś wewnętrzny głos. A inny podpowiadał: tylko zajrzyj. Jeśli to jest warte tyle, co twoje życie, no to zobacz, co to jest. Żeby sobie dodać odwagi, wyciągnęła paczkę z kokainą, przebiła paznokciem plastik i szczyptę proszku przytknęła do nosa, głęboko wdychając. Chwilę później, z dziwną jasnością umysłu i wyostrzonymi zmysłami, znów spojrzała na notes i w końcu go otworzyła. Don Epifanio był tam pośród innych, Teresa poczuła dreszcze, kiedy pobieżnie przeglądała te nazwiska:

Chapo Guzmán, César Batman Güemes, Héctor Palma... Były tam telefony, kontakty, pośrednicy, liczby i szyfry, których sensu nie rozumiała. Czytała to wszystko, a jej puls stawał się coraz wolniejszy, aż poczuła lodowate zimno. Nawet tam nie zaglądał! Poczuła dreszcze, wspominając te słowa. Cholera! Dobrze zrozumiała dlaczego. To wszystko wyglądało dużo gorzej, niż myślała.

I wtedy usłyszała, że otwierają się drzwi.

– Popatrz, kogo tu mamy, Pote. Co słyszać?

Uśmiech Kocura Fierrosa rozbłysnął jak ostrze noża, bo był to uśmiech wilgotny i niebezpieczny, jak u zbira w amerykańskim filmie, gdzie handlarze narkotyków zawsze mają latynoski wygląd, są ciemnowłosi i okrutni i nazywają się Pedro Brzytwa i Krwawy Juanito. Kocur Fierros miał latynoski wygląd, był ciemnowłosy i tak zły, jakby wyskoczył prosto z piosenki Rubena Bladesa czy Willy'ego Colona, i właściwie nie wiadomo, czy to on z rozmysłem pielęgnował ten stereotyp, czy też Rubén Blades, Willy Colón i amerykańskie filmy inspirowały się takimi jak on postaciami.

– Dupcia Blondyna.

Oprych stał z rękami w kieszeniach, oparty o framugę drzwi. Kocie oczy, którym zawdzięczał przydomek, nie odrywały się od Teresy, kiedy mówił do swojego kompana, wykrzywiając usta w złośliwie lubieżnym grymasie.

– Ja nic nie wiem – powiedziała Teresa.

Była tak przerażona, że z trudem rozpoznała własny głos. Kocur Fierros ze zrozumieniem kiwnął głową, dwa razy.

– Jasne – powiedział.

Jego uśmiech był już całkiem wyraźny. Nie potrafiłby zliczyć mężczyzn i kobiet, którzy zapewniali go, że nic nie wiedzą, zanim ich zabił, szybko bądź powoli, zależnie od okoliczności, tam, gdzie naturalnym sposobem umierania jest zginąć tragicznie – dwadzieścia tysięcy pesos za zwykłego człowieka, sto tysięcy za policjanta albo sędziego, bezpłatnie, jeśli trzeba było pomóc koledze. Teresa wiedziała, co jest grane – znała i Kocura Fierrosa, i jego kumpla Potemkina Galveza, którego zwano Pote Gálvez albo Pinto. Obydwaj ubrani byli w kurtki, jedwabne koszule od Versacego, dżinsowe spodnie i wysokie buty ze skóry iguany,

wszystko niemal identyczne, jakby zaopatrywali się w tym samym sklepie. To były zbiry Cesara Batmana Güemesa i często spotykali się z Blondynem Dávila: koledzy z pracy, jako ochrona powietrznych transportów jeździli w góry i razem chodzili na piwo i na balangi, płacąc świeżymi pieniędzmi, które jeszcze miały zapach, jaki mieć musiały. Bywali w Don Kichocie, gdzie zabawa zaczynała się wczesnym wieczorem i trwała do samego rana. Bywali w Czarnym Lordzie i Ozyrysie, znanych w całym mieście klubach go-go, gdzie nagie kobiety brały za pięć minut tańca sto pesos, a dwieście trzydzieści – jeśli rzecz działa się w osobnym saloniku, po których wstawał ranek przy whisky Buchanan's i muzyce z północy Meksyku, kiedy kac przemijał po kolejnej działce prochu, a Huracanes, Pumas, Broncos czy jakiś inny zespół, płacony studolarowymi banknotami, śpiewał im *corridos: Nos na jedną działkę, Za garść prochu, Śmierć policjanta* – piosenki o ludziach, którzy albo umarli, albo wkrótce mieli umrzeć.

– Gdzie on jest? – spytała Teresa.

Kocur Fierros zachichotał głośno i złośliwie.

– Słyszysz ją, Pote? Pyta o Blondyna. Coś takiego!

Nadal opierał się o framugę. Drugi bandzior pokręcił głową. Był szeroki i gruby, nosił gęste czarne wąsy, a na twarzy miał ciemne plamy, jak łaciata krowa. Najwyraźniej nie czuł się równie swobodnie jak jego towarzysz i niecierpliwie spoglądał na zegarek. Albo może z zakłopotaniem. Podnosząc rękę, odsłonił rękojeść rewolweru zatknętego za pas pod lnianą kurtką.

– Blondyn – powtórzył Kocur Fierros.

Wyjął ręce z kieszeni i powoli podszedł do Teresy, która nadal siedziała nieruchomo u wezglowia łóżka. Stanął obok i przyglądał się jej uważnie.

– Sama widzisz, dziecinko – odezwał się w końcu. – Twój facet chciał być zbyt sprytny.

Teresa czuła wnętrzości skręcone strachem jak grzechotnik. Oto Sytuacja. Strach biały, zimny jak płyta nagrobna.

– Gdzie on jest? – nalegała.

To nie ona mówiła, ale jakaś nieznajoma, a wypowiedziane słowa ją też zaskoczyły. Nieostrożna nieznajoma, która nie wiedziała, że teraz trzeba milczeć. Kocur Fierros pewnie to wyczuł, bo w jego wzroku pojawiło się

zdziwienie, że ktoś zadaje pytania, zamiast zaniemówić albo krzyczeć z przerażenia.

– Nie ma go. Nie żyje.

Nieznajoma dalej zachowywała się samowolnie i Teresa zdziwiła się, słysząc, jak mówi: o, wy, skurwysyny! Tak właśnie powiedziała, czy raczej usłyszała, jak mówi, i bardzo tego żałowała, zanim jeszcze ostatnia sylaba wydostała się z jej ust. Kocur Fierros spoglądał na nią z ciekawością i uwagą. Popatrz, jaka pyskata, powiedział z namysłem. Chce nam zagadać spluwy.

– Tą śliczną buźką – zakończył ze słodyczą.

Uderzył ją w twarz tak mocno, że rozciągnęła się jak długa na łóżku, a on przyglądał się jej przez chwilę, jakby oceniał ten widok. Krew pulsowała jej w skroniach, policzek palił; mimo że ogłuszona ciosem, dostrzegła, iż Kocur patrzy na paczkę z białym proszkiem, leżącą na szafce, bierze szczyptę i podnosi palce do nosa. Przejdź się gdzieś, powiedział. Ma ostry język, ale jest całkiem ładna. Potem ty, zaproponował swojemu towarzyszowi, pocierając kciukiem o palec wskazujący, ale ten pokręcił głową, znów spoglądając na zegarek. Nie ma pośpiechu, stary, powiedział Kocur Fierros. Mamy dużo czasu, gównie mnie obchodzi, która godzina. Znów patrzył na Teresę.

– To naprawdę niezła dupa – stwierdził. – I do tego wdowa.

Od drzwi Pote Gálvez zawołał swojego towarzysza. Słuchaj, Kocur, powiedział całkiem serio. Kończmy to. Fierros podniósł w górę dłoń, prosząc o ciszę, i usiadł na brzegu łóżka. Bez jaj, odezwał się znów Pote. Instrukcje są jasne. Mamy ją wykończyć, nie wypierdolić, więc daj sobie siana, nie wygłupiaj się. Ale Kocur Fierros kręcił głową, dając do zrozumienia, że jego słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– O co ci chodzi? – powiedział. – Zawsze miałem ochotę przelecieć tę małą.

Teresę gwałcono już wcześniej, zanim została dziewczyną Blondyna Dávili: kiedy miała piętnaście lat, napadła ją banda chłopaków z dzielnicy Las Siete Gotas, potem zrobił to facet, który dał jej pracę przy wymianie pieniędzy na ulicy Juareza. Wiedziała więc, czego się spodziewać, kiedy oprych, którego stalowy uśmiech stał się jeszcze bardziej wilgotny, odpinał jej guzik u lewisów. Nagle przestała się bać.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślała przelotnie. Śpię, a to jest koszmarny sen, jak wiele innych, do tego ten już przeżyłam wcześniej. To wszystko przytrafia się tej kobiecie, którą spotykam w snach, która jest do mnie podobna, ale to nie ja. Kiedy zechcę, mogę się obudzić, usłyszę na poduszce spokojny oddech mojego mężczyzny, obejmę go, wtulę twarz w jego ramię i stwierdzę, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Mogę też umrzeć we śnie, na zawał, wylew czy coś innego. Mogę nagle umrzeć i ani sen, ani jawa nie będą miały żadnego znaczenia. Zasnę długim snem bez marzeń i koszmarów. Odpocznę na zawsze po tym, co nie zdarzyło się nigdy.

– Chodź, Kocurze – nalegał ten drugi.

W końcu zrobił parę kroków w głąb sypialni. Dajże spokój, powiedział. Blondyn był jednym z nas. To był porządny gość, przypomnij sobie El Paso, góry, granicę na Río Bravo. Razem piliśmy. A to jest jego kobieta. Mówiąc te słowa, wyciągnął zza paska rewolwer Python i wymierzył w czoło Teresy. Odsuń się, stary, żeby cię nie popryskało, skończmy to wreszcie. Ale Kocur miał inny pomysł i patrząc jednym okiem na Teresę, a drugim na swojego towarzysza, nie dawał za wygraną.

– I tak umrze – powiedział. – A to byłoby marnotrawstwo.

Odsunął lufę pythona ruchem ręki, a Pote Gálvez patrzył to na niego, to na Teresę, niezdecydowany; był gruby, miał ciemne, nieufne indiańskie oczy i szybką dłoń, na gęstych włosach błyszczały mu krople potu, zdjął palec ze spustu rewolweru i lufę podniósł do góry, jakby chciał się nią podrapać w głowę. W tym momencie Kocur Fierros też wyjął swoją spluwę, wielką srebrną berettę, wyciągnął ją do przodu, celując w głowę towarzysza, i odezwał się ze śmiechem: albo też ją przelecisz, żebyśmy byli na remis, albo jeśli wolisz chłopaczków, dupku, to znikaj z placu, bo przecież nie będziemy przez nią ani walczyć jak rozjuszony koguty, ani dziurawić się ołowiem. Pote Gálvez popatrzył na Teresę z rezygnacją i zakłopotaniem; przez chwilę jeszcze stał, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie odezwał się, zamiast tego schował pythona za pasek, powoli odszedł od łóżka i równie powoli podszedł do drzwi, nie odwracając się, podczas gdy drugi zbir, ciągle mierząc do niego z pistoletu, powiedział: a potem stawiam ci szklanę Buchanan's, stary, na pociechę, żeś wolał zachować się jak ciota. Kiedy Pote Gálvez

zniknął za drzwiami, Teresa usłyszała trzask czegoś, co się łamało w drzazgi pod ciosem, może to były drzwi szafy, które Pote Gálvez przebił pięścią równocześnie mocną i bezsilną, za co z jakiegoś dziwnego powodu była mu w duchu wdzięczna. Ale nie miała czasu o tym myśleć, bo już Kocur Fierros zdejmował z niej lewisy, a raczej zdzierał je z niej w strzępach, podciągnął w górę jej podkoszulek i zaczął gwałtownie tarmosić jej piersi, lufę pistoletu wcisnął jej między uda, jakby chciał rozerwać ją od środka, a ona pozwalała na wszystko, bez jednego krzyku czy jęku, szeroko otwartymi oczami patrzyła na biały sufit pokoju, prosząc Boga, żeby wszystko skończyło się prędko, żeby Kocur Fierros szybko ją potem zabił, bo nie chciała, żeby to wszystko, co ciągle brała za senny koszmar, okazało się nagle rzeczywistym horrorem prawdziwie pieprzonego życia.

To jest zawsze ta sama historia. Tak się kończy. Nie mogło być inaczej, choć Teresa Mendoza nigdy nie przypuszczała, że Sytuacja śmierdzi potem, napalonym facetem i alkoholem, który Kocur Fierros wypił, podczas poszukiwania swojej ofiary. Niech już skończy, myślała w przebłyskach jasności umysłu. Myślała tak przez moment, a potem znów tonęła w pustce, pozbawiona jakichkolwiek uczuć czy strachu. Było za późno na strach, bo czuje się go, zanim rzecz się wydarzy, a kiedy już się dzieje, pocieszeniem jest myśl, że wszystko ma swój koniec. Naprawdę mogła się tylko bać, że koniec nastąpi zbyt późno. Ale to nie był z pewnością przypadek Kocura Fierrosa. Napierał na nią gwałtownie, z pośpiechem, żeby spuścić się i skończyć. Milczący. Przykry. Nacierał z okrucieństwem i bezwzględnie, powoli przesuwając ją na brzeg łóżka. Z rezygnacją wpatrzona w biel sufitu, z całkowitą pustką w głowie, przerywaną tylko przebłyskami świadomości, znosząc wszystko, co się z nią działo, Teresa opuściła rękę, która trafiła na torbę stojącą na podłodze po drugiej stronie łóżka.

Sytuacja może mieć dwa bieguny, stwierdziła nagle. Może być Twoja albo Kogoś Innego. To odkrycie tak bardzo ją zaskoczyło, że gdyby tylko leżący na niej mężczyzna na to pozwolił, pewnie usiadłaby na łóżku, uniosła palec w górę, zamyślona i poważna, zastanawiając się. Rozważmy starannie i taki wariant. Ale nie mogła usiąść, bo jedyną swobodną częścią jej ciała była ręka, która przypadkiem, kiedy opadła

w dół, trafiła do torby i dotknęła zimnego metalu colta Double Eagle, leżącego pomiędzy plikami banknotów i ubraniem.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. Albo może nic nie myślała, ograniczając się do biernego obserwowania tej drugiej Teresy Mendozy, która myślała zamiast niej. I kiedy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, ona, czy też kobieta, którą obserwowała, zacisnęła palce na rękojeści pistoletu. Bezpiecznik był na lewo, tuż przy spuście i przycisku do opróżniania ładownicy. Dotknęła go kciukiem i poczuła, jak przesuwają się w dół, uwalniając iglicę. Jest naładowany, wydawało się jej, że to pamięta. Jest tam nabój, bo sama go tam włożyłam, w drugim pokoju – przypominała sobie metaliczne klik-klak – a może jednak tego nie zrobiłam i wcale nie ma tam kuli. Zastanawiała się nad tym z beznamiętnym wyrachowaniem – bezpiecznik, spust, iglica. Nabój. Taka była właściwa kolejność, jeśli to poprzednie klik-klak słyszała rzeczywiście, a nie tylko w swojej wyobraźni. W przeciwnym wypadku iglica uderzy w pustkę, a Kocur Fierros będzie miał dość czasu, żeby się zdenerwować. Co zresztą i tak już niczego nie pogorszy. Może będzie bardziej brutalny, okrutniejszy w tych ostatnich momentach. Ale nic nie będzie trwało dłużej niż pół godziny, zarówno dla niej, jak i dla tej drugiej kobiety, którą obserwowała, czy raczej dla nich obu. Tak czy inaczej, cierpienie wkrótce się skończy. O tym właśnie myślała, kiedy nagle stwierdziła, że Kocur Fierros przestał się poruszać i patrzy na nią. Wtedy podniosła rewolwer i strzeliła mu prosto w twarz.

Czuła ostry zapach dymu z prochu strzelniczego, a odgłos wystrzału jeszcze odbijał się echem wewnątrz sypialni, kiedy po raz drugi nacisnęła spust, lecz colt odskoczył tak wysoko przy pierwszym strzale, że następny pocisk odrąbał już tylko kawałek gipsu ze ściany. Tymczasem Kocur Fierros leżał przy nocnym stoliku, wyglądał, jakby się dusił, zakrywał sobie dłońmi usta, a między palcami płynęły strumyki krwi, która napłynęła mu też do oczu, wytrzeszczonych ze zdziwienia, był oszołomiony, miał opalone włosy, brwi i rzęsy. Teresa nie wiedziała, czy przy tym krzyczał, bo huk wystrzałów ogłuszył ją. Podniosła się na łóżku na kolana, z podkoszulkiem zwiniętym na piersiach, goła od pasa w dół, zaciskając obie dłonie na rękojeści pistoletu, żeby celniej trafić przy trzecim strzale, i wtedy zobaczyła w drzwiach wykrzywioną ze

zdziwienia twarz Pote Galveza. Patrzyła na niego, jakby był senną marą, a on, choć miał pistolet przy pasie, wyciągnął obie ręce przed siebie, tak jakby chciał się zasłonić, patrząc ze strachem na colta, z którego Teresa mierzyła teraz do niego, i jego usta pod czarnymi wąsami otwarły się, żeby wypowiedzieć bezgłośnie „nie”, podobne do błagania; choć mogło być i tak, że Pote Gálvez powiedział „nie” pełnym głosem, a ona niczego nie słyszała, ciągle ogłuszona odgłosem wystrzałów. Zrozumiała po chwili, że pewnie tak właśnie było, bo mężczyzna nadal poruszał ustami, z rękami wyciągniętymi w pojednawczym geście, wymawiając słowa, których też nie mogła dosłyszeć. Teresa już miała strzelić, kiedy przypomniała sobie tamten cios pięścią w drzwi szafy i pythona wycelowanego w jej głowę, Blondyn był jednym z nas, Kocur, nie zachowuj się jak wał. To jego kobieta.

Nie strzeliła. To wspomnienie, trzask przebijanych pięścią drzwi szafy, sprawiło, że jej palec nie nacisnął spustu. Poczula chłód na nagim brzuchu i udach, kiedy nie przestając mierzyć w Pote Galveza, cofnęła się na łóżku i lewą ręką zgarnęła ubranie, notes i kokainę do torby. Kątem oka zerknęła na Kocura Fierrosa, który nadal wił się na podłodze, pokrwawionymi dłońmi trzymając się za twarz. Przebiegła jej przez głowę myśl, żeby skierować na niego lufę i dobić go jednym strzałem, ale drugi ze zbirów nadal stał przy drzwiach z wyciągniętymi w przód rękami i z pistoletem w kaburze i wiedziała aż nadto dobrze, że jeśli przestanie do niego mierzyć, natychmiast sama zarobi kulkę. Chwyciła więc torbę, pewnie trzymając colta w prawej ręce, i powoli wstała z łóżka. Najpierw Pinto, zdecydowała, potem Kocur Fierros. Taka była właściwa kolejność, bo trzask rozpadających się drzwi szafy – za co była mu naprawdę wdzięczna – nie wystarczy, żeby zmienić bieg rzeczy. W tym momencie dostrzegła, że wzrok mężczyzny stojącego naprzeciwko odczytywał jej myśli, usta poniżej wąsów przerwały kolejne zdanie w połowie – teraz Teresa usłyszała jakiś tupot i rumor – i kiedy strzeliła po raz trzeci, Potemkin Gálvez, ze zwinnością zaskakującą przy jego tuszy, rzucił się ku drzwiom wejściowym i wybiegł na schody, wyjmując równocześnie rewolwer. Wystrzeliła jeszcze czwarty i piąty nabój, zanim zrozumiała, że to nie ma sensu, bo wkrótce zostanie bez amunicji, nie warto też było gonić zbira, bo

wiedziała, że on z pewnością nie odejdzie tak po prostu, że zaraz wróci, a jej niewielka przewaga to szczęśliwy zbieg okoliczności, który właśnie się kończył. Dwa piętra, pomyślała. To wcale nie najgorsze z tego, co już robiłam. Otworzyła okno w sypialni, wyrzła na ogród za domem, w ciemności dostrzegła niskie drzewa i krzaki. Trzeba było dobić tego sukinsyna Kocura, pomyślała zbyt późno, skacząc już w pustkę. Spadając na gałęzie i krzaki, pokaleczyła sobie twarz, stopy i uda, a kiedy dotarła na ziemię, kostki zaczęły ją boleć tak, jakby sobie połamała kości. Podniosła się, kulejąc, zaskoczona, że ciągle jeszcze żyje, i ruszyła biegiem, bosa i naga od pasa w dół, między zaparkowanymi samochodami, przez mrok ogrodu. Wreszcie zatrzymała się, bez tchu, już daleko, i przykucnęła, żeby ukryć się za na wpół zburzonym niskim murem z cegły. Poza pieczeniem pokaleczonej skóry i bólem poranionych podczas biegu stóp czuła przykre swędzenie ud i przyrodzenia, świeże wspomnienie wstrząsnęło nią dreszczem, bo ta druga Teresa Mendoza właśnie gdzieś zniknęła, i znów została sama, nie mając nikogo, kogo mogłaby obserwować z daleka. Nikogo, komu mogłaby przypisać własne odczucia i doznania. Poczwała gwałtownie, że musi się wysikać, i zrobiła to natychmiast, tak jak stała – skulona i nieruchoma w ciemności, trzęsąc się, jakby miała gorączkę. Na chwilę oświetliły ją światła samochodu: w jednej ręce trzymała torbę, a w drugiej pistolet.

*Podobno widziały to gliny,
ale zimno się zrobiło*

Jak już wspominałem, ulicami Culiacán, w stanie Sinaloa, chodziłem na samym początku moich poszukiwań, zanim osobiście poznałem Teresę Mendozę. W Culiacán dawno temu narkobiznes przestał być prowadzony po kryjomu, stał się powszechnie występującym zjawiskiem społecznym, i trochę rozsądnie wydanych dolarów zapewniło mi życzliwość określonych, wyspecjalizowanych środowisk, bez której ciekawski, pozbawiony zaplecza obcokrajowiec kończy dość szybko w wodach Humai albo Tamazuli z kulką w głowie. W Culiacán znalazłem też dwóch przyjaciół: Julia Bernala, dyrektora miejskiego wydziału kultury, i Elmera Mendozę, pisarza, którego wspaniałe powieści *Samotny zabójca* i *Kochanek Janis Joplin* pozwoliły mi wczuć się naprawdę w atmosferę miasta. Właśnie oni, Elmer i Julio, wyjaśnili mi zawilgości tamtejszej rzeczywistości; nikt z nich nie zetknął się osobiście z Teresą Mendozą w latach, które wyznaczają początek tej historii – była wtedy nikim – ale znali Blondyna Dávilę i inne osoby, które w różnym stopniu poruszały nitkami owych wydarzeń. W ten sposób zdobyłem najważniejsze informacje dotyczące tej sprawy. W Sinaloa wszystko polega na zaufaniu: w tym twardym i skomplikowanym świecie reguły są proste i nie ma miejsca na dwuznaczności. Kiedy jesteś komuś przedstawiany, to dlatego, że ten ktoś ufa człowiekowi, który cię przedstawia, zatem ufa i tobie. Potem, jeśli coś idzie nie tak, jak powinno, ten, kto za ciebie ręczył, odpowiada swoją głową, i oczywiście twoją. Bang, bang. Cmentarze na północnym zachodzie Meksyku pełne są nagrobków ludzi, którym ktoś kiedyś zaufał.

Pewnej nocy, kiedy przy muzyce i w kłębach dymu z papierosów piliśmy piwo i tequilę w Don Kichocie, po wysłuchaniu obrzydliwych dowcipów komika Pedra Valdeza – przed nim występował brzuchomówca Enrique z Chechitem, lalką wyobrażającą osobnika uzależnionego od kokainy – Elmer Mendoza pochylił się nad stołem i wskazał przysadzistego, śniadego gościa w okularach, wchodzącego

właśnie do lokalu z liczną grupą facetów, którzy zawsze paradują w bluzach i kurtkach, jakby im wszędzie było zimno, w butach ze skóry węża albo strusia, z wyplatanyimi pasami po tysiąc dolarów, w kapeluszach z palmowych liści albo czapkach bejsbolowych ze znakami klubu Tomateros de Culiacán, obwieszeni grubymi złotymi łańcuchami na rękach i na szyi. Wysiedli z dwóch ram chargerów i weszli do środka, jakby wchodzili do siebie, a strażnik przy drzwiach pozdrowił ich usłużnie, pomijając stosowaną wobec reszty gości procedurę sprawdzenia, czy nie mają broni.

– To César Batman Güemes – powiedział Elmer cicho. – Słynny w narkobiznesie.

– Ma swoje *corridos*?

– Kilka. – Mój przyjaciel zaśmiał się w pół łyku. – To on zabił Blondyna Dávilę.

Opadła mi szczeka i gapiłem się na to towarzystwo: ciemne twarze o twardych rysach, gęste wąsy i ciężka aura niebezpieczeństwa. Było ich ośmiu, nie siedzieli tu dłużej niż kwadrans i wykończyli już zgrzewkę dwudziestu czterech puszek piwa. Teraz zamówili dwie butelki Buchanan's i dwie Rémy Martin, a tancerki po zejściu z parkietu – rzecz niesłychana w Don Kichocie – przysiadły się do nich. Ekipa ufarbowanych na blond homoseksualistów – nad ranem klub zapełniał się gejami i obie grupy mieszały się bez problemów – rzucała wymowne spojrzenia ku sąsiedniemu stolikowi. Güemes uśmiechnął się do nich szelmowsko, prawdziwy macho, zawołał kelnera i zapłacił za ich drinki. Autentyczne pokojowe współistnienie.

– Skąd wiesz?

– Ot, tak. W Culiacán wszyscy to wiedzą.

Cztery dni później, dzięki przyjaciółce Julia Bernala, której siostrzeniec działał w branży, przeprowadziłem z Cesarem Batmanem Güemesem dziwną i ciekawą rozmowę. Zostałem zaproszony na grilla do jednego z domów na zboczach San Miguel, w najwyższej położonej części miasta. Tam właśnie nowe pokolenie narkobiznesu, mniej lubiące wystawność niż ich ojcowie, którzy zeszli z gór najpierw do dzielnicy Tierra Blanca, a później zdobyli spektakularne posiadłości w dzielnicy Chapultepec – zaczynało inwestować w dyskretne wyglądające domy, gdzie luksus

przeznaczony dla rodziny i gości widoczny był dopiero po przestąpieniu progu. Ojciec tego siostrzeńca, legendarny człowiek narkobiznesu z San José de los Hornos, był jednym z tych, którzy w młodości strzelali się z policją i rywalizującymi bandami – aktualnie odsiaduje wyrok w więzieniu w Puente Grande, w Jalisco. Chłopak miał dwadzieścia osiem lat i nazywał się Ernesto Samuelson. Pięciu jego kuzynów i jednego ze starszych braci zastrzelili albo inni handlarze narkotyków, albo policja federalna, albo wojsko, a on potrafił wyciągać wnioski: skończył prawo w Stanach Zjednoczonych, prowadził interesy tylko za granicą, nigdy w Meksyku, pieniądze prał w szanowanej krajowej firmie przewozowej i w panamskich hodowlach krewetek. Mieszkał z żoną i dwójką dzieci w niepozornie wyglądającej willi, jeździł skromnym europejskim audi i trzy miesiące w roku spędzał w zwykłym mieszkaniu w Miami, z golfem w garażu. W ten sposób żyjesz dłużej, mawiał. W tym zawodzie najczęściej zabija zazdrość.

Właśnie Ernesto Samuelson przedstawił mnie Cesarowi Batmanowi Güemesowi, pod wielkim parasolem z liści palmy w swoim ogrodzie, trzymając w jednej ręce piwo, a w drugiej talerz zbyt wysmażonego mięsa. Pisze powieści i scenariusze, powiedział, i zostawił nas samych. Batman Güemes mówił spokojnie i cicho, robił długie przerwy, podczas których uważnie przyglądał się rozmówcy od stóp do głów. Nie przeczytał ani jednej książki w swoim życiu, ale uwielbiał kino. Rozmawialiśmy o Alu Pacino – *Człowiek z blizną* był jego ulubionym filmem, o Robercie De Niro – *Chłopcy z ferajny*, *Kasyno* – i o tym, że reżyserzy i scenarzyści z Hollywood, banda prawdziwych sukinsynów, jakoś nigdy nie pokazali zabojada ani też blondyna w roli handlarza narkotyków, wszyscy zawsze musieli nazywać się Sánchez i urodzić na południe od Río Bravo. To, że napomknął o jasnowłosych, ułatwiło mi sprawę, rzuciłem więc nazwisko Blondyna Dávili; i kiedy obserwował mnie w ciszy i skupieniu zza okularów, dodałem nazwisko Teresy Mendozy. Opisuję jej historię, zakończyłem, świadom tego, że w pewnych miejscach i przy pewnych ludziach każde kłamstwo może cię zabić w najmniej spodziewanym momencie. A Batman Güemes jest tak niebezpieczny, uprzedzano mnie, że kiedy wyjeżdżał w góry, kojoty zapalały ogniska, żeby się do nich nie zbliżał.

– To już cholerna kupa czasu – powiedział.

Dawałem mu nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Miał bardzo ciemną skórę i nieprzeniknioną twarz o rysach wyraźnie wskazujących na pochodzenie z północy Meksyku. Potem dowiedziałem się, że nie urodził się w Sinaloa, ale w Alamos w stanie Sonora, podobnie jak María Félix, i zaczynał od samego dołu – przemycał emigrantów, trawę i prochy kartelu z Juárez we własnej ciężarówce, dopiero potem zaczął iść w górę – najpierw jako człowiek Pana Niebios, a potem jako właściciel dwóch firm: przewozowej i lotniczej, której awionetki służyły do przemytu między górami, Nevadą i Kalifornią, do czasu, kiedy Amerykanie uszczelnili przestrzeń powietrzną i wypełnili wszystkie białe plamy w systemie obserwacji radarowej. Teraz żył spokojnie, z oszczędności zainwestowanych w bezpieczne interesy, kontrolując równocześnie kilka wiosek produkujących konopie indyjskie wysoko w górach, niemal na granicy stanu Durango. Miał też okazałe ranczo w okolicach El Salado, około czterech tysięcy sztuk bydła ras angus, do brasil i bravo. Hodował też rasowe konie wyścigowe, a także koguty bojowe, które corocznie, w październiku i listopadzie, walczyły na arenach wystawy rolniczej, co mu przynosiło worki pieniędzy.

– Teresa Mendoza – mruknął po chwili.

Pokiwał głową, wymawiając to nazwisko, jakby przypomniawszy sobie coś zabawnego. Wypił łyk piwa, przeżuł kawałek mięsa i znów się napił. Uważnie patrzył na mnie przez okulary, ze szczyptą przebiegłości, dając mi do zrozumienia, że nie widzi przeszkód, żeby mówić o sprawie tak odległej w czasie, a całe ryzyko zadawania pytań w Sinaloa leży po mojej stronie. O nieżyjących można opowiadać spokojnie – *narcocorridos* są pełne prawdziwych nazwisk i wydarzeń; niebezpieczeństwo polega na tym, że przy okazji można zahaczyć o kogoś żywego, a ten ktoś weźmie cię za gadułę i kapusia. A ja, przyjmując reguły gry, spojrzałem na złotą kotwicę – tylko odrobinę mniejszą niż kotwice na „Titanicu” – wiszącą na grubym łańcuchu, błyszczącym pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli w kratkę, i bez ogródek zadałem mu pytanie, które miałem na końcu języka od chwili, kiedy Elmer Mendoza wymienił jego nazwisko cztery dni wcześniej w Don Kichocie. Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć,

i podniosłem wzrok, a on patrzył na mnie tak samo jak przedtem. Albo mnie polubił, pomyślałem, albo będę miał kłopoty. Po następnych kilku chwilach wypił kolejny łyk piwa, nie przestając mi się przyglądać. Musiał mnie polubić, bo w końcu uśmiechnął się – odrobinę, nie więcej. To do jakiegoś filmu czy powieści? – zapytał. Odpowiedziałem, że na razie nie wiem. Może będzie z tego i książka, i film. Zaproponował mi piwo, sam otworzył następną puszkę i opowiedział mi o zdradzie Blondyna Dávili.

Blondyn nie był zły. Odważny, słowny, przystojny. Trochę przypominał Luisa Miguela, ale był szczuplejszy i silniejszy. Rozrywkowy. Bardzo sympatyczny. Raimundo Dávila Parra wydawał wszystkie pieniądze, jakie zarabiał, albo prawie wszystkie, i był bardzo hojny dla przyjaciół. César Batman Güemes i Blondyn nieraz witali nowy dzień przy muzyce, alkoholu i kobietach, świętując udane operacje. Przez jakiś czas byli nawet blisko zaprzyjaźnieni, *braders*, jak się tam mawia. Blondyn był Meksykaninem ze Stanów, urodził się w San Antonio w stanie Teksas. Zaczął jako młody chłopak, szmuglował do Stanów trawę ukrytą w samochodach, nieraz jeździli razem do Tijuany, Mexicali czy Nogales, aż mu rodacy zafundowali sezon w pudle, tam na północy. Potem Blondyn uparł się, żeby latać: zrobił studia i opłacił sobie kurs lotnictwa cywilnego w dawnej szkole na bulwarze Zapaty. Jako pilot był bardzo dobry – najlepszy, przyznał Batman Güemes, kiwając głową z przekonaniem, z tych, co nie pękają, idealny do potajemnych startów i lądowań na krótkich pasach ukrytych w górach i do lotów na bardzo małej wysokości, żeby nie być widocznym na radarach Północnego Systemu Powietrznego, kontrolującego drogi przelotów między Kolumbią i Stanami Zjednoczonymi. Faktem jest, że cessna była jakby przedłużeniem jego rąk – potrafił wylądować wszędzie i zawsze i dzięki temu zyskał sławę, kasę i szacunek. Ludzie w Culiacán nazywali go, i słusznie, „królem krótkiego pasa”. Nawet Chalino Sánchez, który też był jego kumplem, obiecał mu napisać *corrido* pod takim tytułem: *Król krótkiego pasa*. Ale Chalino wcześniej stracił życie – stan Sinaloa jest bardzo niezdrowy dla pewnych środowisk – i Blondyn został bez piosenki. W każdym razie, z piosenką czy bez niej, nigdy mu nie brakowało roboty. Pracował dla don Epifania Vargasa, weterana

w branży, z kontaktami, człowieka surowego i poważnego, który kontrolował Północne Linie Lotnicze, prywatną firmę dysponującą samolotami Cessna, Piper Comanche i Navajo. Pracując dla Północnych Linii, Blondyn Dávila latał w potajemne rejsy z dwustoma, trzystoma kilogramami towaru, dopiero potem zaczął robić złote interesy, w okresie kiedy to Amado Carrillo zasłużył sobie na przydomek Pana Niebios, organizując największy powietrzny most w historii przemytu narkotyków na obszarze pomiędzy Kolumbią, Półwyspem Kalifornijskim, stanami Sinaloa, Sonora, Chihuahua i Jalisco. Wtedy Blondyn przeprowadził wiele operacji dywersyjnych, latał jako wabik dla naziemnych radarów i samolotów Orion, napakowanych najnowszą technologią, z mieszanymi załogami meksykańsko-amerykańskimi. Podczas tych rajdów Blondyn naprawdę świetnie się bawił, trzeba to przyznać. Zarobił majątek podczas lotów na krawędzi niemożliwego, zarówno w dzień, jak i w nocy – wykonywał niezwykle ewolucje, starty i lądowania na pasach wielkości chustki do nosa, w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, po to tylko, żeby odciągnąć uwagę od wielkich boeingów, caravelli i DC-8, które – kupowane do spółki przez wielu handlarzy – przewoziły podczas jednego lotu od ośmiu do dwunastu ton towaru przy współpracy policji, Ministerstwa Obrony, a nawet samego Urzędu Prezydenta Meksyku. Działo się to w szczęśliwych czasach prezydentury Carlosa Salinasa de Gortari, kiedy handlowało się narkotykami w cieniu prezydenckiej rezydencji Los Pinos; były to szczęśliwe czasy także dla Blondyna Dávili: puste awionetki, bez towaru, za który trzeba by odpowiadać, zabawa w kotka i myszkę z tymi przeciwnikami, których nie udało się kupić. Loty, w których życie zależało od orła czy reszki, i gdyby został złapany po amerykańskiej stronie, mógł zarobić długi wyrok.

W tamtych czasach César Batman Güemes, który już wyrobił sobie pozycję na rynku, zaczął dobrze prosperować w mafii z Sinaloa. Meksykańskie grupy uniezależniały się od karteli z Medellín i Cali – podnosiły ceny, każąc sobie płacić coraz większymi ilościami kokainy, i samodzielnie handlowały kolumbijskim towarem, który wcześniej tylko przewoziły. To przyczyniło się do awansu Batmana w lokalnej hierarchii, a po serii krwawych porachunków, mających ustabilizować

rynek i załatwić konkurencję – pewnego poranka doliczyli się dwunastu czy piętnastu zabitych pośród swoich ludzi i przeciwników – i po wprowadzeniu na listę płac olbrzymiej liczby policjantów, wojskowych i polityków, w tym celników i amerykańskich urzędników imigracyjnych, pakunki z jego znakiem, czyli nietoperzykiem, zaczęły przejeżdżać całymi ciężarówkami przez Ríó Bravo. Pracował w równym stopniu w kokainie, heroinie i marihuanie. *Troje zwierząt na mnie pracuje*, głosi tekst jednego *corrido*, które zamówił, jak opowiadają, u znanego zespołu z ulicy Francisca Villi, *moja papuga, mój kogut i moja koza*. Mniej więcej w tym samym czasie don Epifanio Vargas, który był wówczas szefem Blondyna Dávila, zaczął specjalizować się w narkotykach z przyszłością, jak LSD czy ecstasy, miał własne laboratoria w stanach Sinaloa i Sonora, i po drugiej stronie amerykańskiej granicy. Jeśli Amerykańce chcą jeździć konno, mawiał, ja sam osiodłam im konie. W ciągu kilku lat, prawie bez strzelania i rzadko dając zajęcie grabarzom, niemalże w białych rękawiczkach, udało się Vargasowi zostać pierwszym meksykańskim magnatem pośród prekursorów nowoczesnych narkotyków, takich jak efedryna, którą importował bez problemu z Indii, Chin i Tajlandii, i jednym z najważniejszych producentów amfetaminy po obu stronach granicy. Zaczął też działać w polityce. Kiedy prowadził jawnie interesy legalne, a nielegalne pod płaszczykiem firmy farmaceutycznej z państwowym poparciem, kokaina i Północne Linie Lotnicze nie były mu już potrzebne. Sprzedał więc firmę lotniczą Batmanowi Güemesowi i w ten sposób zmienił szefa Blondyn Dávila, który – bardziej jeszcze niż zarabiać pieniądze – chciał nadal latać. W tym czasie Blondyn kupił dwupiętrowy dom w dzielnicy Las Quintas, jeździł najnowszym modelem bronco, w miejsce starego, czarnego, i mieszkał z Teresą Mendozą.

Wtedy sprawy zaczęły się komplikować. Raimuno Dávila Parra nie był człowiekiem dyskretnym. Nie zadowalała go perspektywa długiego życia, wolał żyć intensywnie i szybko. Wszystko mu równo zwisało, jak mówili ci z gór, a zgubiła go między innymi zbyt szeroko otwarta paszcza, bo to wykańcza nawet rekiny. Wyglupiał się, osioł, krzycząc o tym, co zrobił i co ma zrobić. Mawiał, że lepiej przeżyć pięć lat jak

król niż pięćdziesiąt jak wół. I powolutku, krok po kroku, zaczęły docierać do Batmana Güemesa różne głosy. Blondyn chomikował swój towar przy cudzym i wykorzystywał podróże do własnych interesów. Prochy dostawał od byłego policjanta o nazwisku Guadalupe Parra, znanego też jako Lupe Chińczyk albo Chińczyk Parra, który był jego kuzynem i miał rozległe kontakty. Zazwyczaj była to kokaina rekwirowana przez policjantów stanowych, którzy brali dwadzieścia, a zgłaszali pięć, upłynniając resztę. To bardzo nieostrożne – znaczy, nie sprawa policji, tylko to, że Blondyn zaczął robić prywatne interesy – bo przecież brał dużą kasę za swoją pracę, a reguły są jasne, i własne interesy robione w Sinaloa za plecami szefów to najpewniejszy sposób, żeby napytać sobie biedy.

– Jeśli twoje życie jest pokrecone – stwierdził Batman Güemes tego wieczoru, z puszką piwa w jednej ręce i talerzem pieczonego mięsa w drugiej – to twoja praca musi być czysta.

Mówiąc w skrócie: Blondyn za bardzo oszukiwał, a i jego kuzyn nie był specjalnie utalentowany. Kłamczuch i niezdara – Chińczyk Parra był jednym z tych dupków, którzy, jeśli zamówisz ciężarówkę koki, to dostarczą ci transport pepsi. Miał długi, musiał brać prochy co pół godziny, uwielbiał wielkie auta i mieszkał z żoną i trójką dzieci w luksusowym domu w najwystawniejszej części dzielnicy Las Quintas. To oznaczało połączenie głodu z apetytem – rzeka zielonych odpływała równie szybko, jak przyływała. Kuzyni postanowili więc przeprowadzić własną, naprawdę poważną operację: znaleźli w Obregón kupców na duży transport kokainy, skonfiskowany i ukryty przez policjantów w El Salto w stanie Durango. Jak zawsze Blondyn leciał sam. Podczas przelotu do Mexicali z czternastoma beczkami smalcu, z których każda nafaszerowana była dwudziestoma kilogramami heroiny, zboczył z drogi i zabrał pięćdziesiąt kilo czystego proszku, starannie zapakowanego w plastikowe torebki. Ale ktoś o tym wiedział, a ktoś inny postanowił podciąć Blondynowi skrzydła.

– Kto taki?

– Wszystko jedno. Ktoś.

Zasadzkę, mówił dalej Batman Güemes, zastawiono na pasie startowym o szóstej po południu – precyzyjne określenie godziny byłoby bardzo

przydatne do tekstu *corrido*, które chciał mieć Blondyn i którego świętej pamięci Chalino Sánchez nigdy nie ułożył – w pobliżu takiego miejsca w górach, które nazywają tam Diablim Grzbietem. Pas miał tylko trzysta dwanaście metrów długości i Blondyn przeleciał nad nim, nie zauważając niczego podejrzanego. Już posadził swoją cessnę 172R z klapami w największym odchyłe, z piekielnym grzechotem, niemal tak pionowo, jakby lądował na spadochronie, i kiedy kołował z prędkością czterdziestu węzłów, zauważył dwa samochody i ludzi, których wcale nie powinno tam być, ukrytych pod drzewami. Zamiast użyć hamulców, wcisnął gaz, przyspieszył i uniósł drążki. Może by nawet mu się udało, niektórzy mówią, że choć naszpikowali go całymi magazynkami R15 i kałaszy, zdołał się oderwać od ziemi. Ale tyle ołowiu to wielkie obciążenie i cessna rozbiła się jakieś sto kroków za końcem pasa. Kiedy tam podbiegli, Blondyn jeszcze żył, leżał wśród poskręcanych resztek kabiny, miał zakrwawioną twarz, szczękę zgruchotaną pociskiem, a połamane kości wystawały spod skóry. Ledwo oddychał. Miał już niewiele życia przed sobą, ale instrukcje mówiły, że ma umierać powoli. Wyciągnięto towar z awionetki, a potem – jak na filmach – rzucono płonąca zapalniczkę Zippo na stuoktanową benzynę wyciekającą z uszkodzonego baku. Fluooosss. Ale prawdę mówiąc, Blondyn już niczego nie czuł.

Jeśli twoje życie jest pokręcone, powtórzył César Batman Güemes, nie masz wyjścia, twoja praca musi być czysta. Powiedział to na zakończenie, z namysłem, odstawiając pusty talerz na stół. Potem mlasnął, wychylił do końca butelkę piwa i przyjrzał się żółtej etykietce z napisem BROWARY PACÍFICO S.A. Cały czas tak o tym opowiadał, jakby ta historia nie miała z nim nic wspólnego, jakby ją kiedyś gdzieś usłyszał. Jakby ją wszyscy znali. I zresztą tak było.

– A co z Teresą Mendozą? – zaryzykowałem.

Spojrzał na mnie nieufnie zza okularów, jakby chciał zapytać: a niby co miało być? Zapytałem bez ogródek, czy wiedziała o interesach Blondyna, a on zaprzeczył bez cienia wątpliwości. Mowy nie ma, powiedział. W tamtych czasach była jedną z wielu – młodziutka, cicha. Po prostu dziewczyna gościa z branży. Od innych różniła się tylko tym, że nie farbowała sobie włosów na blond i nie lubiła szpanować. Co do

reszty, dodał, tutaj kobiety zajmują się swoimi sprawami, fryzjerem, serialami telewizyjnymi, piosenkami Juana Gabriela i piosenkami z północy, robią zakupy za trzy tysiące dolarów w Sercha's i w Coppel, gdzie wyżej się ceni tych, co biorą na kredyt, niż tych, co płacą gotówką. Sam pan rozumie. Odpoczynek wojownika. Na pewno coś słyszała, to jasne, ale nie miała nic wspólnego z interesami swojego faceta.

– To dlaczego chcieli ją zabić?

– Czemu mnie pan o to pyta?

Nagle spowaźniał i znów się przestraszyłem, że to koniec rozmowy. Ale po chwili wzruszył ramionami. Tutaj obowiązują pewne reguły, dodał. Nikt ich nie wymyśla, one są i trzeba ich przestrzegać. Wszystko jest sprawą dobrej opinii i szacunku. Tak samo jak wśród rekinów. Jeśli jesteś słaby albo krwawisz, reszta się na ciebie rzuca. To taki pakt zawarty z życiem i śmiercią – żyjesz parę lat, za to żyjesz jak panisko. Niech mówią, co chcą, ale brudne pieniądze tak samo zaspokajają głód jak czyste. Na dodatek jeszcze dają luksus, muzykę, wino i kobiety. Potem szybko umierasz i masz święty spokój. Niewielu ludzi z narkobiznesu odchodzi na emeryturę, zwykle kończą w więzieniu albo na cmentarzu, oprócz garstki szczęściarzy albo cwaniaków, którzy potrafią na czas zwinąć skrzydła, jak na przykład Epifanio Vargas, który kupił połowę stanu Sinaloa i zrujnował drugą, potem przerzucił się do branży farmaceutycznej, a teraz siedzi w polityce. Ale to rzadki przypadek. Tutaj ludzie zaczynają być podejrzliwi wobec takich, co od dawna siedzą w interesach i nadal działają.

– Działają?

– Żyją.

Zostawił mi trzy sekundy na zastanowienie. Mówią, dodał, ci, co się znają i pracują w tym fachu – wyraźnie zaznaczył słowa „mówią” i „ci” – że nawet jeśli jesteś dobry i czysty w robocie, poważny i słowny, i tak źle skończysz. Przychodzą ludzie, patrzą, wołają ciebie od innych, chcąc nie chcąc, szybko idziesz w górę, i wtedy pojawia się konkurencja i wykańcza cię. Dlatego za każdy fałszywy krok drogo się płaci. Poza tym im więcej ludzi kochasz, im większą masz rodzinę, tym łatwiej cię zranić. Był taki przypadek innego znanego blondyna, bohatera wielu *corridos*, Hectora Palmy, któremu dawny wspólnik z powodu jakichś

nieporozumień porwał i torturował rodzinę, i opowiadają, że na urodziny przysłał mu w paczce głowę żony. Sto lat, sto lat. Jeśli balansujesz na ostrzu noża, nie możesz zapominać, jakie są reguły. Właśnie z powodu reguł zginął Blondyn Dávila. To był równy gość, daję panu słowo. Facet spoko. Porządny, odważny, jeden z tych gotowych ryzykować głową i w każdej chwili zginąć. Trochę gaduła i za ambitny, jak sam pan widzi, ale niczym się nie różnił od najlepszych z naszych ludzi. Nie wiem, czy mnie pan rozumie. A Teresa Mendoza była jego dziewczyną. Bez względu na to, czy była winna, czy nie, ją też obejmowały reguły.

Matko Boża. Święty patronie. Mała kapliczka Malverdego tonęła w ciemnościach. Nad wejściem, otwartym o każdej porze dnia i nocy, świeciła tylko słaba latarnia, a przez okna przenikało czerwone światło świec zapalonych przed ołtarzem. Teresa od dłuższej chwili siedziała nieruchomo w ciemności, schowana za ogrodzeniem oddzielającym pustą o tej porze ulicę Insurgentes od kolei i kanału. Próbowwała modlić się, ale nie mogła; inne sprawy zajmowały jej myśli. Nie od razu zdecydowała się zadzwonić. Obliczyła prawdopodobieństwo. Potem przyszła tutaj, rozglądając się ostrożnie po okolicy, a teraz czekała, maskując dłonią żar papierosa. Za pół godziny, powiedział don Epifanio Vargas. Teresa nie miała zegarka i nie potrafiła wyliczyć, ile czasu upłynęło. Czuła pustkę w żołądku i chciała jak najszybciej zgasić papierosa, kiedy samochód policji stanowej przejechał wolno w kierunku bulwaru Zapaty: ciemne sylwetki patrolujących agentów na przednich siedzeniach, twarz tego z lewej niemal niewidoczna, słabo oświetlona przez latarnię kapliczki. Teresa cofnęła się, szukając osłony w ciemności. Nie tylko była poza prawem. W Sinaloa, podobnie jak w całym Meksyku, wszelkie kontakty z władzą – od zwykłego policjanta domagającego się łapówki (zawsze w zapiętej kurtce, żeby nikt nie widział numeru służbowego) aż po szefa, który co miesiąc dostaje plik dolarów od narkotykowego biznesu – to pakowanie się na własne życzenie do paszczy lwa.

Ta bezsilna modlitwa trwała bez końca. Matko Boska. Święty patronie. Zaczynała już sześć czy siedem razy, ani razu nie kończąc. Kaplica bandyty Malverdego budziła w niej zbyt wiele wspomnień związanych z Blondynem Dávila. Może właśnie dlatego, gdy don Epifanio Vargas

zgodził się telefonicznie na spotkanie, podała to miejsce, niemal bez zastanowienia. Najpierw don Epifanio zaproponował, żeby przysłała do dzielnicy Chapultepec, gdzieś blisko jego domu, ale to wymagałoby przejścia przez całe miasto i przez most nad Tamazulą. I było zbyt ryzykowne. Choć nie podawała mu żadnych szczegółów z ostatnich wydarzeń, tyle tylko, że ucieka i że Blondyn powiedział jej, żeby się z nim skontaktowała, don Epifanio zrozumiał, że sprawy wyglądają źle albo jeszcze gorzej. Starał się ją uspokoić: nie martw się, Teresita, zaraz się spotkamy, nie denerwuj się i nie ruszaj z miejsca. Ukryj się i powiedz, gdzie mam być. Zawsze do niej mówił Teresita, kiedy spotykał ją z Blondynem na bulwarze, w restauracjach przy plaży w Altacie, na różnych uroczystościach, czy kiedy w niedziele jedli w Los Arcos owoce morza. Mówił do niej Teresita i całował w policzek, nawet kiedyś ją przedstawił swojej żonie i dzieciom. I choć don Epifanio był człowiekiem inteligentnym, miał władzę i pieniędzy tyle, że Blondyn nie uskladałby tego przez całe życie, zawsze był dla niego uprzejmy i nadal nazywał go chrześniakiem, jak w dawnych czasach; kiedyś w okolicach Bożego Narodzenia, pierwszego, jakie Teresa spędziła w roli narzeczonej Blondyna, don Epifanio przysłał jej nawet kwiaty i mały kolumbijski szmaragd na bardzo ładnym złotym łańcuszku, i paczkę z dziesięcioma tysiącami dolarów, żeby zrobiła jakiś prezent swojemu chłopakowi, niespodziankę, a za resztę miała sobie kupić, co jej się spodoba. Dlatego Teresa zadzwoniła do niego tej nocy i miała dla niego palący ją notes Blondyna, i spokojnie czekała w ciemności kilka kroków od kaplicy Malverdego. Matko Boska. Święty patronie. Bo możesz ufać tylko don Epifaniowi, zapewniał ją Blondyn. To kulturalny i poważny człowiek, był dobrym szefem, a do tego mówi, że jest moim ojcem chrzestnym. Cholerny Blondyn! Tak mówił, zanim wszystko się spieprzyło, zanim zadzwonił telefon, który nie powinien był nigdy zadzwonić, i ona nie wygląda tak, jak wygląda. Obyś, mruknęła, w piekle się smażył, draniu, choćby za to, żeś mnie wpakował w takie tarapaty. Wiedziała już, że nie może nikomu ufać, nawet don Epifaniowi. Dlatego tutaj się z nim umówiła, prawie bez zastanowienia, choć tak naprawdę dobrze wiedziała, co robi. Kaplica jest spokojnym miejscem, do którego można dojść, nie będąc widzianym, między szynami kolei

biegnącej nad brzegiem kanału, i obserwować ulicę z obu stron: człowiek, który nazywał ją Teresita i podarował jej kiedyś na Gwiazdkę dziesięć tysięcy dolarów, może nie zjawi się sam i jeśli Blondyn przeliczył się w swoich rachunkach, a jej nie skończy się odwaga, to – w najlepszym wypadku – znów będzie musiała uciekać.

Walczyła z pokusą, żeby zapalić następnego papierosa. Matko Boska. Święty patronie. Przez okno widziała świece rozjaśniające wnętrze kaplicy. Święty Malverde był za życia śmiertelnikiem Jesusem Malverde, dobrym bandytą, który okradał bogatych, żeby – jak się mówiło – pomagać biednym. Księża ani władze nigdy nie uznały go za świętego, ale księża ani władze nie znają się na tych sprawach i lud kanonizował go na własny rachunek. Po egzekucji władze zakazały grzebania jego ciała, ale ludzie, którzy przechodzili obok, układali kamienie, każdy po jednym, żeby nie okazywać nieposłuszeństwa, i w ten sposób urządzili mu chrześcijański pochówek, a potem zbudowali kapliczkę i całą resztę. Bo wśród twardych ludzi z Culiacán i całego stanu Sinaloa Malverde był bardziej znany i więcej cudów dokonał niż Bozia i Święta Panienska z Guadalupe. Kaplica pełna była tabliczek i wotów dziękczynnych za cuda – włosy dziecka za szczęśliwy poród, krewetki w spirytusie za udane połowy, zdjęcia, obrazki. Ale Malverde był przede wszystkim patronem ludzi z branży narkotykowej w Sinaloa, którzy przychodzili tu po błogosławieństwo, z podziękowaniem, z darowiznami, z tabliczkami grawerowanymi albo pisanymi odręcznie po każdym szczęśliwym powrocie i po każdym udanym interesie. *Dziękuję, patronie kochany, żeś mnie wyciągnął z więzienia*, można było przeczytać na tabliczce pod wizerunkiem świętego – ciemnego, wąsatego, ubranego na białą z elegancką czarną chustką na szyi – albo na innej: *Dziękuję za to co wiesz*. Najtwardsze typy, najgorsi kryminaliści z gór i dolin nosili jego podobiznę na pasach, szkaplerzach, czapkach bejsbolowych, trzymali ją w samochodach, żegnali się, wymawiając jego imię, a matki przychodziły tu modlić się, kiedy ich synowie wyjeżdżali na pierwszą akcję, trafiali do więzienia czy znaleźli się w innych tarapatach. Niektórzy płatni mordercy przyklejali wizerunek Malverdego na rękojeści pistoletu albo na kolbie kałasza. Nawet Blondyn Dávila, który mówił, że nie wierzy w takie bzdury, miał

na desce rozdzielczej swojej awionetki fotografię świętego oprawną w skórę z zapisaną modlitwą: *Niech Bóg błogosławi mojom drogę i pozwoli mi powrócić*, dokładnie tak, z błędem ortograficznym. Teresa kupiła ją u świątkarza przed kaplicą, zaraz na początku, w czasach kiedy przychodziła tu po kryjomu zapalić świeczkę, bo Blondyn całymi dniami nie pojawiał się w domu. Robiła tak, dopóki Blondyn się nie dowiedział i nie zabronił jej tego. To kretyńskie zabobony, maleńka. Nie chcę, żeby moja dziewczyna się wygłupiała. Ale kiedy przyniosła mu zdjęcie z modlitwą, nic nie powiedział, nawet nie zakpił, tylko umieścił je na widocznym miejscu w swojej cessenie.

Kiedy gasły reflektory, które wcześniej oświetlały kaplicę dwoma długimi słupami światła, Teresa stała z coltem wycelowanym w samochód. Bała się, ale to jej nie przeszkadzało, żeby rozważyć wszelkie za i przeciw i określić, jaki wygląd może przybrać niebezpieczeństwo. Miała – co odkryli dawno temu ludzie zatrudniający ją przy wymianie pieniędzy na bazarze Buelna – głowę znakomitą do rachunków: $A + B$ równa się X , przy zależnościach od zmiennych w dół i w górę, mnożenie, dzielenie, dodawanie i odejmowanie. Przez to nieraz znajdowała się o krok od Sytuacji. Upłynęło przynajmniej pięć godzin od chwili, kiedy zadzwonił telefon w domu w dzielnicy Las Quintas, i jakieś dwie od pierwszego strzału w twarz Kocura Fierrosa. Zapłaciła już całą sumę strachu i zagubienia, teraz wszystkie zapasy inteligencji i cały instynkt skupiła na tym, jak utrzymać się przy życiu. Dlatego nie drżały jej dłonie. Choć chciała się modlić, nie potrafiła, za to pamiętała z absolutną dokładnością, że wystrzeliła już pięć naboji i został jej jeszcze jeden w komorze i dziesięć w ładownicy, że odrzut colta jest dla niej bardzo mocny, czyli następnym razem musi mierzyć poniżej celu, jeśli nie chce spudłować, i lewą rękę będzie trzymać nie poniżej rękojeści, jak na filmach, ale nad prawą dłońią, żeby broń utrzymać w miejscu po każdym strzale. To była jej ostatnia szansa i doskonale o tym wiedziała. Od tego, czy jej serce będzie biło powoli, czy krew będzie krążyła spokojnie i czy wszystkie zmysły będą wyostrzone, zależy, czy za godzinę nadal będzie żyła, czy też będzie leżała martwa. Dlatego szybko pociągnęła kilka szybkich niuchów z paczki, którą miała w torbie. I dlatego kiedy nadjechał biały suburban, instynktownie

odwróciła oczy od reflektorów, żeby nie oślepiło jej światło, a teraz znów patrzyła przed siebie znad broni, z palcem na spuście, wstrzymując wzrok, uważna na każdy sygnał, że robi się niedobrze.

Trzasnęły zamykane drzwiczki. Wstrzymała oddech. Jeden, drugi, trzeci. Cholera. Trzy męskie postaci stały przy samochodzie w świetle reflektorów. Trzeba wybierać. Zawsze myślała, że to ją ominie, bo tak było, dopóki ktoś inny robił wszystko za nią. Bądź spokojna, maleńka – tak było na początku. Wystarczy, że będziesz mnie kochać, ja się zajmę resztą. Tak było miło i wygodnie. Zwodniczo bezpiecznie budzić się w nocy i słyszeć spokojny oddech Mężczyzny. Strach wtedy nawet nie istniał, bo strach jest dzieckiem wyobraźni, a w tamtych czasach każda godzina była szczęśliwa i płynęła jak spokojna woda czy cklive bolero. Łatwo było wpaść w pułapkę – ten jego uśmiech, kiedy ją obejmował, jego wargi na jej skórze, usta szepczące słowa czułe albo zuchwałe całkiem nisko, między jej udami, bardzo blisko, w środku, jakby miały tam zostać na zawsze – jeśli będzie żyła dość długo, żeby zapominać, jego usta zapomni na samym końcu. Ale nic nie zostaje na zawsze. Nikt nie jest bezpieczny, każda pewność jest niebezpieczna. Nagle budzisz się ze świadomością, że nie oszukasz życia, bo jest ono drogą, i musisz iść, a chodzenie to konieczność dokonywania wyborów. Albo to, albo co innego. Z kim będziesz żyć, kogo pokochasz, kogo zabijesz. Kto zabije ciebie. Chcąc nie chcąc, każdy stawia swoje własne kroki. Sytuacja. Wreszcie trzeba wybierać. Po chwili wahania wycelowwała w najtęższą i najwyższą spośród trzech sylwetek. Był najwygodniejszym celem, a na dodatek szefem.

– Teresita – powiedział don Epifanio Vargas.

Znajomy, bardzo bliski głos coś w niej poruszył. Zauważyła, że łyzy – była bardzo młoda, a sądziła, że to już niemożliwe – przesłaniają jej wzrok. Nagle poczuła słabość, starała się zrozumieć dlaczego i tak się zajęła zastanawianiem, że jej uległa. Cholerna baba, pomyślała. Przeklęta kretyńka. Jeśli coś spieprzysz, to na własne życzenie. Odległe światła ulicy rozpląnęły się w jej oczach i naraz wszystko przed nią stało się bezładną plątaniną mokrych plam i cieni. Nagle nie miała przed sobą niczego, w co mogłaby celować. Opuściła pistolet. Przez jedną łzę, pomyślała z rezygnacją. Teraz mogą mnie zabić przez jedną pieprzoną

łzę.

– Nadeszły złe czasy.

Don Epifanio Vargas zaciągnął się hawańskim cygarem i zamyślony patrzył na żar. Półmrok kaplicy rozświetlały świece i lampki i widać było jego nieco indiański profil, czarne, zaczesane do tyłu gęste włosy, wąsy typowe dla północy Meksyku, które Teresie zawsze przypominały Emilia Fernandezę albo Pedra Armendariza w starych meksykańskich filmach, jakie oglądała w telewizji. Musiał mieć około pięćdziesiątki, był wysoki i potężny, miał ogromne dłonie. W lewej ręce trzymał hawanę, w prawej notes Blondyna.

– Kiedyś przynajmniej oszczędzaliśmy kobiety i dzieci.

Kiwał głową, zamyślony i smutny. Teresa wiedziała, że owo „kiedyś” oznaczało czasy, gdy młody wieśniak z Santiago de los Caballeros, Epifanio Vargas, mając dosyć głodowania, postanowił zamienić zaprzęg wołów i zagon kukurydzy z fasolą na poletko marihuany, którą sam czyścił i sprzedawał, ryzykując życie, i zabijał tych wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, wreszcie przeniósł się z gór na nizinę i zamieszkał w Tierra Blanca. W tym czasie przemytnicy z Sinaloa obok brykietów sprasowanej trawy zaczęli szmuglować na północ pierwsze paczuski białego proszku, przywożonego statkami i samolotami z Kolumbii. Dla ludzi z pokolenia don Epifania, którzy kiedyś przemierzali wpływ Río Bravo z towarem na plecach, a teraz mieszkali w luksusowych posiadłościach dzielnicy Chapultepec i ich zdrowo odchowane dzieci jeździły do najlepszych szkół własnymi samochodami albo studiowały na amerykańskich uniwersytetach, tamte czasy były okresem wielkich przygód, wielkiego ryzyka i wielkich fortun zbijanych z dnia na dzień – jedna udana operacja, dobry zbiór, pomyślny transport. Lata niebezpieczeństw, a potem pieniądze odmieniały ich losy, bo życie spędzone w górach byłoby pasmem nieszczęść i nędzy. Życie intensywne i często krótkie, bo tylko najtwardszym spośród tych ludzi udało się przeżyć, ugruntować swoją pozycję i wytyczyć granicę terytorium dla wielkich karteli narkotykowych. To były czasy, kiedy wszystko jeszcze było możliwe. Kiedy nikt nie zabierał miejsca innym, kiedy za błędy i porażki płaciło się gotówką i płaciło się życiem. Ni mniej, ni więcej, po prostu.

– Byli też u Chińczyka Parry – dodał don Epifanio. – Przed chwilą mówili w wiadomościach. Żona i trójka dzieci. – Żar cygara rozbłysnął, kiedy znów się zaciągnął. – A samego Chińczyka znaleziono w bagażniku jego silverado.

Siedział obok Teresy na ławce stojącej na prawo od małego ołtarzyka. Kiedy poruszał głową, świece rzucały połyskliwe refleksy na jego gęste, zaczesane do tyłu włosy. Lata, które upłynęły od chwili, kiedy zszedł z gór, wygładziły jego wygląd i maniery, ale pod szytymi na miarę garniturami, krawatami przywożonymi z Włoch i jedwabnymi koszulami za pięćset dolarów nadal biło serce chłopca z gór Sinaloa. I widać to było nie tylko w zamięłowaniu do przepychu – wysokie buty z ostrym szpicem, wyplatany pas ze srebrną klamrą, złoty breloczek z łańcuszkiem przy kluczykach – ale również, albo przede wszystkim, w spojrzeniu, chwilami niewzruszonym, chwilami nieufnym albo cierpliwym, spojrzeniu człowieka, któremu przez wieki i pokolenia każde gradobicie i każda susza kazały raz po raz zaczynać od zera.

– Podobno Chińczyka złapali rano i spędzili z nim cały dzień na pogawędce... Mówili w radiu, że zabrało im to trochę czasu...

Teresa bez trudu potrafiła to sobie wyobrazić: jakiś magazyn albo piwnica, ręce związane drutem, papierosy, noże, krzyki Chińczyka, tłumione plastikową torbą albo kawałkiem szerokiego plastra, dopóki je było słychać; a potem poszli rozprawić się z jego rodziną. Może nawet sam Chińczyk wydał Blondyna Dávilę. Albo i ją samą. Dobrze знаła i Chińczyka, i jego żonę Brendę, i trójkę ich dzieci. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Pamiętała zabawy z nimi ostatniego lata na plaży w Altacie i ich drobne ciała, opalone, rozgrzane w słońcu i nakryte ręcznikami, kiedy w drodze powrotnej do domu spały na tylnym siedzeniu tego samego silverado, w którym dzisiaj znaleziono zwłoki ich ojca. Brenda była kobietą drobną, bardzo rozmowną, miała ładne brązowe oczy, a na prawej kostce nosiła złoty łańcuszek z inicjałami męża. Często razem chodziły na zakupy w Culiacán – ona w obcisłych skórzanych spodniach, z fantazyjnie pomalowanymi paznokciami, na bardzo wysokich obcasach. Guess Jeans, Calvin Klein, Carolina Herrera... Ciekawa była, czy do nich też wysłali Kocura Fierrosa i Potemkina Galveza, czy jakichś innych morderców. Czy Brendę zabito

wcześniej czy później niż dzieci. Czy zrobili to szybko, czy też zajęło im to trochę czasu. Pieprzone męskie świny. Wstrzymała oddech i powoli wypuszczała powietrze, tak żeby don Epifanio nie widział, jak łąka. Potem w myślach przeklinała Chińczyka i znów przeklinała Blondyna. Chińczyk był odważny, jak wielu spośród tych, którzy przemycali prochy i zabijali – ze zwykłej głupoty, bo nie myślał. Ładował się w kłopoty, bo nigdy nie przyszło mu do głowy, że tym samym naraża całą rodzinę. Ale Blondyn różnił się od swojego kuzyna, był inteligentny, bystry. Znał ryzyko i doskonale wiedział, co się z nią stanie, jeśli go złapią, ale mu to zwisało. Cholerny notes. Nawet go nie oglądaj, mówił. Oddaj go bez czytania. A niech go porwą diabli, przeklętego sukinsyna.

– Co się stało? – spytała.

Don Epifanio Vargas wzruszył ramionami.

– Stało się to, co musiało się stać – powiedział.

Patrzył na ochroniarza stojącego przy drzwiach z kałaszem w ręce, milczącego jak cień czy duch. Zamiana narkotyków na aptekę i politykę nie oznaczała, iż nie musi zachowywać takiej samej ostrożności co przedtem. Drugi goryl stał na zewnątrz, też uzbrojony. Nocnemu stróżowi kapliczki dali dwieście pesos, żeby zniknął. Don Epifanio spojrział na torbę leżącą na ziemi, między stopami Teresy, a potem na colta na jej podołku.

– Twój chłopak od dawna kombinował. To była tylko kwestia czasu.

– Naprawdę nie żyje?

– Jasne, że nie żyje. Zaczaili się wysoko w górach... I nie było to wojsko ani federalni, ale dobrzy znajomi.

– Kto taki?

– Wszystko jedno kto. Wiesz dobrze, co robił Blondyn. Pakował własne karty do cudzej talii. No i ktoś go wydał.

Znów ożywił się żar cygara. Don Epifanio otworzył notes. Zbliżył go do płomienia świecy, przerzucając kartki na chybił trafił.

– Czytałaś to?

– Tylko panu przyniosłam, tak jak on mi kazał. Ja się nie znam na tych sprawach.

Don Epifanio skinął głową, zamyślony. Najwyraźniej był w kłopotcie.

– Biedny Blondyn dostał to, o co sam się prosił – zakończył.

Patrzyła teraz przed siebie, na cienie w kapliczce, tam gdzie wisiały wota i suche kwiaty.

– Jaki tam biedny, do cholery. Ten łajdak nawet o mnie nie pomyślał.

Udało jej się opanować głos tak, by nie drżał. Nie patrząc na niego, wiedziała, że zaczął ją obserwować.

– Masz szczęście – usłyszała jego głos. – Na razie jeszcze żyjesz.

Nadal siedział i przyglądał się jej. Woń cygara mieszała się z zapachem świec i kadzidła tłącego się w kadzielnicy obok popiersia świętego bandyty.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał w końcu.

– Nie wiem. – Teraz Teresa wzruszyła ramionami. – Blondyn powiedział, że pan mi pomoże. Tylko tyle mi powiedział.

– Blondyn zawsze był optymistą.

Dziura, którą czuła w żołądku, pogłębiła się nagle. Zaduch od dymu świec, migotanie płomyków przed Malverdem. Wilgotny upał. Nagle poczuła mdłości nie do wytrzymania. Chciała wstać, rękami zdusić płomień świec i wyjść na świeże powietrze. I dalej uciekać, jeśli jeszcze będzie miała taką możliwość. Ale kiedy znów spojrzała przed siebie, zobaczyła, że ta druga Teresa Mendoza siedzi naprzeciwko i obserwuje ją. A może to ona sama siedzi tam, milcząc, i przygląda się kobiecie, która kuli się na ławce obok don Epifania, z beużytecznym pistoletem na kolanach.

– On bardzo pana kochał – usłyszała swoje słowa.

Mężczyzna poruszył się na ławce. To przyzwoity człowiek, mówił Blondyn. Dobry i sprawiedliwy szef, jak należy. Najlepszy boss, jakiego miałem.

– Ja też go kochałem. – Don Epifanio mówił bardzo cicho, jakby się obawiał, że goryl przy wejściu może usłyszeć, jak mówi o uczuciach.

– I ciebie... Ale przez te jego numery znalazłaś się w fatalnej sytuacji.

– Potrzebuję pomocy.

– Nie mogę się mieszać w te sprawy.

– Pan ma wielką władzę.

Usłyszała, jak ze znużeniem i niecierpliwością mlasnął językiem. W tych interesach, wyjaśniał don Epifanio cichym głosem, rzucając ukradkowe

spojrzenia na ochroniarzy, władza jest rzeczą względną, ulotną, poddaną skomplikowanym regułom. I on utrzymuje władzę, bo nie pcha się tam, gdzie go nie proszą, dorzucił. Blondyn już dla niego nie pracował, teraz to sprawa jego aktualnych szefów. A oni się nie patyczkują.

– Nie mają nic przeciwko tobie osobiście, Teresita. Ale sama wiesz, oni tak to załatwiają. Muszą dać przykład.

– Mógłby pan z nimi pogadać. Powie im pan, że ja nic nie wiem.

– Oni mają pełną jasność, że nic nie wiesz. To nie o to chodzi... Ja nie mogę się angażować. Tu jest tak, że jeśli dziś prosisz o przysługę, jutro będziesz musiał oddać.

Patrzył na colta, którego nadal miała na kolanach, jedną rękę trzymając niedbale na rękojęści. Wiedział, że kiedyś Blondyn uczył ją strzelać, tak że udawało się jej trafić do sześciu po kolei puszek po piwie Pacífico z odległości dziesięciu kroków. Blondyn zawsze lubił piwo Pacífico i ostre kobiety, choć Teresa nie znosiła piwa i bała się strzałów z pistoletu.

– Poza tym – ciągnął don Epifanio – to, co mi opowiedziałaś, jeszcze pogarsza sprawę. Nie pozwolą, żeby im zabijać człowieka, a tym bardziej gdy robi to kobieta. Staliby się pośmiewiskiem w całym stanie Sinaloa.

Teresa spojrzała w jego ciemne, niewzruszone oczy. Twarde oczy Indianina z gór północy. Człowieka, który przeżył.

– Nie mogę się mieszać w te sprawy – usłyszała ponownie.

I don Epifanio podniósł się z ławki. No to przerażane, pomyślała dziewczyna. To jest koniec. Dziura w żołądku była coraz większa, nieubłagane pochłaniała całą ciemność nocy czającej się wokół. Poddała się, ale kobieta, która przyglądała się jej spośród cieni, nie chciała tego zrobić.

– Blondyn powiedział, że mi pan pomoże – upierała się, jakby mówiła do siebie samej. – Oddaj mu notes za swoje życie.

– Twój chłopak za bardzo lubił kalambury.

– Ja się na tym nie znam. Ale wiem, co mi powiedział.

Brzmiało to bardziej jak skarga niż jak błaganie. Skarga szczerą i bardzo gorzką. Czy raczej zarzut. Przez chwilę milczała, potem uniosła głowę, jak znużony podsądny w oczekiwaniu na wyrok. Don Epifanio stał przed

nią, wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy niż zwykle. Stukał palcami w notes Blondyna.

– Teresita...

– Słucham.

Ciągle uderzał palcami o notes. Zobaczyła, jak spojrzął na wizerunek świętego, potem na goryla przy drzwiach i znów na nią. Jego wzrok znowu zatrzymał się na pistolecie.

– Słowo, że niczego nie przeczytałaś?

– Przysięgam. Co niby miałabym tam wyczytać?

Cisza. Za długa, pomyślała. Jak umieranie. Słyszała, jak skwierczą knoty świec przy ołtarzu.

– Masz tylko jedną szansę. – Mężczyzna odezwał się w końcu.

Teresa chwyciła się tych słów z taką jasnością myśli, jakby zażyła dwie działki białej damy. Druga kobieta zniknęła pośród mroków. Była tylko sobą. Albo nią.

– Jedna mi wystarczy – powiedziała.

– Masz paszport?

– Tak, z amerykańską wizą.

– A pieniądze?

– Dwadzieścia tysięcy dolarów i trochę pesos. – Otworzyła torbę leżącą przy nogach, żeby mu je pokazać, pełna nadziei. – I paczkę prochów, jakieś dziesięć, dwanaście uncji.

– Prochy zostaw. Niebezpiecznie jest z tym chodzić. Umiesz prowadzić samochód?

– Nie. – Wstała i przyglądała mu się z bliska, bardzo uważnie. Skupiona na ratowaniu swojego życia. – Nawet nie mam prawa jazdy.

– Wątpię, żebyś zdołała przejść przez granicę. Złapią cię na przejściu, a zresztą w Stanach też nie będziesz bezpieczna. Musisz wyjechać jeszcze tej nocy. Mogę ci dać samochód z zaufanym kierowcą. Zawiezie cię do stolicy, prosto na lotnisko. A tam wsiądziesz w pierwszy samolot.

– Dokąd?

– To mnie nie obchodzi. Ale jeśli chcesz jechać do Hiszpanii, to mam tam przyjaciół. Ludzi, którzy są mi winni przysługę... Jeśli zadzwonisz do mnie jutro, tuż przed wejściem do samolotu, podam ci nazwisko i numer telefonu. Potem martw się już sama.

– Nie ma innego wyjścia?

– Nie. Albo łapiesz tę szansę, albo wiążesz sobie sznur na szyi.

Teresa rozejrzała się wokół, jakby wypatrywała kogoś w mrokach kaplicy. Była zupełnie sama. Nikt za nią nie podejmie decyzji. Ale jeszcze ciągle żyje.

– Muszę już iść – niecierpliwił się don Epifanio. – Decyduj.

– Już zdecydowałam, zrobię tak, jak pan mówi.

– Dobrze. – Don Epifanio patrzył, jak dziewczyna zabezpiecza pistolet i wkłada go za pasek, między džinsy i skórę, a potem obciąga kurtkę.

– I o jednym pamiętaj: nawet tam nie będziesz bezpieczna, rozumiesz? Ja mam swoich przyjaciół, a oni swoich. Postaraj się zagrzebać tak głęboko, żeby cię nikt nie znalazł.

Teresa znów skinęła głową. Wyjęła z torby paczkę koki i położyła ją na ołtarzu przed podobizną Malverdego. Zapaliła kolejną świecę. Mateńko Boża, pomodliła się w ciszy. Święty patronie, *Niech Bóg błogosławi mojom drodze i pozwoli mi powrócić*. Przeżegnała się ukradkiem.

– Naprawdę mi przykro z powodu Blondyna – powiedział don Epifanio do jej pleców. – To był porządny gość.

Słyszając te słowa, Teresa odwróciła się. Umysł miała zupełnie jasny i spokojny i choć czuła suchość w gardle, wyraźnie słyszała, jak jej krew krąży już powoli i uspokajała się z każdym uderzeniem serca. Zrzuciła torbę na ramię i próbowała się uśmiechnąć, pierwszy raz tego dnia, ale zdołała tylko wykrzywić usta w jakimś nerwowym, dziwnym grymasie. I właśnie ten wyraz twarzy sprawił, że don Epifanio spojrział na nią z zaciekawieniem i z jego oczu można było wreszcie odczytać jakieś uczucia. Teresita Mendoza. Coś takiego. Kobieta Blondyna. Panienska handlarza narkotyków. Dziewczyna jakich wiele, raczej milcząca, ani szczególnie mądra, ani szczególnie piękna. A jednak przyjrzał się jej z zastanowieniem i rozważą, bardzo uważnie, jakby nagle stanęła przed nim nieznajoma.

– Nieprawda – odezwała się. – To nie był porządny gość. To był cholerny skurwysyn.

Kiedy przeminą lata

– Ona była nikiem – powiedział Manolo Céspedes.

– Wytłumacz mi to.

– Właśnie to robię. – Mój rozmówca celował we mnie dwoma palcami, w których trzymał papierosa. – Nikiem znaczy nikiem. Pariasem. Przyszła tylko z tym, co miała na sobie, nie miała nic więcej, jak ktoś, kto chce się zakopać w najgłębszej dziurze. Wszystko było dziełem przypadku.

– Nie tylko. Była mądrą dziewczyną.

– No i co z tego? Znam wiele mądrych dziewczyn, które skończyły na rogu.

Rozejrzał się po ulicy, jakby szukał jakiegoś przykładu, i chciał mi taką pokazać. Siedzieliśmy pod markizą na tarasie kawiarni California w Melilli. Afrykańskie słońce w zenicie barwiło na żółto modernistyczne fasady alei Juana Carlosa I. Była to pora aperitifów, na ulicach i tarasach pełno było spacerowiczów, próżniaków, sprzedawców losów, czyścibutów. Europejskie stroje mieszały się z arabskimi dżelabami i burnusami, co podkreślało atmosferę pogranicza dwóch kontynentów i licznych kultur. Dalej, w kierunku placu Hiszpanii i pomnika poległych w wojnie kolonialnej w 1921 roku – przedstawiającego młodego żołnierza z brązu, o twarzy zwróconej ku Maroku – widać było pióropusze palm zapowiadających bliskość Morza Śródziemnego.

– Nie znałem jej wcześniej – ciągnął Céspedes. – Właściwie nawet jej nie pamiętam. Co najwyżej twarz za barem w Dżamili. Albo i tego nie. Dużo później, kiedy tu i tam coś usłyszałem, skojarzyłem ją z tamtą Teresą Mendozą... Już ci mówiłem. Ale wtedy była nikiem.

Pracował kiedyś jako komisarz, szef ochrony rządu, naczelnik policji w Melilli – Manolo Céspedes dostał już to wszystko w darze od życia, ale równie dobrze mógłby być odważnym i mądrym toreadorem, cygańskim rzeźmieszkiem, berberyjskim piratem czy sprytnym marokańskim dyplomatą. Bardzo ciemny, chudy jak uzależniony od haszyszu legionista, stary lis z ogromnym doświadczeniem i znajomością ludzi. Poznaliśmy się jakieś dwadzieścia lat wcześniej, w czasach gwałtownych starć między wspólnotami muzułmańską

i europejską, które sprawiły, że Melilla znalazła się na pierwszych stronach gazet, a ja pisanem do nich zarabiałem na chleb. W tamtych czasach Céspedes, urodzony w Melilli i cieszący się ogromnym autorytetem w tej hiszpańskiej enklawie, znał dosłownie wszystkich, chodził na kielicha z oficerami Legii Cudzoziemskiej, kontrolował sprawną sieć informatorów po obu stronach granicy, bywał na kolacjach u gubernatora Nadoru, a wśród ludzi pracujących dla niego byli i uliczni żebracy, i członkowie marokańskiej królewskiej żandarmerii. Wtedy, podczas długich rozmów aż po wczesne godziny poranne, przy baraninie z arabskimi przyprawami i dżinie z tonikiem, zaczęła się nasza przyjaźń. Dziś ja tobie, jutro ty mnie. Teraz, przeniesiony na emeryturę, Céspedes starzał się, poskromiony i znudzony, poświęcając czas lokalnej polityce, żonie i dzieciom, i aperitifom w południe. Moja wizyta szczęśliwie odmieniła jego codzienną rutynę.

– Mówię ci, że wszystko było dziełem przypadku – upierał się. – A co do niej, to przypadek nazywał się Santiago Fisterra.

Odstawiłem szklankę, wstrzymując oddech.

– Santiago López Fisterra?

– Jasne. – Céspedes pociągnął papierosa, oceniając moje zainteresowanie. – Galisyjczyk.

Powoli wypuściłem powietrze, wypilem łyk i wygodnie rozparłem się na krześle, zadowolony jak ktoś, kto odnajduje zgubiony ślad, a Céspedes uśmiechał się, kalkulując, jak teraz wygląda bilans naszej starej spółki wzajemnych przysług. Ten człowiek spotkał się tutaj ze mną, by mi pomóc rozjaśnić pewną ciemną plamę w życiorysie Teresy Mendozy. Do tego spotkania na tarasie Californii dysponowałem tylko domysłami i raczej wątpliwymi danymi. Podobno tak było. Mówią, że zdarzyło się to i to. Ktoś komuś mówił, ktoś myślał, że wie. Pogłoski. Poza tym z konkretów znalazłem tylko – w archiwach urzędu imigracyjnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – datę wjazdu: drogą lotniczą, samolotem Iberii, lotnisko Barajas w Madrycie, i prawdziwe nazwisko: Teresa Mendoza Chávez. Potem urzędowe ślady ginęły na całe lata i pojawiły się dopiero w oficjalnych aktach policyjnych numer 8653690FA/42, które zawierały odciski palców, jedno zdjęcie z profilu i drugie en face, dotyczyły tego okresu jej życia, który ja starałem się

odtworzyć, i pozwalały łatwiej śledzić jej kroki od tego momentu. Akta, spisane na białych kartonikach, pochodziły z czasów, zanim jeszcze policja hiszpańska z informatyzowała swoje dokumenty. Oglądałem je przed tygodniem w komisariacie w Algeciras, dzięki pomocy innego starego kumpla – głównego komisarza policji w Torremolinos, Pepe Cabrery. W suchej informacji wypisanej na maszynie znajdowały się dwie nazwy własne – nazwisko człowieka i nazwa miasta. Człowiek nazywał się Santiago López Fisterra. Miastem była Melilla.

Tamtego popołudnia złożyliśmy dwie wizyty. Jedna była krótka, smutna i mało pożyteczna, choć pozwoliła dodać jeszcze jedno nazwisko i kolejną postać do spisu bohaterów tej historii. Kiedy znaleźliśmy się naprzeciwko klubu żeglarskiego położonego u stóp średniowiecznych murów starego miasta, Céspedes wskazał mi mizernego człowieczka o rzadkich popielatych włosach, który za parę drobniaków pilnował samochodów. Siedział na ziemi przy słupku cumowniczym, spoglądając w dół na brudną wodę przy nabrzeżu. Z daleka wziąłem go za człowieka starego, zniszczonego życiem i upływem czasu; kiedy jednak podeszliśmy bliżej, stwierdziłem, że nie miał nawet czterdziestki. Był ubrany w stare połatane spodnie, biały podkoszulek, zadziwiająco czysty, i zeszmaczone, brudne tenisówki. Słońce i kaprysy pogody nie zamaskowały sinego, matowego odcienia postarzałej, pokrytej plamami skóry. Na skroniach uwydatniały się głębokie wklęsłości, brakowało mu połowy zębów i pomyślałem sobie, że przypomina odpadki, jakie morską falą wyrzuca na plażę i do basenów portowych.

– Nazywa się Veiga – powiedział Céspedes, kiedy zbliżaliśmy się do niego. – Znał Teresę Mendozę.

Nie zwracając uwagi na moją reakcję, powiedział: cześć, Veiga, jak leci, a potem poczęstował go papierosem i podał ogień. Nie było żadnych dodatkowych komentarzy czy prezentacji, posiedzieliśmy chwilę w ciszy, patrząc na wodę, zacumowane kutry rybackie, dawną rampę przeładunkową po drugiej stronie portu i obrzydliwe bliźniacze wieże zbudowane dla upamiętnienia pięćsetlecia hiszpańskiego panowania nad miastem. Zauważyłem strupy i blizny na ramionach i dłoniach mężczyzny. Podniósł się niezgrabnie z ziemi, żeby zapalić papierosa, wymamrotał jakieś podziękowanie. Czuć było od niego starym winem

i stęchłą nędzą. Był kulawy.

– Spytaj go, jeśli chcesz – odezwał się w końcu Céspedes.

Wahałem się przez chwilę, a potem wypowiedziałem nazwisko Teresy Mendozy. Ale nie dostrzegłem na jego twarzy śladu reakcji. Nie więcej szczęścia miałem z nazwiskiem Santiago Fisterry. Niejaki Veiga, czy to, co z niego zostało, z powrotem odwrócił się ku tłustej wodzie przy nabrzeżu. Przypomnij sobie, człowieku, odezwał się Céspedes. To mój znajomy, przyjechał specjalnie, żeby z tobą pogadać. Nie mów mi, że nie pamiętasz Teresy i swojego współnika! Nie rób mi takich numerów, co? Ale tamten nadal nie odpowiadał, a kiedy Céspedes jeszcze raz starał się go przekonać, jedyne, co zrobił, to podrapał się po ramieniu i popatrzył na nas wzrokiem wyrażającym coś między zmieszaniem a obojętnością. Mgliste, nieobecne spojrzenie oczu ze źrenicami tak rozszerzonymi, że zajmowały całe tęczówki, omiatało ludzi i rzeczy z odległego miejsca, skąd nie ma powrotu.

– To ten drugi Galisyjczyk – powiedział Céspedes, kiedy odchodziliśmy.

– Pływał razem z Santiago Fisterrą... Tak wygląda po dziewięciu latach spędzonych w marokańskim więzieniu.

Zapadał już wieczór, kiedy składaliśmy drugą wizytę. Céspedes przedstawił mi Drisa Larbiego – to mój przyjaciel Dris, powiedział, klepiąc go po plecach – i poznałem Marokańczyka z hiszpańskim obywatelstwem, mówiącego doskonale po kastylijsku. Spotkaliśmy go w dzielnicy Hipodrom, przed Dżamilą, jednym z trzech lokali, którymi zarządzał w mieście – tego i paru innych rzeczy dowiedziałem się później – kiedy wysiadał z luksusowego mercedesa z dwoma fotelami; był średniego wzrostu, miał bardzo ciemne kręcone włosy, starannie przyciętą brodę, ręce, które ostrożnie ściskają obcą dłoń, jakby chciał sprawdzić, co w niej jest. Mój przyjaciel Dris, powtórzył Céspedes; i widząc spojrzenie tego człowieka – ostrożne i równocześnie ustępliwe – zastanawiałem się, jakie szczegóły biografii Marokańczyka tłumaczą ten przezorny respekt wobec byłego szefa policji. Mój przyjaciel Iksiński – teraz przyszła kolej na mnie. – Bada życie Teresy Mendozy. Céspedes powiedział to właśnie tak, prosto z mostu, kiedy człowiek podawał mi prawą rękę, a lewą z elektronicznymi kluczami celował w samochód. Światła mercedesa rozbłysły – wiu, wiu – kiedy włączył się alarm.

Wtedy Dris Larbi przyjrzał mi się z uwagą w takiej ciszy, że Céspedes wybuchnął śmiechem.

– Spoko – powiedział. – Nie jest z policji.

Na brzęk tłuczonego szkła Teresa Mendoza zmarszczyła brwi. To był już drugi tej nocy kieliszek rozbity przez gości przy czwartym stoliku. Wymieniła szybkie spojrzenie z Ahmedem, kelnerem, który zaraz ruszył w tamtym kierunku z szufelką i szczotką, ponury jak zawsze, z czarną muszką luźno tańczącą poniżej jabłka Adama. Lampy kręcące się nad niewielkim pustym parkietem rzucały świetlne romby na jego kamizelkę w paski. Teresa sprawdziła rachunek klienta z końca baru, bardzo ożywionego towarzystwem dwóch spośród pracujących tam dziewczyn. Mężczyzna stał w tym miejscu od dwóch godzin i suma była już godziwa: pięć kolejek white label z lodem i wodą dla niego i osiem małych butelek szampana dla dziewcząt – znakomita większość drinków została dyskretnie usunięta przez Ahmeda pod pozorem zmiany szkła. Do zamknięcia zostało jeszcze dwadzieścia minut i Teresa słuchała mimo woli zwyczajowego dialogu. Czekać na zewnątrz. Jedna albo obie. Lepiej obie. I tak dalej. Dris Larbi, szef, był nieprzejednany, kiedy szło o pozory porządku moralnego w interesie. To jest drink-bar, to wszystko. Poza godzinami pracy dziewczyny są wolne. Czy raczej w zasadzie są wolne, bo kontrola była ścisła, pięćdziesiąt procent dla firmy, pięćdziesiąt dla zainteresowanej. Imprezy i podróże zorganizowane liczone były osobno, bo normy zmieniały się w zależności od tego, z kim, jak i gdzie. Ja jestem przedsiębiorcą, mawiał Dris. A nie byle alfonsem.

To był wtorek, w maju, pod koniec miesiąca. Nie było specjalnego ruchu. Przy pustym parkiecie Julio Iglesias nie śpiewał do nikogo w szczególności. *Rycerz z pięknego obrazka*, brzmiał tekst. Teresa, choć skupiona na kartce i długopisie oświetlonych lampką nad kasą, poruszała bezgłośnie ustami, powtarzając słowa. Marniutka ta noc, stwierdziła. Na granicy straty. Zupełnie inaczej niż noce w piątek czy sobotę, kiedy musieli sprowadzać dziewczyny z innych lokali, bo Dżamila była pełna gości – urzędników, handlowców, bogatych Marokańczyków z drugiej strony granicy, wojskowych z garnizonu. Poziom średni, do przyjęcia, tylko tyle klientów sprawiających kłopoty, ile to nieuniknione.

Dziewczyny czyste i młode, ładne, wymieniane co sześć miesięcy, rekrutowane przez Drisa w Maroku, na biednych przedmieściach Melilli, czasem trafiła się jakaś dziewczyna z Hiszpanii. Terminowe opłaty – diabeł śpi w szczegółach – dla odpowiednich władz i ich przedstawicieli, żeby żyli i pozwolili żyć innym. Gratisowe drinki dla podkomisarza policji i dla inspektorów w cywilu. Lokal przykładowy, wszelkie zezwolenia w porządku. Niewiele problemów. Żadnych takich, których Teresa nie znałaby aż nadto dobrze, i to do entej potęgi, ze świeżych jeszcze meksykańskich wspomnień. Różnica polegała na tym, że tutaj ludzie, choć nieokrzesani i mniej grzeczni, nie strzelali do siebie i wszystko można było załatwić układami. Nawet – sporo czasu jej zajęło, żeby się do tego przyzwyczaić – zdarzali się i tacy, których w ogóle nie dawało się przekupić. Pani się myli. Albo w ostrej wersji, bardzo w hiszpańskim stylu: a wsadźże to sobie, dobra kobieto, w dupę. Na pewno czasami utrudniało to życie. Ale często ułatwiało. No i dobrze było nie bać się policji. Czy raczej nie bać się jej zawsze.

Ahmed wrócił ze swoją szufelką i miotłą, wszedł za bar i zaczął rozmawiać z trzema dziewczynami, które były wolne. Kling. Od stołu, gdzie tłukły się dziś kieliszki, dobiegały toasty i śmiechy, i brzęk szklanek, którymi tamci się stukali. Ahmed uspokoił Teresę spojrzeniem. Wszystko w porządku. To będzie pokazny rachunek, stwierdziła, omiatając wzrokiem karteczki z zamówieniami leżące przy kasie. Hiszpańscy i marokańscy biznesmeni oblewali zawarcie jakiejś umowy: marynarki wisały na oparciach krzeseł, rozpięte kołnierzyki, krawaty w kieszeniach. Czterech starszych mężczyzn i cztery dziewczyny. Tak zwany *moët et chandon* szybko zniknął z kubelków z lodem: do tej pory pięć butelek i pięknie jeszcze jedna przed zamknięciem. Dziewczyny – dwie Arabki, jedna Żydówka, jedna Hiszpanka – były młode i profesjonalne. Dris nigdy nie sypiał z pracownicami – nie machaj kutasem tam, gdzie robisz kasę, mawiał – ale czasem przysyłał swoich kolegów, niejako z misją inspektorów pracy. Najwyższa jakość, chełpił się potem. W moich lokalach dostajesz tylko towar najwyższej jakości. Jeśli raport był krytyczny, Dris nie robił dziewczynom krzywdy. Wyrzucał je, to wszystko. Rozwiązanie umowy. Jeśli czegoś brakowało w Melilli, to na pewno nie dziewczyn, zwłaszcza ze względu na

nielegalną imigrację, kryzys, wszystko razem. Niektóre marzyły o wyjeździe do Hiszpanii, o zostaniu modelką i karierze w telewizji, większość jednak zadowalała się pozwoleniem na pracę i kartą pobytu. Minęło niewiele ponad pół roku od rozmowy, jaką Teresa Mendoza przeprowadziła z don Epifaniem Vargasem w kapliczce Świętego Malverdego w Culiacán, w stanie Sinaloa, w nocy po tym dniu, kiedy zadzwonił telefon, a ona rzuciła się do ucieczki i uciekała, dopóki nie dotarła do tego dziwnego miasta, którego nazwy nie słyszała nigdy wcześniej. Zdawała sobie z tego sprawę tylko w chwilach, kiedy patrzyła na kalendarz. Gdy oglądała się wstecz, wydawało się jej, że czas spędzony w Melilli jakby stał w miejscu. Mogło to być zarówno sześć miesięcy, jak i sześć lat. Dotarła tutaj, ale równie dobrze mogłaby dotrzeć gdziekolwiek indziej po tym, kiedy wkrótce po przyjeździe do Madrytu, mieszkając w tanim hotelu przy placu Atocha, z jedną torbą stanowiącą cały jej bagaż, skontaktowała się z osobą, której nazwisko podał don Epifanio Vargas. Ku jej rozczarowaniu nie mieli jej nic do zaproponowania. Jeśli Teresa szuka dyskretnego miejsca, z dala od groźby nieprzyjemnych spotkań, i jakiejś pracy, która usprawiedliwiłaby jej pobyt w kraju, dopóki nie załatwi sobie papierów potwierdzających jej podwójne obywatelstwo – ojciec Hiszpan, którego prawie nie znała, wreszcie do czegoś się przyda – będzie musiała pojechać dalej. Kontakt – młody człowiek, spieszący się gdzieś i małomówny, z którym spotkała się w kawiarni Nebraska przy Gran Vía, dał jej do wyboru tylko dwa kierunki, Galicia albo południe Hiszpanii. Orzeł albo reszka, albo to bierzesz, albo nie. Teresa spytała, czy w Galicji dużo pada, a człowiek uśmiechnął się słabo – po raz pierwszy podczas całej rozmowy – i powiedział, że owszem. Cholernie leje, powiedział. Wtedy Teresa zdecydowała, że jedzie na południe, a mężczyzna wyjął telefon komórkowy i odszedł od stolika, żeby porozmawiać. Po chwili wrócił i zapisał na serwetce nazwisko, numer telefonu i nazwę miasta. Są tam bezpośrednie loty z Madrytu, powiedział, podając jej papier. Albo z Malagi, dokąd możesz dojechać autobusem albo pociągiem. Z Malagi i Almerii pływają tam też statki. Słyszac o statkach i samolotach, spojrzała na niego zaskoczona. Uśmiechnął się po raz drugi i ostatni, po czym wyjaśnił jej, że miejsce, do którego pojedzie, jest Hiszpanią, ale

leży na północy Afryki, w odległości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu kilometrów od wybrzeża Andaluzji, blisko Cieśniny Gibraltarskiej. Ceuta i Melilla, wyjaśnił, są hiszpańskimi miastami na marokańskim wybrzeżu. Potem zostawił jej na stole kopertę z pieniędzmi, zapłacił rachunek, wstał i życzył szczęścia. Tak powiedział, życząc szczęścia, i już miał odejść, kiedy Teresa, pełna wdzięczności, chciała mu się przedstawić. Mężczyzna przerwał jej, mówiąc, że nie chce wiedzieć, jak się nazywa, i wcale go to nie obchodzi. On tylko oddał przysługę meksykańskim znajomym. I niech dobrze wykorzysta pieniądze, które dostała. A kiedy się skończą i będzie potrzebowała więcej, dodał tonem obojętnym, wyraźnie nie chcąc jej obrazić, zawsze może zrobić użytek z cipy. To jest – powiedział na pożegnanie, jakby żalując, że sam jej nie ma – wasza przewaga nad nami.

– Nie była jakaś szczególna – powiedział Dris Larbi. – Ani ładna, ani brzydka. Ani bardzo lotna, ani tępa. Ale miała talent do liczenia. Od razu to zauważyłem i postawiłem ją przy kasie – przypomniał sobie pytanie, które zadałem mu wcześniej, i przecząco pokręcił głową. – Nie, naprawdę nigdy nie była dziwką. Przynajmniej u mnie. Polecili mi ją znajomi, więc pozwoliłem jej wybierać. Którą stronę baru wolisz, zapytałem. Wybrała stanie za barem i najpierw była kelnerką. Zarabiała mniej, to jasne. Ale tak wolała.

Przechadzaliśmy się wzdłuż prostych ulic, prowadzących do morza, na granicy dzielnic Hipodrom i Real, obok domów w stylu kolonialnym. Noc była przyjemna, pachniały kwiaty z doniczek w oknach.

– Może raz czy dwa, może więcej. Nie wiem. – Dris Larbi wzruszył ramionami. – Ona sama decydowała. Rozumiecie mnie? Czasem poszła z tym czy z innym, ale nie robiła tego dla pieniędzy.

– A imprezy? – spytał Céspedes.

Marokańczyk, jakby niemile zaskoczony, odwrócił wzrok. Potem popatrzył na mnie z wyrazem żalu z powodu nietaktownego potraktowania go wobec obcej osoby. Na Céspedesie jednak nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– A imprezy? – powtórzył.

Dris Larbi znów spojrzał na mnie i podrapał się po brodzie.

– To była inna sprawa – przyznał po chwili namysłu. – Czasem organizowałem spotkania po tamtej stronie granicy...

Céspedes zaśmiał się złośliwie.

– Te twoje słynne imprezy – powiedział.

– No cóż, wie pan. – Marokańczyk popatrzył na niego, jakby próbował przypomnieć sobie wszystko, co wie, a potem znów odwrócił wzrok, zakłopotany. – Z ludźmi stamtąd.

– Stamtąd, znaczy z Maroka – uściślił Céspedes specjalnie dla mnie.

– W grę wchodziły najważniejsze osoby, politycy, szefowie policji.

– Jego uśmiech był coraz bardziej lisi. – Mój przyjaciel Dris zawsze miał znakomitych współników.

Marokańczyk uśmiechnął się z przymusem i zapalił papierosa o niskiej zawartości nikotyny. Zastanawiałem się, jak wiele informacji o nim i jego współnikach znajdowało się w tajnych aktach Céspedes. Zapewne dosyć, stwierdziłem, żeby uznać nas za godnych zaszczytu rozmowy z nim.

– Czy ona bywała na tych imprezach? – zapytałem.

Larbi zrobił niewyraźną minę.

– Nie wiem, może i była na jakiejś. No cóż... Trzeba by ją o to zapytać... – Wyglądało, jakby się zastanawiał, patrząc na Céspedes z ukosa, wreszcie z ociąganiem pokiwał głową. – Rzeczywiście, na końcu parę razy się pojawiła. Ja się w to nie wtrącałem, bo tam się nie zarabiała pieniędzy na dziewczynach, to były inne interesy. Dziewczyny były dodatkiem. Prezentem. Nigdy nie kazałem Teresie tam przychodzić... Jeśli się pojawiła, to dlatego, że chciała. Sama prosiła.

– Dlaczego?

– Pojęcia nie mam. Już mówiłem, ona jedna wie.

– Czy w tym czasie już była z Galisyjczykiem? – zapytał Céspedes.

– Tak.

– Podobno załatwiała dla niego jakieś sprawy.

Dris Larbi popatrzył na Céspedes. Potem na mnie. I znów na niego. Dlaczego pan mi to robi, mówił jego wzrok.

– Nie wiem, o czym pan mówi, don Manuelu.

Były szef policji śmiał się przewrotnie, unosząc brwi. Wyglądało na to, że znakomicie się bawi.

– Abdelkader Chaib – wyjaśnił. – Pułkownik żandarmerii królewskiej. Coś ci to mówi?

– Słowo daję, jakoś nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?! No nie chrań, Dris. Mówię ci, że ten pan to przyjaciel.

Przeszliśmy w ciszy kilka kroków, w tym czasie starałem się jakoś to wszystko uporządkować. Marokańczyk palił, milcząc, jakby nie był zadowolony ze sposobu, w jaki wszystko przedstawił.

– Dopóki pracowała u mnie, w nic się nie mieszała – odezwał się naraz.

– A ja nie miałem z nią nic wspólnego. To znaczy chciałem powiedzieć, że z nią nie sypiałem.

Brodą wskazał na Cespedesa, jakby biorąc go na świadka. Wszyscy wiedzą, że nigdy nic nie łączyło go z dziewczynami, które u niego pracowały. Mówił już, że Teresa była świetna w prowadzeniu rachunków. Pozostałe dziewczyny ją szanowały. Mówiły o niej Meksykanka. Meksykanka to, Meksykanka tamto. Widać było, że ma dobry charakter, i choć nie skończyła żadnej szkoły, to przez swój obcy akcent robiła wrażenie bardziej wykształconej, pewnie dzięki bogatemu słownictwu, jakiego używają Latynosi, z tymi wszystkimi „proszę bardzo” i „z uszanowaniem”, przez co wydają się językoznawcami. Była bardzo skryta. Dris Larbi wiedział, że miała w swoim kraju jakieś problemy, ale nigdy jej o to nie pytał. Bo i po co? Teresa też nie opowiadała o Meksyku; kiedy ktoś o tym napomknął, odpowiadała półsłówkami i zmieniała temat. Bardzo poważnie traktowała pracę, mieszkała sama i uważała, żeby klienci błędnie jej nie oceniali. Nie miała też przyjaciółek. Żyła osobno.

– Wszystko dobrze się układało przez jakieś, bo ja wiem... sześć, osiem miesięcy. Do tego wieczoru, kiedy pojawili się tutaj ci dwaj Galisyjczycy – zwrócił się do Cespedesa, wskazując na mnie: – Widział już Veigę? No, on nie miał za wiele szczęścia. Ale jeszcze mniej miał ten drugi.

– Santiago Fisterra – powiedziałem.

– Właśnie. Jakbym go jeszcze widział: ciemny facet, z wielkim tatuażem tutaj. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Trochę porąbany, jak wszyscy z Galicji. Nigdy nie wiadomo, co im chodzi po głowie. Pływali

motorówką Phantom przez Cieśninę Gibraltarską w tę i z powrotem, pan Céspedes rozumie, o czym mówię, prawda? Papierosy z Gibraltaru i marokański haszysz... Jeszcze nie wozilo się koki, choć niedługo potem to się zaczęło... No tak. – Znów podrapał się po brodzie i splunął prosto na ziemię z urazą. – Dość, że któregoś dnia ci dwaj pojawili się w Dżamili, a ja zacząłem tracić Meksykankę.

Dwóch nowych gości. Teresa spojrzała na zegar przy kasie. Został niecały kwadrans do zamknięcia. Widziała, że Ahmed spojrział na nią pytająco, i nie podnosząc już głowy, przytaknęła wzrokiem. Szybki drink, zanim zapalą światła i wszystkich wyproszą. Dalej zajmowała się rozliczeniami, zamykając już utarg. Nie sądziła, żeby zamówienia nowych gości miały zasadniczo zmienić rachunki. Dwa razy whisky, oceniła ich po wyglądzie. Trochę poczarują dziewczyny, zaczynające już ukradkiem ziewać, może się umówią na spotkanie na zewnątrz za chwilę. Hotel Agadir, przy następnej przecznicy. Albo, jeśli mają samochód, szybki wyskok do sosnowego lasu niedaleko koszar. W każdym razie to nie jej sprawa. Ahmed prowadził rejestr randek w specjalnym zeszycie.

Stanęli przy barze, tuż obok kranów z piwem, a Fátima i Sheila, dwie z rozmawiających z Ahmedem dziewczyn, podeszły do nich w chwili, kiedy barman nalewał tak zwane dwunastoletnie chivasy z lodem, bez wody. Zamówiły szampana, nie budząc sprzeciwu nowych klientów. Ci od tłuczonych kieliszków nadal wznosili toasty przy wybuchach śmiechu, zapłaciwszy już rachunek bez zmrużenia oka. Z kolei facet na końcu baru nie mógł dojść do porozumienia z dziewczynami – mimo dość głośnej muzyki słycać było, jak nadal się spierają. Teraz Abigail śpiewała dla pustego parkietu, ożywionego jedynie ruchomymi cętkami światła padającego spod sufitu. *Pragnę rany twoje lizać, wsłuchiwać się w twe milczenie* – brzmiał tekst. Teresa doczekała do końca ostatniej zwrotki – znała na pamięć wszystkie piosenki z muzycznych zbiorów Dżamili – i znów spojrzała na zegar obok kasy. Kolejny dzień za sobą. Taki sam jak wczorajszy poniedziałek i jutrzejsza środa.

– Czas zamykać – powiedziała.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła przed sobą spokojny uśmiech. I jasne oczy – zielone czy niebieskie, zastanawiała się chwilę później – które

patrzyły na nią z rozbawieniem.

– Tak wcześniej? – zapytał mężczyzna.

– Zamykamy.

Wróciła do swoich rachunków. Nigdy nie była miła dla gości, a tym bardziej kiedy zbliżała się godzina zamknięcia. W ciągu tych sześciu miesięcy nauczyła się, że jest to najlepsza metoda, by unikać nieporozumień. Ahmed zapalił światła i niewielki urok, jakiego mrok dodawał temu miejscu, zniknął w jednej chwili: widać było wytarty aksamit na siedzeniach, plamy na ścianach, wypalone dziury w podłodze. Nawet zaduch stał się intensywniejszy. Ci, którzy tłukli kieliszki, zabrali marynarki z krzeseł, szybko doszli do porozumienia ze swoimi towarzyszami i wyszli, żeby poczekać na nie na zewnątrz. Facet targujący się z dziewczynami też już poszedł, sam, nie zgodziwszy się na cenę, którą mu zaśpiewały za numer stereo. Wolę sam zwalić konia, mruczał pod nosem, wychodząc. Dziewczyny też się zbierały. Fátima i Sheila nie tknęły swoich drinków i przeciągały się obok nowo przybyłych gości, którzy jednak nie wyglądali na zainteresowanych zacieśnieniem znajomości. Jedno spojrzenie przekonało je, żeby dołączyły do pozostałych dziewczyn. Teresa położyła rachunek na ladzie przed ciemnowłosym chłopakiem. Był w dżinsowej koszuli koloru khaki, z rękawami podwiniętymi aż do łokci. Kiedy wyciągnął rękę z pieniędzmi, zobaczyła, że prawe przedramię ma pokryte tatuażem: ukrzyżowany Chrystus na tle motywów morskich. Jego kolega był szczupłym blondynem o jasnej skórze. Niemal dzieciak. Dwadzieścia parę lat. Najwyżej. Ten ciemny jakieś trzydzieści kilka.

– Możemy dokończyć drinka?

Teresa znów natknęła się na spojrzenie mężczyzny. W świetle zobaczyła, że oczy ma zielone. Całkiem w porządku. Zauważyła, że choć wydawały się spokojne, uśmiechały się cały czas, nawet kiedy usta już poważniały. Miał silne ramiona, świeży zarost czernił się na jego brodzie. Włosy rozwichrzone. Prawie ładny, stwierdziła. Może nawet bez prawie. Pomyślała też, że pachniał czystym potem i solą, choć stała zbyt daleko, żeby to poczuć. Tylko tak pomyślała.

– Jasne – powiedziała.

Zielone oczy, tatuaż na prawej ręce, chudy jasnowłosy kumpel.

Przypadkowe spotkanie przy barze. Teresa Mendoza daleko od Sinaloa. Sama, przez duże S, jak Samotność. Dni mijają, wciąż takie same, jeden po drugim, aż przestajesz zauważać, że mijają. I naraz pojawia się coś nieoczekiwanego, i nie pośród gromów, ale bez zapowiedzi, powoli i niezauważenie wpełza w twoje życie, choć równie dobrze mogłoby nigdy się nie pojawić. Jak spojrzenie czy uśmiech. Jak samo życie i jak sama śmierć. Ona przychodzi zawsze. Może właśnie dlatego następnego wieczoru spodziewała się, że znów przyjdzie, ale mężczyzna nie przyszedł. Zawsze, kiedy wchodził kolejny klient, podnosiła głowę z nadzieją, że to będzie on. Ale to nie był on.

Po zamknięciu Dżamili poszła na pobliską plażę. Zapaliła papierosa – czasem faszzerowała je drobnymi kawałeczkami haszyszu – i patrzyła na światła mola i marokańskiego portu w Nadorze po drugiej stronie ciemnej plamy wody. Zawsze to robiła, kiedy była ładna pogoda; potem szła wzdłuż morza i taksówką wracała do swojego domu w dzielnicy Polígono – małego mieszkanka złożonego z sypialni, niewielkiego saloniku, kuchni i łazienki. Wynajmował je Teresie sam Dris Larbi, odliczając czynsz od pensji. Dris nie jest złym człowiekiem, pomyślała. Traktuje dziewczyny rozsądnie, stara się dobrze żyć ze wszystkimi, bezwzględny jest tylko wtedy, kiedy okoliczności go do tego zmuszają. Nie jestem dziwką, powiedziała mu pierwszego dnia bez ogródek, kiedy poprosił ją do Dżamili, żeby wyjaśnić, jaką pracę może jej zaoferować w swoich lokalach. Cieszę się, powiedział krótko Marokańczyk. Początkowo traktował ją tak, jak się przyjmuje sprawy konieczne – bez niechęci, ale i bez entuzjazmu, to była jego powinność wynikająca z osobistych zobowiązań, ze słowa danego znajomemu znajomych, co nie miało z nią samą nic wspólnego. Pewne względy, wynikające z układów, o których Teresa nie miała pojęcia, w łańcuchu łączącym Drisa Larbiego z don Epifaniem Vargasem poprzez człowieka z kawiarni Nebraska sprawiły, że Marokańczyk pozwolił jej zostać po drugiej stronie baru; najpierw razem z Ahmedem, jako kelnerka, a później w roli administratorki, od dnia, kiedy w rachunkach pojawił się błąd, ona to zauważyła i w pół minuty odtworzyła wszystkie operacje, a Dris zapytał, jakie ma wykształcenie. Teresa odpowiedziała, że marne, tylko podstawowe, a on popatrzył na nią zamyślony i powiedział: rachunki

masz w głowie, Meksykanko, urodziłaś się, żeby dodawać i odejmować. Trochę miałam z tym do czynienia, odrzekła, kiedy byłam młodsza. Wtedy Dris powiedział jej, że od następnego dnia będzie dostawała pensję administratora, a Teresa zaczęła kierować lokalem i więcej do tematu nie wracano.

Dopaliła papierosa i nadal patrzyła na odległe światła – wyglądały tak, jakby ktoś je rozsypał na spokojnej, czarnej wodzie. W końcu rozejrzała się wokół, przebiegł ją dreszcz, ale wiedziała, że to nie od zimna, bo chłód przed świtem nie mógł przeniknąć przez kurtkę zapiętą pod szyję, z postawionym kołnierzem. Do licha. Tam, w Culiacán, Blondyn powtarzał jej zawsze, że ona nie nadaje się do samotnego życia. Nie jesteś taką dziewczyną. Ty musisz mieć faceta, który założy ci uzdę i będzie tobą kierował. Bo jesteś, jaka jesteś, milutka i słodka. I bardzo śliczna. Albo będziesz traktowana jak królowa, albo zginiesz. Nawet nie potrafisz usmażyć naleśników, bo i po co, przecież są restauracje. Poza tym lubisz takie życie, dziecinko. Lubisz też to, co z tobą robię, i jak to robię, i sama zobaczysz – śmiał się, szepcząc, przeklęty, cholerny Blondyn, dotykając wargami jej brzucha – jak źle ci będzie, kiedy dostanę to, co mi się należy, i wyślą mnie w podróż bez biletu powrotnego. Pif-paf! No, chodź tu, maleńka. Chodź do mnie, pocałuj i trzymaj mnie mocno, nie pozwól, żebym ci uciekł, przytul mnie z całej siły, bo kiedyś umrę i nikt mnie już nie przytuli. Już mi ciebie szkoda, kiedy pomyślę, co z tobą będzie, maleńka... Zupełnie sama. Kiedy mnie już nie będzie, a ty będziesz mnie wspominać i tęsknić za tym, pamiętaj, że nikt tego nie robi tak jak ja.

Zupełnie sama. Dziwne i jednocześnie znajome wydawało jej się teraz słowo „samotność”. Zawsze, kiedy Teresa słyszała je z ust innych ludzi albo kiedy wypowiadała je w myśli, widok, który pojawiał się jej przed oczami, nie był wizerunkiem jej samej, ale obrazem Blondyna w pewnym malowniczym miejscu, gdzie kiedyś byli razem. Może był to obraz jej samej, Teresy patrzącej na niego. Bo istniały też chwile ponure, za mrocznymi drzwiami, które Blondyn za sobą zatrzaskiwał, gdy pozostawał odległy o całe kilometry, jakby wcale nie wylądował na ziemi. Czasami wracał z pracy czy operacji, o których sam nigdy nie opowiadał, ale o których w całym stanie Sinaloa aż huczało, i siedział

milczący, bez typowej dla niego fanfaronady, ignorował jej pytania, jakby nadal był na wysokości pięciu tysięcy stóp, bardziej egoistyczny niż zazwyczaj, czymś pochłonięty. A ona, przygnębiona, nie wiedząc, co powiedzieć ani co zrobić, krążyła wokół jak niezręczne zwierzątko, szukając słowa czy gestu, który na powrót zbliżyłby go do niej. Przestraszona.

Wtedy on wychodził z domu i szedł do śródmieścia. Przez jakiś czas Teresa podejrzewała, że ma kochankę – na pewno miał kochanki, jak wszyscy, ale ona bała się, że ma jedną, wybraną. Szalała ze wstydu i zazdrości, więc któregoś ranka poszła za nim aż do bazaru Garmendia, kryjąc się między ludźmi, i zobaczyła, jak wchodzi do baru La Ballena: DOMOKRAŻCOM, ŻEBRAKOM I NIELETNIM WSTĘP WZBRONIONY. Napis przy wejściu nie wspominał o kobietach, ale wszyscy wiedzieli, że to jedna z niepisanych reguł obowiązujących w lokalu: wyłącznie piwo, wyłącznie dla mężczyzn. Długo, przeszło pół godziny, stała naprzeciwko, przed sklepem z butami, cały czas patrzyła na otwierające się drzwi i czekała, aż wyjdzie. Ale on nie wychodził, więc w końcu przeszła przez ulicę i weszła do restauracji obok, której sala łączyła się z barem. Zamówiła colę, podeszła do drzwi w głębi i rozejrzała się, zobaczyła salę całą zastawioną stołami, pod ścianą szafę grającą, z której Dos Reales śpiewali *Drogi życia*. Niesamowicie o tej porze wyglądało to miejsce: przy każdym ze stolików siedział samotny mężczyzna z butelką piwa. Po prostu. Przy każdym stoliku. Byli w wieku Blondyna lub zdecydowanie starsi, w kapeluszach z palmowych włókien albo w czapkach bejsbolowych na głowach, mieli opalone twarze, czarne lub siwe wąsy, i każdy pił w milczeniu, pogrążony we własnych myślach, nikt nie rozmawiał z nikim, wyglądem przypominali dziwnych, zamyślonych filozofów; niektóre butelki miały jeszcze papierowe serwetki nałożone na szyjki i wyglądało to tak, jakby z piwem podawano białe goździki. Wszyscy milczeli, pili i słuchali muzyki, bo od czasu do czasu ktoś wstawał i wrzucał kilka monet do szafy grającej; przy jednym ze stolików siedział Blondyn Dávila w swojej kurtce pilota, z nieruchomą blond głową, zupełnie sam, i wpatrywał się w pustkę. Tak płynęła minuta za minutą, a on przerywał bezruch tylko po to, żeby zdjąć serwetkę z butelki piwa Pacífico za siedem pesos i się napić. Dos Reales

przestali śpiewać i zastąpił ich José Alfredo z piosenką *Kiedy przemina lata*. Wtedy Teresa powoli odeszła od drzwi, wyszła na ulicę i wracając do domu, rozplakała się, bo nie mogła powstrzymać łez. Szlochała bez przerwy, sama nie wiedząc dlaczego. Może płakała nad Blondynem, może nad sobą samą. Nad latami, co przemijają.

Zrobiła to. Tylko dwa razy, od czasu kiedy przyjechała do Melilli. Blondyn miał rację. Nie spodziewała się zresztą niczego nadzwyczajnego. Pierwszy raz zrobiła to z ciekawości: chciała sprawdzić, co poczuje po tak długim czasie, mając w pamięci odległe wspomnienie swojego mężczyzny i – dużo bliższe i bardziej bolesne obecne w jej ciele i myślach – wspomnienie Kocura Fierrosa, jego okrutnego uśmiechu, brutalności. Choć stało się to przypadkiem, wybrała ze sporą ostrożnością, tak by uniknąć kłopotów i konsekwencji. Był to młody chłopak, żołnierz, który zaczepił ją, kiedy w wolny wieczór wychodziła z kina Nacional po obejrzeniu filmu o wojnie i przyjaźni – z Robertem De Niro – z głupim zakończeniem, gdzie bohaterowie grają w rosyjską ruletkę. Przypomniało się jej, jak kiedyś Blondyn ze swoim kuzynem, kiedy nadużyli tequili, tak samo wygłupiali się z rewolwerem, dopóki nie zaczęła na nich wrzeszczeć; zabrała broń i posłała ich spać, a oni rechotali zadowoleni – durne, nieobliczalne pijaczyny. Na to wspomnienie zrobiło jej się smutno i być może dlatego, kiedy podszedł do niej ten żołnierz – w koszuli w kratkę, jak ludzie w Sinaloa, wysoki, miły, z jasnymi włosami, krótkimi, tak samo jak Blondyn – pozwoliła się zaprosić na colę do Anthony's i słuchała jego banalnej gadaniny, i skończyła razem z nim na murach starego miasta, rozebrana od pasa w dół, oparta plecami o ścianę. Kot siedzący na ogrodzeniu przyglądał im się z zainteresowaniem, w jego oczach lśniło światło księżyca. Nic niemal nie poczuła, tak była zajęta obserwowaniem siebie samej, porównywaniem doznań i wspomnień, jakby znów podzieliła się na dwie osoby, i ta druga była kotem, który przyglądał się im beznamietnie i milcząco, jak cień. Chłopak chciał się z nią umówić, a ona odpowiedziała: no pewnie, kochanie, kiedyś na pewno, dobrze wiedząc, że nie zobaczy go nigdy więcej i jeśli któregoś dnia spotka go przypadkiem – Melilla to małe miasteczko – nie rozpozna go albo uda, że nie rozpoznaje. Nawet nie zapamiętała jego imienia.

Drugim razem miała cel praktyczny: był to policjant. Załatwianie dokumentów na pobyt tymczasowy przeciągało się i Dris Larbi doradził jej, jak przyspieszyć sprawę. Facet nazywał się Souco. Był inspektorem, któremu imigranci odpłacali się za przysługi, w średnim wieku, o znośnym wyglądzie. Przychodził od czasu do czasu do Dżamili – Teresa miała polecenie, żeby nie brać od niego pieniędzy za drinki – i trochę się znali. Podeszła do niego, a on bez ogródek przedstawił warunki. Jak w Meksyku, powiedział, choć ona nie miała pojęcia, co ten sukinsyn rozumie przez meksykańskie zwyczaje. Miała dwie możliwości: pieniądze albo to drugie. Jeśli chodzi o pieniądze, to Teresa oszczędzała każdy grosz, więc wybrała to drugie. Z jakąś dziwną męską próżnością, która nieco ją rozśmieszała, Souco bardzo się starał podczas tego spotkania w pokoju sto sześć w hotelu Avenida – Teresa ustaliła dokładnie, że chodzi o jedno spotkanie, nic więcej – i nawet wrażliwy na punkcie samooceny domagał się pochwały, kiedy nastąpiła pora na papierosa i chwilę lenistwa, leżąc z niezdetną jeszcze prezerwatywą. Odleciałam, powiedziała powoli, wkładając ubranie na skórę mokrą od potu. To znaczy, było ci dobrze? – zapytał. Jasne, odpowiedziała. Kiedy wróciła do domu, siedziała w łazience i zamyślona myślała się powoli, długo, potem zapaliła papierosa przed lustrem i przyglądała się uważnie wszystkim śladom przeżytych dwudziestu trzech lat, jakby się bała, że jej ciało nagle zmieni się w wyniku dziwnego przeobrażenia. Jakby się bała, że któregoś dnia zobaczy siebie samą przy stole, podobną do tamtych mężczyzn w barze w Culiacán; i że nie będzie potrafiła płakać, i nie rozpozna siebie.

Jednak Blondyn Dávila, dokładny w tym, co przewidział i czego nie przewidział, w jednym się pomylił. Teraz wiedziała, że od pewnego momentu wcale nie jest jej tak trudno żyć w samotności. Nie musiała już borykać się z przeciwnościami losu ani iść na żadne ustępstwa. Razem z odejściem Blondyna coś w niej umarło, choć niespecjalnie łączyło się to z jego osobą. Może była to jej naiwność albo nieuzasadnione poczucie bezpieczeństwa. Teresa dobrze poznała okrucieństwa ulicy, nędzę i życie w jego najokrutniejszych przejawach. I kiedy miała to już za sobą, wydawało się jej, że uciekła przed tym na zawsze, i nie chciała wiedzieć, że ten koszmar nadal istnieje, czai się za zdradliwie zamkniętymi

drzwiami i tylko czeka na okazję, żeby wniknąć przez pierwszą szczelinę i na nowo wstrząsnąć jej życiem. Myślisz, że koszmar jest już daleko, że jesteś bezpieczny, a ten naraz wślizguje się do środka. Wtedy, przynajmniej na początku, nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Była bardzo młoda – dziewczyna przemytnika, ładna i obłaskawiona, zajęta zbieraniem filmów wideo, porcelany i obrazków z pejzażami do powieszenia na ścianie. Taka jak inne. Zawsze gotowa dla swojego mężczyzny, który odpłacał jej luksusem. Super. Przy Blondynie wszystko kończyło się radośnie w łóżku. Po jakimś czasie zaczęła dostrzegać pewne niepokojące rzeczy, na które jednak nie zwracała większej uwagi. Zapowiedzi nieszczęścia. Ostrzeżenia, których Blondyn nie traktował serio, czy dokładniej – które mu zwisały i powiewały. Miał to gdzieś, bo był spryciarzem, cokolwiek by inni mówili. Bezczelny i przebojowy. Po prostu postanowił przeskoczyć płot, nie oglądając się na nic. Nawet na nią nie zaczekał, sukinsyn. I taki był skutek, że nagle pewnego pięknego dnia zadzwonił telefon i Teresa wylądowała na ulicy, na chłodzie, z torbą w jednej i z pistoletem w drugiej ręce. A potem sapanie Kocura Fierrosa i jego twardy członek wepchnięty w nią, huk wystrzałów, zaskoczenie na twarzy Potemkina Galveza, kaplica Malverdego i zapach hawańskiego cygara don Epifania Vargasa. I strach, który lepił się do skóry jak kopeć płonących świec, zagęszczając jej pot i słowa. I wreszcie – z poczuciem ulgi, że pewne rzeczy już minęły, i z lękiem przed niepewnością jutra – leciała samolotem ona sama, albo ta druga kobieta, która była do niej podobna i często ją obserwowała, widoczna w mroku za okrągłą szybą na wysokości trzech tysięcy metrów nad Atlantykiem. Madryt. Pociąg na południe. Statek kołyszący się na morzu i noc. Melilla. A teraz, po tej długiej podróży, Teresa już nie zapomni świstu tego bezlitosnego wichru tam, na zewnątrz. Nawet gdyby znów miała skórę i brzuch gotowe na przyjęcie kogoś, kto już nie będzie Blondynem. Nawet gdyby – zawsze się dziwnie uśmiechała na tę myśl – znów kogoś kochała albo uważała, że kocha. Ale może prawidłowa kolejność rzeczy jest taka: najpierw kochać, potem uważać, że się kocha, w końcu przestać kochać lub zacząć kochać wspomnienie. Teraz wiedziała – przerażało ją to, ale, paradoksalnie, również uspokajało – że można zagnieździć się

w samotności, tak samo jak zamieszkuje się w obcym mieście, w mieszkaniu ze starym telewizorem i łóżkiem, którego rama skrzypi, kiedy człowiek przewraca się z boku na bok w bezsennej noc. Wstajesz, żeby się wysikać, i spokojnie palisz, trzymając papierosa w palcach. Wchodzisz pod prysznic i ręką zwilżoną wodą i mydłem pieścisz swoje ciało z zamkniętymi oczami, przypominając sobie dotyk ust mężczyzny. I masz świadomość, że może to trwać całe życie i że, o dziwo, można się do tego przyzwyczaić. Pogodzić się z tym, że zestarzejesz się samotna i zgorzkniała, zakopana w tym mieście lub w jakimkolwiek innym zagubionym zakątku na ziemi, podczas gdy świat będzie się kręcił tak samo, jak robił to do tej pory, choć przedtem nie zwracałaś na to uwagi – niewzruszony, okrutny, obojętny.

Zobaczyła go tydzień później, przy targu na zboczu Montes Tirado. Poszła do sklepu kolonialnego Kif-Kif – jej apetyt na rzeczy pikantne przy braku meksykańskich *chiles* musiał przystosować się do ostrych przypraw arabskich – i wracając stamtąd z torbami w obu rękach, szukała cienia przy fasadach domów, żeby umknąć przed upałem poranka, który tutaj nie był wilgotny jak w Culiacán: był to suchy i ostry północnoafrykański skwar pustego koryta rzeki, opuncji, niskich gór i gołych kamieni. Zobaczyła go, kiedy wychodził ze sklepu elektrycznego z paczką pod pachą, i natychmiast go rozpoznała: to gość z Dżamili sprzed paru dni, ten, któremu pozwoliła dokończyć drinka, kiedy Ahmed ścierał podłogę, a dziewczyny zegnały się do następnego dnia. On też ją poznał, zmienił chodnik i podszedł do niej, ale nie za blisko, żeby nie przeszkadzała jej paczka, i uśmiechnął się tak samo jak wtedy znad szklanki whisky, bardziej oczami niż ustami, i powiedział: cześć. Ona też powiedziała: cześć, i poszła dalej, a on włożył paczkę do bagażnika samochodu zaparkowanego przy krawężniku; była odwrócona tyłem, ale wiedziała, że na nią patrzy, a kiedy zbliżała się do zakrętu, usłyszała jego kroki albo wydało się jej, że je słyszy. Wtedy zrobiła coś dziwnego, sama nie wiedząc dlaczego – zamiast iść prosto do domu, skręciła w prawo na targ. Chodziła bez celu, jakby szukając osłony pomiędzy ludźmi, choć nie potrafiłaby odpowiedzieć, gdyby ktoś ją o to spytał, przed czym się chroniła. Włóczyła się bez celu pośród barwnych straganów pełnych warzyw i owoców, pomiędzy sprzedawcami

i klientami, których głosy odbijały się od oszklonego sklepienia, błąkała się przez chwilę między stoiskami rybnymi i wyszła bramą na wprost kawiarni przy ulicy Comisario Valero. I nie odwracając się ani razu podczas całego długiego spaceru, dotarła wreszcie do domu. Prowadziły do niego pobielone wapnem schody w zaułku odchodzącym od Polígono, pełnym zielonych żaluzji i doniczek z pelargoniami wiszących na okiennych kratkach – wchodzenie i schodzenie dwa, trzy razy dziennie było niezłym ćwiczeniem; ze schodów był widok na dachy miasta, biało-czerwony minaret głównego meczetu i ciemną sylwetkę góry Gurugú w oddali, w Maroku. Spojrzała za siebie, wyjmując klucze z kieszeni lewisów. Zobaczyła, że on stoi spokojnie na rogu przed zaułkiem, jakby nie ruszał się z tego miejsca przez cały ranek. Słońce odbijało się od pobielonych ścian i od jego koszuli, barwiąc na złoto skórę na rękach i szyi, i rzucało na ziemię jego wyraźny i precyzyjny cień. Jeden ruch, jedno słowo, uśmiech nie na miejscu mogły sprawić, że odwróciłaby się na pięcie, otworzyła drzwi i zaraz je za sobą zamknęła, pozostawiając mężczyznę na dworze, z dala od domu i swojego życia. Ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, on nie ruszył się z miejsca, stał nadal na rogu, w świetle białych murów, w swojej białej koszuli. I jego zielone oczy zdawały się uśmiechać z daleka tak samo jak wtedy przy barze w Dżamili, kiedy powiedziała: czas zamykać, i zdawały się widzieć rzeczy, o których Teresa nie wiedziała. Jej terażniejszość i przyszłość. Być może dlatego, zamiast otworzyć drzwi i zamknąć je za sobą, postawiła torby na ziemi, usiadła na stopniu i wyjęła paczkę papierosów. Zrobiła to powoli i nie podniosła wzroku, kiedy mężczyzna wchodził po schodach i stanął naprzeciw niej. Na chwilę jego cień przesłonił słońce. Potem usiadł obok, na tym samym stopniu; patrząc ciągle w dół, zobaczyła jego niebieskie, mocno sprane spodnie. Szare sportowe buty. Zawinięte rękawy koszuli na rękach spalonych słońcem, szczupłych i silnych. Wodoodporny zegarek Seiko z czarnym paskiem na lewej ręce. Chrystusa na krzyżu wytatuowanego na prawym przedramieniu.

Teresa zapaliła papierosa, opuściła głowę i włosy opadły jej na twarz. Pochyliła się przy tym, niechcący, ku mężczyźnie, a on odsunął się, tak samo jak na ulicy, jakby nie chciał jej przeszkadzać. Nie patrzyła na

niego i wiedziała, że on też nie patrzy na nią. Paliła w milczeniu, chłodno analizując każde z uczuć i każde z doznań swojego ciała. Wniosek był zaskakująco prosty: lepiej blisko niż daleko. Naraz on się poruszył i przestraszyła się, że odejdzie. Po co mam mówić, że jest inaczej, jeśli jest właśnie tak? Podniosła głowę i odgarnęła włosy, żeby na niego spojrzeć. Miał ładny profil, wyrazisty podbródek, opaleniznę na twarzy i lekko zmarszczone czoło, bo ostre światło zmuszało do mrużenia oczu. Wszystko na swoim miejscu. Patrzył gdzieś daleko, na szczyt góry Gurugú i Maroko.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Wyjeżdżałem – mówił z nieco dziwnym akcentem, co zauważyła dopiero teraz, miał delikatnie śpiewną modulację głosu, jego hiszpański różnił się od języka, którego używano w tych stronach. – Wróciłem dziś rano.

Było tak, jakby powrócili do przerwanej kiedyś rozmowy. Dwoje starych znajomych, którzy się spotykają i żadne z nich nie jest tym zdziwione. Dwoje przyjaciół. Może dwoje kochanków.

– Mam na imię Santiago.

W końcu odwrócił się do niej. Albo jesteś bardzo sprytny, pomyślała, albo jesteś cudny. Zresztą wszystko jedno. Zielone oczy znów się uśmiechały, pewnie i spokojnie, i przyglądały się jej.

– Ja jestem Teresa.

Cicho powtórzył jej imię. Teresa, powiedział, jakby zastanawiając się, jakby z jakiegoś nieznanego im jeszcze powodu chciał się przyzwyczaić do jego brzmienia. Nadal przyglądał się jej, kiedy zaciągnęła się dymem i szybko go wypuściła – może podjęła właśnie decyzję; i kiedy rzuciła na ziemię niedopałek i wstała, on nie poruszył się, ciągle siedział na stopniu. Wiedziała, że będzie tak siedział, nie podejmując inicjatywy, jeśli nie ułatwi mu następnego kroku. I to wcale nie z braku pewności siebie czy z nieśmiałości, jasne. Najwyraźniej nie należał do takich. Jego spokój mówił, że to jest ich wspólna sprawa, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, i każdy musi zrobić, co do niego należy.

– Chodź – powiedziała.

Był inny, stwierdziła. Mniej pomysłowy i zabawny niż Blondyn. Z nim – młody chłopiec i policjant pod tym względem się nie liczą – nie było

śmiechów ani żartów, zuchwałości ani nieprzyzwoitości pełniących rolę wstępu czy pikantnej przyprawy. Prawdę mówiąc, wtedy, za pierwszym razem, prawie obyło się bez słów; ten mężczyzna milczał niemal przez cały czas, robił to powoli, z powagą. Bardzo precyzyjnie. Jego wzrok, spokojny nawet wtedy, nie odrywał się od niej ani na chwilę. Nie zamykał oczu ani nie odwracał spojrzenia. A kiedy smuga światła wdarła się przez szczelinę w żaluzji i rozświetliła kropelki potu na skórze Teresy, zielone błyski rozjaśniły się jeszcze bardziej, stałe uważne i przenikliwe, równie spokojne jak całe ciało, szczupłe i silne, które na nią nacierało, bez niecierpliwości, czego się spodziewała, ale z mocą i zdecydowaniem. Bez pośpiechu. Uważny na każde z doznań malujących się na twarzy kobiety i wyrażających się w drzeniu jej ciała, i kontrolujący siebie samego; przedłużał do końca każdy pocałunek, pieszczotę, każdą pozycję. Powtarzały się raz za razem te same wibracje, te same ruchy i reakcje, cały złożony splot impulsów: zapach naprężonego, nagiego i wilgotnego seksu. Ślina. Ciepło. Wrażliwość. Napór. Spokój. Przyczyny i skutki stające się nowymi przyczynami, identyczne sekwencje, pozornie nieskończone. I kiedy czuła zawrót głowy, jakby spadała z miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą unosiła się czy leżała bez przytomności, i niby budząc się, odpowiadała, przyspieszając rytm i wiodąc go tam, dokąd – wiedziała, czy też sądziła, że wie – każdy mężczyzna chce być doprowadzony, on lekko kręcił głową, sprzeciwiając się, i uśmiech w jego oczach stawał się wyraźniejszy, wymawiał niesłyszalne słowa, a raz nawet unióśł palec, żeby łagodnie ją napomnieć, poczekaj, szepnął, spokojnie, nawet nie mrugaj, cofnął się i zatrzymał na chwilę, z napiętymi wszystkimi mięśniami twarzy, skoncentrowany, żeby znów odzyskać kontrolę – czuła go wewnątrz siebie, był twardy i wilgotny, jak ona – naraz znów się zanurzył, powoli, jeszcze spokojniej i głębiej, do samego końca. A Teresa zdławiła jęk i wszystko zaczynało się od nowa, podczas gdy słońce w szparach żaluzji oślepiało ją krótkimi i gorącymi błyskami podobnymi do pchnięcia nożem. I wtedy, czując, że rwie się jej oddech, widząc go tak blisko, jakby i jego twarz, i usta, i oczy też były w niej, uwięziona między tym ciałem a zwiniętymi, mokrymi prześcieradłami, objęła go rękami, udami i wargami, i nagle pomyślała: Chryste Panie,

Matko Boska, nie mamy kondoma.

Dris Larbi nie lubił wtrącać się w życie prywatne swoich dziewczyn. A przynajmniej tak mówił. Był człowiekiem spokojnym, dbał o swoje interesy, uważał, że każdy musi sam sobie radzić, jak potrafi, pod warunkiem, żeby to nie on regulował za to rachunki. Miał tak ugodowy charakter, że – jak opowiadał – potrafił nawet zapuścić brodę, żeby tylko był zadowolony jego szwagier, durny fundamentalista, który mieszkał w Nadorze z jego siostrą i czwórką dzieci. Miał hiszpański dowód osobisty i marokański paszport, brał udział w wyborach, zabijał jagnię na dzień Aid el-Adha i płacił podatki od deklarowanych zysków w swoich oficjalnych interesach. To całkiem niezłe jak na człowieka, który w wieku dziesięciu lat znalazł się po tej stronie granicy ze skrzynką pucybuta w ręce i takimi samymi dokumentami, jakie posiada dziki zajac. To właśnie dbałość o interesy spowodowała, że Dris Larbi zaczął się chwilami mocno zastanawiać nad sytuacją Teresy Mendozy. Meksykanka bowiem stała się kimś wyjątkowym. Prowadziła księgowość Dżamili i znała część tajemnic firmy. Poza tym miała talent do liczenia, co było bardzo korzystne przy wielu sprawach. Bo trzy nocne kluby w mieście prowadzone przez Marokańczyka stanowiły tylko część o wiele bardziej złożonych interesów, obejmujących nielegalny wwóz imigrantów – przez niego nazywany prywatnym przewozem – do Melilli i na półwysep. Składały się na to przeprawy przez bariery graniczne, bezpieczne mety w Cañada de la Muerte i w starych domach w Real, opłacanie strażników w punktach kontrolnych, a także operacje bardziej skomplikowane – dwadzieścia, trzydzieści osób w jednym transporcie, przewozy w kutrach rybackich, na barkach i tratwach wyruszających z marokańskiego wybrzeża i lądujących potajemnie na andaluzyjskich plażach. Nieraz proponowano Drisowi Larbiemu, by wykorzystał tę infrastrukturę do transportu czegoś bardziej zyskownego, jednak on był nie tylko porządnym obywatelem i dobrym muzułmaninem, lecz także człowiekiem ostrożnym. Narkotyki są dobre i szybko dają zyski, jednak taka działalność, jeśli jest się kimś znanym i zajmuje się pewną pozycję po tej stronie granicy, prowadzi wcześniej

czy później przed sąd. Bo czymś innym jest posmarować rękę jednemu czy drugiemu policjantowi, żeby nie domagali się zbyt wielu papierów od dziewczyn czy od imigrantów, a zupełnie czymś innym jest kupić sędziego. Prostyucja i nielegalna imigracja wymagają znacznie mniej zachodu niż pięćdziesiąt kilo haszyszu. Bez tego jest mniej kłopotów. Pieniądze spływają wolniej, ale ma się pełną swobodę w ich wydawaniu, nie trzeba oddawać wszystkiego adwokatom i innym krwiopijcom. Na pewno nie.

Śledził ją kilka razy, nawet specjalnie się nie kryjąc. Udawał, że spotykają się przypadkiem. Sprawdził też, kim był ten facet: pochodził z Galicji, przyjeżdżał do Melilli co osiem, dziesięć dni, miał szybką łódź motorową Phantom, pomalowaną na czarno. Nie trzeba być enologiem czy etnologiem, czy jak się to nazywa, żeby stwierdzić, że ten płyn w tym kartonie to musi być wino. Na podstawie kilku rozmów z właściwymi ludźmi ustalił, że gość mieszka w Algeciras, łódź ma zarejestrowaną w Gibraltarze i nazywa się albo nazywano go – w tym środowisku nigdy nie wiadomo – Santiago Fisterra. Nienotowany, powiedział mu w tajemnicy pewien kapral z policji, który bardzo lubił, jak dziewczyny Drisa Larbiego robiły mu laskę w wozie patrolowym. To wszystko razem pozwoliło szefowi Teresy Mendozy wyrobić sobie jakie takie zdanie na temat faceta w dwóch aspektach: nieszkodliwy jako klient Dżamili, niewygodny jako kochanek Meksykanki. Niewygodny dla niego, jasne.

Myślał o tym wszystkim, przyglądając się tej parze. Jadąc samochodem, przypadkowo zobaczył ich, jak spacerowali niedaleko portu, w Mantelete, pod murami starego miasta; pojechał trochę naprzód, potem zawrócił, zaparkował i poszedł na piwo do Hogar del Pescador na rogu. Na placu, pod bardzo starym łukiem fortecy, Teresa i Galisyjczyk jedli arabskie szaszłyki, siedząc przy jednym z rozwalających się stolików obok kiosku. Do Drisa Larbiego dotarł zapach przyprawionego mięsa pieczonego na ruszcie i mocno musiał się powstrzymać – był bez obiadu – żeby nie podejść do nich i nie zamówić tego samego. Jako Marokańczyk uwielbiał te szaszłyki.

Właściwie one wszystkie są takie same, pomyślał. Takie niby rozsądne, a jak trafią na faceta, który im zrobi dobrze, opadają im klapki na oczy

i tracą cały rozum. Przez chwilę patrzył na nią z daleka, z piwem w ręce, próbując ustalić, jak ma się ta dziewczyna, którą znał, dyskretna i efektywna w pracy Meksykanka, do tej drugiej, ubranej w dżinsy, w butach na bardzo wysokim obcasie i w skórzanej kurtce, z włosami gładko związanymi na karku, z przedziałkiem pośrodku, na styl meksykański, rozmawiającej teraz z mężczyzną siedzącym obok niej w cieniu murów obronnych. Znowu pomyślał, że nie jest specjalnie ładna, jest całkiem zwyczajna, ale w niektórych momentach, a szczególnie kiedy się o to postara, wydaje się piękna. Ogromne oczy, bardzo ciemne włosy, białe zęby, młode ciało, na którym świetnie leżą obcisłe dżinsy, i przede wszystkim jej śpiewna mowa i sposób, w jaki słuchała, kiedy się do niej mówiło; jej milczenie i zamyślenie sprawiały, że rozmówca czuł się nie tylko wysłuchany, ale wręcz stawał się kimś ważnym. O przeszłości Teresy Dris Larbi wiedział tylko to, co niezbędne, i nie chciał wiedzieć więcej – miała kłopoty u siebie w kraju i ktoś z poważnymi wpływami znalazł jej kryjówkę. Widział, jak zsiadała z pokładu promu z Malagi ze swoją torbą podróżną, oszołomiona, zesłana do obcego świata, którego reguł nie znała. Tę gołąbeczkę zjedzą tutaj w pięć minut, pomyślał nawet. Ale Meksykanka wykazała niezwykłą zdolność przystosowywania się do wymogów nowego terenu, była jak pochodzący ze wsi młody żołnierz, przyzwyczajony do słonecznego żaru i zimna, który na wojnie potrafi wytrzymać najcięższe trudy i niedostatki, jakby zawsze żył w takich warunkach.

Dlatego zaskoczył go jej związek z Galisyjczykiem. Nie robiła wrażenia dziewczyny, która wdaje się w historie z klientem czy z byle kim, ale była raczej jedną z tych przemądrzałych. Z tych, które najpierw wszystko przemyślą. A jednak siedzi tutaj i zajada szaszłyk, nie odrywając oczu od Fisterry. Być może ma on przed sobą przyszłość – sam Dris Larbi jest dowodem, że w życiu można do czegoś dojść – ale na razie był zupełnie goły i najpewniej czekało go dziesięć lat w jakimś marokańskim czy hiszpańskim więzieniu albo pchnięcie nożem na jakimś rogu. Nawet więcej: był pewien, że Galisyjczyk miał coś wspólnego z ostatnią, i zupełnie niezwykłą, prośbą Teresy, aby mogła brać udział w prywatnych imprezach, jakie Dris Larbi organizował po

obu stronach granicy. Chciałabym tam pójść, zaproponowała któregoś dnia bez żadnych wyjaśnień; a on, całkiem zaskoczony, nie protestował. Dobrze, zgoda, czemu nie. I trzeba ją było zobaczyć – niby ta sama co w Dżamili za barem, poważna i rzeczowa, ale teraz z mocnym makijażem, bardzo dobrze zrobiona i ładna, z włosami zebranymi do tyłu i ciasno upiętymi na karku, z przedziałką pośrodku, ubrana w czarną krótką sukienkę z głębokim dekoltem, jakby przylepioną do zgrabnego ciała, i na bardzo wysokich obcasach; jej nogi – nigdy wcześniej Dris Larbi nie widział jej takiej – uznał za właściwie bardzo apetyczne. Wygląda zabójczo, pomyślał Marokańczyk, kiedy przyjechał po nią i po kilka Europejek – zabierał je na drugą stronę granicy po przeciwnej stronie Mar Chica do luksusowej willi na plaży Karia Arkeman. Potem, przez całą balangę – paru pułkowników, trzech wysokich urzędników, dwaj politycy i bogaty handlowiec z Nadoru – Dris Larbi nie spuszczał wzroku z Teresy, ciekawy, o co jej naprawdę chodzi. Podczas kiedy cztery Europejki, wspomagane przez trzy młodziutkie Marokanki, zabawiały gości w sposób przyjęty w tego typu sytuacjach, Teresa prowadziła rozmowę właściwie ze wszystkimi, po hiszpańsku i – w podstawowym zakresie – po angielsku, choć Dris Larbi nie miał pojęcia, że się nim posługuje, a on sam nie rozumiał zupełnie nic poza słowami *good morning*, *goodbye*, *fuck* i *money*. Teresa przez całą noc, stwierdził zdziwiony, była pobłażliwa, a nawet miła dla wszystkich, jakby rozmyślnie sondowała teren; oparła się zalotom jednego z miejscowych polityków, który o tej porze był już pełen wszystkiego, co można przyjąć, w stanie płynnym, stałym i lotnym, i wreszcie zdecydowała się na pułkownika królewskiej żandarmerii o nazwisku Chaib. A Dris Larbi, jak profesjonalny maître w hotelu czy restauracji, pozostawał dyskretnie w cieniu, czasem tylko wprowadzał jakąś drobną poprawkę, dając znak ruchem głowy czy uśmiechem i starając się, by wszystko działo się zgodnie z życzeniem jego gości – miał konto bankowe, trzy burdele do utrzymania i całe tuziny nielegalnych imigrantów, czekających na zielone światło, żeby przyjechać do Hiszpanii – i jako ekspert w dziedzinie kontaktów międzyludzkich mógł tylko podziwiać swobodę, z jaką Meksykanka uwodziła żandarma. A nie był to, stwierdził zmartwiony, pierwszy lepszy żandarm. Każdy

przemytnik, który chciał przewozić haszysz między Nadorem i Alhucemas, musiał płacić dodatkowy podatek, w dolarach, pułkownikowi Abdelkaderowi Chaibowi.

Teresa brała udział w jeszcze jednej imprezie, miesiąc później, na której też spotkała marokańskiego pułkownika. Ale kiedy patrzył, jak ze sobą szepczą na oddalonej sofie przy tarasie – tym razem było to komfortowe poddasze jednego z najbardziej luksusowych budynków Nadoru – Dris Larbi zaczął naprawdę się niepokoić i postanowił, że trzeciego razu nie będzie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie zwolnić jej z Dżamili, ale wiązały go pewne zobowiązania. Marokańczyk nie interesował się właściwymi powiązaniem w całym skomplikowanym łańcuchu przyjaciół przyjaciela ani ogniwami pośrednimi, bo w tych sprawach lepiej być ostrożnym i nikomu nie stawać na drodze. Nie mógł też wyprzeć się pewnej osobistej sympatii do Meksykanki – po prostu lubił ją. Nie do tego jednak stopnia, żeby pomagać w interesach Galisyjczykowi czy ułatwiać jej kontakty seksualne z Marokańczykiem. A poza tym Dris Larbi starał się trzymać jak najdalej od konopi indyjskich, w jakimkolwiek wariacie i w jakiegokolwiek postaci. Nigdy więcej, powiedział sobie. Jeśli zamierza pieprzyć się z Abdelkadarem Chaibem czy kimkolwiek innym, żeby załatwić interesy Santiago Fisterri, to na pewno nie on będzie jej słał łożko.

Ostrzegł ją, jak zazwyczaj to robił, nie wdając się w szczegóły. Powiedział i kwita. Pewnego wieczoru, kiedy razem wyszli z Dżamili i schodzili w stronę plaży, rozmawiając o dostawie dżinu zaplanowanej na następny ranek, Dris Larbi przy skrzyżowaniu z nadmorskim deptakiem zobaczył Galisyjczyka. Siedział na ławce i czekał. Bez żadnych wstępów, w połowie polecenia dotyczącego dżinu i płatności dla dostawcy, powiedział: on należy do takich, którzy nie zostają. Tylko tyle. Milczał przez kilka sekund i potem znów wrócił do tematu dżinu, a Teresa, kiedy to do niej dotarło, spojrzała na niego uważnie – nie tak, jakby nie rozumiała, ale jakby chciała zmusić go do dalszych wyjaśnień. Wreszcie Marokańczyk wzruszył ramionami i dodał: albo odchodzą, albo ich zabijają.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – odparła.

Powiedziała to tonem wyższości i z pewną pogardą, aż Dris Larbi poczuł

się trochę urażony. Za kogo właściwie się ma ta głupia córka Apaczów, pomyślał. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś przykrego albo – jeszcze się nie zdecydował – żeby przypomnieć Meksykance, że o kobietach i mężczyznach trochę się w swoim życiu dowiedział, handlując przez jego trzecią część dupami i ludzkimi losami, a jeśli jej się nie podoba, niech sobie poszuka innej roboty. Ale zachował milczenie, bo pojął, że chodzi jej nie o to, nie o kobiety i mężczyzn, którzy pieprzą się i znikają, ale o coś bardziej złożonego, czego on sam nie wiedział, a co chwilami, będąc dobrym obserwatorem, dostrzegał w spojrzeniu i milczeniu tej kobiety. Tamtej nocy, przy plaży, gdzie czekał Galisyjczyk, Dris Larbi zrozumiał, że komentarz Teresy mniej odnosił się do mężczyzn, którzy odchodzą, a bardziej do tych, których zabijają. Bo w świecie, z którego ona pochodziła, zabicie człowieka jest równie naturalnym sposobem odejścia jak każdy inny.

Teresa miała w torebce zdjęcie. Nosiła je w portfelu od dawna, od czasu kiedy Chińczyk Parra sfotografował ją z Blondynem Dávilą w dniu jej urodzin. Na zdjęciu byli tylko we dwoje, on, ubrany w kurtkę pilota, jedną ręką obejmował ją ramieniem, drugą zaczepił kciukiem o klamrę przy pasku. Wyglądał fantastycznie, uśmiechnięty do obiektywu, z tą swoją twarzą wysokiego, szczupłego Amerykanina. Jego wesoła mina kontrastowała z twarzą Teresy, na której słabo rysował się uśmiech niewinny i trochę speszony. Miała wtedy ledwo dwadzieścia lat i robiła wrażenie istoty bardzo delikatnej, a kiedy patrzyło się na jej szeroko otwarte po błysku flesza oczy i nieco wymuszony układ warg, widać było, że najwyraźniej nie udało jej się zarazić wesołością od mężczyzny, który ją obejmował. Być może, jak to zazwyczaj na zdjęciach, mina ta była zupełnie przypadkowa, bo aparat utrwalił chwilę wybraną na chybił trafił. Trudno jednak, wiedząc, co wydarzy się później, oprzeć się chęci interpretacji. Często obrazy, sytuacje i zdjęcia nie są naprawdę tym, czym są, dopóki nie nastąpi ciąg dalszy; jakby wcześniej pozostawały w zawieszeniu, były tymczasowe, czekały na późniejsze potwierdzenie lub sprostowanie. Zdjęcia robimy sobie nie po to, żeby mieć pamiątkę, ale po to, żeby później uzupełniać je resztą naszego życia. Dlatego są zdjęcia trafione i nietrafione. Obrazy, z których jedne czas umieszcza na swoim miejscu, przypisując im właściwe znaczenie, a odbiera sens

innym, które same blakną, podobnie jak kolory gasnące z czasem. Ta fotografia, noszona w portfelu, należała do zdjęć, które dopiero po latach nabierają znaczenia, choć kiedy się je robi, nikt jeszcze o tym nie wie. Najświeższa przeszłość Teresy nadawała staremu zdjęciu przyszłość nieubłaganą i spełnioną. Teraz, z drugiego brzegu, łatwo było czytać i interpretować. Wszystko stawało się oczywiste – zachowanie Blondyna, wyraz twarzy Teresy, nieśmiały uśmiech, zakłopotanie spowodowane obecnością aparatu fotograficznego. Uśmiechała się, żeby sprawić przyjemność swojemu mężczyźnie – chodź tu, maleńka, popatrz w obiektyw i pomyśl, jak bardzo mnie kochasz – a w jej oczach kryło się przecucie. Posępna zapowiedź przyszłości.

Teraz, siedząc z innym mężczyzną pod murami starej Melilli, Teresa myślała o tym zdjęciu. Myślała o nim dlatego, że kiedy tylko tu przyszli, w chwili gdy jej towarzysz zamawiał arabskie szaszłyki pieczone na węglowym ruszcie, podszedł do nich uliczny fotograf ze starą yashicą powieszoną na szyi, i kiedy mówili: nie, dziękujemy, zaczęła się zastanawiać, jaką przyszłość odczytaliby pewnego dnia z tego zdjęcia, którego sobie nie zrobili, gdyby patrzyli na nie po latach, kiedy wszystko już się wypełni, jakie zapowiedzi odkryliby w tej scenie u stóp murów, z morzem szumiącym o parę kroków dalej i falami rozbijającymi się o skały za arkadą średniowiecznego muru, za którym widać kawałek intensywnie niebieskiego morza, z zapachem alg i prastarych kamieni, i śmieci na plaży, łączącym się z aromatem przyprawionych szaszłyków złocących się na węglowym żarze.

– Dziś w nocy wyjeżdżam – powiedział Santiago.

Był to już szósty raz, od kiedy się poznali. Teresa przeczekała kilka sekund, zanim na niego spojrzała, i skinęła głową.

– Dokąd?

– Co za różnica. – Spojrzał na nią poważnie, zakładając, że dla niej mogła to być zła wiadomość. – Mam robotę.

Teresa wiedziała, o jaką robotę chodzi. Po drugiej stronie granicy wszystko było przygotowane, dlatego że ona sama się tym zajęła. Abdelkader Chaib obiecał jej – a tajne konto pułkownika w Gibraltarze wyraźnie ostatnio wzrosło – że nie będzie problemów przy załadunku. Santiago od tygodnia czekał na sygnał, siedząc w swoim pokoju

w hotelu Amfora, a Lalo Veiga pilnował łodzi w jednej z zatok na marokańskim wybrzeżu, w pobliżu Punta Bermeja. Czekał na towar. I właśnie dostał ten sygnał.

– Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Najdalej za tydzień.

Teresa znów skinęła głową, jakby tydzień był właściwym określeniem czasu. Kiwnęłaby tak samo, gdyby usłyszała dzień. Albo miesiąc.

– Robi się ciemno – zauważył.

Może dlatego siedzę tutaj z tobą, pomyślała. Księżyc jest w nowiu i masz robotę, a ja pewnie jestem skazana na powtarzanie tej samej śpiewki. Pytanie tylko, czy chcę ją powtarzać. Czy mi to odpowiada, czy nie.

– Bądź mi wierna – poprosił Santiago, a może jego uśmiech.

Popatrzyła na niego, jakby wracała z bardzo daleka. Z tak daleka, że musiała się zastanowić, o co do cholery mu chodzi.

– Postaram się – odpowiedziała, kiedy wreszcie do niej dotarło.

– Tereso...

– Co?

– Nie musisz tu zostawać.

Patrzył jej w twarz, prawie szczerze. Oni wszyscy patrzą w twarz prawie szczerze. Nawet wtedy, gdy kłamią albo składają obietnice, których nigdy nie spełnią. Robią to mimowolnie.

– Nie chrań. Już o tym rozmawialiśmy.

Otworzyła torbę i szukała paczki papierosów i zapalniczki. Bisonte. Mocne papierosy bez filtra, do których przypadkiem się przyzwyczała. W Melilli nie było farosów. Zapaliła, a Santiago ciągle patrzył na nią w ten sam sposób.

– Nie podoba mi się twoja praca – odezwał się po chwili.

– A mnie twoja zachwyca.

To zdanie zabrzmiało jak wyrzut, którym w rzeczywistości było, i zawierało w czterech słowach mnóstwo treści. Spuścił wzrok.

– Chciałem powiedzieć, że nie potrzebujesz tego Araba.

– Ale ty potrzebujesz innych Arabów. I potrzebujesz mnie.

Mimo woli pojawiły się wspomnienia. Pułkownik Abdelkader Chaib miał około pięćdziesiątki i nie był wcale straszny. Ambitny egoista, jak

wszyscy mężczyźni, i człowiek rozsądny, jak wszyscy mężczyźni inteligentni. Potrafił też, jeśli tylko chciał, okazać dobre maniere i uprzejmość. Dla Teresy był miły i nigdy nie żądał więcej, niż mogła mu zaproponować, nigdy też nie traktował jej jak dziwki, którą nie była. Przywiązywał wagę do interesów i doceniał systemy zabezpieczeń. Ją też doceniał, w pewnym sensie.

– Już nigdy więcej.

– Jasne.

– Przysięgam. Dużo o tym myślałem. Już nigdy więcej.

Był bardzo poważny, a ona odwróciła się bokiem. Zobaczyła Drisa Larbiego po drugiej stronie placu, w Hogar del Pescador. Stał z piwem w ręku i patrzył na ulicę. Albo na nich. Podniósł butelkę, jakby w geście pozdrowienia, a ona skinęła głową w odpowiedzi.

– Dris to dobry człowiek – powiedziała, odwracając się do Santiago.

– Szanuje mnie i płaci.

– To pieprzony arabski alfons i sukinsyn.

– A ja jestem pieprzoną indiańską kurwą.

Nie odezwał się, a ona paliła w milczeniu, zła, słuchając szumu morza po drugiej stronie arkady w murach. Santiago bawił się metalowymi szpikulcami leżącymi na plastikowym talerzu. Jego szorstkie dłonie były silne i opalone, Teresa знаła je dobrze. Miał na ręce ten sam zegarek, tani i dokładny, żadnych bransoletek czy obrączek. Światło odbite od pobielonych murów złociło włosy na pokrytym tatuażem przedramieniu. Rozjaśniało też jego oczy.

– Możesz pojechać ze mną – odezwał się wreszcie. – W Algeciras jest przyjemnie. Spotykalibyśmy się codziennie. Z dala od tego wszystkiego...

– Nie wiem, czy chcę cię spotykać codziennie.

– Dziwna jesteś. Cholernie dziwna. Nie wiedziałem, że Meksykanki są takie.

– Nie wiem, jakie są Meksykanki. Wiem, jaka ja jestem – zastanowiła się chwilę. – Czasem wydaje mi się, że wiem.

Rzuciła niedopałek na ziemię i przydeptała. Potem odwróciła się, żeby zobaczyć, czy Dris Larbi nadal stoi w barze naprzeciwko. Już go nie było. Wstała, mówiąc, że ma ochotę się przejść. Sięgając po pieniądze

do tylnej kieszeni spodni, Santiago przyglądał się jej, ciągle siedząc, i teraz jego mina była zupełnie inna. Zawsze potrafił tak się uśmiechnąć, żeby rozpędzić wiszące nad nią najczarniejsze chmury. Żeby zrobiła to czy tamto. Łącznie z Abdelkaderem Chaibem.

– Do licha, Tereso.

– Co takiego?

– Czasem jesteś jak dziecko, i bardzo to lubię – podniósł się, zostawiając na stole kilka monet. – To znaczy kiedy chodzisz i w ogóle. Ruszasz tyłkiem, odwracasz się i mam ochotę natychmiast cię przetrząść jak soczysty owoc. A te twoje piersi...

– Co z nimi?

Santiago pokręcił głową, szukając odpowiedniego określenia.

– Są ładne – orzekł poważnie. – Najładniejsze cycki w Melilli.

– Coś takiego! To ma być hiszpański komplement?!

– No, nie wiem... – poczekał, aż skończy się śmiać. – Ale to mi przyszło do głowy.

– I nic więcej?

– Nie. Podoba mi się twój sposób mówienia. I twoje milczenie. Przez nie staję się... Sam nie wiem jaki... Różnie. Czasem mnie rozczula.

– To dobrze. Miło, że czasem zapominasz o moich cyckach i rozczulasz się.

– O niczym nie muszę zapominać. Twoje cycki i moje rozczulenie dają się pogodzić.

Zdjęła buty i ruszyli po brudnym piasku ku nadbrzeżnym skałom, pod kamiennymi murami z otworami strzelniczymi na górze, z których wyzierały zardzewiałe działa. W oddali majaczył błękitny zarys przylądka Tres Forcas. Chwilami morska piana moczyła im stopy. Santiago trzymał ręce w kieszeniach, od czasu do czasu zatrzymywał się, w obawie że Teresa może się poślizgnąć na zielonych glonach pokrywających mokre kamienie.

– Czasami znowu – dodał naraz, jakby cały czas o tym myślał – patrzę na ciebie i nagle wydajesz mi się dużo starsza... Jak dziś rano.

– A co się stało dziś rano?

– Kiedy się obudziłem, byłaś w łazience, wstałem, żeby na ciebie popatrzeć, a ty stałaś przed lustrem, oblewałaś twarz wodą i przyglądałaś

się sobie, jakbyś siebie nie rozpoznawała. Miałaś twarz staruszki.

– Brzydką?

– Bardzo brzydką. Dlatego chciałem, żebyś natychmiast wyładniała, wziąłem cię na ręce i zaniósłem do łóżka, i kotłowaliśmy się dobrą godzinę.

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz, co robiliśmy w łóżku?

– Nie pamiętam, żebym była brzydka.

Pamiętała doskonale, oczywiście. Obudziła się bardzo wcześnie, z pierwszą szarą jasnością. Z pianiem kogutów o świcie. Z głosem muezina na minarecie meczetu. Z tykaniem budzika na szafce nocnej. Nie mogła zasnąć ponownie i przyglądała się, jak światło stopniowo bieli sufit sypialni. Santiago spał na brzuchu, ze zmierzwionymi włosami, z twarzą wtuloną w poduszkę, ostrą, świeżo wyrosniętą brodą dotykał swojego ramienia. Oddychał ciężko i prawie wcale się nie poruszał, jakby nie żył. Poczula nagły lęk, który kazał jej wyskoczyć z łóżka, pójść do łazienki, odkręcić kran i kilkakrotnie zmoczyć twarz, podczas kiedy kobieta patrząca na nią z lustra bardzo przypominała tamtą, z mokrymi włosami, która pojawiła się, gdy zadzwonił telefon w Culiacán. A potem odbicie Santiago za nią, jego oczy opuchnięte od snu, tak samo nagi jak ona; objął ją i zaniósł z powrotem do łóżka, gdzie kochali się na zmiętych prześcieradłach, które miały zapach ich dwojga, nasienia i splątanych ciał. A potem zjawy zniknęły w półmroku brudnego poranka – nie ma na świecie niczego równie brudnego jak ten niepewny półmrok brudnego poranka, bo światło dnia, kiedy wdziera się strumieniem przez żaluzje, odsyła duchy do diabła.

– Kiedy jestem z tobą, czuję, że chwilami odchodzisz ode mnie gdzieś daleko, rozumiesz? – Santiago patrzył na błękit morza pomarszczonego falami, które rozbijały się o nadbrzeżne głazy. – Wszystko mam pod kontrolą, i nagle: ciach! Odchodzisz.

– Jadę do Maroka.

Popatrzył na nią tym swoim znajomym, niemal przezroczystym spojrzeniem.

– Nie wygłupiaj się. Powiedziałem, że to się już skończyło.

I znów ten uśmiech, który wszystko wymazuje. Jest taki cudny, że

zjadłabym go na miejscu, pomyślała. Cholerny przemytnik, syn swojej pieprzonej matki.

– Ty też czasami odchodzisz – powiedziała. – Strasznie daleko.

– Ja to co innego. Mam trochę spraw, które mnie martwią... To znaczy spraw bieżących. Z tobą jest inaczej.

Zamilkł na chwilę. Wydawało się, że szuka trudnej do wyrażenia myśli.

– Ty – w końcu się odezwał – masz jakiś problem, który był już, zanim cię poznałem.

Przeszli jeszcze parę kroków i zawrócili w kierunku arkady w murach. Staruszek handlujący szaszłykami sprzątał ich stół. Teresa wymieniła z nim uśmiech.

– Nigdy mi nie opowiadasz o Meksyku – powiedział Santiago.

Oparła się o niego, wkładając buty.

– Niewiele jest do opowiadania – odrzekła. – Tam ludzie wykańczają się nawzajem za narkotyki czy za parę pesos, albo ich wykańczają, bo mówią, że to komuniści, albo przychodzi huragan i wykańcza wszystkich równo.

– Miałem na myśli ciebie tam w Meksyku.

– Jestem ze stanu Sinaloa. Ostatnio dość urażona w swojej dumie. Ale uparta, że aż strach.

– I co jeszcze?

– Nic więcej. Ja przecież nie wypytuję o twoje życie. Nie wiem nawet, czy jesteś żonaty.

– Nie jestem. – Poruszał palcami tuż przed jej oczyma. – I wkurza mnie, że nie zapytałaś o to aż do dzisiaj.

– Nie pytam. Mówię tylko, że tego nie wiem. Taki był układ.

– Jaki układ?! Nie pamiętam żadnych układów.

– Żadnych zbędnych pytań. Pojawiasz się, ja tu jestem. Odchodzisz, ja zostaję.

– A co z przyszłością?

– O przyszłości porozmawiamy, kiedy nadejdzie.

– Dlaczego chodzisz ze mną do łóżka?

– Dlaczego z tobą?

– No właśnie.

Stanęła naprzeciwko niego, wzięła się pod boki, opierając ręce na

biodrach, jakby zamierzała zaśpiewać mu piosenkę country.

– Bo jesteś zabójczo przystojny. – Mierzyła go wzrokiem od stóp do głów, powoli, z uznaniem. – Bo masz niebieskie oczy, nieprzyzwoicie fantastyczny tyłek, silne ramiona... Bo jesteś nie całkiem egoistycznym sukinsynem. Bo potrafisz być równocześnie twardy i czuły... Wystarczy? – Czuła, że mimo woli tężeją mięśnie jej twarzy. – I dlatego, że jesteś podobny do człowieka, którego kiedyś znałam.

Santiago patrzył na nią. Zdezorientowany, oczywiście. Wyraz polechtanej próżności w jednej sekundzie zniknął z jego twarzy, a ona odgadła jego słowa, zanim je wypowiedział.

– Nie podoba mi się, że ci kogoś przypominam.

Co za pieprzony palant! Cholerne dupki. Beznadziejnie prości są wszyscy faceci. I strasznie głupi. Nagle poczuła, że musi uciąć tę rozmowę.

– Dobra. Nie powiedziałam, że mi kogoś przypominasz. Powiedziałam, że jesteś do kogoś podobny.

– A ty nie zapytasz, dlaczego chodzę z tobą do łóżka?

– Poza tym, że ci się przydaję na imprezach Drisa Larbiego?

– Poza tym.

– Bo fantastycznie ci w mojej cipce. Bo czasami czujesz się samotny.

Przesunął ręką po włosach, zakłopotany. Potem chwycił ją za ramię.

– A gdybym sypiał też z innymi? Byłoby ci wszystko jedno?

Powoli uwolniła ramię z uścisku, po prostu odsuwając je stopniowo, aż poczuła, że już jej nie trzyma.

– Jestem pewna, że sypiasz też z innymi.

– W Melilli?

– Nie, to wiem. Nie tutaj.

– Powiedz, że mnie kochasz.

– Proszę bardzo. Kocham cię.

– To nieprawda.

– A co za różnica? Kocham cię.

Nietrudno mi było poznać życiorys Santiago Fisterry. Przed wyjazdem do Melilli uzupełniłem wiadomości uzyskane na policji w Algeciras szczegółowymi danymi z akt urzędu celnego, pełnymi dat i nazw miejscowości. Urodził się w O Grove, rybackiej wiosce w estuarium

Arosy. Dlatego wiem, że kiedy poznał Teresę, skończył właśnie trzydzieści dwa lata. Jego życiorys był właściwie typowy. Pływał na kutrach rybackich od czternastego roku życia, a po odbyciu służby wojskowej w marynarce zaczął pracować dla szefów mafii przemytniczych działających w galisyjskich portach, dla takich ludzi jak Charlines, Sito Minanco, bracia Pernas. Trzy lata przed poznaniem Teresy, według akt celnych, mieszkał w Villagarcii i pływał na łodzi motorowej należącej do klanu Pedrusquiños, znanej rodziny przemytników papierosów, która rozszerzała wtedy swoją działalność o przemyt marokańskiego haszyszu. W tamtych czasach Fisterze płacono za każdą pojedynczą wyprawę – jego praca polegała na tym, że w szybkich łodziach przewoził tytoń i narkotyki ze statków i rybackich kutrów pływających poza obszarem hiszpańskich wód terytorialnych, wykorzystując skomplikowaną linię brzegową Galicii. Było to przyczyną niebezpiecznych starć ze służbami ochrony wybrzeża, z celnikami i żandarmerią; podczas jednej z tych nocnych wypraw, kiedy umykał przed pościgiem ostrymi zygzakami między platformami do hodowli małży przy wyspie Cortegada, zaświecił reflektor – a może zrobił to jego drugi pilot, młody Lalo Veiga – żeby oślepić prześladowców w trakcie jednego z manewrów, i celnicy rozbili się o platformę. Rezultat: jeden zabity. Ta historia była opisana tylko z grubsza w policyjnych raportach; wykręciłem bezowocnie kilka numerów telefonicznych, aż dopiero pisarz Manuel Rivas, Galisyjczyk, mój przyjaciel mieszkający w tamtych okolicach – ma dom na Costa de la Muerte – uruchomił swoje kontakty i potwierdził to zdarzenie. Jak mi powiedział Rivas, nikt nie udowodnił udziału Fisterri w zajściu, ale miejscowi celnicy, równie zawzięci jak przemytnicy – wychowali się przecież w tych samych miejscach i pływali na takich samych łodziach – przysięgli sobie, że przy pierwszej okazji poślą go na dno. Oko za oko. To sprawiło, że Fisterra i Veiga opuścili region Rías Bajas, w poszukiwaniu zdrowszego powietrza dotarli do Algeciras, miasta leżącego w cieniu gibraltarskiej skały, pod śródziemnomorskim słońcem i nad niebieską wodą. A tam, korzystając z liberalnego brytyjskiego prawa, zarejestrowali za pośrednictwem osób trzecich potężną motorówkę długości siedmiu metrów, z sześciocylindrowym silnikiem Yamaha o mocy 225 koni,

podrasowanym do 250, którą poruszali się między brytyjską kolonią, Marokiem i hiszpańskim wybrzeżem.

– W tamtych czasach – wyjaśnił mi w Melilli Manolo Céspedes po rozmowie z Drisem Larbim – kokaina była tylko dla najbogatszych. Większość przemytu stanowiły papierosy z Gibraltaru i marokański haszysz – dwa zbiory i dwa tysiące pięćset ton konopi indyjskich wędruje potajemnie do Europy każdego roku. To wszystko przedostawało się oczywiście tędy. I nadal tak jest.

Jedliśmy kolację, siedząc przy stole w La Amistad: restauracji znanej wśród mieszkańców Melilli jako knajpa U Manola, która mieści się naprzeciwko siedziby żandarmerii, wybudowanej na polecenie samego Céspedesa w czasach, kiedy sprawował władzę. Właściciel knajpy w rzeczywistości wcale nie miał na imię Manolo, tylko Mohammed, choć był też znany jako brat Juanita, właściciela restauracji U Juanita, który z kolei wcale nie miał na imię Juanito, tylko Hassan – labirynty nazewnictwa typowe dla miast wielokulturowych, takich jak Melilla. La Amistad była popularną knajpą, z plastikowymi krzesłami i stołami, i z barem przekąskowym, odwiedzaną przez Europejczyków i muzułmanów, którzy często na stojąco jedli tam obiad czy kolację. Kuchnia rzeczywiście była nadzwyczajna, oparta na rybach i świeżych owocach morza, które Manolo – Mohammed – osobiście kupował każdego ranka na głównym rynku. Tamtego wieczoru Céspedes i ja pochłanialiśmy *coquinas*, duże krewetki z Mar Chica, i wąłusza z patelni, przy butelce zimnego barbadillo. Wszystko smakowało nam znakomicie, rzecz jasna. A że hiszpańskie łowiska są starannie trzebione przez rybaków, coraz trudniej znajduje się podobne smakołyki na wodach wokół Półwyspu Iberyjskiego.

– W czasach, kiedy pojawił się Santiago Fisterra – ciągnął Céspedes – niemal cały ważny przemyt odbywał się tu na szybkich łodziach. Przyjechał tutaj, bo szybkie łodzie były jego specjalnością i dlatego, że wielu Galisyjczyków chciało osiąść w Ceucie, Melilli i na wybrzeżu andaluzyjskim. Kontakty nawiązywano tutaj albo w Maroku. Ta okolica była najbardziej uczęszczana, wody cieśniny, właśnie te czternaście kilometrów między przylądkami Carnero i Cires: drobni przemysłowcy na promach do Ceuty, wielki szmugiel na jachtach, kutrach rybackich

i motorówkach. Taki był tutaj ruch, że ten obszar zyskał sobie nazwę Bulwar Haszyszu.

– A Gibraltar?

– Tutaj, w samym środku tego wszystkiego. – Céspedes wskazał na paczkę winstonów leżącą na obrusie i widelcem narysował krąg wokół niej. – Jak pajak w sieci. W tamtych czasach był najważniejszą bazą przemytu w zachodniej części Morza Śródziemnego. Anglicy i lokalna ludność kolonii pozwalali swobodnie działać mafiom. Niech pan będzie uprzejmy tutaj inwestować, proszę nam powierzyć swoją kasę, oferujemy ułatwienia celne i portowe... Przemyt papierosów szedł bezpośrednio z portowych magazynów na plażę przy La Línea, tysiąc metrów dalej. Prawdę mówiąc, nadal tak jest – znowu wskazał na paczkę papierosów – one też są stamtąd. Bez cła i podatków.

– I nie wstyd ci? Żeby dawny szef policji oszukiwał monopol tytoniowy...

– Nie chrzań. Teraz jestem emerytem. Wiesz, ile palę dziennie?

– A Santiago Fisterra?

Céspedes przeżuł kęs ryby, niespiesznie smakując. Potem wypił łyk barbadillo i spojrzał na mnie.

– Nie wiem, czy palił, czy nie, ale na pewno nie przemycał papierosów. Jedna podróż z haszyszem dawała tyle samo co sto z winstonami albo marlboro. Haszysz był bardziej opłacalny.

– I bardziej niebezpieczny, rozumiem.

– Dużo bardziej. – Céspedes starannie wysysał główki krewetek i układał je równo na brzegu talerza, jak do defilady. – Jeśli wcześniej nie posmarowałeś starannie Marokańczykom, byłeś załatwiony. Popatrz na biednego Veigę... Z Anglikami nie było problemów, oni działali jak zawsze, w zgodzie ze swoją podwójną moralnością. Dopóki narkotyki nie lądowały na brytyjskiej ziemi, umywali ręce... Przemytnczy wozili swój towar w tę i z powrotem, wszyscy ich znali. A kiedy zaskakiwała ich hiszpańska straż przybrzeżna albo celnicy, mogli chronić się w Gibraltarze. Pod warunkiem że wcześniej wyrzucą cały szmugiel za burtę.

– Tak po prostu?

– Tak, całkiem bezczelnie. – Znowu wskazał widelcem na paczkę

papierosów, tym razem uderzając lekko. – Czasami tym w motorówkach pomagali ludzie, siedzący wysoko na skale i zaopatrzeni w noktowizory i radionadajniki, zwani małpami, informujący, co porabiają celnicy. Gibraltar był centrum tego całego przemysłu, obracało się tu milionami. Marokańscy żandarmi, gibraltarska i hiszpańska policja, wszyscy brali, bez wyjątku. Nawet mnie chcieli kupić – zaśmiał się przez zęby, z kieliszkiem białego wina w ręce. – Ale mieli pecha. W tamtych czasach to ja kupowałem innych.

Potem Céspedes westchnął. Teraz, powiedział, dokańczając ostatnią krewetkę, jest inaczej. W Gibraltarze inaczej obraca się pieniędzmi. Przejdź się po Main Street i policz skrzynki pocztowe wirtualnych firm, które tam znajdziesz. Umrzesz ze śmiechu. Stwierdzili, że raj podatkowy daje większe zyski niż gniazdo piratów, choć tak naprawdę to jest to samo. Policz sobie klientów – Costa del Sol jest kopalnią złota, każda zagraniczna mafia lokuje się tu na wszelkie możliwe sposoby. Poza tym z powodu nielegalnej imigracji hiszpańskie wody terytorialne od Almerii do Kadyksu są pilnie strzeżone. I choć haszysz ciągle jest grany, koka wchodzi coraz ostrzej, a tu metody są całkiem inne. Można powiedzieć, że skończyły się czasy rzemieślników i bohaterów – teraz ludzie w białych kołnierzykach i krawatach zastępują starych wilków morskich. Wszystko się decentralizuje. Motorówki zmieniły właścicieli, taktykę i bazy wypadowe. Teraz to inne pastwiska.

Powiedziawszy to wszystko, Céspedes oparł się wygodnie na krześle, poprosił Manola-Mohammeda o kawę i zapalił papierosa wolnego od cła i podatków. Jego twarz starego szulera promieniała rozmarzona, uniósł brwi, jakby mówiąc: ale co się ubawiłem, to moje. Zrozumiałem, że dawny szef policji nie tylko tęskni za starymi czasami, ale też za pewnym rodzajem ludzi.

– Kiedy Santiago Fisterra – zakończył – pojawił się w Melilli, w całej Cieśninie Gibraltarskiej było pełno roboty. Czasy golden ejdż, jak by się tu powiedziało. Ale żeby za jednym zamachem odbyć podróż w tę i z powrotem, do tego trzeba mieć jaja. Każdej nocy trwała zabawa w kotka i myszkę między przemytnikami z jednej strony a celnikami, policjantami i strażą graniczną z drugiej. Raz się wygrywało, raz przegrywało. – Głęboko zaciągnął się papierosem i zmrużył lisie oczka.

– Teresa Mendoza, zmykając przed deszczem, wpadła prosto pod rynnę. Mówiło się, że to Dris Larbi wydał Santiago Fisterre; i że zrobił to wbrew pułkownikowi Abdelkaderowi Chaibowi, choć możliwe, że za jego zgodą. Takie rzeczy zdarzały się często w Maroku, gdzie wielu przemytników działało na własną rękę i nie chroniły ich ani wielkie pieniądze, ani polityka: jakieś nazwisko rzucone tu czy tam, zmiana właściciela kilku banknotów. Policja też była zachwycona poprawą statystyk. Jednak nie udowodniono, że Marokańczyk miał z tą sprawą coś wspólnego. Kiedy zadałem mu pytanie na ten temat – zachowałem je na nasze ostatnie spotkanie – zamknął się jak ostryga i nie można było z niego wyciągnąć ani słowa. Było mi bardzo miło. Koniec zwierzeń, żegnam na zawsze. Ale Manolo Céspedes, który w tamtych czasach był jeszcze szefem policji w Melilli, utrzymuje, że to Dris Larbi, starając się odsunąć Galisyjczyka od Teresy, dał cynk zaufanym ludziom po drugiej stronie granicy. Generalnie działano według zasady „płać i przemycaj”. *Allah bismillah*. Z Bogiem. Korupcja rozciągała się od gór, gdzie uprawiano konopie, aż po granicę i wybrzeże marokańskie. Płatności wzrastały proporcjonalnie do miejsca w hierarchii służbowej: policja, wojsko, politycy, wysocy urzędnicy i członkowie rządu. Jako usprawiedliwienie przed opinią publiczną – bo przecież marokański minister spraw wewnętrznych uczestniczył jako obserwator na sesjach Parlamentu Europejskiego poświęconych walce z handlem narkotykami – żandarmeria i wojsko przeprowadzały okresowe aresztowania, zawsze jednak na małą skalę, zatrzymując jedynie tych, którzy nie należeli do wielkich mafii i których eliminacja nikomu nie szkodziła. Często ich wydawali czy zatrzymywali ci sami, którzy byli ich „kontaktami” w biznesie.

Major Benamú ze straży przybrzeżnej Królewskiej Żandarmerii Maroka nie miał żadnych obiekcji, żeby opowiedzieć mi o swoim udziale w wydarzeniach w Cala Tramontana. Zrobił to na tarasie kawiarni Hafa w Tangerze, kiedy nasz wspólny znajomy, inspektor policji José Bedmar, weteran z Centralnej Brygady i były agent wywiadu z czasów Céspedes, odnalazł go i zorganizował nasze spotkanie, polecając mnie gorąco faksem i telefonicznie. Benamú okazał się człowiekiem miłym, eleganckim, nosił przystrzyżony wąsik, który nadawał mu wygląd

latynoskiego amanta z lat pięćdziesiątych. Był ubrany po cywilnemu, w marynarkę i białą koszulę bez krawata, przez godzinę bez mrugnięcia okiem mówił do mnie po francusku, aż wreszcie, kiedy zyskałem nieco jego zaufania, przeszedł na niemal bezbłędny hiszpański. Opowiadał ładnie, z poczuciem czarnego humoru, od czasu do czasu wskazując na morze, które rozciągało się przed naszymi oczyma, poniżej skarpy, jakby wszystko to wydarzyło się właśnie tam, naprzeciwko tarasu, gdzie teraz on pił kawę, a ja miętową herbatę.

Kiedy to się wydarzyło, byłem kapitanem, powiedział. To był rutynowy patrol w uzbrojonej motorówce – kiedy padło słowo „rutynowy”, popatrzył w nieokreślony punkt na horyzoncie – pojawił się sygnał na radarze na zachód od Tres Forcas, podjęli normalne postępowanie. Przez przypadek na łodzi pojawił się drugi patrol – wymawiając słowo „przypadek”, znów popatrzył na horyzont – nawiązali z nim kontakt radiowy i wspólnie wykryli w Cala Tramontana, niby ptaszka w gnieździe, obcą motorówkę na wodach marokańskich, bardzo blisko brzegu. Właśnie ładowano do niej haszysz z tratwy przycumowanej obok. Okrzyk: stać, reflektor, rakietka oświetlająca ze spadochronem, ostro odcinająca się na tle skał wyspy Charranes ponad mleczną wodą, i kilka wystrzałów w powietrze w ramach łagodnej perswazji. Widocznie motorówka – niska, długa, cienka jak igła, pomalowana na czarno, z silnikiem zaburtowym – miała problemy ze starterem, bo upłynęła dobra chwila, zanim odpaliła. W świetle racy i reflektora Benamú zobaczył na pokładzie dwie postaci: jedną na miejscu pilota, drugą biegnącą na rufę, żeby odczepić cumę tratwy, na której było dwóch kolejnych mężczyzn, w tej chwili wyrzucających do wody resztę paczek z narkotykami, bo nie zdążyli ich jeszcze załadować na motorówkę. Silnik dusił się i nie zapalał, a Benamú – postępując zgodnie z regulaminem, wspomniawszy między dwoma łykami kawy – polecił marynarzowi na dziobie wystrzelić z karabinu serię pocisków kaliber .12,7 tak, żeby trafić. Zabrzmiało, jak to zazwyczaj brzmi, takataaa. Bardzo głośno. Zdaniem Benamú to robi wrażenie. I kolejna rakietka. Mężczyźni na tratwie podnieśli ręce do góry, w tej samej chwili motorówka stanęła dęba, podnosząc śrubą pianę, a człowiek stojący na rufie wpadł do wody. Karabin na łodzi patrolowej strzelał dalej, taka,

taka, taka, dołączyli do tego żandarmi na ziemi, nieśmiało na początku, pam, pam, a potem z coraz większym impetem. To wyglądało jak wojna. W świetle reflektora i ostatniej racy widać było, jak kule rozpryskują wodę. Nagle motorówka wydała głośny ryk i gwałtownie ruszyła do przodu, i kiedy popatrzyli w tamtym kierunku, na północ, już jej nie było widać w ciemności. Podpłynęli do tratwy, zatrzymali znajdujących się tam mężczyzn – dwóch Marokańczyków – i z wody wyłowili trzy paczki haszyszu i Hiszpana z pociskiem kaliber .12,7 w udzie – Benamú wskazał na obwód swojej filiżanki. – Taka dziura. Podczas przesłuchania, po udzieleniu właściwej pomocy medycznej, Hiszpan powiedział, że nazywa się Veiga i że był załogantem na przemytniczej łodzi należącej do niejakiego Santiago Fisterra; i to właśnie Fisterra wymknął im się z rąk w Cala Tramontana. Zostawił mnie na łodzi – Benamú pamięta, że tak skarżył się zatrzymany. Major przypominał też sobie, że ów Veiga, sądzony dwa lata później w Alhucemas, dostał piętnaście lat, siedział w więzieniu w Kentirze – wymieniając tę nazwę, spojrzał tak, jakby mi odradzał uwzględnienie tego miejsca w moich planach wakacyjnych – i odsiedział z tego połowę. Czy to był donos? Benamú powtórzył parę razy to słowo, jakby było mu zupełnie obce, i znów spojrzawszy na kobaltowy pas oddzielający nas od hiszpańskiego wybrzeża, pokręcił głową. Nie przypominał sobie niczego takiego. Nie słyszał też nigdy o żadnym Drisie Larbim. Królewska żandarmeria ma bardzo kompetentne własne służby wywiadowcze, a straż przybrzeżna jest w najwyższym stopniu skuteczna. Tak jak wasza żandarmeria. Albo i bardziej. Zdarzenie w Cala Tramontana było akcją rutynową, przeprowadzoną wzorowo, jak zawsze. Walka z przestępczością i tak dalej.

Upłynął przeszło miesiąc, zanim wrócił, a ona nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś go zobaczy. Za sprawą meksykańskiego fatalizmu sądziła, że jest już nieobecny na zawsze – on należy do tych, którzy nie zostają, powiedział Dris Larbi – a ona traktowała jego nieobecność tak samo, jak teraz przyjmowała jego powrót. W ostatnich czasach Teresa zrozumiała, że świat kręci się zgodnie ze swoimi własnymi, nieprzeniknionymi prawami, opartymi na kalamburach, w tym sensie, jaki nadaje się im w Meksyku, i że na koleje ludzkiego losu składają się zniknięcia

i pojawienia, obecności i nieobecności, życie i śmierć. A jedyne, co ona może zrobić, to pogodzić się z tymi regułami i dać się unosić nurtowi ze świadomością, że uczestniczy w niesamowitym kosmicznym żarciu, i machać rękami, żeby nie utonąć, ale nie wolno jej płynąć pod prąd, czy choćby próbować coś z tego zrozumieć. W ten sposób doszła do przekonania, że nie ma sensu rozpaczać ani walczyć o cokolwiek innego niż o konkretną chwilę, o akt wdychania i wydychania powietrza, o sześćdziesiąt pięć uderzeń na minutę – zawsze miała wolny i regularny rytm bicia serca – które utrzymują ją przy życiu. Byłoby absurdem tracić energię na strzelanie do cieni, opluwanie nieba, przeszkadzanie Bogu zajętemu ważniejszymi sprawami. Co do przekonań religijnych – przywiozła je ze swojego kraju i przetrwały one nawet w rutynie jej nowego życia – Teresa chodziła na mszę w niedzielę, odmawiała machinalnie modlitwy przed zaśnięciem, *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Mario*, i czasem zaskakiwała samą siebie, prosząc Chrystusa albo Matkę Bożą – kilka razy odwołała się nawet do świętego Malverdego – o tę czy inną rzecz. Na przykład, niech Blondyn Dávila spoczywa w pokoju, amen. Chociaż dobrze wiedziała, że mimo jej pobożnych życzeń było kompletnie niemożliwe, żeby cholerny Blondyn spoczywał w pokoju. Na pewno smaży się w piekle, sukinsyn, jak w piosence Paquity la del Barrio – *smażysz się, łajdaku?* Podobnie jak inne modlitwy, i tę odmawiała bez przekonania, bardziej z przyzwyczajenia niż z innego powodu. Z nawyku. Choć może w stosunku do Blondyna była to raczej lojalność. W każdym razie robiła to podobnie jak petent, który wnosi podanie do ważnego urzędnika z marną nadzieją, żeby jego prośba została spełniona.

Nie modliła się za Santiago Fisterre. Ani razu. Ani za jego życie, ani za powrót. Rozmyślnie wyrzuciła go poza nawias, nie chcąc, aby zdominował jej życie. Żadnych powtórek, żadnych zależności, przysięgła sobie. Nigdy więcej. A jednak tego wieczoru, kiedy wróciła do domu i zastała go siedzącego na stopniach, jakby się rozstali parę godzin wcześniej, poczuła ogromną ulgę i wielką radość zamglili jej wzrok i wstrząsnęła jej podbrzuszem i brzuchem, i otworzyła usta, żeby głęboko odetchnąć. To była krótka chwilka, bo zaraz zaczęła liczyć dni, które upłynęły od jego wyjazdu, kilometry i godziny podróży, obliczać

minuty, w czasie których można było dzwonić, czas, jakiego potrzebuje list albo kartka pocztowa, żeby dotrzeć z punktu A do punktu B, i czas potrzebny do przejazdu w tę i z powrotem. Myślała o tym wszystkim, ale nie zrobiła mu żadnego wyrzutu, a on ją całował, kiedy bez słowa wchodzili do domu i kiedy szli do sypialni. I potem znów o tym myślała, kiedy on, już spokojny, odprężony, nieruchomo leżał na niej i jego urywany oddech tuż obok jej szyi stawał się coraz bardziej spokojny.

– Złapali Lalo – powiedział w końcu.

Teresa leżała nieporuszona, jeszcze cichsza. W świetle z korytarza widziała mocny zarys jego ramienia, tuż przed swoimi ustami. Pocałowała je.

– Mnie też o mało co nie złapali – dodał Santiago.

Nadal leżała bez ruchu, z twarzą wtuloną w zagłębienie jego szyi. Mówił bardzo cicho, przy każdym słowie jego wargi dotykały jej skóry. Powoli objęła jego plecy ramionami.

– Opowiedz, jeśli chcesz.

Zaprzeczył słabym ruchem głowy, a Teresa nie nalegała, wiedząc, że to zbyt ciężkie, że opowie jej później, kiedy się już uspokoi, jeśli ona będzie nadal się tak zachowywać i milczeć. I tak było. Po chwili zaczął. Nie zdawał jej pełnej relacji, ale opowiadał luźne epizody, jakby mówił o obrazach albo wspomnieniach. Zrozumiała, że tak naprawdę on sobie na głos przypomina, co się wydarzyło. Zapewne pierwszy raz w ogóle o tym mówi.

To, co usłyszała, mogłaby sama wymyślić. I przede wszystkim zrozumiała, że życie płata ludziom kiepskie żarty, a żarty te zazębiają się w tajemniczy sposób z innymi żartami, które trafiają się innym ludziom, i że ona sama trafiła w środek tego absurdu, jak mucha, która wpadła w pajęczą sieć. Wysłuchiwała opowieści, którą znała, zanim jeszcze jej wysłuchiwała – zmieniły się tylko miejsca i postaci, i to zmieniły nieznacznie, i stwierdziła, że Sinaloa wcale nie jest tak daleko, jak jej się wydawało. Widziała, jak reflektor marokańskiej łodzi patrolowej przecina ciemność, biała rakietka oświetlająca unosi się w powietrzu, twarz Lalo Veigi z ustami otwartymi z osłupienia i ze strachu, kiedy krzyczy: gliny, gliny. I przy wtórze hałasu silnika, który nie chce zapalić, Lalo, widoczny w świetle reflektora, biegnie na rufę, żeby odzepić

cumę od tratwy, pierwsze wystrzały, błyski obok reflektora, rozpryskująca się woda, świst kul, ziang, ziang, i znów migotanie wystrzałów, teraz od lądu. I nagle ryk motoru na pełnej mocy, dziób motorówki podskakuje ku gwiazdom, kolejne strzały, krzyk Lalo, który wypada za burtę, i dalsze krzyki, czekaj, Santiago, czekaj, nie zostawiaj mnie tutaj, Santiago, Santiago, Santiago. Ryk silnika na pełnym gazie i ostatnie spojrzenie, rzucone przez ramię, i Lalo zostaje z tyłu w wodzie, oświetlony stożkiem światła z łodzi patrolowej, z nadaremnie podniesioną ręką, żeby złapać się motorówki, która skacze, ucieka, oddala się w ciemności, uderzając dnem o wierzchołki fal.

Teresa słuchała, a leżący na niej nagi i nieruchomy mężczyzna dotykał ustami jej skóry na szyi przy każdym słowie, nie podnosząc głowy i nie patrząc na nią. Czy raczej nie pozwalając, żeby ona patrzyła na niego.

Koguty. Śpiew muezina. Znów pora brudna i szara, niepewna, między nocą i dniem. Teraz także Santiago nie spał, poznała po oddechu. Przez całą noc kręcił się przy niej w łóżku, chwilami zapadając w krótki, niespokojny sen, z którego zaraz budził się z wzdrygnięciem. Teresa leżała na plecach, pokonując chęć, żeby wstać i zapalić, miała otwarte oczy i obserwowała najpierw mrok na suficie, a potem szarą plamę, która wpełzała z zewnątrz jak oślizła zjawa.

– Chciałbym, żebyś wyjechała ze mną – zamruczał nagle.

Leżała, wsłuchując się w bicie swojego serca, które, jak jej się wydawało, zawsze rankiem pracowało wolniej, jak u zwierząt śpiących w zimie. Kiedyś o tej porze umrę, pomyślała. Zabije mnie to brudne światło, które zawsze nadchodzi.

– Dobrze – powiedziała.

Tego samego dnia Teresa wyjęła z torby zdjęcie przywiezione z Sinaloa: ona w opiekuńczym objęciu Blondyna Dávili, z lękiem patrząca na świat, nieświadoma tego, co ten mężczyzna jej szykuje. Przyglądała mu się dobrą chwilę, a potem poszła do łazienki i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, trzymając fotografię w dłoni. Porównywała. Potem, ostrożnie i bardzo wolno, przedarła zdjęcie na pół, schowała tę część, na której była ona, i zapaliła papierosa. Płomieniem tej samej zapałki podpałała róg drugiej połowy i nieruchomo, z papierosem w palcach, przyglądała się, jak płonie i znika. Uśmiech Blondyna zniknął na samym

końcu i pomyślała, że to typowe dla niego, kpi aż do końca, ze wszystkiego robi sobie jaja. I w płonącej cессnie, i na tym płonącym cholernym zdjęciu.

Czekanie. Ciemne morze i miliony gwiazd, które wypełniają niebo. Mroczna przestrzeń, nieskończona na północy, z południa ograniczona ciemnym zarysem brzegu. Panowała taka cisza, że spokojna woda w morzu wyglądała jak olej. Powierzchnię marszczyła ledwo wyczuwalna, lekka bryza od lądu, budząc słabiutkie błyski fosforescencji.

Złowrogie piękno, stwierdziła. To właściwe określenie.

Nie była dobra w nazywaniu takich rzeczy. Zajęło jej to czterdzieści minut. W każdym razie taki właśnie był widok – piękny i złowrogi – jaki Teresa Mendoza podziwiała w milczeniu. Od pierwszej z tych czterdziestu minut pozostawała bez ruchu, nie otwierając nawet ust, czuła, jak wilgoć powoli wsiąka w jej sweter i nogawki lewisów. Wsłuchiwała się w dźwięki z lądu i morza. W przytłumiony głos z radia, na kanale czterdziestym czwartym, na najmniejszej głośności.

– Rzuć na to okiem – poprosił Santiago.

Powiedział to ledwo dosłyszalnym szeptem. Na morzu, wyjaśniał jej przy jednej z pierwszych wypraw, głos i dźwięki niosą się zupełnie inaczej niż na lądzie. Zależy od momentu, ale czasem możesz usłyszeć, co mówi ktoś w odległości mili. Tak samo jest ze światłem, dlatego ich phantom – którego cały kadłub z włókna szklanego i pokrywę silnika pomalowali czarnym matowym lakierem – był całkiem niewidoczny w ciemności. Z tego powodu oboje milczeli, a ona nie paliła i prawie wcale się nie poruszali. Czekali.

Teresa przytknęła twarz do gumowej osłony ekranu radaru Furuno o zasięgu ośmiu mil. Przy każdym ruchu anteny ciemny kształt marokańskiego wybrzeża rysował się zupełnie wyraźnie w dolnej części obrazu, ukazując otwartą przestrzeń zatoki między przylądkami Cruces i Al Marsa. Reszta ekranu była czysta, bez żadnego odbicia na powierzchni morza. Przycisnęła dwukrotnie klawisz zasięgu, poszerzając promień z jednej do czterech mil. Teraz, przy tym obrocie anteny obraz na ekranie pokazywał większy fragment wybrzeża w mniejszej skali i obejmował pełne morze, z wyraźną plamą wyspy Perejil. Tam też było

czysto. Żadnej łodzi. Nawet żadnego fałszywego odbicia fali. Nic.

– Sukinsyny – usłyszała głos Santiago.

Czekanie. Była to część ich pracy, ale od chwili, kiedy zaczęli pływać razem, Teresa zrozumiała, że nie samo czekanie jest najgorsze, ale to, co sobie wtedy wyobrażasz. Ani ryk morza pośród skał, ani gwizd wiatru, który można pomylić z dźwiękiem silnika marokańskiej łodzi patrolowej czy helikoptera hiszpańskich celników, nie były tak zatrważające jak ta długa cisza, w której myśli stają się najgorszym wrogiem. Konkretnie zagrożenie, groźne odbicie nagle pojawiające się na ekranie radaru, ryk silnika walczącego o prędkość, wolność i życie, ucieczka z szybkością pięćdziesięciu węzłów przed łodzią patrolową pędzącą tuż za rufą, uderzenia dna motorówki o powierzchnię wody, gwałtowne fale strachu i adrenaliny – tak reaguje człowiek w akcji – wydawały jej się lepsze od niepewności ciszy i niepohamowanej wyobraźni. Jasność umysłu jest najgorsza. Jakże straszliwe i przerażające jest wszystko, co skrywa mrok, gdy ma się czas na rozmyślanie. Niekończące się czekanie na sygnał z lądu, na kontakt radiowy, było jak te szare świty, które zastawały ją w łóżku każdego bezsenne poranka i które teraz spotykały ją na morzu, kiedy noc niepewnie rozjaśniała się od wschodu, a chłód i wilgoć, od której pokład robił się śliski, moczyły jej ubranie, ręce i twarz. Do licha! Każdy strach można pokonać, stwierdziła, o ile nie masz za dużo czasu, żeby o nim rozmyślać.

To już pięć miesięcy. Czasami ta druga Teresa Mendoza, którą spotykała po drugiej stronie lustra, gdzieś na zakrętach ulicy czy w brudnym świetle przedświt, znów obserwowała ją uważnie, jakby dostrzegała pierwsze oznaki powoli zachodzących w niej zmian. Dotyczyły one bardziej zachowań i sytuacji zewnętrznych, nie były jeszcze przełomem, takim, który dokonuje się we wnętrzu człowieka i całkiem odmienia sposób patrzenia na świat i życie. Ale w jakimś sensie przeczuwała jego nadejście, nie wiedziała, kiedy nastąpi, ale miała pewność, że jest nieuchronnym następstwem tych pierwszych zmian, tak jak przeczuwała migreny, na trzy, cztery dni wcześniej, czy też okres – zawsze u niej nieregularny i bolesny – i uciążliwe dni nadchodziły nieuchronnie. Dlatego było tak ciekawe, niemal pouczające, to wychodzenie poza siebie i przypatrywanie się sobie od wewnątrz i z zewnątrz. Teresa

wiedziała już, że na wszystko, na strach, niepewność, namiętność, rozkosz, wspomnienia, na własną twarz, która wydawała się dużo starsza niż kilka miesięcy wcześniej, można patrzeć pod różnym kątem. Z matematyczną precyzją, która była specjalnością nie jej, tylko tej drugiej kobiety siedzącej w jej wnętrzu. Ta właśnie zdolność do szczególnego rozdzielenia swojej osobowości, odkryta czy raczej domniemywana tamtego popołudnia – minął od niego zaledwie rok – kiedy zadzwonił telefon w Culiacán, pozwalała jej chłodno obserwować siebie samą, na pokładzie motorówki stojącej w ciemnościach na morzu, które dopiero zaczynała poznawać, na wprost groźnego wybrzeża kraju, o którego istnieniu jeszcze niedawno nawet nie wiedziała, obok milczącego cienia mężczyzny, którego nie kochała, czy też sądziła, że nie kocha, przy stałym zagrożeniu, że do końca życia będzie gnęła w więzieniu. Ta właśnie myśl – widmo Lalo Veigi było trzecim członkiem załogi w każdej podróży – wywoływała u niej dreszcz paniki, kiedy miała czas, tak jak teraz, by się nad swoim życiem zastanawiać.

Ale tu było lepiej niż w Melilli i lepiej, niż się spodziewała. Bardziej prywatnie i czystiej. Czasem zaczynała myśleć, że lepiej nawet niż w Sinaloa, ale wtedy obraz Blondyna Dávili pojawiał się jak wyrzut sumienia, a ona czuła żal, że tak bardzo zdradza jego pamięć. Nie było niczego lepszego niż Blondyn, i to była prawda, ale prawda względna. Culiacán, piękny dom w dzielnicy Las Quintas, restauracje przy bulwarze, muzyka *mariachis* i orkiestr dętych, przejażdżki samochodem do Mazatlán, plaże w Altacie, to wszystko, co brała za prawdziwy świat, który dawał radość i chęć do życia, było fikcją. Tak naprawdę nie żyła w prawdziwym świecie, tylko w świecie Blondyna. To nie było życie jej, ale czyjeś inne, w którym wygodnie zamieszkała i była szczęśliwa, dopóki nie została z niego wyrzucona za sprawą jednego telefonu, przerażenia i panicznej ucieczki, okrutnego śmiechu Kocura Fierrosa i strzałów z colta trzymanego we własnych rękach. Teraz jednak pojawiło się coś nowego. Coś nieokreślonego i nie całkiem złego. Czuła to, kiedy rozglądała się w ciemności nocy, i ogarniał ją lęk, choć obok siebie miała mężczyznę. Bo ani on, ani nikt inny – to wiedziała od czasów Culiacán – nigdy nie skłoni jej do oszukiwania siebie samej, i nie

uwierzy, że ktoś może ochronić ją przed potwornościami, bólem i śmiercią. I, dziwne, to, co czuła, wcale jej nie martwiło, raczej ją mobilizowało. Zmuszało do obserwowania siebie samej z większą przenikliwością, z pełną refleksji, niepozbawioną szacunku ciekawością. Dlatego czasem, kiedy patrzyła na swoje zdjęcie z Blondynem, równocześnie spoglądała w lustro i rozmyślała nad rosnącym dystansem między tymi trzema kobietami – dziewczyną o zastraszonej spojrzeniu ze zdjęcia, Teresą, która żyła po tej stronie życia i płynącego czasu, i tą nieznaną, przyglądającą się tamtym obu z coraz mniej wyraźnego lustrzanego odbicia.

Cholera, jak daleko była teraz od Culiacán! W miejscu, gdzie niemal stykają się dwa kontynenty – wybrzeże marokańskie dzieli piętnaście kilometrów od hiszpańskiego brzegu, nad Cieśniną Gibraltarską, na południowym krańcu Europy – o podróży za Atlantyk kiedyś nawet nie marzyła. Tutaj Santiago Fisterra woził towar dla innych. Wynajmował mały domek przy plaży w zatoce Algeciras, po hiszpańskiej stronie; w porcie Sheppard była zacumowana, i chroniona przez angielską banderę z Gibraltaru, jego motorówka Phantom długości siedmiu metrów, o zasięgu sześćdziesięciu mil, z silnikiem o mocy dwustu pięćdziesięciu koni – zwanych *cabezones* w lokalnym żargonie, który Teresa zaczynała mieszać z językiem używanym w Sinaloa – przyspieszająca od zera do pięćdziesięciu pięciu węzłów w dwadzieścia sekund. Santiago był morskim najemnikiem. W odróżnieniu od Blondyna Dávili nie miał szefów ani nie był związany z konkretnym kartelem. Pracował dla przemytników hiszpańskich, angielskich, francuskich i włoskich, osiadłych na Costa del Sol. Poza tym wszystko było mniej więcej podobne – przewoził towar z miejsca na miejsce. Santiago płacono po dostarczeniu towaru, a straty czy niepowodzenia szły na jego rachunek, mógł za nie zapłacić nawet własnym życiem. Ale taka ewentualność rysowała się tylko w skrajnych przypadkach. Ten przemyt – niemal wyłącznie haszysz, czasem papierosy z gibraltarskich magazynów – nie miał nic wspólnego z tamtym, jaki Teresa Mendoza знаła wcześniej. Ten świat był trudny, pełen skomplikowanych układów, ale jednak mniej wrogi niż tam w Meksyku. Mniej tu było przemocy, mniej śmierci. Ludzie nie strzelali

do siebie, kiedy wypili o jeden kieliszek za dużo, ani nie nosili karabinów, jak w Sinaloa. Wybrzeże północne było bezpieczniejsze niż południowe, nawet jeśli ktoś wpadł w ręce prawa. Byli adwokaci, sędziowie, były normy, które stosowano w tym samym stopniu do przestępców, co i ich ofiar. Po stronie marokańskiej było inaczej, tam wszędzie czaił się koszmar: korupcja na każdym poziomie, prawa człowieka rzadko przestrzegane, więzienia, w których w straszliwych warunkach gnili ludzie. Fakt, że jest się kobietą, był dodatkowym obciążeniem, bo to oznaczało podleganie surowym muzułmańskim obyczajom. Z początku Santiago nie chciał, żeby Teresa zajęła miejsce Lalo Veigi. To zbyt niebezpieczne, uciął temat. Czy raczej myślał, że go ucina. Był poważny, grał prawdziwego faceta, mówił z tym swoim śmiesznym akcentem, łagodniejszym niż mowa reszty Hiszpanów, którzy są zwykle szorstcy i opryskliwi. Ale po pewnej nocy, którą Teresa spędziła z otwartymi oczami, patrząc najpierw na czerń sufitu, a potem na znajome szare światło, rozważając temat z każdej strony, obudziła Santiago i powiedziała mu, że podjęła decyzję. Tak być musi. Już nigdy nie będzie na nikogo czekała, gapiąc się na seriale, w żadnym domu, w żadnym mieście na świecie, a on może wybierać – albo zabierze ją z sobą na motorówkę, albo ona rzuca go w tej chwili, natychmiast, raz na zawsze, i cześć. Wtedy on, z nieogoloną brodą, z oczami zaczerwienionymi od snu, podrapał się po zmierzwionych włosach i zapytał, czy zwariowała, odbiło jej czy co. A ona wyskoczyła z łóżka i tak jak stała, naga, wyciągnęła walizkę z szafy i zaczęła pakować swoje rzeczy, starając się nie patrzeć ani w lustro, ani na niego, i nie myśleć, co robi. Santiago patrzył na nią przez półtorej minuty, nie otwierając ust; wreszcie uwierzył, że naprawdę odchodzi – Teresa pakowała do walizki ubrania, choć nie wiedziała, czy rzeczywiście odejdzie – dobra, powiedział, w porządku, zgoda. A co mi tam, to nie mnie zajebią na śmierć, jak ciebie złapią. Raczej staraj się nie wpaść do wody jak Lalo.

– Są.

Usłyszeli trzykrotne klik-klak bez słów, powtórzone na minimalnej głośności radia. Małeńki cień, zostawiający za sobą ślad drobniutkich odbłyśków na czarnej, spokojnej powierzchni. Bez silnika, przy cichym plusku wiosła. Santiago patrzył przez lornetkę Baigish 6UM do nocnej

obserwacji, ze wzmacniaczem światła. Rosyjską. Rosjanie nasycili nimi gibraltarski rynek w czasach rozpadu Związku Radzieckiego. Każdy statek stamtąd – okręt podwodny czy kuter rybacki – kiedy tylko przybijał do portu, wyprzedawał wszystko, co można było odkręcić i zdjąć z pokładu.

– Sukinsyny spóźniły się godzinę.

Teresa usłyszała jego szept, kiedy przyciskała twarz do gumowego stożka osłony radaru. Teren czysty, powiedział równie cicho. Żadnego patrolu. Pokład motorówki zakołysał się, kiedy Santiago wstał i poszedł na rufę z cumą w ręku.

– *Salem alejkum.*

Towar był umieszczony w hermetycznych pokrowcach z uchwyty, które ułatwiały ich przenoszenie. Kostki stężonego haszyszu, siedem razy mocniejszego i cenniejszego niż zwykła żywica. W każdej paczce po dwadzieścia kilo, oceniła Teresa, kiedy Santiago je podawał, a ona rozmieszczała ładunek równomiernie po obu burtach. Santiago nauczył ją, jak mocować pakunki, żeby nie przesuwwały się, kiedy łódź płynie po wzburzonym morzu, podkreślając, jakie znaczenie dla prędkości phantoma ma właściwy załadunek – jest równie ważny jak zanurzenie śruby silnika czy jego obroty. Jedna paczka, dobrze albo źle umieszczona, mogła oznaczać kilka węzłów szybkości mniej lub więcej. A w tym fachu różnica dwóch mil była nie do zlekceważenia. Często wyznaczała odległość między wolnością a więzieniem.

– A co na radarze?

– Czysto.

Teresa mogła odróżnić dwie ciemne sylwetki na łódce z wiosłami. Czasem docierały do niej wypowiedane cicho arabskie słowa albo niecierpliwy głos Santiago, który nadal przeładowywał towar na pokład. Spojrzał na ciemną linię wybrzeża, wypatrując światła. Wszędzie panowała ciemność, poza kilkoma odległymi jasnymi punktami na czarnej bryle góry Musa i ukazującym się co chwila w blasku latarni morskiej ostrym urwiskiem przylądka Cires na zachodzie, gdzie można było dostrzec światła domów rybaków i przemytników. Znowu spojrzała na zataczającą kręgi linię na ekranie radaru i przestawiła skalę z czterech na dwie mile zasięgu, a potem poszerzyła do ośmiu. Na samym obrzeżu

coś odbijało echo. Spojrzała przez lornetkę 7 × 50, ale nic nie dostrzegła, wzięła więc tę rosyjską z noktowizorem. Jakieś bardzo odległe światło przesuwano się powoli ku zachodowi, zapewne wielki statek płynął w kierunku Atlantyku. Ciągłe patrząc przez lornetkę, odwróciła się w stronę wybrzeża. Teraz na tle zieleni widziała wszystko wyraźnie, każdy ze świecących punktów, każdy kamień czy krzak, a nawet najdrobniejsze zmarszczki na wodzie. Wyregulowała ostrość i zaczęła się przyglądać dwóm Marokańczykom na tratwie: jeden, młody, miał na sobie skórzaną kurtkę, drugi, starszy, był ubrany w ciemną bluzę i wełnianą czapkę. Santiago klęczał przy obudowie silnika, układając na rufie ostatnie pakunki, był w dżinsach, sportowych butach i czarnym podkoszulku, uparty profil odwracał się często w jedną czy drugą stronę, żeby omieść wszystko badawczym spojrzeniem. Przez noktowizor Teresa widziała jego silne ramiona i napięte mięśnie. Nawet w tej chwili, kiedy nosił te ciężary, wyglądał świetnie, skubany.

Problem niezależnego przewoźnika, działającego poza wielkimi zorganizowanymi mafiemi, polega na tym, że zawsze ktoś może zadać sobie fatygę, żeby szepnąć niebezpieczne słówko w niewłaściwe ucho. Zupełnie jak w Meksyku. Może właśnie dlatego Lalo Veiga został złapany. Teresa miała na ten temat swój własny pogląd i według niej Dris Larbi maczał w tym palce. Potem Santiago starał się ograniczyć ryzyko większą ilością pieniędzy, rozdzielanych w Maroku przez pośrednika z Ceuty. Wprawdzie zyski były nieco mniejsze, za to mógł działać na tych akwenach z poczuciem większego bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, jako weteran w fachu, doświadczony wypadkiem w Cala Tramontana, i na dodatek nieufny jak każdy Galisyjczyk, Santiago nigdy nikomu nie wierzył do końca. I miał rację. Jego skromne środki nie wystarczyłyby na to, żeby przekupić wszystkich. Poza tym zawsze może się znaleźć dowódca łodzi patrolowej, policjant czy żandarm niezadowolony ze swojej działki bądź konkurent, który sypnie albo zapłaci więcej niż Santiago, czy też wpływowy adwokat w potrzebie, który przyjmie każde zlecenie, byle mu tylko dobrze zapłacić. Albo władze marokańskie zorganizują połów drobnych płotek, żeby stworzyć sobie alibi przed jakąś międzynarodową konferencją na temat walki z przemytem narkotyków. W każdym razie Teresa nabrała wystarczająco

dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, iż prawdziwe, konkretne niebezpieczeństwo pojawi się później, kiedy już wpłyną na przybrzeżne wody hiszpańskie, gdzie straż celna i heinekeny żandarmerii – tak się nazywa te łodzie, bo ich kolor żywo przypomina zieleń puszki piwa tej marki – dniem i nocą patrolują wybrzeże w poszukiwaniu przemytników. Pocieszeniem może być tylko to, że Hiszpanie, w przeciwieństwie do Marokańczyków, nigdy nie strzelają tak, żeby zabić, bo się boją prokuratorów i sądów, ponieważ w Europie pewne rzeczy traktuje się bardziej serio niż w Meksyku czy w Stanach. To daje szansę ucieczki, trzeba tylko wycisnąć wszystko z silnika, choć wcale nie jest łatwo umknąć przed bardzo szybkimi łodziami celników czy przed helikopterem – ptaszyskiem, jak mówił Santiago – wyposażonym w czułe systemy wykrywania, prowadzonym przez doświadczonych pilotów, gotowych latać kilka centymetrów nad wodą, czym zmuszają człowieka do krańcowo niebezpiecznych manewrów przy ogromnym ryzyku awarii. Ale nie zawsze udaje się uciec i dotrzeć bezpiecznie do latarni portowych Gibraltaru. W takim wypadku towar wyrzuca się za burtę – żegnajcie na zawsze, pakunki, i witajcie, nowe kłopoty, gorsze niż te z policją, bo nie zawsze nadawcy haszyszu są wyrozumiałymi gangsterami i istnieje ryzyko, że kiedy w końcu rachunki będą już wyrównane, zostanie za dużo kapeluszy. Na dodatek podczas wyprawy trzeba liczyć się z możliwością niefortunnego skoku łodzi na wysokiej fali, wciągnięcia przez prąd wodny, zderzenia z motorówką ścigających, ugrzęźnięcia na piasku czy spotkania z podwodną skałą i roztrzaskania się.

– Gotowe. Znikamy.

Ostatnia paczka została przeładowana. Razem dokładnie trzysta kilo. Ludzie na tratwie wiosłowali już w kierunku lądu, a Santiago zbuchtował cumę, wskoczył do kokpitu i usiadł za sterem, na prawej burcie. Teresa odeszła na bok i podobnie jak on włożyła na siebie sztormiak. Potem spojrzała na ekran radaru: zupełnie czysto przed dziobem, w kierunku otwartego morza, na północy. Koniec drastycznych środków ostrożności. Santiago przekręcił kontakt i słaba czerwona lampka oświetliła tablicę rozdzielczą: kompas, tachometr, obrotomierz, wskaźnik ciśnienia oleju. Pedał poniżej kierownicy i dźwignia

zanurzenia śruby na prawo od sternika. Rrrrr. Roar. Wskazówki podskoczyły, jakby obudziły się nagle. Roaaaar. Śruba wywołała wir piany za rufą i phantom na całej długości swoich siedmiu metrów ruszył z miejsca, coraz szybciej rozcinając oleistą wodę z precyzją bardzo ostrego noża: dwa i pół tysiąca obrotów, dwadzieścia węzłów. Wibracja motoru przenosiła się na skorupę i Teresa czuła, jak cała siła pchająca ich na rufę wstrząsa konstrukcją ze szklanego włókna, która naraz wydała się lekka jak piórko. Trzy i pół tysiąca obrotów, trzydzieści węzłów i motorówka unosi się nad wodą. I nagłe poczucie mocy, wolności, niemal jak fizyczne doznanie – w tym momencie serce zaczęło jej bić szybciej, jakby w upojeniu. Nic, pomyślała raz jeszcze, nic nie może się z tym równać. Albo prawie nic. Santiago, skupiony na prowadzeniu łodzi, lekko pochylony nad sterem, z brodą od spodu lekko oświetloną na czerwono przez tablicę rozdzielczą, jeszcze mocniej nacisnął pedał gazu – cztery tysiące obrotów i czterdzieści węzłów. Osłona była za niska, żeby ochronić ich przed pędem powietrza, mokrego i tnącego. Teresa zasunęła sztormiak pod szyję, spięła włosy smagające ją po twarzy i włożyła wełnianą czapkę. Znowu spojrzała na ekran radaru i przebiegła po kanałach radia Kenwood przykręconego do deski – celnicy i żandarmi mówili szyfrem, i choć nie rozumiała sensu ich rozmów, po intensywności odbieranego sygnału potrafiła ocenić, jak blisko się znajdują. Od czasu do czasu podnosiła głowę w górę, wypatrując groźnego cienia helikoptera pośród zimnego migotania gwiazd. Niebo i ciemny krąg otaczającego ich morza zdawały się mknąć razem z nimi, jakby motorówka była w środku kuli opętańczo pędzącej poprzez noc. Teraz, na otwartym morzu, podnosząca się fala coraz silniej uderzała w spód ich łodzi, a w oddali zaczynały migotać światła hiszpańskiego wybrzeża.

Jakże podobni byli i jak równocześnie inni, myślała. Ich podobieństwo pod pewnymi względami dostrzegła już pierwszego wieczoru w Dżamili. Zasadniczo różniło ich jednak podejście do życia i przyszłości. Obaj byli inteligentni, trzeźwi i stanowczy w swojej pracy, obaj należeli do ludzi, którzy nigdy nie tracą głowy, choćby tracili grunt pod stopami. W łóżku też było im znakomicie; Santiago zawsze się kontrolował i zaspokajał jej pragnienia, z uwagą i bez egoizmu. Był może mniej zabawny, ale

bardziej czuły niż tamten. Czasami miłszy. Ale tutaj kończyły się podobieństwa.

Santiago był milczący, mniej rozrzutny, miał niewielu przyjaciół i nikomu nie ufał. Jestem Celtem z Finisterre, mówił. Po galisyjsku *Fisterra* znaczy koniec, odległy zakątek ziemi. Chcę dożyć starości i grać w domino w barze w O Grove, chcę mieć ogromny dom z oszklonym obserwatorium, skąd będzie widać morze, i wielki teleskop, przez który będę oglądał wpływające do portu i wypływające z niego statki, i własny żaglowiec o długości sześćdziesięciu stóp, zakotwiczony przy brzegu. Bo jeśli wydam forszę, jeśli będę miał zbyt wielu przyjaciół i jeżeli będę zbyt ufał ludziom, nigdy nie dożyję starości ani nie zdobędę niczego takiego – im łańcuch ma więcej ogniw, tym łatwiej może się przerwać. Santiago nie palił ani papierosów, ani haszyszu, ani niczego innego, pił mało i tylko od czasu do czasu. Rano biegał pół godziny po plaży, w wodzie po kostki, a potem wzmacniał mięśnie, robiąc pompki – Teresa kiedyś je policzyła i z niedowierzaniem doszła do pięćdziesięciu. Jego ciało było szczupłe i twarde, skóra jasna, z opalenizną na rękach i twarzy. Miał dwa tatuaże: wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa na prawym przedramieniu – to Chrystus z mojego nazwiska, powiedział kiedyś – i drugi, niewielki, na lewym ramieniu: okrąg z celtyckim krzyżem i literami I. A., których znaczenia – choć podejrzewała, że to inicjały kobiety – nigdy nie chciał jej zdradzić. Miał też starą bliznę, ukośną, długą na pół piędzi, na plecach na wysokości nerek. Kosa, odpowiedział, kiedy Teresa o nią spytała. Dawno temu. Kiedy sprzedawał w barach przemycane papierosy i inni chłopcy nie chcieli, żeby przejął ich klientów. Mówiąc to, uśmiechał się słabo, jakby tęsknił za tamtymi czasami.

Niewiele brakuje, żebym mogła go pokochać, myślała chwilami Teresa. Ale to wszystko działo się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym momencie jej życia. Wszystko zawsze dzieje się za wcześnie albo za późno. Jednak było jej z nim dobrze, tak dobrze, że aż strach, szczególnie, kiedy oglądała telewizję, oparta o jego ramię, przeglądała kolorowe czasopisma albo opalała się, trzymając w palcach papierosa nafaszerowanego haszyszem – wiedziała, że Santiago nie lubił, kiedy to pali, ale nigdy nie powiedział jej złego słowa – albo gdy obserwowała

go, jak pracuje pod pergolą – nagi tors i morze w tle – konstruujać w wolnych chwilach drewniane modele statków. Bardzo lubiła patrzeć, jak buduje te miniaturowe stateczki, bo był naprawdę cierpliwy i dokładny, miał talent do odtwarzania kutrów (były jak te prawdziwe, malowane na czerwono, niebiesko i biało) i żaglowców, z każdym żagielkiem i każdą liną na swoim miejscu. Te stateczki i motorówka, wszystko to było dziwne, bo ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że Santiago nie umie pływać, choćby tak marnie jak ona – dzięki Blondynowi nauczyła się, jak ruszać rękami, na plaży w Altacie, w bardzo kiepskim stylu, ale zawsze. Santiago przyznał się kiedyś, mówiąc o czymś zupełnie innym. Nigdy nie potrafiłem utrzymać się na powierzchni, powiedział, sam nie wiem, o co tu chodzi. A kiedy Teresa zapytała, dlaczego w takim razie tak szarżuje na motorówce, jedynie wzruszył ramionami w geście rezygnacji i z tym swoim uśmiechem, który pojawiał mu się na twarzy, jakby wcześniej długo błąkał się po jego wnętrzu. W Galicii połowa ludzi nie umie pływać, powiedział w końcu. Topimy się, bo tak musi być, koniec kropka. Na początku nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi serio.

Pewnego wieczoru, kiedy pogryzali coś u Kukiego – czyli w knajpce Bernal w Campamento – Santiago przedstawił jej znajomego, Oscara Lobato, reportera z „Diario de Cádiz”. Rozmowny, opalony, około czterdziestki, z twarzą naznaczoną bliznami i znamionami, przez co wydawał się twardzielem, którym w rzeczywistości wcale nie był, Lobato czuł się jak ryba w wodzie tak samo między przemytnikami, jak celnikami i żandarmami. Dużo czytał i na wszystkim się znał, począwszy od silników, a skończywszy na geografii i muzyce. Znał też kogo trzeba, ale nie zdradziłby swoich kontaktów nawet z czterdziestką piątką przystawioną do skroni, od dawna włóczył się po okolicy, a w swoim notesie miał spisane wszystkie nazwiska i telefony. Kiedy tylko mógł, zawsze pomagał ludziom, nie interesując się, po której stronie prawa kto stoi, częściowo po to, żeby utrzymać dobre kontakty, a częściowo dlatego, że – choćby cwaniacy z jego fachu mówili co innego – był dobrym człowiekiem. Poza tym lubił swoją pracę. W tych dniach kręcił się po Atunarze, starej dzielnicy rybackiej przy La Línea, gdzie z powodu bezrobocia rybacy stali się szmuglerami. Gibraltarskie łodzie

przywoziły na plażę towar w środku dnia, rozładowywany przez kobiety i dzieci, które przekraczały jezdnię po przejściach dla pieszych wymalowanych specjalnie dla nich, żeby wygodnie mogły przenosić ciężary. Dzieci bawiły się na plaży w żandarmów i celników, biegając z nałożonymi na głowę kartonami po winstonach. Tylko najmłodszy chcieli grać rolę strażników. A każda interwencja policji kończyła się użyciem gazów łzawiących i gumowych pocisków, zmieniając się w prawdziwą bitwę między mieszkańcami a siłami porządkowymi.

– Wyobraźcie to sobie – opowiadał Lobato – plaża Puente Mayorga, noc, dwóch facetów rozładowuje papierosy z gibraltarskiej łodzi. Pojawia się dwóch żandarmów, starszy w randze kaprała i młody szeregowiec. Stać, ręce do góry i tak dalej. Tamci uciekają do łodzi, ale silnik nie chce zapalić, młody żandarm wbiega do wody i też wskakuje do łodzi. Silnik wreszcie zaskakuje i motorówka płynie w stronę Gibraltaru, jeden przemytnik za sterem, a drugi tłucze się z gliniarzem... I wyobraźcie sobie, naraz motorówka staje na środku zatoki. I zaczyna się rozmowa z żandarmem. Słuchaj, chłopie, mówią, jeśli dalej popłyniemy do Gibraltaru, my się zrujnujemy, a ty będziesz miał kłopoty, bo ścigasz nas na terytorium brytyjskim. Może spróbujemy się dogadać, dobra? Zakończenie: motorówka wraca do brzegu i żandarm wysiada. Cześć, dobrej nocy. I spokój, na wieki wieków.

I jako Galisyjczyk, i jako przemytnik Santiago nie ufał dziennikarzom, ale Teresa wiedziała, że Lobato stanowił wyjątek: był bezstronny, dyskretny, nie wierzył w dobrych ani w złych, dawał się lubić, stawiał kolejkę i nigdy publicznie nie robił notatek. Potrafił wspaniale opowiadać i znał mnóstwo dowcipów; nigdy nie plotkował. Przyszedł do knajpy z Tonym Parrondim, pływającym na gibraltarskich motorówkach, i jego kumplami. Wszyscy bardzo młodzi, opaleni, długie włosy, kolczyki w uszach, tatuaże, paczki papierosów i złote zapalniczki na stole, auta z silnikami o pojemności wielu tysięcy centymetrów sześciennych i z przydymionymi szybami, jeżdżące w rytm puszcanych na cały regulator piosenek Los Chunguitos, Javivi, Los Chichos – ta muzyka przypominała Teresie meksykańskie *narcocorridos*. *Nocami nie śpię, w dzień nie żyję, tutaj w murach tej cholernej paki*, brzmiał jeden z tekstów. Takie piosenki należały do miejscowego folkloru, podobnie

jak tamte w Sinaloa, a ich tytuły były równie malownicze: *Patrol i jeden z naszych, Jestem jak bezdomny pies, Stalowe pięści, Dla moich kumpli*. Przemycnicy z Gibraltaru tylko tym się różnili od hiszpańskich, że między nimi było więcej facetów o jasnych włosach i jasnej skórze, że wtrącali angielskie słowa, mówiąc po hiszpańsku z andaluzyjskim akcentem. Poza tym byli jakby odrysowani od tego samego wzoru: na szyi złote łańcuchy z krzyżykiem, medalikiem Matki Boskiej albo portretem Camarona[2]. Podkoszulki heavymetalowe, drogie swetry, adidasy albo nike'i, sprane džinsy dobrych firm z plikami banknotów w jednej z tylnych kieszeni i z nożem sprężynowym w drugiej. Ludzie twardzi, czasem równie niebezpieczni jak ci z Sinaloa. Nic do stracenia i bardzo dużo do zyskania. Przyszli ze swoimi dziewczynami pachnącymi drogimi perfumami, wciśniętymi w wąskie spodnie i krótkie koszulki odsłaniające tatuaże na biodrach i kolczyki w pępku, z ostrym makijażem na twarzy i z mnóstwem złotych ozdób. Teresie przypominały panienki zadające się z handlarzami narkotyków w Culiacán. W pewien sposób także ją samą, i ta myśl uświadomiła jej, jak wiele czasu upłynęło od tamtych lat i jak wiele w jej życiu się zdarzyło. W grupie był jakiś Hiszpan z Atunary, ale większość stanowili Gibraltarczyki, Brytyjczycy o hiszpańskich nazwiskach, Anglicy, Maltańczycy i ludzie ze wszystkich zakątków basenu Morza Śródziemnego. Jak to powiedział Lobato, mrużąc oko i obejmując spojrzeniem wszystkich, łącznie z Santiago: sama śmietanka.

– Znaczy jesteś Meksykanką.

– Tak jest.

– Przyjechałaś z bardzo daleka.

– I tak w życiu bywa.

Uśmiech reportera był poplamiony pianą z piwa.

– Zabrzmiało to jak piosenka José Alfredo.

– Znasz José Alfredo?

– Trochę.

I Lobato zaczął nucić *Przyszedeł pijany pijaczek* i zamówił następną kolejkę. To samo dla moich przyjaciół i dla mnie, powiedział. I dla panów przy tamtym stoliku i towarzyszących im dam.

...i zamówił kolejne tequile,

*a barman mu odpowiedział:
skończyły się alkohole.*

Teresa nuciła razem z nim, zaśpiewali jeszcze kilka zwrotek, a na końcu się roześmiali. Jest sympatyczny, pomyślała. I nie udaje cwaniaka. Udawanie cwaniaka przed Santiago i jego towarzystwem nikomu nie wychodziło na zdrowie. Lobato przyglądał się jej uważnym wzrokiem i oceniał ją. To był wzrok faceta, który wie, co w trawie piszczy.

– Meksykanka z Galisyjczykiem. Czego to człowiek w życiu nie zobaczy.

Bardzo sprytne. Nie zadaje pytań, innym pozwala mówić, jeśli się zdarzy okazja. Podprowadza ludzi, jak chce.

– Mój ojciec był Hiszpanem.

– Skąd pochodził?

– Nie mam pojęcia.

Lobato nie spytał, czy naprawdę nie ma pojęcia, czy tylko się wygłupia. Uznał temat rodzinny za zamknięty, wypił łyk piwa i wskazał brodą na Santiago.

– Mówią, że pływasz z nim po towar.

– Kto tak mówi?

– Tak słyszałem. Tutaj żadna tajemnica się nie uchowa. Cóż to jest te piętnaście kilometrów.

– Wywiad skończony – powiedział Santiago, wyjmując z ręki Lobato szklankę z niedopitym piwem i zastępując ją następną, tym razem z kolejki fundowanej przez blondynów od stolika.

Reporter wzruszył ramionami.

– Ładna ta twoja dziewczyna. Mówi ze śmiesznym akcentem.

– Mnie też się podoba.

Teresa kołysała się, ciasno objęta silnymi ramionami Santiago, i było jej dobrze. Kuki, właściciel Bernala, postawił na barze kilka talerzyków – krewetki z czosnkiem, mięso szpikowane boczkiem, klopsiki, pomidory skropione oliwą. Teresa uwielbiała takie obiady i kolacje, bardzo hiszpańskie – od baru do baru, jedzenie na stojąco drobnych przekąsek, wędlin i ciepłych dań. Rozprawiła się z całą porcją mięsa i wytarła sos chlebem. Smakowało jej i nie martwiła się, że przytyje, zresztą była chuda i jeszcze przez kilka lat mogła sobie pozwolić na takie

ekscesy. Jak mówią w Culiacán: napchała się po same uszy. U Kukiego na półce za barem stała butelka José Cuervo, zamówiła więc tequilę. W Hiszpanii nie używa się wysokich i wąskich kieliszków jak w Meksyku, zawsze więc rozglądała się za najmniejszymi szklankami do wina, bo one najbardziej przypominały *caballitos*. Problem polegał jednak na tym, że miały dwukrotnie większą pojemność.

Weszli następni goście. Santiago i Lobato, oparci o bar, omawiali zalety gumowych pontonów typu Zodiac, które świetnie sprawdzają się podczas pływania na dużych szybkościach po wzburzonym morzu, Kuki od czasu do czasu włączał się do rozmowy. Twarde kadłuby bardzo się niszczą podczas pościgów i Santiago już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad pontonem z dwoma albo trzema silnikami, wystarczająco dużym, żeby dotrzeć do wschodniego wybrzeża Andaluzji i przylądka Gata. Jedyne kłopot, że nie ma na to środków – to duża inwestycja i duże ryzyko. No i nie wiadomo, czy na wodzie sprawdzą się ich przewidywania.

Naraz rozmowa się urwała. Gibraltarczyki przy stoliku zamilkli i patrzyli na gości, którzy właśnie stanęli przy końcu baru, obok starego afisza ostatniej corridy, jaka odbyła się przed wojną domową – Feria w La Línea 19, 20 i 21 lipca 1936 roku. Byli to czterej przystojni mężczyźni. Wysocy, atletycznie zbudowani, krótko ostrzyżeni. Jeden z nich miał jasne włosy i nosił okulary. Trzej ubrani w sportowe bluzy polo, a czwarty w niebieską, nieskazitelnie wyprasowaną koszulę i dżinsy tak czyste, że wyglądały jak nowe.

– I znów tu jesteśmy – westchnął Lobato i dodał z kpina – między Trojanami i Achajami.

Przeprosił ich na chwilę, mrugnął do Gibraltarczyków przy stoliku i podszedł przywitać się z nowo przybyłymi, zatrzymując się na chwilę przy człowieku w niebieskiej koszuli. Wracając, uśmiechał się pod nosem.

– Ci czterej są ze straży celnej.

Santiago przyglądał im się z zawodową ciekawością. Widząc, że jest obserwowany, jeden z wysokich mężczyzn skłonił lekko głowę, jakby w geście pozdrowienia, a Santiago nieco uniósł szklankę z piwem. Mogła to być odpowiedź, ale nie musiała. To są kodeksy i reguły gry,

w którą grają wszyscy, i ścigający, i ścigani, na neutralnym terenie. Kuki nalewał manzanillę i podawał przekąski bez mrugnięcia okiem. Takie spotkania odbywały się tu codziennie.

– Ten przystojniak – Lobato dodawał kolejne szczegóły – jest pilotem ptaszyska.

Ptaszyskiem był helikopter BO-105 straży celnej, wyposażony w sprzęt do śledzenia i pościgów na morzu. Teresa widziała, jak z powietrza dopadł przemytniczą motorówkę. Latał świetnie, bardzo nisko. Ryzykownie. Przyjrzała mu się – trochę ponad trzydziestkę, ciemnowłosa, opalony. Mógłby uchodzić za Meksykanina. Wydawał się dobrze wychowany, bardzo przystojny. Może trochę nieśmiały.

– Powiedział mi, że wczoraj ktoś wystrzelił racę, która trafiła go w śmigło. – Lobato popatrzył na Santiago. – Nie ty to zrobiłeś, co?

– Wczoraj nie pływałem.

– Może jeden z tamtych.

– Może.

Lobato spojrzał na Gibraltarczyków, którzy teraz rozmawiali i śmiali się przesadnie głośno. Jutro wcisnę im osiemdziesiąt milionów, przechwalał się jeden. Bez mrugnięcia okiem. Jeden z nich, Parrondi, powiedział Kukiemu, żeby nalał kolejkę panom celnikom. Dziś są moje urodziny i będzie mi bardzo miło wszystkim postawić, powiedział z wyraźną kpina. Goście z końca baru odmówili, ale jeden z nich podniósł dwa palce w górę, czyniąc znak zwycięstwa, i życzył wszystkiego najlepszego. Blondyn w okularach, dodał Lobato, pływa motorówką HJ. Też jest z Galicji, swoją drogą. Z La Coruñi.

– Czyli już wiesz, jak jest z powietrzem – powiedział Lobato do Santiago. – Naprawa i tydzień czystego nieba, bez sępów nad głową. Sam decyduj.

– W tych dniach nic nie mam.

– Nawet papierosów?

– Nic.

– No to szkoda.

Teresa nadal obserwowała pilota. Niby spokojny, a tu cicha woda. Widząc go w tej nienagannej koszuli, z zaczesanymi do góry błyszczącymi włosami, trudno było wyobrazić go sobie w helikopterze,

który pojawiał się w koszmarach wszystkich przemytników. Może było z nim tak jak z bohaterem tego filmu, który oglądała z Santiago w kinie letnim w La Línea, pogryzając pestki: *Doktor Jekyll i Mister Hyde*.

Lobato poszedł za jej wzrokiem i uśmiechnął się.

– To miły gość. Jest z Cáceres. Rzucają w niego najdziwniejszymi rzeczami. Kiedyś wiosło trafiło w śmigło i facet o mało się nie zabił. Kiedy ląduje na plaży, dzieciaki ciskają w niego kamieniami. Czasami Atunara wygląda jak Wietnam. Nad morzem, jasne, jest zupełnie inaczej.

– Tak – zgodził się Santiago między dwoma łykami piwa. – Tam te sukinsyny mają przewagę.

W ten sposób spędzali wolny czas. Czasem chodzili na zakupy albo też załatwiali sprawy w banku w Gibraltarze, albo spacerowali po plaży podczas wspaniałych zachodów słońca długiego andaluzyjskiego lata. Patrzyli, jak skała na przylądku rozbłyskuje światłami, patrzyli na zatokę pełną statków z całego świata – Teresa odróżniała już najważniejsze bandery – na których zapalano światła, gdy tylko słońce chowało się za horyzontem. Ich domem była chałupka oddalona zaledwie dziesięć metrów od wody, przy ujściu rzeki Palmones, dokładnie w połowie zatoki między Algeciras i Gibraltarem. Stało tam kilka domów rybaków. Lubiła tę okolicę z piaszczystymi plażami, bo przypominała jej trochę Altatę w Sinaloa, gdzie nieopodal spokojnej wody w ujściu rzeki stały niebieskie i czerwone łodzie. Na śniadanie – kawa z mlekiem i grzanki z oliwą – chodzili do El Espigón albo do Estrella de Mar, a w niedzielę na obiad jedli jajka z krewetkami w Casa Willy. Czasami, w przerwach między nocnymi wyprawami z towarem przez cieśninę, wsiadali do cherokee Santiago i jechali do Sewilli, jedli kolację w Casa Becerra albo zatrzymywali się na suszoną szynkę i polędwicę z dzikich świń w przydrożnych gospodach. Niekiedy znów jechali wzdłuż wybrzeża przez Costa del Sol aż do Malagi, albo w odwrotnym kierunku, przez Tarifę i Kadyks, do Sanlúcar de Barrameda i do ujścia Gwadalkiwiru: pili barbadillo, jedli małe langusty, odwiedzali dyskoteki, kawiarniane ogródki, restauracje, bary karaoke, aż w końcu Santiago otwierał portfel, liczył i mówił: dosyć, zapaliła się rezerwa, wracamy, żeby trochę zarobić, nikt nam nie robi prezentów. Zdarzało się, że ubrudzeni olejem i smarem, spaleni słońcem i niemal zagryzieni przez muchy całe dnie

spędzali przy nabrzeżu portu Sheppard, rozkładając i z powrotem składając silnik phantoma – słowa dawniej niezrozumiałe, jak tłoki, głowice, skrzynie biegów, teraz nie kryły przed nią żadnych tajemnic – potem wypróbowywali łódź w szybkich rajdach przez zatokę, bacznie obserwowani z helikoptera, z łodzi celników i z heinekenów, które być może tej samej jeszcze nocy miały się z nimi bawić w kotka i myszkę na południe od przylądka Europa. I zawsze wieczorem, po spokojnych dniach w porcie, kiedy prace były zakończone, szli do Olde Rock, gdzie siadali zawsze przy tym samym stoliku, pod obrazkiem, który przedstawiał moment śmierci pewnego angielskiego admirała o nazwisku Nelson.

W ten sposób, w tych niemal szczęśliwych czasach – pierwszy raz w życiu była świadoma takiego stanu – Teresa powoli wchodziła do zawodu. Meksykanka, która niewiele ponad rok wcześniej uciekła z Culiacán, teraz była kobietą zaprawioną w nocnych wypadach i przygodach, znała się na sprawach związanych z morzem, na silnikach, na wiatrach i prądach. Rozpoznawała kierunek i trasy statków po liczbie, kolorze i pozycji ich świateł. Przystudiowała hiszpańskie i angielskie mapy Cieśniny Gibraltarskiej, porównując je z własnymi obserwacjami, znała niemal na pamięć głębokości, ukształtowanie wybrzeża, punkty odniesienia na lądzie, które potem, w nocy, wyznaczają granicę między sukcesem a porażką. Przenosiła papierosy do gibraltarskich magazynów, a potem szmuglowała je milę dalej, do Atunary; pakowała marokański haszysz, który potem lądował w zatokach i na plażach między Tarifą a Esteponą. Sprawdziała, z kluczem francuskim i śrubokrętem w dłoni, pompy chłodnicze i cylindry, czyściła elektrody i wymieniała olej, wykręcała świece. Znała się teraz na takich sprawach, które wcześniej w najmniejszym stopniu jej nie interesowały, wiedziała na przykład, że spalanie na godzinę w każdym silniku dwusuwowym oblicza się, mnożąc przez 0,4 maksymalną moc – jest to zasada bardzo przydatna, bo na pełnym morzu zużywa się mnóstwo paliwa, a tam nie ma stacji benzynowych. Nauczyła się też prowadzić Santiago uderzeniami po ramionach podczas bardzo szybkich pościgów, żeby nie rozpraszała go bliskość motorówek czy helikoptera, kiedy pędził z niebezpieczną szybkością. Sama też umiała prowadzić ślizgacze powyżej prędkości

trzydziestu węzłów, dodawać gazu lub zmniejszać obroty silnika na wzburzonym morzu po to, żeby kadłub łodzi jak najmniej ucierpiał. Podnosiła śrubę na wysokiej fali albo opuszczała ją do połowy w ślizgu, potrafiła ukryć się w zakamarkach wybrzeża, wykorzystując bezksiężycowe noce, pozostawać w cieniu rybackich kutrów albo dużych statków, żeby nie dawać własnego odbicia na radarach. Poznała też taktykę odpowiednią do różnych rodzajów uciezek – jak wykorzystywać krótki promień skrętu phantoma, żeby uniknąć abordażu przez silniejsze, ale mniej sterowne łodzie, jak znaleźć się za rufą tego, kto cię ściga, jak przepłynąć tuż przed dziobem albo tuż za rufą, wykorzystując fakt, że silnik benzynowy ma lepsze osiągi niż diesel przeciwnika. W ten sposób przechodziła od strachu do euforii, od zwycięstwa do klęski; i od nowa nauczyła się tego, co już wiedziała: że raz przegrywasz, raz wygrywasz, potem znów przestajesz wygrywać. Oświetlona w środku nocy reflektorem ścigającej ich łodzi, wyrzucała towar do morza, przenosiła go do rybackich kutrów, podawała paczki czarnym sylwetkom, które, zanurzone w wodzie po pas, zbliżały się od strony pustych plaż, pośród szumu cofającej się fali. A pewnego razu – jak dotąd jeden jedyny raz – podczas operacji prowadzonej z ludźmi nie całkiem godnymi zaufania – nawet sama przekazywała towar, a Santiago siedział na rufie w ciemności z uzi ukrytym pod bluzą; nie była to asekuracja na wypadek pojawienia się celników czy żandarmów – to byłoby niezgodne z regułami gry – ale zabezpieczenie przed ludźmi, którzy odbierali towar, a byli to Francuzi o bardzo złej sławie i jeszcze gorszych zwyczajach. Później tego samego poranka, kiedy już było po wszystkim, a oni płynęli w kierunku Gibraltaru, Teresa z ulgą wyrzuciła uzi do morza.

Teraz nie czuła ulgi, choć płynęli pustą motorówką z powrotem do Gibraltaru. Była za dwadzieścia piąta rano i upłynęły dopiero dwie godziny od chwili, kiedy załadowali trzysta kilo żywicy haszyszu na marokańskim wybrzeżu – dość czasu, żeby przepłynąć dziewięć mil dzielących Al Marsa od Cala Arenas i rozładować towar na drugim brzegu. Ale – jak mówi stare przysłowie – nie chwal dnia przed zachodem słońca. I na potwierdzenie tego, tuż przed przylądkiem Carnero, kiedy właśnie dotarli do czerwonego sektora latarni i widać już

było kształt skały po drugiej stronie zatoki Algeciras, Santiago rzucił nagle przekleństwo, spojrzawszy w górę. I chwilę później poprzez hałas silnika Teresa usłyszała inny warkot, zbliżający się od strony rufy, a zaraz potem reflektor oświetlił motorówkę, niemal ich oślepiając. Ptaszysko, rzucił przez zęby Santiago. Cholerne ptaszysko. Śmigła helikoptera powodowały powietrzny wir nad phantomem, unosząc wodę i pianę dookoła, a kiedy Santiago podciągnął płetwę i nacisnął gaz, obroty silnika skoczyły z dwóch i pół do czterech tysięcy i łódź śmignęła po powierzchni morza, tylko odbijając się od wody. Wszystko na nic. Reflektor śledził ich nadal, oświetlając to jedną burtę, to drugą, to znów rufę, za którą niby biała firanka frunęła biała piana wzniesiona mocą dwustu pięćdziesięciu koni. Trzymając się mocno, żeby nie wypaść za burtę, Teresa zrobiła to, co powinna była zrobić: zapomniała o niebezpieczeństwie grożącym ze strony helikoptera, lecącego, jak obliczyła, około czterech metrów nad wodą i z taką samą jak oni prędkością prawie czterdziestu węzłów, i zajęła się innym wrogiem, na pewno już bliskim, jeszcze bardziej niebezpiecznym, bo płynęli tuż przy brzegu – motorówką straży celnej, która, wiedziona radarem i światłem reflektora ze śmigłowca, musiała się do nich zbliżyć z pełną szybkością od strony wybrzeża, aby odciąć im drogę albo ich zepchnąć na kamienie pośród piaszczystych ławic przy La Cabricie, które były przed nimi, gdzieś za lewą burtą.

Przytknęła twarz do gumowej osłony radaru, objając sobie czoło i nos przy uderzeniach o wodę, i wcisnęła klawisz, żeby zmniejszyć zasięg radaru do pół mili. Boże przenajświętszy! Chryste Panie! Jeśli w tej robocie nie masz dobrych układów ze Wszechmocnym, nawet się do niej nie zabieraj, pomyślała. Odbicie z anteny na ekranie trwało niewiarygodnie długo, wstrzymała oddech na całą wieczność. Wyciągnij nas jeszcze z tego, Boże najukochańszy! Przypomniała sobie nawet o świętym Malverdem w tę czarną noc nieszczęścia. O tej porze i w tym miejscu pod byle pretekstem strażnicy mogli zająć łódź albo rozbić ją i posłać na dno, niby przez przypadek. Oślepiające światło reflektora wdzierało się na ekran, utrudniając obserwację. Zauważyła, że Santiago jeszcze zwiększył obroty silnika, mimo że podnosił się zachodni wiatr i już płynęli na granicy wytrzymałości. Galisyjczykowi nawet nie

drgnęła powieka, nie był zresztą człowiekiem, który lubił ułatwiać zadanie wymiarowi sprawiedliwości. Ślizgacz dał skok dłuższy niż przedtem – żeby się tylko nie zatarł silnik, pomyślała, widząc w wyobraźni śrubę kręcącą się w powietrzu – a kiedy znów znaleźli się na powierzchni wody, Teresa, trzymając się najmocniej, jak mogła, i uderzając co chwila twarzą o osłonę radaru, zobaczyła w końcu na ekranie między niezliczonymi odbiciami wysokich fal czarną plamę, podłużną i złowrogą, zbliżającą się szybko za prawą burtą, w odległości mniej niż pięćset metrów.

– Są na piątej – krzyknęła, potrząsając ramieniem Santiago. – Odległość trzy kable.

Powiedziała to z ustami przytkniętymi do jego ucha, żeby usłyszał ją mimo huku silnika. Santiago rzucił bezsilne spojrzenie w tamtym kierunku, mrużąc oczy przed blaskiem reflektora ze śmigłowca, który ciągle był do nich przyklepiony, a potem szybkim ruchem ręki zerwał osłonę radaru, żeby móc samemu spojrzeć na ekran. Czarna kręta linia wybrzeża zarysowywała się niepokojąco blisko przy każdym obrocie anteny, jakieś trzysta metrów po skosie za lewą burtą. Teresa spojrzała przed dziób. Latarnia na przylądku Carnero nadal wysyłała czerwone błyski. Jeśli dalej będą płynąć w tym kierunku, to dotrą do strefy białego światła i nie będzie sposobu, żeby ominąć piaszczyste łąchy przy La Cabricie. Santiago zapewne pomyślał to samo, bo w tej samej chwili zmniejszył prędkość i skręcił na prawo, znów przyspieszył i manewrował zygzakami w kierunku otwartego morza, spoglądając to na ekran radaru, to na reflektor helikoptera, który przy każdym zwrocie motorówki tracił ją na moment z zasięgu, by po chwili znów rzucić na nich snop światła. Czy to ten facet w niebieskiej koszuli, czy ktokolwiek inny, pomyślała Teresa z podziwem, to w górze naprawdę nie pęka. I cokolwiek by mówić, taka jest prawda. Zna się na swojej robocie. Nie każdy potrafi latać w środku nocy tuż nad wodą. Ten pilot musi być równie dobry jak Blondyn w swoim czasie. Albo jeszcze lepszy. Chętnie by do niego wystrzeliła jakąś racę, gdyby tylko jakaś cholerna rasa była na pokładzie! Chciałaby zobaczyć, jak wpada do wody. Plaff!

Teraz odbicie łodzi celników na radarze było tuż, zbliżało się nieubłaganie. Gdyby na pełnej prędkości płynęli po gładkim morzu,

byliby nieosiągalni, ale wysoką falę motorówka znosiła dużo gorzej i ścigający mieli przewagę. Teresa spojrzała w tył, ukośnie przez prawą burtę, osłaniając dłonią oczy przed światłem; spodziewała się, że w każdej chwili może pojawić się tam łódź. Trzymając się burty najmocniej, jak mogła, kuliła głowę przed spienionymi falami, które zalewały ich od dziobu i przy każdym uderzeniu o powierzchnię wody otrzymywała bolesny cios w nerki. Z niepokojem spoglądała na Santiago, z profilu patrzyła na jego napiętą twarz, zalewaną słoną wodą, widziała jego błyszczące oczy wpatrzone w ciemność nocy. Jego dłonie zaciśnięte na sterze phantoma wykonywały drobne i zręczne ruchy, aby maksymalnie wykorzystać dodatkowe pięćset obrotów podrasowanego silnika i właściwe odchylenie płetwy sterowej, i płaskiej stępki, która w dłuższych skokach wydawała się frunąć, jakby śruba tylko od czasu do czasu dotykała wody, innym znów razem uderzała z hukiem, jakby kadłub roztrzaskiwał się właśnie na tysiąc kawałków.

– Tam jest!

Tam był. Widmowy cień, chwilami szary, chwilami niebieskobiały, który unosząc tumany wody, wdarł się w obszar oświetlony reflektorem z helikoptera, niebezpiecznie blisko. Motorówka straży to pojawiała się, to znowu znikła w ciemnościach, przypominała olbrzymi mur albo potwornego wieloryba pędzącego po falach, a reflektor skierowany w ich kierunku, z umieszczoną powyżej latarnią błyskającą na niebiesko, wyglądał jak złe oko. Ogłuszona warkotem silników, trzymając się z całej siły pokładu, zalewana wodą – choć oczy ją piekły, nie wycierała ich, bojąc się, że może wypaść za burtę – Teresa zobaczyła, jak Santiago otwiera usta i krzyczy coś, czego nie usłyszała, a potem kładzie prawą rękę na dźwigni płetwy sterowej, zdejmując nogę z gazu i gwałtownie zwalnia, przesuwając równocześnie ster na lewą burtę, po czym natychmiast przyspiesza, kierując się prosto na przylądek Carnero. Ostry skręt pozwolił im wymknąć się z zasięgu reflektora śmigłowca i oddalić się od motorówki straży, jednak ulga Teresy trwała zaledwie chwilę, dopóki nie uświadomiła sobie, że płyną w kierunku lądu, granicą między sektorami białego i czerwonego światła latarni morskiej, prosto na czterysta metrów kamieni i skał przy La Cabricie. Tylko bez jaj, do cholery! Reflektor z motorówki celników oświetlał ich teraz z tyłu, od

strony rufy, wspomagany światłem ze śmigłowca, który znów leciał tuż nad nimi. I wtedy, kiedy Teresa z rękami zaciśniętymi na uchwyty próbowała bilansować wszelkie za i przeciw, zobaczyła, że światło latarni morskiej, zbyt bliskie, zmieniło się z czerwonego na białe. Bez potrzeby patrzenia na radar wiedziała, że są teraz najwyżej sto metrów od kamieni i że głębokość zmniejsza się tu gwałtownie. To beznadziejne! Albo zwolni, albo się rozwalimy, pomyślała. A przy tym cholernym pędzie nawet nie można skoczyć do morza! Spojrzała do tyłu i zobaczyła, że reflektor na motorówce straży zostaje coraz dalej, a załoga stara się ominąć mieliznę. Santiago jeszcze chwilę płynął tak samo, zerknął przez ramię w kierunku tamtej motorówki, potem na wskaźnik sondy, a następnie przed siebie, gdzie odległa jasność Gibraltaru wycinała przed nimi ciemny kontur skał La Cabrity. Mam nadzieję, że nie, pomyślała Teresa z przestachem. Mam nadzieję, że nie wpadnie mu do głowy pakować się w przesmyk między skałami – zrobił to kiedyś, ale było to w ciągu dnia i nie pędzili tak jak teraz. W tym momencie Santiago znów zwolnił, ster przerzucił na prawą burtę i przemknął tuż pod brzuchem helikoptera, który w tym momencie uniósł się gwałtownie, żeby nie zahaczyć o antenę radaru phantoma, i skierował łódź wcale nie w przesmyk, ale na zewnętrzną stronę łąchy, tak blisko czarnej sylwetki La Cabrity, że Teresa poczuła zapach alg i odbicie hałasu silnika od skalistego urwiska. I naraz, ciągle z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, stwierdziła, że są po drugiej stronie przylądka Carnero: woda była tu dużo spokojniejsza niż na otwartym morzu, a motorówka straży celnej znów została kilka kabli z tyłu, bo musiała zatoczyć łuk. Helikopter znów leciał tuż nad nimi, ale teraz był jedynie nieprzyjemnym towarzyszem, który już nie mógł zaszkodzić. Santiago docisnął silnik do końca, sześć tysięcy trzysta obrotów, i phantom przepływał przez zatokę Algeciras z prędkością pięćdziesięciu pięciu węzłów, mknąc po gładkiej powierzchni wody w kierunku wejścia do portu w Gibraltarze. Super. Cztery mile w pięć minut, z jednym łagodnym manewrem, żeby ominąć tankowiec zakotwiczony w połowie drogi. Kiedy motorówka celników zaniechała pościgu, a helikopter zaczął się oddalać i nabierać wysokości, Teresa podniosła się w kokpicie i – ciągle oświetlona przez reflektor – zgięła wymownym gestem rękę

w łokciu w kierunku pilota. Takiego, kutasie! Teraz żegnaj, może się jeszcze spotkamy, sępie. W knajpie u Kukiego.

Oskara Lobato znalazłem od razu, kiedy po raz pierwszy zadzwoniłem do redakcji „Diario de Cádiz”. Teresa Mendoza, powiedziałem. Piszę książkę. Umówiliśmy się na obiad następnego dnia w Venta del Chato, starej restauracji przy plaży Cortadura. Właśnie parkowałem przy wejściu, na wprost morza, mając za sobą miasto, bielejące w słonecznym świetle na końcu piaszczystego półwyspu, kiedy Lobato wysiadł ze swojego poobtłukiwanego forda, pełnego starych gazet, z wywieszką PRASA za przednią szybą. Zanim do mnie podszedł, chwilę rozmawiał ze strażnikiem na parkingu, a na koniec poklepał go po ramieniu, co ten przyjął z taką radością, jakby dostał napiwek. Lobato był człowiekiem sympatycznym, rozmownym, stanowił niewyczerpane źródło anegdot i informacji. Piętnaście minut później byliśmy już przyjaciółmi, a ja znacznie poszerzyłem swoją wiedzę dotyczącą samej restauracji – prawdziwej oberży przemytników, liczącej dwa wieki historii – składników sosu, który nam podano do dziczyzny, i zastosowania każdego z najróżniejszych archaicznych przedmiotów zdobiących ściany lokalu i, co najważniejsze, wiedziałem wszystko o *garum*, ulubionej potrawie rybnej Rzymian, w czasach gdy miasto jeszcze nazywało się Gades, a turyści podróżowali na pokładzie triremy[3]. Przed drugim daniem wiedziałem też, że znajdujemy się nieopodal Morskiego Obserwatorium San Fernando, przez które przechodzi dawny hiszpański południk zero, i że w 1812 roku wojska napoleońskie oblegające Kadyks – nie dotarły do Bramy Ziemi, zaznaczył Lobato – tam właśnie stacjonowały.

– Widziałeś film *Lola la Piconera*?

Chwilę wcześniej przeszliśmy na ty. Odrzekłem, że nie, nie widziałem, a on opowiedział mi go od samego początku do końca. Grali w nim Juanita Reina, Virgilio Teixeira i Manuel Luna, a wyreżyserował go w 1951 roku Luis Lucía. Jak głosi legenda, nieprawdziwa oczywiście, la Piconera została rozstrzelana przez żabojadów dokładnie w tym miejscu. Tutejsza bohaterka i tak dalej, wszyscy znają piosenkę: *Niechaj nam żyje radość, a smutek niech umiera, Lola, Lolita la Piconera*. Przyglądał mi

się, a ja miałem minę, jakby to wszystko szalenie mnie interesowało. Potem puścił do mnie oko, zdrowo łyknął wina Yllera ze swojego kieliszka – właśnie otworzyliśmy drugą butelkę – i bez żadnych wstępów zaczął po prostu opowiadać o Teresie Mendozie.

– Meksykanka. I Galisyjczyk. Wozili haszysz w tę i z powrotem, ostra jazda, na granicy ryzyka. Epickie czasy – westchnął z odrobiną nostalgii przeznaczonej specjalnie dla mnie. – Jasna sprawa, wszystkim groziło niebezpieczeństwo. Ale oni byli twardzi. Zresztą wtedy ludzie nie mieli w sobie tyle złości co teraz.

Ciągle jestem reporterem, dodał. Tak samo jak wtedy. Pieprzoną piechotą reportażu, że się tak wyrażę. Ale z pełną godnością. Bo przecież nie potrafi robić niczego innego. Lubi swoją robotę, choć dostaje takie same gówniane pieniądze jak dziesięć lat wcześniej. Zresztą jego żona przynosi do domu drugą pensję. No i nie mają dzieci, które by płakały, tatusiu, jeść.

– Dzięki temu – podsumował – ma się więcej *liberté, egalité* i *fraternité*. Przerwał, żeby odpowiedzieć na pozdrowienie lokalnych polityków w ciemnych garniturach, którzy usiedli przy sąsiednim stoliku. Miejscy radni z komisji kultury i architektury, mruknął pod nosem, nawet nie mają matury – i wrócił do Teresy Mendozy i Galisyjczyka. Spotykało się ich w Gibraltarze albo w Algeciras, ona była niebrzydka z tą swoją indiańską buzią, miała bardzo ciemne włosy i ogromne oczyska, płonące zemstą, od razu to było widać. Nie należała do specjalnie okazałych, raczej drobniutka, ale jak się odstawiła, robiła wrażenie. No i trzeba przyznać, że piersi miała ładne. Nie były zbyt duże, ale takie – Lobato przysunął do siebie dłonie, z uniesionymi do przodu kciukami – jakby to były rogi byka. Ubierała się nie najlepiej, trochę w stylu dziewczyny przemytnika, ale mniej wyzywająco: nosiła bardzo obcisłe spodnie, podkoszulki, buty na wysokich obcasach i tak dalej. Wystrojona, ale w stylu sportowym. Raczej nie zadawała się z dziewczynami z tego środowiska. Czulo się jej klasę, choć trudno określić, na czym to polegało. Kiedy mówiła, zawsze była łagodna, miała ten śpiewny akcent, jakby bardziej kulturalny. I używała pięknych archaizmów, częstych u Meksykanów. Kiedy włosy – z przedziałkiem pośrodku, ściśle przylegające do głowy – ciasno zebrała na karku, wyraźnie piękniała.

Przypominała Sarę Montiel w filmie *Veracruz*. Wtedy musiała mieć dwadzieścia parę lat. Lobato zauważył, że nigdy nie nosiła złota, tylko srebro. Kolczyki, bransoletki. Niewiele, i tylko srebrne. Czasem wkładała siedem wąskich bransoletek na rękę. Tin, tin, tin. Zapamiętał, bo wydawały taki dźwięk.

– Z czasem środowisko zaczęło ją szanować. Przede wszystkim dlatego, że Galisyjczyk cieszył się dobrą opinią. A ponadto dlatego, że była jedyną kobietą, która wyjeżdżała na robotę. Na początku wszyscy z niej kpili, co tu robi ta dupa, po co ta mała się tu wpieprza i tak dalej. Nawet celnicy i gliniarze robili sobie jaja. Ale jak się rozeszło, że nie pęka na robocie, jak facet, sytuacja się zmieniła.

Spytałem, dlaczego Santiago Fisterra cieszył się dobrą opinią, a Lobato połączył kciuk z palcem wskazującym w geście, który wyrażał aprobatę. Był w porządku, powiedział. Cichy, słowny. Bardzo galisyjski, w dobrym znaczeniu tego słowa. Mam na myśli, że nie był ponurym, milczącym, niebezpiecznym drabem ani dresiarzem, ani żadnym z tych upiórów, które dziergają w haszyszowym interesie. Był dyskretny, nigdy nie robił afer. Normalny. Wyglądał na porządnego faceta – nie wiem, czy mnie rozumiesz. Wykonywał swoją pracę, tak jak inni chodzą do biura. Ludzie z branży, Gibraltarczyki, jak mówili: jutro o trzeciej, to znaczyło, że o tej porze w najlepsze będą tankować albo pójdą na dziewczynki, a ty w tym czasie mogłeś podpierać umówioną latarnię, nerwowo spoglądając na zegarek, a między słupem i tobą rosła pajęczyna. Ale jeśli Galisyjczyk powiedział: wypływam jutro, nie było gadania. Wypływał bez mrugnięcia okiem, choćby była czterometrowa fala. Jak dał słowo, to go dotrzymywał. Zawodowiec. Nie zawsze było to dobre, bo pokazywał, że inni są gorsi. Jego ambicją było zarobić dużą gotówkę i zająć się czymś innym. Może dlatego tak dobrze rozumieli się z Teresą. Wyglądali na zakochanych, jasna sprawa. Chodzili za rączkę, obejmowali się, rozumiesz, normalnie. Ale po niej było widać, że nie da się jej całkiem kontrolować. Nie wiem, czy mówię jasno. Miała coś takiego, że się zastanawiałeś, czy na pewno jest szczerą. Wcale nie mówię, że była hipokrytką, nic z tych rzeczy. Gotów jestem włożyć rękę w ogień, że była w porządku. Mam co innego na myśli. Wydaje mi się, że Santiago kochał ją bardziej niż ona jego. Kapujesz? Teresa była

zawsze jakby daleko. Uśmiechała się, dobra i miła, i na pewno było im fantastycznie w łóżku. Ale czułem coś takiego... Czasem, kiedy ją obserwowałem, a przecież, stary, mój zawód to obserwowanie, widziałem, że patrzy na nas wszystkich, łącznie z Santiago, tak jakby nie całkiem wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Jakby miała już przygotowaną kanapkę w papierze śniadaniowym, spakowaną torbę i bilet na pociąg. Śmiała się, piła tequilę – uwielbiała tequilę, jasna sprawa – całowała się ze swoim chłopakiem i nagle pojawiał się w jej oczach taki dziwny wyraz. Jakby myślała: to nie potrwa długo.

To nie potrwa długo, pomyślała. Kochali się przez całe popołudnie, jakby świat miał się skończyć, a teraz przechodzili pod arkadą średniowiecznych murów obronnych Tarify. ...ODBITA MAUROM – czytała Teresa na ceramicznej tablicy umieszczonej nad nadprożem – ZA PANOWANIA KRÓLA SANCHO IV DZIELNEGO, 21 WRZEŚNIA 1292 ROKU. To spotkanie biznesowe, powiedział Santiago. Pół godziny samochodem. Przy okazji przejdziemy się, wstąpimy do baru. Potem pójdziemy na kolację, w knajpie u Juana Luisa zjemy pieczone żeberka. No i przyjechali tutaj. Popołudniowe światło barwił na szaro wschodni wiatr, który podnosił baranki białej piany na powierzchni morza, na wprost plaży Lances, i przeganiał je wzdłuż wybrzeża, w kierunku Atlantyku i w przeciwną stronę, ku Morzu Śródziemnemu, Afryka zaś niknęła powoli we mgle ciemniejącej od wschodu. Równie niespiesznie oni oboje, objęci w pasie, przechodzili wąskimi, pobielonymi wapnem uliczkami małego miasteczka, gdzie wiatr zawsze wieje we wszystkich kierunkach niemal przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Tego wieczoru wiało bardzo mocno i zanim weszli do miasteczka, przyglądali się, jak morze bije o falochron przy przystani na wprost parkingu pod murami, tak że morską mgiełka osiadała na przedniej szybie ich cherokee. Siedzieli sobie wygodnie, słuchając muzyki z radia, Teresa wtulona w ramię Santiago patrzyła w morze. Zobaczyła w oddali wielki trzymasztowy żaglowiec jak ze starych filmów, który oddalał się w kierunku Atlantyku; pod uderzeniami silnych szkwałów zanurzał dziób w falach, niewyraźny w szarej zasłonie wiatru, wody i piany, jakby był statkiem widmem przybyłym z odległych czasów, żeglującym nieprzerwanie od lat albo od

wieków. Wyszli z samochodu i ulicami osłoniętymi od wiatru poszli do centrum miasteczka, oglądając po drodze wystawy. Sezon letni już się skończył, ale taras pod markizą i wewnątrz kawiarni Central nadal pełne były opalonych dobrze zbudowanych mężczyzn i kobiet o cudzoziemskim wyglądem. Jasnowłosi, w kolorowych podkoszulkach, z kolczykami w uszach. Windsurferzy, powiedział Santiago, kiedy byli tam po raz pierwszy. To chyba rzeczywiście trzeba lubić. Ale na świecie są amatorzy wszystkiego.

– Może któregoś dnia się pomylisz i powiesz, że mnie kochasz.

Spojrzała na niego uważnie, słysząc te słowa. Nie był zły ani obrażony. To nawet nie był zarzut.

– Kocham cię, kretyne.

– No pewnie.

Często drwił sobie z niej w ten sposób, łagodnie, po swojemu, i obserwował, drobnymi prowokacjami zachęcał do mówienia. Wyglądało tak, jakby te słowa drogo cię kosztowały, mówił. Jesteś taka obojętna. Moje ego, czy jak się to mówi, leży skopane. Wtedy Teresa obejmowała go, całowała po oczach i mówiła: kocham cię, kocham, kocham, wiele razy. Cholerny galisyjski dureń. A on żartował, jakby to wszystko nie było ważne, jakby to był zwykły temat rozmowy, pretekst do żartów, i że raczej to ona powinna robić jemu wyrzuty. Zostaw, daj spokój. W końcu przestawali się śmiać, patrzyli na siebie i Teresa czuła bezsilność wobec tego, co niemożliwe, a mężczyzna obserwował ją uważnie, z wyrazem żalu i rezygnacji w oczach, jakby za moment miał się rozpłakać w duchu, niby dzieciak, który biegnie za starszymi chłopcami, a ci zostawiają go w tyle. Ten skrywany smutek Teresa widywała już w jego spojrzeniu i wzruszało ją to głęboko; w takich chwilach myślała, że chyba jednak kocha tego człowieka naprawdę. Powstrzymywała się, żeby nie unieść ręki i nie pogłaskać Santiago po twarzy – jakby była mu coś winna i nie mogła nigdy tego spłacić.

– O czym myślisz?

– O niczym.

Oby to się nigdy nie skończyło, myślała. Niech ta wegetacja pomiędzy życiem a śmiercią, to zawieszenie nad dziwną przepaścią trwa aż do dnia, kiedy wypowiem słowa, które znów będą prawdą. Niech jego skóra

i jego ręce, i jego oczy, i jego usta oczyszczą moją pamięć, niech urodzę się na nowo albo niech wreszcie umrę, żeby móc wypowiedzieć na nowo stare słowa, które wreszcie nie będą brzmiały fałszywie, jak zdrada czy kłamstwo. Obym miała – obyśmy mieli, oby było – dość czasu.

Nigdy nie rozmawiali o Blondynie Dávili. Santiago nie należał do tych, z którymi rozmawia się o innych mężczyznach, ani ona do kobiet, które by to robiły. Czasem, kiedy Teresa czuła jego oddech w ciemności, bardzo blisko, niemal słyszała pytania. Jeszcze i teraz to się zdarzało, ale kiedyś, dawniej, te pytania były czymś zwyczajnym, rozmową bez słów. Na początku, w pierwszych dniach, kiedy mężczyzna, nawet ten, który pojawia się tylko na chwilę, próbuje narzucić niejasne, choć nieubłagane prawa wykraczające poza czysto fizyczne posiadanie, Santiago zadał kilka z tych pytań na głos. Po swojemu oczywiście. Mało konkretnych lub niekonkretnych wcale. Krążył jak kojot wabiony przez ogień, nie odważał się jednak podejść blisko. Słyszał różne rzeczy. Od znajomych znajomych, którzy słyszeli od swoich znajomych. Bez szans. Byłam kiedyś z mężczyzną, zamknęła temat w krótkich słowach, zmęczona jego węszeniem wokół tego jednego, kiedy pytania bez odpowiedzi zmieniały się w nieznośną ciszę. Byłam z mężczyzną przystojnym i odważnym, i głupim, powiedziała. Lubił szpanować, cholerny sukinsyn, tak samo jak ty, jak każdy, ale na niego trafiłam, kiedy byłam bardzo młoda, nie znałam życia, i tak mnie urządził, że przez niego musiałam uciekać, sam widzisz, jak daleko uciekłam, przeskoczyłam płot i przyniosło mnie aż tu, gdzie mnie znalazłeś. Ale tobie powinno zwisać i powiewać, czy byłam z mężczyzną, czy nie, bo ten, o kim mówię, nie żyje, jest martwy. Wykończyli go i umarł, jak wszyscy, tylko trochę wcześniej. A to, ile on znaczył w moim życiu, to moja sprawa, nie twoja. I kiedyś potem, pewnej nocy, kiedy zdrowo się pieprzyli, spleceni jedno z drugim, kiedy Teresa miała cudownie pusty umysł, bez wspomnień i planów, gdy istniała tylko gęsta intensywnie gorąca terażniejszość, której poddawała się bez wyrzutów sumienia, otworzyła oczy, bo Santiago zatrzymał się, i zobaczyła, że patrzy na nią z bardzo bliska w mroku, i kiedy wreszcie wróciła stamtąd, gdzie odlecieli, i zaczęła słuchać tego, co mówi, najpierw pomyślała: durny Galisyjczyk, głupi jak wszyscy, prostak, prostak, co to za pytania w najmniej odpowiednim momencie, on czy ja,

on był lepszy czy ja, kochasz mnie, kochałaś jego. Tak jakby wszystko można było do tego sprowadzić, jakby życie było czarno-białe, złe albo dobre, lepszy czy gorszy jeden od drugiego. Nagle poczuła suchość w gardle, i w duszy, i między nogami, a wewnątrz, w środku, wybuchła nowa wściekłość, nie dlatego, że znów zadawał jej pytania i wybrał na to fatalny moment, ale dlatego, że był prostakiem i niezdarą, szukał potwierdzenia czegoś, co nie miało nic wspólnego z nią, i poruszał coś, co nie dotyczy jego, i nie była to nawet zazdrość, ale ambicja, przyzwyczajenie, absurdalna męska pycha, która każe samcowi oddzielić samicę od stada i odmawia jej prawa wszelkiego innego życia poza tym, jakie on wbija w nią, w jej wnętrzności. Dlatego chciała go zranić, dotknąć, i odepchnęła go mocno, rzucając przez zęby, no jasne, pewnie, a coś ty sobie wyobrażał, kretynie. Może myślałeś, że życie zaczyna się i kończy na tobie i twoim pieprzonym kutasie. Jestem z tobą, bo nie znalazłam lepszego miejsca albo zrozumiałam, że nie potrafię żyć sama, bez jakiegokolwiek faceta, takiego samego jak każdy inny, i mam głęboko w nosie, dlaczego właśnie mnie wybrał, bo może ja sama go wybrałam. I podnosząc się, naga, jeszcze w jego uścisku, uderzyła go z całej siły w twarz, tak mocno, że aż odwrócił głowę. Chciała uderzyć jeszcze raz, ale on ją uprzedził, klęcząc nad nią, wymierzył jej policzek mocny i spokojny, bez wściekłości, choć może zaskoczyło to jego samego, potem zaczął się jej przyglądać, nadal klęcząc bez ruchu, podczas kiedy ona płakała łzami, które nie wypływały z jej oczu, ale z piersi i z gardła, leżała spokojnie na plecach, wyzywając go przez zęby, pieprzony skurwysyn, cholerny Galisyjczyk, złamany kutas, sukinsyn jeden, drań, drań. Położył się potem obok, przez chwilę nic nie mówił ani jej nie dotykał, zmieszany i zakłopotany, a ona leżała na plecach bez ruchu i uspokajała się powoli, czując, jak łzy wysychają na jej twarzy. To było wszystko, i zdarzyło się ten jeden raz. Nigdy więcej nie podnieśli na siebie ręki. I nigdy więcej nie padły żadne pytania.

– Czteryście kilo – powiedział Cañabota cicho. – Najlepszy olej, siedem razy czystszy niż normalny hasz. Sama śmietanka.

W jednej ręce trzymał szklaneczkę dżinu z tonikiem, a w drugiej angielskiego papierosa ze złotym filtrem. Na przemian to zaciągał się dymem, to popijał drinka. Był niski i okrągły, miał ogoloną głowę i cały

czas się pocił, jego koszule zawsze były mokre pod pachami i przy kołnierzyku, gdzie lśnił nieodzowny złoty łańcuch. Być może, stwierdziła Teresa, poci się przez swoją pracę. Ponieważ Cañabota – nie wiedziała, czy to nazwisko, czy przydomek – był kimś, kogo w żargonie zawodowym określa się jako załatwiacza: lokalny przedstawiciel, łącznik albo pośrednik między przemytnikami po obu stronach cieśniny. Ekspert w tajnej logistyce, odpowiedzialny za wywóz haszyszu z Maroka i jego bezpieczny odbiór. Jego praca obejmowała zatrudnianie przewoźników, takich jak Santiago, i zapewnianie sobie współpracy przedstawicieli lokalnych władz. Towarzyszący mu tego dnia sierżant żandarmerii, chudy pięćdziesięciolatek w cywilnym ubraniu, był jednym z wielu instrumentów, których należało użyć, aby zabrzmiała muzyka. Teresa poznała go już wcześniej, wiedziała, że pracuje w okolicach Estepony. W grupie była jeszcze piąta osoba, adwokat z Gibraltaru, Eddie Alvarez, drobny, o rzadkich kręconych włosach, nerwowych dłoniach, w grubych okularach na nosie. Wynajmował dyskretne biuro niedaleko portu w brytyjskiej dzielnicy, gdzie miało swoje siedziby jakieś dziesięć czy piętnaście firm, istniejących tylko na tabliczkach przy wejściu. Jego zadaniem było zarządzanie pieniędzmi, które dostawał Santiago w Gibraltarze po każdej podróży.

– Dobrze byłoby zabrać tym razem notariuszy – dodał Cañabota.

– Nie. – Santiago stanowczo pokręcił głową. – Byłoby za dużo ludzi na pokładzie. Ja mam phantoma, a nie prom pasażerski.

Notariuszami nazywano świadków, których przemytnicy zabierali na łódzie po to, by mogli zaświadczyć, że wszystko przebiegło zgodnie z planem: jeden ze strony dostawców, drugi – odbiorców. Cañabota nie wydawał się zachwycony tą wiadomością.

– Ona – wskazał na Teresę – może zostać na lądzie.

Santiago, nie odrywając wzroku od załatwiacza, znów pokręcił głową.

– Nie widzę powodu. To moja załoga.

Cañabota i żandarm spojrzeli potępiająco na Eddiego Alvareza, jakby jego obciążali winą za tę odmowę. Ale adwokat wzruszył tylko ramionami. To na nic, mówił ten gest. Znam go dobrze, poza tym ja się tylko przyglądam. Czego, do cholery, ode mnie chcecie?

Teresa przejechała palcem po mgiełce, która osiadła na jej szklance

z sokiem. Nigdy nie lubiła uczestniczyć w tych spotkaniach, ale Santiago zawsze nalegał. Ryzykujesz tak samo jak ja, mówił. Masz prawo wiedzieć, co, jak i dlaczego. Możesz się nie odzywać, jeśli nie chcesz, ale nic ci nie zaszkodzi, jeśli będziesz wszystko wiedziała. A jeśli nie podoba im się twoja obecność, to pies ich drapał. Wszystkich. Bo ich żony leżą w chacie i drapią się po dupie, a nie ryzykują głowy, tak jak ty, przez cztery czy pięć nocy w miesiącu.

– Płatność jak zwykle? – zapytał Eddie Alvarez, zawsze dbający o swoje sprawy.

Płatność nazajutrz po dostarczeniu towaru, potwierdził Cañabota. Jedna trzecia kwoty pójdzie bezpośrednio na konto w BBV w Gibraltarze – banki hiszpańskie w kolonii nie podlegały bezpośrednio madryckiej centrali, tylko oddziałowi w Londynie, co prowadziło do uroczej nieprzezroczystości podatkowej – a dwie trzecie bezpośrednio do ręki. Te dwie trzecie w pieniądzach, bez kwitów oczywiście. Choć będą potrzebne jakieś lewe faktury na forszę dla banku. Te same papiery co zwykle.

– Z nią załatwiającie te sprawy – powiedział Santiago i spojrzał na Teresę.

Cañabota i żandarm wymienili spojrzenia. Bez pierdół, znaczyło ich milczenie. Babę nam wciska do biznesu?! W ostatnich czasach Teresa właśnie zajmowała się stroną księgową interesów. Składały się na to: kontrola wydatków, rozliczenia, szyfrowane rozmowy telefoniczne i regularne wizyty u Eddiego Alvaraza, nadzorowała też spółkę z siedzibą w biurze adwokata, konto bankowe w Gibraltarze i lokaty pieniędzy o udowodnionym pochodzeniu w inwestycjach niskiego ryzyka, ale możliwie najprostsze, bo Santiago nie lubił komplikować sobie życia machinacjami bankowymi. To wszystko adwokat z Gibraltaru nazywał podstawową infrastrukturą. Portfel zachowawczy, jak to ujmował – bo w kontaktach zawodowych używał terminologii ekonomicznej. Jeszcze do niedawna, mimo swojej nieufnej natury, Santiago niemal ślepo wierzył Eddiemu Alvarezowi, który brał swoje procenty nawet za składanie czystych pieniędzy na rachunkach lokacyjnych. Teresa zmieniła ten stan, proponując, żeby cały kapitał zainwestować w bardziej opłacalne i pewniejsze papiery i żeby adwokat

przyjął Santiago do spółki w jednym z barów przy Main Street, gdzie prałoby się część zysków. Nie znała się na bankowości ani na finansach, ale cinkciarskie doświadczenie z ulicy Juareza w Culiacán pozwoliło jej na zdobycie pewnej wiedzy ekonomicznej. Systematycznie wzięła się do roboty, porządkowała papiery, dowiadywała się, co można zrobić z pieniędzmi, zamiast trzymać je w skarpecie albo na rachunku bieżącym. Santiago, z początku sceptyczny, musiał uznać fakt, że jest w tym naprawdę dobra i potrafi znaleźć takie rozwiązania, które jemu nawet by nie wpadły do głowy. Przede wszystkim kierowała się zdrowym rozsądkiem. W przeciwieństwie do niego – jako syn rybaka z Galicji należał do ludzi, którzy trzymają pieniądze w plastikowych torbach w szafie – Teresa potrafiła tak dodawać, żeby dwa plus dwa dało pięć. Mimo początkowych zastrzeżeń Eddiego Alvareza Santiago postawił sprawę jasno: ona decyduje o wszystkim, co dotyczy kasy. Owinęła sobie ciebie dokoła dupy, brzmiała diagnoza adwokata, kiedy sam na sam wymieniali poglądy. Mam tylko nadzieję, że nie zrobisz jej współwłaścicielką wszystkiego, co masz, jakiegoś galisyjsko-azteckiego towarzystwa transportowego czy czegoś takiego. Widziałem jeszcze dziwniejsze rzeczy. Wiadomo, jakie są kobiety, a tym bardziej taka cicha woda. Najpierw tylko taką pieprzysz, potem pozwalasz jej podpisywać papiery, dalej wszystko przepisujesz na jej nazwisko, a na koniec zmywa się taka i zostawia cię golutkiego. To jest, powiedział Santiago, moja sprawa. Mówię wyraźnie, patrz mi na usta: moja sprawa. A w ogóle możesz pocałować mnie w dupę. Powiedział to, patrząc na adwokata z taką miną, że ten o mało nie włożył swoich okularów do szklanki z whisky i lodem – tym razem siedzieli na tarasie hotelu Rock, z widokiem na całą zatokę Algeciras w dole – i przestał zgłaszać jakiegokolwiek zastrzeżenia. Żeby cię tak nakryli, dupku. Albo niech ci ta suka przyprawi piękne rogi. Tak pewnie myślał Eddie Alvarez, ale nie powiedział tego głośno.

Teraz Cañabota i sierżant żandarmerii patrzyli na Teresę w taki sposób, który znaczył, że te same myśli chodzą im po głowie. Baby siedzą w domu i oglądają telewizję, mówiło ich spojrzenie. Ciekawe, co ona tu robi. Odwróciła wzrok, rozdrażniona. TKANINY TRUJILLO, czytała na ceramicznym szyldzie na fasadzie naprzeciwko. NAJNOWSZE

WZORY. To żadna przyjemność, kiedy tak na ciebie patrzą. Ale potem pomyślała, że patrząc w ten sposób na nią, równocześnie okazują lekceważenie Santiago, odwróciła więc twarz do nich i z wściekłością wytrzymała ich wzrok bez mrugnięcia okiem. A teraz niech się odpieprzą.

– No bo w sumie – odezwał się adwokat, który widział wszystko bardzo dokładnie – ona wie o wszystkim.

– Wiadomo, do czego służą notariusze – powiedział Cañabota, wciąż patrząc na Teresę. – I obie strony domagają się gwarancji.

– Ja jestem gwarancją – zaprotestował Santiago. – Znają mnie aż za dobrze.

– To bardzo ważny transport.

– Dla mnie wszystkie są ważne, dopóki ktoś za nie płaci. I nie lubię, kiedy mi się mówi, jak mam pracować.

– Ale zasady są zasadami.

– Nie chrzań o zasadach. To jest wolny rynek, a ja mam swoje zasady.

Eddie Alvarez pokiwał głową, zaszępił. Dyskusja nie ma sensu, kiedy cycki są argumentem, znaczyła jego mina. Marnujecie czas.

– Miejscowi nie robią tyłu trudności – upierał się Cañabota. – Parrondi, Victorio... Oni biorą notariuszy i każdego, kto jest potrzebny.

Santiago przełknął łyk piwa, nie odrywając wzroku od Cañaboty. Ten facet od dziesięciu lat siedzi w biznesie, powiedziała kiedyś Teresa. Nigdy nie był w pudle. Chyba nie całkiem mu ufam.

– Ale miejscowym nie ufacie tak jak mnie.

– To ty tak mówisz.

– No to pracujcie z nimi i nie zwracajcie mi głowy.

Żandarm z przyklepionym do ust nieprzyjemnym uśmiechem nie spuszczał wzroku z Teresy. Był niestarannie ogolony, trochę siwych włosów rosło mu na brodzie i pod nosem. Miał na sobie ubranie w stylu trudnym do określenia i nosił je w sposób charakterystyczny dla ludzi przyzwyczajonych do munduru, którzy w cywilu nie czują się dobrze. Znam cię, pomyślała Teresa. Widziałam cię sto razy i w Sinaloa, i w Melilli, wszędzie. Zawsze jesteś taki sam. Dokumenty proszę – i tak dalej. Może jakoś to załatwimy. Cynizm zawodowy. I usprawiedliwienie, że z taką pensją nie można dociągnąć do

pierwszego. Zarekwirowane narkotyki, z których zgłaszasz tylko połowę, mandaty, które pobierasz, ale ich nie rejestrujesz, drinki za darmo, panienki, koleżkowie. Oficjalne śledztwa, które nigdy nie docierają do sedna spraw, wszyscy kryją wszystkich, żyj i pozwól żyć, bo na każdego można znaleźć haka i każdy trzyma trupa w szafie. Tak samo tutaj jak i tam, choć nie Hiszpanie są temu winni, bo wyjechali z Meksyku dwieście lat temu. Ale jest tak samo. Tu jednak robi się to mniej bezczelnie, jasne: jesteśmy w Europie. Teresa spojrzała na drugą stronę ulicy. Można dyskutować, czy rzeczywiście tutaj jest mniej bezczelnie. Pensja sierżanta żandarmerii, policjanta czy celnika hiszpańskiego z pewnością nie wystarcza, żeby kupić najnowszy model mercedesa, jaki ten facet zaparkował, nie krępując się wcale, przed wejściem do kawiarni Central. I na pewno tym samym autem jeździ na swój cholerny posterunek, i nikt się temu nie dziwi, a wszyscy, łącznie z jego szefami, udają, że nic się nie dzieje. No cóż. Żyj i pozwól żyć innym.

Nadal trwała cicha rozmowa, a kelnerka przynosiła kolejne piwa i dziny z tonikiem. Mimo zdecydowanego stanowiska Santiago w sprawie notariuszy Cañabota nie dawał za wygraną. A gdyby cię złapali i wyrzuciłbyś cały ładunek za burtę, nalegał, ciekawe, jak to udowodnisz, jeśli nie będziesz miał świadków? Kilogramy towaru za burtę, a ty wracasz radośnie. Tym razem pracujemy z Włochami, a oni są straszni, mówię ci, mam z nimi kontakt od dawna. Makaroniarska mafia. W sumie taki notariusz jest gwarancją i dla nich, i dla ciebie. Dla wszystkich. Zostaw raz damę na ziemi i przestań się upierać. Nie rób mi wbrew, daj spokój, bo sam sobie zaszkożysz.

– Jeśli mnie złapią i wyrzucę towar – odpowiedział Santiago – to wszyscy będą doskonale wiedzieli, że wyrzuciłem, bo musiałem. Znają moje słowo. I wiedzą to wszyscy, którzy mnie biorą do roboty.

– A ty swoje jak papuga. Nie przekonam cię?

– Nie.

Cañabota popatrzył na Eddiego Alvareza i przeciągnął dłonią po ogolonej czaszce, dając do zrozumienia, że się poddaje. Potem zapalił kolejnego papierosa z dziwnym filtrem. Dla mnie to ciota, pomyślała Teresa. Poza tym coś kombinuje. Koszula załatwiała była zupełnie

mokra i strumyk potu spływał mu po jednej stronie nosa aż do górnej wargi. Teresa nadal milczała, przyglądając się własnej lewej ręce leżącej na stole. Długie, pomalowane na czerwono paznokcie, siedem cienkich bransoletek z meksykańskiego srebra, wąska zapalniczka też ze srebra, urodzinowy prezent od Santiago. Marzyła tylko o tym, żeby ta rozmowa już się skończyła. Wyjść stąd, kochać się ze swoim facetem, dotykać wargami jego ust, wbić czerwone paznokcie w jego łądźwie. Zapomnieć na chwilę o wszystkim. O nich wszystkich.

– Któregoś dnia możesz mieć kłopoty – odezwał się żandarm.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział, i skierował je bezpośrednio do Santiago. Przyglądał mu się przeciągle, jakby rejestrował rysy jego twarzy w pamięci. Spojrzenie to zapowiadało kolejne rozmowy na osobności, w intymności kryminału, gdzie nikogo nie dziwią żadne krzyki.

– Staraj się, żebyś nie ty mi ich dostarczył.

Przez chwilę jeszcze obserwowali się nawzajem w milczeniu, ale teraz twarz Santiago zapowiadała różne atrakcje. Owszem, istnieją kazamaty, gdzie można człowieka z maltretować na śmierć, ale trafiają się też takie ciemne uliczki i parkingi, gdzie ktoś może zagłębić parę centymetrów ostrza w pachwinie skorumpowanego żandarma, ris, ras, dokładnie tam, gdzie pulsuje tętnica. Tamtędy pięć litrów krwi wypływa w krótką chwilę. I jeśli wchodząc po schodach, kogoś popchniesz, to schodząc, możesz się o niego potknąć. Tym bardziej jeśli to jest Galisyjczyk, bo z nimi nigdy nie wiadomo, czy idą w górę, czy schodzą.

– Już dobrze, w porządku. – Cañabota lekko zaklaskał w dłonie w pojednawczym geście. – Ty i te twoje cholerne zasady, jak mówisz. Nie będziemy się kłócić. Nam wszystkim na tym zależy, może nie?

– Wszystkim – odpowiedział Eddie Alvarez, przecierając okulary papierową chusteczką.

Cañabota przechylił się lekko w stronę Santiago. Z notariuszami czy bez, interes jest najważniejszy. Biznes to biznes.

– Cztery kilo oleju w dwudziestu bańkach po dwadzieścia kilo – wyjaśnił, kreśląc palcem cyfry i znaki na stole. – Trzeba to przywieźć we wtorek w nocy, kiedy jeszcze będzie ciemno... Miejsce znasz, przyładek Castor, na plaży blisko ronda, tam gdzie kończy się

obwodnica Estepony i zaczyna autostrada do Malagi. Będą czekać dokładnie o pierwszej.

Santiago zastanawiał się chwilę. Patrzył na stół, jakby Cañabota naprawdę wyrysował tam drogę.

– To trochę za daleko, jeśli mam pojechać po towar do Al Marsy albo na przylądek Cires, a potem odstawić to tak wcześnie... Z Afryki do Estepony jest czterdzieści mil w linii prostej. Będę musiał ładować towar jeszcze za dnia, bo droga powrotna jest daleka.

– To żaden problem. – Cañabota patrzył na resztę towarzystwa, jakby zachęcał do potwierdzenia jego słów. – Na Skale ustawimy człowieka z lornetką i walkie-talkie, żeby obserwował motorówki straży i ptaszysko. Mamy tam jednego angielskiego porucznika, który je nam z ręki, a poza tym rżnie naszą panienkę w jednym z burdeli w La Línea. Co do baniek, nie ma sprawy. Przeładują je do ciebie z rybackiego kutra, pięć mil na wschód od latarni w Ceucie, dokładnie w miejscu, gdzie przestajesz widzieć światło. Kuter nazywa się „Julio Verdú” i jest z Barbate. Radio nastaw na czterdziesty czwarty kanał rybacki, powiesz „Mario” dwa razy i będą cię prowadzić. O jedenastej dobijesz i przeładujesz towar, potem popłyniesz na północ, tak żeby nie za szybko zbliżyć się do brzegu, i rozładujesz się o pierwszej. A o drugiej będziesz spał w łóżeczku.

– To proste – powiedział Eddie Alvarez.

– Tak. – Cañabota popatrzył na Santiago i pot znów zaczął mu spływać wzdłuż nosa. – To proste.

Obudziła się przed świtem, Santiago nie było obok niej. Poleżała jeszcze chwilę w pomiętej pościeli. Kończył się wrzesień, ale temperatura była taka jak niedawno w letnie noce. Wilgotny upał, jak w Culiacán, o świcie rozcieńczony jeszcze poranną bryzą, która w ostatnich godzinach nocy wieje wzdłuż rzeki w kierunku morza. Wstała, naga – zawsze z Santiago spała nago, tak samo jak z Blondynem Dávilą – i kiedy stanęła przy oknie, poczuła przyjemny chłód wiatru. Zatoka tworzyła czarne półkole, pokropkowane światłami: w głębi statki, zakotwiczone na wprost Gibraltaru, między Algeciras i Skalą, a bliżej, na skraju plaży, ich dom, molo i wieże rafinerii, które odbijały się w cichej wodzie przy brzegu. Do wschodu słońca było jeszcze daleko.

Wokół panowała cisza i spokój. Wzięła z szafki nocnej paczkę bisontów i zapaliła jednego, opierając się o framugę okna. Stała tak chwilę nieruchomo, paliła i patrzyła na zatokę, a bryza od lądu chłodziła jej skórę i budziła wspomnienia. Ile czasu upłynęło, od kiedy trafiła do Melilli. Imprezy Drisa Larbiego. Uśmiech pułkownika Abdelkadera Chaiba, kiedy wykladała mu sprawę. Mój znajomy chciałby wejść z panem w układ i tak dalej. Rozumie pan. A ty stanowisz część tego układu, zapytał, czy raczej stwierdził Marokańczyk, pierwszy raz miły. Ja mam swoje układy, odpowiedziała, a jego uśmiech stał się wyraźniejszy. Inteligentny człowiek z tego pułkownika. Kulturalny i taktowny. Nic się nie działo, czy może prawie nic, wszystko w granicach wyznaczonych przez samą Teresę. Ale to nie miało nic do rzeczy. Santiago nie prosił, żeby tam poszła, ale i nie zabronił jej tego. Bez trudu można było przewidzieć jego – ich wszystkich – zamiary, niezręczności i marzenia. Zabierze ją kiedyś do Galicji, mówił. Kiedy to się skończy, pojedą do O Grove. Tam wcale nie jest tak zimno, jak myślisz, a ludzie lubią milczeć. Tak jak ty. I jak ja. Zamieszkamy w domu, z którego będzie widać morze, będzie nam stukał deszcz o dach i gwizdał wiatr za oknami. Przy brzegu zacumujemy żaglówkę, zobaczysz. Z twoim imieniem na rufie. A nasze dzieci będą się bawiły małymi, zdalnie sterowanymi motorówkami, które będą pływały między platformami do połowu małży.

Skończyła papierosa. Santiago jeszcze nie wrócił do sypialni. Nie było go też w łazience. Zmieniła pościel – w nocy zaczął się jej okres – włożyła podkoszulek, przeszła przez ciemny pokój i stanęła przy rozsuwanych drzwiach wychodzących na plażę. Dostrzegła światło przed domem, przystanęła, żeby spojrzeć na niego jeszcze z wnętrza domu. Santiago siedział na ganku w szortach, z nagim torsem, pochylony nad modelem jednego z tych swoich statków. Stojąca na stole lampka oświetlała jego zręczne dłonie, którymi polerował i dopasowywał poszczególne elementy. Budował stary żaglowiec, który Teresie wydawał się wspaniały, jego kadłub tworzyły różnokolorowe listewki, lakier dodawał im jeszcze szlachetności, wszystkie były starannie zakrzywione – moczył je, a potem nadawał im odpowiedni kształt lutownicą – i zbite mosiężnymi gwoździami, pokład wyglądał jak

prawdziwy, było też i miniaturowe koło sterowe, budowane patyczek po patyczku, teraz umocowane blisko rufy, przy malutkiej kabinie z zamykanymi drzwiczkami. Ilekroć Santiago natrafił w gazecie na zdjęcie albo rysunek starego żaglowca, wycinał je starannie i chował do grubej teczki, żeby potem szukać tam pomysłu do swoich modeli, dokumentował każdy najmniejszy szczegół. Sama niewidoczna, przez chwilę obserwowała jego słabo oświetlony profil. Santiago w skupieniu oglądał każdy z tych drobnych elementów, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś wad, po czym starannie pokrywał części klejem i mocował na właściwym miejscu. To było wspaniałe. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby te ręce, które Teresa tak dobrze знаła, twarde, szorstkie, z paznokciami zawsze ubrudzonymi smarem, były tak niewiarygodnie zręczne. Praca rąk, słyszała, jak to kiedyś powiedział, uszlachetnia człowieka. Przywraca rzeczy, które utraciłeś albo właśnie tracisz. Santiago nie był zbyt rozmowny ani elokwentny i tylko trochę bardziej wykształcony niż ona. Ale miał zdrowy rozum i kiedy milczał, to wtedy patrzył i uczył się, i miał czas, żeby rozmyślać nad różnymi sprawami.

Gdy tak przyglądała mu się z mroku, poczuła falę czułości. Wyglądał jak dziecko zajęte zabawką, która pochłania całą jego uwagę, i równocześnie jak dojrzały mężczyzna, wierny swoim tajemnym marzeniom. Było w tych drewnianych modelach coś, czego Teresa nie potrafiła pojąć, ale czuła, że jest w tym jakiś głęboki sens, sekretny klucz do milczenia i sposobu patrzenia na świat przez mężczyznę, z którym była. Czasem widziała, jak Santiago nieruchomieje i nie otwierając ust, przygląda się jednemu z modeli. Poświęcał każdemu z nich tygodnie albo i miesiące pracy, stały teraz w całym domu – osiem, a z tym budowanym teraz dziewięć – w pokoju, w korytarzu, w sypialni. Patrzył na nie dziwnie. Wydawało się, jakby ogromna praca włożona w budowę znaczyła tyle samo co pływanie na ich pokładzie po morzach i w czasach fantazji, bo teraz w ich małych, pomalowanych i polakierowanych skorupach z żaglami i olinowaniem odnajdował echa sztormów, abordaży, ślad bezludnych wysp, dalekich podróży, które odbył w czasie, gdy statki te nabierały kształtu. Wszyscy ludzie marzą, stwierdziła Teresa. Ale nie wszyscy tak samo. Są tacy, co wypływają w morze, żeby igrać ze

śmiercią na phantomie, są i tacy, którzy latają na cessenie. Niektórzy na pocieszenie budują modele. A inni tylko marzą. A jeszcze inni budują modele, igrają ze śmiercią i marzą. Wszystko naraz.

Kiedy miała już wyjść na ganek, usłyszała, że pieją koguty koło chałup w Palmones, i przeszedł ją dreszcz. Od czasów Melilli pianie kogutów kojarzyło jej się ze świtem i samotnością. Na wschodzie pojawiła się jasna smuga, obrysowując kształty wież i kominów rafinerii, i ta część pejzażu przechodziła z czarnego koloru w szary, barwiąc tak samo wodę przy brzegu. Wkrótce będzie widno, pomyślała. I szarość moich brudnych świtów rozświetli się najpierw złotymi i rudymi tonami, a potem słońce i błękit rozleją się po plaży i zatoce, a ja będę wolna od koszmarów, aż do następnego przedświt. Rozmyślała nad tym wszystkim, kiedy zobaczyła, że Santiago uniósł twarz ku jaśniejącemu niebu, jak pies myśliwski wietrzący zwierzynę, i pozostał tak, oderwany od pracy, przez dobrą chwilę. Potem wstał, podniósł ręce i przeciągnął się, zgasił lampkę i zdjął szorty, raz jeszcze naprężył mięśnie ramion i rąk, jakby chciał objąć całą zatokę, ruszył na brzeg i wszedł do wody, ledwie zmarszczonej poranną bryzą. Woda była tak spokojna, że kręgi wzbudzone jego wejściem rozchodziły się bardzo daleko na ciemnej powierzchni. Położył się na brzuchu, a potem brodził powoli, tak daleko, jak mógł sięgnąć dna, a kiedy odwrócił się, zobaczył Teresę, która schodziła właśnie z ganku, zdejmując podkoszulek, bo na piasku, któremu świt nadał szary kolor, czuła mniejszy chłód niż w domu. Spotkali się w wodzie po pachy, jej nagie ciało pokryte gęsią skórą rozgrzało się przy zetknięciu z ciałem mężczyzny; kiedy poczuła twarde członek na udach, a potem na brzuchu, rozsunęła nogi, całowała jego usta i język o smaku soli, potem oplotła jego biodra nogami, unosząc się na wodzie, a on wszedł w nią głęboko i poruszał się powoli, bez pośpiechu, ona zaś bawiła się jego mokrymi włosami; wokół robiło się coraz jaśniej, bielone domy pokrywały się złotem wschodzącego słońca, krzyżące mewy krążyły nad przybrzeżnymi mokradłami. Wtedy pomyślała, że czasami życie jest tak piękne, jakby nie było życiem.

Oscar Lobato przedstawił mnie pilotowi helikoptera. Spotkaliśmy się we trzech na tarasie hotelu Guadacorte, bardzo blisko miejsca, gdzie mieszkali Teresa Mendoza i Santiago Fisterra. W salach hotelowych

odbywały się dwie rodzinne uroczystości z okazji pierwszej komunii, a trawnik pełen był dzieci hałasujących podczas gonitw między dębami korkowymi i sosnami. Javier Collado, powiedział dziennikarz. Pilot helikoptera straży celnej. Urodzony myśliwy. Z Cáceres. Nawet mu nie proponuj papierosa czy alkoholu, bo pije wyłącznie soki i nie pali. Pracuje tu od piętnastu lat i zna Cieśninę Gibraltarską jak własną kieszeń. Poważny, bardzo porządny człowiek. A tam, w górze, jest spokojniejszy niż sam święty spokój.

– Robi na tym wiatraku takie rzeczy, jakich nigdy w życiu nie widziałem.

Mężczyzna roześmiał się. Nie słuchaj go, powiedział. Przesadza. Potem zamówił lemoniadę *frappé*. Był ciemny, przystojny, nieco po czterdziestce, szczupły, ale o silnych ramionach, wyglądał na człowieka skrytego. Strasznie przesadza, powtórzył. Czuł się niezręcznie wobec pochwał Lobata. Początkowo nie chciał się zgodzić na rozmowę ze mną, choć uzyskałem na to oficjalne zezwolenie władz celnych w Madrycie. Nie mówię o swojej pracy, odpowiedział. Ale stary reporter był jego przyjacielem – zacząłem się zastanawiać, kogo, u diabła, nie zna Lobato w prowincji Kadyks – i postanowił się za mną wstawić. Zaraz ci to załatwię, powiedział. I teraz siedzieliśmy wszyscy trzej. Zebrałem sporo informacji na temat pilota i wiedziałem, że Javier Collado jest w swoim środowisku legendą; kiedy ten facet wchodzi do knajpy przemytników, ci stukają się łokciami i mówią: o rany, popatrz, kto przyszedł, z mieszaniną szacunku i zazdrości. Metody pracy przemytników ostatnio często się zmieniały, lecz on wciąż latał przez sześć nocy w tygodniu i z góry wypatrywał haszyszu. Zawodowiec – słowo to podsunęło mi myśl, że wszystko zależy od tego, po której stronie prawa wylądujesz, gdzie rzuci cię los. Jedenaście tysięcy godzin lotu nad cieśniną, dodał Lobato. W pogoni za złymi.

– Nie wyłączając, oczywiście, twojej Teresy i jej Galisyjczyka. *In illo tempore*[4].

I o tym rozmawialiśmy. A dokładniej o tamtej nocy, kiedy argos BO-105 należący do straży celnej latał z prędkością stu dwudziestu węzłów na wysokości obserwacyjnej nad morzem dość spokojnym, przeczesując radarem wody cieśniny. Pilot, drugi pilot i zwiadowca. Rutyna.

Wystartowali z Algeciras przed godziną, sprawdzili sektor marokańskiego wybrzeża zwanego w żargonie celników konsumem – plaże między Ceutą i przylądkiem Cires – i lecieli bez świateł na północny wschód, wzdłuż leżącego w oddali hiszpańskiego wybrzeża. Byli tam żołnierze, powiedział Collado, na wodach w kierunku na zachód od Gibraltaru trwały manewry morskie NATO. Skoncentrowali się więc tej nocy na części wschodniej, poszukując jakiegoś celu, przy którym mogliby współpracować z motorówką straży granicznej, też poruszającą się bez oświetlenia, tysiąc pięćset stóp poniżej. Nocne polowanie, jak codziennie.

– Jakies pięć mil na południe od Marbelli zobaczyliśmy na radarze echo dwóch jednostek, były na dole, bez świateł – dodał Collado. – Jedna stała nieruchomo, a druga płynęła w kierunku lądu. Podaliśmy ich pozycję strażnikom na łodzi i zaczęliśmy opadać w kierunku tej łodzi, która się poruszała.

– Dokąd płynęła? – zapytałem.

– W kierunku przylądka Castor, blisko Estepony. – Collado spojrzał na wschód, gdzieś w pobliże drzew zasłaniających widok na Gibraltar, jakby można to było stąd zobaczyć. – Miejsce znakomite na szmugiel, bo tuż obok biegnie droga do Malagi. Nie ma kamieni, dziób motorówki można wystawić na piasek. Jeśli na brzegu czekają umówieni ludzie, cały rozładunek nie zajmuje więcej niż trzy minuty.

– Na radarze były dwa sygnały?

– Tak. Ta druga jednostka stała nieruchomo dalej, w odległości około ośmiu kabli. To jakies tysiąc pięćset metrów. Jakby czekała. A ta, która płynęła, była już niemal na plaży, więc postanowiliśmy najpierw dobrać się do niej. Przy każdym uderzeniu łodzi o powierzchnię wody termowizjer pokazywał szeroki kilwater – widząc moją zakłopotaną minę, Collado położył dłoń na stole, a potem unosił ją i opuszczał, zginając rękę w nadgarstku i w ten sposób naśladował ruch ślizgacza.

– Szeroki kilwater oznacza, że łódź jest obciążona. Kiedy jest pusta, zostawia zupełnie wąski ślad, bo w wodzie praktycznie znajduje się tylko śruba silnika. No więc poleciliśmy za nią.

Odsłonił zęby, jak drapieznik, który pokazuje kły na samą myśl o zdobyczy. Ten gość, stwierdziłem, ożywa na wspomnienie polowania.

Przeistacza się. I możesz mi wierzyć, powiedział Lobato, to dobry człowiek, a jeśli widzi, że mu ufasz, rozluźnia się. Przyłodek Castor, ciągnął Collado, był stałym punktem rozładunkowym. W tamtych czasach przemytnicy nie używali jeszcze GPS-ów do ustalania swojej pozycji, ich nawigacja oparta była na żeglarskiej intuicji. To była łatwa trasa, bo po wyjściu z portu w Ceucie płynie się w kierunku sześćdziesiąt albo dziewięćdziesiąt i dociera do miejsca, gdzie przestaje być widoczne światło latarni, wtedy wystarczy sterować na północny zachód, na blask świateł La Línea, które znajdują się po trawersie za burtą. Na wprost widoczne są światła Estepony i Marbelli, ale nie można się pomylić, bo latarnię w Esteponie widać najpierw. Jeśli dobrze ciśniesz gaz, w ciągu godziny jesteś na plaży.

– Najlepiej jest ich złapać na gorącym uczynku razem z ludźmi, którzy czekają na nich na brzegu. To znaczy dokładnie wtedy, kiedy są wszyscy na plaży. Jeśli zobaczą cię wcześniej, wyrzucają towar do morza, a później – zwiewają, gdzie pieprz rośnie.

– Spieprzają jak zające – potwierdził Lobato, który brał udział w wielu takich pościgach.

– Właśnie. I to jest równie niebezpieczne dla nich, jak i dla nas. – Teraz Collado uśmiechał się leciutko, jakby ten aspekt dodawał przygodzie smaku. Coraz bardziej przypominał myśliwego. – Tak było wtedy i tak jest dalej.

Lubi to, stwierdziłem. Ten drań lubi swoją robotę. Dlatego od piętnastu lat urządza sobie nocne polowania i ma wylatanych jedenaście tysięcy godzin, o których mówił Lobato. Różnica między myśliwym a zdobywcą nie jest zbyt duża. Nikt nie wsiada na phantoma tylko dla pieniędzy. I nikt go nie ściga wyłącznie z poczucia obowiązku.

Tamtej nocy, jak opowiadał Collado, śmigłowiec celników opuszczał się powoli, w kierunku jednostki płynącej do brzegu. Łódź celników, którą prowadził Chema Beceiro, gość naprawdę skuteczny, zbliżała się z prędkością pięćdziesięciu węzłów i musiała się tam pojawić za pięć minut. Collado zszedł na wysokość pięciuset stóp. Przygotowywał się do manewrowania nad plażą, gdzie w razie potrzeby musieliby skakać drugi pilot i zwiadowca, kiedy nagle w dole zapaliły się światła. Samochody oświetliły piasek i przez chwilę przy brzegu widoczny był phantom,

czarny jak sama noc, który zatrzymał się, po czym gwałtownie skręcił na lewą burtę i w fontannie białej piany pomknął przed siebie na pełnej szpuli. Collado zniżył helikopter, zapalił reflektor i rzucił się w pościg za nim na wysokości metra nad wodą.

– Przyniosłeś zdjęcie? – zapytał Oscar Lobato.

– Jakie zdjęcie? – zaciekałem się.

Lobato nie odpowiedział, patrzył na Collada z kpiną w oczach. Pilot obracał w palcach szklankę z oranżadą, jakby jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji.

– Przecież – Lobato nalegał – minęło już prawie dziesięć lat.

Collado wahał się jeszcze chwilę. Potem położył na stole brązową kopertę.

– Czasem – wyjaśnił, wskazując na nią – podczas pościgu fotografujemy ludzi na łodziach, żeby ich potem zidentyfikować... Nie dla policji ani nie dla prasy, tylko do naszych archiwów. Nie zawsze jest łatwo, przy nagłych zmianach wysokości trudno nastawić ostrość, czasem więc zdjęcia wychodzą, a czasem nie.

– To wyszło. – Lobato się zaśmiał. – No, pokaż je w końcu.

Collado wyjął zdjęcie z koperty i położył na stole, a kiedy je zobaczyłem, z wrażenia zaschło mi w gardle. Format 18×24, czarno-białe, marnej jakości – nie było zbyt ostre i miało grube ziarno. Ujęcie jednak było dość wyraźne, wzięwszy pod uwagę, że robiono je ze śmigłowca lecącego z prędkością pięćdziesięciu węzłów na wysokości metra nad wodą, w chmurze piany unoszącej się za motorówką mknącą na pełnym gazie: na pierwszym planie płoza helikoptera, dookoła ciemność, białe kropki, potęgujące odbłyśki flesza. I między tym wszystkim widziana od lewej burty centralna część phantoma. W środku ciemnowłosa mężczyzna z twarzą zalaną wodą, wpatrzony w ciemność przed dziobem, pochylony nad kierownicą steru. Za nim na dnie zalewanej rozbryzgami fal łodzi klęczy młoda kobieta, ubrana w ciemną nieprzemakalną kurtkę; z jej spiętych na karku włosów ścieka woda, podobnie jak z kurtki, w szeroko otwartych oczach odbija się błysk flesza, mocno zaciska stanowcze usta. Obiektyw uchwycił ją w półobrocie, patrzącą w tył i nieco w górę w kierunku helikoptera, z twarzą rozjaśnioną przez bliskość flesza, zaskoczona nagłym błyskiem.

Teresa Mendoza, kiedy miała dwadzieścia cztery lata.

Od początku szło źle. Najpierw, kiedy tylko minęli latarnię morską w Ceucie, trafili na mgłę. Potem opóźnił się przyjazd kutra, na który czekali na pełnym morzu, w kłębiastym mroku, pozbawieni jakichkolwiek punktów odniesienia, podczas gdy na ekranie radaru tłoczyły się echa statków handlowych i promów, niektóre niebezpiecznie blisko. Santiago był niespokojny; choć Teresa widziała go zaledwie jako ciemną plamę, mogła się tego domyślać ze sposobu, w jaki poruszał się po pokładzie phantoma, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Mgła zasłaniała ich na tyle, że odważyła się zapalić, kuląc się za wiatrochronem, skrywając w zagłębieniu dłoni najpierw płomień zapalniczki, a potem żar papierosa. I miała dość czasu, żeby wypalić jeszcze trzy. Wreszcie „Julio Verdú”, podłużny cień, na którym ciemne sylwetki poruszały się niczym zjawy, zmaterializował się w mroku dokładnie w chwili, kiedy zachodni wiatr zaczął rozwiewać pasma mgły. Towar też nie był taki, jak powinien – kiedy z kutra zaczęli podawać im zawinięte w plastik pakunki, które Teresa rozmieszczała na pokładzie motorówki, Santiago okazał zdziwienie, że są większe, niż się spodziewali. Ważą tyle samo, ale mają większą objętość, stwierdził. A to znaczy, że nie jest to zapowiadany olej, tylko gorszej jakości zwykły haszysz zamiast czystszej żywicy, stężonej i droższej. A Cañabota mówił w Tarifie o esencji.

Potem wszystko szło dobrze aż do brzegu. Mieli spóźnienie, ale woda w cieśninie była gładka jak stół, więc Santiago podniósł śrubę wysoko i pognał phantomem na północ. Teresa widziała, że jest nieswój – nerwowo forsował silnik, spieszył się, jakby w ten sposób próbował przyspieszyć czas i chciał, żeby ta noc wreszcie się skończyła. Nie, nic, odpowiedział, kiedy Teresa spytała, czy coś się stało. Nic. Nigdy nie był rozmowny, ale Teresa wyczuła, że to milczenie jest bardziej nerwowe niż zazwyczaj. Światła La Línea jaśniały już na zachodzie, po trawersie za lewą burtą, kiedy bliźniacze błyski z Estepony i Marbelli pojawiły się przed dziobem, wyraźne pomiędzy kolejnymi podskokami łodzi – światło latarni w Esteponie rozbłyskiwało po lewej stronie: jeden błysk i po nim dwa krótkie, powtarzające się co piętnaście sekund. Teresa zbliżyła twarz do gumowego stożka nad ekranem radaru, chcąc obliczyć

odległość od lądu, i wtedy, nagle, zobaczyła na ekranie nieruchome odbicie czegoś, co znajdowało się jakąś milę od nich na wschód. Spojrzała w tamtym kierunku przez lornetkę i nie widząc świateł czerwonych ani zielonych, przestraszyła się, że może to być zaciemniona łódź czatujących strażników. Jednak odbicie zniknęło przy drugim czy trzecim obrocie anteny i to ją trochę uspokoiło. Może to był tylko grzbiet wysokiej fali, stwierdziła. A może inna łódź, czekająca na właściwy moment, żeby podpłynąć do brzegu.

To, co się działo piętnaście minut później, już na plaży, przypominało spektakl cyrkowy. Wszędzie reflektory, które całkowicie ich oślepiły, krzyki, stać, tu straż graniczna, stać, zatrzymać się, niebieskie światła błyskające na rondzie przy szosie, ludzie stojący po pas w wodzie, z pakunkami w rękach, nieruchomi albo rzucający je do morza, daremnie próbujący uciec, wszędzie hałas chlupoczącej wody. Santiago, dokładnie oświetlony reflektorem z lądu, nagle pochyła się bez słowa skargi czy przekleństwa, spokojny zawodowiec, wrzuca wsteczny bieg, i jak tylko phantom przestaje trzeć o piasek, przekręca ster na lewo, daje cały gaz, roooaaaar, pędzi wzdłuż brzegu na głębokości ćwierć metra, łódź najpierw staje dęba, jakby chciała polecieć do nieba, a potem krótkimi skokami w pełnym ślizgu po gładkiej wodzie odpływa ukosem od plaży i reflektorów, na poszukiwanie ocalenia w ciemności morza i w jasności Gibraltaru, odległego o dwadzieścia mil na południowy zachód, a Teresa podnosi za uchwyty wszystkie cztery pakunki, które zostały na pokładzie, jeden po drugim, po dwadzieścia kilo każdy, i przy ryku silnika wyrzuca je za burtę, a one znikają w kilwaterze.

I wtedy dopadło ich ptaszysko. Usłyszała hałas śmigieł w górze za nimi, podniosła wzrok i zaraz musiała zamknąć oczy i zasłonić twarz, bo w tym momencie oślepił ją reflektor, a końcówka jednej z płóz, oświetlona jasnym światłem, zakołysała się bardzo blisko nad jej głową i zmusiła ją, by uklęknęła, opierając dłonie na ramionach Santiago; stał pochylony nad kierownicą, poczuła przez ubranie jego napięte mięśnie i widziała jego twarz oświetlaną błyskami reflektora, w chmurze piany, woda moczyła mu głowę i włosy, wyglądał teraz lepiej niż kiedykolwiek; nawet kiedy się kochali, a ona przyglądała mu się z bardzo bliska i mogłaby go zjeść całego, wcześniej całując, gryząc,

drapiąc, nigdy nie wyglądał tak fantastycznie jak w tej chwili – uparty i pewny swego, skupiony na obserwowaniu morza, sterze i dźwigni gazu, robił to, co potrafił robić najlepiej na świecie – walczył po swojemu z życiem i śmiercią, i z tym bandyckim światłem, które prześladowało ich niby oko potwornego cyklopa. Mężczyźni dzielą się na dwa typy, pomyślała naraz. Na tych, którzy walczą, i na tych, którzy biorą życie takim, jakie jest, i mówią: w porządku, trudno; a kiedy na plaży zapalają się reflektory, podnoszą ręce do góry. Ci pierwsi czasem na środku morza robią coś takiego, że kobiety patrzą na nich tak, jak ja teraz patrzę na Santiago.

A kobiety, pomyślała. Kobiety dzielą się... zaczęła mówić w myślach, ale nie dokończyła, bo zupełnie przestała myśleć, kiedy płoza cholernego ptaszyska zaczęła dygotać na boki tuż nad ich głowami, w odległości nie większej niż metr. Teresa przycisnęła lewe ramię Santiago, żeby go ostrzec, a on ograniczył się do skinięcia głową, skupiony na prowadzeniu łodzi. Wiedział, że helikopter nie uderzy w nich, nawet jeśli jeszcze bardziej się zbliży, chyba że byłby to wypadek. Jego pilot jest zbyt zręczny, żeby do tego dopuścić, bo wtedy i ścigający, i ścigany poszliby razem na dno. To był manewr osaczający, miał ich zdekoncentrować, żeby zaczęli popełniać błędy albo zmienili kierunek, albo tak przyspieszyli, żeby silnik nie wytrzymał i rozwalił się w diabły. Tak bywało już nieraz. Santiago wiedział – Teresa zresztą też, ale kołysząca się blisko płoza jednak ją przerażała – że śmigłowiec nie może zrobić wiele więcej, a celem tego manewru jest zmuszenie ich do podpłynięcia blisko brzegu, żeby linia prosta, którą phantom miał płynąć z przylądka Europa do Gibraltaru, zmieniła się w długi łuk, co przedłużyłoby pościg, i dzięki temu ludzie na łodzi mogliby stracić nerwy i zaryć się w piasku na plaży, a szybkie ślizgacze straży celnej zdążyłyby dokonać abordażu. Ślizgacze straży celnej. Santiago wskazał spojrzeniem na radar, a Teresa przesunęła się na klęczkach po dnie łodzi, czując każde uderzenie jej dna o powierzchnię wody, i przytknęła twarz do gumowej osłony ekranu. Trzymała się burty i stołka Santiago, czuła silną wibrację, która przenosiła się ze śruby na całą skorupę łodzi i powodowała, że omdlewały jej ręce, patrzyła na ciemną linię, która przy każdym obrocie anteny rysowała się za prawą burtą, bardzo, bardzo blisko, i na jasną

przestrzeń po drugiej stronie. W promieniu pół mili morze było czyste, kiedy jednak podwoiła zasięg, w odległości ośmiu kabli napotkała oczekiwaną ciemną plamkę, która pędziła tam, gdzie będzie mogła odciąć im drogę. Przysunęła usta do ucha Santiago i krzyknęła głośno, tak żeby jej słowa przebiły się przez ryk silnika, znów skinął głową bez słowa, wpatrując się uważnie przed dziób. Ptaszysko opuściło się jeszcze trochę niżej, płoza niemal dotykała lewej burty, a potem podniosło się nieco, bo Santiago nie zmienił kierunku ani o stopień – nadal pochylał się nad sterem, skupiony na ciemności przed dziobem, podczas kiedy światła na brzegu szaleńczo pędziły wzdłuż prawej burty; najpierw była to Estepona z oświetleniem długiej nadmorskiej alei i latarnią morską na końcu, potem Manilva i port Duquesa; motorówka przy prędkości czterdziestu pięciu węzłów zaczynała wchodzić na pełne morze. I wtedy, sprawdzając drugi raz ekran radaru, Teresa zobaczyła czarne odbicie ślizgacza celników bliżej, niż się spodziewała, był szybki i chciał odciąć im drogę z lewej strony; kiedy tam spojrzała, mimo oślepiającego blasku z helikoptera dostrzegła w bryzgach piany i wody niebieskie błyski sygnalizacji świetlnej motorówki, która była coraz bliżej. To wymagało takiej decyzji jak zwykle – wpaść na piasek przy plaży albo próbować szczęścia na morzu, gdzie groźny przeciwnik, podskakując po powierzchni wody, coraz wyraźniejszy w mroku nocy, podchodzi bardzo blisko, uderza w skorupę łodzi, stara się rozbić burtę, zniszczyć silnik, wrzucić ich do wody. Radar nie był już potrzebny, Teresa na kolanach – czując nawet w nerkach gwałtowne uderzenia dna motorówki o wodę – podeszła do Santiago i usadowiła się za nim, trzymając dłonie na jego barkach, żeby informować go o ruchach śmigłowca i ślizgacza celników, lewa i prawa, blisko i daleko; i kiedy potrzęsnęła czterokrotnie jego lewym ramieniem, bo ta cholerna motorówka tak się do nich zbliżyła, że niby groźny mur miała się na nich zwalić, Santiago podniósł stopę z pedału gazu i w jednej chwili liczba obrotów zmniejszyła się o czterysta, prawą ręką zwiększył zanurzenie śruby, przekręcił ster do końca na lewą burtę i phantom w chmurze własnej piany zakreślił ostry, przepiękny łuk, i przeciął kilwater motorówki celników, która dzięki temu manewrowi pozostała w tyle.

Teresa miała ochotę się roześmiać. Super! Obie strony stawiały na

różnicę o włos na mecie tych dziwnych zawodów, podczas których serce biło z szybkością stu dwudziestu uderzeń na minutę, i wszyscy wiedzieli, że przewaga nad przeciwnikiem nie będzie większa. Helikopter leciał nisko, straszył ich płożą, wskazywał ich pozycję motorówce celników, choć najczęściej świecił gdzie popadło, bo nie był w stanie utrzymać z nimi rzeczywistego kontaktu. Z kolei łódź straży raz i drugi przecięła drogę phantomowi, sprawiając, że wyskakiwał w górę na fali za jej rufą, a silnik krztusił się, gdy śruba kręciła się w powietrzu; podpływała blisko, chcąc uderzyć w burtę, ale jej sternik dobrze wiedział, że może stuknąć tylko bokiem, bo gdyby najechał dziobem motorówki, załoga ślizgacza zginęłaby na miejscu, a Hiszpania jest krajem, gdzie trzeba potem przed sądem gęsto tłumaczyć się z takiego czynu. Santiago też o tym wiedział, bo był sprytnym i cwany Galisyjczykiem, dlatego ryzykował do ostatnich granic: raz ostry skręt za rufą celników, tak żeby musieli zatrzymać się albo cofnąć, to znów rajd przed ich dziobem, żeby zwolnili. Albo nagle, z zimną krwią, hamował tuż przed dziobem łodzi straży, zakładając, że mają świetny refleks i nie rozjadą ich, a pięć sekund później przyspieszał, zyskując na cennej odległości, i zbliżał się coraz bardziej do Gibraltaru. Wszystko na ostrzu noża. I wystarczyłby najdrobniejszy błąd w rachunkach, żeby ta chwiejna równowaga między ścigającymi a ściganymi poszła w diabły.

– Załatwili nas – krzyknął nagle Santiago.

Teresa rozejrzała się wokół, zdziwiona. Łódź celników znów pędziła po lewej stronie, bezlitośnie spychając ich w kierunku lądu, phantom gnał z szybkością pięćdziesięciu węzłów na głębokości mniejszej niż pięć metrów, tuż nad głowami mieli śmigłowiec, który trzymał ich w snopie białego światła reflektora. Sytuacja nie wyglądała gorzej niż kilka minut wcześniej, to powiedziała do Santiago, znów zbliżając usta do jego ucha. Nie jest tak źle, krzyknęła. Ale Santiago pokręcił głową, jakby jej nie słyszał, pochłonięty prowadzeniem motorówki albo własnymi myślami. Ten towar, usłyszała. A potem, zanim znów zamilkł, dodał jakieś zdanie, z którego Teresa usłyszała tylko jedno słowo: przynęta. Może on mówi, że wpadli w pułapkę. Wtedy ślizgacz uderzył w nich burtą i woda rozbijana przez dwie szczipione łodzie pędzące z szaloną prędkością zmieniła się w chmurę rozpylonej piany, która

zamoczyła ich i oślepiła, a Santiago musiał nieco zwolnić, prowadząc łódź coraz bliżej plaży: sunęli już między linią załamania fal a brzegiem, celnicy minimalnie głębiej, helikopter w górze, światła na łądzie umykały pędem w odległości kilku metrów za prawą burtą. Byli na wodzie głębokości pół metra.

Cholera, tu kończy się woda, pomyślała nagle. Santiago prowadził motorówkę tak blisko brzegu, jak tylko się dało, żeby zachować minimalną odległość od drugiej łodzi, której sternik wykorzystywał każdą okazję i dociskał ich do plaży. W tej chwili, obliczyła, prawdopodobieństwo, że celnicy pójdą na dno albo wpadną na kamień, który rozwali turbinę ich silnika, jest dużo mniejsze niż prawdopodobieństwo, że phantom zaryje w piasku śrubą przy następnym skoku, potem wyrznie dziobem w plażę, a oni będą mieli przerwę na papierosa aż do ciał zmartwychwstania. Chryste Panie! Teresa zagryzła zęby i zacisnęła palce na ramionach Santiago, kiedy ślizgacz celników ponownie zbliżył się w chmurze piany i wyprzedził ich nieco, znów oślepiając rozbryzgującą się wodą, i lekko skręcił na prawą burtę, żeby zapędzić ich na plażę. Z tamtego sternika też musi być niezły chojrak, pomyślała. Z tych, co serio podchodzą do swojej roboty. Bo ochrona prawa nie wymaga czegoś podobnego. Chyba że mówimy o takim prawie, które działa, kiedy dwóch facetów zaczyna traktować całą sprawę bardzo osobiście i rzuca się do walki jak rozjuszone koguty wypuszczone na arenę. Bok ślizgacza był tak blisko, że wydawał się ciemny i ogromny, i podniecenie Teresy wywołane wyścigiem nagle zamieniło się w strach. Nigdy wcześniej nie pędzili tak szybko, tak bardzo blisko brzegu, na tak płytkiej wodzie, gdzie reflektor chwilami oświetlał kamienie i algi na dnie. Śruba ledwo się mieści w wodzie, oceniła. Już orzemy plażę. Nagle poczuła, jak bardzo jest słaba, cała zlaną morską wodą, oślepiona światłem, obolała od uderzeń motorówki o powierzchnię morza. Tu nie ma co pieprzyć o prawie czy bezprawiu. Oni wyraźnie pokazują sobie nawzajem, kto jest lepszy. Śmierć frajerom! Ścigają się jak charty, a co ja tu robię pośrodku? Byłoby żal, gdyby mi przyszło w tej pogoni zginąć tak dla jaj.

I wtedy przypomniała sobie o Kamieniu Leona. Była to niewysoka skała leżąca kilka metrów od plaży w połowie drogi między La Duquesa

i Sotogrande. Zawdzięczała swoją nazwę pewnemu celnikowi o imieniu Leon, który w trakcie pogoni za pewnym ślizgaczem rozbił tam, raaaas, łódź, którą prowadził, i musiał ratować się na plaży. I kamień ten, przypomniała sobie Teresa, leży dokładnie na trasie, którą teraz płyną. Myśl ta wpędziła ją w nagłą panikę. Zapominając o bliskości pościgu, popatrzyła na prawo, żeby znaleźć jakieś punkty odniesienia, które pozwoliłyby jej ustalić pozycję względem świateł na ładzie migających za burtą phantoma. Musieli być cholernie blisko.

– Kamień! – krzyknęła do Santiago, pochylając się nad jego ramieniem.
– Tu blisko jest kamień!

W świetle reflektora zobaczyła, jak skinął głową, nie odrywając uwagi od steru i trasy, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na ślizgacz celników i na brzeg, żeby ocenić dystans i głębokość, na jakiej się znajdowali. W tym momencie motorówka oddaliła się nieco, a helikopter zbliżył jeszcze bardziej i kiedy Teresa spojrzała w górę, osłaniając oczy dłonią, zobaczyła, jak ciemna sylwetka w białym kasku schodzi na płożę, którą pilot śmigłowca starał się utrzymać jak najbliżej silnika phantoma. Zafascynował ją ten niesamowity obraz: człowiek zawieszony między niebem a wodą, trzymający się jedną ręką drzwiczek helikoptera, a w drugiej ściskający przedmiot, w którym dopiero po dłuższej chwili rozpoznała pistolet. Chyba nie będzie do nas strzelał, pomyślała oszołomiona. Nie mogą tego zrobić. To jest, do cholery, Europa, nie mają prawa, nie naszpikują nas ołowiem! Ślizgacz podskoczył mocniej i upadła na plecy, a kiedy podnosiła się niezdarnie, zamierzając krzyknąć do Santiago: zaraz nas wykończą, zwolnij, kretynie, hamuj, zatrzymaj się, zanim nas zastrzelą, spostrzegła, że człowiek w białym kasku przystawia pistolet do silnika i opróżnia cały magazynek, nabój za nabojem, i zobaczyła pomarańczowe błyski w świetle reflektora między tysiącami cząsteczek rozpylonej wody, i usłyszała złowrogie pam, pam, pam, pam, niemal zupełnie zagłuszone rykiem silnika motorówki i śmigieł helikoptera, szumem morza i trzaskiem uderzeń dna phantoma o płytką wodę przy brzegu. I gdy człowiek w białym kasku zniknął we wnętrzu śmigłowca, który nieco się podniósł, cały czas trzymając ich w snopie światła, a motorówka straży celnej znów zaczęła się niebezpiecznie zbliżać, Teresa przyglądała się, zadziwiona, czarnym

dziurom w obudowie silnika, działającego nadal tak, jakby nic się nie stało, na pełnym gazie, nawet bez śladu dymu, Santiago nie odwrócił się ani razu, żeby zobaczyć, co się stało, albo zapytać Teresę, czy nie jest ranna, niewzruszenie utrzymywał kurs motorówki, obojętny na wszystko poza tym wyścigiem, który chciał ciągnąć do końca świata albo też do końca swojego – czyli ich – życia.

Kamień, przypomniała sobie znowu. Kamień Leona musi być gdzieś tutaj, kilka metrów przed dziobem. Stała za plecami Santiago, żeby spojrzeć w przód, starając się przeniknąć wzrokiem białą zasłonę wodną oświetloną lampą z helikoptera i wypatrzeć skałę na tle ciemności brzegu wijącego się przed nimi. Mam nadzieję, że on też ją dojrzy, pomyślała. Mam nadzieję, że będzie miał dość czasu na manewr, żeby ją wyminąć, i mam nadzieję, że łódź celników na to pozwoli. Kiedy wymieniała te wszystkie życzenia, zobaczyła przed sobą czarny złowrogi cień; nie patrząc nawet w lewo, stwierdziła, że motorówka straży skręciła, aby głaz wyminąć; w tym samym momencie zrobił to Santiago: z twarzą zalewaną wodą i oczami zmrużonymi przed oślepiającym światłem, nieopuszczającym ich ani na chwilę, chwycił dźwignię zanurzenia śruby i w rozbryzgach gęstej piany, która otoczyła ich świetlistą białą chmurą, skręcił nagle kierownicę phantoma i ominął niebezpieczeństwo, po czym dodał gazu i pędząc z szybkością pięćdziesięciu węzłów na płaskiej wodzie, wrócił na swój kurs, znów pomiędzy linią załamania fal i brzegiem, na minimalnej głębokości. W tym momencie Teresa obejrzała się do tyłu i stwierdziła, że skała wcale nie była skałą, ale wywróconą łodzią, która w ciemności przypominała skałę, a Kamień Leona nadal czeka gdzieś przed nimi. Otworzyła usta, żeby krzyknąć do Santiago, że to jeszcze nie ta skała, uważaj, ona ciągle jest przed nami, kiedy zobaczyła, że helikopter gasi reflektor i gwałtownie wzbija się w górę, a motorówka celników raptownie skręca na pełne morze. Zobaczyła też siebie, jakby z zewnątrz, całkiem spokojną i zupełnie samą na pokładzie phantoma, jakby wszyscy właśnie ją opuścili i zostawili w ciemności i wilgoci. Poczowała śmiertelny strach, już dobrze znany, bo właśnie rozpoznała Sytuację. I wtedy świat roztrzaskał się na kawałki.

„I w tym momencie Dantès uczył, iż niby zraniony ptak runął w jakąś przepaść bezdenną – spadał, spadał, a trwoga ścięła mu lodem serce...”[5]. Teresa Mendoza jeszcze raz przebiegła wzrokiem te linijki, przerwała na chwilę lekturę i z książką otwartą na kolanach rozejrzała się po więziennym podwórzu. Była jeszcze zima, przesuwający się w kierunku przeciwnym do ruchu słońca prostokąt światła ogrzewał jej zrastające się kości prawej ręki w gipsie pod grubym wełnianym swetrem, który pożyczyła od Patricii O’Farrell. Dobrze było tak siedzieć przez ostatnie godziny poranka, aż do dzwonka zapowiadającego obiad. Było tu dobre pół setki kobiet; jedne rozmawiały w grupkach, siedząc podobnie jak ona w ciepłe, inne ćmiły papierosy, leżąc na plecach i korzystając ze słońca, żeby się trochę opalić, albo spacerowały po kilka z jednego końca podwórza na drugi, poruszając się w sposób typowy dla więźniów, zmuszonych do przebywania na ograniczonej przestrzeni – dwieście trzydzieści kroków w jedną stronę i liczymy od nowa, raz, dwa, trzy, cztery i wszystkie pozostałe kroki do końca, półobrót, kiedy dochodzimy do muru zakończonego metalowymi prętami i drutem kolczastym oddzielającym je od części przeznaczony dla mężczyzn, dwieście dwadzieścia osiem, dwieście dwadzieścia dziewięć, dwieście trzydzieści kroków, dokładnie, siatka boiska do koszykówki, i znów dwieście trzydzieści z powrotem do muru, i tak osiem albo dziesięć razy, albo dwadzieścia razy każdego dnia. Po dwóch miesiącach w El Puerto de Santa María Teresa przyzwyczała się do tych codziennych przemarszów i sama, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła chodzić w ten sam, charakterystyczny dla starych więźniarek, sposób, z lekkim kołysaniem, krokiem zdecydowanym i pospiesznym, jakby naprawdę dokądś zmierzała. Zwróciła jej na to uwagę Patricia O’Farrell, i to po paru tygodniach. Szkoda, że tego nie widzisz, już chodzisz jak kryminalistka. Teresa była pewna, że Patricia, która miała bardzo krótkie złote włosy połyskujące w słońcu, a teraz leżała obok z rękami pod głową, nigdy nie będzie chodzić w ten sposób, choćby spędziła za kratkami jeszcze dwadzieścia lat. Dzięki tej swojej irlandzkiej

i andaluzyjskiej krwi, pomyślała, ma zbyt wiele klasy, zbyt dobre maniery, zbyt wiele inteligencji.

– Daj mi fajkę – odezwała się Patricia.

Bywała leniwa i kapryśna, zależnie od dnia. Paliła papierosy z jasnego tytoniu z filtrem, ale że nie chciało jej się wstawać, poprosiła o papierosa swoją towarzyszkę, która paliła bisonty bez filtra, często przyprawiane kilkoma ziarnkami haszyszu – najpierw papierosa patroszyła, a potem, po dodaniu narkotyku, zwijała na powrót. Skręt – z, fajka – bez. W Sinaloa nazywało się to inaczej. Teresa wyjęła jednego papierosa z paczki leżącej na ziemi – połowa z nich była przyprawiona, połowa zwykła – zapaliła i pochyliwszy się nad twarzą Patricii, wetknęła go jej w usta. Patrzyła, jak tamta się uśmiecha i dziękuje, zaciąga się dymem, nie wyjmując rąk spod głowy – papieros zwisał z jej warg, słońce połyskiwało we włosach i w delikatnym złotym puchu na policzkach, wokół oczu, które teraz miała zamknięte, rysowały się lekkie zmarszczki. Trzydzieści cztery lata, powiedziała niepytana pierwszego dnia w celi – w więziennej gwarze nazywanej klatką – którą dzieliły. Trzydzieści cztery w dowodzie i dziewięć wyroku w aktach, z czego dwa już odsiedziała. Praca, dobre sprawowanie, trzecia część wyroku w zawieszeniu – przy wszystkich sprzyjających okolicznościach został mi jeszcze rok, góra dwa. Teresa zaczęła jej opowiadać o sobie, nazywam się tak i tak, zrobiłam to i to, ale tamta jej przerwała, wiem, kim jesteś, moja mała, tutaj dowiadujemy się wszystkiego bardzo szybko, o niektórych nawet jeszcze zanim tu dotrą. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Tutaj są trzy typy podstawowe: megiera, lesba i frajerka. Jeśli chodzi o narodowość, to poza Hiszpankami mamy Arabki, Rumunki, Portugalki, Nigeryjki z wirusem HIV – do nich nawet nie podchodź, są w okropnym stanie – grupę Kolumbijek, które nie zadają się z innymi, jakąś Francuzkę i dwie Ukrainki, były dziwki, które zabiły swojego alfonsa, bo zabrał im paszporty. Unikaj afer z Cygankami: te młode, w obcisłych dżinsach, z rozpuszczonymi włosami i wytatuowane, mają prochy, trawę i wszystko, co chcesz, one są najbardziej zawzięte; stare, rozłożyste i piersiaste, z kokami i w długich spódnicach, odsiadują bez szemrania wyroki za to, co zrobili ich mężowie, bo oni muszą zostać na wolności, żeby utrzymać rodzinę, i przyjeżdżają po nie mercedesami,

kiedy wychodzą z więzienia; te są spokojne, ale osłaniają się wzajemnie. Poza Cygankami wszystkie więźniarki są ze swej natury niesolidarne i jeśli łączą się w grupy, to albo mają w tym interes, albo robią to, żeby przeżyć, słabsze szukają ochrony u silniejszych. Dobrze ci radzę: nie utrzymuj zbyt wielu kontaktów. Wybieraj towarzystwo – trzymaj się biura, kuchni, administracji, dzięki temu mogą ci nawet zmniejszyć karę. Pamiętaj, żeby pod prysznic chodzić w klapkach i nie siadać na muszli we wspólnej ubikacji na podwórzu, bo tam możesz złapać absolutnie wszystko. Nigdy nie krytykuj głośno Camarona ani Joaquina Sabiny, ani Los Chunguitos, ani Miguela Bosé, nie próbuj zmieniać programu, kiedy leci serial. Nie bierz od nikogo narkotyków, zanim nie sprawdzisz, czego będą chcieli w zamian. Nie szukaj kłopotów. Jeśli będziesz robiła wszystko jak należy, posiedzisz tu rok, rozmyślając, jak wszystkie, o rodzinie, o tym, jak zacząć życie od nowa, o zemście, kiedy tylko wyjdiesz, albo o seksie – każda jest, jaka jest. Góra półtora roku. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę biurokrację i raporty zakładu karnego, i psychologów, i wszystkich innych sukinsynów, którzy albo otwierają nam drzwi, albo je zamykają, w zależności od własnego widzimisię, humoru, od tego, czy im się spodobałaś albo czy się już napili. Czyli nie przejmuj się, rób dalej swoją minę grzeczej dziewczynki, jak dotąd, mów wszystkim: tak, proszę pana, tak, proszę pani, dajcie mi święty spokój, nie zwracajcie mi głowy, i będzie dobrze. Meksykanka. Chyba ci nie przeszkadza, że tak cię nazywają? Tutaj wszystkie mamy przezwiska. Ja jestem Porucznik O'Farrell. Podoba mi się. Może któregoś dnia pozwolę, żebyś mówiła do mnie Pati.

– Pati.

– Co?

– Fajna ta książka.

– Przecież ci mówiłam.

Ciągle leżała z zamkniętymi oczami, z zapalonym papierosem w ustach, w słońcu widać było wyraźniej podobne do piegów plamki u nasady nosa. Kiedyś była atrakcyjna, w pewnym sensie jest nadal. Albo może raczej miła niż naprawdę ładna, metr siedemdziesiąt osiem, z jasnymi włosami i z żywymi oczami, które zdawały się cały czas cicho śmiać, kiedy patrzyły. Jej matką była Miss Hiszpanii z pięćdziesiątego któregoś

roku, zamężna z jednym z O'Farrellów, właścicielem piwnic manzanilli i stajni rasowych koni, jego zdjęcia często pojawiały się w kolorowych tygodnikach – starszy pan o twarzy pokrytej zmarszczkami, z beczkami wina i wypchanymi byczymi łbami w tle, w domu z dywanami, obrazami i witrynami pełnymi ceramiki i książek. Mieli jeszcze inne dzieci, Patricia była czarną owcą. Zamieszana w narkotykowe afery na Costa del Sol z udziałem rosyjskiej mafii i z ofiarami śmiertelnymi. Jej narzeczony, z dobrej rodziny, z najlepszym nazwiskiem, zginął od celnych strzałów, a ona wywinęła się śmierci o włos, przez półtora miesiąca leżała na intensywnej terapii z powodu dwóch kul. Teresa widziała blizny – raz, kiedy były pod prysznicem, i ponownie, gdy Patricia rozbierała się w celi – dwie gwiazdki pomarszczonej skóry na plecach przy prawej łopatce, w odległości kilku centymetrów jedna od drugiej. Śladem po ranie wylotowej od jednej z tych kul była nieco większa blizna z przodu, pod obojczykiem. Drugą kulę wyjęto jej na sali operacyjnej, zatrzymała się na kości. Amunicja pancerna, powiedziała Patricia, kiedy Teresa po raz pierwszy te ślady oglądała. Gdyby to były naboje dum-dum, lepiej nie myśleć. I zamknęła temat kpiącą miną. Kiedy w powietrzu była wilgoć, dokuczała jej ta druga rana podobnie jak Teresie niedawne złamanie ręki, którą wciąż miała w gipsie.

– Jak się ma Edmund Dantès?

Edmund Dantès to ja, odpowiedziała Teresa prawie serio, i zobaczyła, że zmarszczki wokół oczu Patricii pogłębiły się i że papieros zadrzał w jej ustach przy uśmiechu. Ja też, powiedziała. I one wszystkie, dodała w kierunku podwórza, nie otwierając oczu. Niewinne dziewice śniące o skarbach, które na nas czekają, kiedy stąd wyjdziemy.

– Umarł ksiądz Faria – rzuciła Teresa, patrząc na otwarte strony książki.

– Biedny staruszek.

– Sama widzisz. Czasem ktoś musi wykorkować, żeby kto inny żył.

Obok nich przeszło kilka więźniarek, które przemierzały swoje dwieście trzydzieści kroków w kierunku muru. Ostre baby, pół tuzina kobiet z bandy Trini Sánchez, znanej jako Makoki III – była to kobieta ciemna i krępa, męski typ, agresywna, pokryta tatuażami, częsty gość karceru, dożywocie za sam wygląd, ale wyrok czternaście lat za bójkę na noże z narzeczoną z powodu pół grama heroiny. One kochają inaczej,

ostrzegła Teresę Patricia, kiedy pierwszy raz spotkała ją w korytarzu i Trini powiedziała coś, czego Teresa nie dosłyszała, a jej towarzyszki roześmiały się chórem, rozumiejąc szyfr. Ale nie martw się, Meksykanko. Dobiorą ci się do dupy tylko wtedy, kiedy im na to pozwolisz. Teresa nie pozwoliła i po kilku próbach manewrów taktycznych pod prysznicami, w ubikacji i na podwórzu, i po usiłowaniach próby nawiązania stosunków towarzyskich poprzez uśmiechy, papierosy i mleczko do kawy przy stole w jadalni, każda kura wróciła na swoją grzędę. Teraz Makoki III i jej dziewczyny patrzyły na Teresę z daleka i nie uprzykrzały jej życia. W końcu Porucznik O'Farrell była jej towarzyszką z celi. A to, jak mówiono, powinno jej wystarczyć.

– Cześć, Porucznik.

– Cześć, suki.

Patricia nawet nie otworzyła oczu. Nadal leżała z rękami pod głową. Tamte roześmiały się głośno, rzuciły kilka pogodnych nieprzyzwoitości i dalej szły przez podwórze. Teresa patrzyła, jak odchodzą, a potem spojrzała na swoją towarzyszkę. Dość szybko zorientowała się, że Patricia O'Farrell cieszy się w więzieniu specjalnymi przywilejami: dysponowała większą gotówką, niż pozwalały przepisy, dostawała rzeczy z zewnątrz i dzięki temu miała wokół siebie osoby, które jej sprzyjały. Nawet strażniczki traktowały ją łagodniej niż całą resztę. Poza tym miała w sobie coś, co budziło autorytet. Z jednej strony była osobą ze sporą kulturą, a to odróżniało ją od reszty, bo rzadko która miała wykształcenie więcej niż podstawowe. Ładnie się wyrażała, czytała książki, znała ludzi na poziomie i nie było nic dziwnego w tym, że inne więźniarki przychodziły do niej po pomoc, gdy trzeba było napisać podanie w sprawie przepustki, zwolnienia, odwołania lub gdy chodziło o inne pisma, które zazwyczaj redagują adwokaci, a tych one nie miały; obrońcy z urzędu znikali, kiedy tylko wyrok się uprawomocniał, niektórzy nawet wcześniej, a na własnych prawników nie było ich stać. Potrafiła też zdobyć narkotyki, począwszy od pastylek we wszystkich kolorach, aż po kokę i hasz, i nigdy nie brakowało jej bibułki, żeby koleżanki mogły sobie zrobić porządnego skręta. Nie należała też do takich, które pozwolą sobie w kaszę dmuchać. Mówiono, że wkrótce po tym, jak pojawiła się w El Puerto, jedna stara więźniarka dawała jej do

zrozumienia, że coś do niej ma, O'Farrell zniosła prowokację bez mrugnięcia okiem, ale następnego dnia, kiedy stały nago pod prysznicem, brutalnie sprowadziła starą rurę na ziemię, przykładając jej do gardła hak zrobiony ze wspornika gaśnicy. Nie rób tego więcej, kochanie, powiedziała, patrząc jej w oczy z bardzo bliska, a woda lała się na nie z góry i wszystkie kobiety stały w kręgu, jakby patrzyły w telewizor, choć wszystkie zaklinały się potem na wszelkie świętości, że nic nie widziały. A prowokatorka, weteranka o pseudonimie Walencjanka, uchodząca za naprawdę dziką, absolutnie zgadzała się w tym z koleżankami.

Porucznik O'Farrell. Teresa zauważyła, że Patricia otworzyła oczy i patrzy na nią, odwróciła więc wzrok, żeby nie przejrzała jej myśli. Często młode i bezbronne nowicjuszki kupowały ochronę weteranki szanowanej lub niebezpiecznej – co w sumie wychodziło na jedno – w zamian za usługi, w odosobnieniu pozbawionym mężczyzną dość oczywiste. Patricia nigdy nie proponowała jej czegoś podobnego, ale czasem Teresa dostrzegała nagle, że jej towarzyszka uporczywie ją obserwuje ale, tak jakby patrząc na nią, myślała o czymś innym. Czuła, że jest w ten sposób przez nią obserwowana, od kiedy tylko przywieziono ją do El Puerto. Zatraskiwane drzwi, zgrzyt zamków, szcęk zasuw, kling, klang, echo kroków i bezosobowy głos strażniczek, niewietrzone koce, stęchłe jedzenie, pot i ług, i smród kobiet w zamknięciu, ubrań tak brudnych, że ma się ochotę natychmiast uciekać. Kiedy rozbierała się w pierwsze wieczory albo siadała na kiblu, żeby się załatwić, z majtkami i dżinsami spuszczoneymi do kostek, na początku wkurzał ją kompletny brak intymności, ale z czasem przyzwyczajała się do niego coraz bardziej, Patricia przyglądała się jej ze swojej pryczy, nic nie mówiąc, odkładała na brzuch rozłożoną książkę, którą właśnie czytała – miała całą półkę książek – i studiowała dokładnie każdy szczegół jej ciała, oglądała ją od stóp do głów dniami i tygodniami, jeszcze czasami do tej pory, tak jak teraz, kiedy po przejściu Trini Sánchez alias Makoki III otworzyła oczy i patrzyła na nią.

Wróciła do książki. Edmunda Dantesa właśnie zrzucano ze skarpy w worku z kulą armatnią przywiązaną do stóp jako balast, bo strażnicy

sądzili, że były to zwłoki zmarłego księdza, staruszka. „Morze jest cmentarzem zamku If”[6], czytała zachłannie. Mam nadzieję, że z tego wyjdzie, pomyślała, i przeszła do następnej strony, gdzie zaczynał się kolejny rozdział. „Dantès oszołomiony, niemal uduszony, miał jednak na tyle przytomności umysłu, żeby wstrzymać oddech...”[7]. Do licha. Oby mu się udało wypłynąć, żeby potem wrócił do Marsylii i odzyskał swój statek, i zemścił się na wszystkich trzech sukinsynach, swoich kumplach, którzy tak podle go sprzedali. Teresa nigdy nie przypuszczała, że książka może tak całkowicie pochłonąć uwagę; teraz marzyła tylko o tym, żeby wszyscy dali jej święty spokój, żeby mogła wrócić do lektury, na zaznaczoną stronę, tam gdzie jest zakładka, gdzie przerwała czytanie. Patricia dała jej tę książkę, a wcześniej wiele mówiła o czytaniu, kiedy Teresa dziwiła się, że ona tak dużo czasu spędza nad stronami książek, że tyle rzeczy pakuje sobie do głowy i woli to od seriali – Teresa uwielbiała seriale meksykańskie, przypominały jej rodzinne strony – od filmów i teleturniejów, tłumnie oglądanych w sali telewizyjnej przez inne więźniarki. Książki są bramą, przez którą wychodzisz na ulicę, mówiła Patricia. Dzięki nim uczysz się, mądrzejesz, podróżujesz, marzysz, wyobrażasz sobie, przeżywasz losy innych, swoje życie mnożysz razy tysiąc. Ciekawe, czy ktoś da ci więcej za tak niewiele. Pomagają też odpędzić różne złe rzeczy – samotność, upiory i tym podobne gówna. Czasem się zastanawiam, jak możecie znieść to wszystko wy, które nie czytacie. Nigdy nie powiedziała: przeczytaj to, weź to, weź tamto, czekała, żeby Teresa sama się zdecydowała, choć czasem widziała, jak ta przygląda się tym dwudziestu, trzydziestu książkom, które często się zmieniały, trochę pochodziło z biblioteki więziennej, inne przysyłali jej przyjaciele i krewni, a jeszcze inne zamawiała sobie u koleżanek wychodzących na wolność czy na przepustkę. Wreszcie któregoś dnia Teresa powiedziała: chciałabym przeczytać jakąś książkę, bo nigdy wcześniej tego nie robiłam. Miała w rękach *Czuła jest noc* czy jakiś podobny tytuł, który zwrócił jej uwagę, bo brzmiał strasznie romantycznie, a na okładce był ładny obrazek z elegancką dziewczyną w kapeluszu, w stylu „bogata panienska z lat dwudziestych”. Ale Patricia pokręciła głową, zabrała jej książkę z rąk i powiedziała: zaczekaj, na wszystko przyjdzie czas, najpierw przeczytaj

coś, co ci się bardziej spodoba. I następnego dnia poszły do biblioteki więziennej i poprosiły Marcelę Króliczek, prowadzącą bibliotekę – Króliczek to było przezwisko: wlała swojej teściowej ług tej właśnie marki do butelki po winie – o wypożyczenie książki, którą Teresa właśnie wzięła do ręki. To jest o więźniu, takim jak my, wyjaśniła jej Patricia, widząc jej zmartwioną minę, że ma przeczytać takie opasłe tomisko. I popatrz, kolekcja jakaś tam, wydawnictwo Porrúa, Meksyk. Przywędrowała tu z daleka, tak samo jak ty. Jesteście sobie przeznaczone.

Na drugim końcu podwórza wybuchła jakaś awantura. Arabki i młode Cyganki skoczyły sobie do oczu, lżąc się cudnie. Z tamtego miejsca widać było zakratowane okno męskiego oddziału, skąd więźniowie krzykiem i gestami przekazywali wiadomości swoim przyjaciółkom i dziewczynom. Niejedna więzienna idylla rozpoczęła się w tym kącie – zdarzyło się kiedyś, że sąsiad, który przyszedł wykonać drobne roboty murarskie, zapłodnił pewną więźniarkę w trzy minuty, bo tyle czasu zajęło strażnikom odnalezienie ich – i miejsce to było często odwiedzane przez kobiety, które miały jakąś sprawę do mężczyzn po drugiej stronie muru i drutów. Teraz trzy czy cztery więźniarki pokłóciły się i przeszły do rękoczynów, rozwścieczone – może były zazdrosne, a może chciały zająć lepszy punkt obserwacyjny – a żandarm z budki strażniczej na górze wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Teresa stwierdziła, że w więzieniu kobiety są często odważniejsze od mężczyzn. Malowały się, czesały je koleżanki fryzjerki i nosiły biżuterię, zwłaszcza te, które chodziły w niedziele do kaplicy – Teresa, nie zastanawiając się nad tym, przestała chodzić na msze po śmierci Santiago Fisterry – i te, które pracowały w kuchni albo w tych częściach więzienia, gdzie możliwy był kontakt z mężczyznami. To też bywało powodem zazdrości, porachunków i użycia noża. Widziała, jak kobiety masakrowały swoje towarzyszki w drobnej sprzeczce, o papierosa, o kanapkę z jajecznicą – jajka rzadko trafiały do jadłospisu i więźniarki były gotowe wzajemnie się o nie posiekać – za jedno złe słowo albo zaczepkę rzucały się na siebie z pięściami i ostrymi kopniakami powalały na ziemię, a ofierze często krew ciekła z nosa i uszu. Kradzieże narkotyków albo jedzenia też były stałym powodem bójek – puszki konserw, prochy albo tabletki

znikały z cel podczas posiłków, kiedy wszystkie drzwi pozostawiano otwarte. Albo pogwałcenie niepisanych reguł rządzących tutejszym życiem. Miesiąc wcześniej jedna gaduła, która sprzątała w budce strażniczek i przy okazji szepnęła coś o koleżankach, oberwała niemal śmiertelne lanie w kiblu na podwórzu, kiedy tam weszła się wysikać. Gdy tylko zadarła spódnicę, cztery więźniarki zajęły się nią, a reszta zasłaniała drzwi, potem zaś wszystkie były głuche, ślepe i nieme, a zdrajczynie do tej pory leżała w więziennym szpitalu, ze szczęką pospinaną drutem i z kilkoma złamanymi żebrami.

Bójka na końcu podwórza ciągle trwała. Zza kraty faceci zagrzewali dziewczyny do walki; dwie strażniczki i szefowa służby biegły już przez plac, żeby rozwiązać problem. Teresa spojrzała na nie obojętnie i wróciła do Edmunda Dantesa, w którym była zakochana po uszy. I kiedy przewracała kolejne strony – zbieg został wyłowiony z morza przez rybaków – czuła na sobie uważny wzrok Patricii O’Farrell, która patrzyła na nią w ten sam sposób co tamta kobieta z mroku luster.

Obudził ją deszcz uderzający o szyby w szarej porze świtu i przerażona otworzyła oczy, bo wydawało się jej, że znów jest na morzu przy Kamieniu Leona, w środku czarnej kuli, i spada w przepaść, podobnie jak Edmund Dantès w całunie księdza Farii. Od nocnego wypadku przy skale, podczas kolejnych dni po odzyskaniu przytomności, kiedy uświadomiła sobie, że leży w szpitalu, z ręką zagipsowaną po samo ramię, a całe ciało ma potłuczone i podrapane, powoli odtwarzała szczegóły tamtych wydarzeń na podstawie komentarzy pielęgniarek i lekarzy, wizyty dwóch policjantów i opiekuna społecznego, flesza fotografa, palców ubrudzonych atramentem po wzięciu jej odcisków. Od głazu i tamtego wypadku. Jednak zawsze, gdy usłyszała, że ktoś wypowiada nazwisko Santiago Fisterry, przestawała myśleć. Stan jej ducha i środki uspokajające sprawiały, że przez cały ten czas pozostawała w stanie półsnu, bez żadnej refleksji. Przez pierwsze cztery czy pięć dni nie chciała myśleć o Santiago, a kiedy pojawiał się jego wspomnienie, odpychała je, pogrążając się w zbawiennym odrętwieniu. Jeszcze nie, szeptała w myśli do siebie. Lepiej jeszcze nie teraz. Aż któregoś dnia, kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że siedzi przy niej Oscar Lobato, dziennikarz z „Diario de Cádiz”, przyjaciel Santiago. A przy

drzwiach stał oparty o ścianę jeszcze jeden człowiek, którego twarz wydała jej się znajoma. I wtedy właśnie, kiedy ten drugi słuchał, nie odzywając się ani słowem – najpierw myślała, że to policjant – usłyszała z ust Lobata to, o czym jakoś wiedziała lub czego domyślała się od dawna, że tamtej nocy phantom roztrzaskał się na skale przy prędkości pięćdziesięciu węzłów i że Santiago zginął na miejscu, a ona wyleciała jak pocisk razem z kawałkami roztrzaskanej łodzi i złamała sobie rękę, uderzywszy o powierzchnię wody, a potem opadła pięć metrów w dół, aż na dno.

Jak z tego wyszłam, chciała wiedzieć. Jej głos zabrzmiał jakoś dziwnie, jakby wcale nie był jej. Lobato się uśmiechnął, a wtedy złagodniały jego ostre rysy i wyrównały się bruzdy na twarzy, i skierował żywe spojrzenie na mężczyznę, który w milczeniu stał pod ścianą, patrząc na Teresę z zaciekawieniem i nieśmiałością, jakby nie miał odwagi podejść.

– On cię wyciągnął.

Po czym Lobato opowiedział jej, co się zdarzyło od chwili, kiedy straciła przytomność. Że po zderzeniu, zanim się zanurzyła, unosiła się przez chwilę na powierzchni, oświetlona reflektorem, który znów został włączony. Że pilot przekazał ster swojemu koledze, a sam skoczył do morza z wysokości trzech metrów, w wodzie zdjął kask i kamizelkę ratunkową i zanurkował po nią na dno. Wyciągnął ją na powierzchnię w miejscu, gdzie wirnik helikoptera podnosił pianę, a potem wyniósł na plażę, gdy tymczasem załoga ślizgacza straży poszukiwała szczątków Santiago Fisterry – największe fragmenty phantoma, w którym się roztrzaskał, miały nie więcej niż cztery piędzi powierzchni – i widać już było światła nadjeżdżającej drogi karetki. Kiedy Lobato opowiadał jej o tym, Teresa patrzyła na twarz człowieka opartego o ścianę, który nie powiedział ani słowa, ani razu nie skinął głową, jakby to wszystko, o czym mówił dziennikarz, przydarzyło się komuś innemu. W końcu rozpoznała w nim jednego z celników spotkanych u Kukiego tamtej nocy, kiedy gibraltarscy przemytnicy świętowali urodziny. Przyszedł tu ze mną, bo chciał ci spojrzeć w oczy. Ona też patrzyła w oczy pilotowi helikoptera straży celnej, który zabił Santiago, a uratował ją. I myślała: muszę zapamiętać tę twarz na później, przy następnym spotkaniu zdecyduję, czy mam go zabić przy pierwszej okazji, czy też wzruszę

ramionami i powiem: jesteśmy kwita, sukinsynu, bywaj zdrów. W końcu zapytała, co się stało ze zwłokami Santiago. Mężczyzna pod ścianą spuścił wzrok, a Lobato wygiął usta w grymasie współczucia i odrzekł, że trumna odjechała do O Grove, jego rodzinnych stron w Galicji. To był świetny gość, dodał z żalem, a Teresa pomyślała, że chyba nawet jest szczery, bo często rozmawiali i pili razem, więc może naprawdę go lubił. Wtedy zaczęła płakać, cicho i spokojnie, myślała o Santiago martwym, widziała jego nieruchomą twarz i zamknięte oczy, jak wtedy kiedy spał, a ona wtulała twarz w jego ramię. I zaczęła się zastanawiać, co ona do cholery zrobi z tym pieprzonym modelem statku, który leży niedokończony na stole w domku w Palmones i nikt nigdy już go nie skończy. I zrozumiała, że po raz drugi została sama, tym razem już na zawsze.

– Ta O’Farrell naprawdę odmieniła jej życie – powtórzyła María Tejada. Przez ostatnie czterdzieści pięć minut opowiadała mi, co się stało i dlaczego. Potem poszła do kuchni, wróciła z dwiema szklankami naparzonych ziół i wypila jedną, podczas gdy ja przeglądałem notatki i zastanawiałem się nad jej opowieścią. Dawna opiekunka społeczna w więzieniu El Puerto de Santa María była żywą przysadziłą kobietą o długich włosach przetykanych siwizną, których nie farbowała, o łagodnym spojrzeniu i zaciętych wargach. Nosila okrągłe okulary w metalowych oprawkach, na palcach miała złote pierścionki, przynajmniej dziesięć, obliczyłem. Musiała mieć jakieś sześćdziesiąt lat. Przez trzydzieści pięć pracowała w zakładach karnych w prowincjach Kadyks i Malaga. Niełatwo było ją odnaleźć, bo jakiś czas temu przeszła na emeryturę, jednak Oscar Lobato natrafił na jej ślad. Obie pamiętam doskonale, odrzekła, kiedy przez telefon powiedziałem, o co mi chodzi. Niech pan przyjedzie do Granady, porozmawiamy. Przyjęła mnie w swetrze i kapciach na tarasie swojego mieszkania położonego w dolnej części dzielnicy Albaicín z widokiem na całe miasto i zieloną dolinę Darro z jednej strony, a z drugiej na Alhambrę, wznoszącą się między drzewami, zabarwioną kolorami złota i ochry w porannym słońcu. Mieszkała w dużym domu, pełnym światła, w którym wszędzie było mnóstwo kotów – na sofie, w korytarzu, na tarasie. Było ich tam przynajmniej pół tuzina – cuchnęło potwornie, mimo otwartych okien

– i jeszcze ze dwadzieścia na obrazach, w postaci porcelanowych figurek i drewnianych rzeźb. Nawet na dywanie i poduszkach wyhaftowane były koty, a pośród schnącego na tarasie prania wisiał ręcznik z kotem Sylwestrem. Kiedy przeglądałem notatki i popijałem ziółka, kotek przypominający tygrysa przyglądał mi się z wysokości komody, jakbyśmy się znali od dawna, a inny, szary i gruby, zbliżał się po dywanie krokiem myśliwego, jakby sznurówki w moich butach były wartą zachodu zdobyczą. Reszta kotów rozproszona była po całym mieszkaniu – robiły najróżniejsze rzeczy albo leżały w rozmaitych pozach. Nienawidzę tych stworzeń, zbyt cichych i zbyt inteligentnych na mój gust; nie ma to jak tępa lojalność głupiego psa – ale udało mi się utrzymać język za zębami. Praca to praca.

– Dzięki O’Farrell Mendoza dowiedziała się o sobie wielu rzeczy – mówiła moja gospodyni – których nawet nie podejrzewała. I sporo ją nauczyła, prawda? No, po swojemu.

Na niskim stoliku leżał stos zeszytów, w których notowała całymi latami przebieg swojej pracy. Przejrzałam je przed pana przyjściem, powiedziała. Żeby odświeżyć wspomnienia. Potem pokazała mi kilka stron zapisanych ścisłym, okrągłym pismem – oddzielne fiszki, z datami, wizytami, rozmowami. Niektóre akapity były podkreślone. To opis historii, wyjaśniła. Do moich zadań należała ocena, w jakim stopniu więźniarki są gotowe do integracji w społeczeństwie, a potem pomoc w poszukiwaniu czegoś na później. Tam za murami trafiają się kobiety, które lubią siedzieć z założonymi rękami, i takie, które wolą coś robić. A ja im pomagałam. Teresa Mendoza Chávez i Patricia O’Farrell Meca. Klasyfikacja w kartotece: więźniarki pod specjalnym nadzorem. W swoim czasie było o nich głośno.

– Były kochankami?

Zamknęła zeszyt i zmierzyła mnie przeciągłym taksującym spojrzeniem. Pewnie zastanawiała się, czy to pytanie zadane zostało z niezdrowego wścibstwa czy z zawodowej dociekliwości.

– Nie wiem – odrzekła wreszcie. – Dziewczyny między sobą zawsze plotkują, to jasne. I takie plotki krążą, prawda? O’Farrell była biseksualna. Co najmniej. A prawda jest taka, że jeszcze przed pojawieniem się Mendoza miawała związki z innymi więźniarkami; ale

o nich dwu niczego nie da się powiedzieć na pewno.

Po obgryzieniu sznurówek szary i gruby kot ocierał się o moje spodnie, pokrywając je swoją sierścią. Ze stoickim spokojem przygryzłem końcówkę długopisu.

– Jak długo były razem?

– Przez rok dzieliły celę, wyszły w odstępie kilku miesięcy jedna po drugiej... Miałam wiele okazji, by poznać obie: milcząca i prawie nieśmiała Mendoza była spostrzegawcza i bardzo ostrożna, a jej meksykański akcent sprawiał, że robiła wrażenie łagodnej i zawsze grzecznej... Kto mógł przewidzieć, co z nią będzie potem, prawda? O'Farrell była całkowitym jej przeciwieństwem: amoralna, bez zahamowań, popełniała różne nieprzyzwoitości, a zarazem wywyższała się. Była taka światowa. Zepsuta arystokratka, która raczy zadawać się z plebsem. Umiała korzystać z pieniędzy, a w więzieniu to bardzo ważne. Zachowanie bez zarzutu. Żadnej nagany przez trzy i pół roku, które spędziła za kratkami, mimo że kupowała i zażywała środki odurzające... Mówię panu, była za sprytna, żeby pakować się w kłopoty. Robiła wrażenie, jakby traktowała pobyt w więzieniu jak przymusowe wakacje i spokojnie, bez nerwów czekała, aż się skończą.

Kot, który przedtem ocierał się o moje spodnie, teraz wbił pazury w skarpetkę, więc odsunąłem go dyskretnym kopnięciem, za które naraziłem się na chwilę krytycznego milczenia ze strony mojej rozmówczyni. W każdym razie – ciągnęła po nieprzyjemnej przerwie, kiedy wzięła kocura na kolana, Anubis, chodź tutaj, mój śliczny – O'Farrell była kobietą dojrzałą, o silnej osobowości i nowo przybyła łatwo uległa jej wpływowi: dobra rodzina, pieniądze, nazwisko, spora kultura... Dzięki swojej towarzysze z celi Mendoza odkryła znaczenie wykształcenia. To była pozytywna strona tego wpływu – obudziła się w niej chęć zmiany, pokonania własnych ograniczeń. Czytała, uczyła się. Odkryła, że kobieta nie musi być zależna od mężczyzny. Zawsze wykazywała zdolności matematyczne i znalazła okazję, żeby je rozwinąć – uczyła się na kursach organizowanych w ramach programów edukacyjnych w zakładach karnych, a na dodatek w tamtych czasach odliczano je od kary. W ciągu jednego roku zrobiła cały podstawowy kurs matematyki, a w drugim – języka i ortografii, i wyraźnie poprawiła

swój angielski. Zaczęła zachłannie czytać, równie dobrze można ją było spotkać przy lekturze Agathy Christie, co nad książką podróżniczą czy popularnonaukową. To właśnie O'Farrell zachęciła ją do tego. Adwokatem Mendozy był pewien Gibraltarczyk, który zapomniał o niej, kiedy tylko znalazła się w więzieniu, i zdaje się, że przywłaszczył sobie jej pieniądze, nie wiem, ile tego było. W Puerto de Santa María nie miała ani jednych odwiedzin sam na sam – niektóre więźniarki zdobywały zaświadczenia o związkach nieformalnych, żeby mogli je odwiedzać mężczyźni – w ogóle nie odwiedził jej nikt. Była zupełnie sama. O'Farrell załatwiła wszystkie formalności i przeprowadziła całe papierkowe postępowanie, żeby dostała łagodny rygor i zwolnienie warunkowe. Gdyby nie ta O'Farrell, zapewne łatwo byłoby jej zintegrować się ze społeczeństwem. Po wyjściu na wolność Mendoza mogła znaleźć przyzwoitą pracę – szybko się uczyła, miała chłodny umysł, dużo wycucia i wysoki iloraz inteligencji – opiekunka społeczna znów zajrzała do swoich zeszytów – sporo powyżej stu trzydziestu. Niestety jej przyjaciółka O'Farrell była zbyt zepsuta. Miała pewne upodobania, przyjaźnie, rozumie pan – spojrzała na mnie, jakby wątpiła, czy mogę to zrozumieć. – Pewne nałogi. Między kobietami, ciągnęła, niektóre wpływy albo związki są dużo silniejsze niż między mężczyznami. Poza tym jeszcze to, o czym mówiliśmy – sprawa zaginionej kokainy i tak dalej. Choć w więzieniu – rzeczony Anubis mrucał, a jego pani głaskała go po grzbiecie – zawsze można usłyszeć setki takich opowieści. Nikt więc nie wierzył, żeby to była prawda. Zamilkła, ale nie przestawała pieścić kota. Zupełnie nikt, powtórzyła po chwili namysłu. Nawet teraz, choć minęło dziewięć lat i cała prasa rozpisywała się o tym, opiekunka społeczna nadal była przekonana, że historia z kokainą była czystą bujdą.

– Ale sam pan wie, jak to bywa. Najpierw O'Farrell zupełnie odmieniła Meksykankę, a potem, jak mówią, Meksykanka całkowicie zapanowała nad życiem tamtej, prawda? I jak tu ufać cichej wodzie?

„Widzę wciąż młodego żołnierza, bladoliciego i czarnookiego. Kiedy zstąpi po mnie anioł śmierci, wiem, że będzie to Selim...”

W dniu, kiedy skończyła dwadzieścia pięć lat – gips z ręki zdjęto jej tydzień wcześniej – Teresa włożyła zakładkę na pięćset siedemdziesiątej

dziewiątej stronie książki, która ją fascynowała; nigdy nie sądziła, że można do tego stopnia utożsamić się z lekturą, żeby czytelnik i bohater stali się jedną osobą. I Pati O'Farrell miała rację: to nie kino czy telewizja, ale powieści pozwalają przeżyć tyle historii, że nie starczyłoby na nie jednego życia. Jakaś dziwna magia wiązała ją z tym tomiskiem, z którego ze starości wypadały kartki i które Pati dała do oprawy na pięć pełnych niecierpliwości dni – Teresa musiała przerwać lekturę, rozdział trzydziesty siódmy, *Katakumby świętego Sebastiana* – bo, jak mówiła, rzecz nie polega wyłącznie na czytaniu książek, ale na fizycznej przyjemności i wewnętrznej radości, jakie daje dotykanie ich palcami. Zatem aby zwiększyć tę przyjemność i radość, Pati zaniósła książkę do pracowni introligatorskiej w więzieniu i wytłumaczyła, o co jej chodzi: trzeba rozciąć stare szycia, a następnie porządnie zszyć kartki na nowo i wzmocnić kartonem, i żeby wewnątrz okładki wyklejono ozdobnym papierem, i całość oprawiono w brązową skórę, złotymi literami wypisano na górze: Aleksander Dumas, i niżej: *Hrabia Monte Christo*. I żeby całkiem na dole, literkami też złoconymi, ale mniejszymi, inicjały T.M.C. – od imienia i nazwiska Teresy.

– To prezent urodzinowy ode mnie.

Tak powiedziała Pati O'Farrell, wręczając jej książkę w porze śniadania, zaraz po porannym apelu. Książka była bardzo ładnie opakowana. Na myśl, że znów ma tę książkę, ciężką i teraz taką piękną, w nowej oprawie i ze złotymi literami, Teresa poczuła tę szczególną przyjemność, o której wspominała jej towarzyszka. A Pati patrzyła na nią, opierając łokcie na stole, z kubkiem palonej cykorii w jednej ręce i dymiącym papierosem w drugiej, i przyglądała się jej radości. Powtórzyła: wszystkiego najlepszego, i pozostałe kobiety też życzyły Teresie wszystkiego dobrego, i żebyś następne urodziny obchodziła na wolności, powiedziała jedna, a fantastyczny facet niech ci śpiewa sto lat, kiedy się będziesz budzić, i żebyś tak mogła to zobaczyć. A potem, wieczorem, po piątym apelu, zamiast zejść do jadalni na kolację – zazwyczaj dostawały obrzydliwego panierowanego halibuta i przejrzałe owoce – Pati załatwiła sprawę ze strażniczkami i urządziła małe przyjęcie w celi; słuchały kaset z piosenkami Vicente Fernandez, Chaveli Vargas i Paquity del Barrio, muzyka z jej stron i wszystko super, a potem Pati

przymknęła drzwi i wyjęła butelkę tequili, którą nie wiadomo skąd wytrzasnęła, autentyczny Don Julio, pewnie przemycona do więzienia przez jedną ze strażniczek, po wcześniejszej zapłacie gotówką pięciokrotnej wartości butelki, i rozpiły ją po kryjomu, ciesząc się jej cudownym smakiem, w towarzystwie paru koleżanek, które dołączyły do balangi i rozsiadły się na pryzkach, na krzesła, a nawet na sraczu – to miejsce zajęła Carmela, wysoka i gruba, starsza już Cyganka, zawodowa złodziejka, która sprzątała za Pati i prała jej pościel i ubrania Teresy, kiedy ta miała rękę w gipsie, w zamian za co Porucznik O'Farrell zasilala jej majątek drobnymi kwotami. Była też z nimi Króliczek, bibliotekarka trucicielka, i Charito, która siedziała za pracę w dolinie na wszelkich jarmarkach, i Pepa Grom alias Szynkowa, ta, co zabiła swojego ślubnego nożem do krojenia szynki w barze, który razem prowadzili przy autostradzie N-IV, i mówiła z dumą, że rozwód kosztuje ją dwadzieścia lat i jeden dzień, ale za to ani grosza. Teresa włożyła srebrne bransoletki, żeby wszyscy widzieli jej zdrową już rękę, i przy każdym kieliszku metalowe obrączki dźwięczały radośnie. Impreza trwała aż do apelu o jedenastej. Grały w chińczyka, ulubioną grę więzienną, były puszki konserw i kolorowe pastylki – żeby rozgrzać dupę, jak obrazowo określiła to Carmela pośród ogólnego rubasznego śmiechu – i skręty z dość marnej marychy, która zmieniała się w dym, śmiechy i dowcipy, a Teresa myślała sobie, że można dużo gadać o Hiszpanii i całej pieprzonej Europie, z jej zasadami, historią i patrzeniem z góry na skorumpowanych Meksykanów, że niby tu w pudle nie można dostać nawet piwa, a tu popatrz tylko. Niektóre mają pod dostatkiem pastylek i trawy, i nawet butelkę od czasu do czasu, jeśli trafią na odpowiednią strażniczkę i mają czym zapłacić.

A Pati O'Farrell miała. Kierowała przyjęciem Teresy, siedząc z boku, przyglądała się jej stale przez dym, z uśmiechem na ustach i w oczach, z szelmowskim spojrzeniem i z takim dystansem, jakby wszystko wokół nie miało z nią nic wspólnego, przypominała dobrą mamę, która zaprowadziła swoją córeczkę na urodzinowy kinderbal z hamburgerami, koleżankami i wynajętymi klaunami, a w tym czasie Vicente Fernández śpiewał o kobietach i zdradach, chropawy głos Chaveli Vargas opowiadał o alkoholu, co lał się po podłogach kantyn, wśród świstu kul,

a Paquita del Barrio ryczała, że *niby wierny pies u twych stóp leżę, choć nadziei czar dawno rozwiął się*. Teresę ukołysała nostalgia tej muzyki i rodzime brzmienia, brakowało tylko *mariachis* i butelek piwa Pacífico, żeby było tak samo jak tam, oszołomiła ją trawa, która tliła się w jej palcach, podaj dalej, niech będzie po sprawiedliwości, moja kochana, już paliłam gorsze, a trochę się znam, bo robiłam w tym fachu. Za twoich dwadzieścia pięć wiosen, Indianko, wzniosła toast Cyganka Carmela. A kiedy z kasety Paquita zaczęła, że *trzy razy cię zdradziłam*, to kiedy doszła do refrenu, towarzyszył jej, kompletnie pijany chór, *pierwszy raz ze złości, drugi dla kaprysu, trzeci dla rozkoszy* – trzy razy cię zdradziłam, skurwysynu, uściśliła okrzykiem Pepa Grom, niewątpliwie odnosząc się do nieboszczyka męża. Imprezowały tak radośnie do chwili, kiedy pojawiła się zagniewana strażniczka i oświadczyła: koniec zabawy; ale zabawa na miejscu trwała dalej, już za zamkniętymi drzwiami i zasuwami, kiedy zostały we dwie, w ciemności, same w celi, lampkę nocną postawiły na ziemi, przy umywalce, tak że oświetlała zieloną ścianę ozdobioną wycinkami z gazet – zdjęcia aktorów i piosenkarzy, ładne widoki – i mapą turystyczną Meksyku, z okienkiem, gdzie wisiały zasłony uszyte przez Charito, która miała bardzo zręczne dłonie. I wtedy Pati wyjęła spod pryczy drugą butelkę tequili i plastikową torebkę, i powiedziała: a to tylko dla nas, Meksykanko, kto dobrze tort kraje, największy kawałek dostaje. Kiedy Vicente Fernández śpiewał po raz nie wiadomo który *Boskie kobiety*, a kompletnie zalana Chavela *Dosyc mam twych grózb*, popijały z gwinta tequilę i zrobiły białe działki na okładce książki pod tytułem *Lampart*; a potem Teresa, z nosem ubrudzonym białym proszkiem, powiedziała: jest super, dziękuję, Poruczniku, za takie urodziny, jeszcze nigdy w życiu i tak dalej. Pati pokręciła głową, mówiąc, że to nic takiego, i jakby myślała o czymś innym, powiedziała: a teraz trochę się popieszczę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, i położyła się na plecach na pryczy, zdjęła buty i spódnicę, szeroką, bardzo ładną spódnicę, która świetnie na niej leżała, i została w samej bluzce. Teresa poczuła się dość nieswojo, z butelką Don Julio w ręce, nie wiedząc, co zrobić ani gdzie patrzeć. Mogłabyś mi pomóc, moja mała, to lepiej wychodzi we dwójkę, odezwała się Pati. Wtedy Teresa pokręciła powoli głową. Daj spokój. Wiesz, że ja tego nie

lubie, mruknęła. I choć Pati nie nalegała, po chwili podniosła się, nie odstawiając butelki, usiadła na krawędzi pryczy swojej towarzyszki, która leżała z rozchyłonymi udami, poruszając między nimi delikatnie jedną ręką, i robiąc to, nie przestawała patrzeć jej prosto w oczy w zielonkawym półmroku celi. Teresa podała jej butelkę, Pati wzięła ją wolną ręką, napiła się i oddała, nie odrywając wzroku od Teresy. Potem Teresa uśmiechnęła się i powtórzyła: dziękuję za urodziny, Pati, i za książkę, i za imprezę. A Pati nie odrywała od niej spojrzenia, poruszając zręcznymi palcami między nagimi udami. Wtedy Teresa pochyliła się nad przyjaciółką, powtórzyła dziękuję, bardzo cicho, i delikatnie pocałowała ją w usta, tylko tyle i nic więcej, tylko kilka sekund. I poczuła, że Pati wstrzymuje oddech i wstrząsa nią dreszcz, a z jej ust wydobywa się gwałtowny jęk; jej oczy nagle się rozszerzyły, a potem całkiem znieruchomiała, ciągle na nią patrząc.

Jej głos obudził ją przed świtem.

– On nie żyje, Meksykanko.

Niewiele o nim rozmawiały. O nich. Teresa nie należała do osób, które łatwo się zwierniają. Czasem rzucała jakiś przypadkowy komentarz. Kiedyś było tak, a swego czasu znów tak. Unikała mówienia o Santiago i o Blondynie Dávili. A nawet myślenia o jednym czy drugim. Nie miała fotografii – tych kilka, które zrobili sobie z Santiago, Bóg jeden wie, gdzie się podziewają – poza przedartym na pół zdjęciem z Blondynem: dziewczyna przemytnika, która odeszła gdzieś daleko przed wiekami. Czasem obaj mężczyźni stapiali się w jej myślach w jednego i wcale jej się to nie podobało. To tak, jakby zdradzała ich obu.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała.

Leżały w ciemności, jeszcze nie zaczął szarzyć świt. Brakowało dwóch, trzech godzin, nim strażniczka, która rozpocznie służbę, zacznie stukać kluczami w drzwi cel, żeby obudzić więźniarki na pierwszy apel; muszą się umyć i uprać majtki, koszulki i skarpetki, które potem rozwieszają na kijach od szczotek przymocowanych do ściany w taki sposób, żeby tworzyły wieszak. Teresa słyszała, jak jej towarzyszka przewraca się na pryczy. Po chwili ona też się przekręciła, próbując zasnąć. Skądś z daleka, zza którychś metalowych drzwi w długim korytarzu, dobiegł nagle jakiś kobiecy głos. Kocham cię, Manolo, krzyczała. Mówię, że cię

kocham. Jakiś inny głos, bliżej, skomentował to wulgarnie. Ja też go kocham, odezwał się kpiarsko głos trzeci. Potem dały się słyszeć kroki strażniczki, a po chwili znów zapanowała cisza. Teresa leżała na plecach z oczami otwartymi w ciemności, czekając na lęk, który nieodwołalnie nadejdzie, punktualnie jak co dzień, kiedy pierwsza jasność pojawi się za okienkiem celi i zasłonami uszytymi przez Charito.

– Chcę ci coś powiedzieć – powiedziała Pati.

I zamilkła, jakby to już było wszystko albo jakby nie była pewna, czy powinna to mówić, albo jakby czekała na jakąś odpowiedź Teresy. Ta jednak nie odezwała się. Ani proszę, mów, ani nie mów. Leżała nieruchomo, patrząc w noc.

– Mam ukryty skarb – dodała Pati.

Teresa usłyszała swój śmiech, zanim pomyślała, że się śmieje.

– Do licha – powiedziała. – Całkiem jak ksiądz Faria.

– No właśnie. – Teraz Pati też się roześmiała. – Ale ja nie mam zamiaru tutaj umierać... prawdę mówiąc, w ogóle nie mam zamiaru umierać.

– Jaki to skarb? – zaintrygowała się Teresa.

– To coś, co zginęło, i wszyscy tego szukali, ale nie znaleźli, bo ci, co to ukryli, już nie żyją... Jak w filmie, prawda?

– Moim zdaniem wcale nie jak w filmie. Jak w życiu.

Przez chwilę obie milczały. Nie jestem pewna, pomyślała Teresa. Nie jestem przekonana, czy chcę słuchać twoich zwierzeń, Poruczniku. Może dlatego, że wiesz więcej ode mnie, jesteś inteligentniejsza i starsza, i we wszystkim lepsza, i przez to, że ciągle napotykam to twoje spojrzenie; może wcale mi się nie podoba, że się spuszczasz, czy jak wy to tu nazywacie, kiedy cię całuję. Jeśli mam dosyć, wolę pewnych rzeczy nie wiedzieć. A ja dziś w nocy naprawdę mam dosyć, może dlatego, że za dużo piłam i paliłam, i brałam, i dlatego nie mogę spać. I w ogóle mam dosyć. W tym roku i w tym życiu. Teraz słowo „jutro” nie istnieje dla mnie. Mój adwokat pojawił się u mnie raz. Od tego czasu dostałam od niego tylko jeden list, gdzie pisał, że całą forszę zainwestował w obrazy, które straciły na wartości tyle, że nie starczy nawet na trumnę, jeśli wykorkuję. Ale prawda jest taka, że mam to gdzieś. Jedyna dobra strona siedzenia tutaj to świadomość, że jest tylko to, co jest, i nie ma nic więcej, dzięki czemu nie myśli się o tym, co zostało za bramą. Ani

o tym, co za bramą czeka.

– Takie skarby są niebezpieczne – stwierdziła.

– Pewnie, że są niebezpieczne. – Pati mówiła tak, jakby zastanawiała się nad każdym słowem, powoli, bardzo cicho. – Ja sama zapłaciłam wysoką cenę... Strzelali do mnie, sama widziałas. Pif-paf! A jednak jestem tutaj.

– I co z tym pieprzonym skarbem, Poruczniku Pati O’Faria?

Znów obie roześmiały się w ciemności. Potem pojawił się błysk od strony pryczy Pati, która właśnie zapaliła papierosa.

– Może go odnajdę – powiedziała – kiedy stąd wyjdę.

– Przecież wcale go nie potrzebujesz. Masz kasę.

– Za mało. To, co tu wydaję, nie należy do mnie, tylko do mojej rodziny.

– W jej głosie zabrzmiała ironia, kiedy wymawiała słowo „rodzina”.

– A skarb, o którym mówię, to są prawdziwe pieniądze. Duże pieniądze. Które mogą dać więcej, jeszcze więcej, jeszcze dużo, dużo więcej, jak w piosence.

– Naprawdę wiesz, gdzie jest skarb?

– No pewnie.

– Czy ten skarb ma jakiegoś właściciela? To znaczy innego poza tobą.

Żar papierosa zabłysł jaśniej. Cisza.

– To jest dobre pytanie – wreszcie odezwała się Pati.

– Do licha. To jest pytanie zasadnicze.

Znów milczały. Może i wiesz dużo więcej niż ja, myślała Teresa. Masz wykształcenie i klasę, i adwokata, który zagląda do ciebie od czasu do czasu, i okrągłą sumkę w banku, choćby i należała ona do twojej rodziny. Ale o tym, co mówisz, wiem sporo, i może nawet tak się zdarzyć, że pierwszy raz wiem więcej niż ty. I choć masz dwie blizny jak gwiazdki, narzeczonego na cmentarzu i skarb, który czeka tylko, żebyś stąd wyszła, wszystkiemu przyglądałaś się tylko z góry. A ja to oglądałam od spodu. Dlatego znam takie rzeczy, których ty nigdy nie widziałas. Bo to jest bardzo dalekie od ciebie. Od twoich jasnych włosów i bladej skóry, i twoich manier bogatej damuli z dzielnicy Chapultepec. A ja widziałam błoto na moich stopach, kiedy byłam dzieckiem i mieszkałam w dzielnicy Las Siete Gotas, gdzie pijacy stukali do drzwi mojej matki o świcie, i słyszałam, jak im otwiera. Widziałam

też uśmiech Kocura Fierrosa. I Kamień Leona. Wyrzucałam do morza skarby przy prędkości pięćdziesięciu węzłów, a nad moim tyłkiem wisiała banda celników. Więc nie rób mi wody z mózgu, proszę.

– Na to pytanie trudno odpowiedzieć – stwierdziła wreszcie Pati. – Są oczywiście tacy, którzy go szukali... Uważali, że mają do niego prawo... Ale to było dawno temu. Nikt już nie wie, że ja wiem.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Żar papierosa rozjarzył się kilka razy i jego czerwień stała się żywsza, zanim pojawiła się odpowiedź.

– Nie wiem. A może właśnie wiem.

– Nie sądziłam, że jesteś aż taką gadułą. A może będę papugą i wszystkim rozpaplam to, co mi powiesz.

– Nie. Od dawna jesteśmy razem i przyglądam ci się. Nie jesteś z takich. I znów cisza. Tym razem dłuższa niż poprzednie.

– Jesteś dyskretna i lojalna.

– Ty też.

– Nie. Ja mam inne zalety.

Teresa patrzyła na gasnący żar papierosa. Była zaciekawiona, ale równocześnie chciała, żeby ta rozmowa już się skończyła. A może już się skończyła, i tak to zostanie, pomyślała. Nie chcę, żeby jutro żałowała, że powiedziała coś, czego nie powinna była mówić. Coś, co dla mnie jest zbyt odległe, do czego nigdy nie dotrę. Ale jeśli teraz zaśnie, zawsze będziemy mogły udawać, że nic nie powiedziała, że to wszystko stało się przez tequilę i prochy.

– Być może kiedyś zaproponuję ci, żebyśmy razem odzyskały ten skarb

– naraz odezwała się Pati. – Ty i ja, razem.

Teresa wstrzymała oddech. Nie ma wyjścia, pomyślała. Już nigdy nie będziemy mogły udawać, że tej rozmowy nie było. To, co mówimy, zniewala nas dużo bardziej niż to, co robimy. Czy to, co przemilczamy. Najgorszym złem w dziejach ludzkości było wynalezienie słowa. Wystarczy popatrzeć na psy. Są takie lojalne, bo nie potrafią mówić.

– Dlaczego ja?

Nie mogła milczeć. Nie mogła powiedzieć tak albo nie. Potrzebna była odpowiedź, a to pytanie było jedyną możliwą odpowiedzią. Usłyszała, jak Pati obróciła się do ściany, zanim odpowiedziała.

– Powiem ci we właściwej chwili. Jeśli kiedyś taka nadejdzie.

– Są ludzie, których szczęście bierze się z niepowodzeń – stwierdził Eddie Alvarez. – I tak właśnie było w przypadku Teresy Mendozy.

Soczewki okularów zmniejszały jego ostrożne oczy. Potrzebowałem długiego czasu i wstawiennictwa pośredników, zanim udało mi się usiąść naprzeciwko niego; na powitanie podał mi czubki palców, a teraz siedział przede mną i na przemian wkładał ręce do kieszeni marynarki i wyjmował je z nich. Rozmawialiśmy na tarasie hotelu Rock w Gibraltarze, słońce przebijało się przez bluszcz, palmy i paprocie ogrodu leżącego na zboczu gibraltarskiej skały. Poniżej, za białą balustradą, rozpościerała się zatoka Algeciras, świetlista i niewyraźna w niebieskiej przedwieczornej mgle – białe promy za prostymi liniami kilwaterów, afrykańskie wybrzeże majaczące po drugiej stronie cieśniny, zakotwiczone statki skierowane dziobami na wschód.

– Odniosłem wrażenie, że na początku pan jej w tym dopomógł – powiedziałem. – To znaczy przyczynił się pan do jej niepowodzeń.

Adwokat zamrugał dwukrotnie, obrócił wokół osi szklankę stojącą na stole i znów popatrzył na mnie.

– Niech pan nie mówi, jeśli pan nie wie – brzmiało to jak wyrzut i równocześnie jak rada. – Ja tylko wykonywałem swoją pracę. Z tego żyję. A w tamtych czasach ona była nikim. Nie można było przewidzieć...

Na jego twarzy pojawił się grymas, jakby rozmawiał ze swoimi myślami albo jakby ktoś opowiedział mu marny dowcip, z takich, których sens dociera do człowieka dopiero po chwili.

– Nie można było – powtórzył.

– A może pan się pomylił.

– Wielu z nas się pomyliło. – Jakby się pocieszał liczbą mnogą. – Choć w tej serii pomyłek moja była najmniej istotna.

Przesunął palcami po falujących włosach, rzadkich i zbyt długich, przez co sprawiał wrażenie zaniedbanego. Potem znów dotknął szerokiej szklanki z likierem o smaku whisky, której brązowawy kolor nie wyglądał bynajmniej apetycznie.

– W życiu za wszystko się płaci – powiedział po chwili zastanowienia.
– Tyle tylko, że jedni płacą z góry, inni w trakcie, a jeszcze inni później... Meksykanka zapłaciła z góry... Nie miała nic do stracenia, a do wygrania wszystko. I tak zrobiła.

– Mówi się, że zostawił ją pan samą w więzieniu. I to bez grosza.
Zrobił minę poważnie obrażonego. Choć w przypadku kogoś z jego przeszłością – a zająłem się jej sprawdzeniem – to nie znaczyło absolutnie nic.

– Nie wiem, co panu naopowiadali, ale niezupełnie tak było. Myślę równie praktycznie jak wszyscy, rozumie pan? To normalne w moim zawodzie. Ale nie o to chodzi. Wcale jej nie zostawiłem.

I po tym stwierdzeniu złożył całą serię wyjaśnień, bardziej lub mniej racjonalnych. Teresa Mendoza i Santiago Fisterra rzeczywiście powierzyli mu pewną sumę pieniędzy. Nic nadzwyczajnego, trochę gotówki, którą on starał się dyskretnie wyprać. Problem polega na tym, że niemal wszystko zainwestował w obrazy – pejzaże, sceny morskie i inne podobne rzeczy. Kilka drogich portretów, za które dużo zapłacił. Właśnie. Przypadkiem stało się to niedługo po śmierci Galisyjczyka. Malarze nie byli bardzo znani. Prawdę mówiąc, kompletnie nikt ich nie znał, dlatego w ich obrazy zainwestował. Rozumie pan, liczyłem na większy zysk. Ale nadszedł kryzys. Trzeba było tanio sprzedać wszystko, do ostatniego płótna, podobnie jak i niewielki udział, jaki mieli w barze przy Main Street, i jeszcze parę drobiazgów. Od tego odliczył swoje honoraria – a było trochę zaległości i spóźnionych zobowiązań – i resztę pieniędzy przeznaczył na obronę Teresy. A z tym wiązała się masa wydatków, oczywiście. Do licha i trochę pieniędzy. Ale przecież ostatecznie spędziła tylko rok za kratkami.

– Podobno tylko dzięki Patricii O'Farrell, bo to jej adwokaci załatwili wszystkie formalności.

Zobaczyłem, jak znów z obrażoną miną zaczyna podnosić rękę do serca. Ale przerwał w pół gestu.

– Mówi się różne bzdury. Jest faktem, że w pewnym momencie, no cóż... – Patrzył na mnie jak świadek Jehowy dzwoniący do czyichś drzwi. – Byłem zajęty czym innym. Sprawa Meksykanki utknęła w martwym punkcie.

– To znaczy skończyły się pieniądze.

– Tak, ta drobna kwota też się skończyła.

– I wtedy przestał się pan nią zajmować.

– Proszę posłuchać. – Pokazał mi otwarte dłonie, unosząc je nieco, jakby ten gest poświadczał prawdę. – Ja z tego żyję. Nie mogłem marnować czasu. Od tego są obrońcy z urzędu. A poza tym powtarzam panu, nie można było przewidzieć...

– Rozumiem. A czy później nie chciała rozliczyć się z panem?

Pogrążył się w kontemplacji swojej szklanki stojącej na szklanym stoliku. Wydawało się, że pytanie to nie nasunęło mu miłych wspomnień. W końcu wzruszył ramionami, jakby to była odpowiedź, i spojrzał na mnie.

– Jednak później – nie poddawałem się – znów pan dla niej pracował.

Schował ręce do kieszeni marynarki i zaraz je wyjął. Upił ze szklanki łyk i znów powtórzył ten sam gest z rękami. Może i tak było, przyznał w końcu. Ale to trwało bardzo krótko i dawno temu. Potem odmówiłem współpracy. Jestem czysty.

Miałem zupełnie inne informacje, ale nie powiedziałem tego. Słyszałem, że kiedy Meksykanka wyszła z więzienia, chwyciła go za gardło i przydusiła. Wycisnęła z niego wszystko i wyrzuciła, kiedy przestał być użyteczny. To były słowa komisarza z Torremolinos, Pepe Cabrery. Mendoza kazała temu skurwysynowi wysrać wszystko, do ostatniego ździebełka. Do Eddiego Alvareza to zdanie pasowało jak ulał. Doskonale można było wyobrazić go sobie, jak wydała ździebełka czy cokolwiek innego. Powiedz, że ja cię przysłałem, doradził mi Cabrera podczas obiadu w sportowej przystani w Benalmadenie. Ta gnida wiele mi zawdzięcza, nie będzie mógł ci odmówić. Wystarczy wspomnieć sprawę kontenera z Londynu albo Anglika związanego z kradzieżą na Heathrow. Wystarczy, że mu tak powiesz, a będzie ci jadł z ręki. Co z niego wyciągniesz, to już twoja sprawa.

– To znaczy, że nie była pamiętliwa – stwierdziłem.

Spojrzał na mnie z zawodową ostrożnością. Dlaczego pan tak mówi, zapytał.

– Przylądek Castor.

Widziałem, jak się zastanawia, czy mogę wiedzieć, co naprawdę się

stało. Nie chciałem go rozczarować.

– Słynna zasadzka – odezwałem się.

Słowo to wywołało podobny efekt jak środek przeczyszczający.

– Niech mnie pan nie wkurza. – Niespokojnie wiercił się w wiklinowym fotelu, który skrzypiał przy tym głośno. – Co pan wie o zasadzkach? Zresztą to za duże słowo.

– Po to tu jestem. Niech mi pan opowie.

– W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia – powiedział, podnosząc szklankę. – Co do sprawy przyłądka Castor Teresa wiedziała, że nie miałem nic wspólnego z machinacjami Cañaboty i tego sierżanta żandarmerii. Poświęciła sporo czasu i energii, żeby wszystko sprawdzić... I kiedy nadeszła moja kolej... No cóż, wykazałem, że znalazłem się tam przypadkiem. Najlepszym dowodem, że ją przekonałem, jest fakt, że jeszcze żyję.

Zamyślił się, pobrzękując lodem w szklance. Pociągnął łyk.

– Mimo tego, co się stało z pieniędzmi za obrazy, i mimo sprawy przyłądka Castor jeszcze żyję.

Znów pociągnął łyk. I drugi. Najwyraźniej te wspomnienia budziły u niego pragnienie. Bo właściwie nikt nigdy nie wydał Santiago Fisterry. Nikt. Cañabota i ci, dla których pracował, chcieli mieć kogoś na wabia, kogoś, kto przyciągnąłby uwagę straży, a prawdziwy przemyt odbywał się całkiem gdzie indziej. To była zwykła praktyka, wypadło na Galisyjczyka, ale równie dobrze mogło się to zdarzyć każdemu innemu. To sprawa szczęścia albo pecha. Nie należał do tych, którzy wszystko powiedzą, jak się ich złapie. Poza tym nie był stąd, pracował sam i nie miał w tych okolicach przyjaciół ani sojuszników... A przede wszystkim tamten żandarm był na niego cięty. Tak czy inaczej, wypadło na niego.

– I na nią.

Znów zaskrzypiał fotel, a on spojrzał na schody prowadzące na taras, jakby miała się tam zaraz pojawić Teresa Mendoza. Milczenie. Kolejny łyk. Potem poprawił okulary na nosie i powiedział: niestety. I znów zamilkł. Następny łyk. Niestety, nikt nie mógł sobie wyobrazić, że Meksykanka zajdzie tam, gdzie zaszła.

– Ale powtarzam, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Najlepszy dowód... Do diabła, już mówiłem.

– Że jeszcze pan żyje.

– Tak. – popatrzył na mnie wyzywająco. – To dowód mojej dobrej woli.

– A co się stało potem z tamtymi, z Cañabotą i sierżantem Velasco?

Wyraz pewności siebie na jego twarzy nie trwał dłużej niż trzy sekundy. I zniknął. Wiesz tak samo dobrze jak ja, mówiły nieufnie jego oczy. Wie każdy, kto czyta gazety. Ale jeśli myślisz, że ja ci to opowiem, to się przeliczyłeś.

– Tego to ja nie wiem.

Zrobił gest, jakby zamykał sobie usta na suwak, a jego twarz wyrażała coś między złościwością i zadowoleniem – jak ktoś, kto utrzymuje się w pionie dłużej niż inni. Zamówiłem kawę dla siebie i następny likier dla niego. Od strony miasta i portu dobiegał zgiełk, przytłumiony odległością. Jakiś samochód wjechał na drogę poniżej tarasu i ze strasznym rykiem silnika popędził w kierunku Skały. Wydaje mi się, że za kierownicą dojrzałem jasnowłosą kobietę, obok której siedział mężczyzna w marynarskiej kurtce.

– W każdym razie – ciągnął Eddie Alvarez po chwili namysłu – to wszystko zdarzyło się później, kiedy sprawy się odwróciły, a ona miała okazję wyrównać rachunki... Niech pan posłucha, jestem pewien, że kiedy wychodziła z El Puerto de Santa María, chciała zniknąć z tego świata. Myślę, że nie była ani marzycielką, ani kobietą zbyt ambitną... Mogę się założyć, że nawet nie była mściwa. Chciała jedynie przeżyć, to wszystko. Ale czasem tak się składa, że los najpierw ciężko cię doświadczy, a potem wygodnie urządzi.

Sąsiedni stolik zajęła grupa Gibraltarczyków. Byli jego znajomymi, wstał więc i poszedł się z nimi przywitać. Dzięki temu miałem okazję popatrzeć z daleka, jak uśmiecha się usłużnie, podaje rękę, słucha jak ktoś, kto czeka na sygnał, co ma odpowiedzieć i jak się zachować. Człowiek, który potrafi przeżyć, stwierdziłem. Ten rodzaj sukinsyna, który zawsze przeżyje, jak go opisał inny Eddie, o nazwisku Campello, też Gibraltarczyk, mój stary znajomy, wydawca lokalnego dziennika „Vox”. Kolesi nie miał nawet tyle odwagi, żeby zdradzić, powiedział Campello, kiedy zapytałem go o związek adwokata z Teresą Mendozą. To, co się stało na przylądku Castor, to sprawa Cañaboty i żandarma. Alvarez tylko zabrał pieniądze Galisyjczyka. Ale ta kobieta forszę miała

gdzieś. Najlepszy dowód to fakt, że oszczędziła go i dała mu pracę.

– I niech pan popatrzy. – Eddie Alvarez wrócił do naszego stolika. – Ja bym powiedział, że Meksykanka nadal nie jest mściwa. Tylko musi... No, nie wiem. To czysto praktyczny problem, rozumie pan? W jej świecie nie zostawia się niezakończonych spraw...

I opowiedział mi coś ciekawego. Kiedy ją zamknęli w El Puerto, mówił, poszedłem do ich domku w Palmones, żeby wszystko zlikwidować i pozamykać. I wie pan co? Wyplęnęła wtedy jak zawsze, przecież nie wiedziała, że to ostatni raz. A wszystko było tam starannie poukładane w szufladach, każda rzecz leżała na swoim miejscu. Nawet w szafach panował wzorowy porządek. Jak na pokaz.

– Jaka tam kalkulacja, chęć zemsty czy ambicja – Eddie Alvarez pokiwał głową i popatrzył na mnie, jakby te szafy i szuflady wszystko wyjaśniały – ja uważam, że Teresa Mendoza zawsze kierowała się poczuciem symetrii.

Skończyła zmiatanie drewnianego pomostu, naląła sobie pół szklanki tequili i drugie pół soku pomarańczowego, usiadła na deskach i zapaliła papierosa; była boso, stopy zanurzyła w ciepłym piasku. Słońce zaledwie wyszło zza horyzontu. Jego ukośne promienie pokrywały plażę cieniami każdego śladu, nadając jej księżycowy wygląd. Między kioskiem a brzegiem morza wszystko było uporządkowane i czyste, oczekiwało już na plażowiczów pojawiających się tu późnym rankiem – pod każdym parasolem stały dwa leżaki, równo ustawione przez Teresę, na nich maty w biało-niebieskie pasy, starannie jedna po drugiej wytrzepane i ułożone. Panowała cisza, morze było nieruchome, woda przy brzegu spokojna, wschodzące słońce rzucało pomarańczowy, metaliczny blask na pojedyncze sylwetki nielicznych spacerowiczów, emerytów na porannej przechadzce, na młodą parę z psem, samotnego mężczyznę obok wędki wbitej w piasek, wpatrującego się w morze. A na końcu plaży i na końcu blasku, na wschód za sosnami, palmami i magnoliami, ciągnęła się Marbella, dachy rezydencji i wieże z cementu i szkła były widoczne z daleka. Zanurzone w złotej mgle.

Smakował jej papieros, rozerwany i na powrót zwinięty z odrobiną haszyszu. Właścicielowi kiosku nie podobało się, jeśli paliła przy nim coś innego niż tytoń, ale o tej porze Tony'ego jeszcze nie było,

a plażowicze dopiero za jakiś czas pojawią się nad morzem – to był początek sezonu – mogła więc palić spokojnie. Sok z tequilą czy też tequila z sokiem pomarańczowym smakowała znakomicie. Od ósmej rano – po kawie bez cukru, kromce chleba z oliwą i pączku – układała leżaki, zamiatała kiosk, ustawiała stoły i krzesła i miała przed sobą cały dzień pracy, identyczny jak dzień wczorajszy i jutrzejszy: brudne szklanki za ladą, a przy barze i przy stolikach lemoniada z lodem, orszada, mrożona kawa, rum z colą, woda mineralna, głowa jak balon, podkoszulek mokry od potu, słońce przenikające przez dach z liści palmowych. Wilgotny upał przypominał jej Altatę w lecie, ale tu było więcej ludzi i mocniej czuła zapach olejku do opalania. Do tego cały czas musiała wysłuchiwać pretensji niemiłych klientów, przecież prosiłem bez lodu, halo, zamawiałem z cytryną i z lodem, jak to nie macie fanty, przyniosła mi pani wodę gazowaną, a prosiłam bez gazu. Cholera. Letnicy z Europy i ze Stanów, w kąpielówkach w kwiatki, o skórze tłustej i zaczerwienionej, z ciałem wylewającym się z kostiumów, podkoszulków i kolorowych pareo, byli jeszcze gorsi, bezczelniejsi, bardziej egoistyczni niż goście burdeli Drisa Larbiego. Teresa spędzała między nimi dwanaście godzin na dobę, cały czas w biegu, nie mając czasu usiąść nawet na parę minut, dawne złamanie ręki przypominało o sobie pod ciężarem tacy z napojami. Żeby pot nie zalewał jej oczu, włosy splatała w dwa warkocze, a na czole wiązała chustkę. Zawsze czuła na karku podejrzliwy wzrok Tony’ego.

Choć w sumie nie było tam źle. Na przykład ta chwila o poranku, kiedy skończyła porządkowanie kiosku i leżaków i patrzyła na morze i plażę, czekając spokojnie. Albo kiedy wieczorem szła brzegiem morza, wracając po pracy do swojego skromnego hoteliku w starej części Marbelli, tak samo jak kiedyś – wieki temu – robiła po zamknięciu Dżamili. Po wyjściu z El Puerto de Santa María najtrudniej było jej się przyzwyczać do zgiełku tutejszego życia, do ruchu, hałasu, tysięcy ludzi na plaży, ogłuszającej muzyki w barach i dyskotekach, tłumów zapelniających wybrzeże pomiędzy Torremolinos i Sotogrande. Przez półtora roku Teresa zdążyła się przyzwyczać do rutyny codziennego dnia i ścisłego przestrzegania więziennego regulaminu i po trzech miesiącach na wolności czuła się gorzej niż za kratkami. Wiele razy

słyszała opowieści o skazańcach z długimi wyrokami, którzy po wyjściu na wolność starali się jak najszybciej wrócić tam, gdzie był ich jedyny możliwy dom. Teresa nigdy w to nie wierzyła, ale któregoś dnia, kiedy siedziała, paląc, w tym samym miejscu co teraz, poczuła nagle tęsknotę za porządkiem, rutyną i ciszą, które panowały tam za murami. Więzienie jest domem tylko dla nieszczęśników, powiedziała kiedyś Pati. Dla tych, którzy nie mają marzeń. Ksiądz Faria – Teresa przeczytała *Hrabiego Monte Christo* i wiele innych powieści i ciągle kupowała książki, które piętrzyły się w jej hotelowym pokoiku – nie należał do tych, którzy uważają więzienie za swój dom. Przeciwnie, stary skazaniec marzył, podobnie jak Edmund Dantès, żeby wyjść i odzyskać to, co mu odebrano, ale jemu już to nie było dane. Po wielu rozmyśleniach na ten temat Teresa doszła do wniosku, że skarb był dla nich jedynie pretekstem, żeby utrzymać się przy życiu, żeby marzyć o ucieczce i czuć się wolnym, mimo zasuw i murów zamczyska If. Historia zaginionego ładunku koki była w przypadku Porucznik O’Farrell swoistym sposobem zachowania wolności. Może dlatego Teresa nigdy nie wierzyła jej do końca. Co do tego, że więzienie jest domem tylko dla nieszczęśników, to mogła być prawda. Dlatego w więziennych tęsknotach, kiedy się pojawiały, czuła coś podobnego do wyrzutów sumienia; podobnie jak to bywa ze świadomością grzechów, która – według księży – ma miejsce wtedy, kiedy myśli krążą stale wokół pewnych spraw. A jednak w El Puerto wszystko było proste, bo słowa „wolność” i „jutro” miały znaczenie mało konkretne: określały coś, co czeka na człowieka na samym końcu kalendarza. W tej chwili właśnie żyła pośród kartek z odległymi datami, które przed kilkoma miesiącami nie były niczym więcej jak numerami na ścianie, a teraz nagle zmieniały się w dwudziestoczworogodzinne dni z szarymi świtami, które nadal zastawały ją bezsennością.

I co dalej, zastanawiała się, widząc przed sobą ulicę, już poza murami więzienia. Odpowiedź ułatwiła jej Pati O’Farrell, która poleciła ją swojemu przyjacielowi, właścicielowi kiosków na plaży w Marbelli. Nie będzie ci zadawał pytań ani zbytnio cię nie wykorzysta, powiedziała. I jeśli nie pozwolisz, nawet cię nie przeleci. Dzięki tej pracy Teresa mogła pozostawać warunkowo na wolności. Brakowało jeszcze roku do

wyrównania rachunków ze sprawiedliwością, a jedynym ograniczeniem był obowiązek informowania o miejscu swojego pobytu i zgłaszania się raz w tygodniu do miejscowego komisariatu. Zarabiała dość, żeby wynająć pokój w hoteliku przy ulicy San Lázaro. Stać ją było na książki, jedzenie, trochę ubrań, papierosy, a także tabliczkę marokańskiego haszyszu – działka czegoś porządniejszego pozostawała daleko poza zasięgiem jej możliwości – żeby nim uszlachetnić bisonty, które paliła w chwilach spokoju, czasem z kieliszkiem w ręku, w samotności swojego pokoju albo na plaży, tak jak teraz.

Mewa opadła w locie blisko brzegu, czujnie dotknęła powierzchni wody i odleciała w głąb morza bez żadnej zdobyczy. Dobrze ci tak, pomyślała Teresa, wdychając dym i patrząc, jak ptaszysko się oddala. Pieprzona skrzydlata dziwka. Kiedyś, dawno temu, lubiła mewy, wydawały jej się bardzo romantyczne, dopóki nie poznała ich bliżej podczas wypraw na phantomie przez cieśninę. Zapamiętała szczególnie taki dzień, zaraz na początku, kiedy mieli awarię na pełnym morzu podczas prób silnika, Santiago dłuższą chwilę grzebał przy maszynie, a ona położyła się i patrzyła na krążące blisko nich mewy. Santiago poradził jej wtedy, żeby przykryła sobie czymś twarz, bo mogą podziobać ją, gdyby zasnęła. Wspomnienie przywołało bardzo wyraźne obrazy: spokojne morze, mewy unoszące się na powierzchni wody wokół ślizgacza albo krążące w górze, Santiago na rufie, czarna obudowa silnika w kokpicie, on ubrudzony smarem po łokcie, nagi tors z wytatuowanym wizerunkiem Chrystusa na jednym ramieniu i inicjałami – których znaczenia nigdy nie poznała – na drugim.

Znów zaciągnęła się dymem, pozwalając, by haszysz rozpuścił się w jej żyłach i zobojętnienie dopłynęło nimi do serca i mózgu. Starła się nie myśleć o Santiago, podobnie jak starała się, by ból głowy – ostatnio pojawiał się często – nigdy nie zawładnął nią zupełnie, bo kiedy tylko zaczęła odczuwać jego pierwsze oznaki, brała kilka aspiryn, żeby uniknąć tych wielu godzin złego samopoczucia, po których czuła się wykończona i zupełnie traciła poczucie rzeczywistości. Starła się nie myśleć ani o Santiago, ani o nikim innym, w ogóle o niczym; dostrzegała zbyt wiele okropieństw i zagrożeń w każdej myśli, która wykraczała poza sprawy bieżące lub praktyczne. Czasami, zwłaszcza kiedy leżała,

nie mogąc zasnąć, nie udawało się jej uniknąć wspomnień. Jeśli jednak wspomnieniom nie towarzyszyły refleksje, owe spojrzenia wstecz nie przynosiły jej ani bólu, ani radości, jedynie wrażenie, że podąża drogą donikąd, jak dryfująca łódź, która mija ludzi, przedmioty, chwile.

Dlatego teraz paliła haszysz. Nie dla samej przyjemności czy też nie tylko dla niej, ale dlatego że ten dym w płucach – może ta trawa płynęła już ze mną w pakunkach po dwadzieścia kilo z Afryki, myślała czasem, rozbawiona tym paradoksem, kiedy wygrzebywała z kieszeni ostatnie grosze, żeby sobie pozwolić na skromną porcję haszyszu – zwiększał dystans do rzeczywistości i choć co prawda nie przynosił pocieszenia ani zubożenia, to przynajmniej wprawiał ją w łagodne otępienie, i nie zawsze była pewna, czy jest tą samą osobą, na którą patrzy, czy też tą, którą wspomina, jakby było wiele Teres ukrytych w jej wspomnieniach i żadna z nich nie miała z nią teraz bezpośredniego związku. Może to jest właśnie życie, myślała zaskoczona, a z upływem lat, na starość spoglądasz wstecz i widzisz te różne osoby, którymi byłaś, a w których nie możesz już rozpoznać siebie. Z tą myślą wyjmowała czasem przedarte zdjęcie, na którym miała twarz dziewczynki, była w dżinsach i kurtce i stała z ręką Blondyna Dávili na ramieniu – tylko ta amputowana ręka i nic więcej – a twarz mężczyzny, którego już nie było na tej połówce zdjęcia, nakładała się we wspomnieniach na rysy Santiago Fisterry, jakby obaj byli jednym, przeciwnie niż ona, dziewczyna o wielkich czarnych oczach, rozbita na wiele różnych kobiet, z których nie dało się już złożyć jednej. Tak się zastanawiała Teresa czasami, dochodząc do wniosku, że na tym polega, lub może polegać, pułapka. Wtedy na pomoc przychodziła zupełna bezmyślność, dym papierosa z haszyszem i tequila, która uspokajała ją swoim znajomym smakiem i otępieniem, następującym po każdym przepiciu. I wtedy te podobne do niej kobiety – również i ta, która nie miała wieku i patrzyła na nie wszystkie z boku – pozostawały gdzieś daleko, przypominając opadłe liście unoszące się na powierzchni wody.

Dlatego teraz tak dużo czytała. Czytanie, stwierdziła w więzieniu, zwłaszcza powieści, pozwala zupełnie inaczej układać sobie wszystko w głowie; zacierała się dla niej granica między rzeczywistością i fikcją i patrzyła na własne życie tak, jakby to wszystko przydarzało się komuś

innemu. Poza tym z lektury można się wiele nauczyć, czytanie pomaga myśleć inaczej albo lepiej, dlatego że na zadrukowanych stronicach inni robią to wszystko przed nią. To było dużo intensywniejsze niż kino czy seriale, zbyt konkretne, z twarzami i głosami aktorów i aktorek – a w powieściach zawsze można było stworzyć własną wizję każdej postaci i sytuacji. Podobnie było z głosem, który historię opowiadał: czasem był to narrator znany lub anonimowy, a czasem ona sama. Bo czytając każdą stronę – odkryła to z przyjemnością i zaskoczeniem – pisze się ją na nowo. Po wyjściu z El Puerto Teresa nadal czytała, kierując się intuicją, tytułem, pierwszym zdaniem, ilustracją na okładce. Teraz, poza starym *Monte Christo* oprawnym w skórę, miała też inne własne książki, które gromadziła powoli. Były to tanie wydania napotykanne na ulicznych straganach albo w antykwariatach, wydania kieszonkowe, wybierane po wielu obrotach kręcących się półek z książkami, czasem stojących w sklepach. Czytała powieści napisane dawno temu przez panów i damy, których portrety znajdowały się na skrzydełkach albo z tyłu na okładce, i książki współczesne, opowiadające o miłości, przygodach, podróżach. Z nich wszystkich najbardziej podobała się jej *Gabriela* napisana przez Brazylijczyka o nazwisku Jorge Amado, *Anna Karenina*, w której pewien Rosjanin opisuje życie rosyjskiej arystokratki, i *Historia dwóch miast*, na której końcu płakała, kiedy dzielny Anglik – o nazwisku Sidney Carton – w drodze na gilotynę trzymał za rękę i pocieszał przerażoną dziewczynę. Przeczytała też książkę o milionerze i lekarzu, którą Pati radziła jej zostawić na później; i tę dziwną, trudną do zrozumienia książkę, która zachwyciła ją od pierwszej chwili, bo natychmiast rozpoznała ziemię, język i duszę ludzi opisanych na jej stronach. Miała tytuł *Pedro Páramo* i choć Teresie nigdy nie udało się rozszyfrować jej tajemnicy, wracała do niej raz za razem, otwierając na oślep, żeby przeczytać kilka stron ze środka. Sposób, w jaki płynęły tam słowa, fascynował ją tak, jakby zbliżała się do nieznanego miejsca, mrocznego, magicznego, związanego z czymś, co sama nosiła – była tego pewna – w ciemnym zakątku swojej pamięci i krwi: „Pojechałem do Comala, bo powiedziano mi, że tam mieszka mój ojciec, niejaki Pedro Páramo...”[8]. I do swoich licznych lektur w El Puerto de Santa María

Teresa wciąż dodawała książki, jedną po drugiej, które czytała w wolne dni i bezsenne noce. Czasami, otwierając książkę leżącą na nocnej szafce, była nawet w stanie opanować dobrze znany lęk przed szarością nadchodzącego poranka. W ten sposób Teresa przekonała się, że zwykłe kartki papieru pokryte farbą drukarską nabierają życia, gdy ktoś je przerzuca i przebiega wzrokiem linijki, i znajduje w nich odbicie swojego losu, dostrzega swoje zamiłowania, upodobania, swoje zalety i wady. Teraz była już pewna tego, co przeczuwała, kiedy rozmawiała z Pati O'Farrell o zmiennych losach Edmunda Dantesa: że nie ma dwóch takich samych książek, bo nie ma dwóch takich samych czytelników. A każda książka, jak każdy człowiek, jest czymś wyjątkowym, jest jedyną historią i całym oddzielnym światem.

Przyszedł Tony. Był to człowiek jeszcze młody, brodaty, z kolczykiem w uchu, opalony, od dawna każde lato spędzał w Marbelli. W podkoszulku firmy Osborne z nadrukiem byka. Zawodowiec z wybrzeża, stworzony, żeby żyć z turystów, bez kompleksów. Nigdy nie okazywał żadnych swoich uczuć. Przez cały czas, który Teresa tam spędziła, nie widziała go ani obrażonego, ani zadowolonego, nie zdradzał entuzjazmu ani rozczarowania. Prowadził kiosk z beznamiętną sprawnością, dobrze zarabiał, był uprzejmy dla klientów, nieugięty wobec awanturników i złośliwców. Pod barem trzymał kij bejsbolowy na wszelki wypadek, miejskim strażnikom, patrolującym plażę, za darmo podawał poranną kawę z koniakiem i dżin z tonikiem, jeśli akurat nie byli na służbie. Kiedy Teresa przyszła do niego, niedługo po wyjściu z El Puerto, Tony dobrze się jej przyjrzał i powiedział, że znajomi jego przyjaciółki prosili go, by dał jej pracę, i dlatego ją dostaje. Żadnych narkotyków czy alkoholu przy klientach, żadnego podrywania, żadnego podkradania z kasy, bo z powrotem wylądujesz na bruku; a co do kasy, to na dodatek rozwalę ci łeb. Dzień pracy trwa dwanaście godzin plus czas, jaki ci zajmie posprzątanie wszystkiego po zamknięciu, zaczynasz o ósmej rano. Albo to bierzesz, albo nie. Teresa wzięła. Potrzebowała legalnej pracy, żeby pozostać na zwolnieniu warunkowym, żeby jeść i spać pod dachem. A Tony i jego kiosk byli równie dobrzy albo równie źli jak cokolwiek innego.

Skręt z haszyszem dopalał się, parząc jej paznokcie, resztkę tequili

z sokiem pomarańczowym wypić jednym haustem. Zaczęli pojawiać się pierwsi plażowicze, z ręcznikami i kremami do opalania. Wędkarz nadal siedział na brzegu, a słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, rozgrzewając piasek. Jakiś wysportowany mężczyzna ćwiczył w oddali, za leżakami, ciało lśniło mu od potu, jak skóra konia po długim biegu. Niemal czuło się zapach jego skóry. Teresa przyglądała mu się przez chwilę – płaski brzuch, napięte mięśnie pleców przy każdym skłonie i każdym obrocie. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby odetchnąć, z rękami opartymi na biodrach i opuszczoną głową, patrzył w ziemię, jakby się zastanawiał, a ona choć spoglądała w jego kierunku, głowę miała zaprzątniętą innymi myślami. Płaskie brzuchy, mięśnie pleców. Mężczyźni opaleni, pachnący potem, podnieceni. Do licha. Jakże było z nimi łatwo, a równocześnie jak trudno, mimo wszystko i mimo że ich zachowanie było tak bardzo przewidywalne. Jakże łatwo było stać się zwyczajną dupą, jeśli myślało się właśnie tą częścią ciała albo kiedy myślało się zbyt wiele, co zresztą prowadziło do tego samego – ogłupienia zbytnią przenikliwością. Od kiedy Teresa wyszła na wolność, miała tylko jedną przygodę erotyczną – był to kelner z kiosku na przeciwnym krańcu plaży, pewnej soboty wieczorem, kiedy zamiast wracać do domu, została tutaj, popijała drinki i paliła, siedząc na piasku i obserwując światełka kutrów rybackich w oddali, udawadniała sobie samej, że potrafi nie wspominać. Kelner podszedł do niej we właściwej chwili, bezczelny i sympatyczny do tego stopnia, że ją rozśmieszył, kilka godzin później wylądowali w jego samochodzie w opustoszałej okolicy niedaleko areny byków. To było nieoczekiwane spotkanie, do którego Teresa podeszła bardziej z zaciekawieniem niż prawdziwym pożądaniem, obserwując swoje reakcje i uczucia. Pierwszy mężczyzna od półtora roku! Większość dziewczyn z El Puerto oddałaby za to kilka miesięcy wolności. Jednak źle wybrała moment i towarzystwo, całkiem niezgodne z jej stanem ducha. To te światełka na czarnym morzu, stwierdziła potem, były wszystkiemu winne. Kelner, chłopak podobny do tego, który się gimnastykował na plaży za leżakami – ledwo go sobie przypominała – okazał się niezdarnym egoistą, a samochód i prezerwatywa, którą kazała mu założyć po długich poszukiwaniach dyżurnej apteki, nie poprawiły sytuacji. Całe to spotkanie przyniosło

tylko rozczarowanie; nie było nawet miejsca, żeby mogła wygodnie rozpiąć suwak swoich lewisów. Kiedy skończyli, facet miał wyraźną ochotę iść spać, a Teresa była niezaspokojona i wściekła na siebie, a jeszcze bardziej na tę milczącą odbitą w szybie kobietę, którą widziała za czerwonym punkcikiem żaru papierosa, przypominającym jej świetliste punkty płynących pośród nocy rybackich kutrów. Z powrotem włożyła dzinsy, wysiadła z samochodu, powiedzieli sobie: no to na razie, i rozstali się, nie znając nawet swoich imion, i guzik ich obchodziło, jakie to były imiona. Kiedy dotarła do hotelu, wzięła długi gorący prysznic, a potem upiła się w łóżku, leżąc nago na brzuchu, później długo wymiotowała, aż zasnęła ze smakiem żółci w ustach, z dłonią między udami i palcami wewnątrz siebie. Słyszała hałas silników cessny i ślizgacza, i głos Luisa Miguela śpiewającego z magnetofonu na szafce nocnej, że *jeśli nam pozwolą, jeśli się uda, będziemy się kochać przez całe życie*.

Obudziła się, drżąc w ciemności, bo wreszcie dotarło do niej, we śnie, o co chodzi w tej krótkiej meksykańskiej powieści Juana Rulfo, której nigdy nie potrafiła dobrze zrozumieć, choć długo o tym myślała. „Pojechałem do Comala, bo powiedziano mi, że tam mieszka mój ojciec, niejaki Pedro Páramo”. Do licha. Wszystkie postaci tej opowieści nie żyły, choć o tym nie wiedziały.

– Telefon do ciebie – powiedział Tony.

Teresa odstawiła brudne szklanki do zlewu, położyła tacę na ladzie i podeszła do końca baru. Kończył się trudny dzień, panował upał, spragnieni faceci i panienki w ciemnych okularach i z gołymi cipkami – niektóre w ogóle nie mają wstydu – cały czas zamawiali piwo i zimne napoje; pękała jej głowa i bolały nogi od biegania między leżakami, od obsługiwania jednego stolika po drugim, stopy ją paliły, jakby stąpała po rozżarzonych węglach, pot lał się z niej strumieniami w tej mikrofalówce z oślepiającego piasku. Było późne popołudnie i plażowicze zaczęli już zbierać się do powrotu, miała jednak przed sobą jeszcze jakieś dwie godziny pracy. Krótkie chwile oddechu w cieniu niewiele jej pomagały. Wytarła dłonie fartuchem, podniosła słuchawkę. Nikt do niej nie dzwonił od chwili, kiedy wyszła z El Puerto, ani tutaj, ani nigdzie indziej, i nie potrafiła odgadnąć powodu, dla którego teraz ktoś telefonował. Tony

pewnie myślał to samo, bo patrzył na nią z ukosa, wycierając szklanki, które ustawiał w rzędzie na barze. Na pewno, doszła do wniosku Teresa, nie są to dobre wiadomości.

– Halo – odezwała się podejrzliwie.

Od pierwszego słowa rozpoznała ten głos, zanim jeszcze usłyszała, jak tamta mówi: to ja. Przecież półtora roku słuchała go w dzień i w nocy. Dlatego uśmiechnęła się, a potem roześmiała w głos ze szczerą radością. Witaj, Poruczniku. Bardzo się cieszę, że cię słyszę, kochana. Jak leci, co z tobą i tak dalej. Śmiała się, naprawdę szczęśliwa, słysząc w słuchawce pewny poważny głos kogoś, kto zawsze potrafił brać rzeczy takimi, jakie były, dobrze znał siebie i znał się na ludziach, a nauczył się tego w szkołach i z książek, i z życia, i od innych ludzi, ale bardziej z ich milczenia niż z ich słów. Równocześnie w jakimś zakamarku jej głowy pojawiła się myśl: daj spokój, nie wygłupiaj się, ja też bym potrafiła tak pięknie mówić, wykręcić numer telefonu po tak długim czasie i całkiem naturalnie powiedzieć: Meksykanko, wredna małpo, mam nadzieję, że się za mną stęskniłaś, kiedy już przeleciałaś połowę facetów w Marbelli, a na pewno to zrobiłaś, bo teraz nikt cię nie pilnuje. Spotkamy się, czy mnie olewasz? Teresa spytała, czy naprawdę jest już na wolności, a Pati O'Farrell odpowiedziała, parszcząc śmiechem, jasne, że tak, wariatko, od trzech dni jestem na wolności i korzystam z życia, żeby odrobić stracony czas, nie śpię, zresztą nie dają mi spać, i prawdę mówiąc, absolutnie się nie skarżę. I między kolejnymi numerami, kiedy tylko odzyskuję świadomość albo chwytam oddech, szukam twojego telefonu, no i wreszcie cię znalazłam, najwyższy czas, muszę ci powiedzieć, że te wstrętne strażniczki nie dały rady staremu księdzu, i cały zamek If możemy mieć głęboko, sama wiesz gdzie, a teraz nadeszła pora, żeby Edmund Dantès i jego przyjaciel Faria odbyli długą kulturalną rozmowę, w takim miejscu, gdzie słońce dociera nie przez kraty, jakbyśmy byli catchersami w tym amerykańskim bejsbolu, w który tak chętnie gracie w tym waszym pieprzonym Meksyku. Pomyślałam, że powinnaś wsiąść w autobus albo w taksówkę, jeśli masz pieniądze, albo w cokolwiek i przyjechać tu, do Jerezu, bo właśnie jutro organizują małe przyjęcie na moją cześć – a muszę sprawiedliwie przyznać – choć sprawiedliwość nie kojarzy mi się dobrze – że imprezy bez ciebie wydają mi się dziwne.

Sama widzisz, dupeńko. Więzienne przyzwyczajenia to druga natura.

To było prawdziwe święto. Przyjęcie w prawdziwym, typowym dla Jerezu dworze, gdzie wysypana żwirem droga od bramy do zabudowań w głębi trwa całą wieczność, przed bramą stoją drogie samochody, ściany domu są pobielone wapnem i pomalowane na kolor ochry, z kratami w oknach, które Teresie przypominały stare meksykańskie hacjendy – Teresa wreszcie zrozumiała, że na tym polegało to cholerne podobieństwo. Dom był z tych, jakie pokazuje się na zdjęciach w kolorowych pismach: wiejskie meble, które wyszlachetniła starość, pociemniałe obrazy na ścianach, posadzki z czerwonych płytek i belki pod sufitem. Było tu około setki gości, którzy rozmawiali, popijając w dwóch dużych salonach i na tarasie zacienionym winoroślą, z zadaszonym barem, ogromnym piecem i rusztem na drewno. Obok był basen. Słońce zbliżało się ku zachodowi, a beżowe, mączaste światło nadawało prawie materialną konsystencję gorącemu powietrzu, łagodnie falującemu wśród zieleni.

– Podoba mi się twój dom – powiedziała Teresa.

– Żeby jeszcze był mój!

– Przecież należy do twojej rodziny.

– Sporo mnie dzieli od mojej rodziny.

Siedziały pod liśćmi wina na tarasie, na drewnianych fotelach z lnianymi poduchami, każda z kieliszkiem w dłoni, i obserwowały kręcących się wokół gości. Wszystko tutaj pasuje do miejsca i do samochodów przy bramie, stwierdziła Teresa. Na początku źle się tu czuła w lewisach, w butach na obcasie i w zwykłej bluzce, zwłaszcza kiedy jacyś ludzie zaczęli się jej jakoś dziwnie przyglądać; ale Pati O’Farrell – we wrzosowej bawełnianej sukni, w płaskich sandałach z tłoczonej skóry, z króciutkimi jak zwykle jasnymi włosami – uspokoila ją. Tutaj każdy ubiera się, jak chce, powiedziała. Bardzo dobrze wyglądasz. Poza tym z tymi gładko zaczesanymi włosami z przedziałką pośrodku wyglądasz bardzo ładnie. Rasowo. Nigdy się tak nie czesałaś w więzieniu.

– W więzieniu nie miałam ochoty na imprezy.

– Jednak parę imprez tam było.

Roześmiały się na to wspomnienie.

Tutaj była nawet tequila, stwierdziła Teresa, i alkohole wszelkiego rodzaju, i kelnerki w fartuszkach, chodzące między gośćmi z tacami pełnymi kanapek. Wszystko super. Dwaj gitarzyści flamenco grali pośrodku jednej z grupek gości. Muzyka, to melancholijna, to znów wesoła w porywach, znakomicie pasowała do miejsca i pejzażu. Chwilami gitarzyści dodawali sobie animuszu, wybijając rytm dłońmi, kilka młodych kobiet zaczęło dla zabawy tańczyć *sevillanas* i flamenco, półzartem rozmawiając z muzykami, a Teresa zazdrościła im swobody, z jaką się przechadzały, wzajemnie pozdrawiały, wymieniały poglądy, paliły z jakąś wytwornością, podobnie jak robiła to Pati – ręką na podołku podtrzymująca dłońią łokieć i wyprostowane ramię, dymiący papieros między palcem wskazującym i środkowym. Może nie jest to śmietanka, myślała, ale obserwowanie tego towarzystwa było fascynujące, to byli zupełnie inni ludzie niż ci, których poznała w otoczeniu Blondyna Dávili w Culiacán, i o kilometry odlegli od całej jej przeszłości i od niej, Teresy Mendozy, tej, jaką była i jaką kiedykolwiek mogła być. Nawet Pati nie wydawała się jej realnym łącznikiem między tymi całkowicie różnymi światami. I Teresa patrzyła na nich tak, jak się patrzy z ulicy na barwną wystawę sklepową, starając się dostrzec każdy szczegół dotyczący butów tych kobiet, ich makijażu, fryzur, biżuterii, zapachu ich perfum, sposobu, w jaki trzymały kieliszki czy zapalały papierosa, jak ze śmiechem odrzucały do tyłu głowę, opierając dłoń na ręce mężczyzny, z którym rozmawiały. Tak to się robi, rozmyślała, obym mogła się tego nauczyć. To tak trzeba się zachowywać, tak rozmawiać, śmiać się i milknąć; tak właśnie, jak to sobie wyobrażała, czytając powieści albo obserwując grę aktorów w filmach i w telewizji. Dobrze jest oglądać to wszystko, będąc kimś mało ważnym, na kogo nikt nie zwraca uwagi. Zdała sobie sprawę, że większość gości płci męskiej jest po czterdziestce, ubrani są dość swobodnie, bez krawata, w rozpiętych pod szyję koszulach, mają ciemne marynarki, dobre buty i drogie zegarki i są pięknie opaleni – raczej nie przy pracy w polu. Kobiety można było tu podzielić na dwie grupy: znakomicie wyglądające laski o długich nogach, niektóre w dość wyzywającym stroju i z ekstrawagancką biżuterią, i kobiety lepiej ubrane, mniej wymalowane i w skromniejszej biżuterii, dla których

chirurgia plastyczna i pieniądze – jedno wynikało z drugiego – wydawały się czymś naturalnym. Siostry Pati, przedstawione jej zaraz na początku, należały do tej drugiej grupy – zoperowane nosy, naciągnięta skóra, jasne włosy z pasemkami, w mowie wyraźny akcent andaluzyjski świadczący o dobrym pochodzeniu, wypiełgnowane ręce, które nigdy nie zmyły nawet talerza, suknie znanych firm. Jedna około pięćdziesiątki, druga po czterdziestce. Miały podobny jak u Pati kształt czoła oraz owal twarzy i pewien grymas ust, który pojawiał się podczas mówienia i śmiechu. Obie z tą samą miną, unosząc brwi w kształcie odwróconej litery V, zmierzyły Teresę spojrzeniem z góry na dół, takim, które w jednej sekundzie aprobuje lub odrzuca, po czym powróciły do swoich obowiązków towarzyskich i do swoich gości. Dwie świnię, skomentowała Pati, kiedy tylko odwróciły się plecami, dokładnie w chwili gdy Teresa myślała: biorą mnie za kretynekę, bo wyglądam jak dziewczyna przemytnika, może powinnam była inaczej się ubrać, włożyć srebrne bransoletki i spódnicę, zamiast lewisów i wysokich obcasów, i tej starej bluzki, na którą patrzę, jakby to była szmata. Starsza, powiedziała Pati, jest żoną durnego lenia, tego łysego tłściocha, tego, który stoi tam pośród znajomych i zanosi się śmiechem, a druga nie robi nic, tylko robi w konia mojego ojca. Właściwie to obie robią go w konia. – A twój ojciec jest tutaj?

– Mój Boże, jasne, że go nie ma. – Pati elegancko zmarszczyła nos, podnosząc szklankę whisky z lodem, bez wody. – Ten stary kretynek okopał się w swoim mieszkaniu w Jerez... Wieś wywołuje u niego alergię – zaśmiała się złośliwie. – Pyłki roślin i te rzeczy.

– Dlaczego mnie zaprosiłaś?

Nie patrząc na nią, Pati podniosła szklankę do ust.

– Myślałam – powiedziała z wilgotnymi wargami – że będziesz miała ochotę napić się ze mną.

– Napić można się w barze. To nie jest towarzystwo dla mnie.

Pati odstawiła szklankę na stół i zapaliła papierosa. Poprzedni jeszcze tlił się w popielniczce.

– Ani dla mnie. A przynajmniej nie całkiem. – Rozejrzała się wokół z pogardą. – Moje siostry są kompletnymi idiotkami: organizują imprezę, żebym wróciła do towarzystwa. Zamiast ukrywać, pokazują

mnie, rozumiesz? W ten sposób demonstrują, że nie wstydzą się zbląkanej owieczki... Dziś w nocy pójdą spać z zimną cipą i ze spokojnym sumieniem. Jak zawsze.

– Chyba jesteś wobec nich niesprawiedliwa. Może naprawdę się cieszą.

– Niesprawiedliwa? Tutaj? – Przygryzła dolną wargę w nieprzyjemnym uśmiechu. – Uwierzysz, że nikt jeszcze nie zapytał, jak mi było w pierdlu? To temat tabu. Tylko: cześć, kochanie, buzi, buzi. Wspaniale wyglądasz. Jakbym wróciła z wakacji na Karaibach.

Głos ma łagodniejszy niż w El Puerto, pomyślała Teresa. Jest rozmowniejsza i bardziej dowcipna. Mówi to samo i w ten sam sposób, ale jest w jej zachowaniu coś innego, jakby czuła się w obowiązku służyć mi wyjaśnieniami, które w poprzednim etapie naszego życia nie były potrzebne. Obserwowała jej zachowanie od pierwszej chwili, kiedy tylko Pati zostawiła swoich znajomych i podeszła, żeby się z nią przywitać, a potem kilkakrotnie zostawiła ją samą i rozmawiała z gośćmi. Nie poznawała jej, nie wierzyła, że naprawdę widzi na jej twarzy te uśmiechy, miny, jakie robiła, rozmawiając z ludźmi, którzy dla niej byli zupełnie obcy, że do niej należy ten gest, z jakim przyjmuje papierosa, pochyla głowę w oczekiwaniu na podanie ognia, i czasem rzuca spojrzenie na Teresę, która czuła się tu nie na miejscu, nie podchodziła do nikogo, bo nie wiedziała, co powiedzieć, i nikt nie odzywał się do niej. Kiedy wreszcie usiadły same na fotelach pod winoroślą, zaczęła ją powoli rozpoznawać. To prawda, że teraz wyjaśniała zbyt wiele, tłumaczyła wszystko, jakby nie była pewna, czy przyjaciółka ją rozumie, albo – nagle przyszło jej do głowy – czy to aprobejue. Zastanawiała się nad taką możliwością. Może jest tak, doszła do wniosku po namyśle, że legendy, które powstają za kratkami, mają się nijak do tego samego człowieka, kiedy jest się już na wolności i trzeba go poznawać na nowo. Idąc tym tropem, pomyślała, może się okazać, że Porucznik O'Farrell jest tutaj nikiem albo kimś, kim być nie chce. Ale może być i tak, że ona boi się przyjąć do wiadomości, że ja to widzę. Co do mnie, wygoda polega na tym, że nie wiedziałam, kim jestem, kiedy byłam za kratkami, dlatego nie martwię się, kim jestem na wolności. Niczego nie muszę nikomu tłumaczyć. Do niczego nie muszę przekonywać. Niczego udowadniać.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, co ja tu robię – odezwała się.

Pati wzruszyła ramionami. Słońce opadało nad horyzontem, barwiąc powietrze czerwonym światłem. Wydawało się, że jej krótkie, jasne włosy rudzieją w tym blasku.

– Wszystko we właściwym momencie. – Przymknęła powieki, patrząc w dal. – Na razie baw się dobrze, potem mi powiesz, co o tym myślisz.

Może to jest całkiem proste, pomyślała Teresa. Może chodzi o władzę. Oto porucznik bez oddziału wykonujący rozkaz, emerytowany generał, którego sławy nikt nie pamięta. A może zaprosiła mnie tu, bo jestem jej potrzebna, stwierdziła. Bo ją szanuję i znam ostatni rok jej życia, a cała reszta ludzi tutaj – nie. Dla nich jest tylko damulą z dobrego domu, która się znarowiła; czarna owca, którą się toleruje i wspiera, bo jest z tej samej kasty, a są takie rodziny, które nigdy publicznie nie wypierają się swoich, nawet jeśli naprawdę ich nienawidzą lub gardzą nimi. Może dlatego Pati rozpaczliwie szuka towarzystwa, świadka. Kogoś, kto będzie wiedział i patrzył, nawet jeśli będzie milczał. Bo życie jest cholernie proste: spotykasz albo takich ludzi, z którymi musisz rozmawiać, pijąc jeden kieliszek, albo takich, z którymi możesz pić godzinami w milczeniu, jak to robił Blondyn Dávila w tamtej kantine w Culiacán. Ludzi, którzy wiedzą albo czują, że słowa są zbędne, i są z tobą, choć nie są tu tylko dla ciebie. Po prostu są. I może to jest właśnie nasz przypadek, choć sama nie wiem, do czego nas to prowadzi. Do którego z sensów zawartych w słowie „samotność”.

– Twoje zdrowie, Poruczniku!

– Twoje, Meksykanko!

Stuknęły się kieliszkami. Teresa popatrzyła dookoła, rozkoszując się zapachem tequili. W jednej z grupki gości rozmawiających przy basenie dostrzegła młodego mężczyznę, tak wysokiego, że górował nad całym towarzystwem. Szczupły, o bardzo ciemnych włosach zaczesanych do tyłu brylantyną, długich, falujących na karku. Był w ciemnym garniturze, w białej koszuli bez krawata, w czarnych lśniących butach. Jego mocno zarysowana szczęka i wydatny, zakrzywiony nos sprawiały, że z profilu przypominał młodego orła. Facet z klasą, pomyślała. Jak ci Hiszpanie z dawnych czasów, których próbowała sobie kiedyś wyobrazić, arystokraci, hidalgowie i tak dalej – musiał być przecież jakiś

powód, że ostatnia aztecka księżniczka zrobiła z siebie idiotkę – którzy zapewne nigdy nie istnieli.

– Są tu i ludzie sympatyczni – powiedziała.

Pati odwróciła się i pobiegła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Coś takiego – mruknęła z powątpiewaniem. – A mnie się wydają kupą śmiecia.

– To twoi przyjaciele.

– Ja nie mam przyjaciół, koleżanko.

Jej głos stał się odrobinę twardszy, jak dawniej. Teraz bardziej przypominała osobę, którą Teresa pamiętała z El Puerto. Porucznik O'Farrell.

– O, cholera – zachnęła się Teresa, pół kpiąco, pół poważnie. – A ja myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Pati spojrzała na nią i pociągnęła kolejny łyk. Jej oczy otoczone dziesiątkami drobniutkich zmarszczek zdawały się cicho śmiać. Ale skończyła drinka, odstawiła szklankę na stół i dalej nic nie mówiąc, podniosła papierosa do ust.

– Tak czy inaczej – dodała Teresa po chwili – muzyka jest ładna, a dom naprawdę super. Warto było przyjechać.

Przyglądała się z roztargnieniem mężczyźnie o orlej twarzy, a Pati znów podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że ta odrobina cię nie zadowoli. Bo to śmiesznie mało w porównaniu z tym, co można mieć.

W ciemności grały setki świerszczy. Wschodził cudowny księżyc, który oświetlał winną latorośl, srebrząc każdy liść. Przed nimi bielą kręta ścieżka wśród pól. W głębi za nimi błyszczały światła dworu. Od dobrej chwili w ogromnym domu panowała cisza i spokój. Ostatni goście powiedzieli dobranoc, siostry i szwagier Pati, po uprzejmym pożegnaniu się z nimi na tarasie, byli już w drodze do Jerezu. I goście, i domownicy czuli się nieswojo i wszyscy mieli ochotę skończyć tę imprezę jak najszybciej, choć nikt – Porucznik miała tu rację do końca – ani słówkiem nie wspomniał o tych trzech latach spędzonych przez Pati w El Puerto de Santa María. Teresa, którą Pati zatrzymała na noc, zastanawiała się, jakie, u diabła, myśli kłębią się pod osłoną nocy w głowie jej dawnej towarzyszk z celi.

Obie wypily dużo, ale jeszcze nie miały dość. Postanowiły się przejść. Ale zanim wyszły, w chwili kiedy służące bezszelestnie już sprzątały ze stołów, Pati zniknęła na chwilę i wróciła – a to niespodzianka – z gramem białego proszku, który, szybko podzielony na działki na szklanym blacie stołu, całkowicie przywrócił im jasność myśli. Był boski! Teresa potrafiła to docenić, niuch, niuch, a na dodatek była to pierwsza kokaina, od kiedy wyszła na wolność. Do, licha, kochaniutka, wzdychała. Ale wypas! Potem podniecone i rześkie, jakby dzień się właśnie zaczynał, ruszyły bez pośpiechu w kierunku ciemnych pól. Nie szły nigdzie konkretnie. Chcę, żebyś przytomnie słuchała tego, co mam ci do powiedzenia, powiedziała ta Pati, którą Teresa dobrze знаła. Jestem superprzytomna, odparła Teresa. Była gotowa słuchać. Po drodze opróżniła kolejny kieliszek, ale nie miała go już w ręce, upadł jej gdzieś. To wszystko bardzo przypomina taki stan, myślała, kiedy człowiekowi jest dobrze. Kiedy nagle czuje się dobrze w swojej skórze. Bez wspomnień i bez refleksji. Tylko bezkresna noc, która wydaje się wieczna, i znajomy głos wypowiadający słowa cichym tonem zarezerwowanym dla zwierzeń, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał, zaczajony w tym dziwnym świetle, srebrzącym rozległe winnice. Słyszała też granie świerszczy, odgłos kroków swej towarzyszki i szelest trawy na ścieżce pod bosymi stopami – buty na obcasie zostały gdzieś w rogu tarasu.

– Oto cała historia – zakończyła Pati.

Nie mam najmniejszego zamiaru myśleć teraz o twojej historii, pomyślała Teresa. Nie będę roztrząsała ani analizowała, ani zastanawiała się nad czymkolwiek tej nocy, dopóki trwa ciemność i świecą gwiazdy tam w górze, i działa tequila i biała dama, i jest mi tak wspaniale, pierwszy raz od bardzo dawna. Nie rozumiem, dlaczego czekałaś do dzisiaj, żeby zwierzyć mi się z tego wszystkiego, nie wiem, o co ci chodzi. Słuchałam tego, co mówisz, tak jak się słucha bajek. Wolę, żeby tak zostało, bo gdybym inaczej potraktowała twoje słowa, musiałabym przyjąć, że istnieje takie pojęcie jak jutro i że istnieje przyszłość; a dzisiaj w nocy, kiedy idę sobie tą ścieżką pośród pól, które należą do ciebie, czy też do twojej rodziny, czy wszystko jedno do kogo, ale na pewno są warte fortunę, nie proszę życia o nic więcej. Umówmy się, że

opowiedziałaś mi piękną bajkę, czy raczej dokończyłaś opowiadać to, o czym przebąkiwałaś, kiedy jeszcze siedziałyśmy w jednej celi. Potem pójdę spać, a jutro, kiedy zrobi się jasno, będzie nowy dzień.

Jednak musiała przyznać, była to ładna opowieść. Narzeczony, którego zastrzelono, i pół tony kokainy, której nikt nigdy nie odnalazł. Teraz, po przyjęciu, Teresa mogła sobie wyobrazić tego narzeczonego; był podobny do facetów, których tu widziała. W ciemnej marynarce i koszuli bez krawata, szalenie elegancki, naprawdę z klasą, w stylu młodzieńca z drugiego albo trzeciego pokolenia mieszkańców dzielnicy Chapultepec, ale jeszcze bogatszy, rozpieszczony od dziecka, jak te dzieciaki w Culiacán, które przyjeżdżały do szkoły własnymi suzuki cztery na cztery, pod ochroną goryli. Narzeczony amoralny i nikczemny, o pięknym nosie przyzwyczajonym do niuchania. Pieprzył się z każdą i pozwalał, żeby ona pieprzyła się z każdym i z każdą, który igrał z ogniem, aż poparzył sobie palce i trafił w takie towarzystwo, gdzie za błędy, świństwa i manieri rozpieszczonego kogucika płaci się głową. Zabili jego i dwóch współników, powiedziała Pati, a Teresa wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, o czym, do kurwy nędzy, mówi kobieta idąca obok. Zabili go, bo kłamał i nie dotrzymywał słowa; i miał wyjątkowego pecha, bo następnego dnia zostałby aresztowany przez ludzi z brygad antynarkotykowych, którzy dokładnie śledzili drogę tej drugiej pół tony kokainy i przeszukali wszystko, przekłuli nawet gąbkę w łazience. Ale wykończyła go jakaś rosyjska mafia, która zastosowała środki bardziej drastyczne, bo jakiemuś Borysowi nie spodobały się wyjaśnienia w sprawie nad wyraz podejrzanego zaginięcia połowy towaru, który przyplłynął w kontenerze do portu w Maladze. Bo komuniści przerobieni na gangsterów zazwyczaj koszą równo – po wielu bezskutecznych zabiegach skończyła im się cierpliwość: jeden ze współników jej narzeczonego stracił życie, oglądając telewizję we własnym domu, drugi na autostradzie z Kadyksu do Sewilli, narzeczony Pati został zastrzelony, gdy oboje wychodzili z chińskiej restauracji w Fuengirolí, bang, bang, bang, i właśnie otwierali drzwiczki od samochodu, trzy kule w głowie narzeczonego, a dwie przypadkiem trafiły w nią, choć nikt jej nie szukał, bo wszyscy przypuszczali, że jest poza całą sprawą. Ale takiego, bo akurat była w samym środku. Po pierwsze dlatego, że znalazła się na

linii strzału, wsiadając do samochodu, a po drugie dlatego, że jej narzeczony był gadułą, jednym z tych, którzy wypapłają wszystko, zanim się spuszcza, albo kiedy już to zrobią, albo kiedy mają nos ubrudzony proszkiem. Między łóżkiem a kolejnymi działkami opowiedział Pati, że ta połowa transportu koki, którą wszyscy uważali za zaginioną i już upłynioną na czarnym rynku, nadal leży nietknięta, ślicznie zapakowana, w pewnej grocie niedaleko przylądka Trafalgar, czekając, aż ktoś ją odkryje i powie: zrobię z ciebie gwiazdę. I kiedy zniknął narzeczony i cała reszta, tylko ona jedna wiedziała, w którym miejscu leży. Kiedy wyszła ze szpitala, faceci z brygad antynarkotykowych już na nią czekali, a gdy zapytali ją o słynną połówkę tony, Pati wysoko uniosła brwi. *What?* Naprawdę nie wiem, o czym do cholery mówicie, zdziwiła się, patrząc wszystkim po kolei głęboko w oczy. I po dłuższej pogawędce wreszcie jej uwierzyli.

– I co o tym myślisz, Meksykanko?

– Nie myślę.

Zatrzymała się na ścieżce. Pati patrzyła na nią uważnie. Światło księżyca obrysowywało jej ramiona i kontur głowy, pokrywając srebrem, niby siwizną, jej krótkie włosy.

– Postaraj się.

– Nie chcę. Nie dzisiaj.

Błysk. Zapałka i żar papierosa oświetliły brodę i oczy Porucznik O'Farrell. To znowu ona, pomyślała Teresa. Ta sama co zawsze.

– Czy naprawdę nie wiesz, po co opowiedziałam ci to wszystko?

– Wiem, dlaczego to zrobiłaś. Chcesz odzyskać towar. I chcesz, żebym ci w tym pomogła.

Żar dwukrotnie rozbłysnął w milczeniu. Znowu ruszyły przed siebie.

– Ty już robiłaś takie rzeczy – powiedziała Pati całkiem zwyczajnie.

– Nieprawdopodobne rzeczy... Znasz różne miejsca. Wiesz, jak tam dotrzeć i wrócić.

– A ty?

– Ja mam kontakty. Wiem, co trzeba będzie zrobić potem.

Teresa ciągle nie chciała o tym myśleć. To ważna rzecz, powiedziała do siebie. Bała się, że jeśli zacznie sobie za dużo wyobrazać, znów zobaczy przed sobą ciemne morze i pulsujące światło latarni morskiej w oddali.

A może bała się znów zobaczyć czarną skałę, która zabiła Santiago, a ją kosztowała półtora roku życia i wolności. Dlatego chciała, żeby najpierw nadszedł szary świt, by mogła przemyśleć całą sprawę o tej porze, kiedy będzie się bała. Teraz tej nocy wszystko wydawało się zwodniczo łatwe.

– Nie byłoby bezpiecznie tam jechać – nieoczekiwanie usłyszała własne słowa. – A poza tym jeśli się dowiedzą właściciele...

– Nie ma już właścicieli. Minęło dużo czasu. Nikt nie pamięta.

– O tych rzeczach zawsze ktoś pamięta.

– No cóż... – Pati zrobiła parę kroków w milczeniu. – Wtedy będziemy negocjować z kim trzeba.

Robiłaś nieprawdopodobne rzeczy, powiedziała przedtem. Pierwszy raz usłyszała od Pati takie słowa. Były to wyrazy szacunku i pochwały dla niej. Cicha i lojalna, tak, ale nigdy nie mówiła czegoś podobnego. Nieprawdopodobne rzeczy. Mówiła jak równy z równym. Ich przyjaźń opierała się na sprawach zrozumiałych same przez się, nigdy nie było miejsca na takie komentarze. Nie bierze mnie pod włos, pomyślała. Wydaje mi się, że jest szczerą. Mogłaby mną manipulować, ale nie robi tego. Zna mnie i ja znam ją. Obie wiemy, że ta druga wie.

– A co z tego będę miała?

– Połowę. Chyba że wolisz zasuwać jak dziki osioł w kiosku na plaży.

To było niczym bolesny cios; wzdrygnęła się na wspomnienie upału, przepoconego podkoszulka, spojrzeń Tony'ego, własnego zwierzęcego zmęczenia, głosów plażowiczów, zapachu ciał wypačkanych olejkami i kremami. To wszystko było cztery godziny drogi autobusem od tego spaceru pod gwiazdami. Jej rozmyślania przerwał hałas w pobliskich gałęziach. Usłyszała obok trzepot skrzydeł. To sowa, powiedziała Pati. Tutaj jest mnóstwo sów. Polują w nocy.

– A może tej koki już tam nie ma – powiedziała Teresa.

A jednak, pomyślała w końcu. A jednak.

Od samego rana padał gęsty deszcz, strugi wody rozpryskiwały się na wysokich falach, które podczas mocniejszych podmuchów zasłaniały chwilami szary kształt przylądka Trafalgar. Tkwiły na plaży schowane w landroverze – na przyczepie przywiozły ponton z silnikiem zaburtowym; słuchały muzyki, paląc papierosy, i patrzyły, jak woda spływa po przedniej szybie i jak zmieniają się godziny na zegarze na desce rozdzielczej. Patricia O'Farrell na miejscu kierowcy, Teresa obok, z kanapkami, termosem kawy, butelkami wody, paczkami papierosów, zeszytami pełnymi szkiców i mapą morską tych okolic, najbardziej szczegółową, jaką udało się jej znaleźć. Teraz, choć niebo było brudne – koniec wiosny opierał się nadejściu lata i niskie chmury sunęły na wschód – falująca, ołowiana powierzchnia morza była spokojniejsza, a białe strzępy piany kłębiły się tylko wzdłuż wybrzeża.

– Możemy już płynąć – powiedziała Teresa.

Wysiadły z samochodu i rozprostowały zdrętwiałe nogi, chodząc po mokrym piasku, potem otworzyły tył landrovera i wyjęły sprzęt do nurkowania. Nadal padał drobny deszcz i Teresa, rozbierając się, poczuła gęsią skórę. Zimno jak sto skurwysynów, pomyślała, wkładając piankę. Wciągnęła na kostium kąpielowy obcisłe spodnie z neoprenu, a potem zapięła suwak kurtki, ale nie nasunęła kaptura, tylko gumką związała włosy w koński ogon. Dwie dziewczyny przyjechały nurkować w taką pogodę, powiedziała. Daj spokój. Mam nadzieję, że jeśli jakiś kretyn gdzieś tu rozmaka, przełknie taką bzdurę.

– Gotowa?

Widziała, że jej towarzyszka nie odrywa wzroku od szarej przestrzeni falującej przed ich oczami. Pati nie była przyzwyczajona do takich wypraw, ale podchodziła do sprawy raczej spokojnie: nie paplała za dużo, nie okazywała zdenerwowania. Wyglądała tylko na przejętą, choć Teresa nie wiedziała, czy samą sprawą – każdy na jej miejscu by się niepokoił – czy też perspektywą wejścia do morza, którego wygląd nie był bynajmniej zachęcający. Można to było stwierdzić po liczbie papierosów wypalonych podczas oczekiwania, jeden po drugim – teraz

też trzymała papierosa w ustach, wilgotnego od drobnego deszczu, i mrużyła oczy od dymu, wciągając piankowe spodnie – i po niuchu tuż przed wyjściem z samochodu: precyzyjny rytuał, zrolowany nowy banknot i dwie działki na plastikowej okładce dokumentów samochodu. Ale Teresa tym razem nie chciała brać razem z nią. Teraz potrzebuje innego rodzaju jasności umysłu, pomyślała, zakładając resztę ekwipunku, przeglądając w myśli mapę morską, którą od ciągłego oglądania miała wyrytą w pamięci: linia wybrzeża, zakrzywienie w kierunku Barbate, stromy skalisty brzeg i na końcu czysta plaża. I tam, nieoznaczone na mapie, ale dokładnie wykreślone przez Pati, trzy groty – dwie duże i jedna mniejsza między nimi, niedostępna od strony lądu i prawie niewidoczna od morza – Groty Rekinów.

– Chodźmy – powiedziała. – Zostały cztery godziny do zmroku.

Do pontonu włożyły plecaki i harpuny, żeby zachować pozory, a następnie odpięły przyczepę i przyciągnęły ją do brzegu. Był to szary gumowy zodiac długości dziewięciu stóp. Zbiornik paliwa pełen, a silnik – mercury o mocy piętnastu koni – gotowy, sprawdzony przez Teresę poprzedniego dnia, jak w dawnych czasach. Przymocowały go do rufy, starannie sprawdzając zaczepy. Wszystko w porządku, śruba uniesiona do góry. Potem, trzymając za uchwyty każda ze swojej strony, zrzuciły ponton do morza.

Zanurzona po pas w zimnej wodzie Teresa przepychała gumową łódkę za linię załamania fal. Starła się nie myśleć o przeszłości, ograniczyć wspomnienia do zdobytego doświadczenia, wydobyć z nich tylko niezbędne umiejętności techniczne. Na całą resztę – obrazy, uczucia, nieobecność tutaj – nie mogła sobie teraz pozwolić. Nadmiar zbytku, może śmiertelny.

Pati pomogła jej wejść na pokład, kiedy wdrapywała się tam po śliskiej gumowej burcie. Morze spychało ponton na plażę. Szybkim, energicznym ruchem Teresa pociągnęła linkę rozrusznika. Zapalił od pierwszego razu. Warkot silnika napawał ją radością. Znów tu jestem, pomyślała. Na dobre i na złe. Powiedziała Pati, żeby przeszła na dziób, aby zrównoważyć obciążenie, sama usiadła przy silniku i wyprowadziła ponton z wody przybrzeżnej, a potem skierowała go ku czarnym skałom na końcu płycizny jaśniejącej w szarym świetle. Zodiac dobrze się

sprawował. Kierowała tak, jak ją uczył Santiago, wspinała się na grzywy fal dziobem w kierunku otwartego morza, a potem ześlizgiwała burtą po ich spadku. Odczuwała radość. Do licha, nawet teraz morze jest piękne, choć wredne i pokręcone. Z rozkoszą odetchnęła mokrym powietrzem i przywołała w pamięci widok spienionych fal, purpurowe zachody słońca, obraz nieba pełnego gwiazd i świateł na horyzoncie, nocne pościgi, nieruchomy profil Santiago oświetlony przez reflektor helikoptera, pulsujące niebieskie światło motorówki straży; przypomniała też sobie bolesne uderzenia dna o powierzchnię wody. Nie! To wszystko było zbyt smutne i zbyt piękne zarazem. Teraz padał rzadki deszcz i ślady kropli znaczyły się wyraźnie na powierzchni morza. Spojrzała na Pati. Niebieska pianka opinała jej ciało, krótkie jasne włosy pod kapturem nadawały męski wygląd. Wpatrywała się w morze i czarne skały, niezupełnie maskując swój lęk. Gdybyś wiedziała, moja droga, pomyślała Teresa. Gdybyś ty widziała takie rzeczy co ja tutaj, w tych stronach. Ale blondyna trzymała się. Może przed chwilą miała wątpliwości, miałby je każdy na jej miejscu – wydobycie towaru z kryjówki to najłatwiejsza część całej sprawy – kiedy wyobraziła sobie, co im grozi, jeśli coś pójdzie źle. Sto razy rozpatrywały przypuszczalne wersje wydarzeń, łącznie z możliwością, że tego pół tony już tam nie ma. Ale Porucznik O'Farrell miewała obsesje i była przebiegła. Może nawet – i ten jej rys mógł niepokoić – ma zbyt wiele obsesji i jest zbyt przebiegła. Bo to, zastanawiała się Teresa, nie zawsze daje się pogodzić z zimną krwią, niezbędną w tych interesach. Na plaży, kiedy siedziały w landroverze, doszła do ważnej konkluzji: Pati jest jej przyjaciółką, ale to za mało. W całej sprawie, jakkolwiek by się ona miała zakończyć, nielichy kawałek drogi Teresa będzie musiała pokonać sama. I nikt nie ułatwi jej kolejnych kroków na tej drodze.

Ale powoli, sama nie wiedząc jak, Teresa zaczęła zdawać sobie sprawę, że już myśli o sobie inaczej; dotychczas odczuwana zależność od wszystkich i wszystkiego, czy raczej swoje przekonanie, że ta zależność jest niezbędna i nieuchronna – łatwo jej było tak myśleć, jeśli sądziła, że nie ma innego wariantu – przekształcała się w dającą pociechę pewność dojrzałego sieroctwa. Proces przemiany zaczął się wcześniej, jeszcze

w więzieniu, a przybrał na sile w ostatnich miesiącach i zapewne miały na to wpływ przeczytane książki, bezsenne godziny oczekiwania na świt, przemyślenia, wynikłe ze spokoju, w jakim tam żyła. Potem wyszła na wolność – wróciła do normalnego życia, ale już inaczej patrzyła na świat i ludzi. Jednak nie była tego świadoma aż do owego wieczoru, gdy znowu spotkała Pati O’Farrell. Kiedy szły w mroku nocy wśród andaluzyjskich pól i słuchała Pati snującej fantazje na temat przyszłości, Teresie zaświtała myśl, że być może jej towarzyszka z celi wcale nie jest tą silniejszą z nich dwóch, podobnie jak nie byli silniejsi – przed wiekami i w innym życiu – ani Blondyn Dávila, ani Santiago Fisterra. Może jest tak, zastanawiała się, że ambicje, plany, marzenia, odwaga czy wiara, nawet wiara w Boga – ciarki przeszły jej po plecach – zamiast dodawać siły, pozbawiają jej. Bo nadzieja, a nawet zwykła chęć przeżycia sprawiają, że stajesz się bardziej podatna na zranienie, bardziej wrażliwa na ból czy niepowodzenie. Być może to jest właśnie jej przypadek. I być może Edmund Dantès mylił się, a jedynym wyjściem jest niczego nie oczekiwać i nie mieć żadnej nadziei.

Grota zasłonięta była przez skały, które oderwały się kiedyś od skarpy. Cztery dni wcześniej zrobiły rekonesans od strony lądu, by zorientować się, jak podpłynąć do grotty od strony morza, żeby ostre krawędzie skał nie poprzecinały gumowego pontonu. Stojąc dziesięć metrów wyżej, Teresa pochylona nad przepaścią obejrzała i wyrysowała każdy kamień, korzystając z tego, że dzień był pogodny, a przejrzysta i spokojna woda pozwalała obserwować dno i jego nierówności. A teraz tu przypląnęły, kołysane falą, i Teresa, delikatnie regulując obroty silnika i sterując, krótkimi zygzakowatymi ruchami starała się utrzymać ponton z dala od skał i szukała najbezpieczniejszego przejścia. W końcu widząc, że do grotty można się dostać jedynie przy całkiem spokojnym morzu, skierowała się ku większemu otworowi po lewej stronie. A tam, pod sklepieniem, w miejscu, gdzie ruch wody nie wpychał ich na postrzępioną skałę, kazała Pati rzucić składaną kotwicę, przywiązaną do dziesięciometrowej cumy i obie równocześnie skoczyły do wody, jedna z lewej burty, druga z prawej, i z kolejną cumą popłynęły do skał odsłanianych przez powracającą falę. Na plecach miały plecaki z hermetycznymi torbami, z nożami, sznurami i dwiema

wodoszczelnymi latarkami, bez trudu unosiły się na powierzchni dzięki piankowym kombinezonom do nurkowania. Kiedy dotarły do skał, Teresa przywiązała cumę do jednego z kamieni i powiedziała Pati, żeby uważała na kolce jeżowców, potem przy skalistym brzegu, chwilami w wodzie po pas, chwilami po pachy, przeszły z grotu większej do mniejszej. Przy wyższej fali musiały trzymać się skały, żeby nie stracić gruntu pod stopami, kaleczyły sobie dłonie o ostre krawędzie i czuły, jak neopren drze się na łokciach i kolanach. Teresa obejrzała z góry cały teren i doszła do wniosku, że muszą nurkować w piankach. Nie będzie nam zimno, powiedziała, a bez nich fale i skały przerobią nas na befsztyki.

– To tutaj. – Pati wskazała głową. – Tak, jak mówił Jimmy... U góry jest łuk, trzy wysokie skały i jedna mniejsza, widzisz? Trzeba trochę podpłynąć, a potem staniemy na dnie.

Jej głos odbijał się echem w grocie. Dochodził stamtąd ostry zapach gnijących alg i morskich kamieni, stale zalewanych i odkrywanych przy falowaniu wody. Światło zostało za ich plecami, pograżyły się w mroku. Woda w grocie była spokojna. Kiedy zaczęły płynąć, mogły jeszcze widzieć dno. Na samym niemal końcu napotkały trochę piasku, kamienie i wiechcie martwych alg. Dalej było ciemno.

– Cholera, muszę zapalić – mruknęła Pati.

Wyszły z wody i z nieprzemakalnego worka w plecaku wyjęły papierosy. Zapaliły, patrząc na siebie. Jasny łuk wejścia odbijał się na powierzchni i oświetlał je w szarym mroku. Całe były przemoknięte, z włosów ściekała im woda, ich zmęczone twarze zdawały się pytać w milczeniu: i co teraz?

– Mam nadzieję, że ciągle tam leży – mruknęła Pati.

Przez chwilę paliły bez słowa. Jeśli naprawdę pół tony kokainy leży o kilka kroków od nich, to kiedy pokonają tę odległość, nic już nie będzie takie jak przedtem. Obie o tym wiedziały.

– No tak, moja droga. Już czas.

– Czas? Na co?

Teresa uśmiechnęła się, obracając swoje myśli w żart.

– Bo ja wiem? Może żeby tam nie zaglądać.

Pati też się uśmiechnęła, nieobecna. Jej myśli wybiegły parę kroków

dalej.

– Nie gadaj głupstw.

Teresa spojrzała na plecak leżący przy jej stopach i pochyliła się, żeby do niego zajrzeć. Rozpuściła koński ogon, z końcówek włosów spływały krople wody. Wyjęła latarkę.

– Wiesz co... – odezwała się, sprawdzając, czy działa.

– Co takiego?

– Myślę, że są takie marzenia, które zabijają. – Świeciła wokół pościanach z czarnego kamienia z małymi stalaktytami w górze. – Bardziej niż ludzie, choroby i czas.

– I co?

– I nic. Tak sobie myślałam. Przed chwilą.

Pati ledwo spojrzała w jej kierunku. Nie zwróciła uwagi na jej słowa. Ona też wzięła latarkę do ręki i ruszyła w stronę skał w głębi, zajęta własnymi myślami.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Rzuciła to pytanie tak sobie, nie oczekując odpowiedzi. Teresa milczała. Przyjrzała się tylko swojej przyjaciółce uważnie, bo jej głos, nawet biorąc pod uwagę echo w grocie, brzmiał dziwnie. Mam nadzieję, że nie rzuci się na mnie od tyłu w jaskini skarbów, jak piraci w książkach, pomyślała rozbawiona, ale nie do końca. Choć myśl była absurdalna, to jednak – ku swemu zaskoczeniu – spojrzała, jakby chcąc się uspokoić, na rękojeść noża wynurzającą się z otwartego plecaka spośród sprzętu do nurkowania. Dosyć tego, skarciła się w myślach. Nie rób z siebie jeszcze większej idiotki. Zebrały sprzęt, założyły go na plecy i ostrożnie poszły dalej, latarkami oświetlając sobie drogę wśród skał i alg. Dno opadało łagodnie. Dwa snopy światła rozjaśniły mrok w następnym zakolu. Były tam znów kamienie i duże wiechcie martwych alg, które nagromadziły się pod kolejną dziurą w skale.

– To powinno być tutaj – powiedziała Pati.

Do licha! To zaskoczyło Teresę: Porucznik O'Farrell drżał głosem.

– Prawda jest taka – mówił Nino Juárez – że dały sobie radę.

Nic w wyglądzie byłego szefa brygad DOCS – specjalnych oddziałów do walki ze zorganizowaną przestępczością na Costa del Sol – nie zdradzało, że to policjant. Czy były policjant. Był drobny, niemal

kruchy, z jasną bródką, ubrany w szary garnitur, bez wątpienia bardzo drogi, z dobranym krawatem i chusteczką wystającą z kieszonki marynarki. Na jego lewej ręce, spod mankietu koszuli w różowo-białe paski z rzucającymi się w oczy spinkami, błyszczał Patek Philippe. Nino Juárez wyglądał, jakby zszedł ze stron magazynu poświęconego męskiej modzie, choć naprawdę właśnie wyszedł ze swojego biura przy madryckiej Gran Vía. SATURNINO G. JUÁREZ – głosił napis na wizytówce, którą schowałem do portfela. DYREKTOR DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. A w rogu znak firmowy sieci sklepów z modną odzieżą, firmy, która każdego roku obraca setkami milionów. Takie jest życie, pomyślałem. Po skandalu, który przed kilkoma laty, kiedy był znany jako Nino Juárez albo komisarz Juárez, złamał mu karierę, miałem przed sobą człowieka odmienionego, triumfującego, doskonałego. Jego wygląd wskazywał na to, że forsa wychodzi mu uszami, że ma teraz nowe wpływy i więcej władzy niż kiedykolwiek, a litera G z kropką pomiędzy imieniem i nazwiskiem dodawała mu powagi. Takich facetów nigdy nie spotykasz w kolejce w urzędzie zatrudnienia, za dużo wiedzą o ludziach, często więcej niż ludzie o sobie samych. Artykuły prasowe, akta w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wreszcie decyzja Komendy Głównej Policji, która odsuwała go od pełnionych funkcji, pięć miesięcy w więzieniu Alcalá-Meco, to były stare dzieje. Dobrze jest móc liczyć na przyjaciół, stwierdziłem. Starych kumpli, którzy odwdzięczą się za dawne przysługi. I dobrze jest mieć forszę albo dobre układy, żeby móc ich kupić. Nie ma lepszego ubezpieczenia przed bezrobociem niż spis trupów, które ludzie chowają w szafach. Zwłaszcza jeśli ty sam pomagałeś je tam ukryć.

– Od czego zaczniemy? – zapytał, zabierając się do plasterka suszonej szynki.

– Od początku.

– No to czeka nas długi deser.

Siedzieliśmy w dolnej piwnicy Casa Lucio i jedliśmy obiad – tortilla, polędwica wołowa, Viña Pedrosa rocznik 1996, ja płaciłem rachunek – w pewnym sensie kupiłem jego obecność tutaj. Zrobiłem to po swojemu, odwołując się do wypróbowanej taktyki. Kiedy po raz drugi

nie wyraził zgody na rozmowę o Teresie Mendozie, wiedząc, że wkrótce zabroni swojej sekretarce łączenia rozmów ze mną, przedstawiłem mu sprawę bez ogródek. Z panem lub bez pana, dalej będę się tym zajmował. Musi pan zdecydować, co pan woli: albo ujrzy światło dzienne cała pańska przeszłość, z detalami łącznie ze zdjęciem od pierwszej komunii, albo umieszczę pana w jakimś pełnym cienia, dyskretnym miejscu na uboczu całej historii. I co jeszcze, zapytał. Ani grosza, odpowiedziałem. Ale z przyjemnością zaproszę pana na obiad czy też na tyle obiadów, ile będzie trzeba. Pan zyskuje przyjaciela albo prawie przyjaciela, a ja mam pańską wdzięczność. Nigdy nic nie wiadomo. Jak pan to widzi? Miał dość rozsądku, żeby mnie dobrze zrozumieć, ustaliliśmy zatem warunki – nie powie niczego kompromitującego, poda niewiele faktów i szczegółów, które wiązałyby się z nim samym. No i na tym stanęło. Łatwo jest dogadać się z draniem. Trudniej z ludźmi uczciwymi, ale tych jest mniej.

– Te pół tony kokainy to prawda – przyznał Juárez. – Proszek wysokiej jakości, bardzo skoncentrowany. Przemycony przez rosyjską mafię, która w tamtych czasach zaczynała urządzać się na Costa del Sol i nawiązywała pierwsze kontakty w Ameryce Południowej. To była pierwsza duża operacja i jej fiasko na jakiś czas zablokowało kontakty Rosjan z Kolumbią. Wszyscy uznali, że to pół tony zaginęło, a Latynosi naśmiewali się tylko z Ruskich, że wykończyli narzeczonego Pati i obu współników, zanim ci cokolwiek powiedzieli... Nie robię więcej interesów z amatorami, miał ponoć powiedzieć Pablo Escobar, kiedy dowiedział się o przebiegu całej sprawy. A potem nagle Meksykanka z tą drugą wyciągnęły te zaginione pół tony z rękawa.

– W jaki sposób dotarły do tej kokainy?

– Tego nie wiem. I tak naprawdę nie wie nikt. Ale faktem jest, że pojawiła się na rosyjskim rynku. Czy raczej zaczęła się tam pojawiać. A zawiózł ją tam Oleg Jaszykow.

Miałem już to nazwisko w moich notatkach: Oleg Jaszykow, pochodzący z Sołncewa, mafijnej dzielnicy Moskwy. Służba wojskowa w armii radzieckiej w Afganistanie. Potem dyskoteki, hotele i restauracje na Costa del Sol. Nino Juárez uzupełnił portret. Jaszykow wylądował na wybrzeżu w okolicach Malagi pod koniec lat osiemdziesiątych – miał

około trzydziestki, przedsiębiorczy, poliglota; wysiadł z samolotu Aerofłotu z trzydziestoma milionami dolarów do wydania. Zaczął od kupienia w Marbelli dyskoteki, którą nazwał Jadranka i która szybko stała się modna, a dwa lata później kierował już solidną infrastrukturą do prania pieniędzy: hotele i obrót nieruchomościami – terenami na wybrzeżu i apartamentami. Zajął się też inną branżą, zaczynając od jednej dyskoteki – zainwestował w nocne życie Marbelli, czyli w bary, restauracje i lokale przeznaczone na luksusową prostytutkę, której bazę stanowiły Słowianki przywożone bezpośrednio z Europy Wschodniej. Wszystko czyste lub prawie czyste – dyskretne pranie pieniędzy i niezwracanie na siebie uwagi. Ale DOCS potwierdziły jego związki z Babuszką – potężną organizacją z Sołncewa, złożoną z byłych policjantów i weteranów z Afganistanu, wyspecjalizowaną w ściąganiu haraczu, przemyśle kradzionych samochodów, handlu żywym towarem, która bardzo interesowała się rozszerzeniem asortymentu o przemyt narkotyków. Grupa ta miała już przetartą trasę przez północną Europę – droga morska łączyła Buenaventurę z Sankt Petersburgiem przez Goeteborg w Szwecji i Kotkę w Finlandii. Jaszykowowi zlecono między innymi zbadanie alternatywnej trasy przerzutu narkotyków przez wschodnią część Morza Śródziemnego – niezależnej od mafii francuskich i włoskich, które służyły dotychczas Rosjanom za pośredników. Taki był kontekst. Pierwsze kontakty z kolumbijskimi *narcos* z kartelu z Medellín polegały na prostym handlu wymiennym: kałasznikowy i granatniki RPG, pochodzące ze składów rosyjskiej broni, za kokainę. Ale interes jakoś nie szedł. Zaginięcie kokainy było jednym z wielu potknięć, które zdenerwowały Jaszykova i jego moskiewskich wspólników. I nagle, kiedy już prawie o niej zapomnieli, te pół tony jakby spadło z nieba.

– Słyszałem, że Meksykanka i ta druga przyjechały negocjować z Jaszykowem – wyjaśnił Juárez. – Osobiście, z próbką, jedną torebką... Podobno Rosjanin wziął to za żart, a potem naprawdę się wkurzył. Ale O'Farrell oświadczyła mu prosto w twarz, że ona już zapłaciła za wszystko, a kulki, które zarobiła, kiedy strzelano do jej narzeczonego, wyzerowały licznik. Grają czysto i domagają się zapłaty.

– Dlaczego nie rozprowadziły narkotyków siecią detaliczną?

– Dla początkujących to zbyt trudne. Jaszykowowi też by się to nie spodobało.

– Tak łatwo było ustalić pochodzenie towaru?

– Jasne. – Wprawnymi ruchami widelca i noża były policjant kroił polędwicę na glinianym talerzu. – Wszyscy wiedzieli, kto był narzeczonym O’Farrell.

– Niech mi pan opowie o jej narzeczonym.

Narzeczony, mówił Juárez z pogardliwym uśmiechem, krojąc, przeżuwając i znów krojąc, nazywał się Jaime Arenas, dla przyjaciół Jimmy. Pochodził z dobrej sewilskiej rodziny. Najzwyklejsze gówno, przepraszam za takie słowo przy stole. Znany w Marbelli, prowadził też interesy w Ameryce Południowej. Był ambitny i uważał się za bardzo sprytnego. Kiedy ta kokaina znalazła się pod ręką, wpadło mu do głowy, żeby ją sprzątnąć towarzyszom sprzed nosa. Na taki numer nie odważyłby się z Pablo Escobarem, ale Rosjanie nie mieli jeszcze takiej opinii jak dzisiaj. Wydawali się nierozgarnięci. Ukrył narkotyki i chciał przedyskutować wysokość prowizji, choć Jaszykow zapłacił już całą – tym razem było więcej pieniędzy niż broni – uzgodnioną z Kolumbijczykami kwotę. Jimmy ociągał się, więc towarzysz stracił cierpliwość. Zniecierpliwił się do tego stopnia, że wykończył i jego, i jego dwóch współników.

– Rusczy nigdy się nie patyczkowali. – Juárez mlasnął językiem. – I dalej tego nie robią.

– Jak tych dwoje się spotkało?

Mój rozmówca podniósł widelec i wycelował go we mnie, jakby się ucieszył, że zadałem mu to pytanie. W tamtych czasach, wyjaśnił, rosyjscy gangsterzy mieli duży problem. Dzisiaj też go mają, ale wtedy było gorzej. Wystarczyło spojrzeć i wszystko było jasne. Od razu się wyróżniali – ogromni, nieokrzesani, jasnowłosi, z wielkimi łapami i zawsze w luksusowych samochodach i z dorodnymi dziewczynkami. Na dodatek fatalnie u nich było z językami. Kiedy tylko lądowali w Miami czy na jakimkolwiek innym lotnisku amerykańskim, DEA i wszystkie policje przyczepiały się do nich jak rzepy. Dlatego potrzebowali pośredników. Jimmy Arenas na początku sprawdzał się w tej roli – dostarczał im wyroby alkoholowe z Jerezu na przemyt do północnej

Europy. Miał też rozległe kontakty w Ameryce Południowej i do tego w detalu rozprowadzał towar do modnych dyskotek w Marbelli, Fuengirola i w Torremolinos. Ale Ruscy chcieli mieć własne sieci eksportowo-importowe. Babuszka, przyjaciele Jaszykowa z Moskwy, dostarczała biały proszek w ilościach detalicznych, wykorzystując do transportu rejsowe loty Aerofłotu do Montevideo, Limy i Bahii, słabiej kontrolowane niż te do Rio i Hawany. Na lotnisko Szeremietiewo docierały przesyłki nie większe niż pół kilograma w indywidualnej poczcie – ten kropłomierz jednak był wyraźnie za mały. Upadł właśnie mur berliński, Związek Radziecki walił się w gruzy, a w Rosji, gdzie pojawiły się szybkie pieniądze i spekulacyjne fortuny, kokaina stawała się modna.

– Sam pan widzi, że nie mylili się w przewidywaniach – stwierdził Juárez. – Żeby miał pan pojęcie, o jakim popycie mówimy, proszę sobie wyobrazić, że każdy gram w dyskotekach Sankt Petersburga czy Moskwy kosztuje teraz trzydzieści, czterdzieści procent drożej niż w Stanach.

Były policjant przeżuwał ostatni kęs mięsa, pociągając spory łyk wina. Ma pan pojęcie, jak towarzysz Jaszykow musiał sobie łamać głowę, żeby wreszcie udało się złapać byka za rogi. I właśnie wtedy pojawia się to pół tony, które nie wymaga całej operacji przerzutu aż z Kolumbii, ale jest na miejscu, bez żadnego ryzyka, podane na tacy.

– Co do Meksykanki i O’Farrell, już panu mówiłem, że same nie dałyby sobie rady... Nie miały środków, żeby pozbyć się pięciuset kilogramów, tym bardziej że przy pierwszym gramie wprowadzonym w obieg wszyscy rzuciliby się na nie – żandarmeria, Ruscy, moi ludzie... Były na tyle przytomne, że to przewidziały. Tylko kretyn zacząłby towar sprzedawać po troszku to tu, to tam, bo zanimbyśmy go namierzyli, my albo żandarmi, skończyłby żywot w bagażniku samochodowym. Amen.

– Skąd wiedziały, że będzie inaczej? Że Rosjanin dotrzyma umowy?

Tego nie mogły wiedzieć, wyjaśnił były policjant. Ale postanowiły zaryzykować. I spodobały się Jaszykowowi. Zwłaszcza Teresa Mendoza, która potrafiła podczas spotkania przedstawić różne warianty interesu. Czy wiedziałem o tym Galisyjczyku, który kiedyś był jej chłopakiem? No właśnie. Meksykanka miała doświadczenie. I okazało się, że nie

tylko.

– Takie jaja – Juárez kreślił dłońmi kręgi większe niż talerze – takie ogromne. Są takie, wie pan, które mają kalkulator między nogami, klik, klik, i obskubują człowieka do zera, a ona miała kalkulator tutaj. – Postukał się palcem wskazującym w skroń. – W głowie. A z kobietami czasem jest tak, że słyszysz śpiew syreny, a wyskakuje ci rekin.

Saturnino G. Juárez wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Przypomniałem sobie, jak podczas procesu skrupulatnie wyliczono w prasie stan jego konta w gibraltarskim banku. W tamtych czasach Juárez nosił wąsy i miał trochę więcej włosów – tak też wyglądał na moim ulubionym zdjęciu, gdzie stoi razem z dwoma umundurowanymi kolegami przy wejściu do jednego z madryckich sądów. Zapłacił umiarkowaną cenę: pięć miesięcy więzienia i wydalenie z narodowego korpusu policji. Teraz siedział tutaj i prosił kelnera o koniak i hawańskie cygaro na zakończenie obiadu. Brak wystarczających dowodów, bezowocne dochodzenie sądowe, sprawni adwokaci. Zastanawiałem się, ile osób było mu winnych przysługę. Pośród nich znajdowała się Teresa Mendoza.

– W sumie – Juárez kończył opowieść – Jaszykow dobił targu. Byli na Costa del Sol, żeby inwestować, a oferta Meksykanki wyglądała na dobry interes. Dotrzymał umowy jak prawdziwy dżentelmen... To był początek pięknej przyjaźni.

Oleg Jaszykow przyglądał się leżącej na stole paczce: biały proszek w podwójnym hermetycznym opakowaniu z przezroczystego plastiku, zalepionym szeroką i grubą taśmą klejącą, z nienaruszoną plombą. Dokładnie tysiąc gramów, zapakowane próżniowo w tajnych laboratoriach pośród amazońskiej dżungli Yarı.

– Widzę – powiedział – że mają panie sporo zimnej krwi. Tak.

Dobrze mówi po hiszpańsku, pomyślała Teresa. Powoli, z przerwami, jakby starannie dobierał kolejne słowa. Miał śpiewny akcent i w niczym nie przypominał rosyjskich czarnych charakterów występujących w filmach z tekstami typu „ja zabić amerykańskiego wroga”. Nie wyglądał też na mafiosa ani na gangstera – jasna cera, duże oczy, też jasne i jakby dziecięce, z dziwną mieszaniną błękitu i żółci na tęczęwce, słomiane włosy przycięte bardzo krótko, po żołniersku. Miał na sobie

bawełniane spodnie w kolorze khaki i granatową koszulę z podwiniętymi rękawami, ukazującymi silne ręce, jasne i owłosione, z roleksem do nurkowania na lewym nadgarstku. Ręce te leżały po obu stronach paczki, nie dotykając jej, były wielkie jak cała reszta jego ciała, ze ślubną obrączką z grubego złota. Wyglądał na zdrowego, silnego i czystego. Pati O'Farrell powiedziała, że też, albo przede wszystkim, był niebezpieczny.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Propozycja polega na tym, że oddacie mi towar, który jest mój. Obie panie. O ile znów zapłacę. Jak to się nazywa po hiszpańsku? – zastanawiał się przez chwilę, niemal rozbawiony. – Wymuszenie? Szantaż?

– To gruba przesada... – odrzekła Pati.

Od opuszczenia Grot Rekinów aż do ostatniej godziny przed przyjściem na to spotkanie rozmawiały o tym przez wiele godzin, przenicowały całą sprawę na dziesiątą stronę. Wszystkie za i przeciw przeanalizowały w szczegółach; Teresa nie miała takiej pewności jak jej przyjaciółka, że argumenty są nie do podważenia, ale było za późno na odwrót. Pati – z dyskretnym makijażem, w drogiej sukni, swobodna w roli pewnej siebie damy – zaczęła od nowa rzecz tłumaczyć, ale Teresa wiedziała, że Jaszykow zrozumiał wszystko od razu, kiedy tylko tu weszły i położyły zapakowany kilogram na stole, a on, rzuciwszy zdawkowe słowa, polecił ochroniarzom zrewidować swoich gości, by sprawdzić, czy nie mają ukrytych mikrofonów. Ech, ta cała technika, powiedział, wzruszając ramionami. Kiedy goryle zamknęli za sobą drzwi, Rosjanin zapytał, czego się napiją – żadna o nic nie poprosiła, choć Teresa czuła suchość w ustach – i usiadł za stołem, gotów ich wysłuchać. Wszystko było uporządkowane i czyste – żadnej kartki papieru, żadnej teczki w zasięgu wzroku. Ściany w tym samym kremowym kolorze co wykładzina, na nich obrazy, wyglądające na drogie, i zapewne takie były, wielka rosyjska ikona w srebrze, w kącie faks, na stole jeden telefon na kilka linii i obok komórkowy. Popielniczka i olbrzymi złoty dupont. Wszystkie fotele pokryte białą skórą. Przez wielkie okna biura mieszczącego się na ostatnim piętrze luksusowego budynku z apartamentami w dzielnicy Santa Margarita widać było półokrąg wybrzeża i linię piany morskiej na plaży aż po falochrony, maszty

zaczumowanych jachtów i białe domy w porcie Banús.

– Powiedźcie mi tylko – Jaszykow naraz przerwał Pati – jak to zrobiliście? Jak dotarliście do miejsca, gdzie to było ukryte, i przywieźliście towar, nie zwracając na siebie uwagi? Groziło wam niebezpieczeństwo. Tak myślę. Tak. I nadal wam grozi.

– To nie ma znaczenia – odrzekła Pati.

Gangster się uśmiechnął. Proszę, mówił ten uśmiech, powiedźcie mi prawdę. Nic się nie stanie. Jego uśmiech budzi zaufanie, pomyślała Teresa, przyglądając się mu. Albo nieufność, bo za bardzo budzi zaufanie.

– Jasne, że ma – zaprotestował Jaszykow. – Szukałem tego towaru. Tak. Nie znalazłem go. Popełniłem błąd. Z Jimmym. Nie wiedziałem, że pani wie... Wszystko wyglądałoby inaczej, prawda? Czas szybko płynie. Mam nadzieję, że pani ma się już dobrze. Po wypadku.

– Mam się znakomicie, dziękuję.

– Za jedno jestem pani wdzięczny. Tak. Moi adwokaci mówili, że podczas śledztwa nie wymieniła pani mojego nazwiska.

Pati sarkastycznie skrzywiła usta. Na jej opalonym dekolcie można było podziwiać bliznę wylotową po kuli. Amunicja pancerna, powiedziała kiedyś. Dlatego żyję.

– Byłam w szpitalu – powiedziała. – Podziurawiona.

– Miałem na myśli... później. – Spojrzenie Rosjanina było niemal niewinne. – W trakcie przesłuchań i rozprawy. Właśnie.

– Sam pan widzi, że miałam swoje powody.

Jaszykow zastanawiał się nad tymi powodami.

– Tak. Rozumiem – oznajmił. – Ale swoim milczeniem oszczędziła mi pani kłopotów. Policja uznała, że niewiele pani wie. Ja sądziłem, że nic pani nie wie. A pani była cierpliwa. Tak. Prawie cztery lata... To musiała być poważna motywacja, prawda? Wewnętrzna.

Pati wyjęła następnego papierosa, a Rosjanin, choć miał na stole duponta długiego na pięść, ani się ruszył, by jej podać ogień, mimo że znalezienie własnej zapalniczki zajęło jej dobrą chwilę. I przestań się trząść, pomyślała Teresa, patrząc na jej dłonie. Opanuj drżenie palców, zanim ten sukinsyn to zauważy i poza twardych dziewczyn zacznie się sypać, i wszystko diabli wezmą.

– Paczki są ukryte tam, gdzie były dotąd. Przywiozłyśmy tylko jedną. Teresa przypomniała sobie dyskusję w grocie. W świetle latarek obie liczyły torby, czując na przemian euforię i strach. Na razie tylko jedna, a reszta niech zostanie tu, gdzie jest, nalegała Teresa. Zabranie wszystkiego teraz równałoby się samobójstwu, nie bądź kretynką i nie rób kretynki ze mnie. Wiem, że cię podziurawili kulkami, znam całą tę śpiewkę, ale ja nie przyjechałam do twojego kraju w charakterze turystki, pieprzona blondyno. I nie każ mi teraz mówić ci tego wszystkiego, czego ci dotąd nie powiedziałam. Moja historia w niczym nie przypomina twojej, pewnie nawet twoje kule pachniały perfumami Caroliny Herrery. No to nie chrzań. W sprawach tego rodzaju nigdy się nie spiesz, bo powoli dojdiesz szybciej.

– Nie pomyślałyście, że mogę kazać was śledzić? Tak.

Pati opuściła rękę z papierosem na podolek.

– Jasne, że pomyślałyśmy – zaciągnęła się i znowu położyła rękę na oparciu fotela. – Ale nie może pan. Nie tam.

– Coś takiego, jaka pani tajemnicza. Tajemnicze damy.

– Zauważyłybyśmy to i poszłybyśmy do innego kupca. Pięćset kilo to dużo.

Jaszykow nic nie powiedział, choć jego milczenie wskazywało, że istotnie pięćset kilo to za dużo, i to pod każdym względem. Nadal przyglądał się Pati i od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenie w kierunku Teresy, która nieruchomo siedziała w fotelu obok, nie odzywała się, nie paliła: słuchała i patrzyła, próbując utrzymać regularny oddech, z rękami na nogawkach spodni, żeby otrzeć pot. Jasnoniebieska koszulka polo, sportowe buty – na wypadek, gdyby trzeba było szybko zmykać, i tylko siedem bransoletek z meksykańskiego srebra na prawej ręce. Spory kontrast z eleganckim strojem i obcasami Pati. Były tu, bo Teresa narzuciła to rozwiązanie. Jej przyjaciółka najpierw chciała sprzedawać towar w niewielkich ilościach, ale udało się ją przekonać, że wcześniej czy później właściciele skojarzą fakty. Lepiej załatwmy sprawę od razu, doradziła. Jedna pewna transakcja, choćbyśmy miały trochę stracić. Zgoda, powiedziała Pati. Ale mówić będę ja, bo wiem, o co chodzi temu pieprzonemu bolszewikowi. No i siedziały tutaj, choć Teresa była coraz bardziej przekonana, że popełniły błąd. Znała takich

facetów od dziecka. Mogą mówić rozmaitymi językami, różnić się wyglądem i obyczajami, ale naprawdę zawsze są tacy sami. I kontakt z nimi prowadzi donikąd, albo raczej w jedno konkretne miejsce. Trzeba pamiętać – zrozumiała to zbyt późno – że Pati jest tylko rozpieszczoną panienką, narzeczoną zamożnego drania, który wszedł w te biznesy nie z konieczności, lecz z głupoty. Jeszcze jeden, który dostał to, na co zasłużył, jak wielu innych. Pati od urodzenia poruszała się w świecie, który nie miał wiele wspólnego z prawdziwym życiem, a czas spędzony w więzieniu jeszcze bardziej zamydlił jej oczy. Tutaj, w tym biurze, nie była ani Porucznik O'Farrell, ani nikim – natomiast patrzące na nie niebieskie oczy z żółtą otoczką, owszem, miały władzę. Pati popełniła kolejny błąd, bo błędem było już samo przyjście tutaj. Nie trzeba było tego robić: nie należało odświeżać wspomnień Olega Jaszykowa po tak długim czasie.

– I to jest właśnie ten problem – mówiła Pati. – Że pięćset kilo to za dużo. Dlatego najpierw przyszliśmy do pana.

– Kto wpadł na ten pomysł? – Jaszykow nie wyglądał na zachwyconego.

– Ja w pierwszej kolejności. Tak?

Pati spojrzała na Teresę.

– Ona. Nad wszystkim więcej się zastanawia. – Nerwowy uśmiech pojawił się między dwoma kolejnymi sztachnięciami. – Lepiej oblicza możliwości i ryzyko.

Teresa czuła, że spojrzenie Rosjanina zatrzymuje się na niej z uwagą. Zastanawia się, co nas łączy, stwierdziła. Więzienie, przyjaźń, interesy. Czy lubię facetów, czy też to ona robi mi dobrze.

– Na razie nie wiem, co ona tu robi – powiedział Jaszykow do Pati, nie spuszczać wzroku z Teresy – w tej sprawie. Pani przyjaciółka.

– Jest moją współpracowniczką.

– A, dobrze jest mieć współpracowników. – Jaszykow znów patrzył uważnie na Pati. – Dobrze też byłoby porozmawiać. Tak. Możliwości i ryzyko. Mogłybyście panie nie mieć dość czasu, żeby odejść na poszukiwanie nowego kupca – zrobił odpowiednią pauzę. – Żeby odejść z własnej woli. Tak myślę.

Teresa zauważyła, że dłonie Pati znów zaczęły drżeć. Gdybym tylko mogła, pomyślała, wstać w tej chwili i powiedzieć, miło nam było, don

Oleg, i do widzenia. Dał nam pan trzecie ostrzeżenie, niech więc pan sobie weźmie ten towar i zapomni o całej pieprzonej sprawie.

– Może powinniśmy... – odezwała się.

Jaszykow spojrzał na nią niemal zaskoczony. Ale Pati już przekonywała gangstera, że gdyby postąpił tak, jak mówi, nic by na tym nie zyskał. Nic. Oprócz śmierci dwóch kobiet. Za to mógłby pan wiele stracić, mówiła. Jest faktem, stwierdziła Teresa, że poza drzeniem rąk, które przekładało się na spirale dymu z papierosa, Porucznik zachowuje sporo zimnej krwi. Mimo wszystko, mimo że błędem było przyjście tutaj i mimo całej reszty, Pati łatwo nie pęka. Tyle tylko że obie są już martwe. Była o krok, żeby powiedzieć to głośno. Jesteśmy martwe, Porucznik O'Farrell. Zgaś papierosa i wychodzimy.

– Życia nie traci się tak szybko – powiedział filozoficznie Rosjanin, choć kiedy mówił dalej, Teresa zrozumiała, że nie było w tym cienia filozofii.

– Myślę, że wcześniej opowiada się różne rzeczy... Nie lubię płacić dwa razy. Nie. Mogę dostać za darmo. Tak. Odzyskać swoje.

Patrzył na paczkę kokainy leżącą przed nim na stole pomiędzy nieruchomymi łapskami. Pati rozgniotła niezgrabnie papierosa w popielniczkę stojącej obok tych dłoni. Do tego doszłaś, pomyślała Teresa ze smutkiem, niemal czując zapach jej strachu. Ta cholerna popielniczka! Wtedy znów usłyszała swój głos.

– Może i dostanie pan to za darmo – powiedziała. – Ale nigdy nie wiadomo. To ryzyko i kłopot... Traci pan pewny zysk.

Oczy w żółtej obwódce zwróciły się ku niej z zaciekawieniem.

– Jak się pani nazywa?

– Teresa Mendoza.

– Kolumbijka?

– Meksykanka.

Już miała dodać, że z Culiacán, stan Sinaloa, co w tym biznesie, zakładała, było właściwą rekomendacją, ale nie zrobiła tego. Ryba zdycha, bo za dużo kłapie szczęką. Jaszykow patrzył na nią z uwagą.

– Tracę, mówi pani. Proszę mnie przekonać, że tak jest.

A napisy w dole ekranu mówiły: przekonajcie mnie o użyteczności waszego życia. Pati przesunęła się do tyłu i oparła w fotelu, tak jak wyczerpany kogut wycofuje się z walki na arenie. Masz rację,

Meksykanko. Mnie leje się krew z gardła, teraz twoja kolej. Wyciągnij nas z tego. Teresa czuła się tak, jakby język przykleił się jej do podniebienia. Szklankę wody. Ale nie była w stanie poprosić o szklankę wody.

– Jeśli kilogram kosztuje dwanaście tysięcy dolarów – dowodziła – to pół tony powinno kosztować u źródła jakieś sześć milionów. Zgadza się?

– Zgadza. – Jaszykow przyglądał się jej bez wyrazu. Ostrożnie.

– Nie wiem, ile wam zabierają pośrednicy, ale w Stanach kilogram kosztuje dwadzieścia tysięcy.

– Dla nas trzydzieści. W tym roku. Tutaj. – Na twarzy Jaszykova nie poruszył się ani jeden mięsień. – Drożej niż dla sąsiadów. Tak. Jankesów.

Szybko policzyła. To miała w małym palcu. Teresie – ku jej ogromnemu zdziwieniu – nie drżały ręce. Nie w tej chwili. W takim razie, ciągnęła, przy aktualnych cenach pół tony na europejskim rynku to będzie piętnaście milionów dolarów. To dużo więcej niż suma, którą, według słów Pati, zapłacił Jaszykow i jego wspólnicy za dostawę cztery lata temu. A było to, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, pięć milionów gotówką i jeden w... No cóż, jakiej nazwy pan by użył?

– Materiale technicznym – odpowiedział Jaszykow rozbawiony. – Z drugiej ręki.

Razem sześć milionów, podsumowała Teresa, w obu formach płatności, łącznie z „materiałem technicznym”. Ale ważne jest to, ciągnęła dalej, że teraz to pół tony, które mu proponują, będzie go kosztowało jeszcze tylko sześć. Płatność w trzech ratach, pierwsza po dostarczeniu pierwszej części towaru, druga po drugiej dostawie, a reszta po potwierdzeniu otrzymania drugiej płatności. Praktycznie odsprzedają mu towar po kosztach.

Widziała, że Rosjanin zastanawia się nad tym. Ale jeszcze nie jest pewien, pomyślała. Jesteś twardy, sukinsynu. Nie widzisz zysku, a my dwie nadal jesteśmy dla ciebie żebraczkami.

– Chcecie – Jaszykow powoli kręcił przecząco głową – żebym zapłacił dwa razy. Tak. Za to samo pół tony. Sześć i sześć.

Teresa pochyliła się do przodu i oparła dłonie na stole. Dlaczego mnie nie drżą ręce, zastanawiała się. Dlaczego moje bransoletki nie dźwięczą

jak grzechotnik, jeśli jestem o krok od tego, żeby wstać i rzucić się do ucieczki.

– Mimo to – samą Teresę dziwiło, że głos jej brzmi tak spokojnie – nadal zyskuje pan trzy miliony na towarze, który uważał pan za stracony i, jak sądzę, już pan zamortyzował w ten czy inny sposób. Ale to pół tony kokainy jest warte, jeśli dobrze policzymy, sześćdziesiąt pięć milionów dolarów, kiedy zostanie podzielone i będzie gotowe do sprzedaży detalicznej w pańskim kraju czy gdziekolwiek... Odliczając koszty dawne i te nowe, pańskim ludziom zostaje pięćdziesiąt trzy miliony dolarów zysku. Pięćdziesiąt, jeśli odejmie pan trzy na opłacenie transportu, opóźnienia i inne kłopoty. I rynek będzie zaopatrzone przez jakiś czas.

Zamilkła, uważnie obserwując oczy Jaszykowa, z napiętymi mięśniami pleców i żołądkiem ściśniętym ze strachu do bólu. Potrafiła przedstawić mu całą sprawę głosem tak czystym i spokojnym, jak to tylko możliwe, jakby wcale nie szło o życie jej i Pati, ale była to zwykła transakcja handlowa, bez żadnych konsekwencji. Gangster wpatrywał się w Teresę, która czuła również na sobie spojrzenie Pati, ale za nic w świecie nie spojrzęłyby teraz na nią. Nie patrz na mnie, błagała w myśli swoją przyjaciółkę. Ani nie mrugnij, moja droga, bo polegniemy. Nadal jest możliwe, że ten szubrawiec zechce zarobić sześć milionów dolarów więcej. Bo on wie równie dobrze jak ja, że zawsze trzeba rozmawiać. Kiedy wiesz, że chcą cię wykończyć, zawsze trzeba rozmawiać. Może cię nie wykończą.

– Obawiam się... – zaczął mówić Jaszykow.

No to koniec, przebiegło przez myśl Teresie. Wystarczyło popatrzeć Rosjaninowi w twarz, żeby zrozumieć, że mają przerąbane. Świadomość tego uderzyła w nią jak grom. Byłyśmy naiwnymi panienkami, Pati to jedna kretyńska, a ja druga. Strach skręcał jej wnętrzności. Wygląda na wyjątkowego sukinsyna.

– Jest jeszcze coś – wymyśliła. – Haszysz.

– Jaki haszysz?

– Znam się na tej robocie. Nie macie haszyszu.

Jaszykow wydawał się lekko zdezorientowany.

– Jasne, że mamy.

Teresa pokręciła głową z powagą. Żeby tylko Pati nie otworzyła ust i nie schrzaśniła wszystkiego! Jej myśli układały się z dziwną jasnością. Nagle otwały się jakieś drzwi i ta milcząca kobieta, która czasem była do niej podobna, przyglądała się jej od progu.

– Półtora roku temu – odparła – dłubaliście w tym trochę to tu, to tam, i nie sądzę, żeby teraz w tych sprawach wiele się zmieniło. Jestem pewna, że jesteście uzależnieni od marokańskich dostawców, gibraltarskich przewoźników i hiszpańskich pośredników... Jak wszyscy.

Gangster podniósł lewą rękę, tę z obrączką, i podrapał się po twarzy. Mam trzydzieści sekund, żeby go przekonać, pomyślała Teresa, potem wstaniemy, wyjdziemy stąd i zaczniemy zwiewać, a oni znajdą nas za parę dni. I tyle. Byłoby mało zabawne, gdyby po tym, jak udało mi się wywinąć z rąk koleśków z Sinaloa i uciec tak daleko, wykończył mnie pieprzony Rusek.

– Chciałyśmy coś panu zaproponować – oznajmiła. – Pewien interes. Podzielimy się tymi sześcioma milionami, pan zatrzymałby połowę tego jako wspólnik w zamian za odpowiednie środki.

Długa cisza. Rosjanin nie spuszczał z niej wzroku. Jestem indiańską maską, pomyślała. Jestem nieruchomą maską, grającą w pokera jak Raúl Estrada Contreras, zawodowy szuler, którego ludzie szanowali, bo grał czysto i tak dalej, przynajmniej tak mówi tekst piosenki, a ten skurwysyn niech sobie na mnie patrzy, i tak mi nawet nie drgnie powieka, bo ja tu gram o własną skórę. Tak jakby patrzył na mnie byle kto, nie ruski gangster.

– Jakie środki?

Mam cię, powiedziała sobie Teresa. Będiesz mój.

– Na razie nie potrafię powiedzieć. Zresztą, dobrze. Łodzie. Z silnikami zaburtowymi. Meliny na towar. Opłacenie pierwszych kontaktów i pośredników.

Jaszykow znów podrapał się po twarzy.

– Pani zna się na tym?

– Daj spokój, człowieku. Chodzi o życie moje i mojej przyjaciółki. Myśli pan, że w takiej sytuacji mogę opowiadać bajki?

I w ten sposób, oświadczył Saturnino G. Juárez, Teresa Mendoza

i Patricia O'Farrell weszły w spółkę z rosyjską mafią na Costa del Sol. Propozycja złożona przez Meksykankę Jaszykowowi podczas pierwszego spotkania przeważała szalę. I rzeczywiście tak się stało – poza tymi pięciuset kilogramami kokainy Babuszka z Sołncewa chciała dysponować haszyszem, żeby nie zależeć w całości od tureckich i libańskich przemytników. Do tej pory zmuszeni byli korzystać z usług mafii zadomowionych w cieśninie, drogich, niepewnych i źle zorganizowanych. Wizja bezpośredniego kontaktu była pociągająca. Pół tony kokainy przeszło z rąk do rąk w zamian za trzy miliony dolarów, które zostały złożone w jednym z gibraltarskich banków, kolejne trzy przeznaczono na sfinansowanie ogromnej pralni pieniędzy – ta legalna fasada nazywała się Transer Naga S.L., z siedzibą w Gibraltarze – i na dyskretne przedsiębiorstwo w Marbelli. Jaszykow i jego ludzie dostawali z tego, zgodnie z układem zawartym z dwiema kobietami, pięćdziesiąt procent zysków w pierwszym roku i dwadzieścia pięć procent w następnym. W trzecim roku dług miał zostać uznany za zamortyzowany. Transer Naga zaś była przedsiębiorstwem usługowym – potajemne transporty – którego odpowiedzialność zaczynała się w chwili, kiedy narkotyki były ładowane na łódzie na marokańskim wybrzeżu, a kończyła wtedy, gdy ktoś je odbierał na jednej z hiszpańskich plaż lub na morzu. Z czasem, na podstawie nagranych rozmów telefonicznych i śledztwa, ustalono, że zasada, by nigdy nie być właścicielem przewożonych narkotyków, została narzucona przez Teresę Mendozę. Opierając się na swoim wcześniejszym doświadczeniu, uznawała, że tak jest bezpieczniej – gwarantowało to dyskrecję i brak nazwisk i dowodów, które wiązałyby ze sobą producentów, eksporterów, pośredników, odbiorców i właścicieli. Metoda była prosta: klient przedstawiał swoje potrzeby, a Transer Naga zapewniała jak najefektywniejszy transport, służąc środkami i pełnym profesjonalizmem. Z punktu A do punktu C, a my dostarczamy za pomocą B. Po pewnym czasie, dodał Saturnino Juárez, kiedy ja płaciłem rachunek, byli już tak pewni siebie, że brakowało tylko, by zamieścili swoje ogłoszenie na żółtych stronach w książkach telefonicznych. Taką strategię narzuciła Teresa Mendoza, nigdy nie ulegając pokusie, by część zapłaty przyjąć w narkotykach, jak to mieli w zwyczaju inni

przewoźnicy. Nawet wtedy, kiedy Transer Naga zrobiła z Cieśniny Gibraltarskiej wielką bramę wjazdową dla transportów kokainy rozprowadzanej następnie na całe południe Europy, a kolumbijski proszek zaczął napływać tonami.

Od blisko godziny przeglądały ubrania. To był już piąty sklep, do którego weszły tego poranka. Słońce oświetlało ulicę Larios po drugiej stronie wystawy – ogródki kawiarniane ze stolikami, samochody, przechodnie w lekkich ubraniach. Malaga w zimie. Dziś nadszedł czas na operację poszukiwawczą, powiedziała Pati. Mam dość pożyczania ci moich ciuchów i nie możesz dalej wyglądać jak sekretarka; wyczyść smar z paznokci, umaluj się trochę i idziemy. Na polowanie. Żebyś wreszcie wyglądała odpowiednio do swej pozycji. Chcesz czy nie? No i przyjechały tutaj. Pierwsze śniadanie zjadły przed wyjazdem z Marbelli, a drugie w Maladze, w ogródku Café Central, gdzie usiadły i obserwowały przechodniów. A teraz zajmowały się wydawaniem pieniędzy. Według oceny Teresy zbyt wielu pieniędzy. A tutejsze ceny przyprawiały o zawrót głowy. I co z tego, brzmiała odpowiedź. Ty masz kasę i ja ją mam. Poza tym możesz to traktować jako inwestycję. Oblicz od razu zysk, jesteś w tym dobra. Skarpetę napełnisz kiedy indziej za pomocą tych swoich motorówek, logistyki i całego morskiego cyrku, który organizujesz, Meksykanko. Bo życie to nie tylko silniki zaburtowe i śruby lewoskrętne, czy jak się tam one nazywają. Nadszedł czas, żebyś się ubierała zgodnie z poziomem życia, jakie prowadzisz. Czy będziesz prowadzić.

– Co o tym myślisz? – Pati poruszała się ze swobodą po sklepie, zdejmując ubrania z wieszaków i oddając te, które jej się nie podobały, w ręce ekspedientki usłużnie idącej obok. – Zestaw marynarka i spodnie nigdy nie wychodzi z mody. A na facetach robi wrażenie, zwłaszcza w twoim i moim, w naszym środowisku. – Pokazywała Teresie stroje na wieszakach, przykładając je do ciała, żeby sprawdzić efekt. – Dżinsy są w porządku, nie musisz z nich rezygnować. Ale trzeba je łączyć z ciemnymi marynarkami. Granatowe są znakomite.

Teresa rozmyślała o innych sprawach, bardziej skomplikowanych niż dobranie marynarki do dżinsów. Zbyt dużo ludzi, za wiele interesów. Całe godziny spędzała nad zeszytami pełnymi liczb, nazwisk, miejsc. Prowadziła długie rozmowy z nieznanymi, których słuchała z uwagą

i ostrożnością, starając się wszystko odgadnąć, gotowa uczyć się wszystkiego od wszystkich. Teraz wiele spraw zależało od niej i zastanawiała się, czy podoła wszystkiemu, czy może przyjmować na siebie takie zobowiązania, jakie wcześniej nawet by jej przez myśl nie przeszły. Pati wiedziała to wszystko, ale nie przejmowała się zbytnio rozterkami przyjaciółki, przynajmniej takie robiła wrażenie. Wszystko w swoim czasie, mówiła. Dziś kolej na ubrania. Dziś trzeba odpocząć. Dziś trzeba się zabawić. Poza tym prowadzenie interesu to raczej twoja sprawa. Ty zarządzasz, a ja tylko patrzę.

– Widzisz? Do dzinsów powinnaś nosić buty na płaskim obcasie, na przykład mokasyny, i do tego te torby – Ubrique, Valverde del Camino. Ręcznie robione torby andaluzyjskie znakomicie do ciebie pasują. Na co dzień.

Już trzy takie torby leżały w pakunkach wypełniających bagażnik samochodu zaparkowanego w podziemnym garażu na placu przy porcie. Dzisiaj to się zmieni, upierała się Pati. Jeszcze dziś zapełnisz szafę rzeczami, które są ci potrzebne. Musisz mnie słuchać. Ja rozkazuję, a ty wykonujesz, jasne? Poza tym wiedz, że ubieranie się to nie jest kwestia mody, tylko zdrowego rozsądku. Zapamiętaj dobrze: lepiej mieć niewiele rzeczy dobrej jakości niż dużo byle czego. Najważniejsze to stworzyć podstawę szafy. Potem trzeba tylko ją rozszerzać. Słuchasz mnie?

Porucznik O'Farrell była wymowna jak rzadko kiedy. Teresa rzeczywiście słuchała jej zaciekawiona; dotąd nie patrzyła pod tym kątem na ubrania i na samą siebie. W swoich ciuchach chciała po prostu podobać się mężczyznom – jej mężczyznom – albo czuć się wygodnie. Strój jako narzędzie pracy – tak to określiła Pati, wywołując u niej wybuch śmiechu – to była zupełna nowość. A więc ubieranie się nie służy tylko wygodzie lub uwodzeniu. Nawet nie jest wyrazem elegancji czy statusu społecznego, ale oddaje subtelności w ramach tego statusu. Słuchasz mnie jeszcze? Ciuchy mogą wyrażać stan ducha, charakter, władzę. Można się ubierać jak ktoś, kim się jest, lub jak ktoś, kim się chce być, i właśnie na tym polega różnica. Tego się człowiek uczy, jasne. Tak samo jak manier, sposobu jedzenia czy rozmawiania. Uczy się tego, jeśli jest inteligentnym i potrafi patrzeć. A ty potrafisz,

Meksykanko. Nie znałam nikogo, kto potrafiłby patrzeć tak jak ty. Cholerna Indianka. Patrzysz na człowieka, jakbyś czytała książkę. Czym są książki, już wiesz, czas, żebyś poznała resztę. Dlaczego? Bo jesteś moją współpracowniczką i przyjaciółką. Bo spędzimy jeszcze dużo czasu razem, mam nadzieję, i dokonamy wielkich rzeczy. I dlatego, że już najwyższy czas zmienić temat.

– Jeśli mówimy o ubieraniu się naprawdę – wyszły z przymierzalni, gdzie Teresa oglądała się w lustrze w kaszmirowym swetrze z golfem – nie można ubierać się nudnie. Ale żeby nosić pewne rzeczy, trzeba odpowiednio się poruszać, trzeba dobrze się nosić. Nie wszystko jest dobre dla każdego. To na przykład. O Versace od razu zapomnij. W ubraniach od Versace wyglądałabyś jak dziwka.

– A ty czasem je nosisz.

Pati się roześmiała. Trzymała w palcach marlboro, mimo napisu zakazującego palenia i karcących spojrzeń ekspedientki. Jedną rękę włożyła do kieszeni marynarki z dżerseju, noszonej do ciemnoszarej spódnicy. W drugiej miała papierosa. Zaraz to zgaszę, proszę pani, powiedziała, zapalając pierwszego. W tej chwili żarzył się trzeci.

– Ja odebrałam inną tresurę, Meksykanko. Wiem, kiedy mogę wyglądać jak dziwka, a kiedy nie. Co do ciebie, to pamiętaj, że na ludziach, z którymi się zadajemy, robią wrażenie kobiety z klasą. Damy.

– Nie chrzań. Nie jestem damą.

– Co ty wiesz?! To, czy się kimś jest, czy się na kogoś wygląda, czy nie jest się nigdy nikim, to tylko kwestia bardzo subtelnych odcieni. Popatrz tutaj. Mówię ci: dama. Yves Saint-Laurent, stroje od Chanel i Armaniego na ważne chwile; takie szaleństwa jak to od Galiano zostaw dla innych... Albo na później.

Teresa rozglądała się dookoła. Nie przeszkadzało jej, że okazuje się taką ignorantką ani że sprzedawczyni słyszy ich rozmowę. Po cichu powiedziała do Pati:

– Nie zawsze wiem, co jest właściwe... Dobieranie też jest trudne.

– Stosuj niezawodną regułę: pół na pół. Jeśli od pasa w dół ubierasz się prowokująco i seksownie, strój od pasa w górę musi być dyskretny. Albo na odwrót.

Wyszły ze sklepu obciążone torbami i poszły ulicą Larios w kierunku

centrum. Zatrzymywały się przed każdą wystawą.

– Jeśli na co dzień lubisz styl sportowy – ciągnęła dalej – nie musisz ubierać się formalnie; jeśli opierasz się na jednej firmie, powinnaś mieć w kolekcji wszystkiego po trochu – pokazywała lekki ciemny kostium z okrągłym kołnierzykiem, który Teresie wydał się bardzo ładny. – Jak Calvin Klein, na przykład. Widzisz? Chodzi o to, żeby firma miała i sweter czy skórzaną kurtkę, i suknię odpowiednią na kolację.

Weszły do środka. W tym bardzo eleganckim sklepie wszystkie sprzedawczynie ubrane były tak samo, w krótkie spódniczki i czarne pończochy. Przypominają kobiety interesów z amerykańskich filmów, pomyślała Teresa. Wszystkie wysokie i ładne, mocno umalowane, o wyglądzie modelek albo hostess. Przemię. Tutaj nigdy bym nie dostała pracy, stwierdziła. Do licha, ten cholerny szmal.

– Najlepiej – powiedziała Pati – chodzić do sklepów takich jak ten, gdzie znajdziesz ubrania różnych firm. Powinnaś pokazywać się tu często i wzbudzić zaufanie obsługi. Dobre układy ze sprzedawczyniami są bardzo ważne; znają cię, wiedzą, co ci się podoba i w czym jest ci dobrze. Mówią ci, co dostały nowego. Rozpieszczają cię.

Na piętrze były dodatki – włoska i hiszpańska skóra. Paski. Torby. Piękne modele wspaniałych butów. Tutaj, pomyślała Teresa, jest lepiej niż w Sercha's w Culiacán, gdzie dwa razy do roku, po zbiorze konopi w górach, przybiegały z całymi pękami dolarów, paplając jak najęte, w całej swojej biżuterii, z farbowanymi włosami, małżonki i dziewczyny handlarzy narkotyków. Ona też, kiedy była z Blondynem Dávila, kupowała tam ubrania, w których teraz już nie czułaby się dobrze. Może dlatego, że naprawdę nie była tą samą osobą – wyjechała daleko, i kobieta, która patrzyła z luster drogich sklepów w innym czasie i w innym świecie, była też kim innym. Buty to podstawa, oznajmiła Pati. Są ważniejsze niż torby. Pamiętaj, że choćbyś była najlepiej ubrana, kiepskie buty zawsze cię pogrążą. Mężczyznom się je wybacza, mogą nosić byle gówno bez skarpetek, jak to za sprawą Julio Iglesiasa stało się teraz modne. Ale nasz przypadek jest bardziej dramatyczny. Złych butów nie da się niczym odrobić.

Potem pracowały nad perfumami i makijażem, wąchając i próbując wszystkiego na skórze Teresy, jeszcze przed obiadem w Tintero, na

plaży El Palo, gdzie zjadły małe langusty i małże. Wy, Latynoski, stwierdziła Pati, macie upodobanie do mocnych perfum. Postaraj się używać nieco łagodniejszych. Podobnie z makijażem. Młodą dziewczynę mocny makijaż postarza, kobietę starszą – postarza dużo bardziej... Masz piękne, czarne i wielkie oczy, a kiedy czeszesz się z przedziałką pośrodku i włosy zbierasz ciasno, wyglądasz doskonale. Mówiła to, patrząc jej w oczy, ani przez chwilę nie odwracając wzroku, nie zwracając uwagi na kelnerów, którzy chodzili między rozstawionymi w słońcu stołami z talerzami sardynek, ikry z patelni, drobnych kalmarów, ziemniaków z sosem aioli. W jej głosie nie było wyższości ani pogardy. Mówiła podobnie jak wtedy, gdy krótko po przybyciu Teresy do El Puerto de Santa María informowała ją o miejscowych zwyczajach. Tak i tak. Teraz jednak Teresa dostrzegła coś nowego w wyrazie jej twarzy, jakiś grymas ironii w układzie ust, który uwidaczniał się szczególnie wtedy, kiedy się uśmiechała, przymykając powieki. Wiesz, jakie pytania sobie zadaję, myślała Teresa. Prawie możesz je usłyszeć. Dlaczego właśnie ja? Jeśli tu, na wolności, nie daję ci tego, co naprawdę chciałabyś ode mnie dostać? Tylko słucham i jestem. Dałam się oszukać, że chodzi ci o pieniądze, Porucznik O'Farrell. Ale nie tego chciałaś naprawdę. Moja postawa wobec ciebie jest jasna, jestem lojalna, bo dużo ci zawdzięczam i dlatego, że taka być muszę. Bo takie są reguły tej dziwnej gry, którą prowadzimy, obie gramy. To proste. Ale ty nie jesteś taka. Możesz kłamać i oszukiwać, i zapomnieć, jeśli trzeba. Pytanie tylko, dlaczego nie zapomniałaś o mnie. Albo dlaczego jeszcze nie zapomniałaś.

– Strój – ciągnęła Pati z tym samym wyrazem twarzy – musi być dostosowany do chwili. Zawsze szokuje, jeśli na obiedzie pojawi się kobieta w szalu czy na kolacji w minispódniczce. To dowodzi tylko braku rozsądku albo wychowania. Te kobiety nie wiedzą, jak się ubierać, dlatego chcą mieć na sobie coś bardziej eleganckiego i droższego niż inne. To zdradza parweniuszkę.

Jest inteligentna, pomyślała Teresa. Dużo bardziej niż ja. Chciałabym wiedzieć, dlaczego sprawy tak wyglądają w jej przypadku. Miała wszystko. Miała nawet swoje marzenie. Ale to było wtedy, kiedy siedziała za kratkami, to ją trzymało przy życiu. Warto byłoby

sprawdzić, co teraz ją trzyma. Poza alkoholem, dziewczynami od czasu do czasu, szpikowaniem się prochami i fantazjowaniem na temat tego, co zrobimy, kiedy będziemy multimilionerkami. Dlaczego się nad tym zastanawiam? Może lepiej, żebym się za dużo nie zastanawiała.

– Ja jestem parweniuszką – powiedziała.

Zabrzmiało to niemal jak pytanie. Nigdy nie używała tego słowa, nie słyszała go u innych ani nie wyczytała w książkach, ale przeczuwała jego sens. Pati się roześmiała.

– Cóż, jasne, że jesteś. W pewnym sensie. Ale nie wszyscy muszą to wiedzieć. Kiedyś przestaniesz nią być.

W jej minie kryje się coś mrocznego, stwierdziła Teresa. Coś, co wydawało się boleć i bawić równocześnie. Być może, pomyślała nagle, zastanawia się nad czymś, co po prostu jest życiem.

– W każdym razie – dodała Pati – jeśli nawet popełnisz błąd, najważniejszą zasadą jest nosić każde ubranie z godnością. Bo przecież wszyscy kiedyś popełniamy jakiś błąd. – Nadal patrzyła na nią. – Mówię o stroju.

W owym czasie pojawiło się więcej Teres: nieznanymi kobiet, które były gdzieś zawsze, choć ona nie podejrzewała ich istnienia, a do tych doszły jeszcze inne, nowe, wyłaniające się z luster i mroku szarej godziny świtu, i z ciszy. Kobiety, których istnienie odkrywała z zaciekawieniem, a czasem ze zdziwieniem. Eddie Alvarez, ten gibraltarski adwokat, który zarządzał pieniędzmi Santiago Fisterry, a potem tak kiepsko zajmował się obroną Teresy, miał okazję spotkać na swojej drodze jedną z nich. Eddiemu raczej obca była brawura. Jego związki z przykrymi aspektami interesu były marginalne – wolał nie widzieć i nie wiedzieć pewnych rzeczy. Niewiedza – powiedział podczas naszej rozmowy w hotelu Rock – jest matką mądrości i dobrego zdrowia. Dlatego upuścił wszystkie papiery trzymane pod pachą, kiedy po zapaleniu światła na klatce schodowej swojego domu zobaczył siedzącą na schodach Teresę Mendozę.

– Kurwa mać – powiedział.

Potem przez chwilę milczał, oparty o ścianę, papiery leżały przy jego stopach, a on nie zamierzał ich zbierać, koncentrując się jedynie na tym, żeby jego serce odzyskało normalny rytm, podczas gdy Teresa, nadal

siedząc na stopniu, informowała go powoli i ze szczegółami o powodach swojej wizyty. Mówiła ze śpiewnym meksykańskim akcentem i ze swoją miną nieśmiałej dziewczynki, która we wszystko została wplątana przez przypadek. Żadnych wyrzutów ani pytań na temat inwestycji w obrazy czy przywłaszczonych pieniędzy. Ani słowa o półtorarocznym pobycie w więzieniu, ani o tym, że Gibraltarczyk umył ręce od jej obrony. W nocy wszystko wygląda dużo groźniej, powiedziała na początku. Robi wrażenie, myślę. Dlatego jestem tutaj, Eddie. Żeby zrobić na tobie wrażenie. Co jakiś czas światło automatycznie gasło, wtedy Teresa, siedząc ciągle na stopniu, podnosiła rękę do kontaktu, twarz adwokata miała żółtawy kolor, przestraszone oczy wзираły zza okularów, które zjeżdżały po wilgotnej tłustej skórze na czubek nosa. Chcę zrobić na tobie wrażenie, powtórzyła, pewna, że adwokat był pod wrażeniem już od tygodnia, kiedy gazety doniosły, że sierżant Ivan Velasco został zabity sześcioma pchnięciami noża na parkingu przed znaną dyskoteką, o czwartej rano, kiedy – pijany, naturalnie – wsiadał do swojego nowego mercedesa. Zapewne zrobił to jakiś narkoman albo ktoś, kto kręcił się między samochodami. Zwyczajny napad jak wiele innych. Kradzież zegarka, portfela i tak dalej. Ale Eddiego Alvareza naprawdę poruszył fakt, że śmierć sierżanta Velasco nastąpiła dokładnie trzy dni po tym, jak inny jego znajomy, zaufany człowiek o nazwisku Antonio Martínez Romero, znany jako Antonio Cañabota lub po prostu Cañabota, został znaleziony całkiem nagi, jedynie w skarpetkach; leżał na brzuchu, z rękami związanymi na plecach, uduszony w jednym z pensjonatów w Torremolinos, według wszelkiego prawdopodobieństwa przez geja, którego poznał na ulicy na jakąś godzinę przed swoją śmiercią. I połączenie tych wydarzeń mogło zrobić wrażenie na każdym, zwłaszcza jeśli ktoś miał dobrą pamięć, a Eddie Alvarez pamięć miał znakomitą i pamiętał, jaką rolę odegrało tych dwóch ludzi w sprawie wydarzeń obok przylądka Castor.

– Przysięgam ci, Tereso, że ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Z czym?

– No wiesz. Z tamtym.

Teresa pochyliła nieco głowę – nadal siedziała na schodach – i myślała. Ona rzeczywiście wie wszystko. Dlatego siedzi tutaj, a nie prosi, by jej

znajomy przysłał tu swojego znajomego, jak stało się w przypadku żandarma i załatwiacza. Od jakiegoś czasu ona i Oleg Jaszykow świadczyli sobie wzajemnie drobne przysługi, dziś ja tobie, jutro ty mnie, a Rosjanin dysponował ludźmi wyspecjalizowanymi w najróżniejszych umiejętnościach. Byli między nimi narkomani i geje.

– Potrzebuję twoich usług, Eddie.

Okulary znów zjechały na czubek nosa.

– Moich usług?

– Chodzi o papiery, banki, spółki. Te rzeczy.

Potem Teresa wyjaśniła szczegóły. Kiedy to robiła – to bardzo proste, Eddie, kilka spółek i kont bankowych, ty będziesz wszędzie figurował – myślała, że życie dziwnie się toczy i że Santiago Fisterra uśmiełby się z tego wszystkiego. Mówiąc, myślała też o sobie samej, jakby rozdzieliła się na dwie osoby – jedna, praktyczna, wyjaśniała Eddiemu Alvarezowi przyczyny swojej wizyty i wymieniała powody, dla których jeszcze żył, a druga przyglądała się temu wszystkiemu zaskakująco beznamiętnie, z boku czy też z daleka, uważnym spojrzeniem obrzucając tę pierwszą, i nie odczuwała urazy ani chęci zemsty. Ta sama, która kazała zapłacić Cañabocie i sierżantowi Velasco, nie dlatego, żeby wyrównać stare rachunki, ale – jak powiedziała, i rzeczywiście potem powiedział Eddie Alvarez – z poczucia symetrii. Rzeczy powinny być takimi, jakie są, rachunki podliczone, a szafy uporządkowane. A Pati O’Farrell myliła się – na mężczyznach nie zawsze robi się wrażenie sukniami od Yves Saint-Laurenta.

Będziesz musiała zabijać, powiedział Oleg Jaszykow. Wcześniej czy później. Powiedział jej to któregoś dnia, kiedy spacerowali po plaży w Marbelli wzdłuż nadmorskiego pasażu przed należącą do niego restauracją o nazwie Carewicz – w głębi duszy Jaszykow był jednak sentymentalny – nieopodal kiosku, w którym Teresa pracowała po wyjściu z więzienia. Nie od razu, jasne. Tak jej powiedział Rosjanin. Nie własnymi rękami. *Niet i niet*. Chyba że dasz się ponieść emocjom albo z głupoty. Może stanie się inaczej, jeśli na wszystko będziesz patrzyła, stojąc z boku, i ograniczysz się tylko do patrzenia. Ale będziesz musiała to robić, jeśli wejdiesz w głąb tego biznesu. Jeśli będziesz konsekwentna, jeśli będziesz miała szczęście i przetrwasz. Kolejne

decyzje. Powoli. Wejdiesz na mroczny teren. Tak. Jaszykow mówił to wszystko ze spuszczoną głową, z rękami w kieszeniach, wpatrzony w piasek pod swoimi drogimi butami – u Pati znalazłyby uznanie, pomyślała Teresa; przy jego wzroście metr dziewięćdziesiąt i szerokich ramionach widocznych pod jedwabną koszulą, mniej dyskretną niż buty, Teresa, w krótkiej sukience, z opalonymi nogami, bosa, wydawała się jeszcze drobniejsza i delikatniejsza, niż była. Wiatr zwiewał jej włosy na twarz, kiedy słuchała uważnie jego słów. Będziesz podejmowała kolejne decyzje, mówił Jaszykow, robiąc przerwy i starannie dobierając słowa, jedno po drugim. Trafne i błędne. Praca wcześniej czy później będzie wymagała zabijania. Jeśli będziesz sprytna, zrobią to za ciebie inni. W tym biznesie, Tesa – zawsze mówił do niej Tesa, jakby nie był w stanie wypowiedzieć jej pełnego imienia – nie da się dobrze żyć ze wszystkimi. Nie. Przyjaciele są dobrzy, dopóki nie staną się źli. I wtedy trzeba działać szybko. Wybrać właściwy moment. Ten, kiedy przestają być przyjaciółmi.

– W tym biznesie. Tak, trzeba jeszcze czegoś. – Jaszykow skierował ku swoim oczom dwa palce, wskazujący i serdeczny. – Patrzeć na ludzi i widzieć od razu dwie rzeczy. Po pierwsze, za ile można ich kupić. Po drugie, kiedy trzeba ich zabić.

Na początku tamtego roku Eddie Alvarez okazał się dla nich za małą płótką. Transer Naga i spółki przykrywki – z siedzibą w kancelarii, którą adwokat miał przy Line Wall Road – rozwijały się zbyt dobrze i potrzeby przekroczyły możliwości infrastruktury stworzonej przez Gibraltarczyka. Cztery phantomy zacumowane w porcie Sheppard i dwa z papierami łodzi sportowych w Esteponie, utrzymanie floty, opłaty dla pilotów i współpracowników – wśród tych ostatnich znajdowało się około pół tuzina policjantów i żandarmów – to nie było zbyt skomplikowane. Jednak klientela stale rosła, napływały pieniądze, międzynarodowe transfery stawały się coraz częstsze i Teresa zrozumiała, że trzeba zastosować bardziej złożone mechanizmy inwestowania i prania pieniędzy. Potrzebny był im specjalista sprawnie poruszający się po zaułkach prawnych, aby osiągnąć maksymalny zysk przy minimalnym ryzyku. Mam takiego człowieka, oświadczyła Pati. Znasz go.

Znała go z widzenia. Pierwsze oficjalne spotkanie odbyło się w pewnym dyskretnym apartamencie w Sotogrande. Przyszli na nie Teresa, Pati, Eddie Alvarez, a także Teo Aljarafe – trzydziestopięcioletni Hiszpan, ekspert od prawa podatkowego i kreatywnej księgowości. Teresa od razu go sobie przypomniała, kiedy trzy dni wcześniej Pati przedstawiła go w barze hotelu Coral Beach. Zwróciła na niego uwagę już na przyjęciu w andaluzyjskim dworze koło Jerezu: wysoki, szczupły, śniady. Czarne gęste włosy nieco dłuższe na karku, zaczesane do tyłu, otaczały kościstą twarz z dużym orlim nosem. Klasyczna twarz, stwierdziła Teresa. Tak właśnie wyobrażałyśmy sobie Hiszpana, zanim jakiegokolwiek poznałyśmy – był szczupły i elegancki, taki hidalgo, choć rzadko który Hiszpan spotkany później tak wyglądał. A jeszcze rzadziej był szlachcicem. Teraz rozmawiali w czwórkę, siedząc wokół stołu z drewna sekwoi – kawa w dzbanku ze starej porcelany, filiżanki od kompletu i napoje na wózeczku pod oknem wychodzącym na taras, z którego roztaczał się wspaniały widok na przystań sportową, morze i spory kawałek wybrzeża, aż po odległe plaże przy La Línea i szary masyw skały Gibraltaru. Apartament był niewielki, bez telefonu, bez sąsiadów, wjeżdżało się do niego windą prosto z garażu. Pati kupiła go od własnej rodziny na firmę Transer Naga, urządzono go jako miejsce spotkań: dobre oświetlenie, współczesne drogie obrazy na ścianie, tablica ze ścieralnymi pisakami w kolorach czerwonym, czarnym i niebieskim. Dwa razy w tygodniu, i zawsze w przeddzień planowanego zebrania jeden z ekspertów od zabezpieczeń elektronicznych rekomendowany przez Olega Jaszykova sprawdzał, czy w lokalu nie założono podsłuchu.

– Strona techniczna jest rozwiązana – mówił Teo. – Wyjaśnienie źródeł wpływów i poziomu życia: bary, dyskoteki, restauracje, pralnie. To samo, co robi Jaszykow i wielu innych, będziemy robić i my. Nikt nie kontroluje liczby drinków czy porcji paelli, podawanych w lokalu. Należy stworzyć całą sieć firm połączonych ze sobą lub niezależnych, które zajmą się wszystkim, łącznie z benzyną do samochodu. Dużo faktur. Dużo papierów. Urząd skarbowy zostawi nas w spokoju, jeśli będziemy regularnie płacili należne podatki, i o ile nie będzie żadnych spraw w sądzie na terenie Hiszpanii, wszystko będzie w porządku.

– Stara zasada – zauważyła Pati – w domu trzeba trzymać porządek,

każdy to wie.

Elegancka, roztargniona, paliła bez przerwy, pochylając krótko ostrzyżoną, jasnowłosą głowę i patrzyła na wszystkich z pozornym dystansem, jakby znalazła się tu, bo przypadkiem przechodziła obok. Jakby brała to wszystko za zabawną przygodę. Jeszcze jedną z wielu kolejnych.

– Właśnie – potwierdził Teo. – Jeśli dacie mi carte blanche, jestem gotów stworzyć i przedstawić wam projekt nowej infrastruktury zawierającej to, co już sprawdzone. Między Malagą a Gibraltarem jest aż nadto możliwości. Reszta jest prosta – kiedy powstanie cały mechanizm, a majątek zostanie rozmieszczony w różnych spółkach, stworzymy holding pozwalający na podział dywidend, tak aby wasze pieniądze nie były zagrożone. To proste.

Marynarka wisiała na oparciu krzesła, węzeł krawata nienaganny, rękawy białej koszuli rozpięte i podwinięte ponad nadgarstki. Mówił powoli, jasno, poważnie, Teresa słuchała tego głosu z przyjemnością. Kompetentny i bystry, podsumowała Pati, z dobrej rodziny z Jerezu, małżeństwo z bogatą panną, dwie małe córeczki. Często wyjeżdża do Londynu, Nowego Jorku, Panamy i do innych podobnych miejsc. Doradca podatkowy z najwyższej półki. Mój świętej pamięci ekskretyn miał z nim jakieś wspólne interesy, ale Teo był bardziej inteligentny. Doradza, inkasuje i pozostaje z boku, dyskretnie, na trzecim planie. Luksusowy najemnik, żebyś mnie dobrze zrozumiała. I nigdy niczego nie brał, jeśli się nie mylę. Znam go od dziecka. Kiedyś go przeleciałam, we wczesnej młodości. Nie był w łóżku nadzwyczajny. Szybki. Egoistyczny. Ale w tamtych czasach ja też nie byłam specjalnie dobra.

– Jeśli mówimy o poważniejszych sprawach, to rzecz jest bardziej skomplikowana – ciągnął dalej Teo. – Mówię o prawdziwych pieniądzach, tych, które nigdy nie trafią do Hiszpanii. Radziłbym zapomnieć również o Gibraltarze. To sadzawka dla kaczek. Wszyscy tam mają konta.

– Ale to działa – powiedział Eddie Alvarez.

Widać było, że nie czuje się komfortowo. Może z zazdrości, pomyślała Teresa, przyglądając się uważnie obu mężczyznom. Eddie wykonał kawał dobrej roboty dla Transer Nagi, ale jego możliwości są

ograniczone. Wszyscy to wiedzą. Gibraltarczyk uważał prawnika z Jerezu za groźną konkurencję. I miał rację.

– Na razie działa. – Teo patrzył na Eddiego z nadmierną uprzejmością, taką jaką obdarza się niepełnosprawnego, którego wózek na kółkach popychasz w kierunku najbliższych schodów. – Nie neguję tego, co już zostało zrobione. Ale tutaj lubicie sobie pogadać w pubie na rogu i tajemnica natychmiast przestaje być tajemnicą... Poza tym co trzeciego Gibraltarczyka można łatwo przekupić. I to działa w obie strony – możemy to zrobić równie dobrze my, co i policja. To dobre, kiedy chodzi o parę kilo albo o papierosy, ale my tu mówimy o interesach wielkiego formatu. A jeśli o to chodzi, Gibraltar nie może nam zaoferować nic więcej.

Eddie poprawił okulary, które znów zjechały mu na czubek nosa.

– Nie zgadzam się z tobą – zaprotestował.

– Wszystko mi jedno. – Ton Andaluzyjczyka stał się twardszy. – Nie mam zamiaru spierać się tutaj o głupstwa.

– Jestem... – zaczął Eddie.

Opierał dłonie na stole, a kiedy mówił, patrzył najpierw na Teresę, potem na Pati, jakby prosił je o wstawiennictwo.

– Jesteś dziadem – przerwał mu Teo.

Powiedział to spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. Beznamiętnie. Jak lekarz mówiący pacjentowi, że na jego rentgenie widoczne są plamy.

– Nie pozwolę...

– Cicho bądź, Eddie – powiedziała Teresa.

Gibraltarczyk zastygł z otwartymi ustami w połowie zdania. Siedział jak zbity pies rozglądający się wokół z zakłopotaniem. Luźny krawat i pomięta marynarka dopełniały obrazu upadku. Muszę uważać na tę flankę, pomyślała Teresa, patrząc na niego i równocześnie słysząc śmiech Pati. Zbity pies może stać się niebezpieczny. Zapisła to w notesie ukrytym w jednym z zakamarków pamięci. Eddie Alvarez. Pomyśleć później. Zawsze jest sposób, żeby zapewnić sobie lojalność, pomimo zniewagi. Zawsze na każdego jest jakiś sposób.

– Mów dalej, Teo.

I Teo mówił dalej. Najkorzystniej, powiedział, byłoby założyć spółki i załatwiać transakcje z zagranicznymi bankami poza zasięgiem kontroli

fiskalnej Unii Europejskiej – na wyspach w kanale La Manche, w Azji albo na Karaibach. Problem polega na tym, że dużo pieniędzy pochodzi z nieuczciwej działalności i warto zapobiec podejrzliwości władz finansowych przez utworzenie całej sieci legalnych firm przykrywek, których nikt nie będzie kwestionował.

– Co do reszty – zakończył – postępowanie jest proste: dostawa towaru następuje w tym samym czasie co przelew należności. Robi się to za pomocą operacji, która nazywa się swift – od dokumentu bankowego wydawanego przez bank dokonujący transferu.

Eddie Alvarez, ciągle roztrząsający swój problem, znów się odezwał:

– Robiłem to, o co mnie proszono.

– Jasne, Eddie – powiedział Teo. Podoba mi się ten jego uśmiech, stwierdziła Teresa. Zrównoważony i wspaniałomyślny: kiedy oponent jest pokonany, nie należy okazywać mu złości. – Nikt ci niczego nie zarzuca. Ale nadszedł czas, żebyś trochę odpoczął. Nie zapominając o swoich zobowiązaniach.

Patrzył na Eddiego, a nie na Teresę ani na Pati, która nadal jakby trzymała się na uboczu, z rozbawioną miną. Twoje zobowiązania, Eddie. To drugi sens tekstu. Ostrzeżenie. I ten gość to wie, pomyślała Teresa. Sporo wie o zbitych psach, bo sam musiał już mieć z kilkoma do czynienia. A wszystko w miłych słowach i nie burząc sobie fryzury. Gibraltarczyk najwyraźniej zrozumiał przesłanie, bo niemal fizycznie się zwinął. Starła się nie patrzeć na niego, jednak dostrzegła kątem oka niespokojne spojrzenie, które rzucił w jej kierunku. Jest przerażony. Tak samo jak pod drzwiami swojego mieszkania, kiedy stał wśród papierów rozsypanych na ziemi.

– Co radzisz? – Teresa spojrzała na Teo.

Szerokim gestem rąk wskazał na cały stół, jakby tam właśnie znajdowało się rozwiązanie – między filiżankami albo w zeszytach w czarnych skórzanych okładkach, który leżał przed nim, otwarty, ze złotym piórem na niezapisanych kartkach. Jego ręce, zauważyła Teresa, były opalone, zadbane, paznokcie okrągłe, pod podwiniętymi powyżej nadgarstków rękawami było widać ciemne owłosienie. Zastanawiała się, ile miał lat, kiedy poszedł do łóżka z Pati. Osiemnaście, dwadzieścia? Dwie córki, powiedziała jej przyjaciółka. Bogata żona i dwie córki. Na pewno teraz

też sypiał z kimś jeszcze.

– Szwajcaria jest zbyt poważna – powiedział Teo. – Wymaga różnych gwarancji i zabezpieczeń. Wyspy na kanale La Manche są w porządku, działają tam też filie hiszpańskich banków podlegających Londynowi, dzięki czemu zyskujemy podatkową nieprzejrzystość, ale są zbyt blisko, zbyt widoczne, i jeśli któregoś dnia Wspólnota Europejska zacznie naciskać i Anglia zdecyduje się przykręcić śrubę, Gibraltar i kanał La Manche będą zagrożone.

Mimo wszystko Eddie nie dawał za wygraną. Może dlatego, że poruszono patriotyczną strunę jego duszy.

– Ty tak mówisz – zaprotestował, a potem wymamrotał coś niezrozumiałego.

Tym razem Teresa się nie odezwała. Patrzyła na Teo, oczekując jego reakcji. Podrapał się po brodzie, zamyślony. Siedział tak przez chwilę ze spuszczonego wzrokiem, który po chwili wbił w Gibraltarczyka.

– Przestań chrzanić, Eddie, dobrze? – Chwycił dwoma palcami pióro, zdjął skuwkę i niebieskim atramentem na białej stronie narysował poziomą linię prostą, tak idealnie równą, jakby wyznaczoną od linijki.

– Rozmawiamy o interesach, a nie o szmugielku paru kartonów winstonów. – Popatrzył na Pati, potem na Teresę, i na końcu linii wykreślił kąt, któremu nadał formę strzały, skierowanej w serce Eddiego. – Czy on naprawdę musi być przy tej rozmowie?

Pati zerknęła na Teresę, przesadnie unosząc brwi do góry. Teresa spojrzała na Teo. Na Gibraltarczyka nie patrzył nikt.

– Nie – powiedziała Teresa. – Nie musi.

– To dobrze. Bo warto byłoby omówić kilka szczegółów technicznych.

Teresa spojrzała na Eddiego. Zdjął okulary i przetarł je papierową chusteczką, jakby w ostatnim czasie za często mu zjeżdżały. Wytarł też czubek nosa. Krótkowzroczność potęgowała wyraz zagubienia w jego oczach. Wyglądał jak kaczka usmarowana ropą na brzegu sadzawki.

– Eddie, skocz na dół na piwo. Zobaczymy się później.

Gibraltarczyk zastanawiał się przez chwilę, potem niezgrabnie włożył okulary. Smutna parodia człowieka upokorzonego. Widać było wyraźnie, że szuka słów, które mógłby powiedzieć przed odejściem, i że nic mu nie przychodzi do głowy. Otworzył usta i zamknął je

z powrotem. W końcu wyszedł w milczeniu – jak kaczką, która zostawia za sobą czarne ślady, ciap, ciap – z miną wskazującą, że zwymiotuje, jeszcze zanim dotrze na ulicę. Teo rysował drugą niebieską linię w swoim zeszycie, poniżej pierwszej, równie prostą jak tamta. Tym razem zakończył ją kółkami po obu stronach.

– Ja bym pojechał – powiedział – do Hongkongu, Singapuru, na Filipiny, Karaiby czy do Panamy. Wielu z moich klientów działa na Kajmanach i są zadowoleni – sześćset osiemdziesiąt banków na maleńkiej wysepce, w odległości dwóch godzin lotu od Miami. Żadnego stania przy okienkach, pieniądze wirtualne, bez podatków, pełna dyskrecja. Mają obowiązek informowania wtedy, gdy istnieją dowody bezpośredniego związku z notoryczną działalnością przestępczą... Ale ponieważ nie wymaga się formalności prawnych do identyfikacji klientów, nie da się takich związków udowodnić.

Patrzył na obie kobiety, ale w trzech czwartych zwracał się do Teresy. Ciekawa jestem, pomyślała, co mu powiedziała o mnie Porucznik O'Farrell. Jaka jest pozycja każdego z nas. Zastanowiła się też, czy jest odpowiednio ubrana: obszerny sweter, dżinsy, sandały. Przez chwilę zazdrościła różowo-szarego kostiumu od Valentino, który Pati nosiła z taką naturalnością, jakby to była jej druga skóra. Elegancka suka.

Andaluzyjczyk dalej przedstawiał swój plan: kilka spółek zarejestrowanych za granicą, reprezentowanych przez kancelarie adwokackie, z odpowiednimi kontami bankowymi – to na początek. I żeby nie wrzucać wszystkiego do jednego worka, transfer pewnych sum, wypranych wcześniej sprawdzonymi metodami, na fundusze powiernicze i na poważne konta w bankach Luksemburga, Lichtensteinu i Szwajcarii. Konta, dodał, uśpione, żeby tych pieniędzy nie ruszać, traktując je jako długoterminowe zabezpieczenie, lub fundusze operujące w takich dziedzinach, jak zarządzanie dobrami, obrót gruntami, tytułami własności i tym podobnie. Pieniądze bez skazy, na wypadek gdyby któregoś dnia trzeba było wysadzić w powietrze całą infrastrukturę karaibską lub gdyby się rozpadło wszystko inne.

– Rozumiecie tę taktykę?

– Wydaje się słuszna – odpowiedziała Teresa.

– Tak. Do tego aktualna sytuacja jest korzystna, bo wiele hiszpańskich

banków aktywnie operuje teraz na Kajmanach i nie będziemy na siebie zwracać uwagi przy pierwszych przelewach pieniędzy. Mam dobry kontakt w Georgetown: Mansue Johnson i synowie. Doradcy bankowi, adwokaci i biegli podatkowi. Proponują pełną obsługę, opracowywaną na miarę.

– Czy to nie jest zbyt komplikowanie sobie życia? – zapytała Pati. Palila papierosa za papierosem, składając niedopałki na talerzyku pod filiżanką z kawą.

Teo odłożył pióro na kartki zeszytu. Wzruszył ramionami.

– To zależy od waszych planów na przyszłość. To, co zrobił dla was Eddie, wystarcza na obecnym etapie rozwoju interesów: król, dama, walet. Jednak jeśli sprawy posuną się dalej, byłoby wskazane wcześniej przygotować strukturę dającą się rozbudowywać, bez improwizacji czy pośpiechu.

– Ile czasu zajęłoby ci opracowanie tego wszystkiego? – spytała Teresa. Uśmiech Teo był taki sam jak poprzednio: powściągliwy, nieznaczący, zupełnie inny niż uśmiechy mężczyzn, jakie przechowywała w pamięci. I nadal jej się podobał – a może teraz jej się podobał – ten rodzaj uśmiechu, bo nie znaczył kompletnie nic. Zwyczajny, bezbarwny, automatyczny. Bardziej oznaka dobrego wychowania niż cokolwiek innego, jak połysk werniksu na stole albo lakieru na karoserii nowego samochodu. Nie był ani sympatyczny, ani marzycielski, nie doszukałbyś się w nim słabości, obsesji czy ułomności. Nie próbował oszukiwać, przekonywać ani uwodzić. Był związany ze swoim właścicielem, człowiekiem, który się z nim urodził i wychował, tak jak urodził się z dobrymi manierami i starannym węzłem krawata. Andaluzyjczyk uśmiechał się tak samo jak wtedy, kiedy rysował te proste linie na białych kartkach swojego notatnika. To uspokajało Teresę. Wtedy już wiele przeczytała i pamiętała, i umiała patrzeć. Uśmiech tego mężczyzny był z rodzaju tych, które ustawiają rzeczy na ich właściwym miejscu. Nie wiem, czy coś będzie między nami, pomyślała. Właściwie nie wiem, czy będę się jeszcze z kimś pieprzyć, ale jeśli tak, to z facetami, którzy tak właśnie się uśmiechają.

– To zależy od tego, kiedy przekażecie mi pieniądze na rozpoczęcie działań. Ale najwyżej miesiąc. Zależy to też od waszego wyjazdu

w sprawie załatwienia formalności lub od ewentualnego sprowadzenia odpowiednich osób tutaj czy na neutralny teren. W ciągu godziny zostaną złożone wszystkie podpisy i sprawa będzie załatwiona... Trzeba też ustalić, kto będzie za wszystko odpowiedzialny.

Oczekiwał odpowiedzi. Powiedział to zwyczajnym, lekkim tonem. Jakby chodziło o szczegół bez specjalnego znaczenia. A teraz czekał i patrzył na nie.

– My dwie – powiedziała Teresa. – Razem odpowiadamy za wszystko.

Teo odczekał kilka sekund, zanim się odezwał.

– Rozumiem. Ale potrzebny jest jeden podpis. Tej osoby, która będzie wysyłała faksy albo telefonowała we właściwym momencie. Pewne rzeczy ja mogę załatwić, naturalnie. Będę to robić, kiedy dacie mi częściowe pełnomocnictwa. Ale jedna z was musi podejmować pilne decyzje.

Zabrzmiał cyniczny śmiech Porucznik O'Farrell. Ostry śmiech weterana, który podciera się sztandarem.

– To jej sprawa. – Czubkiem papierosa wskazywała na Teresę. – Interesy wymagają wczesnego wstawania, a ja budzę się późno.

Miss American Express. Teresa zastanawiała się, dlaczego Pati przyjęła tę rolę i od jak dawna ją gra. Do czego chciała ją popchnąć i po co. Teo cofnął się na krześle. Teraz rozdzielał swoje spojrzenia po połowie. Bezstronnie.

– Moim obowiązkiem jest zauważyć, że w ten sposób wszystko zostawiasz w jej rękach.

– Jasne.

– Dobrze. – Andaluzjczyk uważnie przyjrzał się Teresie. – W takim razie sprawa załatwiona.

Już się nie uśmiechał, ale taksował ją wzrokiem. Zadaje sobie te same pytania na temat Pati, pomyślała Teresa. Na temat naszego związku. Oblicza wszystkie za i przeciw. W jakim stopniu mogę mu zapewnić zyski. Lub stwarzać problemy. I czego może się spodziewać po niej.

I wtedy przeczuła wiele z tego, co miało wydarzyć się później.

Pati patrzyła na nich przeciągle, gdy wychodzili ze spotkania, zjeżdżali windą i wymieniali ostatnie uwagi, idąc po nabrzeżu przystani sportowej. Widziała też Eddiego Alvareza, nieufnego i osamotnionego,

przy wejściu do baru Ke. Wyglądał jak ktoś, kto oberwał kamieniem i obawia się następnego ciosu – zapewne widmo przyłądka Castor albo wspomnienie sierżanta Velasco i Cañaboty chwyciło go za gardło. Pati była zamyślona, w przymkniętych oczach otoczonych siecią drobnych zmarszczek widoczny był cień rozbawienia czy zainteresowania lub jednego i drugiego – rozbawionego zainteresowania albo zainteresowanego rozbawienia – błakający się gdzieś po tej dziwnej głowie. Jakby Porucznik O’Farrell uśmiechała się i nie uśmiechała zarazem, kpiąc troszkę z Teresy i z siebie samej, ze wszystkiego i ze wszystkich. Kiedy wychodzili ze spotkania w apartamencie w Sotogrande, przyglądała się im tak, jakby zasiała w górach marihuanę i czekała na pierwszy zbiór, i nadal obserwowała ich, kiedy rozmawiali, stojąc na wprost przystani, i potem, całymi tygodniami i miesiącami, kiedy Teresa i Teo Aljarafe zaczęli się do siebie zbliżać. I czasem Teresa miała już tego dość, stawiała naprzeciw Pati i pytała, o co ci chodzi, wredna suko, wyduś to z siebie wreszcie. A wtedy ta uśmiechała się niewinnie, zupełnie inaczej niż zwykle, jakby nie wiedziała, o co Teresie chodzi. Mówiła: cha, cha, zapalała papierosa, nalewała kieliszek albo brała czystą i równiutką działkę koki, albo zaczynała mówić cokolwiek z tą swoją doskonale opanowaną wulgarnością. Z czasem Teresa przekonała się, że Pati nigdy nie była naprawdę ani wulgarna, ani szczerą. Czasami stawiała się taka, jaka była na początku: Porucznik O’Farrell z dawnych czasów, uszczypliwa, okrutna, wytworna, z tym mrocznym cieniem gdzieś w głębi, rzutuującym na jej zachowanie. Potem, kiedy Teresa zastanawiała się nad swoim związkiem z Teo Aljarafem, zaczęła sobie zadawać pytanie, do jakiego stopnia jej przyjaciółka przewidziała czy odgadła i sama wykreowała – jak ktoś, kto zaczyna rozumieć sens odkrywanych kart tarota – to, co wydarzyło się między nimi dwojgiem, i to, co rozegrało się, w pewnym sensie, między nimi trojgiem.

Teresa często spotykała się z Olegiem Jaszykowem. Lubiała tego wielkiego i spokojnego Rosjanina, który podchodził do pracy, pieniędzy, życia i śmierci z beznamiętnym słowiańskim fatalizmem, przypominającym jej Meksykanów z północy kraju. Szli czasem na kawę albo na spacer po spotkaniach zawodowych albo jedli kolację w Casa

Santiago na nadmorskim pasażu w Marbelli – Rosjanin lubił małe langusty w białym winie – ochroniarze spacerowali wtedy po chodniku z drugiej strony ulicy, przy plaży. Nie był człowiekiem zbyt rozmownym, ale kiedy przebywali razem i gawędzili, mówił Teresie o wielu rzeczach, nie przywiązując do tego większego znaczenia, choć ona potem długo się nad jego słowami zastanawiała. Nie próbował nigdy nikogo przekonywać do swoich racji, nie odpierał też żadnych argumentów. Ja nie dyskutuję, mawiał. Kiedy ktoś mi mówi, że będzie mniej, odpowiadam trudno, niech będzie. A potem robię to, co uważam za słuszne. Ten gość, szybko zrozumiała Teresa, ma bardzo konkretny sposób postrzegania świata i żyjących istot, nie opiera się ani na rozsądku, ani na współczuciu, jest po prostu praktyczny. Do niego dostosowuje swoje postępowanie i względne okrucieństwo. Są takie zwierzęta, mawiał, które siedzą na dnie morza w muszlach. Inne znów nadstawiają karku i ryzykują życie. A jeszcze inne docierają do brzegu, wychodzą i idą dalej. Wszystko polega na tym, żeby wiedzieć, jak daleko zajdziesz, zanim skończy ci się czas, którym dysponujesz. Tak. Jak długo wytrwasz i co osiągniesz w czasie tego trwania. Dlatego ważne jest tylko to, co pomaga przeżyć. Cała reszta jest nieistotna. To tylko dodatek, Tesa. W mojej pracy, tak jak i w twojej, trzeba przymierzyć się do prostego sensu tych dwóch słów: niezbędny i zbędny. Rozumiesz? To drugie słowo determinuje życie innych ludzi. A czasem je wyklucza.

Ale Jaszykow nie był całkiem hermetyczny. Żaden mężczyzna nie jest. Teresa już posiadała tę wiedzę, że milczenie, umiejętnie dozowane chwile ciszy, sprawiają, że inni ludzie zaczynają mówić. W ten sposób, krok za krokiem zaczęła zbliżać się do rosyjskiego gangstera. Dziadek Jaszykowa był carskim kadetem w czasach rewolucji bolszewickiej i przez następne, najtrudniejsze lata rodzina pielęgnowała pamięć młodego oficera. Jak wielu ludzi z jego klasy społecznej, Oleg Jaszykow podziwiał u innych odwagę – to właśnie, przyzna kiedyś, było powodem sympatii do Teresy. Pewnej nocy, kiedy rozmawiali przy wódce na tarasie baru Salduba w Puerto Banús, w głosie Rosjanina odkryła sentymentalny ton, niemal nostalgię, kiedy ten w krótkich słowach opowiedział jej historię swego dziadka, kadeta, a potem porucznika

regimentu kawalerii Nikołajewa, który zdążył spłodzić syna, zanim zginął gdzieś w Mongolii czy na Syberii, rozstrzelany w 1922 razem z baronem von Ungernem. Dziś są urodziny cara Mikołaja, powiedział nagle Jaszykow, kiedy już opróżnili w dwóch trzecich butelkę smirnoffa, odwracając twarz, jakby zjawą młodego oficera białej gwardii miała pojawić się na końcu nadmorskiego pasażu, między rolls-royce'ami, jaguarami i wielkimi jachtami. Potem podniósł w zamyśleniu kieliszek z wódką, przyjrzał mu się pod światło i trzymał go w górze, dopóki Teresa nie stuknęła w niego swoim kieliszkiem, i oboje wypili, patrząc sobie w oczy. I choć Jaszykow uśmiechał się żartobliwie, ona, która prawie nic nie wiedziała o rosyjskich carach, a jeszcze mniej o rozstrzelanych w Mandżurii oficerach kawalerii, będących czyimiś przodkami, zrozumiała, że Rosjanin, mimo ironicznego grymasu na twarzy, odprawiał poważny osobisty rytuał, a ona odgrywała ważną rolę i jej gest stuknięcia się kieliszkami był trafiony, bo sprawił, że stała się bliska temu człowiekowi, który jest niebezpieczny, ale i niezbędny. Jaszykow znów napełnił kieliszki. Urodziny cara, powtórzył. Tak. I od blisko wieku, nawet wtedy kiedy ta data i to słowo były zakazane w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, raju proletariatu, moja babka i moi rodzice, a potem i ja, wznosiliśmy w domu ten toast. Tak. Za pamięć cara i za pamięć kadeta Jaszykowa z regimentu kawalerii Nikołajewa. I nadal to robię. Tak. Sama widzisz. Gdziekolwiek bym był. Nic nie mówiąc. Zrobiłem to nawet wtedy, kiedy poszedłem w kamasze i przez jedenaście miesięcy parszywiałem w Afganistanie. Potem znów nalał wódki, i znów, aż wykończyli butelkę, a Teresa pomyślała, że każdy człowiek ma jakąś historię do opowiedzenia i że jeśli potrafi się milczeć i być cierpliwym, można kiedyś ją poznać. I to jest dobre i pouczające. A przede wszystkim pożyteczne.

Włosi, powiedział Jaszykow. Następnego dnia Teresa rozmawiała o tym z Pati O'Farrell. Mówi, że Włosi chcą się z nami spotkać. Potrzebują bezpiecznego transportu dla swojej kokainy, a on uważa, że z naszą infrastrukturą mogłybyśmy im pomóc. Są zadowoleni ze współpracy z nami przy haszyszu i chcą podwyższyć stawkę. Ich dawni kumple z galisyjskich mafii są za daleko, zajmują się czym innym i na dodatek są obstawieni policją. Włosi sondowali więc Olega, czy nie

chciałybyśmy się tym zająć. Otworzyć im szlak południowy przez Morze Śródziemne.

– No to jaki problem?

– Taki, że już nie będzie odwrotu. Jeśli podejmiemy to wyzwanie, trzeba mu będzie podołać. To wymaga kolejnych inwestycji. Komplikuje życie. Zwiększa ryzyko.

Były w Jerez, jadły tortille z krewetkami, popijając Tío Pepe w barze Carmela, przy jednym ze stolików ustawionych pod starą arkadą tworzącą tunel. Był sobotni poranek, słońce oślepiało ludzi spacerujących po placu Arenal – starsze małżeństwa ubrane wyjściowo, pary z dziećmi, grupki zebrane przy wejściach do tawern wokół ciemnych beczek na wino, ustawionych jak stoliki. Poszły obejrzeć pewien wystawiony na sprzedaż skład win o nazwie Fernández de Soto. Był to duży budynek ze ścianami pomalowanymi na biało i na kolor ochry, z obszernymi patiami okolonymi podcieniami, z zakratowanymi oknami i ogromnymi piwnicami, chłodnymi, pełnymi beczek z czarnego dębu z wypisanymi kredą nazwami różnych rodzajów win. Rodzina, do której należało to bankrutujące przedsiębiorstwo, była określana przez Pati jako jedna z tych, które były zawsze; została zrujnowana przez rozrzutność, przez konie najczystszej andaluzyjskiej krwi i kompletną nieudolność ostatniego pokolenia właścicieli – dwóch lekkomyślnych i zabawowych synów pojawiających się często w brukowej prasie; jeden z nich gościł nawet w kronice kryminalnej z powodu deprawacji nieletnich. Pati znała ich od dziecka. Tę inwestycję doradził im Teo Aljarafe. Jesteśmy już właścicielami terenów wokół słonych jezior w okolicach Sanlúcar i dworu w ich posiadłości w Jerez, a na części gruntów miejskich zbudowaliśmy apartamenty. Im więcej czystych interesów, tym lepiej. Skład win z nazwiskiem i dobrą marką dodaje klasy. Pati uśmieła się z tej klasy. Dobre nazwisko i marka mojej rodziny jakoś nie spowodowały, żebym była powszechnie szanowana, powiedziała. Ale pomysł wydawał się dobry. Pojechały więc obie do Jerezu, Teresa przebrana na tę okazję za damę, żakiet i szara spódnica, czarne buty na obcasie, włosy spięte na karku, z przedziałkiem pośrodku, srebrne kolczyki w kształcie prostych kółek. Używaj jak najmniej biżuterii, doradzała Pati, i zawsze tylko dobrą. Nie noś nigdy sztucznych

ozdób, nawet luksusowych. Pieniądże wydawaj na zegarki i kolczyki. Na specjalne okazje możesz założyć dyskretną bransoletkę albo te srebrne kółka, które czasemnosisz. Na szyi cienki złoty łańcuszek. Lepiej łańcuszek czy mały wisiołek niż naszyjnik, a jeśli już – niech będzie wartościowy, bursztyn, korale, perły... Prawdziwe, oczywiście. Tak samo z obrazami. Lepiej mieć dobrą litografię albo piękną starą rycinę niż zły obraz. Kiedy z Pati zwiedzały piwnice w towarzystwie usłużnego administratora, który, choć była jedenasta rano, był tak wystrojony, jakby dopiero co wrócił z obchodów Wielkiego Tygodnia w Sewilli, wysokie sklepienia i stylizowane kolumny w mroku i ciszy przywiodły jej na myśl meksykańskie kościoły zbudowane przez konkwistadorów. To niesamowite, pomyślała, jestem pewna, że doskonale znam te stare hiszpańskie budowle. Bliska jej była ta architektura, zwyczaje i atmosfera, czuła się tu jak w Meksyku. Już tu byłam, przemykało jej nieraz przez myśl, kiedy wychodziła zza zakrętu na ulicy czy przystawała przed jakąś bramą albo przed wejściem do kościoła. Do licha. Jest we mnie coś, co kiedyś już tu było i częściowo tłumaczy, kim jestem.

– Jeśli w biznesie z Włochami ograniczymy się tylko do transportu, wszystko będzie tak samo jak dotąd – powiedziała Pati. – Kogo złapią, ten płaci. Ale nic nie wie. I przerywa się łańcuch; nie padają żadne nazwiska, nie ma właścicieli. Ja nie widzę żadnego ryzyka.

Kończyła ostatnią tortillę z krewetkami, siedząc pod arkadą w słonecznym świetle, które złociło jej włosy, mówiła ściszym głosem. Teresa zapaliła bisonta.

– Nie o takim ryzyku mówię – odpowiedziała.

Jaszykow był precyzyjny. Nie chcę cię oszukiwać, Tesa, powiedział, kiedy siedzieli na tarasie w Puerto Banús. Kamorra, mafia i N'Drangheta to twardzi ludzie. Można z nimi wiele zyskać, jeśli wszystko idzie dobrze. Ale jeśli coś się nie uda, można stracić bardzo dużo. Z drugiej strony będziesz miała Kolumbijczyków. Tak. Oni też nie są święci. Nie. Pozytywny tylko jest fakt, że Włosi pracują z ludźmi z Cali, mniej brutalnymi niż odmóżdżone typy z Medellín, Pablo Escobar i ta cała banda psychopatów. Jeśli raz w to wdepniesz, to już na zawsze. Nie da się wysiąść z pociągu w biegu. Nie. Pociągi są dobre, jeśli nie ma w nich

naszych wrogów. Widziałaś film *Pozdrowienia z Moskwy*? Szwarzcharakter, któremu James Bond stawia czoło w pociągu, jest Rosjaninem. I nie jest to ostrzeżenie dla ciebie. Nie. To rada. Tak. Przyjaciele są przyjaciółmi, dopóki nie... Nie skończył, bo Teresa mu przerwała. Dopóki nie przestaną nimi być, dokończyła. I uśmiechnęła się. Jaszykow nagle spoważniał, popatrzył na nią uważnie. Jesteś bardzo bystra, Tesa, rzekł po chwili milczenia. Szybko się uczysz, wszystkiego i od wszystkich. Przeżyjesz.

– A Jaszykow? – zapytała Pati. – On nie wchodzi?

– Jest sprytny i ostrożny. – Teresa patrzyła na ludzi pod arkadą wychodzącą na Arenal. – Jak mówimy w Sinaloa, on ma chytry plan: chce wejść, ale nie chce zrobić pierwszego kroku. Jeśli my się zdecydujemy, wykorzysta to. Jeśli my zajmiemy się transportem, on zapewni swoim ludziom pewne dostawy. Ale najpierw chce zbadać system. Włosi dają mu okazję sprawdzenia wszystkiego przy niewielkim ryzyku. Jeśli to będzie działać, wejdzie w to. A jeśli nie, dalej będzie robił to samo co do tej pory. Nie chce narażać swojej pozycji.

– Warto?

– Zależy. Jeśli nam to wyjdzie, będzie cholerna kupa szmalu.

Pati siedziała z założonymi nogami, spódnica Chanel, beżowe buty na obcasie. Jej noga poruszała się w rytm muzyki, której Teresa nie słyszała.

– No cóż. To ty kierujesz interesem. – Przechyliła głowę na bok, a wokół oczu pojawiły się wszystkie drobne zmarszczki. – Dlatego tak wygodnie się z tobą pracuje.

– Mówię ci, że ryzyko jest poważne. Mogą nam skrócić kark. Nam obu. Śmiech Pati zabrzmiał tak głośno, że stojąca przy wejściu do baru kelnerka odwróciła się i spojrzała na nie.

– Mnie już kark skrócono wcześniej. Decyduj sama. Jesteś moją dziewczyną.

I znów patrzyła na nią tak samo jak przedtem. Teresa nic nie odpowiedziała. Wzięła swój kieliszek jerezu i podniosła go do ust. Zmieszane ze smakiem papierosa wino wydawało się gorzkie.

– Powiedziałaś o tym Teo? – spytała Pati.

– Jeszcze nie. Ale dziś po południu przyjedzie do Jerezu. Trzeba mu

będzie powiedzieć, oczywiście.

Pati otworzyła torebkę, żeby zapłacić. Wyjęła gruby plik banknotów, całkiem niedyskretnie, i kilka z nich upadło na ziemię. Pochyliła się, żeby je podnieść.

– Oczywiście – powiedziała.

Czegoś jednak, co powiedział jej Jaszykow w Puerto Banús, Teresa swojej przyjaciółce nie powtórzyła. Czegoś, co sprawiało, że rozglądała się czasem wokół ze skrywanym lękiem. Że myślała szybciej i zachowywała się uważniej, i że myśli nachodzące ją o szarym poranku nadal nie pozwalały jej spać. Pojawiły się plotki, oznajmił Rosjanin. Tak. Pewne rzeczy. Słyszałem, że ktoś w Meksyku interesuje się tobą. Z przyczyn, których ja nie znam, zwróciłaś uwagę swoich rodaków. Albo im się przypomniałaś. Pytają, czy jesteś tą samą Teresą Mendozą, która wyjechała z Culiacán przed czterema czy pięcioma laty. Czy to ty? Mów dalej, poprosiła go Teresa. Jaszykow wzruszył ramionami. Niewiele więcej wiem, powiedział. Tyle że pytają o ciebie. Znajomy znajomego. Tak. Dostałem zlecenie, żeby sprawdzić, co się z tobą dzieje i czy jest prawdą, że idziesz w górę w tym interesie. Czy poza haszyszem możesz zajmować się koką. Wygląda na to, że w twoim kraju są tacy, którzy się niepokoją, bo Kolumbijczycy, którym twoi rodacy zamykają bezpośredni dostęp do Stanów Zjednoczonych, zaczynają tu ostro działać. Tak. I fakt, że w to wszystko zaangażowana jest Meksykanka, chyba ich nie zachwyca. Nie. Zwłaszcza jeśli już wcześniej ją znali. Z dawnych czasów. Uważaj więc, Tesa. W tym biznesie posiadanie przeszłości nie jest ani złe, ani dobre, pod warunkiem że nie zwracasz na siebie uwagi. A tobie za dobrze idzie, żebyś nie zwracała uwagi. Twoja przeszłość, to, o czym nigdy nie mówisz, nie jest moją sprawą. *Niet*. Ale jeśli gdzieś masz rachunki do zapłacenia, ryzykujesz, że ktoś zechce je wyrównać.

Dawno temu w Sinaloa Blondyn Dávila zabrał ją ze sobą do samolotu. Jeden jedyny raz. Zaparkowali bronco, oświetlając reflektorami pokryty żółtym dachem budynek lotniska, przywitani się z żołnierzami pilnującymi placu pełnego awionetek i wystartowali tuż przed świtem, żeby obejrzeć słońce wschodzące nad górami. Teresa pamięta Blondyna siedzącego obok w kabinie cessny, promienie słoneczne odbijające się

w zielonych szklach jego słonecznych okularów, ręce oparte na drążkach, szum silnika, podobiznę świętego Malverdego na desce rozdzielczej – *Niech Bóg błogosławi mojom drogę i pozwoli mi powrócić* – i Sierra Madre w kolorze masy perłowej, złote błyski wody w strumieniach i zatokach, pola z zielonymi plamami marihuany, żyzną równinę i w oddali morze. Tamtego poranka świat oglądany z góry oczami szeroko rozwartymi w zachwycie wydał się Teresie czysty i piękny.

Myślała o tym teraz, siedząc w pokoju hotelowym w Jerez, w niemal zupełnej ciemności, bo lampy z ogrodu i basenu oświetlały tylko brzegi firanek w oknie. Teo Aljarafego już tam nie było. Z małej wieży stereo, stojącej przy telewizorze i wideo, rozbrzmiewał głos José Alfredo. *Siedzę w kącie tej kantyny, słucham piosenki, którą zamówiłem.* Blondyn mówił jej, że José Alfredo Jiménez umarł z przepicia, ostatnie piosenki układał w kantynach, teksty spisywali jego kumple, bo sam nie był już w stanie tego zrobić. *Twe wspomnienie i ja*, nazywała się ta, której Teresa teraz słuchała. I wszystko wskazywało, że była jedną z tych ostatnich.

Stało się to, co się musiało stać. Teo przyjechał po południu na podpisanie papierów dotyczących piwnic Fernández de Soto. Potem poszli to oblać. A po jednym kieliszku był drugi i następne. Spacerowali we troje, Teresa, Pati i on, po starówce, między zabytkowymi pałacami i kościołami, po ulicach pełnych knajpek i barów. Kiedy zatrzymali się w jednym z nich, Teo pochylił się, żeby przypalić jej papierosa, który unosiła do ust, i Teresa poczuła spojrzenie mężczyzny. Jak dawno to było, pomyślała nagle. Jak dawno tego nie było. Podobał jej się ten profil hiszpańskiego orła, opalone i pewne dłonie, uśmiech pozbawiony zamiarów i zobowiązań. Pati też się uśmiechała, ale inaczej, jakby z oddali. Pogodzona z losem. Pełna przeczuć. I w chwili gdy Teresa zbliżyła twarz do ręki mężczyzny chroniącego płomień w zagłębieniu dłoni, usłyszała słowa Pati: *muszę lecieć, do licha, przypominałam sobie coś ważnego. No to na razie. Teresa odwróciła się, żeby zaprotestować, nie, zaczekaj, idę z tobą, nie zostawiaj mnie tutaj, ale Pati już odeszła, nie odwracając się, z torbą na ramieniu, i Teresa została, patrząc, jak odchodzi, i czując na sobie wzrok Teo. Przez chwilę zastanawiała się,*

czy Pati rozmawiała z nim wcześniej. Co mówili. Co powiedzą potem. Nie, ta myśl była jak uderzenie bicia. Nie ma mowy. Nie można mieszać alkoholi. Nie mogę sobie pozwolić na pewne luksusy. Też idę. Ale coś w jej brzuchu, w okolicach pasa, zatrzymało ją – silny i wyraźny impuls, na który złożyły się zmęczenie, samotność, oczekiwanie i otępienie. Chciała odpocząć. Chciała czuć dotyk skóry mężczyzny, dotyk jego palców na swoim ciele, czuć jego usta tuż przy swoich ustach. Na chwilę stracić inicjatywę i poddać się dłoniom kogoś, kto będzie działał za nią. Za nią myślał. Wtedy przypomniła sobie połówkę zdjęcia, które nosiła w torebce, w portfelu. Dziewczyna o wielkich oczach w objęciach mężczyzny, daleka od wszystkiego, patrząca na świat tak, jakby wierzyła, że zawsze będzie taki piękny jak ten oglądany przez nią z kabiny cessny o perłowym poranku. Wreszcie odwróciła się, świadomie powoli. I pomyślała przy tym: cholerni pieprzeni faceci. Zawsze są gotowi i rzadko kiedy zastanawiają się nad takimi sprawami. Czują absolutną pewność, że wcześniej czy później jedno z nich, a może oboje, zapłacą za to, co właśnie ma się wydarzyć.

A teraz była sama. Słuchała José Alfredo. Wszystko odbyło się tak, jak można było przewidzieć, spokojnie, bez zbędnych słów i niepotrzebnych gestów. Dokładnie tak, jak to zapowiadał powściągliwy uśmiech Teo, mężczyzny doświadczonego, zręcznego i uważnego. Pod wieloma względami było to satysfakcjonujące. I naraz, już niemal przy końcu jednego z licznych końców, do których Teo ją doprowadził, przytomny wzrok tej drugiej Teresy znów zaczął ją obserwować – jak poprzednio – naga, wreszcie zaspokojoną, z twarzą zakrytą potarganymi włosami, zadowoloną po chwilach emocji, pragnienia i rozkoszy, lecz już ze świadomością, że pełne oddanie się mężczyznom skończyło się na Kamieniu Leona. Pomyślała o Pati, jej spazmie rozkoszy, kiedy pocałowała ją w usta na więziennej pryczy, i spojrzeniu, kiedy Teo przypalał Teresie papierosa w barze. I zastanowiła się, czy aby Pati nie dążyła właśnie do tego. Żeby popchnąć ją ku sobie samej. Ku tej postaci z luster, która zawsze patrzy przytomnym wzrokiem i nigdy się nie myli. Po wyjściu Teo poszła do łazienki, wzięła gorący prysznic, nacierając skórę mydłem, powoli, dokładnie; para zamgliła szybę lustra; potem ubrała się, wyszła na ulicę i spacerowała samotnie. Trafiła przypadkiem

na wąską uliczkę z zakratowanymi oknami, gdzie nagle zaskoczona usłyszała meksykańską piosenkę. *Niechaj moje życie się skończy, kiedy tak siedzę przy lampce wina.* To niemożliwe, pomyślała. To nie dzieje się naprawdę, tu i teraz. Podniosła wzrok i zobaczyła napis nad wejściem: EL MARIACHI. Meksykańska kantyna. Roześmiała się niemal głośno, bo rozumiała, że życie i los płatają subtelne figle, które po pewnym czasie stają się całkiem zrozumiałe. Do licha. Popchnęła wahadłowe drzwi i weszła do najprawdziwszej kantyny z rzędem butelek tequili za barem, gdzie młody pulchny kelner podawał klientom piwa Corona i Pacífico i puszczał płyty z piosenkami José Alfredo. Zamówiła pacífico tylko po to, żeby dotknąć żółtej etykiety, podniosła butelkę do ust: łyk, żeby poczuć smak wspomnień, które jej podsunął, a potem poprosiła o tequilę Herradura Reposado, którą podano jej w autentycznym *caballito*, wysokim i wąskim kieliszku. Teraz José Alfredo pytał, *czemu przyszłaś, dziewczyno, czemu szukasz litości, właśnie piszę ostatni w życiu tekst.* W tym momencie Teresę ogarnęło uczucie szczęścia, tak intensywne, że przebiegł ją dreszcz. Zamówiła następną tequilę, potem jeszcze jedną, a kelner rozpoznał jej akcent i uśmiechnął się miło. *Kiedy siedzę w kantynie, zaczęła się następna piosenka, obcy jest mi wszelki ból.* Wyjęła z torebki garść banknotów i poprosiła kelnera, żeby dał jej nieotwartą butelkę, i powiedziała, że chce kupić płyty, których słuchają. Nie mogą ich sprzedać, odpowiedział zaskoczony chłopak. Wyjęła z torby więcej pieniędzy, i jeszcze więcej, zarzuciła nimi całą ladę i przestraszony kelner dał jej w końcu, razem z butelką, dwie podwójne płyty José Alfredo: *Klasyczna setka* nazywały się cztery płyty z setką piosenek. Mogę kupić wszystko, pomyślała absurdalnie – a może wcale nie tak znów absurdalnie – kiedy wyszła z baru ze zdobyczą, nie przejmując się, że ludzie patrzą, jak niesie w ręku butelkę. Poszła na postój taksówek – przez chwilę czuła, że ziemia kołysze się jej pod stopami – i wróciła do hotelowego pokoju. I teraz siedziała w hotelu, z butelką opróżnioną w połowie, wtórując głośno piosence. *Gdy grali corrido, które zamówiłem, znów przede mną stanął kieliszek tequili, a ja pomyślałem o mojej dziewczynie.* Lampy w ogrodzie i nad basenem nie rozpraszały mroku w pokoju, ale oświetlały zmiętą pościel, dłonie Teresy palącej papierosa

naszpikowanego haszyszem, ich ruch do kieliszka i butelki, stojących na nocnej szafce. *Czy ktoś na tym świecie nie doznał zawodu, gdy wszyscy ludzie naraz go opuścili. Czy ktoś na tym świecie nie poszedł do baru posłuchać piosenek i napić się tequili.* Zastanawiam się, kim teraz naprawdę jestem, mówiła do siebie, poruszając bezgłośnie ustami. Co z tobą, maleńka. Zastanawiam się, jak mnie widzą inni, i chcę, żeby widzieli mnie tylko z oddali. Co się właściwie stało? Potrzeba mężczyzny. Może. Chęć zakochania? Już nie. Jestem wolna, to chyba właściwe słowo, choć brzmi górnolotnie, przesadnie. Nawet już nie chodzę do kościoła. Spojrzała w górę na ciemny sufit i niczego nie zobaczyła. *Już mi leją strzemiennego,* śpiewał w tej chwili José Alfredo, a ona śpiewała razem z nim. No to nie. *Teraz tylko proszę, żeby mi zagrali Tę Której Już Nie Ma.*

Znów wstrząsnął nią dreszcz. Na prześcieradle, obok niej, leżało przedarte zdjęcie. Jest bardzo zimno, kiedy jest się wolnym.

*Nie umiem zabijać,
ale pewnie się nauczę*

Koszary żandarmerii w Galapagar znajdują się nieco poza miasteczkiem, położonym niedaleko Escorialu – szeregowo domki dla rodzin pracowników i większy budynek, gdzie mieści się komendantura. W tle szary pejzaż ośnieżonych gór. Tuż obok – oto paradoksy życia – porządnie wyglądających domów z prefabrykatów, w których mieszka wspólnota Cyganów, utrzymująca z koszarami świetne stosunki, co zadaje kłam stereotypom rodem z Garcíi Lorki o Herediach, Camboriach i policjantach w trójgraniastych, lakierowanych kapeluszach. Wylegitymowałem się przy wjeździe i zostawiłem samochód na strzeżonym parkingu; strażniczka – wysoka i jasnowłosa, umundurowana od stóp po zieloną gumkę ściągającą jej włosy w koński ogon pod czapką – zaprowadziła mnie do biura kapitana Victora Castro, niewielkiego pokoiku z komputerem na biurku i hiszpańską flagą na ścianie, obok której wisiały, niczym trofea czy ozdoby, stary mauzer Coruña z roku czterdziestego piątego i karabin Kałasznikow AKM.

– Mogę panu zaproponować jedynie obrzydliwą kawę – powiedział.

Poprosiłem o kawę, którą sam mi przyniósł z automatu stojącego w korytarzu, mieszając płyn plastikową łyżeczką. Rzeczywiście była okropna. Sam zaś kapitan Castro okazał się jednym z tych ludzi, do których czuje się sympatię od pierwszego wejrzenia: poważny, energiczny, z siwymi włosami ściętymi na jeża i malowniczymi wąsami, które też zaczynały już siwieć, o spojrzeniu równie szczerym i bezpośrednim jak uścisk dłoni, jakim mnie przywitał. Miał twarz człowieka uczciwego; może dlatego między innymi jego zwierzchnicy dawno temu powierzyli mu na pięć lat dowodzenie specjalną grupą Delta Cztery na Costa del Sol. Jak wynikało z moich notatek, uczciwość kapitana Castro okazała się w końcu niewygodna nawet dla jego dowództwa. Może właśnie dlatego składałem mu wizytę w wiosce zagubionej wśród gór wokół Madrytu, w jednostce, gdzie dowodził trzydziestoma żandarmami, co w żadnej mierze nie odpowiadało jego stopniowi, i musiałem się mocno natrudzić – wpływy, starzy znajomi

– zanim Naczelną Dyрекcyjã Żandarmerii wydała zgodę na naszą rozmowę. Podsumował to filozoficznie sam kapitan Castro, kiedy odprowadzał mnie uprzejmie do samochodu. Nasi ludzie, powiedział z uśmiechem, jakoś nigdzie nie zrobili kariery.

Rozmawialiśmy właśnie o jego karierze: siedział za biurkiem w swoim pokoiku, z ośmioma różnokolorowymi baretkami odznaczeń przyszytymi po lewej stronie wojskowej bluzy, a ja przy swojej kawie. Dokładnie rzecz biorąc, mówiliśmy o czasach, kiedy pierwszy raz zajmował się Teresą Mendozą w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa żandarma z Manilvy, sierżanta Ivana Velasco, którego opisał – kapitan bardzo starannie dobierał słowa – jako funkcjonariusza o wątpliwej uczciwości, podczas gdy moi poprzedni rozmówcy – wśród nich były policjant Nino Juárez – zapytani o tego człowieka, określali go mianem skończonego skurwysyna.

– Śmierć Ivana Velasco nastąpiła w podejrzanych okolicznościach – wyjaśnił. – Zajmowaliśmy się tą sprawą. Zbieżność z pewnymi przypadkami przemytu, a także ze śmiercią Santiago Fisterry i wypadkiem koło przylądka Castor, przyczyniły się do tego, że powiązaliśmy tę sprawę z wyjściem z więzienia Teresy Mendozy. Choć niczego nie dało się udowodnić, mnie doprowadziło to do Meksykanki i z czasem wyspecjalizowałem się w sprawach jej dotyczących: dozór, nagrania wideo, podsłuch telefonów na podstawie decyzji sądowych... No, wie pan. – Patrzył na mnie, jakby miał pewność, że wiem. – Celem mojej pracy nie było tępienie przemytu narkotyków, ale badanie tego środowiska. Poznawanie ludzi, których Meksykanka kupowała i korumpowała, a których z czasem przybywało. Byli pośród nich bankierzy, sędziowie, politycy. I ludzie z mojej firmy – celnicy, żandarmi, policjanci.

Na słowo „policjanci” skinąłem głową z zainteresowaniem. Pilnowanie pilnujących.

– Jakie były relacje Teresy Mendozy z komisarzem Nino Juarezem? – zapytałem.

Wahał się przez chwilę, jakby obliczał wartość czy wagę każdego słowa, które miał wypowiedzieć. Potem wykonał wieloznaczny gest.

– Niewiele więcej mogę panu powiedzieć niż to, co w swoim czasie

pisały gazety... Meksykance udało się nawet dotrzeć do brygad antynarkotykowych. Juárez pracował dla niej. Podobnie jak wielu innych.

Odstawiłem plastikowy kubek na stół i pozostałem w tej pozycji, pochylony do przodu.

– Nigdy nie próbowała pana przekupić?

Milczenie kapitana Castro stało się nieprzyjemne. Patrzył bez wyrazu na kubek. Przez chwilę zacząłem się obawiać, że na tym rozmowa się zakończyła. Było mi bardzo miło poznać pana. Do widzenia. Żegnam.

– Ja wiele rozumiem, wie pan – powiedział w końcu. – Rozumiem, ale nie usprawiedliwiam tego, że jeśli ktoś marnie zarabia i trafia mu się okazja, kiedy mówią mu, słuchaj, jutro, kiedy będziesz tu i tu, zamiast patrzeć w lewo, popatrz w prawo, robi to, a w zamian dostaje grubą paczkę banknotów. To ludzkie. Każdy jest, jaki jest. Wszyscy chcemy żyć lepiej, niż żyjemy... Ale jedni znają granice, których nie wolno im przekroczyć, a inni nie...

Znów zamilkł i podniósł wzrok. Często wątpię w ludzką uczciwość, ale w to spojrzenie nie sposób było wątpić. Choć w gruncie rzeczy nigdy nie wiadomo. Wiele słyszałem o kapitanie Victorze Castro, trzecim na swoim roku, siedem lat służby w Kraju Basków, wyjazd w charakterze wolontariusza do Bośni, medal z czerwoną wstążką za zasługi w policji.

– Oczywiście, że próbowali mnie kupić – powiedział. – Nie był to ani pierwszy, ani ostatni raz. – Pozwolił sobie na słaby uśmiech, niemal wyrozumiały. – Nawet tu, w tej wsi, próbują od czasu do czasu, choć w innej skali. Świąteczna szynka od firmy budowlanej, zaproszenie od radnego... Jestem przekonany, że każdy ma swoją cenę. Być może moja jest zbyt wysoka. Nie wiem. Ale faktem jest, że nigdy mnie nie kupili.

– Dlatego wylądował pan tutaj?

– To dobre stanowisko. – Patrzył na mnie obojętnie. – Spokojne. Nie skarzę się.

– Czy prawdą jest, że – jak słyszałem – Teresa Mendoza miała kontakty nawet w Naczelnej Dyrekcji Żandarmerii?

– O to trzeba byłoby zapytać Naczelną Dyrekcję.

– Czy to prawda, że prowadził pan wspólnie z sędzią Martinezem Pardo śledztwo, które zostało wstrzymane nakazem Ministerstwa

Sprawiedliwości?

– Odpowiem panu tak jak poprzednio. Niech pan zapyta Ministerstwo Sprawiedliwości.

Skinąłem głową, przyjmując takie reguły. Nie wiem dlaczego, ale ta fatalna kawa pogłębiła moją sympatię dla niego. Przypomniałem sobie komisarza Nino Juareza przy stole w Casa Lucio, popijającego Viña Pedrosa, rocznik 1996. Jak to określił mój rozmówca chwilę wcześniej? Każdy jest, jaki jest.

– Niech mi pan opowie o Meksykance – powiedziałem.

Wyjąłem z kieszeni odbitkę zdjęcia zrobionego głęboką nocą z helikoptera straży celnej i położyłem ją na biurku: Teresa Mendoza w świetle reflektora w chmurze rozpylonej, migoczącej wody, ze zmoczonymi włosami i mokrą twarzą, z rękami opartymi na ramionach pilota ślizgacza, pędzącego z prędkością pięćdziesięciu węzłów na spotkanie z Kamieniem Leona i swoim przeznaczeniem. Znam to zdjęcie, powiedział kapitan Castro. Jednak przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu, po czym znów przesunął je w moją stronę.

– Była bardzo sprytna i szybka – dodał po chwili. – Jej błyskawiczny awans w tak niebezpiecznym świecie zaskoczył nas wszystkich. Ryzykowała i miała szczęście... Między tą dziewczyną, która dla towarzystwa płynie z narzeczonym motorówką, a kobietą, którą poznałem, jest kawał drogi. Widział pan reportaże w prasie, prawda? Zdjęcia w kolorowych tygodnikach. Bardzo dużo się nauczyła, nabrała dobrych manier i nabyła kultury. Stała się wpływową. Prawdziwa legenda, jak mówią. Królowa Południa. Tak ją nazywali dziennikarze. Dla nas zawsze była Meksykanką.

– Zabijała?

– Jasne, że zabijała. Albo zabijano dla niej. W tym biznesie zabijanie to część działalności. Ale niech pan zwróci uwagę, jaka była sprytna. Nikt nigdy nie udowodnił jej niczego. Żadnego zabójstwa, żadnego przemytu. Całkowicie czysta. Nawet urząd skarbowy sprawdzał ją starannie, usiłując znaleźć cokolwiek. Ale nic... Podejrzewam, że mogła też przekupić tych, którzy ją sprawdzali.

Wydało mi się, że dostrzegam jakiś cień gorczy w jego słowach. Spojrzałem na niego zaciekawiony, a on cofnął się na krześle. Nie

posuwajmy się dalej tą drogą, znaczył jego ruch. To wykracza poza temat rozmowy i poza moje kompetencje.

– Jak to się stało, że tak szybko zaszła tak wysoko?

– Mówiłem już panu, że była sprytna i miała szczęście. Pojawiła się dokładnie w chwili, gdy kolumbijskie mafie poszukiwały alternatywnych tras przerzutowych w Europie. Poza tym wprowadzała innowacje. To, że dzisiaj Marokańczycy kierują przemytem po obu stronach cieśniny, jest jej zasługą. Zaczęła z nimi współpracować coraz częściej, częściej niż z przemytnikami gibraltarskimi czy hiszpańskimi, i pojedyncze, niemal rzemieślnicze, chaotyczne działania przekształciła w sprawnie działające przedsiębiorstwo. Zmienił się nawet wygląd jej pracowników. Kazała im się dobrze ubierać, żadnych złotych łańcuchów i krzykliwych strojów – proste ubrania, dyskretne samochody, mieszkania zamiast luksusowych posiadłości, dojazdy taksówkami na robocze spotkania... I w ten sposób, wciąż zajmując się marokańskim haszyszem, zorganizowała siatki przemytu kokainy na wschód Morza Śródziemnego, wypierając inne mafie i Galisyjczyków, którzy próbowali się tam zadomowić. O ile wiadomo, nigdy nie przewoziła własnego towaru. Ale wszyscy byli od niej zależni.

Kluczem do kariery Meksykanki, ciągnął swoją opowieść kapitan Castro, było doświadczenie, które potrafiła wykorzystać do planowania akcji na wielką skalę przy użyciu ślizgaczy. Tradycyjnymi łodziami były phantomy o sztywnym kadłubie i ograniczonym zasięgu, często ulegające awarii w trudnych warunkach; ona pierwsza zrozumiała, że łodzie półsztywne znoszą dużo lepiej przeciwności pogody, i w takich warunkach rzadziej się psują. Stworzyła więc flotyllę zodiaków, zwanych w żargonie gibraltarskimi gumami: najnowsze modele tych pontonów miały nawet piętnaście metrów długości i były wyposażone w trzy silniki. Ten dodatkowy silnik nie powodował już wzrostu prędkości – najwyższa osiągalna nadal wynosiła około pięćdziesięciu węzłów – ale służył do ustabilizowania mocy. A większy rozmiar pozwalał brać zapas paliwa. Czyli: większy zasięg i większy ładunek na pokładzie. W ten sposób mogła pracować zarówno przy pogodzie, jak i przy niepogodzie, do tego nawet w okolicach oddalonych od Gibraltaru – przy ujściu Gwadalkiwiru, w Huelvie i na pustych wybrzeżach

Almerii. Czasem docierała nawet do Murcii i Alicante, wykorzystując kutry rybackie i prywatne jachty do dowozu paliwa, które tankowano na pełnym morzu. Przeprowadzała operacje ze statkami przypluwającymi bezpośrednio z Ameryki Południowej i wykorzystywała marokańską trasę przemytu – kokainę odbierano w Agadirze i Casablance – a następnie organizowała transport powietrzny z ukrytych pasów startowych w górach Rif na małe lotniska w Hiszpanii, które nawet nie figurują na mapach. Wprowadziła też modę na tak zwane bombardowania: dwudziestopięciokilogramowe paczki z haszyszem lub koką, opakowane w szklane włókno i zaopatrzone w pływaki, były zrzućane do morza i wyławiane przez kutry i motorówki. Żadnej z tych rzeczy nikt wcześniej w Hiszpanii nie robił. Lotnicy Teresy Mendozy rekrutowali się spośród pilotów małych samolotów rolniczych i potrafili startować i lądować na drogach i pasach startowych długości dwustu metrów. Latali nisko, przy księżycu, pomiędzy górami, na niewielkiej wysokości nad morzem, wykorzystując brak radarów w Maroku oraz hiszpański system powietrznego wykrywania, który miał lub ciągle ma – kapitan rękami zatoczył wielki krąg – dziury tej wielkości. Nie wspominając o tym, że ktoś, komu odpowiednio posmarowano, mógł przymknąć oczy na jakieś podejrzanе echo na ekranie.

– Wszystko to zostało potwierdzone później, kiedy jedna cessna skymaster rozbiła się w okolicy Tabernas w Almerii, z dwustoma kilogramami kokainy na pokładzie. Pilot, pewien Polak, zginął na miejscu. Wiedzieliśmy, że to transport Meksykanki, ale nikomu nie udało się jej nigdy niczego dowieść w tej sprawie. Ani w żadnej innej.

Zatrzymała się przed witryną księgarni Alameda. W ostatnich czasach kupowała dużo książek. Miała ich w domu coraz więcej, stały rzędami na półkach albo leżały gdziekolwiek, na różnych meblach. Czytała nocą w łóżku albo w ciągu dnia na tarasie nad morzem. Niektóre książki opowiadały o Meksyku. W tej księgarni w Maladze znalazła wiele nazwisk pisarzy pochodzących z jej kraju: powieści kryminalne Paca Ignacia Taibo II, zbiór opowiadań Ricarda Garibaya, *Historię podboju Nowej Hiszpanii* napisaną przez niejakiego Bernala Diaza del Castillo, który osobiście znał Cortesa i Malinche, i jeden tom z serii dzieł wszystkich Octavia Paza – nigdy wcześniej nie słyszała o tym panu, ale

wiele wskazywało, że musiał być tam kimś ważnym – zatytułowany *Pielgrzym we własnej ojczyźnie*. Czytała go bardzo wolno, z trudnością, przeskakując strony, których sensu nie rozumiała. Ale sporo zostało jej w głowie: było to coś nowego, co kazało jej zastanowić się nad swoim krajem – nad ludźmi dumnymi, gwałtownymi, dobrymi i nieszczęśliwymi zarazem, nad krajem, gdzie Bóg jest daleko, a cholerni jankesi blisko – i nad sobą samą. Te książki zmuszały do myślenia o pewnych sprawach, nad którymi nigdy wcześniej się nie zastanawiała. Poza tym czytała gazety, oglądała telewizję, głównie wiadomości i popołudniowe seriale. Jednak na czytanie poświęcała teraz więcej czasu niż na cokolwiek innego. Już w El Puerto de Santa María zaczęła odkrywać i doceniać znaczenie czytania. Książki sprawiają, że opisywane w nich historie i wyrażane opinie stają się twoimi i po skończonej lekturze nie jesteś już tym samym człowiekiem, jakim byłeś, kiedy ją zaczynałeś. Bardzo inteligentni ludzie napisali niektóre z tych stron; i jeśli potrafisz czytać z pokorą, cierpliwością i chęcią uczenia się, nigdy się nie zawiedziesz. Nawet to, czego się nie rozumie, utkwi ci w jakimś zakamarku głowy i czeka, żeby kiedyś w przyszłości nabrać sensu i zmienić się w rzeczy piękne czy pożyteczne. Bohaterów *Hrabiego Monte Christo* i *Pedra Páramo* – te książki z różnych powodów lubiła najbardziej i czytała je nie raz i nie dwa razy – traktowała niemal jak kumpli, których poznała na wylot. Książka Juana Rulfo od początku stanowiła dla niej wyzwanie, a teraz, przebiegając jej strony, Teresa czuła satysfakcję, bo już ją rozumiała: „Chciałem się cofnąć, bo myślałem, że wracając, odnajdę ciepło, które zostawiłem za sobą, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że zimno wychodzi ze mnie, z mojej własnej krwi...”[9]. Zafascynowana odkryła, z dreszczem strachu i rozkoszy, że wszystkie książki świata opowiadają o niej.

Patrzyła teraz na witrynę, rozglądając się za jakąś okładką, która przyciągnęłaby jej uwagę. Kiedy wybierała spośród nieznanych sobie książek, kierowała się zazwyczaj wyglądem okładek i tytułami. Tak było z powieścią niejakiej Niny Berberowej, którą przeczytała ze względu na rysunek na okładce: młoda dziewczyna przy fortepianie; historia bohaterki tak bardzo ją zafascynowała, że zaczęła szukać innych książek tej samej autorki. Ponieważ była to Rosjanka, podarowała tę powieść

– zatytułowaną *Akompaniorka* – Olegowi Jaszykowowi, który czytał wyłącznie prasę sportową i rzeczy związane z czasami carskimi. Niezły numer z tej pianistki, skomentował gangster kilka dni później. Co świadczyło o tym, że przynajmniej przekartkował książkę.

Był to smutny poranek, dość chłodny jak na Malagę. Wcześniej padało i lekkie opary mgły snuły się między miastem a portem, powlekając szarością drzewa przy Alamedzie. Teresa patrzyła przez szybę na powieść, która nosiła tytuł *Mistrz i Małgorzata*. Okładka nie była zbyt atrakcyjna, ale nazwisko autora brzmiało z rosyjska, uśmiechnęła się więc, wyobraziwszy sobie minę Jaszykowa, kiedy znów wręczy mu książkę. Już miała wejść do księgarni, gdy nagle w lustrze z jakąś reklamą, stojącym obok wystawy, zobaczyła swoje odbicie: włosy związane w koński ogon, srebrne kolczyki, twarz bez makijażu, elegancka, czarna długa skórzana kurtka, dżinsy i wysokie buty z brązowej skóry. Na ulicy za jej plecami tylko parę samochodów przesuwano się w kierunku mostu Tetuán, po chodniku szło niewielu przechodniów. I nagle wszystko w niej zamarło, jakby serce, krew i myśli w tym momencie się zatrzymały. Poczowała to, zanim jeszcze zrozumiała. Nawet zanim zdążyła pomyśleć. Była to stara, znajoma i niedająca się z niczym pomylić Sytuacja. Coś zobaczyłam, pomyślała zaniepokojona, nie odwracając się, nieruchoma przed lustrem pozwalającym jej widzieć, co dzieje się za plecami. Przerazona. Coś było nie tak w tym obrazie, nie potrafiła jednak tego zidentyfikować. Pewnego dnia – przypomniała sobie słowa Blondyna Dávili – ktoś podejdzie do ciebie. Ktoś, kogo może nawet będziesz znała. Uważnie zbadała całą przestrzeń widoczną w lustrze i wreszcie dostrzegła dwóch mężczyzn, którzy przechodzili przez ulicę na wysokości księgarni, powoli, przepuszczając samochody. Było w nich coś znajomego, ale zdała sobie z tego sprawę dopiero kilka sekund później. Najpierw zwróciła uwagę na pewien szczegół: mimo że było chłodno, obaj nieśli przerzucone przez ramię kurtki. Wtedy poczuła ślepe irracjonalne przerażenie, dobrze jej znane z dawnych lat. Nie sądziła, że kiedykolwiek w życiu jeszcze je poczuje. I kiedy weszła spieszenie do księgarni i miała zapytać sprzedawcę, czy jest tam tylne wyjście, zdała sobie sprawę, że rozpoznała Kocura Fierrosa i Potemkina Galveza.

Znów uciekała. Właściwie ciągle uciekała, od chwili kiedy zadzwonił tamten telefon w Culiacán. Ucieczka naprzód, bez obranego kierunku, która wiodła ją nie wiadomo dokąd, do jakich ludzi i miejsc. Wyszła tylnymi drzwiami, cała spięta, każdy naprężony mięsień oczekiwał kawałka ołowiu. Pobiegnęła ulicą Panaderos, nie przejmując się, że zwraca na siebie uwagę, minęła targ – przypomniała sobie swoją pierwszą ucieczkę – bardzo szybkim krokiem doszła do ulicy Nueva. Serce biło jej z prędkością sześciu tysięcy ośmiuset uderzeń na minutę, jakby miała w nim podrasowany silnik. Takatakatak. Takatakatak... Odwracała się, żeby spojrzeć za siebie od czasu do czasu, ale miała nadzieję, że mordercy wciąż czekają na nią przed księgarnią. Zwolniła kroku, kiedy o mało co nie przewróciła się na mokrym bruku. Uspokój się i myśl. Zaraz się sama zabijesz, powiedziała sobie. Nie wygłupiaj się, ale pomyśl. Nie zastanawiaj się, co oni tu robią, tylko jak się ich pozbyć. Jak ocalić własną skórę. Nad przyczynami będziesz mogła zastanawiać się później, jeśli jeszcze będziesz żyła.

Nie można poprosić o pomoc policji ani wrócić do cherokee ze skórzanymi siedzeniami – z Sinaloa przywiozła słabość do samochodów terenowych – zaparkowanego w podziemiach placu przy porcie. Pomyśl, znów powiedziała do siebie. Pomyśl, bo inaczej zaraz umrzesz. Rozejrzała się wokół, szukając ratunku. Znajdowała się na placu Constitución kilka kroków od hotelu Larios. Czasami bywała tu razem z Pati, kiedy robiły zakupy; chodziły na drinka do baru na pierwszym piętrze. Przyjemne miejsce, z którego można było widzieć – a w tym wypadku obserwować – spory fragment ulicy. No to do hotelu, naprzód. Mijając wejście, wyjęła z torby telefon i ruszyła schodami do góry. Bip, bip, bip. Ten problem mógł rozwiązać jedynie Oleg Jaszykow.

Miała kłopot, żeby zasnąć tej nocy. Z półsnu zrywała się przerażona, słysząc głos jęczący w ciemności, po czym odkrywała, że był to jej własny głos. Obrazy z przeszłości mieszały się z teraźniejszością: lubieżny uśmiech Kocura Fierrosa, pieczenie między udami, wystrzały z colta Double Eagle, półnaga ucieka między krzakami, które kaleczą jej nogi. Jakby to było wczoraj, jakby przed chwilą. Przynajmniej trzy razy usłyszała, jak jeden z goryli Jaszykova stukał do drzwi sypialni. Czy pani dobrze się czuje? Może pani czegoś potrzebuje. Przed świtem

ubrała się i zeszła do salonu. Jeden z mężczyzn drzemał na sofie, drugi podniósł wzrok znad gazety i wstał powoli. Może kawy, proszę pani. Może kieliszek czegoś mocniejszego. Teresa odmówiła ruchem głowy i usiadła przy oknie wychodzącym na port w Esteponie. Jaszykow udostępnił jej to mieszkanie. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, powiedział. I staraj się nie wracać do domu, dopóki wszystko się nie ułoży. Dwaj goryle byli w średnim wieku, tędzy i spokojni. Jeden mówił z rosyjskim akcentem, a drugi bez akcentu, bo wcale nie otwierał ust. Obaj bez tożsamości. Bikile, mówił o nich Jaszykow. Żołnierze. Milczący ludzie poruszający się powoli i patrzący we wszystkie strony wzrokiem zawodowca. Nie opuszczali jej na krok od chwili, gdy pojawili się w hotelowym barze, jeden ze sportową torbą na ramieniu, nie zwracając na siebie uwagi, i odprowadzili ją – ten, który mówił, poprosił cicho i uprzejmie, żeby dokładnie opisała wygląd bandytów – do mercedesa o przyciemnionych szybach, który czekał przy wejściu. Teraz sportowa torba leżała na stole, a wewnątrz niej lśnił metalicznie pistolet maszynowy Skorpion.

Jaszykowa zobaczyła nazajutrz. Spróbujemy załatwić tę sprawę, powiedział Rosjanin. Tymczasem staraj się nie spacerować zbyt wiele. I byłoby dobrze, gdybyś mi wyjaśniła, o co tu, do cholery, chodzi. Tak. Jakie rachunki zostawiłaś za sobą. Chcę ci pomóc, ale nie zamierzam znajdować sobie nowych wrogów bez powodu ani mieszać się w sprawy ludzi, którzy mają związek ze mną albo z moimi interesami. Jeśli o to chodzi, *niet* i *niet*. O ile to dotyczy Meksykanów, jest mi wszystko jedno, bo tam nie mam żadnych biznesów. Nie. Ale z Kolumbijczykami muszę mieć dobre układy. Tak. To Meksykanie, przyznała Teresa. Z Culiacán, stan Sinaloa. Z moich pieprzonych stron. W takim razie nie zależy mi, odpowiedział Jaszykow. Mogę ci pomóc. Teresa zapaliła więc pierwszego papierosa, potem drugiego i następnego i przez dłuższą chwilę przedstawiała swojemu rozmówcy ten etap życia, który uważała za bezpowrotnie zamknięty: Batman Güemes, don Epifanio Vargas, przekręty Blondyna Dávili, jego śmierć, ucieczka z Culiacán, potem Melilla i Algeciras. To by się zgadzało z tym, co słyszałem, podsumował Jaszykow, kiedy skończyła. Poza tobą nigdy nie było tu Meksykanów. Nie. Twoje kwitnące interesy musiały komuś tam nasunąć pewne

wspomnienia.

Postanowili, że Teresa będzie funkcjonowała normalnie – nie mogą być zamknięta, powiedziała, dość się nasiedziałam w El Puerto – ale wzmocnione zostaną środki ostrożności i dwaj goryle Jaszykowa będą przy niej w dzień i w nocy. Sama też powinnaś zacząć nosić broń, doradził Rosjanin. Ale nie chciała. Daj spokój, powiedziała, nie wygłupiaj się. Jestem czysta i wolę, żeby tak zostało. Nielegalne posiadanie broni wystarczy, żebym znów wylądowała za kratkami. I po chwili zastanowienia Rosjanin przyznał jej rację. No to dbaj o siebie, zakończył. A ja się tym zajmę.

Przez cały następny tydzień goryle chodzili za nią krok w krok, a ona sama nie pokazywała się zbyt często. Nie zbliżała się w tym czasie do swojego domu – luksusowego apartamentu w Puerto Banús, który właśnie zamierzała zamienić na dom nad morzem w Guadalmina Baja. Pati przynosiła jej ubrania, książki, wszystko, co było potrzebne. Masz goryli jak na filmie, mówiła. To wygląda jak *Tajemnice Los Angeles*. Spędzały razem wiele czasu, rozmawiały albo oglądały telewizję w salonie, siedząc przy stoliku oprószonym białym proszkiem, pod baczny spojrzeniem oczu bez wyrazu należących do dwóch facetów od Jaszykowa. Po tygodniu Pati powiedziała do nich: szczęśliwego Nowego Roku – była połowa marca – i położyła na stole, obok torby z pistoletem maszynowym w środku, dwie grube paczki banknotów. To taki drobiazg, powiedziała. Napijcie się czegoś. Za to, że tak dobrze pilnujecie mojej przyjaciółki. Już nam zapłacono, powiedział ten, który mówił z akcentem, spojrzawszy wcześniej na pieniądze i na swojego towarzysza. A Teresa pomyślała, że albo Jaszykow bardzo dobrze płaci swoim ludziom, albo czują przed Rosjaninem olbrzymi respekt. Może i jedno, i drugie. Nigdy nie poznała ich nazwisk. Pati zawsze mówiła o nich Pixie i Dixie.

Oba pakunki zostały odnalezione, powiedział Jaszykow. Znajomy, który był mi winien przysługę, właśnie przed chwilą zadzwonił. Będę cię informował na bieżąco. Powiedział jej to przez telefon w przeddzień spotkania z Włochami, pozornie nie przywiązując do tych słów specjalnego znaczenia, między jedną sprawą a drugą w trakcie rozmowy. Teresa akurat planowała ze swoimi ludźmi zakup ośmiu nowoczesnych

łodzi pneumatycznych dziewięciometrowej długości, które do czasu spuszczenia na wodę miały być przechowywane w magazynie w Esteponie. Rozłączyła się i zapaliła papierosa, żeby dać sobie chwilę czasu, zastanawiając się, jak ten problem rozwiąże jej rosyjski przyjaciel. Pati patrzyła na nią uważnie. Czasami wydaje się, że ona odgaduje moje myśli, pomyślała Teresa z lekką irytacją. Poza Pati – Teo Aljarafe był na Karaibach, a Eddie Alvarez, oddelegowany do zadań administracyjnych, załatwiał jakieś papiery w banku w Gibraltarze – obecni byli nowi doradcy Transer Nagi: Farid Lataquia i doktor Ramos. Lataquia, libański maronita, były właściciel przedsiębiorstwa importowego, które służyło za przykrywkę dla jego prawdziwej działalności, polegającej na zdobywaniu wszystkiego. Drobnym, sympatycznym, nerwowym, z przeczczonymi na czubku głowy włosami i z bujnymi wąsami, zarobił trochę pieniędzy na przemyśle broni podczas wojny libańskiej – jego żoną była Gemayel – i teraz mieszkał w Marbelli. Jeśli dano mu do dyspozycji odpowiednie środki, gotów był załatwić wszystko. Dzięki niemu Transer Naga dysponowała w miarę bezpieczną trasą przerzutu kokainy: zanim stare kutry rybackie z Huelvy, prywatne jachty i zdezelowane statki handlowe o niewielkiej wyporności zabrały ładunek soli w Torreveja, przyjmowały na pełnym morzu kokainę, która docierała tu przez Atlantyk i Maroko, a w razie potrzeby oddawały część paliwa ślizgaczom, pływającym na wschodnim wybrzeżu Andaluzji. Doktor Ramos zaś, który był kiedyś lekarzem w marynarce handlowej, opracowywał logistykę całej organizacji: planował operacje, miejsca załadunku i rozładunku, podstępny i zasadzki, kamuflaż. Pięćdziesięciolatek o siwych włosach, wysoki i bardzo chudy, o zaniedbanym wyglądzie, zawsze nosił stare swetry, flanelowe koszule i wymięte spodnie. Palił fajki o przepalonych główkach, napełnianych z umiarem – był najspokojniejszym człowiekiem na świecie – angielskim tytoniem, wyjmowanym z mosiężnych pudełek, które wypychały jego kieszenie pełne kluczy, monet, zapalniczek, wyciorów do fajki i najbardziej niespodziewanych przedmiotów. Pewnego razu, kiedy wyjmował chusteczkę – używał chusteczek z wyhaftowanymi inicjałami, jak dawniej – wypadła mu na ziemię latarka przyczepiona do reklamowego breloczka jogurtów Danone. Każdy jego krok brzmiał tak,

jakby to szedł zbieracz złomu.

– Będą występowały jako jedna łódź – mówił doktor Ramos.

– Wszystkie będą miały ten sam dowód i te same numery rejestracyjne. Ponieważ spuścimy je na wodę jedna po drugiej, nie będzie żadnego problemu... Podczas każdej podróży, kiedy już się je załaduje, zdejmie się im tablice i będą wracać anonimowo. Dla większej pewności możemy je później gdzieś porzucić albo pozostawić pod czyjąś opieką. Za zapłatą oczywiście. W ten sposób trochę się będą amortyzowały.

– Czy nie jest zbyt dużą beczelnością używać tylko jednej rejestracji?

– Będą schodziły na wodę jedna po drugiej. Kiedy łódź A będzie w akcji, tablice przykręcimy do łodzi B. W ten sposób, ponieważ wszystkie są takie same, formalnie nasza łódź będzie zawsze zacumowana w porcie i czysta. Nigdy się stamtąd nie ruszała.

– A straż portowa?

Doktor Ramos uśmiechnął się ledwo widocznie, ze szczerą skromnością. Bezpośredni kontakt także należał do jego specjalności: strażnicy portowi, technicy, marynarze. Jeździł tu i tam, parkując swojego starego citroena byle gdzie, rozmawiał z każdym, z fajką w zębach i z wyglądem świadczącym o roztargnieniu, ale godnym. Miał w Cabopino małą motorówkę, którą pływał na ryby. Znał każde miejsce na wybrzeżu i wszystkich ludzi od Malagi do ujścia Gwadalkiwiru.

– Żadnej kontroli. Nikt nie będzie przeszkadzał. Co innego, gdyby pojawili się jacyś ludzie z zewnątrz, ale tej flanki już nie mogę obronić. Bezpieczeństwo zewnętrzne przekracza moje kompetencje.

I taka była prawda. Te sprawy Teresa załatwiała dzięki znajomościom Teo Aljarafego i pewnym kontaktom Pati. Trzecia część wpływów Transer Nagi przeznaczana była na zjednywanie sobie przyjaciół po obu stronach Cieśniny Gibraltarskiej wśród polityków, urzędników administracji, agentów bezpieczeństwa kraju. Kluczem do wszystkiego była sztuka negocjacji dotyczących, w zależności od przypadku, informacji lub pieniędzy. Teresa nie zapomniała nauczki z przyłądka Castor i pozwoliła przechwycić kilka ważnych transportów – nazywała to inwestycjami deficytowymi – żeby zyskać przychylność szefa brygad do walki z przestępczością zorganizowaną na Costa del Sol, komisarza Nino Juareza, starego znajomego Teo Aljarafego. Dowództwo

żandarmerii też uzyskiwało wyjątkowe informacje, nigdy przypadkowe, zapisując na własne konto sukcesy, które poprawiały statystykę. Dziś dla mnie, jutro dla ciebie, a na razie jesteś mi winien przysługę. Albo wiele przysług. W kontaktach z niektórymi niższymi dowódcami, z pewnymi żandarmami i policjantami takie subtelności nie były konieczne: zaufany człowiek kładł na stole plik banknotów i sprawa była załatwiona. Nie wszyscy dawali się kupić, ale nawet w tych przypadkach zwyciężała solidarność zawodowa. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś wydał swojego kolegę, i to tylko w skandalicznych przypadkach. Poza tym niektórzy znajdowali się po obu stronach barykady równocześnie; zwerbowanych konfidentów opłacano narkotykami. Istniała jedna prosta zasada: najważniejsze były pieniądze. W stosunku do niektórych lokalnych polityków też nie był konieczny nadmierny takt. Teresa, Pati i Teo często chodzili na kolację z Tomaszem Pestañą, burmistrzem Marbelli, i rozmawiali o przeklasyfikowaniu niektórych gruntów, tak żeby można było przeznaczyć je pod zabudowę. Teresa bardzo szybko pojęła – choć dopiero teraz doceniała zalety, jakie niesie ze sobą pozycja na szczycie piramidy – że jeśli opłaca się pewną grupę społeczną, zyskuje się jej poparcie. W końcu nawet kioskarz na rogu ma korzyść z twojego przemytu. A na Costa del Sol, tak jak wszędzie, jeśli pojawiaasz się ze sporą kasą, chętny, żeby zainwestować, wiele drzwi staje przed tobą otworem. A potem to już kwestia zręczności i cierpliwości. Ludzi trzeba wciągać w machinę powoli, tak żeby się nie przestraszyli, aż w końcu ich dobrobyt zaczyna zależeć od ciebie. Pozwolą ci wtedy na wszystko, spokojnie i z uśmiechem. Tak samo jak w sądach – zaczynasz od kwiatów i bombonierek dla sekretarek, a w końcu dogadujesz się z sędzią. Albo z wieloma sędziami. Teresie udało się wziąć na pensję u siebie trzech, wśród nich przewodniczącego sądu okręgowego, któremu Teo Aljarafe kupił mieszkanie w Miami.

Zwróciła się do Lataquii:

– A jak z silnikami?

Libańczyk wykonał stary śródziemnomorski gest: złączone palce dłoni odwrócił szybko w górę.

– Nie jest to proste – powiedział. – Brakuje nam sześciu jednostek. Jestem w trakcie załatwiania.

– A wyposażenie?

– Wentyle *wiseco* dotarły przed trzema dniami bez problemów. Tak samo łożyska do korbowodów... Co do silników... to może być komplet, ale z różnych firm.

– Prosiłam cię – powiedziała Teresa powoli, akcentując każde słowo – żeby to były yamaha o mocy dwustu dwudziestu pięciu koni i karburatory dwieście pięćdziesiąt... O to cię prosiłam.

Zauważyła, że Libańczyk spojrzał niespokojnie na doktora Ramosa, prosząc go o wsparcie, ale twarz lekarza pozostała nieprzenikniona. Pociągał fajkę, tonąc w obłoku dymu. Teresa uśmiechnęła się w duchu. Każdy musi dźwigać swój krzyż.

– Wiem. – Lataquia z miną pełną żalu znów popatrzył na doktora. – Ale nie jest łatwo zdobyć od razu szesnaście silników. Nawet oficjalny dostawca nie mógłby tego zapewnić w tak krótkim czasie.

– Wszystkie silniki muszą być identyczne – stwierdził Ramos. – Jeśli będzie inaczej, cały pomysł leży.

Do tego jeszcze kolaboruje. Ibn kurek na dachu. Pewnie myślicie, że my, Fenicjanie, potrafimy czynić cuda.

– Szkoda tylko – ograniczył się do komentarza – wszystkich wydatków na podróż.

– Popatrzcie, kto tu żałuje wydatków – odezwała się Pati, zapalając papierosa. – Mister Dziesięć Procent – wypuściła dym daleko, mocno wydymając usta. – Studnia bez dna.

Zaśmiała się cicho, pozostając z boku, jak zawsze. Świetnie się bawiła. Lataquia przybrał minę człowieka nierozumianego.

– Zrobię, co będę mógł.

– Jestem pewna – powiedziała Teresa.

Nigdy nie wolno ci okazywać wahania, powiedział jej Jaszykow. Otaczaj się doradcami, słuchaj uważnie, zwlekaj z decyzją, jeśli to konieczne; ale potem nigdy nie wahaj się w obecności swoich podwładnych ani nie pozwalaj oceniać twoich decyzji, kiedy już zostały podjęte. Szef nigdy się nie myli. Nie. Jeśli coś mówi, wcześniej musiał to przemyśleć. Najważniejszy jest respekt. Jeśli możesz, daj się też lubić. Jasne. To też wytwarza lojalność. Tak. Jednak jeśli trzeba wybierać, lepiej, żeby czuli wobec ciebie respekt niż sympatię.

– Jestem pewna – powtórzyła.

A jeszcze lepiej, żeby czuli przed tobą lęk, pomyślała. Tego jednak nie tworzy się w jednej chwili, lecz stopniowo. Każdy może nagle przestraszyć innych, to potrafi nawet dzikus. Najtrudniejsze jest powolne sączenie strachu.

Lataquia zastanawiał się, skubiąc wąsy.

– Jeśli dasz mi zgodę – powiedział w końcu – mogę załatwić sprawę za granicą. Znam ludzi w Marsylii i Genui... Tyle że to zajmie trochę więcej czasu. Potrzebne też będą wszystkie papiery, pozwolenia na przywóz i tak dalej.

– Załatw je. Muszę mieć te silniki – przerwała i spojrzała na stół.

– I jeszcze jedno. Trzeba zacząć myśleć o dużym statku. – Podniosła wzrok. – Nie za dużym. Ze wszystkimi papierami w komplecie.

– Ile chcesz wydać?

– Siedemset tysięcy dolarów. Góra siedemset pięćdziesiąt.

Pati nie wiedziała o tym. Przyglądała się jej z dystansem, paliła i nie odzywała się. Teresa unikała jej wzroku. Przecież sama zawsze mówisz, pomyślała, że to ja prowadzę interes. Że tak wolisz.

– Żeby przepłynąć Atlantyk? – spytał Lataquia, który chwycił sens dodatkowych pięćdziesięciu tysięcy.

– Nie. Tylko do pływania tutaj.

– Czy zapowiada się coś dużego?

Doktor Ramos pozwolił sobie na krytyczne spojrzenie. Za dużo pytasz, mówiło jego leniwe milczenie. Popatrz na mnie. Albo na pannę O'Farrell, siedzi sobie dyskretnie, jakby tu przyszła z wizytą.

– Być może – odpowiedziała Teresa. – Ile czasu potrzebujesz?

Wiedziała, ile ma czasu. Niewiele. Kolumbijczycy byli o krok od skoku jakościowego. Jeden szybki transport, który na jakiś czas zaspokoiłby rynek włoski i rosyjski. Jaszykow starał się wybadać tę sprawę, a Teresa obiecała wszystko sprawdzić.

Lataquia znów skubał swoje wąsy. Nie wiem, powiedział. Najpierw trzeba pojechać rozejrzeć się, potem formalności i zapłata. Trzy tygodnie, co najmniej.

– Za długo.

– Dwa tygodnie.

– Tydzień.

– Mogę spróbować – westchnął Lataquia. – Ale na pewno wyjdzie drożej.

Teresa się roześmiała. Właściwie bawiła ją przebiegłość tego drania. U niego na każde trzy słowa jedno dotyczyło pieniędzy.

– Nie chrzań, Libańczyku. Ani dolara więcej. I do roboty, bo się pali.

Spotkanie z Włochami odbyło się następnego dnia po południu w apartamencie w Sotogrande. Najwyższe środki bezpieczeństwa. Poza Włochami – dwaj mężczyźni z kalabryjskiej N'Dranghety wylądowali tego ranka na lotnisku w Maladze – uczestniczyli w nim tylko Teresa i Jaszykow. Włochy stały się największym w Europie konsumentem kokainy i pomysł polegał na tym, żeby zapewnić przynajmniej cztery dostawy po siedemset kilogramów rocznie. Jeden z Włochów, starszy mężczyzna z siwizną na skroniach, o wyglądzie zamożnego biznesmena, ubrany w stylu sportowym i zgodnie z panującą modą w zamszowej kurtce, wyłożył – drugi milczał albo czasem pochylał się i szeptał coś koledze do ucha – śpiewnym głosem całą sprawę w dość dobrym hiszpańskim. To jest najlepszy moment, żeby wyznaczyć nową trasę: Pablo Escobar jest osaczony w Medellín, bracia Rodríguez Orejuela mają znacznie ograniczoną możliwość bezpośredniego działania w Stanach Zjednoczonych i kolumbijskie klany widzą konieczność rekompensowania w Europie strat ponoszonych w Ameryce Północnej za sprawą mafii meksykańskich. Oni, N'Drangheta, podobnie jak mafia sycylijska i neapolitańska kamorra – wszyscy ludzie honoru pozostają w dobrych stosunkach, dodał bardzo poważnie, kiedy jego towarzysz szepnął mu coś na ucho – chcą zapewnić sobie stałe dostawy chlorowodoru kokainy o czystości od dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu pięciu procent – mogą go sprzedać po sześćdziesiąt tysięcy dolarów za kilogram, trzy razy drożej niż w Miami czy San Francisco – i podstawowej masy z liści koki do przerobu w lokalnych podziemnych rafineriach. W tym momencie drugi z Włochów – chudy, przycięta bródka, ciemny garnitur, staroświecki wygląd – znów coś mu szepnął na ucho, a ten podniósł palec wskazujący i podrapał się w czoło dokładnie tak samo jak Robert De Niro w filmach gangsterskich.

– Wywiązujemy się wobec tych, którzy też się wywiązują – zaznaczył.

A Teresa, która uważała na każdy szczegół, pomyślała, że rzeczywistość naśladowuje fikcję w świecie, gdzie gangsterzy chodzą do kina i oglądają telewizję, jak wszyscy inni. To ma być coś stałego i dużego, mówił Włoch, z perspektywami na przyszłość, o ile pierwsze operacje przebiegną pomyślnie dla wszystkich. Potem wyjaśnił coś, o czym Teresa dowiedziała się już wcześniej od Jaszykowa: że jego ludzie w Kolumbii mają gotowy pierwszy transport, a ich statek „Derly” czeka w porcie La Guaira w Wenezueli, gotowy do załadunku siedmiuset paczek narkotyków ukrytych w dziesięciokilogramowych puszkach na smary samochodowe, ułożonych w kontenerze. Dalszej części operacji nie ma, powiedział, a potem wzduszył ramionami i popatrzył na Teresę i Rosjanina, jakby to oni byli temu winni.

Ku zaskoczeniu Włochów i samego Jaszykowa Teresa miała przygotowaną konkretną propozycję. Przez całą noc i cały ranek pracowała ze swoimi ludźmi po to, żeby wyłożyć na stół plan operacji rozpoczynającej się w La Guairze i kończącej się w porcie Gioia Tauro w Kalabrii. Przedstawiła wszystko, ze szczegółami: daty, terminy, gwarancje, rekompensaty w przypadku utraty towaru. Być może zdradziła więcej szczegółów, niż to było konieczne, ze względu na bezpieczeństwo przedsięwzięcia, ale na tym etapie – zrozumiała to na pierwszy rzut oka – najważniejsze było zrobienie wrażenia na klientach. Poparcie Jaszykowa i Babuszki tylko w pewnym stopniu gwarantowało jej wiarygodność w oczach Włochów. W miarę jak mówiła, wypełniając rysujące się luki, starała się przedstawić mechanizm operacji tak, jakby wszystko było starannie wyliczone, jakby nie było żadnych uchybień. Ona, mówiła, a raczej niewielka marokańska firma o nazwie Ouxda Imexport, jedna z filii Transer Nagi, z siedzibą w Nadorze, przejmie towar w atlantyckim porcie w Casablance, przeładuje go na stary angielski trałowiec „Howard Morhaim” pływający pod maltańską banderą, który tego samego ranka – Farid Lataquia zadziałał szybko – będzie do ich dyspozycji. Potem, tym samym rejsiem, statek płynie do Konstancy w Rumunii z ładunkiem – który już czeka w Maroku – przeznaczonym dla ludzi Jaszykowa. Połączenie obu przerzutów potani transport i zwiększy bezpieczeństwo. Mniej podróży to mniej ryzyka. Rosjanie i Włosi mogą podzielić się kosztami. Piękna

współpraca międzynarodowa. I tak dalej. Jedyne problem polega na tym, że ona nie przyjmuje płatności w narkotykach. Daje tylko transport. I żąda tylko dolarów.

Włosi byli zachwyceni i Teresą, i biznesem. Zamierzali tylko zbadać możliwości, a tymczasem zaproponowano im całą operację. Kiedy przyszedł czas na omówienie transakcji od strony finansowej, kosztów i procentów, mężczyzna w zamszowej kurtce włączył swój telefon komórkowy, przeprosił i przez dwadzieścia minut rozmawiał z drugiego pokoju, a Teresa, Jaszykow i Włoch o staroświeckim wyglądzie przyglądali się sobie bez słowa, siedząc przy stole pełnym kartek wypełnionych cyframi, diagramami i innymi danymi. W końcu drugi Włoch pojawił się w drzwiach. Uśmiechnął się i poprosił swojego kolegę na chwilę rozmowy na osobności. Wtedy Jaszykow podał Teresie ogień, żeby mogła zapalić papierosa, którego trzymała w rękach.

– Są twoi – powiedział. – Tak.

Teresa zebrała papiery, nie odzywając się słowem. Czasem spoglądała na Jaszykova: Rosjanin uśmiechał się zachęcająco, ona jednak miała twarz poważną. Nigdy żadna sprawa nie jest załatwiona, dopóki nie jest załatwiona. Kiedy wrócili Włosi, ten w zamszowej kurtce miał bardzo radosną minę, a ten staroświecki wydawał się teraz bardziej rozluźniony i mniej uroczyście niż wcześniej. *Cazzo*, powiedział ten uśmiechnięty, wyraźnie zaskoczony. Nigdy nie pertraktowaliśmy z kobietą. Potem dodał, że jego zwierzchnicy dają zielone światło. Transer Naga właśnie dostała od włoskich mafii wyłączną koncesję na morski przerzut kokainy na wschód Morza Śródziemnego.

We czwórkę świętowali to tego samego wieczoru, najpierw byli na kolacji w Casa Santiago, a potem poszli do Jadranki, gdzie przyłączyła się do nich Pati O'Farrell. Później Teresa dowiedziała się, że ludzie z DOCS – policjanci od Nino Juareza – fotografowali ich zza szyb forda mercury podczas rutynowego objazdu; jednak zdjęć tych nigdy nie wykorzystano, a mężczyźni z N'Dranghety nie zostali zidentyfikowani. A kiedy kilka miesięcy później nazwisko Nino Juareza pojawiło się na liście płac Teresy Mendozy, zaginęły na zawsze. Tak jak wiele innych dowodów w tej sprawie.

W Jadrance Pati była przemiła dla Włochów. Mówiła w ich języku

i opowiadała nieprzyzwoite dowcipy z doskonałym akcentem, który obaj, zaskiwieni, określili jako tokański. Nie zadawała pytań, nikt nie nawiązywał do tego, o czym rozmawiano na spotkaniu. Troje przyjaciół. Pati doskonale wiedziała, po co ci dwaj przyjechali, ale z niczym się nie wychylała. Później będzie miała okazję poznać szczegóły. Było dużo śmiechu i drinków, co jeszcze poprawiło nastrój przyszłych współników. Były też dwie piękne Ukrainki, niedawno przybyłe z Moskwy, gdzie kręciły filmy pornograficzne i pozowały do kolorowych pism, zanim nie zostały ściągnięte do sieci luksusowej prostytutki, którą zarządzała organizacja Jaszykowa. Były też działki kokainy, które mafiosi – dużo bardziej otwarci, niż wydawali się przy pierwszym kontakcie – zażyli bez zastrzeżeń w biurze Rosjanina ze srebrnej tacki. Pati też nie robiła wstrętów. Niezłe nochale mają moi przyjaciele, skomentowała, trąc ubrudzony białym proszkiem nos. Ci kalafiorowi mafiosi ciągną z metrowej odległości. Za dużo wypiła, ale jej inteligentny wzrok, utkwiony we współniczce, uspokoił Teresę. Spoko, Meksykaneczko. Uszczęśliwię ci gości, zanim te dwie bolszewickie dziwki ulżą im w łóżku. Jutro mi wszystko opowiesz.

Skoro wszystko szło swoim torem, Teresa zaczęła się zbierać do wyjścia. To był trudny dzień. Nie lubiła zarywać nocy i jej rosyjscy goryle już na nią czekali, jeden oparty o bar w kącie, drugi na parkingu. Muzyka dudniła i snop światła znad parkietu oświetlał ją błyskami, kiedy podawała rękę gościom z N'Dranghety. Bardzo mi miło, powiedziała. Cała przyjemność, *chi vediamo*, odpowiedzieli, każdy zajęty swoją blondyną. Zapięła marynarkę z czarnej skóry od Valentina i zaczęła się żegnać, widząc, że ochroniarz przy barze też się poruszył. Poszukała wzrokiem Jaszykowa i zobaczyła, że właśnie wchodzi razem ze swoimi ludźmi. Wyszedł pięć minut wcześniej, wezwany do telefonu.

– Coś nie w porządku? – zapytała, spojrzawszy na jego twarz.

Niet, odpowiedział. Wszystko dobrze. Pomyślałem tylko, że może przed powrotem do domu będziesz miała ochotę przejechać się ze mną. Mała wycieczka, dodał. Niedaleko stąd. Był nadzwyczaj poważny. W głowie Teresy rozbłysło światełko alarmowe.

– Co się dzieje, Oleg?

– Niespodzianka.

Zauważyła, że Pati, zajęta rozmową z Włochami i Ukrainkami, patrzy na nich pytająco, jakby zamierzała do nich dołączyć; ale Jaszykow uniósł brwi i Teresa ruchem głowy dała jej znać, by została. Wyszli we dwoje, za nimi ochroniarze. Przy wejściu czekały samochody; jeden z ochroniarzy Teresy za kierownicą jej auta, potem pancerny mercedes Jaszykowa z kierowcą i ochroniarzem na przednim fotelu. Trzeci samochód czekał trochę dalej, z dwoma mężczyznami w środku – stała eskorta Rosjanina, dwaj solidni goście z Sołncewa, dobermany kwadratowe jak szafy. Silniki we wszystkich autach pracowały.

– Pojedziemy moim – powiedział Rosjanin, nie odpowiadając na milczące pytanie Teresy.

Ciekawe, co on knuje, zastanawiała się. Zdegenerowany ruski sukinsyn. Jechali z dyskretną eskortą jakieś piętnaście minut, kręcąc się po mieście, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Potem pomknęli autostradą w kierunku osiedla Nueva Andalucía. Tam mercedes wjechał do garażu jednego z domów z niewielkim ogrodem i wysokim ogrodzeniem. Dom był jeszcze w budowie. Jaszykow z niewzruszoną miną przytrzymał jej drzwiczki, kiedy wysiadała, i poprowadził ją schodami do pustego hallu ze stosem cegieł pod ścianą. Krzepki mężczyzna w sportowej bluzie polo, siedzący na ziemi i przeglądający gazetę w świetle gazowej lampy, podniósł się na ich widok. Jaszykow powiedział coś po rosyjsku, a tamten potakująco skinął głową. Zeszli do piwnicy, jej strop podpierały metalowe belki i drewniane bale. Czuć było zapach świeżego betonu i wilgoci. W półmroku można było dostrzec narzędzia murarskie, bańki z brudną wodą, worki cementu. Mężczyzna w sportowej bluzie wzmocnił światło lampy wiszącej pod jedną z belek. Wtedy Teresa zobaczyła Kocura Fierrosa i Potemkina Galveza. Byli nadzy, dłonie i kostki mieli przywiązane drutem do białych kempingowych krzeseł. Ich wygląd wskazywał, że nie była to najlepsza noc w ich życiu.

– Nie wiem nic więcej – jęknął Kocur Fierros.

Nie byli torturowani zbyt mocno, uznała Teresa: tylko wstępne przygotowanie, prawie nieoficjalne, takie lekkie zmiękczenie przed otrzymaniem dokładniejszych instrukcji; potem jakieś dwie godziny przerwy, żeby uruchomiła się ich wyobraźnia i żeby zaczęli dojrzewać,

mniej myśląc o tym, co już przeszli, a więcej o tym, co jeszcze ich czeka. Cięcia brzytwą na piersiach i na ramionach były powierzchowne i prawie już nie krwawiły. Kocur miał zaschniętą krew w dziurkach nosa; jego górna warga, rozbita i spuchnięta, zabarwiała na czerwono ślinę ściekającą z kącików ust. Więcej zapału włożyli w obijanie go metalowym prętem po brzuchu i nogach, miał napuchniętą mosznę i świeże siniaki na obrzękłym ciele. Kwaśno śmierdziało moczem i potem, i strachem, takim, który wkręca się w brzuch i wyciska flaki. Mężczyzna w sportowej bluzie zadawał pytanie za pytaniem w słabym hiszpańskim, z wyraźnym rosyjskim akcentem, na przemian z ciosami w twarz, które przekręcały to w jedną, to w drugą stronę głowę Meksykanina, a Teresa przyglądała się, zafascynowana, olbrzymiej poziomej bliźnie, zniekształcającej jego prawy policzek: ślad po naboju kaliber .45, który ona sama wystrzeliła mu prosto w twarz kilka lat wcześniej w Culiacán, kiedy Kocur Fierros stwierdził, że szkoda byłoby zabić ją, nie zabawiwszy się przedtem, i tak zginie, szkoda by było, tak powiedział, a potem nastąpił wściekły i bezsilny cios Potemkina Galveza w drzwi od szafy: Blondyn Dávila był jednym z naszych, Kocurze, opamiętaj się, a to jest jego kobieta, zabijemy ją, ale z szacunkiem. Czarna lufa pythona bardzo blisko jej głowy, niemal miłosiernie, i słowa: odsuń się, żeby cię nie opryskało, kończmy już. Do licha. Wspomnienie napływało falami, coraz wyraźniejsze, wreszcie zaczęła je odczuwać niemal fizycznie; tak samo poczuła, że pali ją brzuch; ból i wstręt, echo oddechu Kocura Fierrosa na jej twarzy, pośpiech bandziora, kiedy wbijał się w nią, rezygnacja wobec tego, co nieuniknione, dotknięcie pistoletu w torbie na ziemi, strzał. Strzały. Skok przez okno, gałęzie rozrywające jej nagą skórę. Ucieczka. Teraz nie czuję nienawiści, stwierdziła. Tylko zdecydowaną, zimną satysfakcję. Poczucie władzy, bardzo spokojne i chłodne. Lodowate.

– Przysięgam, że nie wiem nic więcej... – Odgłosy ciosów rozbrzmiewały w pustej piwnicy. – Przysięgam na moją matkę...

To ten sukinsyn ma matkę! Kocur Fierros ma swoją cholerną mamuszkę, jak wszyscy, gdzieś tam w Culiacán, i z pewnością wysyła jej pieniądze na spokojną starość – zawsze kiedy inkasuje należność za kolejne zabójstwo, kolejny gwałt, kolejne pobicie. Oczywiście, że wie więcej.

Choć bijąc go i kalecząc, wycisnęli z niego soki, wiedział więcej o wielu rzeczach; ale Teresa była pewna, że powiedział już wszystko o swojej podróży do Hiszpanii i o swoich zamiarach: sława Meksykanki, ważnej figury w świecie narkotyków na andaluzyjskim wybrzeżu, dotarła aż do Sinaloa. No to przyjechali ją wykończyć. Dawne porachunki, niepewność jutra, lęk przed konkurencją i czym tam jeszcze. I chęć, żeby dokończyć to, co niedokończone. Batman Güemes jest w środku tej pajęczyny, oczywiście. Zabijają dla niego i jednej roboty nie skończyli. I Kocur Fierros, przywiązany do absurdalnego białego fotela, teraz mniej odważny niż wtedy w małym mieszkaniu w Culiacán, rozpuścił język, żeby oszczędzić sobie odrobiny bólu. Ten sam tępy morderca, który ze spluwą przy pasie puszył się w Sinaloa i rznął panienki, zanim je zabił. Wszystko niesamowicie logiczne i naturalne.

– Mówię wam, że nie wiem już nic więcej... – pojękiwał Kocur.

Potemkin Gálvez zachował więcej godności. Z uporem zaciskał usta, zdecydowany nie puścić pary. Bez szans. Podczas gdy Kocur zachowywał się, jakby mu zaaplikowano gaz obezwładniający, on zaprzeczał głową po każdym pytaniu, choć był równie zmaltretowany jak kolega, na jego skórze pełno było świeżych plam, obok tych, które miał od urodzenia, cięcia na piersi i udach, i wyglądał niezwykle krucho przy swojej nagości tłustej i włochatej, przywiązany do plastikowego fotela drutami, które zatapiały się w jego ciele, tworząc sine plamy na rękach i na spuchniętych nogach. Krwawił z penisa, ust i nosa, krople krwi ściekały mu z czarnych gęstych wąsów, tworząc cienkie czerwone strumyki spływające w dół przez piersi i brzuch. Nie. To jasne, że nie zamierzał nikogo zdradzić, i Teresa pomyślała, że nawet w chwili śmierci widać różnice w zachowaniu ludzi. I choć wydawałoby się, że w takim momencie nie ma to znaczenia, to jednak wcale tak nie jest. Może po prostu Gálvez ma mniej wyobraźni niż Kocur, pomyślała, patrząc na niego. Ludzie bez wyobraźni mają tę przewagę, że łatwiej im jest się odizolować, zablokować myśli, kiedy są torturowani. Inni, ci, którzy myślą, pękają wcześniej. Od połowy drogi idą już sami, było tak i tak, i to, co z tępaka trzeba byłoby wydusić, wychodzi samo. Strach jest zawsze większy, kiedy umiesz sobie wyobrazić to, co cię czeka.

Jaszykow stał nieco z boku, oparty plecami o ścianę, nie mówiąc ani

słowa. To twoja sprawa, znaczyło jego milczenie. Twoje decyzje. Zapewne też zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że Teresa znosi to wszystko bez zmrużenia oka, bez grymasu odrazy, bez drżenia ręki, w której trzyma papierosa – paliła jednego za drugim. A Teresa patrzyła na torturowanych bandytów z zimną ciekawością, uważnie, jakby to nie była ona, tylko ta druga kobieta, która czai się w pobliżu, w mroku piwnicy, i obserwuje ją tak samo jak Jaszykow. Jest w tym jakaś tajemnica, pomyślała. Lekcja na temat kobiet i mężczyzn. Na temat życia i bólu, i przeznaczenia, i śmierci. I tak jak książki, które czytała, te wszystkie lekcje mówiły też o niej samej.

Goryl w sportowej bluzie otarł krew z dłoni o nogawki i spojrzał pytająco na Teresę. Czekał. Jego nóż leżał na ziemi, przy stopach Kocura Fierrosa. Co jeszcze? Wszystko jest superoczywiste. Wreszcie spojrzała na Jaszykova, który niemal niezauważalnie wzruszył ramionami, kierując znaczące spojrzenie na worki z cementem leżące w kącie. Sceneria piwnicy domu w budowie nie była przypadkowa. Wszystko zostało przewidziane.

Sama to zrobię, zdecydowała nagle. To dziwne, ale chciało jej się śmiać. Z siebie samej. Śmiać się dziko. Gorzko. Właściwie, przynajmniej w stosunku do Kocura Fierrosa, było to tylko dokończenie tego, co rozpoczęła, naciskając spust colta dawno temu. *Życie jest pełne niespodzianek*, mówił tekst jednej z piosenek. Tak, to prawda. Do licha. Czasem człowiek zaskakuje sam siebie. Zaskakują cię rzeczy, które w tobie siedzą, choć o tym nie wiesz. Z ciemnych kątów ta druga Teresa Mendoza przygląda się jej z wielką uwagą. A może, zastanowiła się, to jej właśnie chce się teraz śmiać.

– Sama to zrobię – usłyszała, jak powtarza te słowa, teraz na głos.

To była jej sprawa. Jej rachunki do wyrównania i jej życie. Nie mogła tego powierzyć nikomu. Facet w sportowej bluzie spojrzał na nią z zaciekawieniem, jakby jego hiszpański nie był dość dobry, żeby zrozumieć sens tego, co usłyszał; odwrócił się do szefa i znów spojrzał na nią.

– Nie – powiedział łagodnie Jaszykow.

W końcu przemówił i poruszył się. Podszedł bliżej. Nie patrzył na nią, ale na bandytów. Kocur Fierros opuścił głowę na piersi; Potemkin

Gálvez patrzył, jakby ich nie widział, wzrok utkwiał w ścianie za nimi. W niczym.

– To moja wojna – powiedziała Teresa.

– Nie – powtórzył Jaszykow.

Ujął ją pod ramię, zachęcając, żeby wyszła. Stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy.

– Gównu mnie obchodzi kto – nagle odezwał się Potemkin Gálvez.

– Niech ktoś mnie wreszcie pierdolnie, dosyć tego.

Teresa spojrzała na mordercę. Pierwszy raz otworzył usta i się odezwał. Jego głos był ochrypły, zgaszony. Patrzył w kierunku Teresy, ale jakby jej nie widział, jakby patrzył w pustkę. Jego naga otyłość, unieruchomiona na plastikowym fotelu, lśniła kroplami potu i krwi. Teresa podeszła do niego i stanęła obok. Ostro cuchnęło jego ciało – brudne, torturowane, zmalretowane.

– Dobra, Pinto – powiedziała do niego. – Nie musisz nas poganiać! Zaraz umrzesz.

Przytaknął słabo głową, nadal patrząc w miejsce, gdzie stała przed chwilą. A Teresa raz jeszcze usłyszała łoskot roztrzaskiwanych drzwi od szafy w Culiacán i zobaczyła lufę pythona zbliżającą się do jej głowy, i usłyszała głos mówiący, że Blondyn był jednym z naszych, Kocurze, pamiętaj, a to jest jego kobieta. Odsuń się, żeby cię nie opryskało. Być może, pomyślała naraz, jest mu to winna. Szybki koniec, taki, jakiego on chciał dla niej. Takie są reguły. Spojrzeniem wskazała na Kocura Fierrosa, który nadal miał głowę zwieszoną na piersi.

– Nie powiedziałeś nic więcej – mruknęła.

Nie było to pytanie ani refleksja. Stwierdzenie faktu. Zbir nie poruszył się, jakby niczego nie usłyszał. Strumyczek krwi ściekał mu z nosa i zawisł na wąsach. Popatrzyła na niego przez chwilę, potem zamyśliła się i powoli podeszła do drzwi. Jaszykow czekał na nią w progu.

– Zostawcie Pinto – powiedziała.

Nie zawsze trzeba zabijać równo, pomyślała. Bo na świecie istnieją też długi. I dziwne kodeksy, które rozumieją tylko niektórzy. Niektóre.

W świetle wpadającym przez wielkie świetliki w dachu pływaki pneumatycznej łodzi Valiant wyglądały jak dwie wielkie szare torpedy. Teresa Mendoza siedziała na ziemi obłożona narzędziami, z rękami ubrudzonymi smarem; przykręcała nową śrubę do wałów silników podrasowanych do dwustu pięćdziesięciu koni. Miała na sobie stare dżinsy i brudny podkoszulek, włosy zebrane w dwa warkocze zwisały po obu stronach twarzy pokrytej kroplami potu. Pepe Horcajuelo, zaufany mechanik, siedział obok i przyglądał się całej operacji. Od czasu do czasu, choć Teresa o to nie prosiła, podawał jej jakieś narzędzie. Pepe był człowiekiem niewysokim, wręcz miniaturowym, swego czasu świetnie zapowiadał się jako żuźlowiec. Jednak plama oleju na zakręcie i półtoraroczna rehabilitacja raz na zawsze odsunęły go od torów i sprawiły, że zamienił skórzany sportowy kombinezon na drelichowy kombinezon mechanika. Odkrył go doktor Ramos, kiedy chodził po ulicach Fuengirolí w poszukiwaniu warsztatu otwartego w niedzielę, bo w jego starym citroenie spalił się rozdzielacz. Dawny żuźlowiec miał dobrą rękę do silników, nawet okrętowych, i był gotów każdy przerobić tak, żeby osiągał pięćset obrotów więcej. Należał do tych milczących facetów, którzy lubią swój zawód, pracują dużo i nigdy nie zadają pytań. Był też – i to jego najważniejsza zaleta – dyskretny. O zarobionych w ciągu ostatnich czternastu miesięcy pieniądzach świadczyła jedynie honda 1200, która stała teraz przed magazynem Mariny Samir, niewielkiej firmy z kapitałem marokańskim z siedzibą w Gibraltarze – kolejna z przykrywkowych filii Transer Nagi – znajdującym się przy sportowej przystani w Sotogrande. Wszystko, co zarobił, skrupulatnie odkładał. Na starość. Bo nigdy nie wiadomo, mawiał, na którym zakręcie czeka na ciebie następna plama oleju.

– Teraz jest dopasowane – odezwała się Teresa.

Wzięła papierosa, tłącego się przy imadle, w którym umieszczony był silnik, i zaciągnęła się kilka razy, plamiąc papierosa smarem. Pepe wolałby, żeby nie paliła, kiedy pracowali; wolałby też, żeby inni nie majstrowali przy silnikach, które zostały powierzone jemu. Ale ona była

szefową; silniki, łodzie i magazyn należały do niej. Tak więc ani Pepe, ani nikt inny nie mógł się jej sprzeciwić. Poza tym Teresa lubiła zajmować się takimi rzeczami, pracować przy silnikach, chodzić po remontowniach i urządzeniach portowych. Czasem wypływała, żeby wypróbować jakiś silnik czy łódź, a pewnego razu, prowadząc jedną z łodzi półsztywnych, długości dziewięciu metrów – sama wymyśliła, żeby używać kile z włókna szklanego, puste w środku, jako zbiorniki na paliwo – pływała całą noc z silnikiem nastawionym na pełny gaz, sprawdzając zachowanie łodzi na wysokiej fali. Ale tak naprawdę to był tylko pretekst: w ten sposób przywoływała wspomnienia pewnego fragmentu siebie samej, który choć już zniknął, ciągle miał na nią wpływ, pewną utraconą naiwność i te stany ducha, które teraz widziane z dalekiej perspektywy wydawały jej się podobne do szczęścia. Może wtedy byłam szczęśliwa, myślała. Może tak było naprawdę, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Podaj mi piątkę. Przytrzymaj tutaj... Dobrze.

Z zadowoleniem spojrzała na swoje dzieło. Stalowe śruby, które właśnie przykręciła – jedna lewoskrętna, druga prawoskrętna, dla zrównoważenia dryfu wynikającego z rotacji – miały mniejszą średnicę i większy skok niż oryginalne śruby aluminiowe; dzięki temu para silników przykręconych do rufy łodzi półsztywniej mogła dać kilka węzłów szybkości więcej na spokojnym morzu. Odłożyła znów papierosa, wetknęła na swoje miejsce śruby i muterki, które podał jej Pepe, i starannie je przykręciła. Potem ostatni raz zaciągnęła się papierosem, zgasiła go starannie w uciętej puszcze po castrolu, której używała jako popielniczki, wstała i roztarła sobie obolałe łądzwie.

– Powiesz mi później, jak się sprawują.

– Powiem.

Teresa wytarła ręce szmatą i wyszła na dwór, mrużąc oczy przed blaskiem andaluzyjskiego słońca. Stała tak chwilę, ciesząc się miejscem i widokiem: ogromny niebieski dźwig remontowni, maszty jachtów, spokojny chłopot wody w basenie portowym, zapach morza, rdzy i świeżej farby, który wydobywał się z kadłubów łodzi wyciągniętych z wody, brzęk want na wietrze wiejącym od wschodu. Pozdrowiła robotników z remontowni – znała ich wszystkich z imienia

– i okrążywszy magazyny i żaglówki stojące na koziołkach, skierowała się do części tylnej, gdzie Pote Gálvez czekał na nią przy cherokee zaparkowanym między palmami. W głębi widać było szary pas plaży, który łagodnie skręcał w kierunku przylądka Chullera i biegł dalej na wschód.

Dużo czasu minęło – blisko rok – od tamtej nocy w podziemiu niewykończonego domu na osiedlu Nueva Andalucía i od tego, co zdarzyło się kilka dni później, kiedy płatny morderca, jeszcze z bliznami i śladami po torturowaniu, stanął przed Teresą Mendozą w eskorcie goryli Jaszykowa. Muszę o czymś z panią porozmawiać, powiedział. To coś pilnego. To musi być zaraz. Teresa przyjęła go, poważna i chłodna, na tarasie apartamentu hotelu Puente Romano. Taras wychodził na plażę. Ochroniarze obserwowali ich z salonu przez wielkie zamknięte okna. Słucham cię, Pinto. Może chcesz kielicha. Pote Gálvez odpowiedział: nie, dziękuję, a potem przez chwilę patrzył na morze, którego wcale nie widział, drapiąc się po głowie jak niezręczny niedźwiedź, stał tak w swoim ciemnym, pomiętym garniturze, dwurzędowej marynarce, która fatalnie na nim leżała, podkreślając jego tuszę, w butach ze skóry iguany, pochodzących z Sinaloa, które stanowiły fałszywą nutę w całym oficjalnym stroju – Teresa poczuła dziwną sympatię do tej pary butów – i w krawacie zbyt szerokim i zbyt kolorowym. Teresa przyglądała mu się z uwagą, w ten sam sposób, w jaki ostatnimi czasy patrzyła na wszystkich, i na mężczyzn, i na kobiety. Cholerne rozumne ludzkie istoty! Wsłuchiwała się we wszystko, co mówili, a zwłaszcza w to, co przemilczali lub z powiedzeniem czego zwlekali, tak jak w tej chwili ten Meksykanin. Słucham cię, powtórzyła w końcu; a on stał przed nią, ciągle milcząc, wreszcie spojrzał na nią wprost, przestał drapać się po głowie i zaczął cicho mówić, spoglądając spode łba w kierunku mężczyzn w salonie. Przyszedłem pani podziękować. Dziękuję, że pozwoliła mi pani dalej żyć mimo tego, co zrobiłem albo co miałem zrobić. Nie chcesz chyba ode mnie wyjaśnień, odpowiedziała twardo. Bandzior znów spuścił wzrok, nie, jasne że nie, powtórzył dwa razy, mówiąc w taki sam sposób, jaki ciągle pamiętała, ten głos budził wiele wspomnień, przenikał ją do głębi. Chciałem tylko tyle. Podziękować i powiedzieć, że Potemkin Gálvez ma wobec pani dług i może go

spłacić. A jak chciałbyś go spłacić, spytała. Właściwie po części już to zrobiłem, brzmiała odpowiedź. Rozmawiałem z ludźmi, którzy mnie tu wysłali. Przez telefon. Powiedziałem im całą prawdę: że wpadliśmy w pułapkę i że wykończyli Kocura, i że nic się nie dało zrobić, bo załatwili nas na różowo. O jakich ty ludziach mówisz, zapytała Teresa, znając z góry odpowiedź. No, po prostu, o ludziach, odpowiedział Pote, prężąc się, jakby go wąż ukąsił, jego dumny wzrok stał się naraz twardszy. No tak, proszę pani. Wiadomo, że o pewnych sprawach nie mówię. Wystarczy, że powiem „ludzie”. Stamtąd. A potem, znów z pokorą, robiąc długie przerwy, dobierając z wysiłkiem słowa, wyjaśnił, że tamtym ludziom, no wszystko jedno którym, tamtym, nie spodobało się, że on jeszcze oddycha, a jego koleśowi Kocurowi skrewili kark, i dostał trzy konkretne propozycje: albo dokończy robotę, albo wsiądzie w pierwszy samolot do Culiacán i na miejscu wyciągną wobec niego wszystkie konsekwencje, albo schowa się tak, żeby go nikt nigdy nie znalazł.

– I co wybrałaś, Pinto?

– Nie mam wyjścia. Żadne z trzech rozwiązań mi nie pasuje. Całe szczęście, że nie mam rodziny. Przynajmniej z tej strony nic mi nie grozi.

– I co?

– No, jestem.

– I co mam z tobą zrobić?

– Sama pani zdecyduje. Mnie się widzi, że to już nie jest mój problem.

Teresa przyjrzała się zbirowi. Masz rację, zgodziła się z nim po chwili. Czują, że uśmiech zaraz pojawi się na jej ustach, ale opanowała go. Logika Pote Galveza była zrozumiała w swojej naiwności, a ona dobrze знаła ten kod. W pewnym sensie była to jej własna logika, właściwa dla surowego świata, z którego pochodzili oboje. Blondyn Dávila, przebiegło jej przez myśl, uśmiełby się z tego wszystkiego. Kochana Sinaloa. Do licha. Czasem życie płata figle.

– Prosisz mnie o pracę?

– Może któregoś dnia przyślą innych – morderca wzruszył ramionami z pełną rezygnacji prostotą – i będę mógł pani oddać to, co jestem winien.

A teraz Pote Gálvez czekał przy samochodzie, jak każdego dnia, począwszy od tamtego ranka w hotelu Puente Romano: kierowca, ochroniarz, posłaniec, człowiek do wszystkiego. Łatwo udało się uzyskać dla niego kartę pobytową, a nawet, choć to kosztowało nieco drożej, za pośrednictwem pewnej zaprzyjaźnionej agencji ochroniarskiej, pozwolenie na broń, dzięki temu mógł legalnie nosić przy pasie, w skórzanej kaburze, colta pythona, identycznego jak ten, którego kiedyś przystawił do głowy Teresie, w innym życiu i na innych łądach. Jednak ludzie z Sinaloa nie robili już więcej kłopotów: w ostatnich tygodniach, przy współudziale Jaszykowa, Transer Naga pośredniczyła, z czystej miłości do sztuki, w pewnej operacji przeprowadzanej przez kartel z Sinaloa wspólnie z rosyjskimi mafiami, które zaczynały instalować się w Los Angeles i San Francisco. To złagodziło napięcie i uspiło stare demony; a do Teresy dotarła jednoznaczna wiadomość, że wszystko zostało zapomniane: przyjaźni nie będzie, ale każdy może robić swoje, gruba kreska i dość głupot. Batman Güemes osobiście to wyjaśnił przez wiarygodnych pośredników; i choć w tych interesach jakiegokolwiek gwarancje są względne, to wystarczyło, żeby zapanował spokój. Nie pojawili się kolejni mordercy, choć Pote Gálvez, nieufny z natury i z zawodu, nigdy nie przestał być czujny. Zwłaszcza że w miarę jak Teresa rozwijała interesy, kontakty stawały się coraz rozleglejsze i liczba wrogów wzrastała proporcjonalnie do jej potęgi.

– Do domu, Pinto.

– Tak jest, szefowo.

Domem była luksusowa willa nad morzem w Guadalmina Baja, z olbrzymim ogrodem i basenem, której budowę niedawno ukończyła. Teresa usiadła na przednim fotelu, a Pote Gálvez za kierownicą. Praca przy silniku pozwoliła jej na te kilka godzin odsunąć od siebie myśli, które krążyły jej po głowie. Była to kulminacja dobrej passy w interesach: cztery ładunki N'Dranghety przetransportowała bez kłopotów i Włosi chcieli wysłać kolejne. Ludzie z Sołncewa chcieli tego samego. Nowe motorówki skutecznie załatwiały transport haszyszu z wybrzeża Murcii do portugalskiej granicy, przewidywali jedynie pewne straty z powodu konfiskat dokonywanych przez żandarmerię i straż celną. Kontakty marokańskie i kolumbijskie funkcjonowały

doskonale, a infrastruktura finansowa zmodernizowana przez Teo Aljarafego wchłaniała i kanalizowała ogromne ilości pieniędzy, z których tylko dwie piąte inwestowane były w środki operacyjne. Lecz w miarę jak Teresa rozszerzała działalność, tarcia z innymi organizacjami operującymi na tym samym terenie stawały się coraz większe. Nie da się rosnąć, nie zajmując przestrzeni, którą inni uważali za swoją. No i pojawili się Galisyjczycy i Francuzi.

Z Francuzami nie było żadnych problemów. Czy raczej niewiele i tylko drobne. Na Costa del Sol działało kilku dostawców haszyszu związanych z mafią z Marsylii, wśród których najważniejsi byli dwaj ludzie: francuski Algierczyk o nazwisku Michel Salem i marsylczyk znany jako Nené Garou. Michel Salem był korpulentnym szpakowatym sześćdziesięcioletkiem o dobrych manierach, z którym Teresa miała kilka niezbyt udanych biznesowych spotkań. Salem specjalizował się w przemyśle haszyszu na sportowych jednostkach, był człowiekiem dyskretnym i rodzinnym; mieszkał w luksusowej willi w Fuengirolí razem z dwiema rozwiedzionymi córkami i czwórką wnucząt, Nené Garou był zupełnie innym typem gangstera, klasyczny francuski łajdak: arogancki, gadatliwy i gwałtowny, z upodobaniem do skórzanych kurtek, drogich samochodów i atrakcyjnych kobiet. Oprócz haszyszu jego interesy obejmowały też prostytucję, handel bronią krótką i rozprowadzanie heroiny w detalu. Wszelkie próby wynegocjowania rozsądnego porozumienia spełzły na niczym, a podczas nieformalnej rozmowy z Teresą i Teo Aljarafem w jednym z prywatnych salonów restauracji w Mijas Garou stracił panowanie do tego stopnia, że wykrzykiwał pogrożki zbyt wulgarne i groźne, żeby brać je poważnie. Francuz zaproponował wtedy Teresie, żeby przewiozła ćwierć tony kolumbijskiej heroiny *black tar*, lecz ona odmówiła, bo jej zdaniem haszysz to w miarę przyzwoity narkotyk dla wszystkich, kokaina to luksus dla bogatych durniów, ale heroina to trucizna dla najbiedniejszych, i ona nie zamierza wdepnąć w to gówno – na co Garou zareagował bardzo źle. Żadna meksykańska zdzira nie będzie mi robiła koło dupy, dokładnie taki był jego ostatni komentarz, a wypowiedziany z marsylskim akcentem brzmiał jeszcze mniej przyjemnie. Na twarzy Teresy nie drgnął ani jeden mięsień, powoli zgasiła papierosa

w popielniczce, poprosiła o rachunek i wyszła ze spotkania. I co zrobimy? – zapytał niespokojnie Teo, kiedy już byli na ulicy. Ten facet jest niebezpieczny, wpadł w furję jak wściekły pies. Ale Teresa przez trzy dni nie powiedziała na ten temat ani jednego słowa, żadnego komentarza. Nic. W duszy, spokojnie i cicho, planowała ruchy, ważyła wszystkie za i przeciw, jakby rozgrywała skomplikowaną partię szachów. Odkryła, że szare poranki, które zastawały ją z otwartymi oczami, dają okazję do ciekawych refleksji, często całkiem różnych od tych, jakie przynosi światło dnia. I trzy poranki później, kiedy podjęła decyzję, skierowała się do Olega Jaszykowa. Przyszłam prosić cię o radę, powiedziała, choć oboje wiedzieli, że to nieprawda. I kiedy w krótkich słowach przedstawiła mu sprawę, Jaszykow patrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. Bardzo urosłaś, Tesa, powiedział. A kiedy się rośnie, takie nieprzyjemności są nieuniknione. Tak. Nie mogę się w to mieszać. Nie. Nie mogę ci też radzić, bo to jest twoja wojna, nie moja. A może kiedyś – bo życie płata figle – nam samym przyjdzie się zmierzyć z podobnego powodu. Tak. Kto wie. Pamiętaj tylko, że w tym interesie nierozwiązany problem jest jak rak. Wcześniej czy później zabija.

Teresa postanowiła zastosować metody z Sinaloa. Tak was załatwię, że ślad po was nie zostanie, powiedziała sobie. Właściwie jeśli tam pewne sposoby okazują się skuteczne, tutaj też powinny zadziałać, tym bardziej że tutaj takich zwyczajów nie ma. Nic nie robi większego wrażenia niż działanie na ogromną skalę. Zwłaszcza jeśli człowiek niczego się nie spodziewa. Niewątpliwie Blondyn Dávila, który był fanem Tomateros de Culiacán, śmiejąc się w głos w jakiejś piekielnej kantynie, gdzie pewnie teraz siedzi przy swoim stoliku, powiedziałby, że to rozwałka, że czacha dymi albo że żabojadom odebrano drugą bazę. Wykonawców i środki zdobyła w Maroku. Stary znajomy, pułkownik Abdelkader Chaib, wyszukał jej odpowiednich ludzi: byłych policjantów i byłych wojskowych, mówiących po hiszpańsku, z dobrymi paszportami i wizami turystycznymi, którzy pływali w tę i z powrotem promem na trasie Tánger–Algeciras. Trudni ludzie, bandziory, którzy otrzymali tylko najniezbędniejsze informacje i polecenia i których – w przypadku gdyby zostali ujęci przez hiszpańskie władze – nie można było powiązać

z nikim konkretnym. Złapali Nené Garou, kiedy wychodził z dyskoteki w Benalmadenie o czwartej rano. Dwaj młodzi ludzie o wyglądzie północnoafrykańskim – zeznał na policji później, kiedy odzyskał już mowę – zaatakowali go, jakby to był napad, a potem, kiedy pozbawili go portfela i zegarka, przetrącili mu kręgosłup kijem bejsbolowym. Trach, trach. Kręgi wyglądały jak grzechotka, a przynajmniej takiego obrazowego określenia użył rzecznik kliniki – jego przełożeni udzielili mu upomnienia za tak obrazowe porównania – kiedy opisywał wypadek dziennikarzom. I tego samego poranka, kiedy wiadomość ta pojawiła się w kronice kryminalnej dziennika „Sur” w Maladze, Michel Salem odebrał telefon w swoim domu w Fuengirolí. Jakiś mężczyzna przywitał go i przedstawił się jako przyjaciel, po czym w doskonałej hiszpańszczyźnie złożył wyrazy ubolewania z powodu wypadku Garou, o którym, jak sądzi, pan Salem jest poinformowany. Potem, niewątpliwie z telefonu komórkowego, zaczął ze szczegółami opisywać, jak w tej właśnie chwili czwórka wnucząt Algierczyka, trzy dziewczynki i chłopczyk, wszyscy między piątym i dwunastym rokiem życia, bawią się na podwórku szwajcarskiej szkoły w Las Chapas, słodkie maleństwa, i opowiedział, jak poprzedniego dnia wnuczeta i ich goście świętowali w McDonalddie urodziny najstarszej z dziewczynek, bystrej panienci o imieniu Desirée, której droga do i ze szkoły, podobnie jak reszty wnucząt, została dokładnie opisana Salemowi. I żeby postawić w tej sprawie kropkę nad i, dostarczono mu tego samego popołudnia przesyłkę zawierającą zdjęcia zrobione teleobiektywem, gdzie można było rozpoznać jego wnuki w różnych sytuacjach, które miały miejsce w ciągu ostatniego tygodnia, między innymi w McDonalddie i w szkole. Z Cucho Malaspina – czarne skórzane spodnie, angielska tweedowa marynarka, marokańska torba na ramieniu – widziałem się tuż przed moim ostatnim wyjazdem do Meksyku, dwa tygodnie przed rozmową z Teresą Mendozą. Spotkaliśmy się przypadkowo w barze na lotnisku w Maladze, kiedy obaj czekaliśmy na opóźniony start naszych samolotów. Co słyhać, kochasiu, przywitał mnie. Jak leci? Wziąłem kawę, a on sok pomarańczowy, który zaczął popijać przez słomkę, kiedy wymienialiśmy uprzejmości. Czytałem twoje rzeczy, widziałem cię w telewizji i tak dalej. Potem usiedliśmy na kanapie w zacisznym kącie.

Pracuję nad Królową Południa, powiedziałem, a on roześmiał się złośliwie. To on ją tak nazwał. Była na okładce tygodnika „Hola” przed czterema laty. Sześć stron w kolorze, z historią jej życia, a przynajmniej z tą jej częścią, którą udało mu się sprawdzić, skupiając się na jej władzy, luksusowym życiu i tajemnicy. Prawie wszystkie zdjęcia zrobione były za pomocą teleobiektywu. I ten styl! Niebezpieczna kobieta kontroluje to i to. Tajemnicza meksykańska multimilionerka, z mętłą przeszłością i niejasną teraźniejszością. Piękna i tajemnicza, brzmiał podpis pod jedynym jej zdjęciem zrobionym z bliska: Teresa w ciemnych okularach, surowa i elegancka, wysiada w Maladze z samochodu w otoczeniu ochroniarzy, aby złożyć zeznania przed komisją śledczą badającą sprawę przemytu narkotyków. Zresztą absolutnie niczego jej wtedy nie udowodniono. W tamtych czasach jej osłony prawne i podatkowe były już doskonałe, królowa przemytu w Cieśninie Gibraltarskiej, caryca narkotyków – tak nazwał ją dziennik „El País” – kupiła sobie takie poparcie polityczne i policyjne, że była praktycznie nietykalna: do tego stopnia, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych po cichu udostępniło prasie jej akta, próbując w formie plotek i faktów prasowych rozpowszechnić to, czego nie dało się dowieść prawnie. Ale strzał odbił się rykoszetem. Dzięki temu reportażowi Teresa stała się legendą: kobieta w świecie twardych mężczyzn. Od tego momentu każde jej zdjęcie i każde pojawienie się w miejscu publicznym wzbudzały wielkie zainteresowanie, a paparazzi – na ochroniarzy Teresy posypał się deszcz skarg o napaść na fotografów, czym zajmowała się chmara adwokatów opłacanych przez Transer Nagę – śledzili każdy jej krok, jakby była księżniczką Monaco czy gwiazdą filmową.

– Czyli piszesz książkę o tym ziółku.

– Już ją kończę. Prawie.

– Co za postać, prawda? – Cucho Malaspina spoglądał na mnie wzrokiem inteligentnym i złośliwym, drapiąc się po brodzie. – Znam ją dobrze.

Cucho był moim starym znajomym jeszcze z czasów, kiedy pracowałem jako reporter, a on zaczynał wyrabiać sobie nazwisko w kronikach towarzyskich prasy brukowej i w popołudniowych programach

telewizyjnych. Darzyliśmy się wzajemnym poważaniem. Teraz był osobą publiczną, gwiazdą mediów, władną jednym komentarzem, tytułem prasowym czy podpisem pod zdjęciem rozbić małżeństwo sławnych ludzi. Sprytny, pomysłowy i zły. Mistrz obmowy towarzyskiej, demystyfikator sław: trucizna w kieliszku martini. Nie jest prawdą, że znał dobrze Teresę Mendozę, ale rzeczywiście kręcił się blisko niej – Costa del Sol i Marbella są świetnym terenem łowieckim dla dziennikarzy różowej prasy – i kilka razy nawet zbliżył się do Teresy, ale zawsze był odsyłany z kwitkiem, ze stanowczością, która pewnego razu nabrała kształtu podbitego oka i skargi przed sądem w San Pedro Alcántara, kiedy jeden z ochroniarzy – którego opis pasował jak ulał do wyglądu Pote Galveza – potraktował go odmownie, gdy starał się ją zaczepić przy wyjściu z restauracji w Puerto Banús. Dobry wieczór pani, chciałem zapytać, czy nie przeszkadzałoby... Aj! Najwyraźniej przeszkadzało. Nie było więc odpowiedzi ani kolejnych pytań, ani niczego poza tym, że wąsaty goryl zmasakrował oko Cucho z zawodową precyzją. Trzask, prask. Gwiazdy we wszystkich kolorach, dziennikarz siedzi na ziemi, odgłos zamykanych drzwiczek i hałas silnika odjeżdżającego samochodu. Królowa Południa widziana i niewidziana.

– Prawdziwa zaraza, wyobraź to sobie. Baba, która w kilka lat tworzy małe podziemne imperium. Awanturnica w pełnym znaczeniu tego słowa: tajemnica, przemyt narkotyków, pieniądze... Zawsze niedostępna, osłaniana przez ochroniarzy i swoją legendę. Policja nie jest w stanie znaleźć na nią żadnego haka, a ona kupuje wszystkich dookoła. Koplowitz narkotyków... Pamiętasz tamte siostry multimilionerki? Taka sama, tylko bardziej zła. Kiedy jej goryl, ten grubas o twarzy Indio Fernandeza, przyładował mi, muszę ci się przyznać, że byłem zachwycony. Przez kilka miesięcy z tego żyłem. Potem, gdy mój adwokat zażądał nieprawdopodobnego odszkodowania, którego pewnie nigdy nie przyznałby mi sąd, jej ludzie zapłacili wszystko co do grosza. Mówię ci. Słowo daję, dostałem górę forsy. I nie trzeba się było włóczyć po sądach.

– Czy to prawda, że dogadała się z burmistrzem?

Perfidny uśmiech zaznaczył się wyraźniej pod wąsem.

– Z Tomaszem Pestańą? Jak w bajce. – Pociągnął kolejny łyk przez

słomkę, gestykulując rękami z podziwem. – Dzięki Teresie na Marbellę spadł istny deszcz dolarów: darowizny, działalność na rzecz tutejszej społeczności, inwestycje. Poznali się, kiedy kupiła teren w Guadalmina Baja pod swój dom, z basenem, ogrodami, fontannami, widokiem na morze. Wypełniła go książkami, bo na dodatek dziewczyna okazała się taką trochę intelektualistką, wiesz? Przynajmniej tak mówią. Ona i burmistrz często chodzili razem na kolację albo spotykali się u wspólnych znajomych. Prywatne spotkania z bankierami, inwestorami, politykami, ludźmi tego typu...

– Mieli wspólne interesy?

– No jasne. Pestaña uprzedzał ją o wszystkich kontrolach lokalnych, a ona potrafiła odpowiednio się zachować. Kiedy wszczynano dochodzenie, nagle policja i sędziowie tracili całe zainteresowanie i okazywali się niekompetentni. Burmistrz mógł się więc z nią spotykać i nikomu to nie przeszkadzało. Była dyskretna i bardzo przebiegła. Powoli zyskiwała coraz większe wpływy w urzędach i w sądach... Nawet Fernando Bouvier, gubernator Malagi, jadł jej z ręki. W końcu wszyscy zarabiali taką kasę, że nikt nie mógł się bez niej obejść. To była i jej ochrona, i siła.

I siła, powtórzył. Potem rozprostował zmarszczki na skórzanych spodniach, zapalił holenderską cygaretkę i założył nogę na nogę. Królowa, dodał, wypuszczając kłęb dymu, nie lubiła przyjąć. Przez te wszystkie lata wzięła udział w dwóch, najwyżej trzech. Pojawiała się późno i szybko wychodziła. Rzadko opuszczała dom, niekiedy można ją było sfotografować z daleka, kiedy spacerowała po plaży. Lubiła morze. Mówiło się, że czasem wypływa ze swoimi przemytnikami, jak wtedy, gdy żyła jeszcze w biedzie, ale być może to tylko część jej legendy. Na pewno lubiła morze. Kupiła duży jacht, który nazwała „Sinaloa”, i spędzała całe tygodnie na pokładzie, sama z ochroniarzami i załogą. Nie podróżowała wiele. Kilka razy widziano ją tu czy tam. W portach śródziemnomorskich, na Korsyce, Balearach, greckich wyspach. Nic więcej.

– Pewnego razu myślałem, że już ją mamy... Jeden paparazzi wkręcił się do ekipy murarskiej, która naprawiała coś w ogrodzie; zrobił kilka filmów, ona na tarasie, w oknie i tym podobnie. Zadzwonili do mnie

z pisma, które kupiło te zdjęcia, żebym napisał tekst. I nic z tego. Ktoś zapłacił fortunę, żeby zablokować reportaż, a zdjęcia gdzieś wcięło. Czarna magia. Mówiło się, że tę sprawę załatwiał osobiście Teo Aljarafe. Adwokat przystojniak. I że zapłacił dziesięć razy więcej, niż były warte.

– Pamiętam... Ten fotograf miał kłopoty.

Cucho pochylał się, żeby strząsnąć popiół do popielniczki. Zatrzymał się w pół drogi. Złośliwy uśmiech przerodził się w bardzo wymowny głuchy śmiech.

– Kłopoty? Posłuchaj, złotko. W przypadku Teresy Mendozy to słowo to eufemizm. Ten chłopak był profesjonalistą, weteranem swojego zawodu, śmieciarzem elity, ekspertem od węszenia w rozporkach i cudzych życiorysach... Gazety i agencje nigdy nie informują, kto jest autorem takich reportaży, ale wtedy ktoś musiał puścić parę. Dwa tygodnie po tym, jak zniknęły zdjęcia, okradziono mieszkanie tego chłopaka w Torremolinos, przypadkiem on spał w środku. Zbieg okoliczności, prawda. Zarobił cztery pchnięcia nożem, jednak najwyraźniej nie zamierzano go zabić, bo wcześniej połamano mu, jeden po drugim, wyobraź sobie, wszystkie dziesięć palców u rąk... Zrobiło się o tym głośno. Potem już nikt nie zbliżał się do domu w Guadalminie, to jasne. Nikt też nie podchodził do tej suki na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów.

– Słyszałeś o jakichś romansach? – zapytałem, żeby zmienić temat.

Zaprzeczył zdecydowanie. To była przecież jego specjalność.

– Zero romansów. O ile wiem. A sam wiesz, że ja wiem. Wspominało się o jakimś związku z jej zaufanym adwokatem, Teo Aljarafem. Przystojny, z klasą. Też wyjątkowy sukinsyn. Podróżowali i tak dalej. Nawet we Włoszech widziano ich razem. Może nawet z nim sypiała. Ale nic z tego nie wyszło. Możesz zaufać mojemu nosowi. Bardziej już bym podejrzewał Patricię O'Farrell.

Ta O'Farrell, kontynuował Cucho, kiedy wrócił z kolejnym sokiem pomarańczowym, pozdrawiając po drodze jakichś znajomych, to była zupełnie inna koka. Zostały przyjaciółkami i współpracownikami, choć były różne jak noc i dzień. Ale siedziały razem w więzieniu. Co za historia, prawda? Taka zakręcona, no w ogóle. I perwersyjna. Z niej to dopiero

był numer! Lesbijka dziwka. Dojrzała, ze wszystkimi możliwymi nałogami świata, łącznie z tym. – Cucho znacząco postukał się w nos. – Zepsuta do szpiku kości, trudno więc wytłumaczyć, jak to się stało, że te dwie, Safona i kapitan Morgan, spiknęły się. Choć było jasne, że to Meksykanka wszystko trzymała w garści. Nie można sobie nawet wyobrazić, żeby czarna owca O’Farrellów mogła sama stworzyć taki interes.

– To była lesba do szpiku kości. Zagorzała kokainomanka. Z tego brało się wiele plotek... Mówiono, że ona wychowała tę drugą, która była analfabatką albo prawie. Nie wiem, czy to prawda, czy nie, kiedy ją poznałem, ubierała się i zachowywała z klasą. Umiała nosić dobre ciuchy, zawsze z umiarem: ciemne tony, zwykłe kolory... Będziesz się śmiał, ale któregoś roku umieściliśmy ją w naszym lokalnym plebiscycie na dwadzieścia najbardziej eleganckich kobiet. Trochę dla jaj, ale i trochę serio. I znalazła się w tej dwudziestce. Słowo ci daję. Wyobraź sobie, jakie jaja. Gdzieś w drugiej dziesiątce. Była ładniutka, nic specjalnego, ale potrafiła się zrobić. – Zamyślony, uśmiechnął się z roztargnieniem, a potem wzruszył ramionami. – To pewne, że między tymi dwiema coś było. Nie wiem, czy tylko przyjaźń, czy coś bliższego, ale coś było. To wszystko bardzo dziwne. Może dlatego Królowa Południa miała tak niewielu mężczyzn w swoim życiu.

Ding, dong, zabrzmiał megafon w sali. Iberia informuje, że samolot do Barcelony przygotowuje się do startu. Cucho spojrzął na zegarek, wstał, zarzucił na ramię skórzaną torbę. Ja też wstałem, podaliśmy sobie dłonie. Miło było cię spotkać i tak dalej. Mam nadzieję, że przeczytam tę książkę, chyba że oberwą ci jaja, zanim ją skończysz. Emaskulacja to się chyba nazywa. Zanim odszedł, puścił do mnie oko.

– No i pozostaje tajemnicą, prawda... co się stało z O’Farrell i z tym adwokatem. – I na odchodne rzucił ze śmiechem: – Co się stało ze wszystkimi?

Jesień była łagodna. Ciepłe noce i dobre interesy. Teresa Mendoza wypijała łyk koktajlu z szampanem i rozejrzała się wokół. Na nią też patrzono, wprost lub ukradkiem, pośród cicho wypowiedzanych uwag, szeptów, uśmiechów czasem przymilnych, czasem niespokojnych. Nie było rady. Ostatnio środki masowego przekazu poświęcały jej zbyt dużo

uwagi, żeby mogła przejść niezauważona. Wpisując w myśli współrzędne do ogólnego planu, widziała siebie w geograficznym centrum skomplikowanego splotu pieniędzy i władzy – w miejscu, gdzie można wiele zyskać, ale i wiele stracić. W miejscu niebezpiecznym. Wypiła kolejny łyk. Spokojna muzyka, pięćdziesiąt wybranych osób w salonie wychodzącym na ogród położony na zboczu góry obok drogi do Rondy, jedenasta wieczorem; żółtawa połówka księżycy leżąca poziomo nad czarnym morzem odbijała się w zatoce po drugiej stronie Marbelli na tle ogromnego pejzażu nakrapianego milionami świateł. Wejście strzeżone przez ochroniarzy i straż miejską. Tomás Pestaña, gospodarz, przechodził od jednej grupki gości do drugiej, zamieniając z każdą kilka słów; ubrany w białą marynarkę z czerwoną szarfą, z ogromnym hawańskim cygarem między sygnetami na palcach lewej dłoni, brwi gęste jak u niedźwiedzia, uniesione do góry w wyrazie stałego miłego zaskoczenia. Wyglądał jak szwarczarakter ze szpiegowskiego filmu z lat siedemdziesiątych. Zły, ale sympatyczny. Dziękuję, że przyszłyście, moje drogie. Jakże mi miło, bardzo się cieszę. Znasz Iksińskiego? A Igrekowskiego? Tomás Pestaña jest właśnie taki. Czuł się jak ryba w wodzie. Lubił szpanować wszystkim, nawet znajomością z Teresą, jakby to świadczyło o jego kolejnym sukcesie. O zdobyciu trofeum niebezpiecznego i rzadkiego. Kiedy ktoś zadawał mu jakieś pytanie na ten temat, przywoływał na twarz tajemniczy uśmiech i kręcił głową, dając do zrozumienia: gdybym tylko ci opowiedział! Biorę wszystko, co dają pieniądze i sława, powiedział kiedyś. A jedno przyciąga drugie. Teresa, poza tym, że do lokalnego towarzystwa wносиła coś z egzotyki, była jak róg obfitości, niewyczerpane źródło żywej gotówki dla miasta. Ostatnia operacja mająca na celu podbicie serca burmistrza – żywo doradzana przez Teo Aljarafego – polegała na spłacie miejskiego długu, który groził magistratowi skandalicznym zajęciem nieruchomości i konsekwencjami politycznymi. Ponadto Pestaña, człowiek ambitny i sprytny – burmistrz, który zdobył w wyborach najwięcej głosów od czasów Jesusa Gila – był gadułą i w wyjątkowych chwilach lubił chwalić się swoimi znajomościami, zwłaszcza w wąskim gronie przyjaciół czy współników – podobnie postępują kolekcjonerzy dzieł sztuki, którzy rzadko i tylko

nielicznym wybrańcom prezentują swoje prywatne galerie, gdyż pewne ich arcydzieła zostały nabyte wbrew prawu i nie zawsze mogą być pokazane publicznie.

– Wyobraź sobie tutaj kocioł – powiedziała Pati O’Farrell. Trzymała w ustach dymiącego papierosa i śmiała się, z trzecim już kieliszkiem w ręce. – Żadne gliny by się nie odważyły – dodała. – Takich tłustych kąsków nikt by nie przełknął.

– Jest tu policjant. Nino Juárez.

– Już widziałam tego sukinsyna.

Teresa wypłała kolejny łyk, kończąc w myśli rachunki. Trzech finansistów. Czterech inwestorów budowlanych wysokiej klasy. Para brytyjskich aktorów, starszych już, którzy osiedli w okolicy, żeby umknąć przed podatkami w swoim kraju. Producent filmowy, z którym Teo Aljarafe założył właśnie korzystną spółkę, ponieważ bankrutował on każdego roku i był specjalistą od inwestowania w filmy, których nikt nie oglądał. Właściciel sześciu pól golfowych. Dwaj gubernatorzy. Zubożały saudyjski milioner. Bogacący się członek marokańskiej rodziny królewskiej. Główna akcjonariuszka ważnej sieci hoteli. Znana modelka. Piosenkarz, który przyleciał z Miami prywatnym samolotem. Były minister gospodarki z żoną, której mężem był przedtem znany aktor teatralny. Trzy superluksusowe dziwki, piękne i znane ze swoich romansów opisywanych w brukowcach... Teresa rozmawiała przez chwilę z gubernatorem Malagi. Podczas gdy uzgadniała z nim warunki sfinansowania sali widowiskowej i trzech ośrodków terapeutycznych dla osób uzależnionych, jego żona wpatrywała się w nią bez przerwy, z lękiem i fascynacją w oczach, nie otwierając ust. Potem Teresa zamieniła kilka słów z dwoma inwestorami budowlanymi i odeszła na bok na chwilę – krótką, ale pożyteczną – z członkiem marokańskiej rodziny królewskiej, prowadzącym interesy z ich wspólnymi znajomymi po obu stronach Cieśniny Gibraltarskiej. Dał jej swoją wizytówkę. Musi pani przyjechać do Marrakeszu. Wiele o pani słyszałem. Teresa, uśmiechnięta, kiwała potakująco głową, niczego nie obiecując. Do licha, myślała, bardzo bym chciała wiedzieć, co ten facet mógł o mnie słyszeć. I od kogo. Potem rozmawiała przez chwilę z właścicielem pól golfowych, którego poznała już wcześniej. Mam dla pani interesującą

propozycję, powiedział. Zadzwońię do pani. Piosenkarz z Miami zaśmiewał się w sąsiedniej grupce, odrzucając w tył głowę, żeby zademonstrować podbródek, który właśnie zoperował sobie w jednej z amerykańskich klinik. Kiedy byłam młoda, szalałam za nim, powiedziała z kpiną Pati. A teraz popatrz. *Sic transit* – błyszczały jej tęczęwki, a źrenice były bardzo rozszerzone. Chcesz, żeby nam go przedstawiono? Teresa zaprzeczyła ruchem głowy, z kieliszkiem przy ustach. Przestań chrzanić, Porucznik O'Farrell! I ostrożnie, wypiął już trzy. To ty chrzaniś, odpowiedziała Pati, nie tracąc dobrego humoru. Jesteś nudna i ani na jedną sekundę swojego pieprzonego życia nie zapominasz o robocie.

Teresa znowu rozejrzała się wokół z roztargnieniem. Właściwie nie było to przyjęcie, choć podobno świętowano urodziny burmistrza Marbelli. Była to czysta liturgia towarzyska, związana z interesami. Musisz tam pójść, nalegał Teo Aljarafe, który teraz rozmawiał z grupą finansistów i ich żon, grzeczny, uważny, ze szklanką w dłoni, wysoka sylwetka lekko pochylona, orli profil zwrócony uprzejmie w kierunku pań. Choć na piętnaście minut, ale musisz tam wpaść, radził. Pestañi bardzo zależy na formach i taki drobny gest robi na nim wrażenie. Poza tym nie chodzi o samego burmistrza. Kilkoma „witam” i „co słyhać” załatwiasz w jednej chwili mnóstwo spraw. Wyrąbujesz ścieżki i upraszczasz sprawy. Nasze sprawy.

– Zaraz wracam – powiedziała Pati.

Odstawiła pusty kieliszek na stół i odeszła w kierunku baru: wysokie obcasy, dekolt na plecach aż po pas, kontrastujący z czarną sukienką, którą miała na sobie Teresa, ze skromnymi ozdobami w postaci kolczyków – małych, prostych pereł – i srebrnych bransoletek. Po drodze Pati umyślnie dotknęła pleców jednej z dziewczyn rozmawiających w grupce, a tamta odwróciła się i spojrzała na nią. Cudna cipcia, powiedziała Pati chwilę wcześniej, patrząc na tamtą i kiwając głową, ogoloną niemal do gołej skóry. A Teresa, przyzwyczajona do prowokującego zachowania swojej przyjaciółki – często w jej obecności Pati celowo przesadzała – wzruszyła ramionami. Za młoda dla ciebie, Porucznik O'Farrell, powiedziała. Młoda czy nie, odpowiedziała Pati, w El Puerto przybiegłaby do mnie w podskokach. I do tego, dodała po

chwili, patrząc z zamyśleniem na Teresę, pomyliłam się co do Edmunda Dantesa. Uśmiechała się zbyt szeroko, mówiąc te słowa. Teresa z niepokojem patrzyła na nią, kiedy odchodziła, zataczając się lekko; może wytrzyma jeszcze ze dwa drinki, zanim pójdzie do toalety, żeby usmarować sobie nos. Nie był to jednak problem alkoholu ani koki. Cholerna Pati. Sprawy wyglądały coraz gorzej, i nie tylko tego wieczoru. Teresa uznała, że ma dość i może zacząć zbierać się do wyjścia.

– Dobry wieczór.

Widziała, że Nino Juárez krąży wokół i się jej przygląda. Drobny, z jasną bródką. Drogie ubranie. Niemożliwe, żeby je sobie kupił za oficjalną pensję. Czasami widywali się z daleka. Sprawy z nim załatwiał Teo Aljarafe.

– Jestem Nino Juárez.

– Wiem, kim pan jest.

Z drugiego końca salonu czuwający nad wszystkim Teo rzucił Teresie ostrzegawcze spojrzenie. Choć ten facet jest opłacony, to pole minowe, mówił jego wzrok. Poza tym ludzie patrzą.

– Nie wiedziałem, że bywa pani na takich spotkaniach – powiedział policjant.

– Ja też nie wiedziałam, że pan tu bywa.

Nie była to prawda. Teresa doskonale знаła słabość komisarza, szefa DOCS, do życia towarzyskiego w Marbelli, spotkań ze sławnymi ludźmi, występów w telewizji, gdzie opowiadał o takim czy innym wspaniałym wyczynie w służbie dla społeczeństwa. Lubił też pieniądze. Był zaprzyjaźniony z Tomasem Pestañą i popierali się wzajemnie.

– To część moich obowiązków. – Juárez przerwał i się uśmiechnął.

– Podobnie jak i pani.

Nie podoba mi się, stwierdziła Teresa. Są ludzie, których mogę kupić, jeśli trzeba. Jedni mi się podobają, a inni nie. Ten – nie. Choć może w ogóle nie podobają mi się policjanci, którzy się sprzedają. Albo w ogóle ci, którzy się sprzedają, czy są policjantami, czy nie. Kupić jeszcze nie znaczy zabrać do domu.

– Jest pewien problem – odezwał się.

Jego ton był niemal poufny. Rozglądał się wokół, tak jak i ona, z przyjemną miną.

– Problemy – odpowiedziała Teresa – nie są moją sprawą. Mam ludzi, którzy je rozwiązują.

– Ten problem nie jest prosty. I wolę pani bezpośrednio o nim powiedzieć.

I zrobił to, w krótkich słowach, tym samym tonem. Wszczęto nowe śledztwo. Polecenie wydał sędzia Sądu Najwyższego, bardzo gorliwy w swojej pracy, niejaki Martínez Pardo. Tym razem sędzia postanowił pominąć DOCS i wykorzystać żandarmerię. Juárez nie jest w to włączony i nie może się wtrącać. Chciał tylko uprzedzić, zanim sprawy nabiorą rozpędu.

– Kto w żandarmerii?

– Jest tam dość skuteczna formacja. Delta Cztery. Kieruje nią kapitan o nazwisku Víctor Castro.

– Słyszałam o nim.

– Już od dłuższego czasu w tajemnicy rozpracowują tę sprawę. Sędzia przyjeżdżał tu kilka razy. Wygląda na to, że interesują się ostatnią partią łodzi półsztywnych, które się tu pojawiły. Chcą kilka z nich zatrzymać i dotrzeć do właścicieli.

– To coś poważnego?

– Zależy, co znajdą. Sama pani wie, na co mogą trafić.

– A DOCS? Co pan zamierza robić?

– Nic. Będę się przyglądał. Uprzedziłem moich ludzi, żeby trzymali się z boku. Mówiąc pani to wszystko, wypełniam swoje zobowiązania.

Pati wróciła z kieliszkiem w ręce. Znów szła prosto i Teresa pomyślała, że musiała przejść przez łazienkę i coś sobie zaserwować. Popatrzcie, powiedziała, podchodząc do nich, kogo tu mamy. Prawo i porządek. I jakiego wielkiego roleksa ma pan dzisiaj na ręce, superkomisarzu. Nowy? Juárezowi spochmurniała twarz i popatrzył przez chwilę na Teresę. Wie pani, co jest grane, powiedział bez słów. A pani współniczka nie będzie szczególnie pomocna, kiedy wybuchnie afera.

– Przepraszam panie. Dobranoc.

Juárez oddalił się, lawirując pomiędzy gośćmi. Patricia zaśmiała się cicho, patrząc za nim.

– Co ci mówił ten skurwysyn? Że mu nie starcza do pierwszego?

– Takie prowokowanie jest niebezpieczne. – Teresa ściszyła głos,

zakłopotana. Nie chciała okazywać irytacji, a tym bardziej tutaj.
– Zwłaszcza że to policjant.

– A nie płacimy mu? To niech spierdala.

Podniosła kieliszek do ust, niemal z furią. Teresa nie wiedziała, czy wściekłość w jej słowach odnosi się do Nino Juareza, czy do niej.

– Słuchaj, Porucznik O'Farrell. Nie wygłupiaj się. Za dużo pijesz. I za dużo bierzesz.

– No to co? Jesteśmy na imprezie, a dziś mam ochotę się zabawić.

– Przestań chrzanić. Nie mówię o dzisiejszej nocy.

– W porządku, karmicielko.

Teresa nic nie odpowiedziała. Popatrzyła przyjaciółce w oczy bardzo uważnie, a ta odwróciła wzrok.

– W sumie – mruknęła pod nosem po chwili – pięćdziesiąt procent łapówek temu bydlakowi płacę ja.

Teresa nadal się nie odzywała. Myślała. Poczowała z daleka pytające spojrzenie Teo Aljarafego. To się nigdy nie skończy. Kiedy tylko załatasz jedną dziurę, pojawia się następna. I nie wszystko załatwi rozsądek czy pieniądze.

– Jak się miewa królowa Marbelli?

Tomás Pestaña pojawił się przy nich: przyjacielski, swojski, wulgarny. Niski i pulchny. W marynarce, w której wyglądał jak kelner. Teresa często się z nim stykała, łączył ich wspólny interes. Burmistrz nie bał się ryzyka, zwłaszcza jeśli w grę wchodziły pieniądze lub wpływy; założył lokalną partię polityczną, żeglował po mętnych wodach handlu nieruchomościami, a legenda zaczynająca otaczać Meksykankę potęgowała poczucie władzy i łechtała jego próżność. Zasilala również jego konta bankowe. Pestaña pierwsze duże pieniądze zrobił jako zaufany doradca poważnego andaluzyjskiego inwestora budowlanego, kiedy kupił tereny dla swojej firmy, wykorzystując kontakty szefa i jego zasoby finansowe. Potem, kiedy już trzecia część Costa del Sol należała do niego, poszedł do szefa i oznajmił mu, że odchodzi. Naprawdę? Naprawdę. No cóż, przykro mi. Jakże ci się odwdzięczę za wszystkie przysługi? Już to zrobiłeś, brzmiała odpowiedź Pestañi. Wszystko kupiłem na swoje nazwisko. Później, kiedy wyszedł ze szpitala, gdzie odratowano go po zawale, były szef Pestañi przez kilka miesięcy szukał

go z pistoletem w kieszeni.

– Ciekawi ludzie, prawda?

Pestaña, któremu nie umknął żaden szczegół, widział, że rozmawiała z Nino Juarezem. Ale nie zrobił na ten temat żadnej uwagi. Wymienili uprzejmości: wszystko w porządku, panie burmistrzu, najlepsze życzenia. Wspaniałe przyjęcie. Teresa zapytała o godzinę, a gospodarz spojrzął na zegarek i odpowiedział. Jesteśmy umówieni na obiad we wtorek, oczywiście. Tam gdzie zawsze. Teraz musimy już wyjść. Pora na nas.

– Jedziesz sama, kochaniutka – sprzeciwiła się Pati. – Mnie tu jest dobrze.

Sprawa z Galisyjczykami była bardziej skomplikowana niż z Francuzami. Wymagała koronkowej roboty, bo mafie z północnego zachodu Hiszpanii miały własne kontakty w Kolumbii i czasem pracowały z tymi samymi ludźmi co Teresa. Poza tym Galisyjczycy byli naprawdę twardzi, mieli duże doświadczenie i działali na swoim terenie, bo starzy władcy dymu, szefowie sieci przemytu papierosów, przetworzyli się wtórnie i stali się niekwestionowanymi władcami białego proszku. Zatoki Galicji były ich naturalnym terytorium, ale rozszerzali teren swojej działalności na południe, w kierunku Afryki Północnej i zachodniego krańca Morza Śródziemnego. Dopóki Transer Naga zajmowała się tylko transportem haszyszu na andaluzyjskie wybrzeże, stosunki, choć chłodne, opierały się generalnie na zasadzie „żyj i daj żyć”. Ale kokaina to było coś innego, a w ostatnich czasach firma Teresy stała się dla nich poważnym konkurentem. Problem postanowiono omówić podczas spotkania na neutralnym gruncie. Zorganizowano je w pewnej posiadłości w okolicach Cáceres, między górami Santo Domingo i drogą N-521, w gęstwinie dębów korkowych, między pastwiskami bydła, w białym dworze stojącym na końcu drogi, gdzie nadjeżdżające samochody wzbijały tumany pyłu i gdzie każdy intruz mógł zostać łatwo zauważony. Spotkanie odbyło się przed południem. Transer Nagę reprezentowali Teresa i Teo Aljarafe, których eskortowali Pote Gálvez, siedzący za kierownicą cherokee, i dwóch zaufanych młodych Marokańczyków w jadącym z tyłu ciemnym passacie, wypróbowanych najpierw na pontonach, a później

przeniesionych do zadań ochroniarskich. Teresa była ubrana w czarny żakiet i spodnie w tym samym kolorze, świetnego kroju i świetnej firmy, włosy miała ściągnięte na karku, z przedziałkiem pośrodku. Galisyjczycy już czekali, było ich trzech, tyłuż ochroniarzy przy drzwiach, obok dwóch bmw 732, którymi Galisyjczycy przyjechali na spotkanie. Przeszli od razu do sedna sprawy, ochroniarze – którzy mieli się wzajemnie na oku – pozostali na zewnątrz, a zainteresowani sprawą weszli do środka i usiedli wokół wielkiego drewnianego stołu w rustykalnym stylu, stojącego pośrodku pokoju z drewnianymi belkami pod sufitem i wypchanymi głowami jeleni i dzików na ścianach. Mieli kanapki, soki i kawę, paczki papierosów i zeszyty do notatek. Zebranie z miejsca źle się rozpoczęło, bo kiedy Siso Pernas z rodzinnego klanu Corbeira, syn władcy dymu z ujścia Arosy, don Xaquina Pernasa, zabrał głos, żeby przedstawić sytuację, zwracał się cały czas do Teo Aljarafego, jakby adwokat był prawdziwym partnerem, a Teresa przyjechała tylko dla ozdoby. Rzecz polega na tym, powiedział Siso Pernas, że ludzie z Transer Nagi posuwają się za daleko. Nie mamy żadnych zastrzeżeń co do ekspansji na Morze Śródziemne, co do haszyszu i podobnych rzeczy. Koka też nie jest problemem – jeśli interes będzie prowadzony rozsądnie, mogą zarobić wszyscy. Ale każdy na swoim miejscu, szanując terytoria i dorobek innych, co w Hiszpanii – patrzył cały czas na Teo Aljarafego, jakby to on był Meksykaninem – zawsze było ważne. Siso Pernas i jego ojciec don Xaquin przez terytoria rozumieli przerzuty transatlantyckie, wielkie transporty wiezione statkami z amerykańskich portów. Oni obsługiwali Kolumbijczyków od zawsze, od kiedy don Xaquin i bracia Corbeira, i inni ludzie ze starej gwardii, naciskani przez młode pokolenie, przerwali się z papierosów i haszyszu na kokę. Przyjechali więc z propozycją: nie mają nic przeciwko temu, żeby Transer Naga pracowała z kokainą docierającą przez Casablanke i Agadir, o ile powęduje ona dalej na wschód Morza Śródziemnego i nie zostanie w Hiszpanii. Dlatego że bezpośrednie transporty do Hiszpanii i Europy – trasa atlantycka z odgałęzieniami na północ – należą do Galisyjczyków.

– Właściwie tak jest teraz – powiedział Teo Aljarafe. – Różnice dotyczą kwestii transportu.

– Wiem. – Siso Pernas nalał sobie kawy z dzbanka, stojącego przed nim, proponując ją wcześniej Teo spojrzeniem i gestem – który odmówił ruchem głowy – i nawet nie patrząc na Teresę. – Ale nasi ludzie obawiają się, że będziecie chcieli rozwinąć interes. Pewne kwestie nie zostały ustalone. Statki, które pływają w tę i z powrotem... Nie możemy tego kontrolować, a na dodatek narażamy się, że cudze operacje będą liczone na nasze konto. – Popatrzył na swoich dwóch towarzyszy, jakby dobrze wiedzieli, o czym mówi. – I że straż graniczna i żandarmeria będą się częściej denerwować.

– Morze jest wolne – stwierdziła Teresa.

Odezwała się pierwszy raz, poza powitaniem na początku rozmowy. Siso Pernas spojrzał na Teo, jakby to on wypowiedział ostatnie słowa. Wzrokiem przyjemnym jak ostrze brzytwy. Jego towarzysze ukradkiem popatrzyli na Teresę. Ciekawi i najwyraźniej rozbawieni całą sytuacją.

– Nie całkiem – powiedział Galisyjczyk. – Od dawna zajmujemy się białym proszkiem. Mamy doświadczenie. Poczyniliśmy ogromne inwestycje – ciągle zwracał się do Teo. – A wy nam przeszkadzacie. Za wasze błędy my będziemy musieli płacić.

Teo popatrzył przelotnie na Teresę. Opalone szczupłe dłonie adwokata poruszały wiecznym piórem jakby pytająco. Nie zareagowała. Rób swoje, mówiło jej milczenie. Na wszystko przyjdzie czas.

– A co sądzą Kolumbijczycy? – zapytał Teo.

– Nie wtrącają się. – Siso Pernas uśmiechał się krzywo. Cholerni piłaci, mówiła jego twarz. – Uważają, że to nasza sprawa i my tutaj powinniśmy ją załatwić.

– A jaka jest alternatywa?

Galisyjczyk powoli wypił łyk kawy i z zadowoloną miną oparł się na krześle. Całkiem przystojny, oceniła Teresa. Zadbany, tuż przed trzydziestką. Przycięty wąsik i niebieski blezer na białej koszuli bez krawata. Handlarz narkotyków w drugim albo trzecim pokoleniu, z pewnością po studiach. Spieszy mu się bardziej niż jego staremu, który trzymał forszę w skarpecie i chodził ciągle w jednej niemodnej marynarce. Mniej rozważny. Mniej zasad i więcej pośpiechu, żeby zarobić pieniądze, za które kupi luksus i kobiety. I bardziej arogancki. Dochodzimy do sedna, mówił Siso Pernas bez słów. Spojrzał na swojego

towarzysza po lewej stronie, grubego gościa z bladymi oczami. Robota odwalona. Szczegóły pozostawiam podwładnym.

– Od Gibraltaru – powiedział grubas, opierając łokcie na stole – w głąb Morza Śródziemnego macie całkowitą swobodę działania. My wam dostarczymy towar do Maroka, jeśli tak sobie zażycycie, ale to my będziemy odpowiadać za transport z amerykańskich portów... Jesteśmy gotowi dać wam specjalne warunki, procenty i gwarancje. Nawet możecie zostać naszymi wspólnikami, ale to my będziemy wszystko kontrolować.

– Im wszystko prostsze – zakończył Siso Pernas – tym mniejsze ryzyko. Teo wymienił z Teresą spojrzenie. A jeśli powiemy nie? Mówił jej wzrok. A jeśli powiemy nie? – powtórzył adwokat głośno. Co będzie, jeśli nie przyjmujemy waszych warunków? Grubas nie odpowiedział, a Siso Pernas zajął się oglądaniem swojej filiżanki, zamyślony, jakby takiej możliwości nigdy nie brał pod uwagę.

– No nie wiem – odezwał się w końcu. – Chyba będziemy mieli problem.

– Kto go będzie miał? – chciał się dowiedzieć Teo.

Pochylił się nieco, spokojny, powściągliwy, z piórem w palcach, jakby zamierzał notować. Robił wrażenie pewnego siebie, choć Teresa wiedziała, że miał ochotę wstać i wyjść z pokoju. Problemy tego rodzaju, jakie zapowiadał Galisyjczyk, nie były specjalnością Teo. Odwrócił nieco twarz w stronę Teresy, choć nie spojrzał na nią. Ja mogę dojść tylko dotąd, komunikował. Moja specjalność to pokojowe negocjacje, doradztwo podatkowe i inżynieria finansowa, a nie aluzje i groźby wiszące w powietrzu. Jeśli ton rozmowy nie ulegnie zmianie, nie będzie to już moja sprawa.

– Albo wy... albo my. – Siso Pernas nieufnie spoglądał na pióro Teo.
– Niezgoda nikomu nie będzie służyć.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak brzęk tłuczonego szkła. To jest ten moment, pomyślała Teresa, w którym albo ty wyrywasz, albo tobie wyrywają. Tutaj zaczyna się wojna. Nadeszła pora na wejście cholernej baby z Sinaloa, która wie, o co idzie gra. I dobrze, że jest na miejscu i tylko czeka na wezwanie. Teraz jest mi potrzebna.

– Do licha... Pobijecie nas kijami bejsbolowymi? Jak tego Francuza,

o którym niedawno pisały gazety?

Patrzyła na Siso Pernasa z zaskoczeniem – wyglądało na autentyczne, udało się jej, choć nigdy nikogo nie oszukiwała i nawet nie próbowała tego robić. Ten spojrział na nią, jakby nagle zmaterializowała się z powietrza, podczas gdy tłścioch o bladych oczach wpatrywał się we własne paznokcie, a trzeci z nich, chudy mężczyzna o rękach wieśniaka czy rybaka, drapał się po nosie. Teresa spodziewała się, że Siso Pernas coś powie, ale ten milczał i patrzył na nią z mieszaniną zdenerwowania i konsternacji. U Teo zaś zatroskanie przybrało formę wyraźnego niepokoju. Uwaga, radził milcząco. Bądź ostrożna.

– Być może – Teresa mówiła powoli – wszystko dlatego, że jestem cudzoziemką i nie znam tutejszych zwyczajów... Pan Aljarafe ma moje pełne zaufanie, ale kiedy załatwiam interesy, lubię, kiedy mówi się do mnie. Ja decyduję o swoich sprawach... Czy pan mnie rozumie?

Siso Pernas nadal patrzył na nią w milczeniu, z dłońmi przyciśniętymi do blatu stołu obok filiżanki. Atmosfera była bliska zlodowacenia. Nikt nie obiecywał przyjaźni, pomyślała Teresa. Jeśli mi nucą melodię, to ja dodaję słowa. A o Galisyjczykach trochę już wiem.

– A teraz – ciągnęła – opowiem panu, jak ja to widzę.

Mam nadzieję, że nie schrzanię wszystkiego, pomyślała. I opowiedziała, jak to widzi. Mówiła jasno i robiła pauzy po każdym zdaniu, tak żeby nic nie umknęło ich uwadze. Bardzo szanuję to, co robicie w Galicji, zaczęła. Twardzi i ostrzy ludzie, w porządku. Ale wiem też, że jesteście notowani w policyjnych kartotekach, pod ścisłym nadzorem albo już poddani śledztwom. Mają u was donosicieli i wtyki, a od czasu do czasu jeden z was daje się złapać na robocie. I wszystko cacy, jak mawiamy u nas w Sinaloa. Ale ja, prowadząc swoje interesy, bardzo dbam o bezpieczeństwo i staram się do granic możliwości zapobiegać wyciekowi informacji. Zatrudniam niewielu ludzi, którzy w dodatku w większości wzajemnie się nie znają. Dzięki temu nie ma wpadek. Sporo czasu zajęło mi stworzenie takiej struktury i nie mam zamiaru, po pierwsze, pozwolić, żeby zardzewiała, a po drugie, godzić się na jej osłabienie czy zniszczenie w operacjach, których nie mogę kontrolować. Proście mnie, żebym oddała się w wasze ręce w zamian za procent czy coś takiego. Czyli żebym siedziała z założonymi rękami i pozwoliła

wam na monopol. Nie widzę żadnej korzyści dla siebie, dlaczego więc miałyby mi to odpowiadać? Chyba że mi grozicie. Ale nie, nie wierzę, żebyście mi grozili.

– Jak mielibyśmy pani grozić? – spytał Siso Pernas.

Ten akcent. Teresa odpędziła duchy, które nadleciały. Musi zachować trzeźwą głowę, odpowiedni ton. Kamień Leona jest daleko stąd, nie zamierzam wpaść na następny.

– Wyobraźcie sobie, że przychodzą mi do głowy dwa sposoby – odpowiedziała. – Rozpowszechniając informacje, które mogą mi zaszkodzić, albo próbując czegoś wprost. Wiedziecie, że w obu przypadkach mogę okazać się takim samym draniem jak każdy. Z jedną różnicą: nie mam nikogo, przez czyją obecność byłabym bardziej wrażliwa na ciosy. Jestem tu przejazdem, jutro mogę umrzeć albo zniknąć, albo odjechać bez pakowania walizek. Nawet nie kazałam sobie przygotować grobu, mimo że jestem Meksykanką. Panowie natomiast macie to i owo. *Pazos*, tak chyba nazywają się te piękne domy w Galicji... Luksusowe samochody, przyjaciół... krewnych... Możecie sprowadzić kolumbijskich zbirów, żeby załatwili za was brudną robotę. Ja też. Możecie, doprowadzeni do skrajności, rozpętać wojnę. Ja też, z całą skromnością, mogę, bo mam dużo forsy i stać mnie na zapłacenie za każdą rzecz. Ale wojna ściągnęłaby na nas uwagę władz... Zauważyłam, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych lubi porachunki między handlarzami narkotyków, zwłaszcza jeśli mają konkretne imiona i nazwiska, nieruchomości, które można zająć, i prowadzone jest w ich sprawie śledztwo, bo można ich posłać do więzienia... A o was często piszą w gazetach.

– O pani też – zauważył Siso Pernas z poirytowaną miną.

Teresa popatrzyła na niego przez kilka sekund chłodno, z całkowitym spokojem.

– Nie tak często i nie na tych samych stronach. Mnie nikt nigdy niczego nie udowodnił.

Galisyjczyk roześmiał się krótko, po chamsku.

– Niech mi pani powie, jak to się robi.

– Może nie jestem takim dupkiem jak wy.

Słowo się rzekło, cofnąć się nie da, pomyślała. Wszystko wprost i bez

ozdób. A teraz ciekawe, co zrobią ci durnie. Teo bawił się skuwką pióra. Ty też przechodzisz trudne chwile, pomyślała Teresa. Ale dlatego zarabiasz tyle, ile zarabiasz. Różnica polega na tym, że możesz sobie pozwolić, żeby twoje zdenerwowanie było widoczne, a ja – nie.

– Wszystko może się zmienić – zauważył Siso Pernas. – Mówię o pani sprawach.

Wariant przewidziany. I rozważony. Teresa wyjęła papierosa z paczki leżącej przed nią obok szklanki wody i skórzanej teczki z dokumentami. Zrobiła to, jakby zastanawiając się, i włożyła go do ust, nie zapalając. Czowała suchość w gardle, ale postanowiła nie ruszać szklanki z wodą. Nieważne, jak się czuję, pomyślała. Ważne, jak mnie widzą.

– Jasne – przyznała. – I mam przecucie, że się zmieni. Ale ja jestem jedna. Z moimi ludźmi, ale jedna. Moja firma ma celowo ograniczony zakres działalności. Wszyscy wiedzą, że nie pracuję z własnym towarem. Ja tylko organizuję transport. To minimalizuje moje straty. I ogranicza moje ambicje. Do panów zaś można dotrzeć przez wiele okien i drzwi. Jeśli ktoś zechce uderzyć, może wybierać. Są ludzie, których kochacie, interesy, które chcecie zachować... Was można uderzyć tak, żeby bolało. Z papierosem w ustach patrzyła Galisyjczykowi w oczy. Twarz bez wyrazu. Trwała tak chwilę, licząc w duszy sekundy, aż Siso Pernas, z zamyśloną twarzą i niemal zgrzytając zębami, wsunął rękę do kieszeni, wyjął złotą zapalniczkę i przechylając się nad stołem, podał jej ogień. Tutaj doszedłeś, blondasku. Już pękasz. Podziękowała skinieniem głowy.

– A pani nie? – spytał w końcu Galisyjczyk, chowając zapalniczkę.

– Proszę spróbować. – Teresa wypuszczała dym, przymykając oczy.

– Zdziwi się pan, jak twardy jest ktoś, kto nie ma do stracenia niczego poza własnym życiem. Pan, na przykład, ma rodzinę. Piękną żonę, jak mówią... Syna.

Trzeba kończyć, stwierdziła. Strachu nie wolno budzić nagle, gwałtowny strach może przerodzić się w bezmyślność albo we wściekłość, jeśli ktoś uzna, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Przez to ludzie stają się nieprzewidywalni i superniebezpieczni. Sztuka polega na tym, by strach wsączać powolutku, niech budzi się, dojrzewa i trwa, bo wtedy zmienia się w respekt. Granica jest bardzo delikatna i trzeba uważać, żeby

wszystko zaskoczyło.

– U nas w Sinaloa jest takie powiedzenie: „Zabiję mu całą rodzinę, a potem wykopię z ziemi jego dziadków, zastrzelę ich i znów zakopię”.

Kiedy mówiła, nie patrząc na nikogo, otworzyła leżącą przed sobą teczkę i wyjęła z niej wycinek prasowy: zdjęcie drużyny piłki nożnej z pewnej miejscowości przy ujściu Arosy, którą Siso, zagorzały kibic, wspaniałomyślnie dotował. Był prezesem klubu i na zdjęciu – Teresa rozłożyła je delikatnie na stole, między sobą a nim – pozował obok piłkarzy razem ze swoją żoną i synem, ślicznym chłopcem, dziesięcio-, dwunastoletnim, ubranym w koszulkę drużyny.

– No to dajcie mi spokój. – Teraz patrzyła Galisyjczykowi prosto w oczy. – Albo, jak to mówicie tu w Hiszpanii, bądźcie uprzejmi się odpieprzyć.

Odgłos wody za zasłoną prysznic. Para. Lubił brać bardzo gorący prysznic.

– Mogą nas zabić – powiedział Teo.

Teresa stała oparta o ramę otwartych drzwi. Naga. Czowała ciepłą wilgoć na skórze.

– Nie – odpowiedziała. – Najpierw spróbują czegoś łagodnego. Potem będą chcieli się dogadać.

– To, co nazywasz czymś łagodnym, już zrobili... O pontonach, o których ci wspomniał Juárez, na pewno oni donieśli sędziemu Martinezowi Pardo. Napuścili na nas żandarmerię.

– Wiem. Dlatego tak ostro zagrałam. Chciałam, żeby wiedzieli, że my wiemy.

– Klan rodziny Corbeira...

– Daj spokój, Teo. – Teresa pokręciła głową. – Wiem, co robię.

– To prawda. Zawsze wiesz, co robisz. Albo wspaniale udajesz.

Z trzech zdań, pomyślała Teresa, powiedziałaś o jedno za dużo. Ale może masz swoje prawa. Albo uważasz, że je masz. Para matowiła wielkie łazienkowe lustro, w którym teraz była już tylko szarą plamą. Przy umywalce stały butelki z szamponem, emulsją do ciała, obok grzebień i zapakowane mydło. Parador Nacional w Cáceres. Po drugiej stronie łóżka ze zmiętą pościelą okienna rama obrysowywała niesamowity, średniowieczny obrazek – stare kamienie odcinające się na

tle nocy, kolumny i podcienie wyłoczone światłem reflektorów. O rany, pomyślała. Jak w amerykańskim filmie, tyle że to jest prawdziwe. Stara Hiszpania.

– Podaj mi ręcznik, jeśli możesz – poprosił Teo.

Był potwornie czystym facetem. Brał prysznic przed i po, jakby pieprzeniu się chciał nadać pozory higieny. Skrupulatny, zadbany, z tych, którzy robią wrażenie, jakby nigdy się nie pocili, a na skórze nie mieli ani jednego mikroba. Wszyscy mężczyźni, których Teresa widziała nagich, zawsze byli czyści, a przynajmniej na takich wyglądali, ale żaden tak jak ten. Teo prawie nie miał własnego zapachu, to był słaby zapach mydła i płynu po goleniu, tak samo stonowanych jak wszystko, co się z nim wiązało. Kiedy się kochali, zawsze dominował zapach jej zmęczonego ciała, jej śliny, mocny i gęsty zapach jej wilgotnego seksu, jakby to Teresa brała w posiadanie to męskie ciało. Zdobywała je. Podała mu ręcznik, bo właśnie zakręcił wodę, przyglądając się jego wysokiej szczupłej postaci, gładkiej skórze ociekającej wodą. Czarnemu owłosieniu na piersi, nogach i podbrzuszu. Spokojnemu uśmiechowi, zawsze na miejscu. Ślubnej obrączce na lewej ręce. Nie przywiązywała wagi do tej obrączki, on pozornie też. Między nimi jest czysto zawodowy układ, powiedziała Teresa jeden jedyny raz, na początku, kiedy Teo próbował usprawiedliwiać siebie, czy ją, jakimś zupełnie niepotrzebnym komentarzem. Więc nie śpiewaj mi tu o miłości. A Teo był dość inteligentny, żeby zrozumieć.

– Mówiłaś poważnie o synu Siso Pernasa?

Teresa nie odpowiedziała. Podeszła do zaparowanego lustra, ręką starła trochę osiadłej na nim pary. I stała tak, i patrzyła na tamtą postać z potarganymi włosami, jakby niekoniecznie musiała to być właśnie ona. Wielkie czarne oczy przyglądały się jej jak zawsze.

– Nikt by w to nie uwierzył, gdyby cię teraz zobaczył – powiedział.

Stał obok, obserwując jej odbicie w niezaparowanym skrawku lustra. Wycierał sobie ręcznikiem tors i plecy. Teresa poruszyła głową w powolnym geście zaprzeczenia. Nie chrząć, powiedziała bez słów. Z roztargnieniem pocałował jej włosy i dalej się wycierał, idąc do sypialni, a ona została na miejscu, opierając się dłońmi o umywalkę, naprzeciwko swojego niewyraźnego odbicia. Obym nigdy nie musiała

i tobie tego udowodniać, powiedziała w duchu, kierując przestrogę do męczyzny chodzącego po sąsiednim pokoju. Oby!

– Martwi mnie Patricia – powiedział nagle.

Teresa podeszła do drzwi i stojąc w progu, przyglądała się Teo. Wyjął z walizki nieskazitelnie wyprasowaną koszulę – nigdy mu się, draniowi, nie mięły rzeczy – i rozpiął guziki. Za pół godziny będzie na nich czekał zarezerwowany stolik w Torre de Sande. Świetna restauracja, powiedział. Na starym mieście. Teo znał wszystkie świetne restauracje, wszystkie modne lokale, wszystkie eleganckie sklepy. Miejsca doskonale do niego pasujące, tak samo jak koszula, którą właśnie miał włożyć. Wyglądał, jakby się tutaj urodził. Podobnie jak Pati O’Farrell. Dwa dzieciaki, które świat zawsze rozpieszczał, choć on czuł się w tej roli lepiej niż Pati. Wszystko super i bardzo dalekie od dzielnicy Las Siete Gotas, pomyślała, gdzie jej matka – która nigdy jej nie pocałowała – zmywała w glinianym zlewie na podwórzu i chodziła do łóżka z pijanymi sąsiadami. Daleko od szkoły, gdzie brudne szczeniaki zadzierały jej spódnicę przy płocie. Zrób nam loda, mała. Każdemu po kolei. Bo jak nie, to ci rozpierdolimy cipkę. Daleko od domów z desek i blachy cynkowej, błota między palcami i cholernej nędzy.

– Co z Pati?

– Sama dobrze wiesz. I jest coraz gorzej.

To prawda. Alkohol i kokaina, aż do nieprzytomności, to złe połączenie, ale było jeszcze coś. Porucznik jakby rozsypywała się powoli, w ciszy. Być może trzeba by to nazwać rezygnacją, choć Teresa nie potrafiła ustalić, czego ta rezygnacja dotyczy. Czasem Pati przypominała jednego z tych rozbitków, którzy naraz bez widocznego powodu przestają płynąć. Bul, bul. Może dlatego, że stracili wiarę albo są zmęczeni.

– Może robić, co jej się podoba – powiedziała.

– Nie na tym to polega. Chodzi o to, czy to, co robi, jest dobre dla ciebie czy nie.

Typowe dla Teo. Wcale nie O’Farrell go martwiła, ale konsekwencje, jakie mogło mieć jej zachowanie. Jaki to będzie miało wpływ na sprawy Teresy. Czy to jest dobre dla ciebie, czy nie, szefowo. Istotą problemu była tu obojętność, a nawet niechęć, z jaką Pati podchodziła do tych niewielu obowiązków, które jeszcze na niej ciążyły w Transer Nadze.

Podczas roboczych spotkań, na których bywała coraz rzadziej, pozostawiając to Teresie, była jakby nieobecna albo kpiła w żywe oczy ze wszystkich i wszystkiego, także ze spraw dużej wagi dla firmy, a nawet dotyczących ludzkiego życia. Do wszystkiego podchodziła jak do zabawy. Wydawała mnóstwo pieniędzy, nic jej nie interesowało. Przypominała statek zrywający cumy. Teresa nie była pewna, czy to ona powoli zwalniała swoją przyjaciółkę ze wszystkich obowiązków, czy też ona sama odchodziła, pograżając się w mrocznych zakamarkach swoich myśli i swojego życia. Ty jesteś liderem, mawiała. A ja biję brawo, piję, wacham i patrzę. Choć może równocześnie zachodziły oba procesy, a Pati jedynie poddawała się rytmowi dni, naturalnemu, nieuniknionemu porządkowi rzeczy, który miał na nie obydwie wpływ od początku. Może pomyliłam się co do Edmunda Dantesa, powiedziała Pati u Tomasa Pestañi. To nie było to ani to nie byłaś ty. Nie potrafiłam cię odgadnąć. A może, jak powiedziała przy innej okazji – z białym nosem i zamglonymi oczami – jest tak, że wcześniej czy później ksiądz Faria znika ze sceny.

Stawała się coraz bardziej konfliktowa i tak jakby umierała, choć nie umierała naprawdę. I nie miało to dla niej znaczenia. Tak ją postrzegano, a to jest najgorsze w tych interesach, wrażliwych na skandale wszelkiego rodzaju. Ostatni rozdział był całkiem świeży: nikczemna i amoralna małolata, z fatalnym towarzystwem i jeszcze gorszymi zamiarami, wykorzystywała Pati bezczelnie, co skończyło się obrzydliwą historią z nadużyciem narkotyków, a przez krwotok i szpital o piątej rano O'Farrell o mały włos nie trafiła na strony kroniki kryminalnej, co niechybnie by się stało, gdyby na czas nie zostały uruchomione wszystkie dostępne środki: pieniądze, znajomości, szantaż. Sprawa w końcu została wyciszona. W życiu różnie bywa, powiedziała Pati, kiedy Teresa próbowała przeprowadzić z nią ostrą rozmowę. Dla ciebie to proste, Meksykanko. Masz wszystko, nawet kogoś, kto ci robi dobrze. No to żyj swoim życiem, a mnie zostaw moje. Nie żądam rozliczeń ani nie wtrącam się do nie swoich spraw. Jestem twoją przyjaciółką. Płaciłam i płacę za twoją przyjaźń. Wypełniam umowę. A ty, która tak łatwo kupujesz wszystko, pozwól, żebym sobie kupiła przynajmniej siebie samą. Posłuchaj. Zawsze mówisz, że dzielimy wszystko po

połowie, nie tylko interesy i pieniądze. Zgoda. To jest moja wolna, świadoma, pieprzona połowa.

Nawet Oleg Jaszykow ostrzegał ją. Uważaj, Tesa. Rzykujesz nie tylko pieniądze, ale wolność i życie. Sama jednak podejmujesz decyzje. Jasne. W każdym razie mogłabyś zadać sobie kilka pytań. Tak. Różnych. Na przykład, jaka jest twoja część. Za co odpowiadasz. A za co nie. Do jakiego stopnia to jest twoja gra, choć to ona ją rozpoczęła. Istnieją odpowiedzialności bierne, równie ważne jak inne. Bywa i taka cisza, o której nie da się powiedzieć, że nie słyszeliśmy jej zupełnie wyraźnie. Tak. Od pewnego momentu w życiu każdy jest odpowiedzialny za to, co robi. I za to, czego nie robi.

Jak by to było, gdyby... czasami myślała Teresa. Gdybym ja... Być może to właśnie był klucz; jednak nie widziała możliwości zajrzenia za drugą stronę muru, coraz wyraźniejszego i nieuniknionego. Drażniły ją wyrzuty sumienia i złość, które napływały jak przez mgłę falami i były coraz silniejsze, i sama nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Dlaczego miałabym żałować, myślała. Nie mogło być inaczej, i nie było. Nikt nikogo nie oszukiwał; a jeśli Pati miała w przeszłości jakieś nadzieje czy zamiary, dawno musiała je porzucić. Może na tym właśnie polegał problem. Wszystko zostało wyjaśnione albo prawie wyjaśnione, a dla Porucznik O'Farrell przestał się liczyć nawet motyw ciekawości. Ostatnim eksperymentem Pati, jeśli chodzi o Teresę, mógł być Teo Aljarafe. Albo w ten sposób po prostu się odegrała. Od tego momentu wszystko stało się przewidywalne. I mroczne. I temu każda z nich musiała stawić czoło samodzielnie.

*Na dwustu, trzystu metrach
wzniosę w niebo cęsnę każdą*

– Już jest – powiedział doktor Ramos.

Ma ucho jak radar, stwierdziła Teresa. Sama nie słyszała niczego poza szumem fal na plaży. Noc była cicha, morze tworzyło czarną plamę naprzeciwko zatoki Agua Amarga na wybrzeżu Almerii, piasek na plaży wyglądał w świetle księżyca jak śnieg, a latarnia morska na przylądku Polacra – trzy błyski co dwanaście lub piętnaście sekund, zarejestrowała automatycznie pod wpływem dawnego instynktu zawodowego – świeciła z przerwami u stóp łańcucha gór Gata, leżących sześć mil dalej na południowy zachód.

– Słyszę tylko szum morza – odrzekła.

– Proszę posłuchać.

Wyteżyła słuch w ciemności. Stali przy cherokee, z termosem kawy, plastikowymi kubkami i kanapkami, ubrani w kurtki i swetry, bo było zimno. O kilka metrów od nich rysowała się ciemna postać Pote Galveza, który, spacerując po plaży, obserwował pas ubitej ziemi i wyschnięty strumień, wychodzące na plażę.

– Teraz słyszę – powiedziała.

Był to odległy warkot, z trudem dający się odróżnić od szumu morza, jego intensywność rosła z każdą chwilą, niósł się bardzo nisko, jakby powstawał na morzu, a nie w powietrzu. Przypominał odgłos ślizgacza nadpływającego z wielką szybkością.

– Dobrze chłopaki – stwierdził doktor Ramos.

W jego tonie brzmiała odrobina dumy, z jaką mówi się o synu albo zdolnym uczniu, ale głos miał spokojny jak zawsze. Ten facet, pomyślała Teresa, nigdy się nie denerwuje. Ona sama musiała nieraz włożyć sporo wysiłku, by opanować nerwy i wydobyć z siebie spokojny głos, jakiego od niej oczekiwano. Gdyby wiedzieli, myślała. Gdyby wiedzieli. A tym bardziej tej cholernej nocy, kiedy tyle ryzykowali. Przez trzy miesiące przygotowywali to, co miało się rozegrać w ciągu niecałych dwóch godzin, a z tych upłynęło już trzy czwarte. Warkot silników był coraz wyraźniejszy i bliższy. Doktor przysunął zegarek do

oczu i oświetlił jego tarczę zapalniczką.

– Pruska punktualność – dodał. – Dokładnie o czasie.

Warkot samolotu był coraz bliższy, wciąż na tej samej wysokości. Teresa, która wpatrywała się zachłannie w niebo, nagle odniosła wrażenie, że widzi mały czarny punkt, stale rosnący, dokładnie na granicy między ciemną wodą a lśnieniem księżyca, daleko w morzu.

– Do licha – powiedziała.

To musi być piękne, pomyślała. Miała dość wiedzy, wspomnień, doświadczenia, żeby mogła sobie wyobrazić, co się teraz dzieje w kabinie samolotu: w dole morze, słabe światełka przyrządów na desce, linia ziemi rysująca się daleko w przodzie, dwaj mężczyźni przy sterach, VOR-DME Almerii na częstotliwości 114,1, co umożliwia wyznaczenie położenia i odległości nad morzem Alborán, kropka-kreska-kreska-kreska-kropka-kreska-kropka, a potem ziemia widziana w świetle księżyca, orientujemy się względem błysków latarni morskiej po lewej i świateł Carboneras po prawej stronie, ciemna plama zatoki w środku. Oby tylko to był on, pomyślała. Oby leciał na oko, tak jak oni potrafią, odważnie jak sto diabłów. Wtedy ciemny punkt nagle urósł, ciągle tuż nad wodą, warkot silników stał się ogłuszający, rooaaaar, usłyszała ten dźwięk, jakby zamierzał rzucić się na nich, i naraz Teresa zobaczyła, jak skrzydła materializują się na wysokości jej oczu. Po chwili ukazał się cały samolot, lecący bardzo nisko, jakieś pięć metrów nad powierzchnią wody, dwa śmigła obracały się jak srebrne krążki w świetle księżyca. Na pełnej szpuli. Chwilę później przeleciał nad nimi z rykiem, wznosząc tuman piasku i suchych wodorostów, nabral wysokości, wlatując nad ląd, pochylił się na lewe skrzydło i zniknął w mroku, między górami Gata i Cabrera.

– No to mamy półtorej tony – odezwał się doktor.

– Jeszcze nie jest na ziemi – odpowiedziała Teresa.

– Za piętnaście minut będzie.

Nie musieli już siedzieć w ciemności, doktor poszperał więc w kieszeniach spodni, zapalił fajkę i przypalił Teresie papierosa, którego właśnie wsunęła do ust. Pojawił się Pote Gálvez, niósł w każdej ręce kubek kawy. Pulchny cień, spełniający każde jej pragnienie. Piasek tłumiał odgłos jego kroków.

– Co słysząc, szefowo?

– Wszystko w porządku, Pinto, dziękuję.

Napiła się czarnego płynu, bez cukru, ale wzmocnionego odrobiną koniaku, smakując papierosa z kilkoma okruchami haszyszu. Mam nadzieję, że dalej też wszystko pójdzie dobrze, pomyślała. Jej telefon komórkowy, który trzymała w kieszeni kurtki, zadzwonił, kiedy towar zostanie załadowany do czterech furgonetek czekających przy prymitywnym pasie startowym małego lotniska – niewykorzystywanego od czasów wojny domowej – pośrodku pustyni w okolicach Almerii, niedaleko Tabernas, w odległości piętnastu kilometrów od najbliższej wsi. To był ostatni etap skomplikowanej operacji przetrzutu tysiąca pięciuset kilogramów chlorowodoru kokainy od kartelu z Medellín dla włoskich mafii. Kolejny ćwiek wbity klanowi Corbeira, który nadal starał się zachować wyłączność w handlu białą damą na terytorium hiszpańskim. Teresa uśmiechnęła się w duchu. Ostro się wkurzą Galisyjczycy, jak się dowiedzą. Ale to Kolumbijczycy poprosili Teresę, żeby sprawdziła, czy istnieje możliwość, by za jednym zamachem przetransportować dużą dostawę, która zostanie załadowana do kontenerów w Walencji i wysłana do Genui, a ona po prostu to zrobiła. Narkotyki, zapakowane próżniowo w worki po dziesięć kilo, umieszczone w puszkach na smary samochodowe, w pobliżu Ekwadoru na wysokości wysp Galapagos zostały załadowane na stary frachtowiec o nazwie „Susana”, żeglujący pod panamską banderą i przepływający Atlantyk. Towar dotarł do marokańskiego portu w Casablance, a stamtąd pod ochroną Królewskiej Żandarmerii – pułkownik Abdelkader Chaib pozostawał z Teresą w świetnych stosunkach – przewieziono go ciężarówkami do Rifu, do jednego z magazynów wykorzystywanych przez Transer Nagę do przetrzutów haszyszu.

– Marokańczycy wywiązali się ze wszystkiego jak prawdziwi džentelmeni – stwierdził doktor Ramos, trzymając ręce w kieszeni.

Szli do samochodu, gdzie za kierownicą siedział Pote Gálvez. Zapalone reflektory oświetlały piasek, skały i mewy, które fruwały obudzone światłem.

– Tak, i to jest pańska zasługa.

– Ale pomysł nie był mój.

– Pan go zrealizował.

Doktor Ramos pociągnął fajkę i nic nie odpowiedział. Trudno było z ust taktyka Transer Nagi usłyszeć skargę czy dostrzec satysfakcję po pochwalę. Ale o ile na pomysł użycia dużego samolotu – most powietrzny, jak nazywali go między sobą – wpadła Teresa, to opracowaniem trasy i wszystkimi szczegółami operacyjnymi zajmował się właśnie doktor. Nowość polegała na wykorzystaniu lotów na małej wysokości i utajnionych lotnisk do operacji na dużą skalę, bardziej zyskowych. Bo w ostatnich czasach pojawiły się problemy. Dwa galisyjskie transporty finansowane przez klan Corbeira zostały przechwycone przez strażę graniczną, jeden na Karaibach, drugi w pobliżu Portugalii, trzecia zaś operacja, w całości przeprowadzona przez Włochów – na turecki statek handlowy, odbywający rejs na trasie z Buenaventura do Genui, przez Kadyks, załadowano pół tony kokainy – poniosła całkowite fiasko: cały ładunek został przejęty przez hiszpańską żandarmerię i osiem osób wylądowało w więzieniu. Był to trudny moment i Teresa po długim namyśle postanowiła zaryzykować użycie metod, które przed laty w Meksyku przyniosły Amado Carrillo przydomek Pana Niebios. Spróbujemy, postanowiła. Po co kombinować, skoro istnieją mistrzowie. I dała Faridowi Lataqui i doktorowi Ramosowi zadanie do wykonania. Libańczyk protestował, oczywiście. Mało czasu, mało pieniędzy, mały margines błędu. Zawsze wymaga się od niego cudów. I tak dalej. Tymczasem doktor zamknął się z mapami i wykresami, pałac cały czas fajkę i nie wypowiadając więcej słów, niż to było konieczne, wyznaczał trasy, obliczał niezbędne zapasy paliwa, wyszukiwał odpowiednie miejsca, dziury w pokryciu radarowym, tak by dotrzeć do morza między Melillą i Alhucemas, dystans do pokonania tuż nad powierzchnią morza ze wschodu na północ–północny zachód, niestrzeżone strefy, gdzie można przekroczyć hiszpańską granicę, punkty odniesienia na ziemi, żeby móc się kierować na oko, bez korzystania z przyrządów, zużycie paliwa na dużej i małej wysokości, sektory, gdzie samolot średniej wielkości nie może zostać wykryty, jeśli leci na niewielkiej wysokości. Dotarł nawet do kilku kontrolerów lotów, którzy mieli dyżur w odpowiednie noce we właściwych miejscach, i zdobył pewność, że nikt nie będzie nikogo informował o żadnym podejrzanym

echu na radarze. Poleciał nad pustynię Almerii w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do lądowania i pojechał w góry w pobliżu Rifu, żeby sprawdzić na miejscu, jakie są warunki na lokalnych lotniskach. Samolot zdobył Lataquia w Afryce: stary aviocar C-212 zbudowany w 1978 i ciągle na chodzie, przewożący pasażerów między Malabo i Bata, pochodzący z hiszpańskiej pomocy dla Gwinei Równikowej. Dwusilnikowy, z udźwigiem dwóch ton. Przy szybkości sześćdziesięciu węzłów mógł wylądować na pasie długości dwustu pięćdziesięciu metrów, jeśli zmienił ustawienie śmigieł i wysunął klapy pod kątem czterdziestu stopni. Zakup został przeprowadzony bez problemów, za pośrednictwem Ambasady Gwinei Równikowej w Madrycie – dodatkowa prowizja dla attaché handlowego, zawyżona faktura pozwoliła pokryć koszt silników do półsztywnych łodzi – następnie aviocar poleciał do Bangui, gdzie dwa silniki turbośmigłowe Garrar TPE zostały sprawdzone i wyregulowane przez francuskich mechaników. A potem wylądował na czterystu metrach pasa lotniska w górach niedaleko Rifu, żeby zabrać kokainę. Skompletowanie załogi nie było trudne: za sto tysięcy dolarów wynajął pierwszego pilota, Jana Karaska, Polaka, byłego specjalistę od rolniczych oprysków, weterana nocnych lotów, podczas których przewoził haszysz dla Transer Nagi na pokładzie swojej awionetki Skymaster; i za siedemdziesiąt pięć tysięcy drugiego, Fernanda de la Cueva, byłego hiszpańskiego wojskowego, który zanim przeszedł do lotnictwa cywilnego, gdzie został bez pracy po jednej z kolejnych restrukturyzacji Iberii, latał na aviocarach w czasie służby w siłach powietrznych. O tej porze – reflektory cherokee oświetlały pierwsze domy w Carboneras, kiedy Teresa spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej – Karasek, najpierw kierując się światłami autostrady Almería–

–Murcia, potem przelatując nad nią w okolicy Níjar, powinien był już ominąć przewody wysokiego napięcia – które doktor Ramos starannie wyrysował na ich mapach powietrznych, w okolicy gór Alhamilla – i skręciwszy lekko na zachód, wysuwał teraz podwozie, lecąc ciągle bardzo nisko, ale tak, żeby wylądować na ukrytym lotnisku oświetlonym przez księżyc, gdzie na początku pasa stał jeden samochód, a trzysta pięćdziesiąt metrów dalej drugi – umówione były dwa krótkie błyski

światłami, żeby pokazać początek i koniec pasa. W luku bagażowym znajdował się ładunek szacowany na czterdzieści pięć milionów dolarów, z których Transer Naga jako firma przewozowa otrzymywała sumę odpowiadającą dziesięciu procentom tej kwoty.

Zatrzymali się w przydrożnym zajeździe przed wjazdem na drogę N-340. Przy stolikach w głębi siedziało kilku kierowców ciężarówek, pod sufitem wisiały wędzone szynki i kiełbasy oraz skórzane bukłaki z winem, ściany zdobiły zdjęcia toreadorów, w głębi stały obrotowe stelaże z kasetami porno, płytami i taśmami zespołów Los Chunguitos, El Fary, La Niña de los Peines. Przy barze zjedli trochę szynki, polędwicy, świeżego tuńczyka z papryką i pomidorami. Doktor Ramos zamówił kieliszek koniaku, a Pote Gálvez, kierowca, podwójną kawę. Teresa szukała właśnie papierosów w kieszeniach kurtki, kiedy przed wejściem zatrzymał się zielono-biały nissan żandarmerii, a jego pasażerowie weszli do zajazdu. Pote Gálvez zeszywniał, odsunął ręce od baru i z zawodową podejrzliwością ustawił się bokiem do nowo przybyłych, starając się stać tak, żeby ciałem zasłaniać swoją szefową. Spokojnie, Pinto, powiedziała mu wzrokiem. Jeszcze nie dzisiaj. To wiejski patrol. Rutyna. Byli to dwaj młodzi funkcjonariusze w oliwkowych mundurach, z pistoletami w czarnych kaburach po bokach. Grzecznie powiedzieli dobry wieczór, położyli czapki na taborecie i stanęli przy barze, opierając się łokciami. Wyglądali na spokojnych, jeden spojrzał na nich przelotnie, wsypując cukier do kawy, którą mieszał łyżeczką. Wzrok doktora Ramosa zaiskrzył, kiedy wymieniali spojrzenie z Teresą. Gdyby ci chłopcy wiedzieli, mówił bez słów, nabijając obficie fajkę. Coś takiego. Potem, kiedy żandarmi zamierzali już wychodzić, doktor powiedział kelnerowi, że chciałby zapłacić za ich kawę. Jeden z nich uprzejmie zaprotestował, a drugi uśmiechnął się do nich. Spokojnej służby, powiedział doktor, kiedy wychodzili. Dziękujemy, odpowiedzieli razem.

– Dobrze chłopaki – stwierdził doktor, kiedy zamknęli za sobą drzwi.

To samo powiedział o pilotach, przypomniała sobie Teresa, kiedy silniki aviocaru ryczały nad plażą. Imponował jej swoim spokojem i opanowaniem. To właśnie przede wszystkim lubiła w tym człowieku. Każdy, jeśli spojrzeć z odpowiedniej perspektywy, może być dobrym

chłopakiem. Albo dobrą dziewczyną. Świat to skomplikowane miejsce o trudnych regułach, gdzie każdy gra taką rolę, jaką wyznaczy mu los. I nie zawsze można wybierać. Wszyscy ludzie, jakich znam, kiedyś powiedział doktor, mają powody, żeby robić to, co robią. Jeśli się to uzna, stwierdził, wcale nie jest trudno żyć dobrze z bliźnimi. Sztuczka polega na tym, żeby zawsze szukać pozytywnej strony. Palenie fajki bardzo w tym pomaga. Zajmuje dużo czasu, można wtedy myśleć. Daje okazję, żeby poruszać rękami i przyjrzeć się sobie. I innym.

Doktor zamówił drugi koniak, a Teresa – nie mieli w zajeździe tequili – galisyjskie orujo, po którym z nosa buchały płomienie. Obecność żandarmów przypomniła jej niedawną rozmowę i stare zmartwienia. Trzy tygodnie temu miała pewną wizytę w oficjalnej siedzibie firmy Transer Naga, która zajmowała obecnie pięciopiętrowy budynek przy nadmorskiej alei, tuż obok parku w Marbelli. Była to wizyta niezapowiedziana, początkowo nie chciała jej przyjąć, dopóki Eva, jej sekretarka – Pote Gálvez stał pośrodku dywanu, naprzeciwko drzwi do jej biura, warował niczym doberman – nie pokazała jej nakazu sądowego, na mocy którego Teresa Mendoza Chávez, zamieszkała tu i tu, powinna poddać się wstępnemu przesłuchaniu oraz innym ustalonym przez prawo czynnościom, które mogą mieć miejsce. Dokument nie określał, wobec czego wstępne miało być to przesłuchanie. Jest ich dwoje, dodała sekretarka. Mężczyzna i kobieta. Z żandarmerii. Po chwili zastanowienia Teresa kazała zawiadomić o tym Teo Aljarafego, uspokoiła wzrokiem Pote Galveza i poprosiła sekretarkę, żeby wprowadziła gości do sali zebrań. Nie podali sobie dłoni. Po zdawkowym powitaniu usiedli przy okrągłym stole, z którego wcześniej uprzątnięto wszystkie papiery i teczki. Mężczyzna był szczupły, poważny, przystojny, o przedwcześnie posiwiałych włosach obciętych na zapawkę i pięknych wąsach. Ma niski, przyjemny głos, stwierdziła Teresa, zachowująca się jak światowa dama. Ubrany był po cywilnemu, w zniszczoną sztruksową marynarkę i sportowe spodnie, widać jednak było, że to wojskowy. Nazywam się Castro, powiedział, nie podając imienia, stopnia ani wydziału; choć po chwili, kiedy to nieco przemyślał, dodał, że jest kapitanem. Kapitan Castro. A to jest sierżant Moncada. Kiedy ją przedstawił, kobieta – rudowłosa, o małych inteligentnych

oczach, ubrana w spódnicę i sweter, ze złotymi kolczykami – wyjęła magnetofon z płócienną torbę, którą trzymała na kolanach, i położyła go na stole. Mam nadzieję, powiedziała, że to pani nie przeszkadza. Potem głośno wytarła nos w papierową chusteczkę – miała katar albo alergię – którą zmięła w kulkę i odłożyła do popielniczki. Nie, naturalnie, odpowiedziała Teresa. W tej jednak sytuacji poproszę, byście państwo poczekali na mojego adwokata. Podobnie rzecz wygląda z notatkami. Wtedy, po szybkim spojrzeniu szefa, sierżant Moncada uniosła w górę brwi, schowała magnetofon do torby i zużyła kolejną chusteczkę. Kapitan Castro w krótkich słowach wyjaśnił, co ich tu sprowadza. W trakcie ostatnio prowadzonego śledztwa w pewnych raportach pojawiły się nazwy przedsiębiorstw powiązanych z Transer Nagą.

– Dysponujecie państwo dowodami, naturalnie.

– Otóż nie. Szalenie mi przykro, ale nie ma takich dowodów.

– W takim razie nie rozumiem powodów tej wizyty.

– To rutynowa czynność.

– Aha.

– Zwykła współpraca z wymiarem sprawiedliwości.

– Aha.

Wówczas kapitan Castro poinformował Teresę, że jedna z akcji żandarmerii – chodziło o skontrolowanie łodzi pontonowych, którymi mogły być przewożone narkotyki, a istniało takie podejrzenie – została sparaliżowana z powodu nieoczekiwanej interwencji oddziałów policji. Funkcjonariusze z komisariatu w Esteponie zbyt szybko włączyli się do akcji i weszli do jednego z magazynów portowych, gdzie zamiast towaru, którego transport od początku śledziła żandarmeria, znaleźli stare łodzie, przez co nie doszło do żadnego aresztowania, nie zdobyto też materiału dowodowego.

– Bardzo mi przykro, jednak nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

– Na razie nic. Policja wszystko zepsuła. Nasze śledztwo zostało zupełnie zniweczone, ponieważ ktoś przekazał komisariatowi w Esteponie zmanipulowane informacje. To, co mamy teraz, nie wystarcza, żeby wytoczyć sprawę o przemyt.

– Do licha... I przyszłście państwo tutaj, żeby mi to powiedzieć?

Ton jej głosu sprawił, że mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia.

– W pewnym sensie tak – przyznał kapitan Castro. – Uznaliśmy, że pani opinia może być przydatna. W tej chwili pracujemy nad kilkoma sprawami związanymi z tym samym środowiskiem.

Sierżant Moncada pochyliła się na krzesło. Nie miała na twarzy nawet śladu makijażu. Jej małe oczy wyglądały na zmęczone. Katar. Alergia. Cała noc w pracy, domyślała się Teresa. Włosy niemyte od wielu dni. Błysk złotych kolczyków był tu zupełnie nie na miejscu.

– Kapitan mówi o pani środowisku.

Teresa postanowiła nie zauważyć akcentu wrogości w słowie pani. Patrzyła na pomięty sweter kobiety.

– Nie wiem, o czym państwo mówią – zwróciła się do mężczyzny.

– Moje szerokie stosunki są powszechnie znane.

– Nie o takich stosunkach mówimy – powiedział kapitan Castro.

– Słyszała pani o Chemical STM?

– Nigdy dotąd.

– A o spółce Konstantin Garofi Ltd?

– Tak, mam trochę ich akcji. Pakiet mniejszościowy.

– To dziwne. Według naszych informacji spółka importowo-eksportowa Konstantin Garofi z siedzibą w Gibraltarze w całości należy do pani.

Może powinnam poczekać na Teo, pomyślała Teresa. Teraz jednak nie mogła się już wycofać. Uniosła w górę brwi.

– Mam nadzieję, że dysponujecie państwo dowodami, żeby tak twierdzić.

Kapitan Castro przyglądał wężym. Powoli pokiwał głową, z wahaniem, jakby naprawdę zastanawiał się, do jakiego stopnia jego dowody są wiarygodne. Nie, stwierdził w końcu. Niestety, nie dysponujemy, choć w tym wypadku to nie ma większego znaczenia, bo otrzymaliśmy pewną informację. Zarzut współdziałania, skierowany przez północnoamerykańską DEA i rząd kolumbijski, dotyczący ładunku piętnastu ton nadmanganianu potasu, zatrzymanego w karaibskim porcie Cartagena.

– Sądziłam, że handel nadmanganianem potasu nie jest zabroniony.

Oparła się na krzesło i patrzyła na żandarma z zaskoczeniem, które wydawało się prawdziwe. W Europie tak. Ale nie w Kolumbii, gdzie wykorzystywany jest do produkcji kokainy. W Stanach Zjednoczonych

kontroluje się jego obrót w większych ilościach, ponieważ znajduje się na liście dwunastu produktów i trzydziestu trzech substancji chemicznych, którymi handel jest ograniczony na mocy prawa federalnego. Nadmanganian potasu, jak zapewne pani wie, jest jednym z dwunastu związków koniecznych do produkcji podstawowej masy i chlorowodoru kokainy. Dziesięć ton, w połączeniu z innymi substancjami chemicznymi, służy do rafinacji osiemdziesięciu ton narkotyku. A to jest znacznie więcej niż, jak się to mówi, kot napłakał. Powiedziawszy to wszystko, żandarm patrzył na Teresę obojętnie, jakby to już było wszystko, co miał do powiedzenia. Policzyła w myśli do trzech. Do diabła. Zaczęła ją boleć głowa, ale nie mogła sobie pozwolić, żeby przy tych dwojgu zażyć aspirynę. Wzruszyła ramionami.

– Co pan powie? I co?

– Towar, zakupiony przez Konstantina Garofiego od belgijskiego przedsiębiorstwa Chemical STM, przyłynął drogą morską z Algeciras.

– To dziwne, żeby gibraltarska spółka eksportowała bezpośrednio do Kolumbii.

– I słusznie, że to panią dziwi. – Jeśli była ironia w tym komentarzu, nie dało się jej wyczuć. – Bo naprawdę produkt został zakupiony w Belgii, przewieziony do Algeciras i przekazany innej spółce, zarejestrowanej na wyspie Jersey, która z kolei przewiozła go w kontenerze najpierw do Puerto Cabello w Wenezueli, a potem do Cartageny... Po drodze produkt został przepakowany do bidonów, z deklaracją, że zawierają dwutlenek magnezu.

To nie była sprawka Galisyjczyków, tego Teresa była pewna. Tym razem ktoś inny musiał puścić parę. Była przekonana, że stali za tym Kolumbijczycy. Lokalne kłopoty, z DEA w tle. Nic, co mogłoby jej dotyczyć nawet pośrednio.

– W którym miejscu?

– Na pełnym morzu. W Algeciras na statek załadowano bidony z dwutlenkiem magnezu.

Do tego doszedłeś, kochaniutki. Popatrz na moje ręce, tu na stole, jak wyjmują legalnego papierosa z legalnej paczki i zapalają go ze spokojem sprawiedliwych. Białe i niewinne. Nie ma mowy. Co mi tu opowiadasz, chłopcze?!

– Powinni zatem państwo – zasugerowała – poprosić o wyjaśnienia tę spółkę z Jersey...

Sierżant Moncada zachnęła się niecierpliwie, ale nic nie powiedziała. Kapitan Castro pochylił nieco głowę, jakby słowa Teresy brał za dobrą monetę.

– Została rozwiązana wkrótce po przeprowadzeniu tej operacji – stwierdził. – Była wyłącznie nazwą na szyldzie na jednej z ulic w Saint Hélier.

– Do licha. I to wszystko jest pewne?

– Całkowicie.

– W takim razie ludzie z firmy Konstantina Garofiego, którzy działali w dobrej wierze, zostali po prostu oszukani.

Sierżant Moncada już prawie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale znów się opanowała. Spojrzała na swojego szefa, a potem wyjęła z kieszeni zeszyt. Jeśli jeszcze wyjmiesz długopis, zaraz stąd wyjdziecie, pomyślała Teresa. Zresztą wyjdziecie stąd, nawet jeśli go nie wyjmiesz. I to zaraz.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – jeśli dobrze zrozumiałam, mówicie państwo o przewozie legalnego produktu chemicznego w granicach obszaru celnego Schengen. Nie widzę w tym nic podejrzanego. Dokumenty zapewne też są w porządku, z potwierdzeniem odbioru i innymi załącznikami. Nie znam wszystkich szczegółów dotyczących firmy Konstantina Garofiego, ale o ile wiem, skrupulatnie przestrzega się tam prawa... Gdyby było inaczej, nie miałabym ich akcji.

– Może pani być spokojna – powiedział uprzejmie kapitan Castro.

– A czy wyglądam na niespokojną?

Mężczyzna spojrział na nią, nie odpowiadając od razu.

– Wszystko, co dotyczy pani i Konstantina Garofiego – odezwał się w końcu – wydaje się zgodne z prawem.

– Niestety – nie wytrzymała sierżant Moncada.

Zwilżyła językiem palec, żeby przewrócić kilka kartek w zeszycie. Przestań się wygłupiać, moja mała, pomyślała Teresa. Może chcesz mi zasugerować, że masz tam rozpisane w kilogramach wszystkie moje ostatnie transporty?

– Czy coś jeszcze?

– Zawsze jest coś jeszcze – odrzekł kapitan.

No to idziemy do drugiej bazy, pomyślała Teresa, gasząc papierosa w popielniczce. Zrobiła to z wyważoną impulsywnością, jednym ruchem. Odpowiednio wymierzona irytacja, ani grama więcej, choć ból głowy dokuczał jej coraz bardziej. W Sinaloa ci dwoje już dawno byliby kupieni albo martwi. Czuła pogardę wobec sposobu, w jaki zachowywali się w jej biurze, traktując ją jak kogoś, kim nie była. Tacy prymitywni. Ale dobrze wiedziała, że z pogardy bierze się arogancja, która prowadzi do błędów. Nadmierna pewność siebie zabija równie skutecznie jak kule.

– W takim razie wyjaśnijmy sobie wszystko – powiedziała. – Jeśli mają państwo do powiedzenia coś konkretnego na mój temat, możemy kontynuować rozmowę w obecności moich prawników. Jeśli nie, będę wdzięczna, jeśli skończą państwo tę komedię.

Sierżant Moncada zapomniała o notesie. Stukała w stół, jakby sprawdzała jakość drewna. Wyglądała na zirytowaną.

– Możemy kontynuować rozmowę w pomieszczeniach oficjalnych...

Wreszcie do tego doszłaś, pomyślała Teresa. Dokładnie tu, gdzie się spodziewałam.

– A mnie się wydaje, że nie, pani sierżant – odpowiedziała spokojnie.

– Bo o ile nie macie nic konkretnego, a nie macie, byłabym w tych oficjalnych pomieszczeniach tylko tak długo, ile czasu potrzebowałiby moi prawnicy, żeby urządzić was na cacy... I żądałabym, oczywiście, rekompensaty za straty moralne i finansowe.

– Niech pani będzie spokojna – uspokoił ją kapitan Castro. – Nikt pani o nic nie oskarża.

– O to akurat jestem całkiem spokojna. Że nikt mnie nie oskarża.

– Tym bardziej nie sierżant Velasco.

Jeszcze pożałujesz swoich słów, pomyślała. I jej twarz przykryła aztecka maska.

– Słucham? Sierżant jak?

Mężczyzna obserwował ją z chłodną ciekawością. Jesteś bardzo przystojny, przyznała. Taki opanowany. Z siwymi włosami i pięknym wąsem oficera i dżentelmena. Dziewczyna natomiast powinna częściej myć włosy.

– Ivan Velasco – powiedział powoli kapitan. – Żandarm. Nie żyje.

Sierżant Moncada znów pochyliła się do przodu. Z surową miną.

– Świnia. Czy wie pani coś o świniach?

Powiedziała te słowa ze źle ukrywaną impulsywnością. Może taki już ma charakter, pomyślała Teresa. Może mają z tym związek te jej brudne rude włosy. Może za dużo pracuje albo nie jest szczęśliwa ze swoim mężem, albo ja wiem co. A może nikt jej nie rżnie. Bo pewno niełatwo jest być kobietą w jej fachu. A może dziś żandarmi dostają role uprzejmych albo wściekłych. I pewnie na nią wypadło, wobec takiej strasznej suki, którą według nich jestem, grać tę złą. Logiczne. Ale mam to w nosie.

– Czy mają jakiś związek z nadmanganianem potasu?

– Niech pani będzie tak dobra – nie brzmiało to wcale miło; sierżant Moncada obgryzała paznokcieć kciuka – i nie kpi z nas.

– Velasco obracał się w złym towarzystwie – wyjaśnił z prostotą kapitan Castro – został zabity wkrótce po pani wyjściu z więzienia. Pamięta pani? Santiago Fisterra, Gibraltar i tak dalej. Kiedy jeszcze pani się nie śniło być tym, kim jest teraz.

Mina Teresy mówiła, że nie ma czego sobie przypominać. A więc nie macie zupełnie nic, myślała. Przyszliście tylko potrząsnąć drzewem.

– Jakoś nie – powiedziała. – Nie pamiętam żadnego Velasco.

– Nie pamięta – odezwała się kobieta. Niemal wypluła te słowa. Spojrzenie, które posłała w kierunku swojego szefa, pytało: no i co pan na to, kapitanie? Ale Castro patrzył w okno, jakby myślał o czymś innym. – Rzeczywiście, nie możemy pani bezpośrednio wiązać z tą sprawą – ciągnęła sierżant Moncada. – Poza tym to śpiew przeszłości, prawda? – Znów pośliniła palec i spojrzała do notesu, choć najwyraźniej niczego w nim nie czytała. – I o tym drugim, Cañabocie, który został zabity w Fuengirolí, też pani nie słyszała, prawda? Nazwisko Olega Jaszykowa też jest pani obce? Nigdy nie słyszała pani o haszyszu ani o kokainie, ani o Kolumbijczykach, ani o Galisyjczykach? – przerwała, jakby chciała dać Teresie okazję, żeby skomentowała jej słowa, ta jednak nie otworzyła ust. – Jasne. Pani zajmuje się handlem nieruchomościami, giełdą, składnicami win w Jerez, lokalną polityką, rajami podatkowymi, dobroczynnością i kolacjami z gubernatorem Malagi.

– I kinem – dodał kapitan rzeczowo.

Nadal siedział odwrócony do okna, z taką miną, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Niemal melancholijną.

Sierżant Mocada popukała się w czoło.

– Ach, prawda. Zapomniałam, że działa pani także w filmie. – Jej ton stawał się coraz bardziej bezczelny, chwilami wręcz wulgarny, jakby dotąd powstrzymywała się i wreszcie ulżyła sobie z wyrachowaniem.

– Pewnie czuje się pani całkiem bezpieczna, prowadząc milionowe interesy i żyjąc w luksusie, i jeszcze w dodatku będąc postacią z pierwszych stron gazet.

Już wcześniej mnie prowokowano i robiono to bardziej sprytnie niż ty, pomyślała Teresa. Albo ta baba jest bardzo naiwna, choć złośliwa, albo nie mają żadnego punktu zaczepienia.

– Dziennikarze – odpowiedziała z całkowitym spokojem – sami zaczęli rozpisywać się o najróżniejszych procesach sądowych, które nigdy się nie kończą... Ale czy państwo rzeczywiście sądzicie, że będę się bawiła w policjantów i złodziei?

Przyszła kolej na kapitana. Powoli odwrócił się i na nią spojrział.

– Proszę pani. Moja koleżanka i ja mamy dużo pracy. W tym kilka bieżących śledztw. – Rzucił niezbyt przekonujące spojrzenie na notes sierżant Moncada. – Nasza wizyta nie ma innego celu niż informacyjny.

– Bardzo to miłe i uprzejme. Wizyta informacyjna.

– Właśnie. Chcieliśmy trochę porozmawiać. Poznać panią.

– Może nawet – włączyła się sierżant Moncada – chcieliśmy panią zdenerwować.

Jej szef pokręcił głową.

– Pani nie należy do osób, które się denerwują. Nie zaszłaby pani tak daleko. – Uśmiechnął się; był to uśmiech przełajowca. – I mam nadzieję, że nasza następna rozmowa odbędzie się w warunkach nieco przyjemniejszych. Dla mnie.

Teresa spojrzała na popielniczkę z jedynym niedopałkiem pomiędzy papierowymi kulkami. Za kogo oni mnie biorą? Zbyt długą i trudną drogę mam za sobą, żeby znosić teraz sztuczki rodem z komisariatu z serialu telewizyjnego. Byli tylko dwójką intruzów, którzy obgryzali paznokcie i mieli chusteczki, i chcieli przejrzeć jej szuflady. Zdenerwować ją, mówi ta cholerna sierżant. Nagle poczuła irytację. Ma

co robić, nie musiała tracić na nich czasu. Powinna, na przykład, wziąć aspirynę. Kiedy tylko stąd wyjdą, poleci Teo przygotować oskarżenie o najście. A potem zadzwoni do kilku osób.

– Proszę, żeby państwo wyszli.

Wstała. Okazuje się, że pani sierżant potrafi się śmiać. Ale sposób, w jaki to robi, wcale mi się nie podoba. Jej szef też się podniósł, razem z Teresą, ale kobieta nadal siedziała, pochylona na krześle, z palcami zaciśniętymi na brzegu stołu. Śmiała się sucho i jadowniczo.

– Tak po prostu? Nie będzie pani grozić ani próbować nas przekupić, jak tych śmieciarzy z DOCS? Bylibyśmy naprawdę szczęśliwi. Przydałaby się jakaś porządna próba przekupstwa.

Teresa otworzyła drzwi. Pote Gálvez stał na posterunku, gruby i czujny, jakby nie ruszał się ani na chwilę ze swojego miejsca na dywanie. I na pewno tak było. Ręce miał lekko odsunięte od ciała. Czekał. Uspokoila go wzrokiem.

– Jest pani uparta jak osioł – powiedziała Teresa. – Ja nie robię takich rzeczy.

Sierżant Moncada też wreszcie się podniosła, niemal zgrzytając zębami. Jeszcze raz wytarła nos i teraz w jednej ręce trzymała kulkę ze zgniecionej chusteczki, a w drugiej notes. Rozejrzała się wokół, zerknęła na drogie obrazy na ścianach, popatrzyła na widok z okna na miasto i morze. Nie maskowała już swojej irytacji. Idąc do drzwi za swoim szefem, zatrzymała się przed Teresą, bardzo blisko, i schowała notes do torby.

– Jasne. Robią to za panią inni, prawda? – Jeszcze bliżej przysunęła twarz, zaczerwienione oczka pałały wściekłością. – Niechże pani raz spróbuje zrobić to osobiście. Wie pani, ile zarabia żandarm? Jestem pewna, że pani to wie. Wie pani też o ludziach, którzy gniją i umierają przez to gówno, które pani przemycą. Dlaczego nie stara się pani przekupić kapitana i mnie? Byłabym zachwycona pani propozycją, mogłabym zakuć panią w kajdanki i wypchnąć z tego biura. – Rzuciła papierową kulkę na podłogę. – Ty suko!

W tym wszystkim była jednak pewna logika. Tak myślała Teresa, przechodząc przez niemal wyschnięte koryto rzeki; woda stała tu tylko w płytkich zatokach przy brzegu morza. Spojrzenie z zewnątrz, obce,

w pewnym sensie matematyczne, które mroziło serce. System chłodnej oceny wydarzeń, a zwłaszcza okoliczności, przez które do tych zdarzeń doszło, ustawienie każdego zdarzenia po jednej lub drugiej stronie kreski wyznaczającej sens i porządek. To wszystko pozwalało odrzucić, na początku, poczucie winy czy wyrzuty sumienia. Przedarte na pół zdjęcie, dziewczyna o ufnym spojrzeniu, która pozostała bardzo daleko, gdzieś w Sinaloa, było jej odpustem. Zakładając, że chodzi tu o logikę, nie mogła poruszać się inaczej, niż owa logika nakazywała. Ale tu następował paradoks: co się dzieje, kiedy niczego dobrego się nie spodziewasz, a tu każda porażka popycha cię w górę, podczas gdy ty czekasz, w bezsenne świt, żeby życie naprawiło swój błąd i zadało cios ostateczny, na zawsze. Żeby nadeszła Prawdziwa Sytuacja. Pewnego dnia zaczniesz wierzyć, że taka chwila nigdy nie nastąpi, i zaraz potem czujesz, że to jest właśnie pułapka: czekasz na tę chwilę, ale wierzysz, że ona nigdy nie nastąpi. W ten sposób umierasz przed czasem, całymi godzinami, całymi dniami, całymi latami. Tym bardziej umierasz, im więcej myślisz, im dłużej żyjesz.

Zatrzymała się przy okrągłych kamieniach na plaży i spojrzała w dal. Miała na sobie szary sweter i sportowe buty, wiatr zwiewał jej włosy na twarz. Po drugiej stronie ujścia rzeki Guadalminy ciągnął się piaszczysty jezior, na którym załamywały się fale; w głębi, spowite błękitną mgłą, bieleły się domy Puerto Banús i Marbelli. Po lewej stronie leżały pola golfowe, zielone łąki niemal dotykały morskiego brzegu, hotelowego budynku w kolorze ochry i złożonych w stertę na zimę plażowych parasoli. Teresa lubiła Guadalminę o tej porze roku – plaże były puste, tylko w oddali majaczyły nieliczne sylwetki grających w golfa. Wokół luksusowe wille, ciche i pozamykane, ukryte za wysokimi murami porośniętymi krzewami bugenwilli. Jedna z nich, leżąca najbliżej przylądka wychodzącego w morze, należała do niej. LAS SIETE GOTAS, brzmiała nazwa, wypisana na pięknej ceramicznej płytce umieszczonej obok głównego wejścia: żart z Culiacán, zrozumiały tylko dla niej i Pote Galveza. Od strony plaży widać było jedynie wysoki mur ogrodzenia, drzewa i krzewy, wśród których ukryte były kamery systemu bezpieczeństwa, a także dach i cztery kominy: sześćsetmetrowa zabudowa na działce o powierzchni pięciu tysięcy metrów, coś

w rodzaju starej hacjendy w typie meksykańskim, wszystko białe, z wykończeniami w kolorze ochry; taras na górnym piętrze, podcienie wychodzące na ogród, fontanna obłożona kafelkami i basen.

Teresa długo patrzyła na łódź, którą zobaczyła na morzu – rybacki kuter łowiący w pobliżu lądu. Czuła się bardzo związana z morzem: każdego ranka, kiedy tylko wstała, spoglądała na ogrom błękitu, szarości, fioletu, w zależności od światła danego dnia. Odruchowo, od razu obliczała wysokość fali, określała stan morza, oceniała siłę i kierunek wiatru, nawet jeśli tego dnia nikogo nie wysyłała w morze. To wybrzeże, odbite w jej pamięci z dokładnością mapy morskiej, było jej całym światem, zastępowało dom rodzinny, od niego zależały jej sukcesy i porażki. Z morzem łączyły ją wspomnienia, ale starała się tych obrazów nie przywoływać zbyt często z obawy, że zatrą się w jej pamięci. Domek na plaży w Palmones. Noce na wodach cieśniny, kiedy niemal fruwali na ślizgaczu, odbijając się od powierzchni wody. Adrenalina w czasie pościgów i smak zwycięstwa. Mocne i wrażliwe ciało Santiago Fisterry. Przynajmniej go miałam. Straciłam, ale wcześniej miałam. Te wspomnienia były osobistym i skąpo dawkowanym luksusem, kiedy w bezkسیężycowe noce siedziała sam na sam z papierosem wzmocnionym haszyszem i z tequilą, a przez ogród dobiegał szum fal. Czasem słyszała szum silnika helikoptera straży celnej, który leciał nad plażą, bez świateł, i myślała, że może za sterami siedzi mężczyzna, którego widziała w szpitalu opartego o drzwi, ten, który ścigał ich nad wodnym pióropuszem wzbijanym w górę przez starego phantoma i który na koniec rzucił się do wody, żeby ocalić jej życie przy Kamieniu Leona. Ten, któremu pewnego razu dwaj ludzie pracujący dla Teresy, Marokańczyk i Gibraltarczyk pływający na pontonach, wkurzeni pościgiem celników, postanowili dać nauczkę. Pilotowi ptaszyska. Temu sukinsynowi. Wciągnęli go w zasadzkę na lądzie. Kiedy Teresa usłyszała o tym pomysle, wezwała do siebie doktora Ramosa i poprosiła, aby wszystkim przekazał jej polecenie, nie zmieniając ani przecinka. Ten facet wykonuje swoją pracę, tak samo jak my wykonujemy naszą, powiedziała. Takie są reguły, i jeśli któregoś dnia rozbije się podczas pościgu albo oberwie w potyczce na plaży, to będzie jego sprawa. Raz się wygrywa, raz przegrywa. Ale jeśli ktoś dotknie go choćby palcem

poza służbą, obedrę takiego żywca ze skóry. Czy to jasne? To było jasne.

Teresa kochała morze i podziwiała jego piękno. Nie tylko z brzegu. W wydzielonym miejscu w Puerto Banús stał zacumowany jacht „Sinaloa”, marki Fratelli Benetti, długości trzydziestu i szerokości siedmiu metrów, z banderą Jersey. Był cały biały i robił duże wrażenie swoimi trzema pokładami i klasycznym wyglądem, wnętrzem umebLOWanym sprzętami z drzewa tekowego i iroko, miał marmurowe łazienki, cztery kabiny dla gości i salon o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych z wiszącym tam przepięknym obrazem olejnym ze sceną morską pędzla Montague Dawsona – *Bitwa między okrętami „Spartiate” i „Antilla” pod Trafalgarem* – który Teo Aljarafe nabył dla niej na jednej z aukcji Claymore’a. Choć Transer Naga używała najróżniejszych jednostek pływających, Teresa nigdy nie wykorzystywała jachtu „Sinaloa” do jakiegokolwiek działalności niezgodnej z prawem. Był to teren neutralny, świat sam w sobie, gdzie wstęp mieli tylko nieliczni, świat, którego nie chciała łączyć z całą resztą swojego życia. Kapitan, dwóch marynarzy i mechanik utrzymywali jacht w stałej gotowości do wyjścia w morze. Wypływała nim często, czasem na krótkie dwudniowe rejsy, a czasem na wyprawy trwające dwa, trzy tygodnie. Książki, muzyka, telewizor i wideo. Nigdy nie zabierała ze sobą gości, tylko Pati O’Farrell popłynęła z nią kilka razy. Jedyłą ochronę zawsze stanowił stoicko znoszący chorobę morską Pote Gálvez. Teresa lubiła długie samotne rejsy, całe dni bez brzęczenia telefonu i bez potrzeby otwierania ust do kogokolwiek. Lubiła siedzieć w kabinie przy sterach obok kapitana, oszczędnego w słowach kapitana marynarki handlowej, zatrudnionego przez doktora Ramosa, którego Teresa zaakceptowała właśnie ze względu na jego małomówność. Niekiedy podczas niepogody wyłączała automatycznego pilota i sterowała sama; słoneczne i spokojne dni spędzała na leżaku na pokładzie rufowym, z książką w ręku albo patrząc w morze. Lubiła też własnoręcznie czyścić oba silniki MTU turbodiesel o mocy tysiąca ośmiuset koni, dzięki którym „Sinaloa” mknęła z prędkością trzydziestu węzłów, pozostawiając za sobą prosty, szeroki, wspaniały kilwater. Często schodziła do maszynowni, z włosami zebranymi w dwa warkocze,

w chustce zawiązanej wokół czoła, i spędzała tam długie godziny, zarówno w porcie, jak i na morzu. Znała każdy element silników. Pewnego razu, kiedy zdarzyła im się awaria podczas silnego wiatru wschodniego po stronie nawietrznej od Alborán, pracowała na dole przez cztery godziny, ubrudzona smarem i olejem, obijając się o rury i grodzie, podczas kiedy kapitan robił wszystko, by jacht zanadto nie wypłynął w morze ani nie dryfował ku zawietrznej, i razem z mechanikiem naprawili usterkę. Na pokładzie „Sinaloa” odbyła też kilka dłuższych podróży, po Morzu Egejskim i do Turcji, na południe Francji, na Wyspy Eolskie i do ujścia Bonifacio; często też zapuszczała się w okolice Balearów. Lubiła patrzeć na spokojne zatoki na północy Ibizy i Majorki, niemal całkiem puste w zimie, i stać na kotwicy przed ławicą ciągnącą się od Formentery do Freus. Tam, na wysokości plaży Trocados, Pote Gálvez miał ostre starcie z paparazzi. Dwóch fotografów z Malagi zidentyfikowało jacht, zbliżyli się do niego na wodnym skuterze, zaskakując Teresę, ale ochroniarz rodem z Sinaloa popłynął za nimi na pontonie. Rezultat: jakieś połamane żebra, milionowe odszkodowanie. Mimo to zdjęcie ukazało się na okładce „Lecturas”. Królowa Południa wypoczywa na Formenterze.

Wracała powoli. Każdego rana, nawet w rzadkie dni wietrzne i deszczowe, chodziła sama na spacer plażą do Linda Vista. Na niewielkim wzniesieniu nad rzeką dojrzała samotną sylwetkę Pote Galveza, który czuwał z oddali. Nie wolno mu było towarzyszyć jej podczas tych spacerów, pozostawał więc z tyłu i obserwował, jak odchodzi i wraca. Nieruchomy, odległy strażnik. Lojalny jak pies, oczekujący z niepokojem powrotu swojej pani. Teresa uśmiechnęła się do siebie. Między Galvezem a nią z czasem powstała milcząca więź, utkana z przeszłości i terażniejszości. Wyraźny meksykański akcent zbira, jego sposób ubierania się, zachowania, poruszania zwodniczymi dziewięćdziesięcioma kilkoma kilogramami wagi, wiecznie te same wysokie buty ze skóry iguany i indiańska twarz z czarnym wąsiskiem – mimo spędzonych w Hiszpanii lat Pote Gálvez wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z baru w Culiacán – znaczyły dla Teresy dużo więcej, niż była gotowa sama przed sobą przyznać. Dawny rewolwerowiec Batmana Güemesa był ostatnim ogniwem łączącym ją

z tamtymi miejscami. Wspólna nostalgia, której nie trzeba było tłumaczyć. Wspomnienia dobre i złe. Specyficzne więzy, które pojawiały się nagle w jakimś zdaniu, geście, spojrzeniu. Teresa pożyczała swojemu ochroniarzowi kasety i płyty z meksykańską muzyką: José Alfredo, Chavela, Vicente, Los Tucanes, Los Tigres, nawet bardzo cenną kasetę Lupity D'Alessio – *będę twą kochanką albo byle kim, będę wszystkim, jak rozkażesz ty* – i kiedy przechodziła pod oknami pokoju, który zajmował Pote Gálvez w jednym z zakątków domu, nieraz słyszała te piosenki. Czasami, kiedy siedziała w salonie, czytając albo słuchając muzyki, jej ochroniarz zatrzymywał się na chwilę, pełen szacunku, w oddali, wytyżając ucho z korytarza albo od drzwi, ze spokojnym spojrzeniem, bardzo uważnym, które u niego niekiedy zastępowało uśmiech. Nigdy nie rozmawiali o Culiacán ani o zdarzeniach, które doprowadziły do ich spotkania. Ani o nieboszczyku Kocurze Fierrosie, który od dawna stanowił część fundamentów willi w dzielnicy Nueva Andalucía. Raz tylko zamienili parę słów na ten temat, w pewną Wigilię, kiedy Teresa dała wolne całej służbie – pokojówce, kucharce, ogrodnikowi, dwóm marokańskim ochroniarzom, którzy czuwali na zmianę przy wejściu od ogrodu – i sama poszła do kuchni przygotować *chilorio*, faszerowane zapiekane kraby z kukurydzianymi plackami, a potem powiedziała do rewolwerowca: zapraszam cię na kolację, handlarzu narkotyków, Pinto, taka noc się zdarza raz, zaczynajmy, bo stygnie. Usiedli w jadalni, przy srebrnych kandelabrach i zapalonych świecach, każde na jednym końcu stołu, była tequila, piwo i czerwone wino, oboje milczeli, słuchając starych płyt Teresy, a potem nowych, prosto z Culiacán, które Pote Galvezowi przysyłano stamtąd: *Pedro i Inés, i ich szara furgonetka, El Borrego, El Centenario en la Ram, Corrido Gerarda, Samolot Cessna, Dwadzieścia kobiet w czerni. Wiecie, że jestem z Sinaloa* – cicho śpiewali razem z głosem na płycie – *dłaczego ze mną zaczynacie*. A kiedy na koniec José Alfredo zaśpiewał *corrido* o białym koniu, ulubioną piosenkę ochroniarza, który teraz pochylał lekko głowę i potakiwał w rytm melodii, powiedziała: jesteśmy strasznie daleko, Pinto. Taka jest prawda, szefowo, odpowiedział, ale lepiej za daleko niż za blisko. Potem, zamyślony, wpatrywał się w swój talerz, a w końcu

podniósł wzrok.

– Nigdy pani nie myślała o powrocie?

Teresa spojrzała na niego tak przenikliwie, że ochroniarz zaczął się wiercić na krześle, zakłopotany, i odwrócił wzrok. Otworzył usta, jakby chciał wypowiedzieć słowa przeprosin, kiedy uśmiechnęła się do niego słabo z daleka, podnosząc kieliszek z winem.

– Wiesz, że nie możemy wrócić – powiedziała.

Pote Gálvez podrapał się w skroń.

– Wie pani, ja nie mogę, to jasne. Ale pani ma środki. Ma pani kontakty i kasę... Gdyby tylko pani chciała, na pewno dałoby się to załatwić.

– A ty co byś zrobił, gdybym wróciła?

Zbir znów spojrzał na swój talerz, uniósł brwi, jakby nigdy wcześniej nie pomyślał o takiej możliwości. No, sam nie wiem, szefowo, powiedział po chwili. Sinaloa jest cholernie daleko, a mój powrót do Meksyku wydaje mi się jeszcze bardziej daleki. Ale powtarzam, że pani...

– Przestań. – Teresa kręciła głową w obłoku dymu z papierosów. – Nie chcę spędzić reszty życia okopana w dzielnicy Chapultepec, oglądając się cały czas za siebie.

– No nie. Ale to wielka szkoda. Tam nie jest tak źle.

– No pewnie!

– To wszystko przez rząd, szefowo. Gdyby nie było takiego rządu ani takich polityków, ani Amerykanów za Río Bravo, żyłoby się tam jak w raju... Niepotrzebna byłaby trawa ani nic podobnego, prawda? Wystarczyłyby same pomidory.

Były jeszcze książki. Teresa nadal czytała, i to coraz więcej. Z upływem czasu nabierała pewności, że świat i życie łatwiej można zrozumieć dzięki książkom. Było ich teraz dużo na dębowych półkach, gdzie stały ustawione seriami i według wielkości, zapełniały bibliotekę wychodzącą na południe na ogród, z wygodnymi skórzanymi fotelami i znakomitym oświetleniem, gdzie czytała nocami i w zimne dni. Kiedy świeciło słońce, wychodziła do ogrodu i zajmowała jeden z leżaków pod trzciniowym dachem obok basenu – stał tam ruszt, którym w niedziele zajmował się Pote Gálvez, niezmiennie za mocno przypiekał mięso – i godzinami siedziała nad książkami. Czytała je zachłannie. Zawsze dwie, trzy równocześnie: jakąś historyczną – była zafascynowana

czasami, kiedy do Meksyku przyplłynęli Hiszpanie i zdarzyła się cała ta awantura z Cortesem – jedną powieść sentymentalną albo kryminał, i jedną z tych trudnych, które wymagały więcej czasu i których czasami nie rozumiała, ale zawsze po przeczytaniu odnosiła wrażenie, że wzbogacały ją o coś nowego. Czytała te wszystkie książki naraz, mieszając wszystko. Znudziła ją trochę pewna bardzo znana powieść, którą wszyscy jej polecali, *Sto lat samotności*; bardziej zainteresował ją *Pedro Páramo*, podobały się jej kryminały Agathy Christie i powieści z Sherlockiem Holmesem, a z tych trudniejszych, na przykład *Zbrodnia i kara*, *Czerwone i czarne* czy *Buddenbrookowie* – opowieść o pewnej dziewczynie z dobrego domu, żyjącej jakieś sto lat temu w Niemczech. Przeczytała też bardzo starą książkę o wojnie trojańskiej i o podróżach Eneasza, gdzie znalazła zdanie, które zrobiło na niej duże wrażenie: „Jedyny pobitym ratunek: wcale nie czekać ratunku”[10].

Książki. Zawsze, ilekroć Teresa przechodziła obok pełnych pól i dotykała grzbietu *Hrabiego Monte Christo*, myślała o Pati O’Farrell. Dzwoniły do siebie prawie codziennie, choć czasem nie spotykały się przez wiele dni. Co słysząc, Porucznik O’Farrell, jak leci, Meksykanko. W tym czasie Pati przestała zajmować się czymkolwiek, co wiązałoby się z interesami. Dostawała pieniądze i wydawała je: prochy, alkohol, dziewczyny, podróże, stroje. Wyjeżdżała do Paryża, do Miami albo do Mediolanu i bawiła się szampańsko, o nic się nie martwiąc. O czym miałabym myśleć, jeśli ty prowadzisz wszystko lepiej niż sam Pan Bóg. Pakowała się w kłopoty, drobne konflikty, które dawały się rozwiązać przy pomocy przyjaciół, pieniędzy, dyplomacji Teo. Problem jednak polegał na tym, że zdrowie odmawiało jej posłuszeństwa. Brała ponad gram dziennie, podkrążone oczy, pojawiły się problemy z zębami, migotanie serca. Słyszała dziwne odgłosy, źle spała, nastawiała muzykę i zaraz ją wyłączała, wchodziła do łazienki czy do basenu i natychmiast wychodziła, sparaliżowana lękiem. Lubiła wystawne życie. I była nieostrożna. I bardzo rozmowna. Mówiła zbyt dużo i do każdego. A kiedy Teresa jej to wyrzucała, starannie dobierając słowa, tamta wściekała się i prowokowała, moje zdrowie, moja dupa, moje życie i moja część interesu są moje, mówiła, ja się nie mieszam do twoich afer z Teo ani do tego, jak prowadzisz finanse. Sprawa była przegrana już od

dawna i konflikt tak nabrzmiał, że nawet rozsądne rady Olega Jaszykowa – nadal spotykała się z Rosjaninem od czasu do czasu – nie oświeślały wyjścia z tunelu. To się musi źle skończyć, powiedział kiedyś człowiek z Sołncewa. Tak. Życzę ci tylko, Tesa, żebyś się przy tym zbyt mocno nie ubrudziła, kiedy to się stanie. I żebyś sama nie musiała podejmować tej decyzji.

– Dzwonił pan Aljarafe, szefowo. Mówi, że mieszanka gotowa.

– Dziękuję, Pinto.

Przeszła przez ogród, obserwowana z daleka przez ochroniarza. „Mieszanka” to ostatnia płatność Włochów na konto na Kajmanach – via Lichtenstein – z piętnastoma procentami wypranymi w jednym z banków w Zurychu. To była kolejna dobra wiadomość. Most powietrzny działał regularnie, zrzuty paczek, zaopatrzonych w GPS, z samolotów lecących na małej wysokości – techniczna nowinka doktora Ramosa – okazały się strzałem w dziesiątkę, a nowa trasa zorganizowana razem z Kolumbijczykami, przez Haiti, Republikę Dominikany i Jamajkę, przynosiła zaskakująco wysokie zyski. Popyt na podstawową kokainę, przerabianą później w tajnych laboratoriach europejskich, nadal rósł, a Teo wpadł na znakomity sposób prania pieniędzy poprzez loterię w Puerto Rico. Teresa zastanawiała się, jak długo będzie trwała dobra passa. Relacje zawodowe z Teo układały się znakomicie, a ich prywatny związek – nigdy nie odważyłaby się go nazwać uczuciowym – miał się świetnie dzięki jasno określonym, rozsądnym regułom gry. Nie bywał w jej domu w Guadalminie, spotykali się zawsze w hotelach, zazwyczaj podczas podróży służbowych, albo w starym domu, który Teo wyremontował przy ulicy Ancha w Marbelli. Żadne z nich nie dawało z siebie w tej grze więcej, niż to było konieczne. Teo był miły, dobrze wychowany, bardzo dobry w łóżku. Razem podróżowali trochę po Hiszpanii, pojechali też do Francji i do Włoch – Teresę znudził Paryż, rozczarował Rzym, zafascynowała Wenecja – ale oboje wiedzieli, że ten związek będzie się toczył na marginesie ich życia. Jednak za sprawą obecności mężczyzny w swoim życiu Teresa przeżywała stany emocjonalne o szczególnej intensywności, które starała się utrwalić w czymś w rodzaju albumu pamięci, jakby to były fotografie. Dzięki niemu mogła lepiej zrozumieć pewne aspekty własnego życia i dostrzec

piękno wielu rzeczy. Doceniała wyszukaną rozkosz, którą jej dawał, zawsze pełen uwagi. Światło na kamieniach Koloseum podczas zachodu słońca kryjącego się między sosnami. Zielony brzeg ogromnej rzeki, która nazywała się Loara, a nad nią bardzo stary zamek z małą restauracją, gdzie pierwszy raz spróbowała *foie-gras* i pierwszy raz piła wino Château Margaux. I ten poranek, kiedy podeszła do okna i zobaczyła Lagunę Wenecką wyglądającą jak płyta polerowanego srebra, która powoli czerwieniała, a gondole pokryte śniegiem kołysały się przy białym pomoście przed hotelem. Do licha. Teo objął ją od tyłu, nagi tak jak i ona, i razem podziwiali pejzaż. Dla takiego życia, szepnął jej do ucha, lepiej nie umierać. A Teresa się roześmiała. Często śmiała się przy Teo. Miał duże poczucie humoru, potrafił ją rozbawić taktownym żartem, eleganckim dowcipem. Był wykształcony, podróżował i czytał – polecał jej albo dawał w prezencie książki, które prawie zawsze bardzo jej się podobały – potrafił rozmawiać z kelnerami, z portierami w drogich hotelach, z politykami i bankierami. Doskonałe maniery, wysmukłe dłonie – poruszał nimi bardzo pięknie – śniady i szczupły profil hiszpańskiego orła. Facet z klasą. I świetnie się pieprzył, bo był uważny i zawsze opanowany. Chwilami jednak bywał niezręczny i niedyskretny. Zdarzało mu się opowiadać o swojej żonie i córkach, o problemach małżeńskich, samotności i podobnych rzeczach, a wtedy ona natychmiast przestawała go słuchać. Dziwne, że mężczyźni tak lubią wyjaśniać, definiować, usprawiedliwiać się, rozliczać, choć nikt ich o to nie prosi. Żadna kobieta nie wymaga takich bzdur. Poza tym Teo był inteligentny. Żadnemu z nich dwojga nigdy nie przyszło do głowy powiedzieć drugiemu „kocham cię” ani niczego podobnego. U Teresy wynikało to z niemożności, a u Teo z nadmiaru ostrożności. Wiedzieli, czego się trzymać. Jak się mawia w Sinaloa, świnie, ale nie dzikie świnie.

To prawda, że szczęście pojawia się i mija. Po dobrym okresie ten rok zaczął się źle, a na wiosnę było jeszcze gorzej. Do innych problemów doszedł jeszcze pech. Awionetka Skymaster 337 z dwustoma kilogramami kokainy rozbiła się niedaleko Tabernas podczas nocnego lotu i polski pilot, Karasek, zginął w wypadku. To zaalarmowało hiszpańskie władze, które wzmocniły nadzór powietrzny. Wkrótce potem wewnętrzne porachunki między marokańskimi przemytnikami, wojskiem i królewską żandarmerią skomplikowały sytuację w Rifie. Kilka pontonów zostało zatrzymanych w niejasnych okolicznościach po jednej i po drugiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej i Teresa musiała pojechać do Maroka, żeby załatwić tę sprawę. Pułkownik Abdelkader Chaib utracił wpływy po śmierci starego króla Hassana II, a ustanowienie pewnych kontaktów z nowymi ludźmi zawiadującymi handlem haszyszem zajęło sporo czasu i pochłonęło mnóstwo pieniędzy. W Hiszpanii, pod wpływem prasy i opinii publicznej, wzmożony został nacisk na wymiar sprawiedliwości: niektórzy z legendarnych galisyjskich handlarzy trafili do więzienia i nawet bardzo silny klan Corbeira miał problemy. Pod koniec wiosny jedna z operacji Transer Nagi zakończyła się zupełnie niespodziewanym fiaskiem: w połowie drogi między Azorami a Przylądkiem Świętego Wincentego, na pełnym morzu, został zatrzymany przez straż celną statek handlowy „Aurelio Carmona”, przewożący w ładowniach szpule przemysłowego lnu w metalowych opakowaniach, wyłożonych od wewnątrz ołowianymi i aluminiowymi okładzinami, żeby ani promienie rentgenowskie, ani laser nie mogły wykryć ośmiu ton kokainy w środku. To niemożliwe, powiedziała Teresa, kiedy usłyszała tę wiadomość. Po pierwsze, nie mogą mieć tej informacji. Po drugie, od tygodni śledzimy każdy ruch tego ich cholernego „Petrela” – jednostka straży celnej służąca do abordaży – który nie ruszył się w ogóle z bazy. Po to mamy tam człowieka i za to mu płacimy. Na co doktor Ramos, spokojnie paląc papierosa, jakby stracił nie osiem ton, ale puszkę tytoniu do swojej fajki: bo „Petrel” wcale nie wypłynął, szefowo. Stoi sobie spokojnie w porcie,

żebyśmy niczego nie podejrzewali, a oni wyruszyli tam swoimi zodiakami i holownikiem pożyczonym od marynarki handlowej. Wiedzą, że mamy kreta w straży celnej i odbijają nam piłeczkę.

Teresa była zaniepokojona sprawą „Aurelia Carmony”. Nie z powodu przechwycenia ładunku – straty wpisuje się w kolumny obok zysków i są przewidziane w planie operacji – ale dlatego, że w sposób oczywisty ktoś przekazywał tajne informacje straży celnej. Tym razem mocno nas rąbnęli, stwierdziła. Mogły być trzy źródła donosu: Galisyjczycy, Kolumbijczycy albo jej ludzie. Choć bez widowiskowych potyczek, przy drobnych kuksańcach i ruchach typu ja zaczekam, nie będę ci szkodzić, ale jak się potkniesz, to się ucieszę, nadal trwała rywalizacja z klanem Corbeira. To oni, z racji wspólnych dostawców, mogli być przyczyną problemów. Jeśli to Kolumbijczycy, sprawa byłaby trudna do rozwiązania; można jedynie o wszystkim ich powiadomić i niech wyciągną konsekwencje i oczyszczą swoje szeregi. Istniała też trzecia możliwość: że przeciek wydostał się z Transer Nagi. Zakładając tę ewentualność, trzeba byłoby zastosować nowe środki ostrożności: ograniczyć dostęp do ważnych ustaleń i zastawić zasadzki, podsuwać trefne informacje i patrzeć, dokąd docierają. Ale to wymaga czasu. Rozpoznasz ptaka po gównie.

– Myślałaś o Patricii? – zapytał Teo.

– Nie chrzań. I nie bądź świnią.

Byli w La Almoraimie, pod Algeciras – stary klasztor wśród gęstych dębów korkowych przekształcono tu w mały hotel z restauracją specjalizującą się w potrawach z dziczyzny. Wyjeżdżali tam czasem na dwa dni i wynajmowali jeden z obszernych rustykalnych pokoi, wychodzących na dziedziniec klasztorny. Na kolację zjedli jelenią gicę, podaną z gruszkami w czerwonym winie, a teraz palili i pili koniak i tequilę. Noc była ciepła jak na tę porę roku, zza okna dobiegała muzyka świerszczy i szum starej fontanny.

– Nie mówię, że przekazuje komuś informacje – powiedział Teo – ale stała się gadatliwa. I nieostrożna. I kontaktuje się z ludźmi, których nie kontrolujemy.

Teresa spojrzała na dziedziniec. Światło księżyca przenikało przez liście winorośli, ślizgało się po starych łukach i pobielonych murach; to

miejsce do złudzenia przypominało jej Meksyk. Od tego do ujawnienia szczegółów morskiego transportu, oznajmiła, jeszcze daleko. Poza tym komu mogłaby o tym powiedzieć? Teo patrzył na nią przez chwilę bez słowa. Komukolwiek, stwierdził w końcu. Sama widzisz, jak się ostatnio zachowuje; gubi się w bredniach i bezsensownych fantazjach, w dziwnych paranojach i kapryсах. I gada jak najęta. Wystarczy tu jakaś niedyskrecja, tam komentarz, a już inni wyciągną odpowiednie wnioski. Przeżywamy zły moment, wisi nad nami prokurator i naciska opinia publiczna. Nawet Tomás Pestaña ostatnimi czasy zachowuje dystans, na wszelki wypadek. On wyczuwa kłopoty, tak jak reumatycy czują w kościach nadchodzący deszcz. Jeszcze możemy nim manipulować, ale jeśli zaczną się skandale i mocne naciski i wszystko się skomplikuje, on też odwróci się do nas plecami.

– Wytrzyma. Sporo o nim wiemy.

– Nie zawsze wystarcza wiedza. – Teo zrobił minę światowca.

– W najlepszym wypadku można go będzie tym zneutralizować, ale nie zmusimy go, żeby nadal współpracował... Ma własne kłopoty. Kiedy wokół zacznie się kręcić zbyt wielu sędziów i policja, może się przestraszyć. A nie można kupić wszystkich policjantów i wszystkich sędziów. – Spojrzał na nią uważnie. – Nawet my nie możemy.

– Nie chcesz chyba, żebym chwyciła Pati za gardło i wydusiła z niej, co komu mówi, a czego nie mówi.

– Nie. Radzę ci tylko, żebyś odsunęła ją na margines. Dostaje, co chce, i wcale nie trzeba, żeby nadal wiedziała wszystko o wszystkim.

– Wcale tak nie jest.

– No to wie prawie wszystko. Ma dostęp do wszystkiego i wszędzie – dotknął znacząco nosa – i zaczyna tracić kontrolę. Tak już jest od dawna. Ty też zresztą... Mówię, że tracisz kontrolę nad nią.

Nie tym tonem, pomyślała Teresa. Nie podoba mi się ten ton. A to, czy nad kimś mam kontrolę, czy nie mam, to moja sprawa.

– Nadal jest moją współpracowniczką – zaprotestowała zirytowana. – A twoją szefową.

Grymas rozbawienia pojawił się na ustach adwokata, który spojrzał na nią, jakby się zastanawiał, czy mówi poważnie, ale nic nie powiedział. Dziwny jest ten wasz układ. Związek oparty na przyjaźni, której już nie

ma. Jeśli miałaś wobec niej jakiś dług, dawno spłaciłaś go z nawiązką. A co do niej...

– To nadal jest w tobie zakochana – powiedział w końcu Teo po chwili milczenia, kołysząc kieliszkiem z koniakiem. – I na tym polega problem. Każde słowo wypowiadał cichym głosem, powoli jedno po drugim. Nie wtrącaj się do tego, pomyślała Teresa. Nie ty. Na pewno nie ty.

– Dziwne, że właśnie ty mi to mówisz – stwierdziła. – To ona nas sobie przedstawiła. Ona mi ciebie przyprowadziła.

Teo zacisnął usta. Odwrócił wzrok, a potem znów na nią spojrzał. Wyglądał tak, jakby ważył, wobec której z nich powinien pozostać lojalny. Tamto wspomnienie było odległe, wyblakłe. Nieważne.

– Znamy się dobrze – powiedział w końcu. – Czy raczej znaliśmy się. Dlatego wiem, o czym mówię. Ona od początku przewidywała, co zajdzie między nami, między tobą i mną. Nie mam pojęcia, co was łączyło w El Puerto de Santa María, i nic mnie to nie obchodzi. Nigdy cię o to nie pytałem. Ale ona niczego nie zapomina.

– Jednak – Teresa upierała się – to właśnie ona sprawiła, że zbliżyliśmy się do siebie.

Teo zatrzymał w piersi powietrze, jakby miał westchnąć, ale nie zrobił tego. Patrzył na swoją ślubną obrączkę na palcu lewej ręki, którą trzymał przed sobą na stole.

– Może zna ciebie lepiej, niż sądzisz – powiedział. – Może pomyślała, że kogoś potrzebujesz, pod wieloma względami. I że ze mną nie ma ryzyka.

– Jakiego ryzyka?

– Że się zakochasz. Skomplikujesz sobie życie. – Uśmiech adwokata ujmował wagi jego słowom. – Może widziała we mnie swojego zastępcę, a nie przeciwnika. I można powiedzieć, że pod pewnym względem miała rację. Nigdy mi nie pozwoliłaś posunąć się dalej.

– Ta rozmowa przestaje mi się podobać.

Jakby w odpowiedzi na słowa Teresy Pote Gálvez pojawił się w drzwiach. Trzymał w dłoni telefon komórkowy i wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż zazwyczaj. Co się dzieje, Pinto? Zbir jakby się wahał, przestępował z nogi na nogę, ale nie przekroczył progu. Pełen szacunku. Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, powiedział w końcu, ale wydaje mi się, że to coś ważnego. Wygląda na to, że pani Patricia ma

problemy.

To coś więcej niż problem, stwierdziła Teresa w izbie przyjęć szpitala w Marbelli. Sceneria odpowiednia na sobotni wieczór: na dworze karetki, nosze, krzyki, ludzie na korytarzach, biegający lekarze i pielęgniarki. Znaleźli Pati u czynnego lekarza dyżurnego: marynarka zarzucona na ramiona, spodnie ubrudzone ziemią, jeden do połowy wypalony papieros w popielniczce, drugi w palcach, potłuczone czoło i plamy krwi na rękach i na bluzce. Nie swojej krwi. W korytarzu stało dwóch umundurowanych policjantów, na noszach leżała martwa dziewczyna, bo samochód Pati, nowy jaguar kabriolet, został roztrzaskany o drzewo na jednym z zakrętów drogi do Rondy; znaleziono w nim puste butelki i dziesięć gramów kokainy rozsypanej na siedzeniach.

– Wracaliśmy – wyjaśniła Pati – z jakiejś pieprzonej imprezy.

Miała sztywny język i ogłupiałą minę, jakby nie do końca rozumiała, co się właściwie stało. Teresa знаła zmarłą: była to młoda Cyganka, która ostatnio wszędzie chodziła z Pati, dopiero co skończone osiemnaście lat, ale tak zepsuta, jakby dawno minęła pięćdziesiątkę, bezczelna i bez cienia wstydu. Zginęła na miejscu, nie zdając sobie z niczego sprawy, uderzyła głową o przednią szybę, spódnicę miała podciągniętą do pachwin, bo Pati pieściła ją, prowadząc z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeden problem więcej i jeden problem mniej, mruknął chłodno Teo, wymieniając z Teresą spojrzenie, w którym malowała się ulga po rozpoznaniu ofiary leżącej pod prześcieradłem zabarwionym na czerwono po jednej stronie jej głowy – połowa mózgu, ktoś powiedział, została na masce, wśród odłamków szkła. – Ale można spojrzeć na to z pozytywnej strony. No nie? Uwolniliśmy się od tej małej łajdaczki, jej wybryków i szantażu. To było niebezpieczne towarzystwo, biorąc pod uwagę ostatnie fakty. Co do Pati... – Teo zastanawiał się – jak wyglądałoby wszystko, gdyby...

– Zamknij się – warknęła Teresa – albo daję słowo, że cię zabiję.

Zaskoczyły ją te słowa. Wypowiedziała je bez zastanowienia, niemal je wypluła, po cichu, kiedy się pojawiły, bez namysłu i kalkulowania.

– Ja tylko... – zaczął Teo.

Jego uśmiech został w jednej chwili zmrożony, patrzył na Teresę, jakby

widział ją pierwszy raz. Potem rozejrzał się wokół, zmieszany, z lękiem, że ktoś mógł to słyszeć. Był blady.

– Żartowałem – wykrztusił w końcu.

Upokorzony wyglądał dużo mniej atrakcyjnie. A może był przestraszony. Teresa nic nie odpowiedziała. Była skoncentrowana na sobie. Szukała w swoim wnętrzu kobiety, która przed chwilą mówiła zamiast niej.

Na szczęście policjanci potwierdzili Teo tę informację, to nie Pati siedziała za kierownicą, kiedy samochód wpadł w poślizg na zakręcie, nie było więc podstaw do oskarżenia jej o nieumyślne spowodowanie śmierci. Sprawę kokainy i całej reszty można będzie załatwić za pomocą pieniędzy, odpowiednich zabiegów i właściwego sędziego, o ile prasa zbytnio nie zainteresuje się tym wypadkiem. To bardzo ważny szczegół. Bo takie sprawy, powiedział adwokat – od czasu do czasu z zamyśloną miną zerkał na Teresę – zaczynają się od krótkiej, niemal niezauważalnej notatki w kronice kryminalnej, a kończą wielkimi tytułami na pierwszej stronie. Trzeba uważać. Potem, kiedy formalności zostały załatwione, Teo zaczął dzwonić i zajął się policjantami – na szczęście była to straż miejska od burmistrza Pestañi, nie policjanci z drogówki, a Pote Gálvez podjechał cherokee aż pod drzwi szpitala. Bardzo dyskretnie wyprowadzili Pati, zanim ktokolwiek coś zauważył i zanim jakikolwiek dziennikarz zaczął węszyć, gdzie nie powinien. A w samochodzie, oparta na ramieniu Teresy, przy otwartej szybie, żeby otrzeźwił ją chłód nocy, Pati trochę oprzytomniała. Przykro mi, powtarzała cicho, światła samochodów jadących z przeciwka oświeślały co chwila jej twarz. Przykro mi z jej powodu, powiedziała głosem zgaszonym, chrapliwym, z trudem wymawiając słowa. Z powodu tej małej. I przykro mi z twojego powodu, Meksykanko, dodała po chwili. Guzik mnie obchodzi, dlaczego ci przykro, odpowiedziała Teresa, zła, patrząc na światła samochodów ponad ramieniem Pote Galveza. Niech ci będzie przykro, że masz takie pieprzone życie.

Pati zmieniła pozycję, oparła głowę o szybę i nic nie powiedziała. Teresa, rozdrażniona, poruszyła się niespokojnie na fotelu. Do licha. Drugi raz w ciągu godziny powiedziała coś, czego nie chciała powiedzieć. Poza tym naprawdę nie była zła na Pati, raczej na siebie

samą, właściwie to ona jest winna wszystkiemu. Prawie wszystkiemu. Ujęła więc swoją przyjaciółkę za rękę, prawie tak samo zimną jak ciało tamtej dziewczyny w szpitalu pod prześcieradłem ubrudzonym krwią. Jak się czujesz, spytała cicho. Jakoś, odpowiedziała Pati, ciągle oparta o szybę. Na ramieniu Teresy wsparła się dopiero po wyjściu z samochodu. Kiedy tylko położyli ją do łóżka, bez rozbierania, zapadła w niespokojny sen, przerywany dreszczami i jękami. Teresa trochę przy niej posiedziała – tyle ile zajęło jej wypalenie trzech papierosów i wypicie dużej szklanki tequili. Rozmyślała. Siedziała niemal w ciemności obok łóżka na fotelu naprzeciw okna, przy rozsuniętych zasłonach, patrzyła na gwiaździste niebo i odległe światła poruszające się po morzu, w dali za ciemnym ogrodem i plażą. Potem wstała, żeby pójść do swojej sypialni, ale stojąc już w drzwiach, rozmyśliła się i wróciła. Położyła się obok przyjaciółki, na brzegu łóżka, bardzo ostrożnie, starając się jej nie obudzić, i leżała tak bardzo długo. Słuchała jej przerywanego oddechu. I ciągle myślała.

– Nie śpisz, Meksykanko? – zaszepotała Pati.

– Nie.

Pati przysunęła się troszkę. Dotykały się.

– Przykro mi.

– Już się nie martw. Śpij.

Znów cisza. Od wieków nie były tak blisko, pomyślała. Chyba od czasów El Puerto de Santa María. Leżała nieruchomo, z otwartymi oczami, słuchała nieregularnego oddechu przyjaciółki. Teraz już żadnej z nich nie chciało się spać.

– Masz papierosa? – spytała Pati po chwili.

– Tylko te moje.

– Niech będą i te.

Teresa wstała, podeszła do torby leżącej na komodzie i wyjęła dwa papierosy z haszyszem. Kiedy je zapalała, płomień zapalniczki oświetlił twarz Pati. Fioletowy krwiak na czole. Spuchnięte i wysuszone wargi. Oczy, opuchnięte ze zmęczenia, uważnie wpatrywały się w Teresę.

– Myślałam, że nam się uda, Meksykanko.

Teresa znów położyła się na plecach na brzegu łóżka. Wzięła popielniczkę z nocnego stolika i postawiła ją sobie na brzuchu.

Wszystko bardzo powoli, niespiesznie.

– I tak się stało – odezwała się w końcu. – Zaszliśmy bardzo daleko.

– Nie o tym mówię.

– No to nie wiem, o czym mówisz.

Pati poruszyła się, zmieniając pozycję. Odwróciła się do mnie, pomyślała Teresa. Przygląda mi się w ciemności. Albo wspomina mnie taką, jaką byłam kiedyś.

– Myślałam, że będę potrafiła to wytrzymać – powiedziała Pati. – Ja i ty, na takich zasadach. Myślałam, że to się uda.

Jakie to wszystko dziwne. Porucznik O’Farrell. Ona sama. Jakie to dziwne. I jakże odległe, i ile trupów zostało po drodze. Ludzie, których nie chcący zabijamy, dopóki żyjemy.

– Nikt nikogo nie oszukiwał. – Kiedy wypowiadała te słowa, przysunęła do ust dłoń z papierosem i z bliska patrzyła na jego żar. – Jestem tu, gdzie zawsze byłam. – Chwilę przytrzymała dym w płucach i wypuściła go. – Nigdy nie chciałam...

– Naprawdę tak myślisz? Że się nie zmieniłaś?

Teresa pokręciła głową, zirytowana.

– Jeśli myślisz o Teo... – zaczęła.

– Na rany Chrystusa! – Śmiech przyjaciółki był obraźliwy i Teresa miała wrażenie, że sama Pati wzdrygnęła się od niego, bo gwałtownie poruszyła się obok niej. – Do diabła z Teo.

Nastąpiła cisza, tym razem dłuższa. Potem Pati zaczęła mówić szeptem.

– Pieprzy się z innymi. Wiedziałaś?

Teresa wzruszyła ramionami, co miało być zarówno odpowiedzią na pytanie Pati, choć przyjaciółka nie mogła tego widzieć, jak i reakcją na własne myśli. Nie wiedziałam, stwierdziła w duchu. Może i podejrzewała, ale to nie było ważne. Nigdy nie było ważne.

– Nigdy niczego się nie spodziewałam – ciągnęła Pati, jakby zatopiona w myślach. – Tylko ty i ja. Jak kiedyś.

Teresa chciała być okrutna. Za to, co usłyszała o Teo.

– Szczęśliwe czasy w El Puerto de Santa María, prawda? – powiedziała złośliwie. – Ty i twoje marzenie. Skarb księdza Farii.

Nigdy wcześniej nie żartowały na ten temat. Nigdy w ten sposób. Pati milczała.

– Ty, Meksykanko, byłaś w tych marzeniach – rzekła w końcu. Zabrzmiały w jej słowach i usprawiedliwienie, i zarzut. Tędy mnie nie podejdziesz, pomyślała Teresa. To nie moja gra, nigdy nie była. Idź do diabła.

– Zwisa mi to i powiewa – powiedziała. – Nie prosiłam się. To była twoja decyzja, nie moja.

– To prawda. Czasem życie mści się na człowieku, dając mu to, czego chce.

To też nie jest mój przypadek, pomyślała Teresa. Ja niczego nie chciałam. I to jest największy paradoks mojego pieprzonego życia. Zgasiła papierosa, odwróciła się w stronę nocnego stolika, na który odstawiła popielniczkę.

– Ja nigdy nie miałam wyboru – powiedziała głośno. – Nigdy. Życie biegło, a ja stawiałam mu czoło. Koniec, kropka.

– A co ze mną?

To było dobre pytanie. Tak naprawdę, pomyślała Teresa, na tym polega problem.

– Nie wiem... W pewnym momencie zostałam z tyłu, zaczęłam dryfować.

– A ty w którymś momencie stałaś się suką.

Nastąpiła długa cisza. Żadna się nie poruszyła. Gdybym usłyszała zgrzyt kraty, pomyślała Teresa, albo kroki strażniczki w korytarzu, sądziłabym, że jesteśmy w El Puerto. Stary nocny rytuał przyjaźni. Edmund Dantès i ksiądz Faria układają plany na wolną przyszłość.

– Myślałam, że masz wszystko, co chcesz – powiedziała. – Dbałam o twoje interesy, dzięki mnie zarobiłaś dużo pieniędzy... Ryzykowałam i dużo pracowałam. Czy to nie dość?

Pati zwlekała chwilę z odpowiedzią.

– Byłam twoją przyjaciółką.

– Jesteś moją przyjaciółką – sprostowała Teresa.

– Byłam. Nie zatrzymałaś się, żeby spojrzeć za siebie. A pewnych rzeczy nigdy...

– Do licha! Oto zboliała małżonka uzala się, że mąż za dużo pracuje, nie myśli o niej tyle, ile powinien. O to ci chodzi?

– Nigdy nie próbowałam...

Teresa czuła, jak narasta w niej złość. Tylko o to jej chodzi, mówiła

sobie. Ona nie ma racji, wkurzała się. Cholerna Porucznik O'Farrell, czy kim teraz jest, zaraz ją obciąży winą za ten wypadek dziś wieczorem, za śmierć tej dziewczyny. Bo to ona będzie wypisywała czeki. Ona będzie płaciła rachunki.

– Dajże spokój, Pati, nie posuwaj mi tu tekstów jak z marnego serialu.

– Jasne. Zapomniałam, że rozmawiam z Królową Południa.

Tym słowom towarzyszył cichy przerywany śmiech. Jeszcze bardziej nieprzyjemny niż poprzednio, z pewnością nie poprawił sytuacji. Teresa oparła się na łokciu. Głucha wściekłość zaczynała pulsować jej w skroniach. Poczowała ból głowy.

– Co jestem ci winna? Powiedz mi to wreszcie wprost. Powiedz, a ja zaraz ureguluję wszystkie rachunki.

Pati była nieruchomym cieniem, wykrojonym w ciemności przez światło księżyca, który pojawił się w rogu okna.

– Nie o to chodzi.

– Nie? – Teresa zbliżyła twarz do jej twarzy. Czowała jej oddech. – Wiem, o co chodzi. Dlatego dziwnie na mnie patrzysz. Ksiądz Faria powierzył swój sekret niewłaściwej osobie... Prawda?

Oczy Pati lśniły w ciemności. Łagodnym blaskiem, bliźniaczym do jasności za oknem.

– Nigdy nie robiłam ci wyrzutów – powiedziała bardzo cicho.

Odbicie księżyca sprawiło, że jej oczy wydawały się bardzo delikatne. A może to nie sprawa księżyca, pomyślała Teresa. Może obie oszukiwałyśmy się od początku. Porucznik O'Farrell i jej legenda. I zachciało jej się śmiać: jaka ja byłam wtedy młoda i głupia! Potem ogarnęła ją nagła czułość, to uczucie przeniknęło ją całą aż po czubki palców i otworzyła usta ze zdziwienia. Złość nadeszła chwilę później, jakby na pomoc, jak rozwiązanie, pocieszenie przyniesione przez tę drugą Teresę, która ukrywała się zawsze w lustrach i w mroku. Przyjęła ją z ulgą. Potrzebowała czegoś, co zatarłoby owe trzy dziwne sekundy, zdusiło je okrucieństwem tak ostrym jak cios siekierą. Poczowała absurdalną chęć, żeby rzucić się na nią, usiąść na niej okrakiem, przygnieść do ziemi, zedrzeć z siebie ubranie i zedrzeć je z niej, i powiedzieć: no, to teraz zapłacę ci za wszystko i wreszcie będziemy kwita. Ale wiedziała, że to nie to. Że w ten sposób nie płaci się za nic

i że zbyt się od siebie oddaliły, poszły drogami, które nigdy się już nie zetkną. I w tym podwójnym blasku, który miała przed sobą, wyczytała, że Pati rozumiała to równie dobrze jak ona.

– Ja też nie wiem, dokąd idę.

Kiedy Teresa to powiedziała, przysunęła się do kobiety, która kiedyś była jej przyjaciółką, i objęła ją w milczeniu. Czuła, że pękło w niej coś, czego nie da się już naprawić. Czuła też bezbrzeżny smutek. Jakby tamta dziewczyna o wielkich i przestraszonych oczach z podartego zdjęcia wróciła i rozplakała się wewnątrz niej.

– I lepiej, żebyś się tego nigdy nie dowiedziała, Meksykanko. Bo kiedyś możesz dojść do końca tej drogi.

Pozostały objęte, bez ruchu, przez resztę nocy.

Patricia O'Farrell odebrała sobie życie trzy dni później w swoim domu w Marbelli. Pokojówka znalazła ją w łazience, nagą, zanurzoną po brodę w zimnej wodzie. Na półce i na posadzce leżało kilka opakowań po środkach nasennych i butelka whisky. Spaliła w kominku wszystkie swoje papiery, zdjęcia, osobiste dokumenty i nie zostawiła żadnego pożegnalnego listu. Ani do Teresy, ani do nikogo innego. Odeszła jak ktoś, kto dyskretnie wychodzi z pokoju, przymykając za sobą drzwi, żeby nie robić hałasu.

Teresa nie poszła na pogrzeb. Nie widziała nawet ciała. Tego samego dnia, kiedy Teo Aljarafe zawiadomił ją przez telefon o śmierci Pati, wsiadła na pokład „Sinaloa” i spędziła dwa dni na morzu, jedynie w towarzystwie załogi i Pote Galveza. Siedziała na leżaku na pokładzie rufowym i patrzyła na kilwater, nie otwierając ust. Ani razu nie wzięła książki do ręki. Wpatrywała się w morze, paliła. Niekiedy, choć rzadko, sięgała po tequilę. Od czasu do czasu na pokładzie słychać było odgłos kroków ochroniarza, krążącego w pewnej odległości, zbliżał się tylko w porze obiadu i kolacji, bez słowa, opierał się o nadburcie i czekał do chwili, kiedy jego szefowa pokręciła przecząco głową, a potem znowu zniknął; przynosił jej kurtkę, kiedy słońce zachodziło za chmury albo za horyzont i robiło się zimno. Załoga trzymała się od niej jeszcze dalej. Niewątpliwie Meksykanin wydał odpowiednie w tej sprawie dyspozycje i wszyscy starali się tego przestrzegać. Kapitan rozmawiał z Teresą tylko dwa razy: pierwszy, kiedy zaraz po wejściu na pokład powiedziała: niech

pan płynie, aż powiem dosyć, wszystko jedno dokąd, a drugi – kiedy po dwóch dniach weszła na mostek i usłyszał słowo: wracamy. Przez te czterdzieści osiem godzin Teresa nie myślała nawet przez pięć minut ani o Pati O’Farrell, ani o niczym innym. Za każdym razem, kiedy obraz przyjaciółki pojawiał się w jej myślach, zaraz kołysanie morza, mewa szybująca w oddali, odbicie światła na fali, warkot silnika pod pokładem, wiatr zwiewający jej włosy na twarz pochłaniały całą przestrzeń jej świadomości. Wielką zaletą morza jest to, że można spędzać całe godziny, po prostu patrząc na nie, bez żadnej myśli. Bez wspomnień, bo jeśli nawet któreś z nich napłynęły, znikają za rufą równie szybko, jak się pojawiły, i takie spotkania ze wspomnieniami nie miały większego znaczenia, były jak te światełka w oddali mijane nocą. Teresa nauczyła się tego przy Santiago Fisterze, ale udawało się to tylko na morzu, które jest równie okrutne i egoistyczne jak istota ludzka i w swojej straszliwej prostocie nie zna nawet sensu takich skomplikowanych pojęć jak litość, rany czy wyrzuty sumienia. Zapewne dlatego tak skutecznie koi ból. Można się w nim rozpoznać albo znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, a wiatr, światło księżyca, kołysanie, woda rozpryskująca się o kadłub dokonywały cudu zapomnienia i każda litość, każda rana i każdy wyrzut sumienia przestawały sprawiać ból.

W końcu zmieniła się pogoda, barometr w ciągu trzech godzin opadł o pięć milibarów i zaczął wiać silny wiatr wschodni. Kapitan popatrzył na siedzącą na rufie Teresę, a potem na Pote Galveza. Ochroniarz podszedł do niej. Zmienia się nam pogoda, proszę pani. Może chciałaby pani wydać jakieś polecenie. Teresa spojrzała na niego i nie odpowiedziała, a zbir wrócił do kapitana, wzruszając ramionami. Tej nocy, przy wschodnim wietrze o sile sześciu do siedmiu stopni, „Sinaloa” płynęła na połowie mocy silnika, napierając na wzburzone fale, pod wiatr, woda zalewała w ciemności dziób i mostek. Pilot automatyczny był wyłączony, sterowała Teresa. Siedziała w kabinie, oświetlona czerwoną lampką znad naktuza, z jedną ręką na sterze, a z drugą na dźwigni biegów, podczas gdy kapitan, marynarz z wachty i nafaszerowany aviomarinem Pote Gálvez patrzyli na nią z tylnej kabiny, trzymając się ławek i stołu, na który za każdym przechyłem jachtu wylewała się kawa ze stojących tam kubków. Teresa trzykrotnie

wychodziła na pokład, trzymając się relingu po zawietrznej, chłostana ostrymi podmuchami, i wymiotowała za burtę; bez słowa wracała do steru, z włosami zmierzwionymi i mokrymi, z oczami podkrążonymi od bezsenności, i zapalała kolejnego papierosa. Nigdy wcześniej nie miała mdłości. Około świtu wypogodziło się, osłabł wiatr i szare światło zaczęło prasować morze, nadając mu barwę ołowiu. Wtedy dała polecenie, żeby wracać do portu.

Oleg Jaszykow przyszedł w porze śniadania. Miał na sobie dżinsy, ciemną rozpiętą marynarkę, koszulkę polo i sportowe buty. Jasnowłosa, krzepki, jak zawsze, choć w ostatnich czasach zaczął się poszerzać w pasie. Czekala na niego w ogrodzie na tarasie pod dachem z liści palmowych, na wprost basenu i trawnika, który ciągnął się pod wierzbami aż do muru przy plaży. Nie widzieli się od blisko dwóch miesięcy, ostatni raz spotkali się na kolacji, kiedy Teresa uprzedziła go o zbliżającym się zamknięciu European Union, rosyjskiego banku na wyspie Antigua, z którego Jaszykow korzystał przy transferach pieniędzy do Ameryki. Dzięki temu człowiek z Sołncewa oszczędził sporo czasu i mnóstwo pieniędzy.

– Szmata czasu, Tesa. Tak.

Tym razem to on poprosił o spotkanie. Zadzwoił poprzedniego wieczoru. Nie potrzebuję pocieszenia, zareagowała. Nie o to chodzi, powiedział Rosjanin. *Niet*. Trochę interesów i trochę przyjaźni. Sama wiesz. Tak. Jak zazwyczaj.

– Chcesz kielicha, Oleg?

Rosjanin smarował właśnie grzanekę masłem. Popatrzył najpierw na nią, a potem na kieliszek tequili stojący obok jej filiżanki z kawą i na popielniczkę z czterema petami. Ubrana w sweter siedziała w wiklinowym fotelu, bosa stopy opierała na beżowych płytkach tarasu. Jasne, że nie chcę, powiedział Jaszykow. Nie o tej porze, Chryste Panie. Jestem tylko gangsterem z byłego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. A nie Meksykanką z pancernym żołądkiem. Tak. Z azbestu. Gdzie mi tam do takiego twardziela jak ty. Roześmiali się.

– Widzę, że się śmiejesz – powiedział Jaszykow, zaskoczony.

– Dlaczego miałabym się nie śmiać – odrzekła Teresa, wytrzymując spojrzenie Rosjanina. – W żadnym wypadku, zapamiętaj, nie będziemy

rozmawiali o Pati.

– Nie po to przyszedłem. – Jaszykow nalał sobie kawy, gryząc grzanekę.

– Muszę ci powiedzieć parę rzeczy. Różnych rzeczy.

– Najpierw śniadanie.

Dzień był słoneczny i woda w basenie odbijała turkusową jasność nieba. Dobrze było siedzieć tak pod dachem, w chłodzie wschodniego wiatru, pośród żywopłotów, krzewów bugenwilli i kwiatów, słuchając śpiewu ptaków. Niespiesznie rozprawili się z grzankami i kawą – Teresa także z tequilą – rozmawiając o rzeczach nieistotnych, ciesząc się starą znajomością, jak zawsze kiedy byli we dwoje – poufale gesty, wspólne kody. Znali się dobrze. Wiedzieli, jakie słowa można wypowiedzieć, a jakich nie trzeba.

– Przede wszystkim to, co najważniejsze – powiedział Jaszykow po skończonym śniadaniu. – Jest zamówienie. Duża rzecz. Tak. Dla moich ludzi.

– To znaczy absolutne pierwszeństwo.

– Lubię to słowo. Pierwszeństwo.

– Potrzebna koka?

Rosjanin pokręcił głową.

– Haszysz. Moi szefowie weszli w spółkę z Rumunami. Chcą zaopatrzyć kilka rynków w okolicy. Tak. Szybko. Pokazać Libańczykom, że istnieją alternatywni dostawcy. Potrzebują dwudziestu ton. Z Maroka. Najwyższej jakości.

Teresa zmarszczyła brwi. Dwadzieścia tysięcy kilo to bardzo dużo, powiedziała. Najpierw trzeba je zgromadzić, a ten moment nie wydaje się najbardziej odpowiedni. Po zmianach politycznych w Maroku nie wiadomo jeszcze do końca, komu można ufać, a komu nie. Od półtora miesiąca trzymała w Agadirze ładunek koki, nie mając odwagi ruszyć go, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Jaszykow słuchał uważnie, na koniec skinął głową. Rozumiem. Tak. Ty decydujesz, stwierdził. Ale oddałabyś mi wielką przysługę. Moi ludzie potrzebują tej czekolady za miesiąc. I udało mi się wynegocjować cenę, posłuchaj. Bardzo dobrą cenę.

– Cena nie jest tak ważna. W interesach z tobą nie liczy się.

Człowiek z Sołncewa uśmiechnął się i podziękował. Potem weszli do

domu. Za salonem ze wschodnimi dywanami i skórzanymi fotelami mieściło się biuro Teresy. Pote Gálvez pojawił się w korytarzu, spojrzął na Jaszykowa bez słowa i zniknął.

– Jak się ma twój rottweiler?

– Jeszcze mnie nie zabił.

Śmiech Jaszykowa zadudnił w salonie.

– Nigdy bym nie pomyślał – zadumał się – kiedy go poznałem.

Weszli do biura. Co tydzień dom był sprawdzany przez specjalistę od podsłuchów elektronicznych, przysyłanego przez doktora Ramosa, choć nie było tam nic, co mogłoby ją obciążać: biurko, osobisty komputer z twardym dyskiem, czystym jak kryształ, szuflady pełne map morskich, atlasów, roczników i ostatnie wydanie *Ocean Passages for the World*. Może mi się to uda, powiedziała Teresa. Dwadzieścia ton to pięćset pakunków po czterdzieści kilo. Ciężarówka, żeby przetransportować towar z gór Rifu na wybrzeże, duży statek, przeładunek na wodach marokańskich, precyzyjna koordynacja wszystkich działań, wyznaczenie miejsc i dokładnego czasu odbioru. Szybko policzyła: dwa tysiące pięćset mil między Alboranem a Konstancą, nad Morzem Czarnym, przez wody terytorialne sześciu krajów, przeprawa przez Morze Egejskie, Dardanele i Bosfor. To będzie wymagać popisu logistycznego i precyzyjnej taktyki. Duże koszty wstępne. Praca dniami i nocami Farida Lataquii i doktora Ramosa.

– O ile mi zagwarantujesz – zakończyła – bezproblemowy rozładunek w rumuńskim porcie.

Jaszykow skinął głową. O to możesz być spokojna, powiedział. Przyglądał się rozłożonej na stole mapie Imray M20, obejmującej wschód Morza Śródziemnego. Wydawał się roztargniony. Może powinnaś, doradził po chwili, starannie dobrać ludzi, z którymi będziesz przygotowywać tę operację. Tak. Powiedział to, nie odrywając spojrzenia od mapy, jakby w zamyśleniu, i jeszcze chwilę zwlekał, zanim podniósł wzrok. Tak, powtórzył. Teresa zrozumiała. Chwyła sens już przy pierwszych słowach. Może powinnaś było znakiem, że nie wszystko w tej sprawie jest czyste. Starannie dobrać. Ludzi, z którymi będziesz przygotowywać. Tę operację.

– Słucham cię – powiedziała. – Mów wszystko.

Podejrzany sygnał na ekranie radaru. Znajome uczucie pustki w żołądku. Jest taki jeden sędzia, zaczął Jaszykow. Martínez Pardo, dobrze go znasz. Z Sądu Najwyższego. Węszy od dawna. Depcze po piętach i mnie, i tobie, i innym. Ale ma swoich faworytów. Ty jesteś jego oczkiem w głowie. Pracuje z policją, z żandarmerią, ze strażą graniczną. Tak. I bardzo naciska.

– Powiedz wszystko, co masz mi do powiedzenia – zniecierpliwiła się Teresa.

Jaszykow popatrzył na nią niepewnie. Potem odwrócił wzrok do okna, znów spojrział na nią. Są ludzie, którzy mi opowiadają różne rzeczy, ciągnął. Płacę i wiem, co trzeba. Niedawno ktoś w Madrycie mówił o twojej ostatniej sprawie. Tak. O tym zatrzymanym statku. W tym miejscu Jaszykow przerwał, zrobił kilka kroków po pokoju, postukał palcami w mapę morską. Pokiwał głową, jakby radził: to, co teraz powiem, Tesa, potraktuj ostrożnie. Nie gwarantuję, że to prawda.

– Wydaje mi się, że sypnęli Galisyjczycy – uprzedziła jego słowa.

– Nie. Słyszałem, że przeciek był stąd. – Jaszykow zrobił bardzo długą przerwę. – Informacja wyszła z Transer Nagi.

Teresa już miała otworzyć usta, żeby powiedzieć: to niemożliwe, wszystko dokładnie sprawdziłam. Ale nie zrobiła tego. Oleg Jaszykow nigdy nie opowiadałby jej bajek. Nagle zaczęła kojarzyć, stawiać hipotezy i pytania, znajdować odpowiedzi. Rekonstruować zdarzenia. Rosjanin ułatwiał jej pracę. Martínez Pardo dostaje informacje od kogoś z twojego otoczenia, ciągnął dalej. W zamian za nietykalność, pieniądze czy bo ja wiem za co. Może to prawda, a może tylko część prawdy. Nie wiem. Ale mój informator jest wiarygodny. Tak. Nigdy wcześniej mnie nie zawiódł. A biorąc pod uwagę, że Patricia...

– To Teo – nagle szepnęła.

Jaszykow nie dokończył zdania. Wiedziałaś, powiedział zaskoczony. Ale Teresa zaprzeczyła ruchem głowy. Poczowała dziwny chłód, który nie miał nic wspólnego z tym, że stała boso na dywanie. Odwróciła się plecami do Jaszykova i spojrziała na drzwi, jakby miał się w nich pojawić Teo we własnej osobie. Powiedz, skąd u diabła wiedziałaś, zapytał Rosjanin. A jeśli nie wiedziałaś, dlaczego teraz wiesz. Teresa nadal milczała. Nie wiedziałam, myślała. Ale jest faktem, że teraz nagle wiem. Takie już jest

życie, i takie płała głupie figle. No cóż. Starła się skupić, ułożyć myśli według jakiegoś rozsądnego porządku. Nie było to łatwe.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

Poszli na spacer plażą, Pote Gálvez i jeden z ochroniarzy Jaszykowa obserwowali ich z daleka. Fale rozbijały się na otoczkach i moczyły stopy Teresy, która, nadal bosą, szła od strony morza. Woda była bardzo zimna, ale jej dotyk sprawiał przyjemność. Orzeźwiający. Poszli na południowy zachód po brudnej plaży pełnej kamieni i stert wodorostów, w kierunku Sotogrande, Gibraltaru i cieśniny. Zamieniali po parę słów co jakiś czas, a potem milczeli, zastanawiając się nad tym, co powiedzieli albo czego nie powiedzieli. I co zrobisz, zapytał Jaszykow, kiedy dotarł do niego sens wiadomości. Z jednym i z drugim. Z dzieckiem i z ojcem.

– To jeszcze nie jest dziecko – odparła Teresa. – To jeszcze nic nie jest.

Jaszykow pokiwał głową, jakby właśnie potwierdziła jego myśli. To jednak nie załatwia drugiej sprawy, powiedział. To tylko połowa problemu. Teresa odwróciła się i popatrzyła na niego uważnie, odgarniając włosy z twarzy. Nie powiedziałam, że tamta połowa jest załatwiona, wyjaśniła. Tylko mówię, że to jeszcze nic nie jest. Decyzji, czy ma być, czy ma nie być, jeszcze nie podjęłam.

Rosjanin przyglądał się jej uważnie, szukając na jej twarzy zmiany, jakiegoś znaku, czegoś nieprzewidzianego.

– Boję się, że nie mogę, Tesa. Nie doradzę ci. *Niet*. To nie jest moja specjalność.

– Nie proszę cię o radę, chciałam tylko, żebyś poszedł ze mną na spacer, jak zawsze.

– To mogę. – Jaszykow uśmiechnął się w końcu. Jasnowłosa, dobrotliwy niedźwiedź. – Tyle mogę zrobić.

Na piasku stała wyciągnięta z wody rybacka łódź. Teresa zawsze przechodziła obok niej. Była stara i zniszczona, pomalowana na biało i niebiesko. Na dnie miała trochę deszczówki, resztki plastiku, pustą puszkę po coli. Na dziobie odpadała farba z jej nazwy, z trudem dającej się odczytać: NADZIEJA.

– Powiedz, Oleg, nigdy nie masz tego dość?

Czasami, odpowiedział Rosjanin. Ale to nie takie proste. Nie. Nie da się

powiedzieć: zaszedłem tutaj, a teraz pozwólcie, że się wycofam. Mam żonę, dodał. Jest prześliczna. Miss Sankt Petersburga. I czteroletniego synka. Dość pieniędzy, żeby spokojnie przeżyć resztę życia. Tak. Ale są jeszcze wspólnicy. Odpowiedzialność. Zobowiązania. I nie wszyscy mogliby zrozumieć, że się wycofałem. Nie. Z natury wszyscy są nieufni. Jeśli odchodzisz, zaczynają się bać. Zbyt wiele wiem o zbyt wielu ludziach. A oni wiedzą zbyt wiele o mnie. Stanowię zagrożenie. Tak.

– Z czym ci się kojarzy słowo „nieodporny”? – zapytała Teresa.

Rosjanin zastanawiał się chwilę. Nie jestem taki dobry, stwierdził w końcu. W hiszpańskim. Ale wiem, o czym mówisz. Kiedy masz dziecko, przestajesz być odporny.

– Daję ci słowo, Tesa, nigdy się nie bałem. Niczego. Nawet w Afganistanie. Nie. Tamtych fanatycznych szaleńców i ich „Allah Akbar”, mrozącego krew w żyłach. Nie. Nie bałem się też, kiedy zaczynałem. W tej branży. Ale od kiedy urodził mi się syn, sam nie wiem. Boję się. Tak. Kiedy coś nie wychodzi, już nie można. Nie da się zostawić wszystkiego tak, jak jest. I po prostu uciec.

Zatrzymał się i patrzył na morze i na chmury płynące powoli na zachód. Westchnął tęsknie.

– Dobrze jest czasem uciec – powiedział. – Kiedy trzeba. Ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Tak. Nie robiłaś w życiu niczego innego. Uciekałaś. Chcąc nie chcąc.

Nadal wpatrywał się w chmury. Podniósł w górę ręce, jakby chciał objąć Morze Śródziemne, a potem pozwolił im opaść. Bezsilnie. Wreszcie odwrócił się do Teresy.

– Urodzisz je?

Popatrzyła na niego i nie odpowiedziała. Szum wody i zimna piana pod stopami. Jaszykow przyglądał się jej uważnie z góry. Teresa wydawała się bardzo drobna przy olbrzymim Słowianinie.

– Jakie miałeś dzieciństwo, Oleg?

Mężczyzna podrapał się po karku, zaskoczony. Speszony. Bo ja wiem, powiedział. Jak wszyscy w Związku Radzieckim. Ani dobre, ani złe. Pionierzy, szkoła. Tak. Karol Marks. Organizacja. Obrzydliwy imperializm amerykański. I tak dalej. Za dużo gotowanej kapusty, myślę. I ziemniaków. Za dużo ziemniaków.

– Wiem, co to głód – powiedziała Teresa. – Miałam tylko jedną parę butów i mama pozwalała mi chodzić w nich jedynie do szkoły. Dopóki chodziłam do szkoły.

Na jej ustach pojawił się kwaśny uśmiech. Mama, powtórzyła zamyślona. Poczowała ukłucie dawnej urazy.

– Często mnie tłukła, kiedy byłam mała – ciągnęła dalej. – Była pijaczką i na wpół prostytutką, od kiedy ojciec ją rzucił. Posyłała mnie po piwo dla swoich koleśków, poniewierała mną straszliwie. Przychodziła nad ranem, z całym stadem sępów, którzy śmiali się oblesnie; albo pojawiali się w nocy, walili w drzwi, pijani... Przestałam być niewinna dużo wcześniej, niż straciłam dziewictwo z gromadą chłopaków, z których kilku było młodszych ode mnie...

Nagle zamilkła i stała tak dłuższą chwilę, z włosami opadłymi na twarz. Czuła, jak powoli topnieje w niej złość. Nabrała głęboko powietrza w piersi, żeby całkiem zniknęła.

– Co do ojca – powiedział Jaszykow – rozumiem, że jest nim Teo.

Wytrzymała jego spojrzenie, nie otwierając ust. Niewzruszona.

– Bo to jest druga połowa – Rosjanin znów westchnął – problemu.

Ruszył przed siebie, nie odwracając się, żeby sprawdzić, czy Teresa idzie za nim. Przez chwilę patrzyła, jak odchodzi, potem ruszyła jego śladem.

– Jednego nauczyłem się w wojsku, Tesa – powiedział Jaszykow zamyślony. – Teren wroga. Niebezpiecznie jest zostawić torbę za plecami. Opór. Wrogie grupy. Zdobycie terenu wroga wymaga wyeliminowania punktów zapalnych. Tak. Dokładnie tak to brzmiało. Zgodnie z regulaminem. Te słowa powtarzał mój przyjaciel, sierżant Skobelcyn. Tak. Codziennie. Zanim poderżnęli mu gardło w dolinie Pansziru.

Przystanął i znów na nią popatrzył. Ja mogłem dojść tylko dotąd, mówiły jego jasne oczy. Dalsza droga już jest twoją sprawą.

– Powoli zostaję sama, Oleg.

Stała przed nim nieruchomo, a odpływające fale co chwila zabierały jej grunt spod stóp. Rosjanin uśmiechnął się przyjacielsko, dość słabo. Ze smutkiem.

– Dziwnie to brzmi w twoich ustach. Myślałem, że zawsze byłaś sama.

*Mam przyjaciół w moich stronach,
oni zawsze mnie kochają*

Sędzia Martínez Pardo nie był miłym człowiekiem. Rozmawiałem z nim w ostatnich dniach moich poszukiwań: dwadzieścia dwie minuty niezbyt przyjemnej rozmowy w jego biurze w gmachu Sądu Najwyższego. Bardzo niechętnie zgodził się mnie przyjąć, i to dopiero wtedy, kiedy przedstawiłem mu gruby raport opisujący stan moich dociekań. Jego nazwisko tam figurowało, oczywiście. Pośród wielu innych. Zazwyczaj wybór polega na tym, czy być obecnym w opowieści na dogodnych warunkach, czy być nieobecnym. Postanowił być obecny i podać własną wersję wydarzeń. No to niech pan przyjdzie, porozmawiamy, powiedział mi, kiedy wreszcie zdecydował się odebrać mój telefon. Poszedłem więc do gmachu sądu, chłodno podał mi dłoń na powitanie i usiedliśmy do rozmowy po dwóch stronach sędziowskiego biurka, z flagą i portretem króla na ścianie. Martínez Pardo był niski i korpulentny, przetykana siwizną broda nie całkiem zasłaniała bliznę przecinającą lewy policzek. Jego wygląd był jak najdalszy od wizerunku sędziów gwiazdorów, pojawiających się w telewizji i w kolorowych czasopismach. Szary i skuteczny, mówiono o nim. I złośliwy. Blizna była pamiątką po dawnej historii – dzieło zbirów z Kolumbii wynajętych przez galisyjskich handlarzy narkotyków. Może dlatego miał trudny charakter.

Zaczęliśmy od wymiany uwag na temat stanu zdrowia Teresy Mendozy i jej aktualnej sytuacji. Co doprowadziło ją do miejsca, w którym się znalazła, i jak zmieni się jej życie w najbliższych tygodniach, o ile zdoła utrzymać się przy życiu. Tego to ja nie wiem, powiedział Martínez Pardo. Ja nie zajmuję się przyszłością ludzi, chyba że chodzi o trzydziestoletni wyrok. Moją sprawą jest ich przeszłość. Fakty i przeszłość. Przepiękstwa. A tych Teresa Mendoza popełniła wiele.

– Jest pan zatem rozczarowany – stwierdziłem. – Tyle roboty na nic.

W ten sposób odwdzieczyłem się za jego opryskliwość. Spojrzał na mnie znad okularów do czytania, które opierały mu się na czubku nosa. Nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. A już na pewno nie na szczęśliwego sędziego.

– Miałem ją – powiedział.

Potem zamilkł, jakby się zastanawiał, czy to są właściwe słowa. Nawet szarzy i skuteczni sędziowie mają swoje serduszko, pomyślałem. I swoją osobistą próżność. Swoje frustracje. Miałeś ją, ale już jej nie masz. Przeciekła ci między palcami i wróciła do swojej Sinaloa.

– Jak długo pan ją rozpracowywał?

– Cztery lata. To była żmudna praca. Niełatwo zgromadzić wystarczająco dużo faktów i dowodów. Miała znakomitą organizację. Zbudowaną bardzo inteligentnie. Pełną mechanizmów ochronnych, służ zabezpieczających. Docierało się do pewnego punktu i koniec, tam wszystko zdychało, nie można było ustalić dalszych powiązań w górę.

– Panu jednak to się udało.

Tylko częściowo, przyznał Martínez Pardo. Gdyby miał dosyć czasu i dostateczną swobodę ruchów. Ale nie miał. Ci ludzie obracali się w pewnych środowiskach, łącznie z politycznymi. Łącznie z jego własnym. Dzięki temu Teresa Mendoza już z daleka widziała zbliżające się ciosy i mogła je powstrzymywać. Albo minimalizować ich skutki. W tym konkretnym przypadku, dodał, szło mu dobrze. Jego współpracownikom też. Byli o krok od uwieńczenia sukcesem długiego i żmudnego wysiłku. Przez cztery lata, powiedział mi, tkaliśmy pajęczą sieć. I nagle wszystko się skończyło.

– Czy jest prawdą, że otrzymał pan takie polecenie z Ministerstwa Sprawiedliwości?

– To nie ma nic do rzeczy. – Cofnął się na oparcie swojego fotela i przyglądał mi się z urazą. – Odmawiam odpowiedzi.

– Słyszałem, że sam minister wywierał na pana naciski. Pod wpływem ambasady meksykańskiej.

Uniósł dłoń w górę. To nie był miły gest. Władcza dłoń sędziego wypełniającego swoje obowiązki. Jeśli będzie pan drażył w tym kierunku, ostrzegł, nasza rozmowa wkrótce się skończy. Nikt nigdy nie wywierał na mnie żadnych nacisków.

– Niech mi pan wyjaśni, dlaczego nie wystąpił pan z oskarżeniem przeciwko Teresie Mendozie?

Zastanawiał się chwilę nad moim pytaniem, może po to, żeby zdecydować, czy partykuła „niech” stanowiła obrazę majestatu, czy nie.

W końcu postanowił mi wybaczyć. *In dubio pro reo*[11]. Czy coś w tym rodzaju.

– Już panu powiedziałem – oświadczył. – Nie miałem dość czasu, żeby zgromadzić wystarczające dowody.

– Mimo zeznań Teo Aljarafego?

Znów spojrział na mnie tak jak poprzednio. Nie podobaliśmy się sędziemu – ani ja, ani moje pytania – i nie pracowało to na naszą korzyść.

– Wszystko, co wiąże się z tą osobą, jest poufne.

Pozwoliłem sobie na lekki uśmiech. Dałby pan spokój, panie sędzio. Nie czas na takie teksty.

– Teraz to już nie ma znaczenia – powiedziałem. – Tak myślę.

– Ale dla mnie ma.

Zastanawiałem się chwilę. Proponuję panu pewien układ, powiedziałem. Nie będę więcej dotykał tematu Ministerstwa Sprawiedliwości, ale w zamian opowie mi pan o Aljarafem. Zawsze można się dogadać. Zamieniłem kpiący uśmiech na wyraz uprzejmej prośby, w czasie kiedy on rozważał moją propozycję. Zgoda, powiedział. Ale będę musiał pominąć kilka szczegółów.

– Czy to prawda, że zaoferował mu pan nietykalność w zamian za informacje?

– Nie odpowiem na to pytanie.

Zły początek, powiedziałem sobie w myślach. Z zakłopotaną miną pokiwałem głową i atakowałem dalej.

– Podobno zupełnie go pan osaczył. Zgromadził pan obszerną wiedzę na jego temat i teczkę z materiałami położył mu pan przed nosem. I wcale nie dotyczyło to handlu narkotykami. Przyłapał go pan na matactwach podatkowych.

– Być może.

Rzucił mi spojrzenie bez wyrazu. Ty mówisz, a ja potwierdzam. Nie prosz mnie o wiele więcej.

– W Transer Nadze?

– Nie.

– Niechże pan będzie dla mnie miły, panie sędzio. Proszę docenić, jaki jestem grzeczny.

Znów się przez chwilę zastanawiał. W sumie, doszedł pewnie do wniosku, już zgodziłem się o tym mówić. A to jest sprawa mniej więcej znana i już zakończona.

– Przyznaję – powiedział – że firmy Teresy Mendozy zawsze, mimo naszych wysiłków, były pod tym względem nie do ruszenia, choć wiedzieliśmy, że przeszło siedemdziesiąt pięć procent przemytu na Morzu Śródziemnym przechodzi przez jej ręce... Słabe punkty pana Aljarafego dotyczyły jego własnych pieniędzy. Inwestycje niezgodne z prawem, przelewy pieniężne. Osobiste konta za granicą. Jego nazwisko figurowało na potwierdzeniach kilku zagranicznych transakcji, niezwykle jasnych. Materiału było dosyć.

– Podobno miał jakieś posiadłości w Miami.

– Tak. Ustaliliśmy, że właśnie kupił dom o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych w Coral Gables, otoczony gajem palm kokosowych i z własną przystanią, miał też luksusowy apartament w Coco Plum, w którym często gościli prawnicy, bankierzy i brokerzy z Wall Street. Najwyraźniej wszystko za plecami Teresy Mendozy.

– Drobnie oszczędności.

– Można było tak to nazwać.

– A pan chwycił go za jaja. I przestraszył.

Znów cofnął się na oparcie fotela. *Dura lex, sed lex*[12]. Duraleks.

– To niedopuszczalne. Nie będę tolerował takiego języka.

Powoli zaczynałem mieć dość tego dupka.

– Niech pan to sobie przełoży na swój język.

– Zdecydował się współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Po prostu.

– W zamian za co?

– Za nic.

Popatrzyłem na niego. Takie bajki możesz opowiadać swojej babce. Teo Aljarafe ryzykuje głową z miłości do sztuki.

– A jak zareagowała Teresa Mendoza, kiedy stwierdziła, że jej doradca finansowy pracuje dla wroga?

– To wie pan równie dobrze jak ja.

– No cóż. Wiem tyle co wszyscy. Że wystawiła go na wabia przy operacji przerzutu rosyjskiego haszyszu... Ale nie to miałem na myśli.

Wzmianka o rosyjskim haszyszu tylko pogorszyła sprawę. Nie udawaj przede mną spryciarza, mówiła jego mina.

– Niech pan ją o to zapyta, jeśli będzie pan miał okazję – zasugerował.

– Może i będę miał.

– Wątpię, żeby zechciała z panem rozmawiać. A tym bardziej teraz.

Postanowiłem podjąć ostatnią próbę.

– Jak pan widzi jej obecną sytuację?

– Nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedział z miną pokerzysty.

– A jej sytuacja już mnie nie interesuje. To przestała być moja sprawa.

Potem zamilkł i w ciszy zaczął przeglądać z roztargnieniem jakieś dokumenty leżące na biurku, a ja pomyślałem, że to koniec naszej rozmowy. Znam lepsze sposoby marnowania czasu, uznałem. Wstałem zdenerwowany, gotów się pożegnać. Ale nawet taki zdyscyplinowany urzędnik państwowy jak sędzia Martínez Pardo nie potrafi opanować swędzenia piekących ran. Albo potrzeby usprawiedliwienia się. Nadal siedział, nie odrywając wzroku od dokumentów. I wtedy nagle wypowiedział słowa, które zrekompensowały mi całą nieudaną rozmowę.

– Przestała nią być po odwiedzinach tego Amerykanina – dodał z żalem.

– Człowieka z DEA.

Operacja przerzutu dwudziestu ton haszyszu nad Morze Czarne otrzymała kryptonim „Wczesne dzieciństwo”. Wymyślił ją doktor Ramos, który odznaczał się specyficznym poczuciem humoru. Kilka osób zaangażowanych w tę sprawę od dwóch tygodni planowało akcję z iście wojskową dokładnością.

Tego ranka Farid Lataquia – kiedy z pełnym satysfakcji uśmiechem wyłączył swój komórkowy telefon po zaszyfrowanej rozmowie – zakomunikował wreszcie, że znalazł odpowiedni statek w porcie Alhucemas, wysłużony kuter rybacki długości trzydziestu metrów, przemianowany na „Tarfayę”, własność hiszpańsko-marokańskiej spółki połowowej. W tym samym czasie doktor Ramos koordynował ruchy „Xoloitzcuintle”, kontenerowca, który pod niemiecką banderą, z załogą złożoną z Polaków i Filipińczyków, regularnie pływał na trasie między wybrzeżem amerykańskim i wschodem Morza Śródziemnego, a w tym momencie znajdował się gdzieś między Recife i Veracruz. „Wczesne

dzieciństwo” rozwijało się też na innym froncie czy też w drugim wątku, gdzie główną rolę odgrywał trzeci statek, tym razem drobnicowiec, żeglujący na trasie z Cartageny w Kolumbii do greckiego portu Pireusu, bez przystanków po drodze. Nosił nazwę „Luz Angelita” i choć został zarejestrowany w kolumbijskim porcie Temuco, pływał pod kambodżańską banderą dla cypryjskiego armatora. Podczas kiedy „Tarfaya” i „Xoloitzcuintle” miały wykonać delikatną część operacji, rola „Luz Angelity” i jej armatorów była prosta, opłacalna i bezpieczna: to była przynęta.

– Wszystko będzie gotowe za dziesięć dni – podsumował doktor Ramos. I wyjął fajkę z ust, żeby zamaskować ziewnięcie.

Dochodziła jedenasta rano, mieli za sobą długą noc w biurach w Sotogrande. Dom, w którym się znajdowali, był otoczony ogrodem i wyposażony w najnowsze środki bezpieczeństwa i systemy elektronicznego zabezpieczenia przeciwpodśluchowego i już od dłuższego czasu zastępował Teresie mieszkanie przy sportowej przystani. Pote Gálvez pełnił służbę w hallu, dwaj ochroniarze chodzili po ogrodzie. W sali konferencyjnej mieli telewizor i przenośny komputer z drukarką, dwa zakodowane telefony komórkowe, umieszczoną na sztalugach tablicę do wykresów ze zmywalnymi pisakami, na wielkim stole stały brudne filiżanki po kawie i popielniczki pełne niedopałków. Teresa właśnie otworzyła okno, żeby trochę przewietrzyć. Poza doktorem Ramosem znajdowali się tu także Farid Lataquia i łącznościowiec Teresy, całkowicie zaufany młody inżynier z Gibraltaru, o nazwisku Alberto Rizocarpaso. Byli w składzie, który doktor nazywał gabinetem antykryzysowym – grupa stanowiąca najściślejszy sztab operacyjny Transer Nagi.

– „Tarfaya” – rzekł Lataquia – będzie czekać w Alhucemas, czyszcząc ładownie. Przygotowana i zatankowana. Nieszkodliwa. Spokojniutka. Wyplynie dopiero dwa dni przed umówionym spotkaniem.

– Dobrze – powiedziała Teresa. – Nie chciałabym, żeby przez tydzień pływała w tę i z powrotem, zwracając na siebie uwagę.

– Nie martw się. Sam się tym zajmę.

– A co z załogą?

– Sami Marokańczycy. Kapitan Cherki. Ludzie Ahmeda Chakora, jak

zwykle.

– Ahmedowi Chakorowi nie zawsze można ufać.

– Zależy, ile mu się płaci. – Libańczyk się uśmiechał. Wszystko zależy, ile mnie się płaci, mówił jego uśmiech. – Tym razem nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Czyli tym razem też wzięłaś sobie dodatkową prowizję, pomyślała Teresa. Kuter plus statek, plus ludzie Chakora równa się wielka kasa. Zobaczyła, że uśmiech Lataquii stawał się coraz wyraźniejszy, w miarę jak odgadywał jej myśli. Ten sukinsyn przynajmniej niczego nie ukrywa, stwierdziła. Robi to zupełnie otwarcie, z całkowitą naturalnością. I zawsze wiadomo, gdzie jest granica. Potem odwróciła się do doktora Ramosa. Co z gumami, zapytała. Ile jednostek użyjemy do przeładunku? Przed doktorem leżała rozłożona mapa z numerem 773. brytyjskiej admiralicji, ukazująca wszystkie szczegóły marokańskiego wybrzeża między Ceutą i Melillą. Wskazał fajką pewien punkt leżący jakieś trzy mile na północ od brzegu, między skałą Vélez de la Gomera a ławicą Xauen.

– Dysponujemy sześcioma łodziami – powiedział. – Po dwa przeloty z ładunkami po mniej więcej tysiąc siedemset kilogramów każdy. A jeśli kuter będzie poruszał się wzdłuż tej linii, wszystko zostanie załatwione w niecałe trzy godziny. Pięc, jeśli stan morza będzie utrudniał akcję. Towar czeka już gotowy w Bab Barret i w Ketamie. Punkty załadunku będą w Rocas Negras, Cala Traidores i w ujściu Mestaxy.

– Dlaczego chcecie tak to dzielić? Nie lepiej byłoby załadować wszystko od razu?

Doktor Ramos spojrzał na nią poważnie. Gdyby ktoś inny zadał to pytanie, taktyk Transer Nagi czułby się dotknięty, ale u Teresy było to normalne. Zawsze sprawdzała wszystko, każdy najmniejszy szczegół. Tak było lepiej i dla niej, i dla wszystkich, bo odpowiedzialność za sukcesy i porażki zawsze ponosili wspólnie i nie trzeba było potem szukać zbyt wielu wyjaśnień. Tak dokładna, mawiał Farid Lataquia w obrazowym stylu śródziemnomorskim, że aż ci się jaja skręcają. Nie mówił tego przy niej, oczywiście. Ale Teresa wiedziała. Prawdę mówiąc, wiedziała wszystko o wszystkich. Nagle pomyślała o Teo Aljarafem. Zaległa sprawa, którą też trzeba będzie załatwić w najbliższych dniach.

Poprawiła się w myślach. Wiedziała prawie wszystko o prawie wszystkich.

– Dwadzieścia tysięcy kilogramów na jednej plaży to całe mnóstwo kilogramów – wyjaśnił doktor – nawet jeśli marokańska policja jest po naszej stronie... Wolałbym nie ściągać tak bardzo uwagi. Dlatego przedstawiliśmy to Marokańczykom jako trzy odrębne operacje. Pomysł polega na tym, żeby załadować połowę towaru w punkcie numer jeden przy użyciu sześciu pontonów równocześnie, jedną czwartą w punkcie numer dwa przy użyciu trzech pontonów i ostatnią ćwiartkę w punkcie numer trzy, używając pozostałych trzech pontonów... W ten sposób minimalizujemy ryzyko i nikt nie będzie musiał wracać w to samo miejsce na kolejny załadunek.

– Ile czasu na to przewidujesz?

– O tej porze roku może nie być dobrze. Mamy margines trzech dni, ostatnia noc prawie całkiem ciemna, z księżycem w pierwszej kwadrze. Może być mgła, przez co utrudnione będą spotkania. Ale na każdym pontonie jest GPS, na kutrze rybackim też.

– Jaki sposób komunikowania?

– Jak zazwyczaj: telefony komórkowe sklonowane albo zaszyfrowane dla każdego z pontonów i dla kutra, internet na dużym statku... Walkie-talkie STU na czas manewru.

– Chcę, żeby Alberto był na morzu, z całą swoją aparaturą.

Rizocarpaso, gibraltarski inżynier, skinął głową. Był blondynem o dziecięcej twarzy, niemal bez zarostu. Introwertyk. Bardzo sprawny w swojej dziedzinie. Chodził zawsze w koszulach i spodniach wymiętych po wielu godzinach spędzanych przy odbiorniku radiowym albo przy klawiaturze komputera. Teresa zatrudniła go, bo potrafił zamaskować kontakty i całe operacje przez Internet, prowadząc wszystko pod fikcyjną przykrywką krajów, do których nie miały dostępu policje europejskie i amerykańska, takich jak Kuba, Indie, Libia, Irak. W ciągu kilku minut potrafił otworzyć, wykorzystać i zawiesić różne adresy elektroniczne, ukryte na lokalnych serwerach w najróżniejszych krajach, powołując się na numery skradzionych kart kredytowych albo na nazwiska figurantów. Był też ekspertem steganografii i systemów szyfrowych PGP.

– Na czym? – zapytał doktor.

– Wszystko jedno, na czymś sportowym. Dyskretnym. Może wystarczy łódź Fairline Squadron, którą trzymamy w Banús. – Teresa wskazała inżynierowi na mapie morskiej szeroką strefę rozciągającą się na zachód od Alboranu. – Cały system komunikacji będziesz koordynował stamtąd. Gibraltarczyk przywołał na twarz stoicki uśmiech. Lataquia i doktor popatrzyli na niego ironicznie, wszyscy wiedzieli, że na morzu ma zawroty głowy gorsze niż na karuzeli, ale z pewnością Teresa miała swoje powody.

– Gdzie nastąpi spotkanie z „Xoloitzcuintle”? – spytał Rizocarpaso.

– W pewnych miejscach pole jest słabsze.

– Dowiesz się we właściwym czasie. Jeśli nie będzie pola, użyjemy radia, na falach rybackich. Ustalimy szyfry do zmian z jednej częstotliwości na inne, między sto dwadzieścia i sto czterdzieści megaherców. Przygotuj nam listę.

Zadzwoił jeden z telefonów. Sekretarka w biurze w Marbelli dostała wiadomość z Ambasady Meksykańskiej w Madrycie. Proszono, by pani Mendoza zechciała przyjąć wysokiego urzędnika w bardzo pilnej sprawie. Jak pilnej, spytała Teresa. Nie powiedziano, brzmiała odpowiedź. Ale ten urzędnik już jest tutaj. W średnim wieku, dobrze ubrany. Bardzo elegancki. Na wizytówce jest napisane Héctor Tapia, sekretarz ambasady. Od piętnastu minut siedzi w hallu. Przyjechał w towarzystwie drugiego pana.

– Dziękujemy, że zechciała pani nas przyjąć.

Znała już Hectora Tapię. Spotkała go przelotnie przed kilkoma laty, kiedy załatwiała w Ambasadzie Meksyku w Madrycie jakieś formalności związane z jej podwójnym obywatelstwem. Krótka rozmowa w jednym z biur budynku przy Carrera de San Jerónimo. Kilka dość uprzejmych słów, podpisanie dokumentów, czas na papierosa i kawę, rozmowa bez znaczenia. Pamiętała, że był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, o wielkiej kulturze. Choć doskonale znał cały jej życiorys – a może właśnie dlatego – okazał ogromną uprzejmość, ograniczając biurokratyczne formalności do minimum. W ciągu blisko dwunastu lat był to jej jedyny kontakt z oficjalnymi meksykańskimi instytucjami.

– Pani pozwoli, że przedstawię pana Guillermo Rangela. Ze Stanów

Zjednoczonych.

Poruszał się niepewnie w niewielkiej sali konferencyjnej wyłożonej ciemnym drewnem orzechowym, jakby nie wiedział, czy znalazł się we właściwym miejscu. Amerykanin natomiast czuł się tu jak ryba w wodzie. Spojrzał przez otwarte okno na magnolie w ogrodzie, zerknął na angielski zegar na ścianie, oszacował jakość skóry na fotelach, rzucił okiem na cenny rysunek Diega Rivery – *Szkic do portretu Emiliana Zapaty* – wiszący w ramach na ścianie.

– Właściwie z pochodzenia jestem Meksykaninem, tak samo jak pani – powiedział z uprzejmym wyrazem twarzy, przyglądając się jeszcze portretowi wąsatego Zapaty. – Urodziłem się w Austin, w stanie Teksas. Moja matka była z Meksyku.

Mówił doskonale po hiszpańsku, używając słownictwa z północy kraju, jak oceniła Teresa. Lata praktyki. Ciemne włosy ostrzyżone na jeża, ramiona wojownika. Jasna koszulka polo i lekka marynarka. Ciemne, ruchliwe, uważne oczy.

– Pan Rangel – poinformował Héctor Tapia – ma pewne informacje, którymi chciałby się z panią podzielić.

Teresa poprosiła, żeby usiedli w fotelach ustawionych wokół wielkiej arabskiej tacy z kutej miedzi, zajęła miejsce obok nich i położyła na stole paczkę bisontów i zapalniczkę. Zdążyła wcześniej trochę poprawić swój wygląd – włosy zebrała w koński ogon srebrną spinką, włożyła ciemną jedwabną bluzkę, czarne dżinsy i mokasyny; zamszowa kurtka wisiała na poręczy fotela.

– Nie jestem pewna, czy te informacje mnie zainteresują – powiedziała.

Posrebrzane włosy dyplomaty, jego krawat i nieskazitelny garnitur kontrastowały z wyglądem Amerykanina. Tapia zdjął okulary w stalowych oprawkach i przyglądał się im ze zmarszczonymi brwiami, jakby nie był zadowolony ze stanu szkielec.

– Jestem pewien że tak. – Włożył okulary i spojrzał na nią przekonująco.

– Pan Guillermo...

Amerykanin wyciągnął dużą dłoń z krótkimi palcami.

– Willy. Możecie mówić do mnie Willy. Wszyscy tak mówią.

– Dobrze. Więc Willy pracuje na zlecenie rządu amerykańskiego.

– W DEA – dodał Amerykanin z pewnością siebie.

Teresa wyjmowała właśnie papierosa z paczki. Nawet nie drgnęła jej ręka.

– Przepraszam, gdzie?

Wsunęła papierosa do ust i sięgnęła po zapalniczkę, ale Tapia już pochylał się nad stołem, uważny, trzask, płomień do dyspozycji.

– W de-e-a – powtórzył Willy Rangel, starannie oddzielając głoski.

– Drug Enforcement Administration. Wie pani. Urząd do walki z narkotykami w moim kraju.

– Coś takiego! Co pan powie. – Teresa wypuściła kłęb dymu, patrząc na Amerykanina. – Widzę, że daleko się pan zapuścił. Nie wiedziałam, że pańska firma ma jakieś interesy w Marbelli.

– Pani tu mieszka.

– A co ja mam z tym wspólnego?

Patrzyli na nią bez słowa przez kilka sekund, a potem spojrzeli na siebie. Teresa zauważyła, że Tapia uniósł brwi z miną światowca. To twoja sprawa, kolego, znaczył ten wyraz jego twarzy. Ja jestem tu tylko dla towarzystwa.

– Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli – odezwał się Willy Rangel. – Nie przyjechałem tutaj z powodu pani obecnego sposobu zarabiania na życie. Ani ja, ani Héctor, który był tak miły, że zechciał mi towarzyszyć. Moja wizyta wiąże się ze sprawami, które wydarzyły się dawno temu...

– Przed dwunastoma laty – sprecyzował Héctor Tapia, jakby z oddali, z zewnątrz.

– I z tymi, które właśnie mają się wydarzyć. W pani stronach.

– W moich stronach, mówi pan.

– Właśnie.

Teresa popatrzyła na papierosa. Nie wypalę go do końca, mówiła jej mina. Tapia zrozumiał to doskonale i z niepokojem spojrzął na towarzysza. Do roboty, bo zaraz sobie pójdzie, ponaglał bez słów. Rangel najwyraźniej miał podobne wrażenie, bo przeszedł do sedna.

– Czy mówi pani coś nazwisko César Batman Güemes?

Trzy sekundy ciszy, dwa spojrzenia utkwione w Teresie. Wypuściła dym tak powoli, jak tylko potrafiła.

– Wyobraźcie sobie panowie, że nie. Nic.

Dwa spojrzenia się skrzyżowały. Potem znów pobiegły ku niej.

– Jednak – powiedział Rangel – znała go pani przed laty.

– To dziwne. W takim wypadku pewnie bym go sobie przypomniała, prawda? – Spojrzała na zegar na ścianie, jakby szukając grzecznego sposobu, żeby wstać i zakończyć rozmowę. – A teraz, jeśli panowie pozwolą...

Mężczyźni znów wymienili spojrzenia. Potem człowiek z DEA uśmiechnął się. Był to uśmiech szeroki, sympatyczny. Prawie dobrotliwy. W jego zawodzie, pomyślała Teresa, ktoś może się tak uśmiechać tylko po to, żeby zrobić na rozmówcach duże wrażenie.

– Niech mi pani poświęci jeszcze tylko pięć minut – powiedział Amerykanin. – Chciałbym pani coś opowiedzieć.

– Lubię tylko opowieści ze szczęśliwym zakończeniem.

– Tym razem zakończenie będzie zależało od pani.

I Guillermo Rangel, którego wszyscy nazywają Willy, zaczął opowiadać. DEA, wyjaśnił, nie jest oddziałem do zadań specjalnych. Do niej należy zbieranie danych policyjnych, utrzymywanie sieci konfidentów, opracowywanie szczegółowych raportów dotyczących produkcji, przemytu i rozprowadzania narkotyków, przypisanie nazw i nazwisk temu wszystkiemu i takie opracowanie każdego przypadku, żeby można go było przedstawić sądowi. Dlatego pracują tam agenci. Tacy jak on. Osoby, które przenikają do organizacji przemytniczych i działają w nich. Sam Rangel też tak pracował – najpierw w grupach meksykańskich emigrantów nad Zatoką Kalifornijską, a potem jako kontroler tajnych agentów w Meksyku, przez osiem lat, wyjąwszy okres czternastu miesięcy, kiedy wysłany został do Medellín, do Kolumbii, jako łącznik między jego agencją a wydziałem śledczym lokalnej policji, którego zadaniem było schwytanie i uśmiercenie Pablo Escobara. A swoją drogą to słynne zdjęcie zastrzelonego w Los Olivos handlarza narkotyków razem z ludźmi, którzy go zabili, zrobił osobiście sam Rangel. Teraz wisi oprawione w ramki na ścianie w jego biurze w Waszyngtonie.

– Nie wiem, co miałyby mnie interesować w tym wszystkim – zauważyła Teresa.

Zgasiła papierosa w popielniczce, bez pośpiechu, ale zdecydowana, żeby zakończyć tę rozmowę. Nie jest to pierwszy przypadek, kiedy policjanci,

agenci czy przemytnicy przychodzą opowiadać jej różne historie. Nie ma ochoty marnować czasu.

– Opowiadam pani – rzekł zwyczajnie Amerykanin – o mojej pracy, żeby pani знаła jej charakter.

– Znam świetnie. A teraz, proszę mi darować...

Wstała. Héctor Tapia też podniósł się automatycznie, zapinając marynarkę. Patrzył na swojego towarzysza, zmieszany i zaniepokojony. Ale Rangel nadal siedział spokojnie.

– Blondyn Dávila był agentem DEA – powiedział bez ogródek.

– Pracował dla mnie i dlatego został zabity.

Teresa spojrzała w inteligentne oczy Amerykanina, które wypatrywały efektu tych słów. Już dość teatru odstawiłeś, pomyślała. I starczy, chyba że masz jakąś ukrytą strzelbę. Miała ochotę roześmiać się w głos. Śmiechem spóźnionym o dwanaście lat, od czasu Culiacán w stanie Sinaloa. Pośmiertny żart Blondyna Dávili. Ale ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

– A teraz – powiedziała z zimną krwią – niech mi pan powie coś, czego bym wcześniej nie wiedziała.

Nawet go nie oglądaj, powiedział jej Blondyn Dávila. Nawet nie otwieraj tego notesu, maleńka. Zanieś go don Epifaniowi Vargasowi i wymień za swoje życie. Ale tamtego popołudnia w Culiacán Teresa nie potrafiła oprzeć się pokusie. Wbrew temu, co sądził Blondyn, ona też miała swoje myśli i uczucia. I była ciekawa, w jakie piekło została wpakowana. Dlatego na chwilę przedtem, zanim Kocur Fierros i Pote Gálvez pojawili się w mieszkaniu obok bazaru Garmendia, złamała reguły i przerzuciła strony skórzanego zeszytu, gdzie znajdowały się wszystkie klucze do tego, co się stało, i do tego, co jeszcze miało się stać. Nazwiska, adresy. Kontakty po obu stronach granicy. Miała czas, zdążyła jeszcze przyjrzeć się rzeczywistości, zanim wszystko się rozpadło, a ona sama zaczęła uciekać z coltem w dłoni, samotna i przerażona, wiedząc dokładnie, przed czym stara się uciec. Określił to krótko tej samej nocy sam don Epifanio Vargas. Twój chłopak, powiedział, zbyt lubił kalambury. Żarty, hazard. Ryzykowne zakłady dotyczące nawet jej samej. Teresa wiedziała to wszystko, kiedy szła na spotkanie w kapliczce Malverdego, trzymając w ręce notes, którego nie powinna była nigdy czytać, a który przeczytała,

przeklinając Blondyna za to, że wystawił ją na takie niebezpieczeństwo właśnie po to, żeby ją ocalić. Rozumowanie typowe dla pieprzonego gracza, który uwielbia ładować w paszczę lwa własną głowę i życie innych. Jeśli mnie wykończą, pomyślał cholerny sukinsyn, nie ma ratunku dla Teresy. Winna czy nie, takie są reguły. Ale jest pewien cień szansy: udowodnić, że działa w dobrej wierze. Bo Teresa nigdy nikomu nie oddałaby notesu, gdyby wiedziała, co jest w nim w środku. Przenigdy, gdyby wiedziała o niebezpiecznej grze człowieka, który zappełnił te strony śmiertcionośnymi notatkami. Przekazując go don Epifaniowi, opiekunowi Teresy i samego Blondyna, udawadniała swoją niewiedzę. Swoją niewinność. Nigdy by się na to nie odważyła, gdyby było inaczej. I tamtego popołudnia, siedząc na łóżku w mieszkaniu i przewracając kartki, które były równocześnie wyrokiem śmierci na nią i jedynym możliwym ratunkiem, Teresa przeklinała Blondyna, bo wreszcie zaczęła wszystko rozumieć. Wiedziała, że jeśli rzuci się do ucieczki od razu, nie ucieknie zbyt daleko. Trzeba było oddać notes i tym samym udowodnić, że się nie wie, co on zawiera. Musiała pohamować strach, który skręcał jej kiszki, i zachować spokój, i w swój głos włożyć tyle lęku, ile trzeba, i szczerze błagać człowieka, któremu Blondyn i ona sama ufali. Dziewczyna przemytnika, przestraszone zwierzątko. Ja nic nie wiem. Niech mi pan powie, don Epifanio, co takiego miałabym tam wyczytać. Dlatego nadal żyje. I dlatego teraz, w salce konferencyjnej jej biura w Marbelli, agent DEA Willy Rangel i sekretarz ambasady Héctor Tapia gapią się na nią z otwartymi ustami, jeden siedząc w fotelu, a drugi stojąc, z palcami na guzikach marynarki.

– I wiedziała pani o tym przez cały czas? – z niedowierzaniem spytał Amerykanin.

– Wiem od dwunastu lat.

Tapia opadł na fotel, tym razem zapominając, żeby rozpiąć guziki.

– Chryste Panie! – powiedział.

Dwanaście lat, pomyślała Teresa. Przeżyła jedną z tych tajemnic, które zabijają. Tamtej nocy w Culiacán, w kaplicy Malverdego, w duszącej atmosferze wilgotnego upału i dymu świec rozgrywała bez większej nadziei partię rozdaną przez jej zabitego chłopaka i wygrała. Ani jej głos, ani nerwy, ani strach nie zdradziły jej. Don Epifanio był dobrym

człowiekiem. I lubił ją. Lubił ich oboje, ale teraz, po otrzymaniu notesu, już wiedział – może wiedział to wcześniej, a może nie – że Raimundo Dávila Parra pracował dla agencji antynarkotykowej amerykańskiego rządu i z pewnością dlatego Batman Güemes kazał go wykończyć. W ten sposób podjąwszy szalony zakład i balansując na krawędzi, dokładnie tak, jak przewidział Blondyn, Teresa oszukała ich wszystkich. Wyobraziła sobie rozmowę, jaką musiał przeprowadzić don Epifanio następnego dnia. Ona nic nie wie. Myślicie, że przyniosłaby mi ten cholerny notes, gdyby cokolwiek wiedziała? Możecie ją zostawić. Właśnie. To była szansa jedna na sto, ale jej się udało i w ten sposób ocalała życie.

Willy Rangel patrzył teraz na Teresę bardzo uważnie i zarazem z pewnym szacunkiem, którego wcześniej w jego wzroku nie było. W takim razie, powiedział, proszę, niech pani znów usiądzie i wysłucha tego, co powiem. Proszę. W tej chwili jest to bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Teresa zawahała się przez moment, ale wiedziała, że Amerykanin ma rację. Rozejrzała się, spojrzała na zegar na ścianie, udając zniecierpliwienie. Dziesięć minut, powiedziała. Ani minuty więcej! Po tych słowach usiadła z powrotem i wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa. Tapia był tak zdumiony, że dopiero po dobrej chwili sięgnął po zapalniczkę i ruszył się z fotela, by podać jej ogień, i kiedy wreszcie podsunął jej płomień, mrużąc pod nosem słowa przeprosin, ona zdążyła już zapalić sobie sama.

I wówczas człowiek z DEA opowiedział prawdziwą historię Blondyna Dávili.

Raimundo Dávila Parra pochodził z San Antonio w stanie Teksas. Był Meksykaninem. Obywatelstwo amerykańskie od dziewiętnastego roku życia. We wczesnej młodości znajdował się po przeciwnej stronie barykady, handlował narkotykami, przemycając niewielkie ilości marihuany przez granicę, a potem, kiedy przyłapano go z pięcioma kilogramami trawy w San Diego, został zwerbowany do współpracy z agencją do walki z narkotykami. Świetnie się do tego nadawał, uwielbiał ryzyko i silne emocje. Odważny, zimny pomimo pozornej ekstrawersji, po okresie szkolenia, który częściowo spędził w jednym z więzień na północy – umieszczono tam chłopaka na jakiś czas, żeby

uwiarygodnić go w środowisku – został wysłany do Sinaloa z misją wniknięcia do sieci transportowej kartelu z Juárez, w którym miał starych znajomych. Lubił tę pracę. Lubił pieniądze. Lubił też latać, odbył szkolenie w DEA, a potem, żeby nie wzbudzać podejrzeń, zrobił kurs pilotażu w Culiacán. Przez kilka lat działał w środowisku przemytników narkotyków, pracując w Norteña de Aviación najpierw jako zaufany człowiek don Epifania Vargasa, z którym przeprowadzał wielkie operacje transportu powietrznego dla Pana Niebios, a potem jako pilot Cesara Batmana Güemesa. Willy Rangel był jego kontaktem. Poza kilkoma zupełnie wyjątkowymi przypadkami nigdy nie rozmawiali przez telefon. Umawiali się raz w miesiącu, w dyskretnych hotelach w Mazatlanie albo w Los Mochis. I wszystkie najważniejsze informacje na temat kartelu z Juárez, które DEA uzyskała w tym czasie, łącznie z przebiegiem brutalnych walk o władzę, jakie stoczyli meksykańscy handlarze, kiedy uniezależnili się od kolumbijskich mafii, pochodziły z tego samego źródła. Blondyn wart był tyle koki, ile sam ważył.

W końcu został zabity. Formalny pretekst był prawdziwy: lubił nadprogramowe ryzyko, wykorzystywał podróże awionetką do transportu własnych narkotyków. Lubił grać na wielu frontach, a na dodatek jego krewny, Chino Parra, był zamieszany w podejrzane interesy. DEA z grubsza znała te wszystkie sprawy, jednak Dávila był cennym agentem i patrzono na to przez palce. W końcu handlarze narkotyków wyrównali rachunki. Przez jakiś czas Rangel zastanawiał się, czy Blondyna wykończyli za to, że prowadził na boku własne interesy, czy też dlatego, że ktoś go wydał. Trzy lata zajęło mu dotarcie do prawdy. Pewien Kubańczyk zatrzymany w Miami, pracujący dla ludzi z Sinaloa, skorzystał z ustawy o świadku koronnym i swoimi rewelacjami wypełnił osiemnaście godzin nagrań magnetofonowych. Opowiedział, że Blondyna Dávilę zabito, ponieważ został zdemaskowany. Głupi błąd: wysoki urzędnik celny z El Paso przypadkiem dotarł do pewnej tajnej informacji i za osiemdziesiąt tysięcy dolarów sprzedał ją handlarzom narkotyków. Ci skojarzyli fakty, nabrali podejrzeń i dotarli do Blondyna.

– Przewożenie własnych narkotyków – zakończył Rangel – było tylko pretekstem. Chcieli się go pozbyć. Najciekawsze jest jednak to, że ci,

którzy go zabili, nie wiedzieli, że jest naszym agentem.

I zamilkł. Teresa jeszcze się nad tym zastanawiała.

– Skąd ta pewność?

Amerikanin pokiwał głową. Profesjonalista.

– Od czasów śmierci agenta Camareny handlarze narkotyków wiedzą, że my nie wybaczymy zabijania naszych ludzi. Jesteśmy wytrwali i dbamy, żeby winni trafili za kratki, jeśli nie zginą wcześniej. Oko za oko. Taka jest zasada. A jeśli oni są w czymś dobrzy, to właśnie w rozumieniu zasad i kodeksów.

Jego głos brzmiał teraz inaczej. Jesteśmy bardzo nieprzyjemnymi wrogami, znaczył ten ton. Można się po nas spodziewać najgorszego. Mamy dolary i cholernie dużo wytrwałości.

– Blondyna jednak zabili, zabili na śmierć.

– No tak. – Rangel znów pokiwał głową. – Dlatego mówię, że ten, kto bezpośrednio wydał polecenie, żeby zastawić pułapkę w Espinazo del Diablo, nie wiedział, że ofiara jest naszym agentem... Może jednak jego nazwisko przypomni się pani, choć przed chwilą nic ono pani nie mówiło: César Batman Güemes.

– Nie pamiętam.

– Jasne. Mimo wszystko mam podstawy, by panią zapewnić, że jego rola ograniczyła się do wykonania zlecenia. Ten dupek chce pracować na własną rękę, powiedziano mu. Warto byłoby dać mu nauczkę. Mamy informację, że Batmana Güemesa długo trzeba było do tego namawiać. Najwyraźniej lubił Blondyna Dávilę... W Sinaloa obowiązek stoi jednak na pierwszym miejscu.

– A kto, pana zdaniem, dał to zlecenie i chciał śmierci Blondyna?

Rangel podrapał się po nosie, spojrzał na Tapię, a potem znów na Teresę i uśmiechnął się krzywo. Siedział na krawędzi fotela, opierając dłonie na kolanach. Nie wyglądał już dobrotliwie. Teraz, stwierdziła Teresa, zachowuje się jak pies myśliwski, złośliwy i pamiętliwy.

– Następny człowiek, którego pani zapewne nie pamięta... Obecny deputowany ze stanu Sinaloa i przyszły senator, Epifanio Vargas Orozco.

Teresa oparła się plecami o ścianę i patrzyła na nielicznych klientów, którzy o tej porze pili w Olde Rock. Często tak było, że potrafiła bardziej

się nad czymś skupić, kiedy znajdowała się pośród nieznanym, których obserwowała, niż kiedy była sam na sam z tą drugą kobietą, którą zawsze ze sobą ciągnęła. W drodze powrotnej do Guadalminy powiedziała nagle Pote Galvezowi, żeby skręcił i pojechał do Gibraltaru; a kiedy minęli granicę, prowadziła rewolwerowca wśród wąskich uliczek, aż wreszcie kazała mu zaparkować przed białą fasadą niewielkiego angielskiego baru, gdzie często chodziła kiedyś – w innym życiu – razem z Santiago Fisterrą. Wewnątrz wszystko wyglądało identycznie: tarcze z metalowymi napisami i dzbany pomiędzy belkami podtrzymującymi strop, ściany pokryte zdjęciami statków, historycznymi rycinami i marynarskimi pamiątkami. Zamówiła przy barze fostersa, piwo, które zawsze pijał Santiago, kiedy tu przychodzili, i nie próbując go nawet, usiadła przy tym samym stoliku co zawsze, obok wejścia, pod obrazkiem przedstawiającym śmierć angielskiego admirała – teraz już wiedziała, kim był ten Nelson i co zwojował w Trafalgarze. Ta druga Teresa Mendoza obserwowała ją z daleka uważnie. Musiała odreagować to wszystko, co właśnie usłyszała, i co uzupełniało jej wiedzę, jej, i tej drugiej, o wszystkich tych wydarzeniach, które doprowadziły ją tu, gdzie teraz była, i co pomogło jej zrozumieć, jak do nich doszło. A teraz wiedziała nawet dużo więcej, niż sądziła, że wie.

Było mi bardzo miło, brzmiała jej odpowiedź. Wyrzekła właśnie te słowa, kiedy człowiek z DEA i dyplomata z ambasady powiedzieli jej to wszystko, co mieli jej do powiedzenia, i patrząc na nią, czekali na reakcję. Panowie oszaleli, było mi bardzo miło, do widzenia. Widziała, że odchodzą rozczarowani. Może spodziewali się jakiegoś komentarza, obietnicy. Zobowiązań. Ale jej twarz bez wyrazu i obojętne zachowanie nie dały im żadnej nadziei. Nie ma mowy. Posłała nas na drzewo, powiedział Héctor Tapia cicho, kiedy odchodzili, jednak nie dość cicho, żeby tego nie usłyszała. Mimo nienagannych manier dyplomata nie potrafił ukryć przygnębienia. Proszę się dobrze zastanowić, powiedział drugi mężczyzna na pożegnanie. Jakoś nie wiem, odpowiedziała, kiedy już mieli zamknąć za sobą drzwi, nad czym niby miałabym się zastanawiać. Sinaloa leży daleko stąd. Przepraszam panów.

Teraz siedziała w gibraltarskim barze i zastanawiała się nad tym wszystkim. Przypominała sobie, słowo po słowie, i porządkowała

w myślach, wszystko, co powiedział Willy Rangel. Historię don Epifania Vargasa. Historię Blondyna Dávila. Jej własną historię. Były szef Blondyna, powiedział Amerykanin, sam don Epifanio, dowiedział się o jego związkach z DEA. W pierwszym etapie swojej działalności jako właściciel Norteña de Aviación Vargas wynajmował samoloty firmie Southern Air Transport, która była przykrywką dla działalności północnoamerykańskiego rządu, kiedy CIA, transportując broń i narkotyki, finansowała partyzantkę *contras* w Nikaragui; i sam Blondyn Dávila, który w tym czasie pracował już jako agent DEA, był jednym z pilotów dostarczających materiały wojskowe na lotnisko Los Llanos w Kostaryce, skąd wracali do Fort Lauderdale na Florydzie z narkotykami kartelu z Medellín. Kiedy to wszystko się skończyło, Epifanio Vargas zachował dobre układy po tamtej stronie i dzięki temu mogła do niego później dotrzeć informacja od urzędnika celnego, który wydał Blondyna. Vargas zapłacił za ten donos i na jakiś czas zachował wiadomość dla siebie, nie podejmując żadnej decyzji. Stary mafioso z gór, dawny cierpliwy wieśniak z San Miguel de los Hornos, należał do ludzi, którzy nigdy nie działają pochopnie. Trzymał się na uboczu narkobiznesu, miał już inną specjalność, pomyślnie rozwijał działalność w przemyśle farmaceutycznym, a prywatyzacja państwowych przedsiębiorstw w tych latach pozwoliła mu wyprać ogromny kapitał. Zamieszkał z rodziną na wielkim ranczu położonym w pobliżu El Limón, na które zamienił dom w dzielnicy Chapultepec w Culiacán, a swoją kochankę, znaną była modelką i telewizyjną spikerkę, umieścił w luksusowym apartamencie w Mazatlán. Nie widział powodu, aby komplikować sobie życie decyzjami, które mogłyby mu zaszkodzić, nie przynosząc innej korzyści jak zaspokojenie żądzy zemsty. Blondyn pracował teraz dla Batmana Güemesa, a to już nie była sprawa Epifania Vargasa.

Jednak, mówił dalej Willy Rangel, sprawy zaczęły się komplikować. Vargas zarobił fortunę na interesie z efedryną: pięćdziesiąt tysięcy dolarów za kilo w Stanach Zjednoczonych wobec trzydziestu za kokainę i ośmiu za marihuanę. Miał rozliczne stosunki, co otwierało przed nim perspektywę działalności politycznej; nadszedł właściwy moment, żeby zbierać zyski z sum – pół miliona miesięcznie – które przez lata

przeznaczał na przekupywanie urzędników administracji. Miał przed sobą widok na spokojną przyszłość i godną szacunku działalność, daleką od niepewności jutra w poprzednim biznesie. Kiedy utrwalił związki – oparte na korupcji bądź dzieleniu się zyskami – z najważniejszymi rodzinami w mieście i w stanie, miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby powiedzieć dosyć, mógł też nadal zarabiać, ale pracując w sposób konwencjonalny. Wtedy naraz podejrzenie szybko zaczęli umierać ludzie związani z nim w przeszłości – policjanci, sędziowie, adwokaci. Osiemnaście osób w ciągu trzech miesięcy. Wyglądało to na epidemię. I na takim tle postać Blondyna też była balastem – zbyt dużo wiedział o bohaterskich czasach Norteña de Aviación. Agent DEA był tą niebezpieczną bombą z przeszłości, która mogła wysadzić w powietrze wszystkie jego plany na przyszłość.

Ale Vargas jest sprytny, stwierdził Rangel. Bardzo sprytny. Ma tę swoją chłopską przebiegłość, która zaprowadziła go tam, gdzie jest obecnie. I przerzucił robotę na tego drugiego, nie zdradzając mu powodów. Batman Güemes nigdy nie zabiłby agenta DEA; ale pilot samolotu, który działa na własną rękę, oszukuje pracodawców to tu, to tam, to inna sprawa. Vargas przekonał Batmana: powinieneś go przykładowo ukarać i tak dalej. Jego i jego kuzyna. Żeby zniechęcić wszystkich, którzy mieliby ochotę na podobne biznesy. Ze mną też ma trochę nierozliczonych rachunków, potraktuj to więc również jako osobistą przysługę. Poza tym teraz ty jesteś jego szefem. Cała odpowiedzialność spoczywa na tobie.

– Od kiedy o tym wiecie? – spytała Teresa.

– Częściowo od dawna, niemal od kiedy się to stało. – Mężczyzna z DEA gestem rąk podkreślił oczywistość swojej odpowiedzi. – A resztę od jakichś dwóch lat, kiedy świadek koronny poinformował nas o szczegółach... Powiedział jeszcze więcej – przerwał, patrząc na nią uważnie, jakby oczekiwał na wyjaśnienie jakiejś tajemnicy. – Że później, kiedy pani pozycja zaczęła rosnąć po tej stronie Atlantyku, Vargas żałował, że pozwolił pani ujść z życiem z Sinaloa. I przypomniał Batmanowi Güemesowi, że ma jeszcze pewne niezłatwione sprawy w swoim kraju... A ten wysłał dwóch płatnych morderców, żeby dokończyli robotę.

To twoja wersja, mówiła nieprzenikniona twarz Teresy. Sam chcesz mi ją opowiedzieć.

– Coś takiego! I co się stało?

– To pani mogłaby nam opowiedzieć. Nigdy więcej nikt o nich nie słyszał.

Héctor Tapia włączył się taktownie:

– Pan chciał powiedzieć, że nie słyszano więcej o jednym z nich. Drugi podobno został z panią. Wycofał się z zawodu. Albo prawie się wycofał.

– I dlaczego mówicie mi panowie o tym wszystkim?

Rangel spojrział wymownie na dyplomatę: teraz twoja kolej. Tapia znów zdjął okulary i włożył je z powrotem. Potem zaczął się przyglądać swoim paznokciom, jakby na nich miał spisane notatki.

– W ostatnich czasach – powiedział – Epifanio Vargas zaczął robić szybką karierę polityczną. Bez przeszkód. Wielu ludzi dużo mu zawdzięcza. Wielu kocha go lub się go boi, a niemal wszyscy szanują. Był na tyle sprytny, żeby wycofać się z bezpośredniej współpracy z kartelem z Juárez, zanim ten zaczął mieć poważne kłopoty z wymiarem sprawiedliwości, kiedy to konkurencji znad całej Zatoki Meksykańskiej została wypowiedziana otwarta wojna. W rozwój jego kariery zaangażowani są sędziowie, przedsiębiorcy i politycy, a także hierarchowie meksykańskiego Kościoła, policja i wojsko, łącznie z generałem Gutierrezem Rebollo, który już miał otrzymać stanowisko szefa urzędu do walki z narkotykami, kiedy naraz odkryto jego powiązania z kartelem z Juárez i wylądował za kratkami więzienia w Almoloi. W swoim czasie był bliskim przyjacielem Epifania Vargas. Poza tym w grę wchodzi jeszcze wizerunek publiczny – od kiedy został deputowanym ze stanu Sinaloa, Epifanio Vargas wiele zrobił dla swoich wyborców, zainwestował duże pieniądze, stworzył miejsca pracy, pomagał ludziom.

– Nie ma w tym nic złego – przerwała Teresa. – W Meksyku jest normą, że ci, którzy okradają państwo, wszystko zatrzymują dla siebie. PRI przez siedemdziesiąt lat w ten sposób sprawowała władzę.

Są jednak pewne różnice, zauważył Tapia. W tej chwili nie rządzi już PRI. Warunki są inne. Być może niewiele się zmieni, jednak niewątpliwie widać jeszcze chęć zmian. I właśnie w tej chwili Epifanio

Vargas jest o krok od uzyskania nominacji na senatora republiki.

– I ktoś chce mu pokazać figę – podsumowała Teresa.

– Właśnie. To chyba trafne określenie. Z jednej strony chodzi o ważne siły polityczne, związane z rządem, które nie chcą widzieć w senacie republiki handlarza narkotyków ze stanu Sinaloa, nawet jeśli formalnie już się wycofał i aktualnie jest deputowanym. Są też stare rachunki, których nie będziemy tutaj wymieniać.

Teresa mogła sobie owe rachunki doskonale wyobrazić. Wszyscy ci dranie zamieszani w brudne wojny o władzę i pieniądze, kartele narkotykowe i przyjaciele odpowiednich karteli, i najróżniejsze ugrupowania polityczne, związane lub nawet te niezwiązane z handlem narkotykami. Ktokolwiek by rządził. Meksyk piękny jak zawsze.

– Z drugiej zaś strony – stwierdził Rangel – my nie zapominamy, że kazał zabić agenta DEA.

– Właśnie. – To włączenie się Rangela zdawało się dla Tapii ulgą.

– Rząd Stanów Zjednoczonych, który, jak pani wie, uważnie śledzi życie polityczne naszego kraju, niechętnie widziałby kogoś takiego jak Epifanio Vargas na stanowisku senatora... Podjęto próby powołania wysokiej komisji, która miałaby działać w dwóch fazach. Najpierw będzie wszczęte śledztwo mające na celu wyjaśnienie przeszłości deputowanego. Kiedy już zostaną zebrane niezbędne dowody, komisja wystąpi z wnioskiem o pozbawienie go immunitetu i odsunięcie od działalności politycznej, w końcu stanie przed sądem.

– Potem – dodał Rangel – nie wykluczamy możliwości wystąpienia o jego ekstradycję do Stanów Zjednoczonych.

A co ja mam wspólnego z tym całym burdelem, chciała wiedzieć Teresa. Po co ten pański przyjazd tutaj i snucie opowieści, jakbyśmy byli starymi kumplami. Wtedy Rangel i Tapia znów spojrzeli po sobie, dyplomata odchrząknął i wyjmując papierosa ze srebrnej papierošnicy – wcześniej chciał poczęstować Teresę, która odmówiła ruchem głowy – powiedział, że meksykański rząd uważnie przypatrywał się, hm... karierze pani Teresy Mendozy w ostatnich latach. Nie ma nic przeciwko niej, bo działalność rozwijała, o ile wiadomo, poza terytorium Meksyku – przykładna obywatelka, dodał Rangel od siebie, z powagą tak wielką, że zatarła ironię jego słów. – I biorąc to wszystko pod uwagę,

odpowiednie władze są gotowe szukać porozumienia. Układu, który byłby dla wszystkich zadowalający. Współpraca w zamian za nietykalność.

Teresa przyglądała się im. Nieufnie.

– Jaka współpraca?

Tapia zapalił z namysłem papierosa. Z tym samym namysłem rozważał to, co miał za chwilę powiedzieć. Czy raczej sposób, w jaki miał to powiedzieć.

– Pani ma tam osobiste porachunki. Poza tym sporo pani wie o czasach Blondyna Dávili i działalności Epifania Vargasa – wreszcie się zdecydował. – Miała pani szczęście być świadkiem tych zdarzeń i fakt ten niemal przypłaciła pani życiem... Są tacy, którzy uważają, że takie załatwienie spraw mogłoby okazać się dla pani korzystne. Ma pani wystarczające środki, żeby zająć się innymi rodzajami działalności, cieszyć się tym, co pani posiada, i nie martwić się o przyszłość.

– Co pan powie.

– To, co pani słyszy.

– Coś takiego! I czemu zawdzięczam taką wspaniałomyślność?

– Nigdy nie przyjmuje pani zapłaty w narkotykach. Wyłącznie w pieniądzu. Jest pani organizatorem transportu, a nie właścicielem narkotyków czy ich dystrybutorem. Przewoźnikiem, największym w tej chwili w całej Europie, bez wątpienia, ale tylko przewoźnikiem, nic więcej... To pozostawia nam rozsądny margines manewru wobec opinii publicznej.

– Opinia publiczna? O czym pan mi tu do cholery opowiada?!

Dyplomata zwlekał chwilę z odpowiedzią. Teresa mogła usłyszeć oddech Rangela – człowiek z DEA poruszył się niespokojnie na krześle i splótł palce obu rąk.

– Proponujemy pani możliwość powrotu do Meksyku, jeśli pani miałaby ochotę – ciągnął Tapia – lub dyskretnego urzędzenia się, gdziekolwiek pani zechce... Władze hiszpańskie również były w tej sprawie sondowane: Ministerstwo Sprawiedliwości zobowiązało się do zamrożenia wszczętych śledztw i postępowań... które, według moich informacji, są bardzo zaawansowane i już w niedługim czasie mogą postawić, hm... Królową Południa w bardzo trudnej sytuacji... Jak to się

mówi tutaj, proponujemy grubą kreskę.

– Nie wiedziałam, że rząd amerykański ma aż tak długie ręce.

– Zależy od sprawy.

Wtedy Teresa się roześmiała.

– Proście mnie, panowie – powiedziała, ciągle nie dowierzając temu, co od nich usłyszała – żebym opowiedziała wszystko, co według was mogłabym wiedzieć o Epifaniu Vargasie. Żebym została donosicielem. W moim wieku. I wiedząc, że pochodzę z Sinaloa.

– Nie tylko żeby pani wszystko opowiedziała – odezwał się Rangel.

– Ale żeby pani opowiedziała to tam.

– To znaczy gdzie?

– Przed komisją powołaną przez meksykańską Generalną Prokuraturę Republiki.

– Chce pan powiedzieć, że miałabym zeznawać w Meksyku?

– W charakterze świadka koronnego. Na warunkach całkowitej nietykalności. Złożyłaby pani zeznania na terenie Dystryktu Federalnego, mając zapewnione wszelkie gwarancje prawne i osobiste. I wdzięczność narodu oraz rządu Stanów Zjednoczonych.

Teresa nagle się podniosła. Był to odruch, a nie wynik namysłu. Tym razem wstali obaj mężczyźni równocześnie – zaskoczony Rangel, skrępowany Tapia. Uprzedzałem cię, mówiła mina dyplomaty, kiedy wymieniał kolejne spojrzenie z agentem DEA. Teresa podeszła do drzwi i otworzyła je gwałtownie. Pote Gálvez stał za nimi w korytarzu, z rękami nieco oddalonymi od tułowia, myśląco niezgrabny przy swojej tuszy. Jeśli będzie trzeba, powiedziało mu jej spojrzenie, wyrzuć ich za drzwi.

– Panowie – niemal wypluwała słowa – chyba oszaleli!

A teraz siedziała przy stoliku w starym gibraltarskim barze, zastanawiając się nad tym wszystkim. Maleńkie życie kiełkowało w jej brzuchu, a ona sama nie wiedziała, co z nim zrobić. W głowie jeszcze brzmiało jej echo niedawnej rozmowy. Zastanawiała się nad swoimi wrażeniami. Nad ostatnimi słowami i dawnymi wspomnieniami. Nad bólem i nad wdzięcznością. Nad obrazem Blondyna Dávili przy stoliku baru w Culiacán – nieruchomego i milczącego, tak samo jak ona teraz – i nad wspomnieniem innego mężczyzny, siedzącego z nią w środku

nocy w kapliczce Świętego Malverdego. Twój Blondyn lubił kalambury, Teresita. Naprawdę niczego nie przeczytałaś? No to uciekaj i staraj się ukryć na tyle głęboko, żeby nikt cię nie znalazł. Don Epifanio Vargas. Prawie jej ojciec. Człowiek, który mógł ją zabić, ale zlitował się nad nią. A potem pożałował tego, ale już nie mógł nic zrobić.

Teo Aljarafe wrócił dwa dni później z satysfakcjonującym sprawozdaniem. Wpłaty dotarły punktualnie na Kajmany, dopełnił wszelkich formalności, aby zostali właścicielami niewielkiego banku i towarzystwa żeglugowego w Belize, a czyste już teraz pieniądze umieścił na wysoko oprocentowanych rachunkach w trzech bankach w Zurychu i dwóch w Lichtensteinie. Teresa uważnie wysłuchała jego relacji, przejrzała dokumenty, podpisała kilka papierów po ich wnikliwej lekturze, a potem poszli na kolację do Casa Santiago przy nadmorskim bulwarze w Marbelli; Pote Gálvez siedział na zewnątrz, przy jednym ze stolików na tarasie. Bób z szynką i pieczone małe langusty, lepsze i bardziej soczyste niż homary. Wino Señorío de Lazán, reserva 96. Teo był rozmowny, sympatyczny. Przystojny. Marynarka na oparciu krzesła, rękawy białej koszuli dwukrotnie wywinięte na opalonych przedramionach, nadgarstki silne, lekko owłosione, zegarek Patek Philippe, wypolerowane paznokcie, obrączka lśniąca na lewej ręce. Czasem odwracał swój nieskazitelny profil hiszpańskiego orła i z kieliszkiem albo widelcem zawieszonym w powietrzu spoglądał w kierunku ulicy, obserwując gości wchodzących do lokalu. Dwa razy podniósł się, żeby przywitać się z nowymi gośćmi. Tomás Pestaña, który siedział w głębi z grupą niemieckich inwestorów, pozornie nie zauważył ich przyjscia, jednak po chwili kelner przyniósł do ich stolika butelkę wina. To od pana burmistrza, powiedział. Wraz z pozdrowieniami.

Teresa patrzyła na siedzącego naprzeciwko mężczyznę i zastanawiała się. Nie powie mu ani dzisiaj, ani jutro, ani być może nigdy, co nosi w brzuchu. Swoją drogą było to dziwne: na początku myślała, że wkrótce poczuje fizyczną świadomość życia, które zaczyna się w niej rozwijać. Ale nie czuła niczego. Poza pewnością tego faktu i refleksjami, do których owa pewność ją skłaniała. Może nieco urosły jej piersi, zniknęły też bóle głowy, jednak to, że jest w ciąży, czuła tylko wtedy, kiedy się nad tym zastanawiała albo czytała kolejny raz diagnozę lekarską, czy też stwierdzała w kalendarzu, że już dwukrotnie nie miała okresu. Jednak – myślała w tej chwili, słuchając banalnej gadaniny Teo

Aljarafego – stało się. Jestem w ciąży jak zwyczajna panienska. Z czymś, albo kimś, w drodze na świat, a ja nie mogę podjąć decyzji, co zrobić ze swoim pieprzonym życiem i z życiem tego stworzenia, które jeszcze nie jest niczym, ale będzie kimś, jeśli mu pozwolę – spojrzała uważnie na Teo, jakby szukała jakiegoś decydującego znaku. Albo z jego życiem.

– Są jakieś nowe sprawy? – spytał Teo cichym głosem, jakby nieuważnie, pomiędzy dwoma łykami wina od burmistrza.

– W tej chwili nic specjalnego. Rutyna.

Na koniec zaproponował, żeby pójść do mieszkania na ulicy Ancha albo do któregoś z lepszych hoteli w Milla de Oro i spędzić tam resztę popołudnia i noc. Butelka, talerz suszonej szynki. Bez pośpiechu. Ale Teresa pokręciła odmownie głową. Jestem zmęczona, powiedziała, przeciągając przedostatnią sylabę. Dziś nie mam ochoty.

– I tak już od blisko miesiąca – zauważył Teo.

Uśmiechał się. Atrakcyjny. Spokojny. Dotknął jej palców z czułością, a ona zaczęła się przyglądać własnej ręce leżącej nieruchomo na obrusie, tak jakby wcale nie należała do niej. Tą ręką, pomyślała, strzeliłam w twarz Kocurowi Fierrosowi.

– Co słyhać u twoich córek?

Spojrzał na nią zaskoczony. Teresa nigdy nie pytała go o rodzinę. Było to swego rodzaju milczące porozumienie między nimi, o którym zawsze pamiętała. Wszystko dobrze, odpowiedział po chwili. Bardzo dobrze. No to świetnie, przytaknęła. Cieszę się, że u nich wszystko dobrze. U ich mamy też, prawda? U wszystkich trzech.

Teo odłożył łyżeczkę na talerzyk i pochyliwszy się nad stołem, popatrzył na nią uważnie. Co się dzieje, spytał. Powiedz, co ci się dzisiaj stało. Rozejrzała się wokół, popatrzyła na ludzi przy stołach, na samochody jadące aleją oświetloną słońcem, które zaczynało już zachodzić nad morzem. Nic mi się nie stało, odpowiedziała, ścisząc jeszcze głos. Ale okłamałam cię, dodała po chwili. Jest nowa sprawa. Coś, o czym ci jeszcze nie mówiłam.

– Dlaczego?

– Bo nie zawsze mówię ci wszystko.

Popatrzył na nią z troską. Nienaganna szczerłość w oczach. Prawie dokładnie pięć sekund, a potem skierował wzrok na ulicę. Kiedy

ponownie na nią spojrzął, uśmiechał się lekko. Był bardzo przystojny. Znów dotknął jej ręki, a ona i tym razem jej nie cofnęła.

– To coś większego?

No dobra, pomyślała Teresa. Takie już jest to pieprzone życie i każdy sam kieruje własnym losem. Prawie zawsze decydujący krok należy do ciebie. Na dobre i na złe.

– Tak – odpowiedziała. – Mamy w drodze statek. Nazywa się „Luz Angelita”.

Ściemniło się. Świerszcze grały w ogrodzie jak oszalałe. Kiedy zapaliły się światła, Teresa poleciała wyłączyć je, siedziała na schodach ganku, oparta plecami o filar, patrząc na gwiazdy nad gęstymi, czarnymi koronami wierzb. Na kolanach trzymała butelkę tequili z nietkniętą banderolą. Z niskiego stolika między fotelami dobiegała z wieży stereo meksykańska muzyka. Z Sinaloa. Nagrania, które pożyczył jej Pote Gálvez tego popołudnia – niech pani posłucha, szefowo, to najnowsze kawałki Broncos de Reynosa, które mi stamtąd przysłali, i powie mi pani, czy się podobają.

Kulała klacz, bo dźwigała

Ładunek po jednej stronie.

Zwoziła z gór tu w Chihuahua

Trawy najlepszej worek.

Powoli dzięki swojemu ochroniarzowi wzbogacała kolekcję *corridos*. Najbardziej podobały jej się te okrutne i brutalne; dlatego, mówiła poważnie, że kołły jej nostalgię. Każdy jest stąd, gdzie się rodzi, i nie ma wyjścia. Podobała jej się cała muzyka z północy Meksyku, od Chalino – to, proszę pani, najwięksi artyści – po Exterminadora, Invasores de Nuevo León, As de la Sierra, El Moreño, Broncos, Huracanes i pozostałe ostre grupy z Sinaloa i stanów północnych, ci, którzy przerabiali gazetową kronikę kryminalną na muzykę, pisali piosenki o przemyśle, zabitych, strzelaninach, ładunkach koki, samolotach Cessna i przekrętach, policji federalnej, płótkach, grubych rybach i pogrzebach. Piosenki *narcos*, podobnie jak *corridos* w okresie rewolucji meksykańskiej, były epiką swoich czasów, współczesną legendą Meksyku, który wciąż był taki sam i nie miał wcale zamiaru się zmieniać, choćby dlatego, że spora część ekonomii kraju zależała

właśnie od narkobiznesu. Twardy świat marginesu, broń, korupcja i narkotyki, gdzie jedynym prawem, którego się nie łamie, jest prawo popytu i podaży.

Tu zginął Juan el Grande

Bo musiał bronić swych ludzi.

Położył klacz pierwszym strzałem,

Przy drugim zginął porucznik.

Ładunek po jednej stronie – tak nazywała się ta piosenka. To tak samo jak u mnie, pomyślała Teresa. Na okładce płyty Broncos de Reynosa chłopcy stali, trzymając się za ręce, a u jednego z nich pod marynarką można było zauważyć ogromną spluwę przy pasie. Słuchając tych piosenek, Teresa obserwowała Pote Galveza. Nadal spotykali się czasami przy kieliszku. Cześć, Pinto, może byś wpadł na tequilę. I siedzieli we dwoje, milcząc, słuchając muzyki, zbir zachowywał pełen szacunku dystans, a Teresa widziała, jak kiwa głową i mlaska, po swojemu przeżywa i wspomina Don Quijote i La Ballenę, i inne knajpy w Culiacán, których wspomnienie błąkało się gdzieś w zakamarkach jego pamięci, może też tęskni za swoim kumplem Kocurem Fierrosem, z którego zostały już tylko kości wtopione w beton daleko od swoich stron, i nikt nie przyniesie mu kwiatków na grób i nikt nie ułoży *corrido* na cześć tego cholernego sukinsyna. Pote Gálvez i Teresa ani razu nie wspomnieli Kocura Fierrosa choćby słowem, nigdy.

Kiedy Lamberto Quintero

Jepeem odjeżdżał sprzed domu

Zerknął we wsteczne lusterko

I ujrział samochód wrogów.

Z wieży dobiegało teraz *corrido* o Lamberto Quintero, które – obok piosenki o Białym Koniu José Alfredo – Pote Gálvez lubił najbardziej. Teresa dostrzegła cień rewolwerowca, który podszedł do drzwi, rozejrzał się wokół i znów zniknął w pokoju. Wiedziała, że jest w pobliżu, zawsze w zasięgu jej głosu, i uważnie słucha. Pani by już miała *corridos* o sobie na pęczki, gdyby pani mieszkała u nas w Meksyku, szefowo, powiedział kiedyś przy jakimś innym temacie. Nie dodał: może i ja bym się w paru pojawił, ale Teresa wiedziała, że tak myślał. Tak naprawdę, stwierdziła, zrywając banderolę z butelki Herradura Reposado, wszystkim

mężczyznom o to właśnie chodzi. Tak samo Blondynowi Dávili. I na swój sposób Santiago Fisterze. Żeby zostać bohaterem tekstu *corrido*, prawdziwego albo wymyślnego; muzyka, wino, kobiety, pieniądze, życie i śmierć, choćby i za cenę własnej głowy. I nigdy nic nie wiadomo, pomyślała naraz, patrząc na drzwi, w których przed chwilą pojawił się ochroniarz. Nigdy nie wiadomo, Pinto. Bo *corrido* o tobie zawsze piszą inni.

Kiedy ochroniarz powiedział:

„Śledzą nas ponure typy”,

Usłyszał śmiech don Lamberta:

„Dlatego mam karabiny”.

Napiła się prosto z butelki. Długi łyk, który przepłynął jej przez gardło błyskawicznie, podniosła butelkę nieco w górę, z sarkastycznym grymasem, jakby częstowała kobietę, która obserwowała ją z mroków ogrodu. Cholerna suko, dlaczego nie zostałam w Culiacán, ja już czasami nie wiem, czy to ty przyjechałaś do mnie, czy to ja tam byłam u ciebie, czy też zamieniałyśmy się rolami w tej całej dziwnej farsie i może to ty siedzisz na ganku tego domu, a ja z ciemności obserwuję ciebie i to, co nosisz w swoim brzuchu. Rozmawiała o tym jeszcze raz – i czuła, że ostatni – z Olegiem Jaszykowem tego wieczoru, gdy Rosjanin przyszedł do niej, żeby się dowiedzieć, czy operacja z haszyszem jest w całości przygotowana, kiedy już wszystko omówili i wyszli pospacerować plażą, jak to robili zazwyczaj. Jaszykow patrzył na nią podejrzliwie, bo wydała mu się inna niż zwykle, był w niej jakiś smutek i chłód. Sam nie wiem, stwierdził, czy teraz, kiedy powiedziałaś mi pewne rzeczy, ja widzę ciebie inaczej, czy może to ty, Tesa, jakoś się zmieniłaś. Tak. Dziś, kiedy rozmawialiśmy, uważnie cię obserwowałem. I dziwiłem się. Nigdy nie opowiadałaś mi tylu szczegółów i nigdy nie mówiłaś takim tonem. *Niet*. Przypominasz mi statek zrywający cumy. Przepraszam, jeśli nie wyrażam się jasno. Tak. To sprawy trudne do wyjaśnienia. Nawet do pomyślenia.

Urodzę je, powiedziała nagle. Powiedziała to bez namysłu, raptem, jakby ta decyzja w tej chwili powstała w jej głowie, łącząc się z innymi decyzjami, które właśnie podjęła albo miała zaraz podjąć. Jaszykow zatrzymał się, patrząc na nią, i stał tak przez dłuższą chwilę; potem

pokiwał głową, nie żeby ją pochwalić, to nie była jego sprawa, ale jakby potwierdzając, że Teresa może zrobić, co zechce, sama decyduje o swoim życiu, i zarazem że jego zdaniem jest w stanie sprostać konsekwencjom swojego postanowienia. Poszli kilka kroków do przodu, Rosjanin patrzył na morze szarzące w świetle zachodu i po pewnej chwili, nie odwracając się do niej, powiedział: nigdy niczego się nie bałaś, Tesa. *Niet i niet*. Niczego. Od kiedy się znamy, nie widziałem, żebyś się wahała, ryzykując życie i wolność. Nigdy. Dlatego ludzie cię szanują. Tak. Dlatego i ja cię podziwiam.

– I dlatego – zakończył – doszłaś tu, gdzie jesteś. Tak. Teraz.

Wtedy roześmiała się głośno, tak dziwnie, że Jaszykow odwrócił głowę. Cholerny Rusku, powiedziała. Nie masz bladego pojęcia. Jestem całkiem inną kobietą niż ta, którą znasz. Nie wiem, czy jestem tą, która mnie obserwuje, czy tą, którą ja obserwuję, nie jestem już pewna nawet samej siebie. Pewna jestem tylko tego, że straszny ze mnie tchórz, okropnie pękam. Popatrz, tak bardzo się boję, czuję się tak słaba i niezdecydowana, że całą energię i siłę woli marnuję na to, żeby to ukryć. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jaki to wysiłek. Bo nigdy nie robiłam nic z własnej woli, zawsze inni wyznaczali mi rolę. Ty. Pati. Oni. Wyobraź sobie, jaka ze mnie kretyńka. Wcale nie podoba mi się życie, a moje to już ani trochę. Nie podoba mi się też to pasożytnicze życie, które teraz noszę w sobie. Od dawna jestem chora na coś, czego nie chcę przyjąć do wiadomości, i nie jestem nawet uczciwa, bo to przemilczam. Od dwunastu lat tak żyję. Przez cały ten czas udaję i milczę.

Potem oboje milczeli, patrząc na ciemniejące morze. W końcu Jaszykow pokiwał głową, bardzo wolno.

– Podjęłaś jakąś decyzję w stosunku do Teo? – zapytał łagodnie.

– Nie martw się o niego.

– Ale operacja...

– O operację też się nie martw. Wszystko w porządku. Wszystko, z Teo też.

Napiła się jeszcze tequili. Słowa *corrido* o Lambercie Quintero towarzyszyły jej jeszcze jakiś czas, kiedy wstała i poszła z butelką w rękę przez ogród wzdłuż ciemnego prostokąta basenu. *Patrzył, jak*

młode dziewczyny szły drogą, mówił tekst piosenki, i nawet nie widział, jak dwa celne strzały na miejscu go położyły. Szła między drzewami, niskie gałęzie wierzb dotykały jej twarzy. Ostatnie zwrotki cichły za jej plecami. Moście do Tierra Blanca, widziałeś, jak ciebie minął. Ty wszystkim przypominaj, że o Lambercie się nie zapomina. Doszła do furtki prowadzącej na plażę i usłyszała za sobą na żwirze kroki Pote Galveza.

– Zostaw mnie samą – powiedziała, nie odwracając się.

Kroki się zatrzymały. Poszła dalej i kiedy poczuła pod stopami miękkiego piasek, zdjęła buty. Sklepienie nieba było rozjaśnione gwiazdami. Świetliste punkciki sięgały aż po ciemną linię horyzontu ponad szumiącym morzem. Dotarła do brzegu, woda moczyła jej stopy, kiedy napływały fale. Zobaczyła dwa światła, oddalone od siebie i nieruchome – kutry rybackie łowiące niedaleko brzegu. Odległa jasność hotelu Guadalmina oświetlała ją słabo, kiedy zdejmowała spodnie, majtki i podkoszulek i zanurzała się powoli w wodzie. Na całym ciele miała gęsią skórę. Ciągle trzymała w ręce butelkę i pociągnęła z niej na rozgrzewkę kolejny długi łyk, opary tequili, które poczuła w nosie, niemal zaparły jej dech. Stała w wodzie po pas, łagodne fale poruszały jej ciałem, chociaż mocno zapierała się stopami w piasek dna. Nie miała odwagi, żeby spojrzeć na kobietę, która obserwowała ją z plaży, stojąc obok jej ubrania. Rzuciła butelkę do morza i zanurzyła się w zimnej wodzie, czując, jak nad jej głową zasuwa się ogromna ciemna zasłona. Przepłynęła kilka metrów blisko dna i po jakiejś chwili wynurzyła się i otrząsnęła z wody twarz i włosy. Potem popłynęła w morze po ciemnej i zimnej powierzchni, wykonując zdecydowane ruchy nogami i ramionami, zanurzając twarz po oczy i wynurzając ją, żeby oddychać, coraz dalej i dalej, coraz bardziej oddalając się od plaży. Najpierw przestała sięgać dna, a potem wszystko powoli zaczęło znikać, została tylko ona i morze. Ogrom posępny jak śmierć, któremu chciała się poddać i wreszcie odpocząć.

Wróciła. Sama była tym zaskoczona i próbowała dociec, dlaczego nie popłynęła dalej, aż do jądra nocy. Sądziła, że odgadła tajemnicę, kiedy znów dotknęła piaszczystego dna, i nieco oszołomiona, ale i zadowolona, że znów jest na stałym lądzie, wyszła z wody, drząc

z zimna, które czuła na całym ciele. Ta druga kobieta odeszła. Już jej nie było przy ubraniu rzuconym na piasek. Pewnie, pomyślała Teresa, zdecydowała się być szybsza i czeka na mnie tam, dokąd idę.

Zielonkawe światło radaru oświetlało od dołu twarz kapitana Cherkiego, jego siwy zarost na niedogolonej brodzie.

– Jest tutaj – powiedział, wskazując ciemną plamkę na ekranie.

Drganie silnika „Tarfai” przenosiło się na grodzie wąskiej sterówki. Teresa stała oparta o drzwi, w grubym golfie chroniącym ją przed chłodem nocy, z rękami w kieszeniach sztormiaka. Prawa dłoń dotykała pistoletu. Kapitan odwrócił się do niej.

– Za dwadzieścia minut – powiedział. – Chyba że zdecyduje pani inaczej.

– To pański statek, kapitanie.

Drapiąc się w głowę okrytą wełnianą czapką, Cherki rzucił spojrzenie na oświetlony monitor GPS-u. Obecność Teresy krępowała go, podobnie jak i resztę załogi. Tak się nie robi, protestował na początku. To niebezpieczne. Nikt jednak mu nie obiecywał, że będzie miał wybór. Marokańczyk potwierdził pozycję i przekręcił koło sterowe na prawą burtę, obserwując uważnie, jak igła kompasu oświetlonego na desce rozdzielczej ustawia się na wyznaczonym punkcie, a potem włączył automatycznego pilota. Ciemna plama na ekranie radaru znajdowała się dokładnie naprzeciwko dziobu, o dwadzieścia pięć stopni od linii wyznaczającej na kompasie północ. Dokładnie dziesięć mil. Inne ciemne plamki, słabe ślady dwóch motorówek, które oddaliły się po przeładowaniu na kuter ostatnich paczek haszyszu, od trzydziestu minut znajdowały się poza zasięgiem radaru. Ławica Xauen pozostała daleko w tyle.

– *Allah bismillah* – powiedział Cherki.

No to płyniemy – przetłumaczyła sobie Teresa – w imię Boga. Uśmiechnęła się w mroku. Meksykanie, Marokańczycy czy Hiszpanie, wszyscy mają swojego świętego Malverdego. Zobaczyła, że Cherki odwraca się od czasu do czasu i patrzy na nią z ciekawością i źle maskowanym wyrzutem. Był to Marokańczyk z Tangeru, rybak weteran. Tej nocy zarobi więcej niż za pomocą sieci w ciągu pięciu lat. Kołysanie „Tarfai” na silnej fali zmniejszyło się, kiedy kapitan przesunął dźwignię,

zwiększył szybkość na nowym kursie i drganie silnika się wzmogło. Teresa zobaczyła, że log podskoczył do sześciu węzłów. Spojrzała na zewnątrz. Po drugiej stronie szyb, zabrudzonych morską solą, trwała noc czarna jak atrament. Teraz płynęli z zapalonymi światłami; na radarze byli tak samo widoczni ze światłami, jak i bez nich, ale ciemny statek budzi podejrzenia. Zapaliła kolejnego papierosa, żeby przytłumić mocne zapachy, przenikające aż do żołądka – ropy, smarów, sieci, pokładu przesiąkniętego wonią starych ryb. Czowała mdłości. Mam nadzieję, że się nie porzygam, pomyślała. Tym bardziej teraz. Kiedy gapią się na mnie ci wszyscy dranie.

Wyszła na zewnątrz, w ciemność, na pokład zmoczony nocną rosą. Bryza potargała jej włosy, ale trochę pomogła. Zobaczyła cienie kilku postaci skulonych przy relingu pomiędzy czterdziestokilogramowymi pakunkami owiniętymi w plastik, z uchwytemi ułatwiającymi transport: pięciu zaufanych, dobrze opłaconych Marokańczyków, którzy podobnie jak kapitan Cherki pracowali już wcześniej dla Transer Nagi. Na dziobie i na rufie Teresa dostrzegła wykrojone z ciemności przez światła pozycyjne kutra sylwetki swoich dwóch ochroniarzy. Marokańczycy z Ceuty, młodzi, milczący i wysportowani, których lojalność została już wcześniej sprawdzona, każdy z karabinem Ingram 380 z pięćdziesięcioma nabojami pod kurtką i dwoma granatami MK 2 w kieszeniach. Arabscy wojownicy, jak nazywał ich doktor Ramos, który dysponował tuzinem ludzi odpowiednich na takie jak ta sytuacja. Niech pani weźmie ze dwóch arabskich wojowników, szefowo, powiedział. Żebym był spokojny, kiedy będzie pani płynęła tym kutrem. Skoro upiera się pani płynąć, co ja uważam za zbędną nierozwagę, szaleństwo, i jeśli nie zabiera pani nawet Pote Galveza, niech mi pani pozwoli zapewnić choć minimalną ochronę. Wiem, że wszyscy są dobrze opłaceni, i tak dalej. Ale tak na wszelki wypadek.

Poszła na rufę i upewniła się, że ostatni ponton, valiant długości dziesięciu metrów z dwoma potężnymi silnikami, jest na miejscu, przywiązany dwiema grubymi cumami, z trzydziestoma pakunkami na pokładzie i z pilotem, przykrytym kocami, też Marokańczykiem. Potem zapaliła, oparta o mokre nadburcie, patrząc na fosforyzujący ślad piany tworzącej się przy dziobie kutra. Nie musiała wcale płynąć i dobrze

o tym wiedziała. Poczula w żołądku silny ucisk. Jak wyrzut sumienia. Ale wcale nie o to szło. Chciała popłynąć, wszystko nadzorować osobiście z bardzo złożonych powodów, które miały wiele wspólnego z jej myślami w ostatnich dniach. To nieodwołalny bieg rzeczy, od którego nie ma odwrotu. Czula strach – znajomy i przykry, stary fizyczny strach, zakorzeniony w jej pamięci i w mięśniach całego ciała – kiedy kilka godzin wcześniej zbliżała się na pokładzie „Tarfai” do marokańskiego wybrzeża, żeby nadzorować przeładunek z pontonów – płaskie, niskie cienie, mroczne postaci, stłumione głosy, żadnego światła, żadnego zbędnego hałasu, żadnego kontaktu radiowego, jedynie anonimowe trzaski w walkie-talkie na kolejnych, wcześniej ustalonych częstotliwościach, jedna rozmowa telefoniczna z każdą łodzią, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku na lądzie – podczas kiedy kapitan Cherki niespokojnie czuwał przy radarze, wypatrując czegoś nieprzewidzianego, śladu łodzi straży celnej, helikoptera, reflektora, który nagle ich oświetli i doprowadzi do nieszczęścia i piekła. Gdzieś na pełnym morzu, w środku nocy, walcząc bez przekonania z mdłościami, na pokładzie łodzi Fairline Squadron Alberto Rizocarpaso siedział przed ekranem przenośnego peceta, podłączonego do Internetu, otoczony odbiornikami radiowymi, telefonami, kablami i bateriami i nadzorował wszystko, podobnie jak kontroler ruchu lotniczego śledzi ruchy samolotów, które zostały mu powierzone. Bardziej na północ, w Sotogrande, doktor Ramos zapewne palił jedną fajkę po drugiej, nasłuchując radia i sygnałów telefonów komórkowych, przez które nigdy nikt wcześniej nie rozmawiał i które miały być użyte tylko raz tej nocy. A w jednym z hoteli na Teneryfie, kilkaset mil dalej na Atlantyku, Farid Lataquia rozgrywał ostatnie karty ryzykowej partii, która przy odrobinie szczęścia pozwoli im zakończyć akcję „Wczesne dzieciństwo” zgodnie z planem.

To prawda, pomyślała Teresa. Doktor miał rację. Nie musiałam tu płynąć, a jednak tu jestem, stoję oparta o burtę tego cuchnącego kutra, ryzykuję wolność i życie, prowadząc tę dziwną grę, której tym razem nie mogłam uniknąć. Żegnam się z bardzo wieloma sprawami. Jutro, kiedy wszędzie słońce, teraz świecące na niebie nad Sinaloa, sprawy te zostaną w tyle, poza mną, na zawsze. Stoję tu z dobrze nasmarowaną berettą

i z magazynkiem naładowanym nabojami do parabellum i czuję ich ciężar w kieszeni. Broń, której nie używałam od dwunastu lat; wymierzę ją raczej w siebie niż w kogoś innego, jeśli coś mi nie wyjdzie. To moja gwarancja, że nie trafię do żadnego pieprzonego marokańskiego więzienia, do hiszpańskiego zresztą też nie. Pewność, że w każdej chwili mogę pójść tam, gdzie mam ochotę.

Wrzuciła niedopałek do morza. To jakby dopełnienie ostatniej formalności, pomyślała. Ostatni sprawdzian przed odejściem. Może przedostatni.

– Telefon, proszę pani.

Wzięła komórkę, którą podał jej kapitan Cherki, weszła do sterówki i zamknęła drzwiczki. Był to aparat SAZ 88, specjalnie zakodowany, taki, jakich używa się w policji i w tajnych służbach, jeden z sześciu, które Farid Lataquia zdobył na czarnym rynku, płacąc za nie prawdziwą fortunę. Podnosząc ją do ucha, spojrzała na odbicie, które pokazywał jej kapitan na ekranie radaru. Ciemna plama „Xoloitzcuintle”, który znajdował się w odległości mili od nich, była wyraźnie widoczna przy każdym obrocie anteny. Na horyzoncie pomiędzy falami błyskało jakieś światło.

– Czy to latarnia w Alborán? – zapytała Teresa.

– Nie, Alborán jest dwadzieścia pięć mil stąd, a latarnię widać z odległości dziesięciu mil. To są światła statku.

Wysłuchiwała wiadomości przez telefon. Męski głos powiedział: zielony i czerwony na moim sto dziewięćdziesiąt. Teresa spojrzała na GPS, potem znów na ekran radaru i powtórzyła te słowa głośno, podczas kiedy kapitan zmieniał zasięg radaru, żeby obliczyć odległość. Wszystko okej na moim zielonym, powiedział głos w telefonie, i zanim Teresa powtórzyła jego słowa, połączenie zostało przerwane.

– Widzą nas – powiedziała Teresa. – Popłyniemy do nich na prawą burtę.

Znajdowali się poza marokańskimi wodami terytorialnymi, co jednak nie wykluczało niebezpieczeństwa. Spojrzała przez szyby na niebo, w obawie, że może się tam pojawić złowróżbny cień helikoptera straży celnej. Może nawet ten sam pilot lata dzisiejszej nocy. Ile czasu minęło między tymi dwiema nocami. Między tymi dwiema chwilami mojego

życia.

Wystukała dobrze zapamiętany numer do Rizocarpaso. Mów, co w górze, powiedziała po lakonicznym „zero zero” Gibraltarczyka. W gnieździe bez zmian, brzmiała odpowiedź. Rizocarpaso był w telefonicznym kontakcie z dwoma mężczyznami, z których jeden stał na szczycie skały w Gibraltarze, zaopatrzony w silną lornetkę z noktowizorem, a drugi na drodze biegnącej w pobliżu bazy helikopterów w Algeciras. Każdy z nich ze swoją komórką. Dyskretni strażnicy.

– Ptaszysko jest na łądzie – powiedziała do Cherkiego, przerywając połączenie.

– Dzięki Bogu.

Musiała się powstrzymać, żeby nie spytać Rizocarpaso o resztę operacji. O fazę równoległą. O tej porze już powinien mieć wiadomości i brak informacji zaczynał ją niepokoić. Czy też raczej, pomyślała z goryczą – zaczynał ją uspokajać. Spojrzała na mosiężny zegar przykręcony do grodzi w sterówce. W każdym razie nie warto martwić się na zapas. Gibraltarczyk przekaże jej wiadomość, kiedy tylko będzie ją miał.

Teraz oświetlenie statku było już wyraźnie widoczne. „Tarfaya” zgasi swoje światła, kiedy będzie blisko, żeby ukryć się w jego cieniu na radarze. Spojrzała na ekran. Odległość pół mili.

– Może pan przygotować swoich ludzi, kapitanie.

Cherki wyszedł ze sterówki i Teresa słyszała, jak wydaje polecenia. Kiedy podeszła do drzwi, nie było już cieni skulonych przy relingu, ciemne sylwetki poruszały się po pokładzie, przygotowując cumy i odbijacze, składając pakunki przy lewej burcie. Odczepiono cumę holowniczą valianta i słychać było warkot silnika pontonu gotowego do manewrów. Ludzie doktora Ramosa nadal stali bez ruchu, ze swoimi ingramami i granatami ukrytymi pod ubraniem, jakby to wszystko nie miało z nimi nic wspólnego. „Xoloitzcuintle” był teraz wyraźnie widoczny, z kontenerami ustawionymi na pokładzie i światłami pozycyjnymi, białym z przodu i zielonym na prawej burcie, odbijającymi się pośród fal. Teresa widziała go pierwszy raz i pochwaliła w myśli wybór Farida Lataqui. Pokład blisko lustra wody, jeszcze obniżony przez ładunek. To ułatwi manewry.

Cherki wrócił do sterówki, wyłączył automatycznego pilota i zaczął sterować ręcznie, zbliżając ostrożnie kuter do kontenerowca, równoległe do jego prawej burty. Teresa przystawiła do oczu lornetkę, żeby przyjrzeć się statkowi, który wyraźnie zwolnił, jednak nie zatrzymując się całkiem. Zobaczyła, że między kontenerami poruszają się ludzie. Na górze, na skrzydle mostku, stali dwaj mężczyźni i przyglądali się „Tarfai”. Niewątpliwie byli to kapitan i oficer.

– Może pan zgasić, kapitanie.

Byli dość blisko, żeby na radarze odbicia obu jednostek mogły uchodzić za jedno. Kuter pozostał w mroku, oświetlany jedynie lampami drugiego statku, który lekko odchylił swój kurs, żeby mogli się schronić w jego cieniu. Białe światło nie było już widoczne, a zielone lśniło na skrzydle mostku niby oślepiający szmaragd. Burty niemal się dotykały i zarówno na pokładzie kutra, jak i kontenerowca marynarze przygotowywali grube odbijacze. „Tarfaya” dopasowała swoją prędkość, połowa naprzód, do szybkości „Xoloitzcuintle”. Jakies trzy węzły, obliczyła Teresa. Chwilę później usłyszała coś jak stłumiony wystrzał – trzask rzuconej liny. Ludzie z rybackiego kutra zebrali cumę, która szła od końca prowadnicy, i przywiązali ją sztywno do pachółków na pokładzie, nie napinając jej jednak zbyt mocno. Rzucono kolejne cumy – jedną długą na dziób, drugą na rufę. Manewrując uważnie sterem, kapitan Cherki dobił do kontenerowca, burta w burtę, i zostawił silnik włączony, ale na luzie. Obie jednostki płynęły teraz z tą samą szybkością, duża ciągnęła mniejszą. Valiant sprawnie sterowany przez swojego pilota też był przyczepiony do „Xoloitzcuintle”, od dziobu kutra, i Teresa zobaczyła, że załoga statku zaczęła przenosić ładunek. Przy odrobinie szczęścia, pomyślała, patrząc na ekran radaru i dotykając drewna koła steru, wszystko skończy się za godzinę.

Dwadzieścia ton zmierzało w kierunku Morza Czarnego, bez przystanków po drodze. Kiedy ponton płynął na południowy zachód, kierując się GPS-em połączonym z radarem Raytheon, światła „Xoloitzcuintle” niknęły już na ciemnym horyzoncie, daleko na wschodzie. „Tarfaya”, która znów włączyła swoje światła, była widoczna nieco bliżej, jej światła kołysały się na fali, kiedy płynęła niespiesznie na południowy zachód. Teresa wydała polecenie, pilot

ślizgacza przesunął dźwignię gazu i szybkość wzrosła, kadłub pontonu odbijał się od grzbietów fal, dwaj arabscy wojownicy siedzieli na dziobie dla zachowania stabilności łodzi, z nasuniętymi na głowy kapturami sztormiaków, które chroniły ich przed rozpryskującą się wodą.

Teresa znów wystukała zapamiętany numer i kiedy usłyszała suche „zero zero” Rizocarpaso, powiedziała tylko: dzieci poszły spać. Potem spojrzała w ciemność na zachodzie, jakby chciała zobaczyć, co jest setki mil dalej, i zapytała, czy są jakieś wiadomości. „Nie”, brzmiała odpowiedź. Przerwała połączenie i spojrzała na plecy pilota siedzącego na ławce przy sterach valianta. Zamyśliła się. Drganie potężnych silników, szum wody, uderzenia o fale, panująca wokół noc przywoziliły dobre i złe wspomnienia; to nie jest właściwy moment, stwierdziła. W grę wchodziło zbyt wiele spraw, zbyt wiele nici trzeba było ze sobą połączyć. I każdy podskok pontonu płynącego z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, każda pokonana mila przybliżały ją do nieuniknionego rozwiązania wszystkich spraw. Poczwała chęć, żeby w nieskończoność przedłużyć tę podróż w ciemnościach nocy, bez żadnych punktów odniesienia, z bardzo dalekimi światłami z innych jednostek albo z lądu. Przedłużyć ją w nieskończoność, żeby wszystko mogło się opóźnić, trwać w zawieszeniu między morzem i nocą, gdzieś w miejscu pośrednim, w oczekiwaniu, bez odpowiedzialności, z ryczącymi silnikami z tyłu łodzi, kiedy elastyczna guma pontonu napina się przy każdym podskoku, wiatr owiewa twarz, pryskają krople piany, ciemne plecy mężczyzny pochylonego nad sterami tak bardzo przypominają jej plecy innego mężczyzny. Innych mężczyzn.

Była to chwila równie ponura jak ona sama, Teresa. Przynajmniej tak odczuwała tę noc i tak się czuła. Całkiem ciemne niebo – słabutki księżyc w nowiu pojawił się tylko na chwilę, bez gwiazd, z mgłą napływającą nieubłaganie od wschodu, która w tym momencie pochłaniała ostatni odblask światła „Xoloitzcuintle”. Teresa zastanawiała się chłodno, uważna, z kamiennym sercem i spokojną głową porządkowała wszystkie zaległe sprawy, jakby to były dolarowe banknoty, które składała w pliki, gdy przed wiekami pracowała na ulicy Juareza w Culiacán, do dnia, kiedy czarny bronco zatrzymał się przy niej i Blondyn Dávila opuścił szybę, a ona, nieświadomie, wyruszyła

w daleką drogę, która zaprowadziła ją tutaj, do Cieśniny Gibraltarskiej, i wplątała w zawilóści absurdałnego paradoksu. Przeprowa przez wzburzoną rzekę, z ładunkiem po jednej stronie.

– „Sinaloa”, proszę pani!

Krzyk zaskoczył ją i wyrwał z zamyślenia. Do licha, pomyślała. Właśnie Sinaloa, tej nocy, tu i teraz. Pilot wskazywał zbliżające się szybko światła, widoczne poza kurtyną wody między skulonymi sylwetkami ochroniarzy siedzących na dziobie. Jacht płynął na północny wschód. Oświetlony, biały i wysmukły, jego światła cięły morze. Niewinny jak gołębica, pomyślała, kiedy pilot zataczał szeroki łuk valiantem i zbliżył się do pomostu na rufie, gdzie stał marynarz, gotowy, by pomóc jej wejść na pokład. Zanim ochroniarze, którzy chcieli jej pomóc, dotarli do niej, Teresa obliczyła siłę pędu, postawiła stopę na brzegu pontonu i skoczyła na pokład jachtu, wykorzystując kolejny podskok łodzi. Nie żegnając się z ludźmi na pontonie, nie oglądając się w tył, ruszyła przez pokład, czując ból w nogach ścierniętych od chłodu. W tym czasie marynarz puścił cumę i łódź z trzyosobową załogą na pokładzie odpłynęła z rykiem, kierując się do bazy w Esteponie. Teresa zeszła na dół, żeby słodką wodą zmyć sól z twarzy, zapaliła papierosa i naląła sobie do szklanki tequili na trzy palce. Wypiła alkohol jednym haustem, stojąc przed lustrem w łazience i wstrzymując oddech. Moc tequili wycisnęła jej z oczu łzy i stała tak, z papierosem w jednej i pustą szklanką w drugiej ręce, patrząc, jak krople spływają powoli po policzkach. Nie podobała jej się ta twarz w lustrze – a nie była to jej twarz, tylko tej drugiej, patrzącej na nią kobiety – podkrążone oczy, włosy zmierzwiłone i sztywne od soli. I łzy. Znów się spotykają, tamta wygląda na bardziej zmęczoną i starszą. Szybko poszła do kabiny, otworzyła szafę, gdzie miała torbę, wydobyla skórzany portfel ze swoimi inicjałami, wyjęła z niego zniszczoną połówkę zdjęcia i przez chwilę mu się przyglądała. Potem podniosła w górę rękę z fotografią i porównywała siebie z tą młodą dziewczyną o szeroko otwartych oczach, otoczoną troskliwym ramieniem Blondyna Dávili ubranego w kurtkę pilota.

Zadzwoił kodowany telefon, który miała w kieszeni dzinsów. Głos Rizocarpaso krótko przekazał informację, bez zbędnych ozdorników czy wyjaśnień. „Ojciec chrestny dzieciaków zapłacił za chrciny”,

powiedział. Teresa poprosiła o potwierdzenie, a głos odpowiedział, że nie ma żadnych wątpliwości. „Na uroczystość przyjechała cała rodzina. Właśnie dostałem potwierdzenie z Kadyksu”. Teresa przerwała połączenie i schowała telefon do kieszeni. Czuła, że wracają jej mdłości. Wypity alkohol źle się łączył z szumem silnika i kołysaniem jachtu. Z tym, co usłyszała, i z tym, co miało się zdarzyć. Starannie schowała z powrotem zdjęcie do portfela, zgasła papierosa w popielniczce, obliczyła, że od toalety dzielą ją trzy kroki, i gdy spokojnie pokonała tę odległość, uklękła obok sedesu, żeby zwymiotować tequilę i resztę swoich łez.

Kiedy wyszła na pokład z umytą twarzą, ubrana w sztormiak założony na gruby sweter z golfem, Pote Gálvez czekał tam – czarna postać oparta o nadburcie – stojąc nieruchomo.

– Gdzie jest? – spytała Teresa.

Zbir zwlekał z odpowiedzią. Jakby się zastanawiał. Albo jakby dała mu możliwość, żeby się zastanowił.

– Na dole – odpowiedział w końcu. – W kabinie numer cztery.

Teresa zeszła pod pokład, przytrzymując się poręczy z drzewa tekowego. W przejściu Pote Gálvez mruknął: przepraszam, szefowo, i wyminął ją, żeby otworzyć drzwi zamknięte na klucz. Zawodowym spojrzeniem omiół wnętrze i pozwolił jej przejść. Teresa weszła do środka, za nią goryl, który zamknął drzwi za jej plecami.

– Straż celna – powiedziała Teresa – zatrzymała dziś w nocy „Luz Angelitę”.

Teo Aljarafe patrzył na nią obojętnie, jakby był daleko i jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego. Jednodniowy zarost nadawał sinawy kolor jego brodzie. Leżał na koi, ubrany w pomięte spodnie khaki i czarny sweter. Był w skarpetkach. Buty stały na ziemi.

– Statek został zatrzymany trzysta mil na zachód od Gibraltaru – ciągnęła Teresa. – Jakies dwie godziny temu. W tej chwili jest holowany do Kadyksu... Był śledzony, od kiedy wypłynął z Cartageny... Wiesz, Teo, o jakim statku mówię?

– Pewnie, że wiem.

Miał dość czasu, pomyślała. Kiedy tu siedział. Dość czasu do namysłu. Nie wie jednak, na czym polega paradoks.

– Jest jednak coś, czego nie wiesz – wyjaśniła Teresa. – „Luz Angelita” jest czysta. Kiedy zrewidują statek, najbardziej nielegalne, co znajdą, to kilka butelek whisky, za które nie zapłacono cła... Wiesz, co to znaczy? Mężczyzna znieruchomiał z otwartymi ustami i zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Zmyła – powiedział w końcu.

– Właśnie. I wiesz, dlaczego nie powiedziałam ci wcześniej, że to zmyła? Bo chciałam, żeby ludzie, którym przekazujesz informacje, wierzyli tak samo jak ty, że tam jest towar.

Patrzył na nią dalej tak samo, z najwyższą uwagą. Rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Pote Galveza i znów spojrzał na nią.

– Dziś w nocy przeprowadziłaś inną operację.

Nadal jest sprytny, i to mnie cieszy, pomyślała. Chcę, żeby wiedział dlaczego. Może inaczej byłoby prościej. Ale też chcę, żeby zrozumiał. Cierpi pan na nieuleczalną chorobę. No cóż. Człowiek ma prawo, żeby go na koniec nie okłamywać. Wszyscy moi mężczyźni, kiedy umierali, wiedzieli, dlaczego umierają.

– Tak, to była inna operacja, o której ty nie wiedziałeś. Kiedy hieny ze straży celnej zacierały ręce, zatrzymując „Luz Angelitę”, pewne, że znajdą tam tonę koki, nasi ludzie robili interesy gdzie indziej.

– Dobrze rozegrane... Od jak dawna wiesz?

Mógłby zaprzeczyć, pomyślała nagle. Mógłby zaprzeczyć, z oburzeniem zaprotestować, powiedzieć, że oszalałam. Ale miał dość czasu do namysłu od chwili, kiedy Pote zamknął go tutaj. Zna mnie. Po co miałby marnować czas. Po co.

– Od dawna. Ten sędzia z Madrytu... Mam nadzieje, że ci się to opłacało. Choć byłoby mi przyjemniej, gdybyś robił to nie dla pieniędzy. Teo zacisnął usta, a jej spodobało się jego opanowanie. Niemal udało mu się uśmiechnąć, twardzielowi. Mimo wszystko. Tylko za mocno mrugał. Nigdy przedtem nie widziała, żeby tak mocno mrugał.

– Nie zrobiłem tego tylko dla pieniędzy.

– Przycisnęli cię?

Znów mało brakowało, żeby się uśmiechnął. Wyszedł mu jednak tylko sarkastyczny grymas. Nie miał wielkich nadziei.

– Możesz sobie wyobrazić.

– Rozumiem.

– Naprawdę rozumiesz? – Teo analizował to słowo ze zmarszczonymi brwiami, poszukując dobrej wróżby na przyszłość. – Może i tak. Miałem wybór: albo ty, albo ja.

Albo ty, albo ja, powtórzyła Teresa w myśli. I zapomnijmy o innych: doktor Ramos, Farid Lataquia, Rizocarpaso... Wszyscy ufali i jemu, i mnie. Ludzie, za których jesteśmy odpowiedzialni. Dziesiątki wiernych osób. I jeden Judasz.

– Albo ty, albo ja – powiedziała głośno.

– Właśnie.

Pote Gálvez wydawał się wtopiony w cienie na grodziach, kiedy oni patrzyli sobie w oczy. Rozmowa jak wiele innych. Noc. Brakowało muzyki i kieliszków. Noc taka jak inne.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Może udałoby się znaleźć jakieś wyjście.

Teo zaprzeczył ruchem głowy. Usiadł na brzegu koi, stopy w skarpetkach oparł na podłodze.

– Czasem wszystko się komplikuje – powiedział po prostu. – Człowiek jest coraz bardziej uwikłany, otacza się rzeczami, które stają się niezbędne. Dali mi szansę – przy zachowaniu wszystkiego, co mam... Gruba kreska i zaczynamy od nowa.

– Tak. Myślę, że to też jestem w stanie zrozumieć.

Znowu słowo „zrozumieć” zapaliło w umyśle Teo płomyk nadziei. Przyglądał się jej z wielką uwagą.

– Mogę ci powiedzieć wszystko, co chcesz wiedzieć – powiedział. – Nie trzeba będzie mnie...

– Przesłuchiwać.

– Właśnie.

– Nikt nie będzie cię przesłuchiwał, Teo.

Nadal przyglądał się jej wyczekująco, rozważając sens tych słów. Znowu zamrugał. Szybkie spojrzenie na Pote Galveza i znowu na nią.

– Bardzo sprytnie było to dzisiejsze zagranie – powiedział w końcu ostrożnie. – Wykorzystaliście mnie do zamydlenia tamtym oczu... Nie wpadłem na to. To była koka?

Bada, pomyślała. Jeszcze nie pożegnał się z życiem.

– Haszysz – odpowiedziała. – Dwadzieścia ton.

Teo się zamyślił. Znów zaledwie cień uśmiechu.

– Myślę, że to dobry znak, jeśli mi to mówisz.

– Nie. Prawda jest taka, że wcale nie.

Teo przestał mrugać. Nadal był uważny, wypatrywał znaków, które tylko on potrafił odczytać. Posępny. Jeśli z mojej twarzy, pomyślała, z mojego milczenia nie potrafisz wyczytać tego, czego nie mówię, a z mojego słuchania tego, że wiem, co jeszcze chcesz mi powiedzieć, to znaczy, że czas, który ze mną spędziłeś, był czasem straconym. Noce, dni, rozmowy, milczenie. Powiedz, gdzieś ty patrzył, kiedy mnie obejmowałeś, pieprzony dupku. Choć może masz nawet więcej klasy, niż myślałam. Jeśli tak jest, przysięgam, że będę się czuła lepiej. I cieszę się. Im bardziej macie jaja, i ty, i wszyscy inni, tym lepiej się czuję i tym bardziej się cieszę.

– Moje córki – nagle Teo mruknął pod nosem.

Wyglądało na to, że wreszcie zrozumiał, jakby do tej pory rozważał jeszcze inne możliwości. Mam dwie córki, powtórzył zamyślony, patrząc na Teresę i nie widząc jej. W słabym świetle lampy w kajucie jego policzki wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte, dwie ciemne plamy wydłużone aż do szczęki. Już nie miał wyglądu aroganckiego, hiszpańskiego orła. Teresa spojrzała na niewzruszoną twarz Pote Galveza. Dawno temu gdzieś czytała, że kiedy samurajowie popełniają harakiri, przyjaciele dobijają ich, żeby nie stracili klasy. Lekko przymknięte powieki zbira, całkowicie zależnego od swojej pani, jeszcze wzmacniały to skojarzenie. Szkoda, pomyślała Teresa. Umiar i klasa. Teo znosi to dzielnie i byłoby dobrze, żeby do końca tak się zachowywał. Takim chciałabym go wspominać, kiedy nie będę miała już niczego poza wspomnieniami. Jeżeli sama będę żyła.

– Moje córki – usłyszała, że powtarza te słowa.

Jego głos był zgaszony i lekko drżący. Jakby nagle temu głosowi zrobiło się zimno. Wzrok umknął w nieokreślonym kierunku. Oczy człowieka, który jest już daleko, martwy. Martwe ciało. A ona знаła je naprężone, silne. Zaznała z nim rozkoszy. A teraz to ciało było martwe.

– Nie chrzań, Teo.

– Moje córki.

To wszystko jest takie dziwne, pomyślała Teresa z lękiem. Twoje córki to siostry mojego dziecka, stwierdziła w myśli. O ile za te siedem miesięcy jeszcze będę oddychać. I zobacz, że guzik mnie obchodzi moje dziecko. Wcale mnie nie obchodzi, że to jest też twoje dziecko, i że umrzesz, nawet o tym nie wiedząc, bo i po co miałbyś wiedzieć. Nie odczuwała litości ani smutku, ani lęku. Tylko obojętność, taką samą jak wobec stworzenia, które nosiła w brzuchu; chciała już zakończyć tę scenę i zrobić to szybko, tak jakby to była kłopotliwa formalność do załatwienia. Zrywasz cumy, powiedział Oleg Jaszykow. Za tobą pustka. Właściwie to oni mnie tu doprowadzili. Do tego punktu. Dzieło zbiorowe – Blondyn, Santiago, don Epifanio Vargas, Kocur Fierros, sam Teo. No i Porucznik O'Farrell. Popatrzyła na Pote Galveza i zbir wytrzymał jej spojrzenie, nadal z przymkniętymi powiekami, w oczekiwaniu. To wasza gra, pomyślała Teresa. Ta, w którą zawsze graliście, bo ja tylko wymieniałam dolary na ulicy Juareza. Nigdy nie miałam żadnych ambicji. Nie ja wymyśliłam te wasze pieprzone zasady, ale musiałam działać zgodnie z nimi. Zaczynała się wkurzać, ale wiedziała, że to, co zostało jej do zrobienia, wymagało od niej spokoju. Powoli policzyła w myśli do pięciu, ze spuszczoną głową, żeby się opanować. Potem pokiwała powoli głową, niemal niedostrzegalnie. Wtedy Pote Gálvez wyciągnął z kabury rewolwer i podniósł poduszkę z koi. Teo powtórzył jeszcze raz zdanie o córkach i wydał długi jęk – może to był protest, wyrzut albo szloch. A może wszystko naraz. A kiedy szła do drzwi, dostrzegła, że jego oczy patrzyły nieruchomo w jeden punkt, jakby nie widział niczego poza studnią cieni, które wciągały go w głąb. Teresa wyszła na korytarz. Oby tylko, pomyślała, zdążył włożyć buty. Mężczyzna nie powinien umierać w skarpetkach. Usłyszała stłumiony wystrzał, kiedy kładła dłoń na poręczy schodów prowadzących na pokład.

Odgłos kroków Pote Galveza zabrzmiał za jej plecami. Nie odwracając się, zaczęła, aż jej goryl oprze się łokciami o mokry reling. Na wschodzie można było dostrzec jaśniejszą linię, światła wybrzeża świeciły coraz bliżej, a latarnia morska w Esteponie rozbłyskiwała dokładnie na północy. Teresa nasunęła kaptur kurtki na głowę. Zimno było coraz bardziej dotkliwe.

– Wracam, Pinto.

Nie musiała mówić dokąd. Nie było trzeba. Ciężka postać ochroniarza wychyliła się mocniej przez burtę. Był zamyślony i milczący. Teresa słyszała jego oddech.

– Czas wyrównać stare rachunki.

Znów milczenie. W górze na mostku odcinały się w świetle sylwetki kapitana i wachtowego. Głusi, niemi i ślepi. Niewidzący niczego poza przyrządami nawigacyjnymi. Zarabiali wystarczająco, żeby nie interesowało ich nic, co działo się na pokładzie. Pote Gálvez, nadal pochylony, wpatrywał się w czarną wodę, która szumiała w dole.

– Szefowo, pani zawsze wie, co robi... Ale mam przeczucie, że to może być do dupy.

– Wcześniej zadbam o to, żeby niczego ci nie brakowało.

Zbir przejechał dłonią po włosach. Gestem pełnym zakłopotania.

– O co pani chodzi? Wyjedzie pani sama?! Niech mnie pani nie obraża.

W jego głosie słychać było prawdziwy żal. Upór. Oboje patrzyli na błyskające światło odległej latarni morskiej.

– Mogą wykończyć nas oboje – powiedziała Teresa cicho. – Na cacy.

Pote Gálvez milczał przez chwilę. Poczula, że to ten rodzaj milczenia, kiedy człowiek podsumowuje całe swoje życie. Odwróciła się, spojrzała na niego z ukosa i zobaczyła, że Gálvez znów przeciągnął dłonią po włosach, a potem wcisnął głowę między ramiona. Wygląda jak duży, wierny niedźwiedź, pomyślała. Całkowicie wierny. Z tą miną pełną rezygnacji, jakby gotów był zapłacić każdą cenę, bez dyskusji. Zgodnie z zasadami.

– Wie pani co, szefowo... Wszystko jedno, czy umrze się tu, czy gdzie indziej.

Zbir popatrzył do tyłu, na kilwater za „Sinaloa”, gdzie zwłoki Teo Aljarafe poszły wcześniej na dno, obciążone pięćdziesięcioma kilogramami ołowianych ciężarków.

– A czasem – dodał – dobrze jest móc wybrać.

W Culiacán w stanie Sinaloa padał deszcz; dom w dzielnicy Chapultepec wydawał się otoczony ogromną przestrzenią szarego smutku. Tak jakby jakaś niewidzialna ściana oddzielała wielobarwny ogród od ołowianej szarości wszędzie wokół: po szybach okien duże krople deszczu spływały szerokimi strumieniami, w których falował cały pejzaż, zieleń trawy i indyjskie wawrzyny mieszały się z oranżem kwiatów *tabachín* i białą *capiro*, z fioletem i czerwienią bugenwilli; wszelkie barwy jednak zamierały na wysokich murach otaczających ogród. Za nimi roztaczała się zaciemniona deszczem smutna panorama, w której za niewidoczną stąd Tamazulą można było rozróżnić dwie wieże i wielką białą kopułę katedry, i dalej po prawej stronie pokryte żółtymi kafelkami wieże kościoła Santuario.

Teresa stała przy oknie w salonie na piętrze, obserwując krajobraz, mimo ostrzeżeń pułkownika Edgara Ledesmy, dowódcy Dziewiątej Strefy Wojskowej. Człowiek w oknie, powiedział, patrząc na nią swoim chłodnym beznamiętnym wzrokiem, jest świetnym celem dla snajpera. A pani nie przyjechała tu po to, żeby im ułatwiać zadanie. Pułkownik Ledesma był człowiekiem uprzejmym i grzecznym, z wdziękiem nosił swoją pięćdziesiątkę, ubrany w mundur, z głową ostrzyżoną na jeża, jakby był młodym rekrutem. Ona jednak miała już dość nieciekawego widoku z parteru – przesiadywała ciągle w wielkim salonie z ciężkimi rzeźbionymi meblami wymieszanymi z plastikowymi sprzętami i z okropnymi obrazami na ścianach – dom ten został odebrany przez rząd pewnemu handlarzowi narkotyków, który obecnie odsiadywał wyrok w Puente Grande – z tarasem i oknami, przez które widać było tylko kawałek ogrodu i pusty basen. Z góry, wyteżając wzrok i pamięć, można było dojrzeć w oddali miasto Culiacán. Można też było zobaczyć na zewnątrz jednego z policjantów, którzy zapewniali jej ochronę – mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym nałożonym na kamizelkę kuloodporną, w czapce, z karabinem R15 w dłoniach; stał teraz oparty plecami o pień mangowca chroniącego go przed deszczem i palił papierosa. Sporo dalej, za metalową kratą bramy wychodzącej na ulicę

Generała Anai, widać było wojskowy samochód i zielone postaci żołnierzy, którzy trzymali straż w pełnym uzbrojeniu. Takie było porozumienie, poinformował ją pułkownik Ledesma przed czterema dniami, kiedy learjet, którym przyleciała tutaj specjalnym, bezpośrednim lotem z Miami – był to jedyny przystanek od startu w Madrycie, ponieważ DEA odradzała jakąkolwiek przesiadkę na terytorium meksykańskim – wylądował na lotnisku w Culiacán. Dziewiąta Strefa zajmowała się bezpieczeństwem ogólnym, natomiast obowiązkiem policji federalnej było zapewnienie Teresie ochrony osobistej. W operacji nie brała udziału policja drogowa ani stanowa, ponieważ uważano, że zbyt łatwo wyciekają od nich informacje, a ponadto wiadano, że niektórzy funkcjonariusze dorabiają sobie jako ludzie od brudnej roboty w biznesie narkotykowym. Generalnie rzecz biorąc, ludzie z policji federalnej też stają się bardziej przystępni za plik dolarów, ale sprowadzona specjalnie ze stolicy elitarna jednostka wyznaczona do tej misji – zabroniono udziału agentom, którzy mieli jakiegokolwiek koneksje w stanie Sinaloa – została sprawdzona, jak mówiono, zarówno pod względem prawości, jak i skuteczności. Co do żołnierzy to nie można powiedzieć, że w ogóle są nieprzekupni, jednak struktura wojska i dyscyplina sprawiają, że trudniej znaleźć do nich dojście i więcej kosztują, a poza tym są bardziej szanowani. Nawet chłopcy przyznają, że kiedy konfiskują trawę w górach, wykonują po prostu swoją robotę i nie idą na żadne układy. Pułkownik Ledesma uchodził za człowieka uczciwego i twardego. Jego syna, który także służył w wojsku – był porucznikiem – zabili *narcos*. A to też nie było bez znaczenia.

– Niech się pani odsunie od okna, szefowo. Tu są przeciągi.

– Daj spokój, Pinto. – Uśmiechnęła się. – Nie wygłupiaj się.

To, co ostatnio przeżyła, przypominało dziwny sen, jakby była świadkiem całego łańcucha sytuacji, które wcale jej się nie przydarzały. Te dwa tygodnie układały się we wspomnieniach jak ciąg rozdziałów książki, pełnych scen dynamicznych i wyrazistych. Noc ostatniego przerzutu. Teo Aljarafe odczytujący swoją przyszłość z cieni mrocznej kajuty. Héctor Tapia i Willy Rangel oniemiaли na jej widok w hotelu Puente Romano – kiedy przedstawiła im swoją decyzję i wymagania:

Culiacán, a nie stolica: pewne rzeczy trzeba robić dokładnie, powiedziała, albo nie robić ich wcale. Podpisanie nieoficjalnych dokumentów zawierających gwarancje dla obu stron w obecności konsula generalnego Stanów Zjednoczonych w Madrycie oraz wysokich urzędników hiszpańskich ministerstw Sprawiedliwości i Spraw Zagranicznych. A potem, kiedy mosty zostały spalone, długa podróż przez Atlantyk, przystanek na pasie lotniska w Miami, gdzie learjet został otoczony ciasnym kordonem policji, i nieprzenikniony wzrok Pote Galveza, kiedy krzyżowały się ich spojrzenia. Cały czas będą się starali zabić panią, ostrzegł ją Willy Rangel. Panią, pani ochroniarza i każdą żywą istotę w pobliżu pani. Proszę więc uważać na siebie. Rangel towarzyszył jej do Miami, załatwiając wszelkie niezbędne formalności. Poinformował ją, czego od niej oczekiwano, i czego mogła oczekiwać ona. Ciąg dalszy – jeśli będzie jakiś ciąg dalszy – to gwarancja pomocy przez najbliższe pięć lat; możliwość osiedlenia się gdzieś w Ameryce czy w Europie, nowa tożsamość i obywatelstwo amerykańskie, oficjalna ochrona lub – jeśli tak będzie wołała – całkowita swoboda. A kiedy odpowiedziała, że ciąg dalszy jest wyłącznie jej sprawą, że dziękuję, mężczyzna potarł nos i skinął głową, jakby mówił, że się tym zajmie. Bo w DEA obliczono, że Teresa Mendoza posiada w bankach szwajcarskich i na Karaibach kapitał w wysokości od pięćdziesięciu do stu milionów dolarów.

Nadal patrzyła na deszcz za szybami. Culiacán. W noc swojego przyjazdu, kiedy schodziła z samolotu na pas, gdzie czekał na nią konwój policji federalnej, po prawej stronie zobaczyła żółtą wieżę starego lotniska, gdzie stało jeszcze kilka tuzinów samolotów Cessna i Piper, a po lewej obiekty nowego dworca lotniczego w budowie. Teresa i Pote Gálvez wsiedli do opancerzonego suburbana z przydymionymi szybami. Jechali nim sami, tylko ona, Pote i kierowca z radiem na częstotliwości policyjnej. Wszędzie mnóstwo niebieskich i czerwonych świateł, żołnierze w kaskach bojowych, uzbrojeni po zęby, policjanci federalni w cywilu i w ciemnych mundurach na tylnych siedzeniach jeepów i w otwartych drzwiczkach suburbanów, w czapkach bejsbolowych, w pelerynach lśniących od deszczu, z karabinami gotowymi do strzału wycelowanymi we wszystkich kierunkach, anteny

radiowe kołyszące się na branych z dużą szybkością zakrętach, wycie syren. Do licha. Kto by pomyślał, mówiła mina Pote Galveza, że wrócimy z taką pompą. Przejechali aleją Zapaty, skręcili w Libramiento Norte na wysokości stacji benzynowej El Valle. Potem wyjechali na nadmorski bulwar z topolami i wielkimi wierzbami, które sprowadzały na ziemię deszcz, światła miasta, znajome miejsca, most, ciemne ujście Tamazuli, dzielnica Chapultepec. Teresa przypuszczała, że poczuje coś szczególnego, kiedy znów się tu znajdzie, stwierdziła jednak, że nie ma wielkiej różnicy między jednym miejscem a drugim. Nie czuła wzruszenia ani strachu. Ona i Pote Gálvez przez całą drogę obserwowali się nawzajem. Wreszcie Teresa zapytała: co ci chodzi po głowie, Pinto? Zbir zwlekał z odpowiedzią, wyglądając przez okno, jego wąsy przypominały ciemną szczotkę, a krople deszczu na szybie rzucały cienie plam na twarz, kiedy z przeciwka mijały ich światła innych samochodów. No, nic specjalnego, szefowo, odpowiedział w końcu. Tylko tak jakoś dziwnie. W jego głosie nie było żadnej intonacji, twarz Indianina z północy nie miała wyrazu. Siedział bardzo oficjalnie obok niej na skórzanym siedzeniu suburbana, z rękami założonymi na brzuchu. I po raz pierwszy od czasu tamtego spotkania w piwnicy w osiedlu Nueva Andalucía wydał się Teresie bezbronny. Nie pozwolono mu nosić broni, ale porozumienie przewidywało, że w domu będzie mógł ją trzymać dla osobistej ochrony ich obojga, choć od ogrodu mieli ich strzec agenci policji federalnej, a od ulicy żołnierze. Co chwila rewolwerowiec wyglądał przez szybę, rozpoznając to czy inne miejsce. Mówił niewiele. Był tak samo milczący jak przed wyjazdem z Marbelli, kiedy Teresa poprosiła, żeby usiadł naprzeciwko, i wytłumaczyła mu, dlaczego wyjeżdża. Dlaczego wyjeżdżają. Nie po to, żeby kogoś zdradzić, ale po to, żeby wyrównać rachunki, wysokie rachunki, z pewnym wyjątkowym sukinsynem. Tylko z nim, z nikim więcej. Pote przez chwilę się zastanawiał. Powiedz mi, co naprawdę o tym myślisz, zażądała. Muszę wiedzieć, zanim ci pozwolę jechać tam razem ze mną. Ja, proszę pani, nic nie myślę, brzmiała odpowiedź. I mówię pani prawdę, czy raczej nie mówię tego, czego nie mówię, za pozwoleniem. Może nawet mam swoje uczucia, szefowo. Dlaczego miałbym mówić, że nie, jeśli tak. Ale to, co myślę czy czuję, a czego nie, to moja sprawa.

Czyli tak. Jeśli pani uważa, że trzeba zrobić to czy tamto, to pani to zrobi. Jeśli pani zdecyduje, że wraca, to dla mnie nie ma sprawy. Jadę z panią.

Odwróciła się od okna i podeszła do stołu po papierosa. Paczka farosów leżała obok sig sauera i trzech pełnych magazynków naboju kaliber .9 do parabellum. Teresa nie знаła tego pistoletu i Pote Gálvez przez cały poranek uczył ją, jak się go rozkłada i z powrotem składa z zamkniętymi oczami. Jeśli przyjdą w nocy, a pani będzie miała pod ręką spluwę, szefowo, to lepiej, żeby umiała pani ją przygotować po ciemku. Teraz jej goryl podszedł z zapaloną zapalką, skinął głową, kiedy mu podziękowała, a potem stanął przy oknie, w miejscu, gdzie przed chwilą stała Teresa, i rozejrzał się wokół.

– Wszystko w porządku – powiedziała, wypuszczając dym.

To wielka przyjemność znów zapalić farosa, po tylu latach. Goryl wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że co do porządku, to w Culiacán słowo to ma dość względne znaczenie. Potem poszedł na korytarz i Teresa słyszała, jak rozmawia z jednym z tych policjantów federalnych, którzy pilnowali domu. Trzech agentów w środku, sześciu w ogrodzie, dwudziestu żołnierzy na zewnątrz ogrodu, zmiana co dwanaście godzin – mieli oni za zadanie utrzymywać na odległość ciekawskich, dziennikarzy i bandziorów, którzy z pewnością już krążyli wokół, wypatrując sposobności. Ciekawa jestem, pomyślała, ile daje za moją skórę deputowany i kandydat na senatora ze stanu Sinaloa, don Epifanio Vargas.

– Jak myślisz, Pinto, ile jesteśmy wari?

Znów zjawił się w drzwiach z tym swoim wyglądem niezdarnego niedźwiedzia, jaki miał wtedy, kiedy nie chciał rzucać się w oczy. Pozornie spokojny, jak zwykle. Ale dostrzegła, że pod przymkniętymi powiekami jego ciemne i podejrzliwe oczy ostro kombinowały.

– Mnie to wykończą gratis, szefowo... Ale z pani zrobił się nielichy kasek. Nikt by się w to nie pchał za mniej niż kasę na całe życie.

– Myślisz, że robi to jakiś ochroniarz czy przyjdzie ktoś z zewnątrz?

Parsknął, zmarszczył czoło i wąsy.

– Chyba ktoś z zewnątrz – powiedział. – *Narcos* i policjanci są tacy sami, ale nie zawsze, choć czasem tak... Rozumie mnie pani?

– Mniej więcej.

– Taka jest prawda. A co do wojskowych, to ten pułkownik wygląda na najważniejszego tutaj. Dobry człowiek... Z tych, co są gotowi walczyć, jeśli trzeba.

– Warto by to zobaczyć.

– Nie byłoby wcale źle, proszę pani. Zobaczyć to wreszcie i dać czadu.

Teresa się uśmiechnęła. Rozumiała swojego ochroniarza. Oczekiwanie jest zawsze gorsze od samej walki, nawet bardzo trudnej. Ona też podjęła pewne środki ostrożności. Nie była panienką bez doświadczenia, miała swoje metody i знаła mistrzów. Podróż do Culiacán poprzedzona została odpowiednią kampanią informacyjną, łącznie z wykorzystaniem lokalnej prasy. Hasło brzmiało: tylko Vargas. Żadnego kapowania, szpiclowania, gadania: osobista sprawa w rodzaju „pojedynek w słońcu”, a reszta niech się dobrze bawi na przedstawieniu. Będzie bezpiecznie. Nie padną żadne nazwiska ani daty. Nic. Tylko don Epifanio, ona i duch Blondyna Dávili, który spłonął w Espinazo del Diablo przed dwunastu laty. Nie było to donosicielstwo, ale zemsta, osobista, ograniczona do jednego człowieka. To daje się łatwo zrozumieć w stanie Sinaloa, gdzie kapowanie jest bardzo źle widziane, a zemsta, której ofiary zapełniają lokalne cmentarze, jest normą. Taka umowa została zawarta w hotelu Puente Romano i rząd meksykański na to przystał. Amerykanie, zgrzytając zębami, też się zgodzili. Jedno konkretne zeznanie i jedno nazwisko. Nawet César Batman Güemes i pozostali szefowie, którzy w swoim czasie byli blisko z Epifaniem Vargasem, w żadnym stopniu nie powinni czuć się zagrożeni. To, jak można się było spodziewać, nieco uspokoiło Batmana i resztę. Zwiększyło także szanse przeżycia Teresy i redukowało fronty ataku. Bo w sumie, w świecie ludożerstwa, pieniądza i narkopolityki stanu Sinaloa, don Epifanio był, czy bywał, sprzymierzeńcem, lokalnym prominentem, ale równocześnie konkurentem, i wcześniej czy później wrogiem. I dla wielu było bardzo wygodne, że ktoś usuwa go ze sceny, i do tego po tak niskich kosztach. Zadzwoił telefon. Pote Gálvez chwycił słuchawkę, a potem popatrzył na Teresę, jakby po drugiej stronie linii ktoś wypowiedział imię ducha. Ona jednak wcale nie była zaskoczona. Od czterech dni czekała na ten telefon. I robiło się już późno.

– To jest niezgodne z umową, proszę pani. Nie mam pozwolenia.

Pułkownik Edgar Ledesma stał na środku dywanu w salonie, z rękami założonymi na plecy, w odprasowanym polowym mundurze, wypolerowane wysokie buty lśniły od deszczu. Jego bardzo krótkie, typowo żołnierskie włosy wyglądały świetnie, stwierdziła Teresa, nawet mimo śladów siwizny. Taki dobrze wychowany i czysty. Przypominał jej nieco tamtego kapitana żandarmerii z Marbelli, którego nazwisko jej umknęło.

– Brakuje niecałej doby do terminu przesłuchania pani przez prokuratora generalnego.

Teresa siedziała, paląc, z nogą założoną na nogę, w czarnych jedwabnych spodniach. Patrzyła na niego z dołu. Spokojna. Chce, żeby wszystko było jasne.

– Niech pan pozwoli, pułkowniku, że przypomnę. Nie jestem tutaj więźniem.

– Oczywiście że nie.

– Jeśli zgadzam się na pańską ochronę, to znaczy że chcę się na nią zgodzić. Nikt jednak nie może mi przeszkodzić, bym poszła, dokądkolwiek zechcę... Taka jest umowa.

Ledesma przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Teraz patrzył na mecenasa Gavirię z Generalnej Prokuratury Republiki, będącego łącznikiem z władzami cywilnymi, które prowadziły tę sprawę. Gaviria też stał, nieco dalej, za nim Pote Gálvez oparty o framugę drzwi, a sponad jego ramienia spoglądał z korytarza adiutant pułkownika – młody porucznik.

– Niech pan wytłumaczy pani – poprosił pułkownik – że to, o co pani prosi, jest niemożliwe.

Gaviria przyznał rację Ledesmie. Był to mężczyzna drobny, miły, ubrany i ogolony z wielką dbałością. Teresa spojrzała na niego przelotnie, przemknęła wzrokiem, jakby go nie dostrzegła.

– Ja, pułkowniku, o nic nie proszę – powiedziała do wojskowego.

– Jedynie pana informuję, że zamierzam dziś po południu opuścić ten dom na jakieś półtorej godziny. Mam spotkanie w mieście... Pan może wydać rozkazy, które zapewnią mi tam bezpieczeństwo, lub może pan tego nie robić.

Ledesma kręcił głową bezsilnie.

– Prawo federalne zabrania mi używać wojska w mieście. To, że moi ludzie są tutaj, już jest właściwie naciąganiem przepisów.

– Z kolei władze cywilne... – zaczął mówić Gaviria.

Teresa zgasła papierosa w popielniczce z taką siłą, że oparzyła sobie palce.

– Niech się pan nie wyrywa, mecenasie. Z władzami cywilnymi załatwię sprawę jutro, tak jak to było ustalone, dokładnie w przewidzianym czasie.

– Należy zwrócić uwagę, że zgodnie z prawem...

– Przepraszam pana, ale w hotelu San Marcos mam całą armię adwokatów, którym płacę jak za zboże. – Wskazała na telefon. – Czy mam do nich dzwonić?

– To może być zasadzka – stwierdził pułkownik.

– Coś takiego?! Naprawdę?

Ledesma przejechał dłonią po czaszce. Potem zrobił kilka kroków, obserwowany przez przerażonego Gavirię.

– Będę musiał porozumieć się z moimi zwierzchnikami.

– Proszę się porozumieć, z kim pan chce – powiedziała Teresa. – Musi pan jednak wiedzieć, że jeśli przeszkodzą mi panowie pójść na to spotkanie, będę uważała, że jestem aresztowana, wbrew gwarancjom rządowym. A to stanowi podstawę do zerwania umowy... Poza tym chciałam przypomnieć, że w Meksyku nie wniesiono przeciwko mnie żadnych oskarżeń.

Pułkownik przyglądał się jej uważnie. Przygryzł dolną wargę, jakby mu trochę przeszkadzała. Wykonał ruch w kierunku drzwi, sugerujący, że zamierza wyjść, ale zatrzymał się w pół kroku.

– Co pani zyskuje, ryzykując tak wiele?

Widać było, że naprawdę stara się zrozumieć. Teresa rozprostowała nogi, dłońmi wygładziła zmarszczki na czarnym jedwabiu. Co zyskuje i co tracę, odpowiedziała, to moja sprawa, a wam wszystkim od tego wara. Powiedziała to i zamilkła, i po chwili usłyszała ciężkie westchnienie wojskowego. Kolejna wymiana spojrzeń z Gavirią.

– Poproszę o instrukcje – powiedział pułkownik.

– Ja też – dodał urzędnik.

– Świetnie. Niech panowie proszą, o co trzeba. Ja tymczasem proszę o samochód przed bramą dokładnie o siódmej wieczorem. Z nim – wskazała w kierunku Pote Galveza – w środku, i to dobrze uzbrojonym... Kto będzie dookoła lub w górze, pułkownika, to już pańska sprawa.

Mówiła to, patrząc cały czas na Ledesnę. Tym razem, wyliczyła, mogę sobie pozwolić na lekki uśmiech. Zawsze robi na nich wrażenie, jeśli kobieta uśmiecha się, kiedy ich trzyma za jaja. No i co, pieseczku. Miałeś się za mustanga z reklamy Marlboro?!

Zum-zum. Zum-zum. Wycieraczki na przedniej szybie hałasowały monotonnie, a krople deszczu, odbijając się od dachu suburbana, dźwięczały jak grad kul. Kiedy policjant, który prowadził samochód, skręcił kierownicę w lewo i wjechał w aleję Insurgentes, Pote Gálvez, siedzący na fotelu obok kierowcy, rozejrzał się na boki i obie ręce ułożył na karabinie AK 47, który trzymał na kolanach. W kieszeni marynarki miał walkie-talkie nastawione na tę samą częstotliwość co radio w suburbanie i Teresa na tylnym siedzeniu słyszała głosy policjantów i żołnierzy uczestniczących w tej akcji. Cel Jeden i Cel Dwa, mówili. Jeden to była ona. Z Celem Dwa miała się spotkać za chwilę.

Zum-zum. Zum-zum. Był jeszcze dzień, ale szare niebo zaciemniało ulice i w niektórych sklepach włączono już oświetlenie. Deszcz mnożył świetliste błyski z niewielkiego konwoju. Suburban i jego eskorta – dwa ram chargery policji federalnej i trzy terenowe lobo pełne żołnierzy z karabinami – podnosiły fontanny wody z burych strumieni, które spływały ulicami do Tamazuli, przepełniając studzienki i ścieki. Na niebie, w głębi, widoczna była czarna smuga, na której tle odcinały się najwyższe budynki alei, a poniżej jaśniał czerwonawy pas, który wydawał się uginać pod ciężarem czerni.

– Blokada, szefowo – powiedział Pote Gálvez.

Zabrzmiał dźwięk, jaki wydaje kałasznikow, kiedy się go ładuje, a kierowca obrzucił ochroniarza Teresy niespokojnym spojrzeniem z ukosa. Kiedy mijali blokadę, nawet nie zwalnając, Teresa zobaczyła, że ustawiło ją wojsko, a żołnierze w hełmach, z gotowymi do strzału R15 i M16, zatrzymali i skierowali na pobocze dwa samochody policyjne i całkiem jawnie przyglądali się agentom stanowym siedzącym

w środku. Najwyraźniej pułkownik Ledesma ufał innym tylko na tyle, na ile to było konieczne. Widocznie po dokładnym przestudiowaniu przepisów zabraniających użycia sił wojskowych na terenie miasta komendant Dziewiątej Strefy musiał znaleźć jakiś sposób na ich obejście, bo przecież normalny stan dla każdego wojskowego to stan wyjątkowy. W pewnej chwili Teresa zobaczyła oddziały żołnierzy i policjantów ustawionych szpalerem pod drzewami na pasie zieleni oddzielającym oba pasma ruchu i zauważyła, że policja drogowa kieruje pojazdy na inne ulice. A dalej, między szynami kolei i wielkim betonowym sześcianem siedziby administracji stanowej, widniała kaplica Świętego Malverdego. Wydawała się dużo mniejsza niż ta, którą pamiętała sprzed dwunastu lat.

Wspomnienia. Zrozumiała nagle, że podczas tej bardzo długiej podróży w tę i z powrotem zdobyła tylko trzy pewne wiadomości na temat życia i ludzi: że zabijają, pamiętają i umierają. Bo przychodzi taki moment, pomyślała, kiedy patrzysz w przód, a widzisz tylko to, co jest za tobą: trupy, które pozostały za tobą podczas twojej wędrówki. Pomiędzy nimi jest i twój trup, choć o tym nie wiesz. Dopóki go nie zobaczysz, bo wtedy już wiesz.

Szukała siebie pośród cieni w kaplicy, w spokoju ławki stojącej na prawo od figury świętego, w czerwonym półmroku rozjaśnianym płomieniami świec płonących z cichym trzaskiem, między kwiatami i wotami wiszącymi na ścianie. Jasność dnia bardzo szybko niknęła i błyski niebiesko-czerwonego koguta na samochodzie policyjnym oświetlały wejście coraz wyraźniej, w miarę jak czerniała brudna szarość wieczoru. Stojąc przed figurą świętego Malverdego, przyglądała się jego czarnym włosom, jakby ufarbowanym przez fryzjera, białej kurtce i apaszce na szyi, lekko skośnym oczom i meksykańskim wąsom. Teresa poruszyła wargami, próbując się modlić jak kiedyś – *Niech Bóg błogosławi mojom drogę i pozwoli mi powrócić*, jednak nie udało jej się wypowiedzieć żadnej modlitwy. Może to świętokradztwo, pomyślała nagle. Może nie powinnam była wyznaczać spotkania w tym miejscu. Może z czasem zgłupiałam i stałam się arogancka, i nadeszła pora, żeby za to zapłacić.

Kiedy była tu ostatnim razem, ta druga kobieta przyglądała się jej

spośród mroku. Teraz szukała jej i nie znajdowała. Chyba że, stwierdziła, to ja jestem tą drugą albo ona jest we mnie, a dziewczyna o przestraszonych oczach, panienska uciekająca z coltem w dłoni przemieniła się w jednego z tych duchów, które blakają się za moimi plecami i patrzą na mnie wzrokiem pełnym oskarżeń, czasem smutnym, czasem obojętnym. Może na tym właśnie polega życie, człowiek oddycha, chodzi, rusza się tylko po to, żeby któregoś dnia zatrzymać się i spojrzeć w tył, i zobaczyć tam siebie samego. Żeby rozpoznać siebie w następujących po sobie kolejno momentach umierania, własnego i innych ludzi, na które skazuje cię każdy krok, jaki stawiasz.

Włożyła ręce do kieszeni płaszcza – pod spodem miała sweter, dzinsy i wygodne wysokie buty na gumowej podeszwie – i wyjęła paczkę farosów. Zapaliła jednego od płomienia świecy poświęconej Malverdemu. I wtedy ujrzała w drzwiach wykrojoną z ciemności czerwonymi i niebieskimi błyskami sylwetkę don Epifania Vargasa.

– Teresita. Ile to już czasu!

Wyglądał niemal tak samo, stwierdziła. Wysoki, silny. Powiesił swój prochowiec na wieszaku przy drzwiach. Ciemny garnitur, rozpięta koszula bez krawata, wysokie buty ze szpicami. Twarz jak ze starych filmów Pedro Armendariza. Na wąsach i skroniach miał sporo siwych włosów, kilka zmarszczek więcej, może przytył w pasie. Ale to był on, ten sam.

– Trudno byłoby cię rozpoznać.

Rzucił podejrzliwe spojrzenie na boki i zrobił kilka kroków w głąb kaplicy. Przyglądał się uważnie Teresie, starając się znaleźć podobieństwo do kobiety, którą zachował w pamięci.

– Pan niewiele się zmienił – powiedziała. – Może trochę pan przytył i posiwił.

Siedziała na ławce, obok figury Malverdego, ale nie poruszyła się, kiedy wszedł.

– Masz broń? – zapytał don Epifanio przezornie.

– Nie.

– To dobrze. Mnie zrewidowały te szczeniaki na zewnątrz. Ale nie miałem.

Westchnął, spojrzął na Malverdego oświetlanego drżącymi płomieniami

świec, a potem znów na nią.

– Sama widzisz. Skończyłem sześćdziesiąt cztery lata. Ale nie narzekam. Podszedł bardzo blisko, uważnie przyglądał się jej z góry. Siedziała bez ruchu. Udało jej się wytrzymać jego spojrzenie.

– Powiodło ci się, Teresita.

– Panu też nieźle poszło.

Don Epifanio powoli potaknął głową. Zamyślony. Potem usiadł obok niej. Dokładnie tak samo jak poprzednim razem, tyle tylko że ona nie trzymała teraz na kolanach colta Double Eagle.

– Dwanaście lat, prawda? Ty i ja siedzieliśmy w tym samym miejscu ze słynnym notesem Blondyna...

Przerwał, by mogła odwołać się do tych samych wspomnień. Teresa jednak zachowała milczenie. Po chwili don Epifanio wyjął hawańskie cygaro z górnej kieszonki marynarki. Nigdy nie przypuszczałem, zaczął, zrywając celofanowe opakowanie. Znów jednak przerwał, jakby doszedł do wniosku, że to, czego nie przypuszczał, nie ma żadnego znaczenia. Myślę, że nikt tutaj cię nie doceniał. Ani ten twój facet, ani ja. Nikt. Słowa „twój facet” wypowiedział ciszej, jakby starał się, żeby przeszły niezauważone pośród reszty.

– Pewnie dlatego jeszcze żyję.

Mężczyzna zastanawiał się nad jej słowami, płomieniem zapalniczki rozgrzewał cygaro.

– To nie jest stan trwały ani gwarantowany – stwierdził po chwili, puszczając pierwszy kłęb dymu. – Człowiek żyje, dopóki nie przestanie żyć.

Palili, nie patrząc na siebie. Ona już kończyła swojego papierosa.

– Co ty tu właściwie robisz?

Zaciągnęła się ostatni raz, czując już żar między palcami. Potem upuściła niedopałek i zdeptała go starannie. No cóż, odpowiedziała, załatwiam stare porachunki. Porachunki, powtórzył mężczyzna. Potem pociągnął cygaro i wyraził swoją opinię: lepiej te sprawy zostawić tak, jak są. Nie da się, powiedziała, bo nie mogę przez nie spać.

– Niczego dzięki temu nie zyskasz – przekonywał ją don Epifanio.

– To moja sprawa, co na tym zyskam.

Przez chwilę wsłuchiwali się w trzaskanie płomieni świec na ołtarzu.

I w uderzenia strumieni deszczu o dach kaplicy. Kogut na samochodzie policyjnym na zewnątrz stale błyskał niebieskim i czerwonym światłem.

– Dlaczego chcesz mi dowalić? W ten sposób pomagasz tylko moim przeciwnikom politycznym.

Trafia we właściwy ton, przyznała. Niemal wzruszający. Nie brzmi to jak zarzut, ale raczej jak pełne żalu pytanie. Zdradzony ojciec chrzestny. Zraniona przyjaźń. Nigdy nie widziałam w nim złego człowieka, pomyślała. Często bywał szczery, może nadal taki jest.

– Nie wiem, kim są pańscy przeciwnicy polityczni, i nic mnie to nie obchodzi – odpowiedziała. – Pan kazał zabić Blondyna. I Chińczyka. Brendę. I dzieciaki.

Skoro odwołujemy się do wzruszeń, proszę bardzo. Don Epifanio spojrział na żar cygara i zmarszczył brwi.

– Nie wiem, co ci naopowiadali. Jesteśmy przecież w Sinaloa... Jesteś stąd i wiesz, jakie są zasady.

Zasady, powiedziała powoli Teresa, dotyczą też wyrównywania rachunków, jeśli ktoś komuś jest coś winien. Przerwała i usłyszała oddech człowieka słuchającego uważnie jej słów. Przecież potem chciał pan, żeby zabili i mnie.

– To nieprawda. – Don Epifanio wydawał się oburzony. – Byłaś tutaj, ze mną. Uratowałem ci życie... Pomogłem ci uciec.

– Mówię o tym, co było później. Kiedy zaczął pan tego żałować.

W naszym świecie, odparł po chwili zastanowienia, interesy są bardzo skomplikowane. Kiedy wypowiedział te słowa, popatrzył na nią uważnie, jak ktoś, kto czeka na efekt działania środków uspokajających. W każdym razie, dodał w końcu, mógłbym zrozumieć, gdyby to były porachunki między tobą a mną. Jesteś z Sinaloa, rozumiem. Ale zadawać się z Amerykanami i z tymi pachołkami rządu, którzy robią wszystko, żeby mnie wykończyć...

– Nie ma pan pieprzonego pojęcia, z kim się zadaję.

Powiedziała to złowieszczo, ze zdecydowaniem, które kazało mu się nad tym zastanowić. Zamyślił się, z cygarem w ustach, z przymkniętymi przed dymem oczami obserwując zmieniające się niebieskie i czerwone odblaski.

– Powiedz mi, proszę. Tamtego wieczoru przeczytałaś jego notes,

prawda? Wiedziałaś o sprawach Blondyna Dávili... A ja nie zorientowałem się. Oszukałaś mnie.

– Szło o moje życie.

– Po co odgrzebywać stare sprawy?

– Bo wcześniej nie wiedziałam, że to pan poprosił o drobną przysługę Batmana Güemesa. A Blondyn był moim facetem.

– Był szpiclem z DEA.

– Wszystkim: i szpiclem, i z DEA. I moim facetem.

Dosłyszała, mimo że usiłował je stłumić, soczyste góralskie przekleństwo. Wstał. Jego potężna sylwetka zdawała się wypełniać całą kaplicę.

– Posłuchaj. – Popatrzył na figurę Malverdego, jakby świętego patrona wszystkich handlarzy narkotyków powoływał na świadka. – Zawsze byłem w porządku. Byłem jakby waszym ojcem chrzestnym. Ceniłem Blondyna i szanowałem ciebie. On mnie zdradził, a mimo to ocaliłem twoją śliczną skórę... To, co potem, to była już inna sprawa, twoje życie i moje poszły swoimi drogami... Dużo czasu minęło, teraz już jestem daleko. Jestem stary, mam wnuki. Z przyjemnością zajmuję się polityką, a w senacie mogę robić całkiem nowe rzeczy. Między innymi mogę działać na korzyść Sinaloa... Co zyskasz, stając mi na drodze? Chcesz pomagać Amerykanom, żeby dalej spożywali połowę światowej produkcji narkotyków i równocześnie sami decydowali, kiedy ten handel jest dobry, a kiedy zły? Amerykanom, którzy z zysków z handlu narkotykami finansowali antykomunistyczne bojówki w Wietnamie, a potem prosili nas, Meksykanów, żebyśmy płacili za broń *contras* w Nikaragui? Słuchaj, Teresita, ci, którzy teraz wykorzystują ciebie, pozwolili mi zarobić góry dolarów w Norteña de Aviación, a potem pomogli mi je wyprać w Panamie... Powiedz, co ta banda ci teraz proponuje. Nietykalność? Pieniądze?

– Ani jedno, ani drugie. To wszystko jest bardziej złożone. Niełatwo to wytłumaczyć.

Epifanio Vargas znów zaczął się jej przyglądać. Kiedy tak stał przy ołtarzu, w świetle płonących świec, wydawał się dużo starszy.

– Chcesz, żebym ci powiedział – kontynuował – kto z Amerykanów najbardziej mi dopieprza? Kto najmocniej naciska na DEA? Pewien

prokurator federalny z Houston, o nazwisku Clayton, blisko związany z Partią Demokratyczną... A wiesz, kim on był, zanim został prokuratorem? Był obrońcą meksykańskich i amerykańskich handlarzy narkotyków i bliskim przyjacielem Ortiza Calderona, dyrektora departamentu ochrony powietrznej w meksykańskiej policji federalnej, który teraz żyje w Stanach ze statusem świadka koronnego, a wcześniej schował do kieszeni miliony dolarów... A po tej stronie chcą mnie wykończyć ci sami ludzie, którzy robili interesy z Amerykanami i ze mną: adwokaci, sędziowie, politycy, którzy próbują wszystkim wokół zamydlić oczy, wykorzystując mnie jako kozła ofiarnego... Chcesz mi dopieprzyć po to, żeby im pomóc?

Teresa nie odpowiedziała. Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, potem bezsilnie pokręcił głową.

– Ja jestem zmęczony, Teresita. Dużo już się w życiu napracowałem i dużo nawalczyłem.

To prawda, i ona to wiedziała. Był chłopem z Santiago de los Caballeros, który kiedyś w słomianych butach chodził po polach fasoli. Nikt mu niczego nie podarował.

– Ja też jestem zmęczona.

Znów przyglądał się jej uważnie, jakby szukał szczeliny, przez którą mógłby dojrzeć, co też jej chodzi po głowie.

– To znaczy, że nie możemy się dogadać – stwierdził.

– Wydaje mi się, że nie.

Żar hawańskiego cygara oświetlił twarz don Epifania Vargasa.

– Przyszedłem spotkać się z tobą – zaczął, a jego ton był już teraz inny

– żeby wszystko ci wyjaśnić... Może byłem ci to winien, a może i nie. Ale przyszedłem tak samo jak dwanaście lat temu, kiedy mnie potrzebowałaś.

– Wiem i jestem panu wdzięczna. Nie zrobił mi pan nigdy więcej krzywdy, niż uznał pan za konieczne... Ale każdy idzie własną drogą.

Długie milczenie. Deszcz ciągle padał na dach kaplicy. Święty Malverde obojętnie patrzył w pustkę namalowanymi oczami.

– To wszystko tam na dworze nie jest żadną gwarancją – powiedział w końcu Vargas. – Sama wiesz. W ciągu czternastu czy szesnastu godzin bardzo wiele może się zdarzyć...

Mam to gdzieś, odpowiedziała Teresa. Teraz pański ruch. Don Epifanio pokiwał głową, powtarzając, że teraz jego ruch, jakby udało jej się trafnie podsumować stan rzeczy. Uniósł dłonie, które potem opadły na boki, jakby podkreślając beznadzieję. Powinienem był zabić cię tamtej nocy, stwierdził ze smutkiem. Tu, w tym samym miejscu. Powiedział to beznamiętnie, spokojnie i obiektywnie. Teresa patrzyła na niego, siedząc bez ruchu na ławce. Tak, powinien pan być, powiedziała cicho. Ale nie zrobił pan tego, a ja teraz się rewanzuję. Może i ma pan rację, że rachunek jest zbyt wysoki. Ale chodzi o Blondyna, Kocura Fierrosa i wielu innych, których nawet pan nie znał. Bo to pan płaci za nich wszystkich. I płacę ja.

– Oszalałaś.

– Nie. – Teresa się podniosła. Jej twarz oświetlały błyski samochodów i czerwone płomienie świec. – Umarłam. Pańska Teresita Mendoza umarła dwanaście lat temu. I przyjechałam ją pogrzebać.

Oparła czoło o zamgloną szybę na drugim piętrze, zimne i wilgotne szkło chłodziło jej skórę. W świetle reflektorów w ogrodzie strumienie deszczu stawały się tysiącami świetlistych punkcików spadających pomiędzy gałęziami drzew lub zawieszonych na brzegach liści. Trzymała w palcach papierosa, butelka Herradura Reposado stała na stole obok kieliszka, pełnej popielniczki i sig sauera z trzema zapasowymi magazynkami. Z wieży stereo płynęła piosenka José Alfredo; Teresa nie wiedziała, czy puszczone jedną z płyt Pote Galveza, czy jedną z kaset, których słuchali razem w samochodach i w hotelach, czy też nagranie należało do wyposażenia domu, w którym ją ulokowano:

*Moje pół kieliszka zostało niedopite,
bo szedłem za tobą, sam nie wiem po co.*

Całe godziny spędzała w ten sposób. Tequila i muzyka. Wspomnienia i terażniejszość bez przyszłości. Maria Bandytka. *Niechaj się skończy moje życie. Noc mojego nieszczęścia.* Wypiła pozostałe pół kieliszka i napełniła go znowu, potem podeszła do okna, starając się, żeby jej postać nie była zbyt widoczna w świetle. Zamoczyła usta w tequili, mrużąc słowa piosenki. *Pół mojego szczęścia zabrałaś ze sobą, obyś je miała z następnym.*

– Wszyscy sobie poszli, szefowo.

Odwróciła się powoli, nagle czując przenikliwy chłód. Pote Gálvez stał w drzwiach w samej koszuli. Nigdy się jej nie pokazywał ubrany w ten sposób. W rękę trzymał walkie-talkie, rewolwer w kaburze miał przypięty do pasa i wyglądał bardzo poważnie. Śmiertelnie poważnie. Przepocona koszula lepiła mu się do grubego torsu.

– Jak to wszyscy?

Spojrzała na niego niemal z wyrzutem. Wszyscy, to znaczy wszyscy poza panią i tym, który tu stoi. Tak mówił jej goryl bez słów.

– Policja federalna z obstawy – wyjaśnił w końcu. – Dom jest pusty.

– A dokąd poszli?

Nie odpowiedział. Ograniczył się do wzruszenia ramionami. Teresa wyczytała resztę z oczu podejrzliwego Indianina z północy. Żeby zobaczyć krowę, Pote Gálvez nie potrzebował radaru.

– Zgaś światło – powiedziała.

Pokój pogrążył się w mroku, oświetlany jedynie odblaskiem lampy z korytarza i latarniami w ogrodzie. Wieża zrobiła klik i zamilkł José Alfredo. Teresa podeszła do futryny okna i rozejrzała się. Za kratą bramy wejściowej wszystko wyglądało normalnie – na ulicy widać było żołnierzy i samochody stojące pod wysokimi latarniami. W ogrodzie jednak nie dostrzegła żadnego ruchu. Nie dostrzegła też żadnego z policjantów, którzy zazwyczaj pełnili tam służbę.

– Kiedy była zmiana, Pinto?

– Piętnaście minut temu. Przyszła nowa grupa i tamci odeszli.

– Ilu?

– Tak samo jak zawsze: trzech ponurych w domu i sześciu w ogrodzie.

– A co z radiem?

Pote przycisnął dwa razy wyłącznik walkie-talkie. Ani mru-mru, proszę pani. Cisza. Ale jeśli pani chce, możemy zapytać żołnierzy. Teresa pokręciła głową. Podeszła do stołu, wzięła do ręki sig sauera, a trzy zapasowe magazynki włożyła do kieszeni spodni, po jednym do tylnych kieszeni i jeden do przedniej, prawej. Były ciężkie.

– Nie ma o czym mówić, są za daleko. – Odbezpieczyła pistolet, klak, klak, jeden nabój w komorze i piętnaście w magazynku, i wsunęła go za pasek. – Poza tym mogą być w znowie.

– Rzucę okiem – powiedział ochroniarz – za pani pozwoleniem.

Wyszedł z pokoju, z rewolwerem w jednej ręce i walkie-talkie w drugiej, a Teresa znów przysunęła się do okna. Stojąc tam, obserwowała ogród. Wszystko wyglądało tak jak zwykle, nie dostrzegła nic podejrzanego. Przez chwilę wydawało się jej, że widzi dwie ciemne postacie przemykające między donicami pod wielkimi owocami mango. I to wszystko, ale tego też nie była pewna.

Z determinacją dotknęła rękojeści spluwy. Kilogram stali, ołowiu i prochu to z pewnością niewiele wobec tego, co mogło czekać na zewnątrz. Zdjęła z ręki srebrne bransoletki i schowała je do wolnej kieszeni. Nie byłoby dobrze, gdyby przy każdym kroku hałasowała jak grzechotnik. Jej głowa działała jak automat już od dobrej chwili, od kiedy Pote Gálvez powiedział jej o tym, co się stało. Liczenie wszelkich za i przeciw, szybki bilans. To, co możliwe, i to, co prawdopodobne. Raz jeszcze obliczyła odległość dzielącą ją od głównej bramy i od ogrodzenia, przejrzała w myślach to wszystko, co w ostatnich dniach zarejestrowała w pamięci: miejsca osłonięte i odsłonięte, trasy ucieczki, możliwe zasadzki, których należało unikać. Myślała nad tym wszystkim tak intensywnie, przypominając sobie teraz każdy szczegół, że nie miała czasu, by poczuć strach. Chyba że strachem było to uczucie fizycznej kruchości: wątłe ciało i nieskończona samotność.

Sytuacja.

To jest właśnie to, stwierdziła nagle. Wcale nie przyjechała do Culiacán, żeby złożyć zeznania obciążające don Epifania Vargasa, ale po to, żeby Pote Gálvez powiedział: zostaliśmy sami, szefowo. I żeby mogła poczuć – a teraz to czuła, z sig sauerem wsuniętym za pasek – że jest gotowa na próbę. Przygotowana, żeby przekroczyć ten ciemny próg, który przez dwanaście lat stał przed nią, odbierając jej sen w brudne szare poranki. I kiedy znów zobaczę dzienne światło, pomyślała, jeśli jeszcze kiedyś je zobaczę, wszystko się zmieni. Albo i nie.

Odsunęła się od okna, podeszła do stołu i wychyliła ostatni łyk tequili. Pół kieliszka zostało niedopite. Zostało na później, pomyślała. Jeszcze się uśmiechała do siebie, kiedy zobaczyła sylwetkę Pote Galveza wyciętą w świetle płynącym od drzwi. Miał przy sobie kałasza, a na ramieniu płócienny worek, chyba ciężki. Teresa instynktownie podnosiła już rękę

do pistoletu, zatrzymała się jednak w pół ruchu. Pinto nie, pomyślała. Wolę odwrócić się plecami i niech mnie zabije, niżbym miała do tego stopnia stracić do niego zaufanie, żeby to zauważył.

– Do licha, szefowo – odezwał się Pote. – Wpuścili nas w takie maliny, że tamto w Coyote to było małe piwo. Cholerne dranie.

– Policja czy wojsko? Może jedni i drudzy?

– Ja bym powiedział, że to sprawa glin, a reszta się przygląda. Ale kto to może wiedzieć? Mam wezwać pomoc przez radio?

Teresa się roześmiała. Czyją pomoc, zapytała. Jakoś wszyscy sobie poszli na jednego głębszego do baru za rogiem. Pote Gálvez popatrzył na nią, podrapał się w skroń łufą kałasza i w końcu na jego twarzy pojawił się uśmiech, na wpół zakłopotany, na wpół okrutny. To szczerza prawda, proszę pani, odezwał się w końcu, zrozumiałwszy wszystko. Zrobimy, co się da. Kiedy to powiedział, przez chwilę patrzyli na siebie, między jasnością a mrokiem, tak jak Pote nigdy wcześniej na nią nie patrzył. Wtedy Teresa znów się roześmiała, szczerze, z oczami szeroko otwartymi, nabierając głęboko powietrza w płuca, a Pote Gálvez poruszył głową z góry do dołu, jak ktoś, kto zaczyna rozumieć dobry dowcip. To jest Culiacán, szefowo, powiedział, i bardzo się cieszę, że pani teraz rechocze. Gdyby tak mogły widzieć panią te kundle, zanim ich upieczemy w żywym ogniu. Albo oni nas. A może się śmieję dlatego, że boję się umrzeć, powiedziała. Albo boję się bólu, kiedy będę umierać. Mężczyzna znów pokiwał głową, to tak jak wszyscy, szefowo, a jak pani myśli? Zanim człowiek wyzionie ducha, mija trochę czasu. Kto wie, może zanim nas wykończą, inni umrą wcześniej.

Nasłuchiwanie. Szelesty, trzaski, szmer deszczu na szybach i na dachu. Niech wszystkiego nie zagłusza bicie serca, hałas krwi w maleńkich żyłkach, które biegną wewnątrz uszu. Trzeba wyliczyć każdy krok, każde spojrzenie. Znieruchomienie z zaschniętym gardłem i skurczem mięśni, który boleśnie wznosi się przez uda i brzuch aż do piersi, blokując tę resztę oddechu, na jaką jeszcze sobie pozwalasz. Ciężar sig sauera w prawej ręce, dłoń zaciśnięta na jego rękojeści. Włosy, które odgarniasz z twarzy, bo zalepiają ci oczy. Kropla potu spływająca po powiece piecze w kąciuku i wreszcie zlizujesz ją z ust koniuszkiem języka. Słona.

Oczekiwanie.

Kolejny szmer w korytarzu, a może na schodach. Spojrzenie Pote Galveza z drzwi naprzeciwko, profesjonalne, pełne rezygnacji. Klęczy, pozornie niezgrabnie, chowa pół głowy za framugą drzwi, z kałaszem gotowym do strzału, z usuniętą kolbą, żeby łatwiej nim było manewrować; jeden magazynek z trzydziestoma nabojami zamontowany, a drugi przylepiony taśmą maskującą do góry nogami, gotowy, żeby go tylko odwrócić i założyć, kiedy zostanie opróżniony poprzedni.

Kolejne szelesty. Na schodach.

Pół kieliszka zostało niedopite. Nuci Teresa bez słów. Czuje pustkę wewnątrz i absolutną przytomność na zewnątrz. Żadnych refleksji ani myśli. Niczego poza absurdalnym powtarzaniem refrenu piosenki i skupieniem wszystkich zmysłów na interpretacji dźwięków i wrażeń. Na końcu korytarza wisi obraz, w tym miejscu, gdzie zaczynają się schody: czarne ogiery galopujące po bezkresnej zielonej równinie. Na przodzie biegnie biały koń. Teresa liczy konie, poruszając wargami: cztery kare i jeden biały. Liczy je tak samo, jak policzyła wszystko w domu: dwanaście prętów w poręczy nad schodami, pięć kolorów w witrażu wychodzącym na ogród, pięcioro drzwi po tej stronie korytarza, trzy kinkiety na ścianie, jedna lampa wisząca pod sufitem. Jedna kulka w komorze pistoletu i pozostałych piętnaście w magazynku – pierwszy strzał jest bardziej suchy, kolejne już idą same, jeden po drugim – czterdzieści pięć naboji, które ma w zapasowych magazynkach ciężących jej w kieszeniach džinsów. Można tym sporo dokonać, choć wszystko zależy od tego, co mają tamci. W każdym razie, jak doradza Pote Gálvez, lepiej strzelać powoli. Bez nerwów i bez pośpiechu, szefowo, spokojnymi ruchami. W ten sposób zapas wystarcza na dłużej i mniej się marnuje. A kiedy skończy się ołów, niech im pani naubliża, to też boli.

Szelesty to odgłos kroków. Wstępujących.

Zza rogu przy podeście schodów ostrożnie wysuwa się głowa. Czarne włosy, młoda twarz. Tułów i następna głowa. Niosą przed sobą broń, lufy, które zataczają kręgi w poszukiwaniu tych, do których mają strzelać. Teresa wyciąga przed siebie ramię, patrzy z ukosa na Pote

Galveza, wstrzymuje oddech i naciska spust. Sig sauer podskakuje, plując błyskawicami, bum, bum, bum, i zanim zabrzmiał trzeci strzał, wszystkich ogłusza huk krótkich serii z korytarza, z kałusza jej ochroniarza, raaaka, terkocze, raaka, raaka, i korytarz napełnia się kwaśnym dymem, widać jednak, jak rozlatuje się w kawałki i drzazgi połowa prętów w poręczy, raaaka, raaaka, i dwie głowy znikają, a na dolnym piętrze słychać krzyki i odgłosy bieganiny; wtedy Teresa przestaje strzelać i opuszcza broń, bo Pote ze sprawnością zaskakującą u człowieka jego postury zrywa się i skulony biegnie do schodów, raaaka, raaaka, strzela po drodze ze swojego karabinu, kiedy tam dobiega, kieruje lufę w dół i bez celowania puszcza kolejną długą serię; z torby na ramieniu wyjmuje granat, zębami wyciąga zawleczkę, jak na filmach, i wrzuca go w pustkę przy schodach, wraca krótkim biegiem, skulony, i rzuca się na podłogę, a koło schodów słychać pum pumbum, fala gorącego powietrza uderza Teresę w twarz; to wszystko, co było schodami, łącznie z kołmi, właśnie się rozpierniczyło na amen.

Amen w pacierzu.

Naraz gaśnie światło w całym domu. Teresa nie wie, czy to dobrze, czy źle. Biegnie do okna, spogląda na zewnątrz i widzi, że ogród też pograżył się w ciemności, świecą jedynie latarnie po drugiej stronie bramy i ogrodzenia. Skulona biegiem wraca do drzwi, potyka się o stół i zrzuca wszystko, co na nim leżało, tequila i papierosy poszły w cholerę, znów rzuca się na ziemię, wystawia tylko pół twarzy i pistolet. Wyrwa w schodach jest teraz czarną studnią, słabo oświetloną przez jasność wpadającą przez rozbity witraż wychodzący na ogród.

– Jak się pani czuje?

Słowa Pote Galveza są właściwie tylko mrukiem. Dobrze, odpowiada Teresa cicho. Dość dobrze. Ochroniarz nie mówi nic więcej. Teresa domyśla się, że ukrywa się w mroku, trzy metry od niej, po drugiej stronie korytarza. Pinto, szepcze, cholernie wyraźnie widać twoją pieprzoną białą koszulę. Trudno, odpowiada tamten, teraz nie czas, żeby się przebierać.

– Szefowo, dobrze pani sobie radzi. Tylko proszę oszczędzać amunicję.

Dlaczego teraz się nie boję, zastanawia się Teresa. Niby komu się to wszystko zdarza. Jedną ręką, suchą i zimną dotyka czoła, w drugiej,

mokrej od potu, ściska pistolet. Niech ktoś mi powie, która z tych rąk jest moja.

– Wracają te sukinsyny – szepcze Pote Gálvez, przygotowując kałasza. Raaaka. Raaaka. Krótkie serie, takie jak poprzednio, i łuski kaliber .7,62 spadają ze stukotem na ziemię, dym kłębi się i piecze w gardle, pali ogień z sig sauera, który Teresa ściska obiema rękami, bum, bum, bum, otwiera usta, żeby nie popękały jej bębenki w uszach, mierzy w kierunku schodów, tam skąd dobiegają strzały, kule świszczą, ziaaang, ziaaang, tłuką złowrogo o gips na ścianach i o drewno drzwi i z trzaskiem tłuką szyby, gdy uderzają w okna po drugiej stronie korytarza. Nagle magazynek pistoletu zatrzymuje się, klak, klak, i Teresa patrzy zdezorientowana, aż wreszcie rozumie, przyciska blokadę, żeby wyjąć pusty magazynek i wkłada następny, ten, który miała w przedniej kieszeni dżinsów, a kiedy zwalnia spust, kula zaskakuje i wpada do komory. Mierzy, żeby znów wystrzelić, ale zatrzymuje się, bo Pote wysunął z ukrycia połowę ciała i kolejny granat toczy się w ciemności po korytarzu ku schodom; tym razem wybuch wydaje się potężny, pum, pumbum znowu, o sukinsyny, kiedy ochroniarz zrywa się i biegnie skulony w kierunku wyrwy z kałaszem gotowym do strzału, Teresa także się podnosi i biegnie obok niego, razem docierają do potrzaskanej poręczy, pochylają się i prażą ogniem do wszystkiego co się da na dole, w błyskach strzałów dostrzegają przynajmniej dwa ciała leżące wśród ruin schodów.

Do licha. Bołą ją płuca od wdychania prochu. Powstrzymuje kaszel, jak tylko potrafi, nie wie, ile czasu minęło. Bardzo chce się jej pić. Nie czuje strachu.

– Ile ma pani amunicji?

– Niewiele.

– Niech pani łapie.

W ciemności chwytą w powietrzu dwa pełne magazynki, które rzuca jej Pote Gálvez, ale trzeci upada na ziemię. Szuka go po omacku, znajduje i chowa do tylnej kieszeni.

– Szefowo, czy nikt nam nie pomoże?

– Nie chrzań.

– Za murami są żołnierze... Pułkownik wyglądał na uczciwego

człowieka.

– Jego władza kończy się na ogrodzeniu. Musielibyśmy tam dotrzeć.

– Bez szans. Za daleko.

– Tak. Za daleko.

Skrzypnięcia i kroki. Chwyta pistolet i celuje do cieni, zaciskając zęby. Może nadszedł czas, myśli. Ale nikt nie nadchodzi. Fałszywy alarm.

Nagle widzą ich tuż obok, choć nie słyszeli, jak wchodzili. Tym razem granat toczący się po podłodze jest przeznaczony dla nich i Pote Gálvez w ostatniej chwili ją ostrzega. Teresa turla się do środka, osłania głowę dłońmi, eksplozja wycina jasność w drzwiach i oświetla korytarz, jakby to był dzień. Ogłuszona, dopiero po chwili rozumie, że ten daleki hałas to wściekłe serie, które puszcza Pote Gálvez. Ja też powinnam coś zrobić, myśli. Unosi się, zataczając się z powodu szoku po wybuchu, chwyta pistolet, posuwa się na klęczkach do drzwi, opiera się dłonią o futrynę, wstaje, wychodzi na zewnątrz i zaczyna strzelać na oślep, bum, bum, bum, wystrzały pośród wystrzałów, a hałas rośnie, staje się coraz wyraźniejszy i bliższy, i nagle Teresa ma przed sobą czarne cienie, które zbliżają się do niej w świetle pomarańczowych i białych błyskawic, bum, bum, bum, kule przelatują obok, ziaaang, i tłuką o ściany z każdej strony, wreszcie z tyłu, poniżej jej lewego ramienia, kałas Pote Galveza dołącza do kanonady, raaaka, raaaka, tym razem jednak serie są nieskończenie długie, sukinsyny, słyszy jego krzyk, cholerne sukinsyny, i rozumie, że coś jest nie w porządku, że być może trafili w niego, a może w nią, może ona sama umiera w tej chwili, tylko o tym nie wie. Jednak jej prawa dłoń nadal naciska spust, bum, bum, jeśli strzelam, to znaczy, że żyję, myśli. Strzelam, więc jestem.

Plecami odwrócona do ściany, Teresa ładuje ostatni magazynek do sig sauera. Jest zdziwiona, że nawet nie jest drażnięta. Na zewnątrz, w ogrodzie, szumi deszcz. Chwilami słyszy, jak Pote Gálvez jęczy przez zęby.

– Jesteś ranny, Pinto?

– Ostro grzałem, szefowo... To i złapałem trochę ołowiu.

– Boli?

– Cholernie. Co mam kłamać, że nie, jeśli napieprza.

– Pinto.

– Słucham panią.

– Tu jest beznadziejnie. Nie chcę, żeby nas wzięli bezbronnych jak króliki.

– No to niech pani decyduje. Pani tutaj rządzi.

Na wiatę, postanawia. To lekki daszek, pod którym rosną krzewy, na drugim końcu korytarza. Okno, które jest nad nim, nie stanowi żadnej przeszkody, bo w tej chwili nie ma w nim już ani jednej całej szyby. Jeśli się tam dostaną, mogą skoczyć do ogrodu i dotrzeć, czy przynajmniej spróbować dotrzeć, do bramy wjazdowej albo do ogrodzenia. Deszcz może w równym stopniu stanowić przeszkodę, co być pomocą. Mogą też do nich zacząć strzelać żołnierze, ale trzeba podjąć takie ryzyko. Na ulicy są dziennikarze, ludzie, którzy patrzą. Tam nie będzie im tak łatwo jak w domu. Don Epifanio Vargas może kupić wielu ludzi, nikt jednak nie może kupić wszystkich.

– Możesz się ruszać, Pinto?

– Niech pani sobie wyobrazi, że tak. Mogę.

– Chodzi o to, żeby dotrzeć do okna w korytarzu, a potem do ogrodu.

– Chodzi o to, co pani powie.

To już się raz wydarzyło, myśli Teresa. Wydarzyło się coś podobnego, i Pote Gálvez też był na miejscu.

– Pinto.

– Słucham.

– Ile granatów zostało?

– Jeden.

– No to rzucaj.

Granat jeszcze się toczy, kiedy biegiem puszczają się przez korytarz, wybucha, kiedy są przy oknie. Słyszając za plecami serie z kałasza, które wystrzeliwuje jej ochroniarz, Teresa przekłada nogi przez ramę, starając się nie zranić o odłamki szkła, ale kiedy opiera się na futrynie lewą ręką, rozcina ją sobie. Czuje, jak ciepła i gęsta ciecz spływa po dłoni. Kiedy wydostaje się na zewnątrz, deszcz smaga ją po twarzy. Dachówki na wiacie skrzypią pod jej stopami. Wkłada pistolet za pasek, potem ślizga się na mokrej powierzchni, zatrzymuje się dopiero na rynnie, która schodzi z dachu. Zawisa na niej na chwilę i upada na ziemię.

Chlupie błoto, znów chwyta pistolet w dłonie. Pote Gálvez ląduje obok

niej. Uderzenie. Jęk bólu.

– Biegnij, Pinto. Do ogrodzenia.

Nie ma czasu. Snop latarki szuka ich niecierpliwie od strony domu i znów zaczyna się strzelanina. Teraz kule, bijąc w kałuże, wydają dźwięk cziju, cziju. Teresa podnosi sig sauera. Mam nadzieję, że to całe gówno nie zatkało mi spluwy. Wystrzeliwuje pocisk za pociskiem, rozważnie zataczając łuk, a potem pada w błoto na twarz. Nagle zauważa, że Pote Gálvez nie strzela. Odwraca się do niego i widzi w dalekim świetle z ulicy, że opiera się o filar pod wiatą po drugiej stronie.

– Przykro mi, szefowo – słyszy jego szept. – Teraz trafili mnie na dobre.

– Gdzie?

– W brzuch... Nie wiem, czy to deszcz, czy krew, ale leją się tu całe litry.

Teresa zagryza ubłocone wargi. Patrzy na światła za bramą, latarnie uliczne, w których odcinają się palmy i mangowce. Trudno będzie, stwierdza, zrobić to samej.

– Gdzie masz kałasza?

– Ano tam... Między panią a mną. Załadowałem nowy podwójny magazynek, ale upuściłem gnata, kiedy dostałem.

Teresa unosi się nieco, żeby się rozejrzeć. Kałasz leży na stopniach tarasu. Seria puszczone z domu znów każe jej przycisnąć się do ziemi.

– Nie dotrę tam.

– No, jest mi naprawdę przykro.

Znów spogląda na ulicę. Wokół bramy tłoczą się ludzie, słysząc syreny policyjne. Jakiś głos mówi coś przez megafon, ale nie udaje się jej zrozumieć słów. Pomiędzy drzewami z lewej strony słyszy chlupot. Kroki. Chyba dostrzega jakiś cień. Ktoś stara się odciąć im drogę od tamtej strony. Mam nadzieję, że te sukinsyny nie mają noktowizorów.

– Muszę mieć karabin – mówi Teresa.

Pote Gálvez nie odpowiada od razu. Jakby się nad tym zastanawiał.

– Nie mogę już strzelać, szefowo – mówi w końcu. – Nie dam rady... Ale mogę spróbować podsunąć go pani.

– Nie chrań, rozwałą cię, jak tylko wystawisz głowę.

– Mam to gdzieś. Kiedy się skończy, to będzie koniec i już.

Kolejny cień chlupocze między drzewami. Czas mija. Jeszcze dwie minuty i jedyna droga ucieczki zostanie odcięta.

– Pote.

Cisza. Nigdy tak się do niego nie zwracała, po imieniu.

– Słucham.

– Podaj mi tę cholerną spluwę.

Znowu cisza. Plusk kropli deszczu rozpryskujących się w kałużach i na liściach drzew. W głębi słaby głos ochroniarza:

– To był dla mnie honor, że panią poznałem.

– I wzajemnie.

To jest *corrido* o białym koniu, Teresa słyszy, jak Potemkin Gálvez nuci. Z tymi słowami w uszach, parszając z wściekłości i rozpacz, Teresa chwyta sig sauera, podnosi się i zaczyna strzelać w kierunku domu, osłaniając swojego współnika. Noc znów rozbłyskuje wystrzałami, pociski tłuką o wiatę i pnie drzew, i Teresa widzi, jak jej ochroniarz – okrągła sylwetka ostro odcina się od ciemnego tła – podnosi się pośród odbłyśków strzałów i kulejąc, biegnie w jej kierunku, przeraźliwie powoli, podczas gdy kanonada wzmaga się, kule jedna za drugą trafiają w jego ciało, które słabnie, przypomina teraz lalkę z wykręconymi stawami, w końcu pada na kolana obok kałusza. Jest już martwy, kiedy w agonii ostatnim ruchem chwyta karabin za lufę i rzuca go przed siebie, na oślep, tam gdzie według jego obliczeń powinna być Teresa, po czym spada ze stopni i ląduje twarzą w błocie.

Wtedy ona zaczyna wrzeszczeć. O wy skurwysyny, krzyczy, jakby chciała wypluć wnętrzności, opróżnia magazynek, strzelając w stronę domu, rzuca pistolet na ziemię, chwyta karabin i w oślepiających strumieniach deszczu, grzęznąc w błocie, biegnie w kierunku drzew po lewej stronie, gdzie przed chwilą widziała przemykające cienie, nie zważając na smagające ją po twarzy niskie gałęzie drzew i krzaków.

Cień wyraźniejszy niż pozostałe, karabin przy twarzy, krótka seria, odrzut, broń uderza ją w brodę, sprawiając ogromny ból. To skacze jak głupie. Strzela w tył i na bok, brama i ogrodzenie są bliżej niż przedtem, ludzie na oświetlonej ulicy, potok niezrozumiałych słów wypływających z megafonu. Nie ma już cienia. Kiedy biegnie pochylona z gorącym kałuszem, widzi skuloną postać, która się porusza; nie zatrzymując się,

kieruje tam lufę, przyciska spust i strzela. Nie wierzę, że mi się udało, myśli, kiedy tylko cichnie seria, i kuli się, jak może. Nie wierzę. Kolejne strzały z tyłu, i znowu ziaaang, ziaaang tuż obok jej głowy niby szybkie ołowiane muchy. Odwraca się i znów przyciska spust, karabin skacze jej w rękach, ten cholerny odrzut, a blask jej własnych strzałów oślepia ją, gdy zmienia pozycję; dokładnie w sekundę później ktoś strzela w to miejsce, gdzie przed momentem stała. Pieprz się, dupku. Kolejny cień z przodu. Kroki z tyłu, za plecami. Cień i Teresa strzelają do siebie nawzajem z tak bliska, że widzi jego twarz w króciutkim świetle wystrzałów – broda, oczy szeroko otwarte, pobielające usta. Niemal odpycha go lufą karabinu i biegnie do przodu, a chłopak pada na kolana pomiędzy krzakami. Ziaaang. Słyszy świst kolejnych kul, które jej szukają, potyka się, toczy po ziemi. Kałasz wydaje głuche klak, klak. Teresa pada na plecy w błoto, przesuwa się w tej pozycji, deszcz spływa jej po twarzy, kiedy wciska przekładnię, wyjmując zakrzywiony podwójny magazynek i odwraca go, wierząc, że nie będzie zbyt ubłocony. Broń cięży jej na brzuchu. Ostatnie trzydzieści naboji, stwierdza, oblizując te, które wystają z magazynka, żeby je oczyścić. Wsuwa go. Klak. Odbezpiecza, podciągając w tył z całej siły. Klak, klak. Wtedy, od bliskiej już bramy, dociera do niej pełen podziwu głos jakiegoś żołnierza albo policjanta:

– Super, pokaż im, jak umiera kobieta z Sinaloa!

Teresa spogląda w stronę bramy, oszołomiona. Nie wie, czy śmiać się, czy przeklinać. Teraz nikt nie strzela. Klęka, a potem się podnosi. Pluje gorzkim błotem o smaku metalu i prochu. Zygzakami biegnie pomiędzy drzewami, jednak chlupot jej kroków jest zbyt głośny. Kolejne strzały i wybuchy za jej plecami. Wydaje się jej, że widzi następne cienie, które przemykają pod murem, ale nie jest tego pewna. Puszczą jedną krótką serię na prawo, następną na lewo, skurwysyny, mruczy pod nosem, biegnie pięć, sześć metrów i znów przykuca. Krople deszczu zamieniają się w parę, kiedy spadają na gorącą lufę karabinu. Teraz jest na tyle blisko ogrodzenia, żeby dostrzec, że brama jest otwarta, może rozróżnić postaci ludzi, którzy tam leżą lub klęczą za samochodami, i słyszy słowa powtarzane przez megafon:

– Proszę do nas podejść, pani Mendoza... Jesteśmy oddziałem wojska

z Dziewiątej Strefy... Obronimy panią...

Moglibyście bronić mnie chwilę wcześniej, myśli. Bo zostało mi jeszcze dwadzieścia metrów, najdłuższych w moim życiu. Pewna, że nie uda się jej ich pokonać, prostuje się w deszczu, i stojąc, żegna się po kolei ze wszystkimi starymi duchami, które towarzyszyły jej przez wiele lat. Zaraz się spotkamy, chłopaki. Cholerny stan Sinaloa, mówi sobie na zakończenie. Kolejna seria na prawo i następna na lewo. Potem zaciska zęby i biegnie, potykając się w błocie. Jest tak zmęczona, że prawie pada, ale nagle uświadamia sobie, że nikt już nie strzela. Zatrzymuje się, zaskoczona, obraca się za siebie i widzi ciemny ogród i w głębi dom zatopiony w mroku. Deszcz dziurawi błoto przed jej stopami, kiedy posuwa się powoli do bramy, z kałasznikowem w rękę, w kierunku ludzi, którzy stamtąd na nią patrzą. Widzi żołnierzy w pelerynach błyszczących na deszczu, policjantów federalnych w cywilu i umundurowanych, samochody błyskające kogutami, kamery telewizyjne, ludzi leżących na chodniku w deszczu. Flesze.

– Niech pani rzuci broń.

Patrzy na oślepiające ją reflektory, oszołomiona, nie rozumie, co do niej mówią. Wreszcie podnosi w górę karabin, patrzy na niego, jakby zapomniała, co trzyma w rękę. Jest ciężki. Ciężki jak szlag. Upuszcza go na ziemię i idzie dalej. Do licha, myśli, mijając bramę. Jestem cholernie zmęczona. Mam nadzieję, że któryś z tych sukinsynów będzie miał papierosa.

Epilog

Teresa Mendoza stawiała się o dziesiątej rano w prokuraturze stanowej. Ruch na ulicy był zablokowany przez dwie ciężarówki z żołnierzami w pełnym ekwipunku bojowym. Konwój podjechał na dużej szybkości, z wyciem syren, światła wozów rozbłyskiwały w deszczu. Na balkonach sąsiednich budynków stali uzbrojeni mężczyźni w szarych mundurach policji federalnej i w zielonych – wojska. Na rogach ulic Morelos i Rubí ustawiono zapory. Całe stare miasto wyglądało jak podczas oblężenia.

Staliśmy od strony wejścia do szkoły prawniczej, gdzie zostało wyznaczone miejsce dla dziennikarzy, widzieliśmy, jak wysiada z opancerzonego suburba z ciemnymi szybami, przekracza metalową kratę przy wejściu do prokuratury i udaje się w kierunku neokolonialnego patio otoczonego żeliwnymi latarniami i kolumnami z piaskowca. Stałem tam razem z Julio Bernalem i Elmerem Mendoza. Widzieliśmy ją zaledwie przez chwilę, oświetloną fleszami fotografów, którzy bez przerwy robili jej zdjęcia, kiedy pod parasolem, osłaniana od deszczu pokonywała krótką trasę między suburbanem i wejściem, otoczona przez funkcjonariuszy i wojskowych. Poważna, elegancka, ubrana na czarno, w ciemnym płaszczu, z czarną torbą i zabandażowaną lewą ręką. Włosy zaczesane do tyłu, z przedziałką pośrodku, zebrane w supeł na karku, w uszach srebrne kolczyki.

– Baba z jajami – stwierdził Elmer.

Spędziła tam godzinę i pięćdziesiąt minut, zeznając przed komisją złożoną z prokuratora stanu Sinaloa, dowódcy Dziewiątej Strefy, zastępcy generalnego prokuratora republiki, który przyjechał ze stolicy, jednego posła do parlamentu stanowego, jednego posła do parlamentu federalnego, jednego senatora i notariusza pełniącego funkcję sekretarza. I być może, kiedy zajmowała miejsce i odpowiadała na zadawane pytania, mogła dostrzec na stole tytuły na pierwszych stronach dzienników z tego ranka: **BITWA W DZIELNICY CHAPULTEPEC. CZTERECH POLICJANTÓW ZABITYCH I TRZECH RANNYCH PODCZAS OBRONY ŚWIADKA. ZGINĄŁ TAKŻE OCHRONIARZ.** I inne, bardziej sensacyjne, krzykliwe: **KOBIETA WYMKNEŁA SIĘ Z RĄK NARKOMAFII.** Później słyszałem, że członkowie komisji byli

pod dużym wrażeniem i od początku odnosili się do niej z ogromnym szacunkiem, a generał dowodzący Dziewiątą Strefą poprosił o wybaczenie uchybień w jej ochronie, czego Teresa Mendoza wysłuchała, ograniczając się do lekkiego skinienia głową. Kiedy skończyła składanie zeznań – wszyscy powstali, ona też się podniosła i powiedziała: dziękuję panom, i skierowała się do wyjścia – polityczna kariera don Epifania Vargasa została pogrzebana raz na zawsze.

Widzieliśmy, jak z powrotem pojawiła się w drzwiach. Minęła bramę i wyszła w eskorcie ochroniarzy i wojskowych, a flesze fotografów rozbłyskiwały na białej fasadzie, podczas kiedy kierowca suburbana włączył silnik i jechał powoli w jej kierunku. Zobaczyłem, że zatrzymała się na chwilę, jakby szukając czegoś pomiędzy ludźmi. Może czyjeś twarzy, jakiegoś wspomnienia. Potem zrobiła coś dziwnego: wsunęła rękę do torby, poszperała w niej i coś z niej wyjęła, jakiś papier, może zdjęcie, i przyglądała się temu przez chwilę. Byliśmy zbyt daleko, zrobiłem więc kilka kroków do przodu, popychając dziennikarzy, bo zamierzałem przyjrzeć się temu bliżej, ale jakiś żołnierz zastąpił mi drogę. Mogła to być, pomyślałem, połówka starego zdjęcia, którą widziałem w jej dłoni podczas mojej wizyty w domu w dzielnicy Chapultepec. Jednak z tej odległości nie dało się tego stwierdzić.

I wtedy to podarła. Cokolwiek to było, dokument czy zdjęcie, zobaczyłem, jak drze papier na drobniutkie kawałki i rzuca je na mokrą ziemię. Potem suburban zatrzymał się między nią i nami, i to był ostatni raz, kiedy ją widziałem.

Tamtego popołudnia Julio i Elmer zaprowadzili mnie do La Ballena – ulubionego baru Blondyna Dávili – i poprosiliśmy o trzy butelki piwa Pacífico. Szafa grająca była włączona i słuchaliśmy, jak Tigres del Norte śpiewają *Spalone ciało*. Wszyscy trzej piliśmy w milczeniu, patrząc na inne milczące twarze wokół. Jakiś czas później dowiedziałem się, że Epifanio Vargas stracił w tych dniach swoje stanowisko i immunitet poselski i został osadzony w więzieniu Almoloya na czas załatwiania formalności związanych z ekstradycją, o którą wystąpił rząd Stanów Zjednoczonych, a która po długim i skandalicznym procesie nie została orzeczona przez Generalną Prokuraturę Republiki. Co do innych postaci tej opowieści, to każdy poszedł swoją drogą. Burmistrz Tomás Pestaña

nadal dierży w swych dłoniach losy Marbelli. Również były komisarz Nino Juárez jest ciągle szefem ochrony sieci sklepów z modną odzieżą, która zmieniła się już w potężne międzynarodowe przedsiębiorstwo. Adwokat Eddie Alvarez zajmuje się obecnie polityką w Gibraltarze, gdzie jeden z jego szwagrów jest ministrem gospodarki i pracy. Z Olegiem Jaszykowem mogłem rozmawiać jakiś czas później, kiedy Rosjanin odsiadywał niski wyrok w więzieniu Alcalá-Meco z powodu jakiejś niejasnej afery z przemytem broni i ukraińskich emigrantów. Okazał się człowiekiem zaskakująco miłym, mówił o swojej dawnej znajomej bez żadnych oporów i z wielką sympatią, opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy, które w ostatniej chwili dorzuciłem do tej opowieści. Nigdy więcej nikt nie słyszał o Teresie Mendozie. Niektórzy zapewniają, że zmieniła tożsamość i twarz i mieszka w Stanach Zjednoczonych. Mówią, że na Florydzie. Albo w Kalifornii. Inni utrzymują, że wróciła do Europy ze swoją córką albo swoim synem, ale nie wiadomo, czy w ogóle zdecydowała się urodzić dziecko. Mówi się o Paryżu, Majorce, Toskanii, ale tak naprawdę to nikt nie wie niczego pewnego. Co do mnie, to tamtego ostatniego dnia, siedząc przy butelce piwa w La Ballena, w Culiacán, wśród wąsatych i milczących klientów, i słuchając piosenek z szafy grającej, żałowałem, że nie mam dość talentu, żeby sprowadzić tę całą historię do trzech minut tekstu z muzyką. Musiałem napisać ją po swojemu, nie ma wyjścia, *corrido* na drukowanym papierze o objętości przeszło sześciuset stron. Każdy robi to, co potrafi. Ale byłem pewien, że gdzieś tam niedaleko ktoś z pewnością pisze już piosenkę, która wkrótce zacznie krążyć po Sinaloa i po całym Meksyku, śpiewana przez Tigres albo Tucanes, albo jakiś inny legendarny zespół. Mężczyźni o szorstkim wyglądzie, z wielkimi wąsami, w kraciastych koszulach, w czapkach bejsbolowych i kapeluszach z liści palmowych, którzy otaczali Julia, Elmera i mnie, w tym samym barze, może nawet przy tym samym stole, gdzie siedział Blondyn Dávila, będą słuchali tej piosenki z powagą, kiedy zabrzmie z szafy grającej, każdy ze swoją butelką piwa Pacífico w ręce, kiwając głową w milczeniu. Opowieść o Królowej Południa. *Corrido* o Teresie Mendozie.

La Navata, maj 2002

Istnieją skomplikowane powieści, które zawdzięczają wiele wielu osobom. Poza Cesarem Batmanem Güemesem, Elmerem Mendozą i Julio Bernalem – moimi dobrymi znajomymi z Culiacán w stanie Sinaloa, *Królowa Południa* nigdy nie powstałaby bez przyjaźni z Javierem Collado, najlepszym na świecie pilotem helikoptera BO-105, z którego pokładu śledziłem wiele nocnych pościgów za łodziami motorowymi w Cieśninie Gibraltarskiej. Chemie Beceiro, dowódcy ślizgacza straży celnej, zawdzięczam szczegółową rekonstrukcję ostatniej morskiej wyprawy Santiago Fisterry, łącznie z opisem wydarzeń przy Kamieniu Leona. Mój dług wdzięczności jest ogromny wobec Patsi O'Brian z jej szczegółowymi więziennymi wspomnieniami, wobec Pepe Cabrery służącego mi pomocą techniczną, a także wobec Manuela Cespedesa, José Bedmara, José Luisa Domingueza Iborry, Julia Verdú i Aurelia Carmony, wspaniałomyślnie przyjacielskiego Sealtiel Alatryste, Oscara Lobato, Eddiego Campello, René Delgado, Miguela Tamayo i Germana Dehesy, moich entuzjastycznych wydawczyń Amai Elezcano i Marisol Schulz, Marii José Prady z jego nieugiętym umysłem godnym Sherlocka Holmesa i zawsze wiernej Any Lyons; nie mogę też pominąć Sary Vélez, która użyczyła swojej twarzy do policyjnej kartoteki i zdjęcia z młodości swojej rodaczki, Teresy Mendozy, na okładce hiszpańskiego wydania tej książki. Poza kilkoma wcześniej wymienionymi nazwiskami, które w powieści pojawiają się ze swoją prawdziwą tożsamością, reszta – osoby, adresy, przedsiębiorstwa, statki, miejsca – jest całkowitą fikcją lub została użyta z dowolnością będącą przywilejem powieściopisarza. Co do innych nazwisk, tych, które z przyczyn oczywistych nie mogą zostać tu podane, ich właściciele doskonale wiedzą, kim są, ile im zawdzięcza autor i ile im zawdzięcza ta opowieść.

[1] DEA – Drug Enforcement Agency – Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami (przyp. tłum.).

[2] Camarón de la Isla – kultowa postać współczesnego flamenco (przyp. tłum.).

[3] Trirema – starogrecki okręt wojenny poruszany za pomocą wiosł, ustawionych wzdłuż burt w trzech rzędach.

[4] *In illo tempore* (łac.) – w owym czasie; niegdyś (przyp. tłum.).

[5] Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*, przekład Julian Rogoziński.

[6] Idem.

[7] Idem.

[8] Juan Rulfo, *Pedro Páramo*, przekład Kalina Wojciechowska.

[9] Juan Rulfo, *Pedro Páramo*, przekład Kalina Wojciechowska.

[10] Wergiliusz, *Eneida*, przekład Zygmunt Kubiak.

[11] *In dubio pro reo* (łac.) – W razie wątpliwości wyrokuje się na korzyść oskarżonego (przyp. tłum.).

[12] *Dura lex, sed lex* (łac.) – Twarde prawo, ale prawo (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

